

DORIS MORTMAN

PIERWORODNA
TOM II

KSIĘGA TRZECIA

- Nie wiem, czy mam się śmiać, czy płakać. - Cissie patrzyła na kobietę, która jeszcze przed godziną była jej najlepszą przyjaciółką, a teraz okazała się kuzynką. - To jest dla mnie zupełnym zaskoczeniem.

Jinx uniosła kącki ust w półuśmiechu.

- Wiem, ale to prawda. - Jej uśmiech przybladł. - Nie obchodzi mnie, co on mówi.

Mózg Cissie pracował na szybkich obrotach, próbując skojarzyć fakty i połączyć strzępki tej dziwnej historii.

- Nie mam ani cienia wątpliwości - powiedziała - choć nie mogę uwierzyć, że nigdy wcześniej tego nie zauważyłam. W każdym calu wyglądasz na panią Rostov. Włosy, cera, nos. Jesteś jedyną osobą oprócz mojej babci, która ma ten dołeczek. - Zaśmiała się. - Naszej babci.

- Jak mógł patrzeć mi prosto w oczy i zaprzeczać, że jestem jego córką? Jeżeli nasze podobieństwo jest dla ciebie aż tak oczywiste, to jak mógł tego nie widzieć?

- Ja jestem bez winy - odparła Cissie. Wzięła Jinx za rękę i poklepała ją po dłoni. - W naszych stosunkach nic się nie zmieniło. Akceptuję cię jako kuzynkę i nie widzę w tym ani jednej negatywnej strony, same pozytywne.

Jinx pokiwała głową. Tysiące razy roztrząsała to z Kipem. Sama się nad tym zastanawiała, ale nigdy nie rozmawiała na ten temat ani z Cissie, ani ze swoją matką.

- Rozumiem, że może być mu trudno wyjaśnić to swojej żonie i drugiej córce, ale przecież nie chcę się do nich wprowadzać! Chciałam tylko, żeby się do mnie przyznał. Oczekiwałam skinięcia głową, westchnienia i paru słów: „Tak, to prawda. Istniejesz w moim życiu. Muszę coś z tym zrobić”.

Za każdym razem, kiedy mówiła o zachowaniu Bena, reagowała w ten sam sposób, z drżącym uczuciem obrazy i gniewu. Spodziewała się, że może pomimo swojego okrutnego zachowania Ben po jakimś czasie przemyśli tę sytuację i odezwie się do niej. Mijały dni, a telefon milczał. Dni przerodziły się w tygodnie i w Jinx narastał gniew. Ben stał się głównym tematem rozmów w domu Kiplingów. Jinx nie zamierzała na tym poprzestać. Benjamin Rostov musiał ponieść konsekwencje swojego postępowania. Chciała, by zobaczył, że nie może igrać z jej uczuciami. Pragnęła zemsty.

Kiedy zasugerowała Kipowi, żeby zabrał trzydziestopięciomilionowe konto „Kipling Worldwide” z jego agencji, początkowo nie chciał się zgodzić. Jednak Jinx uparcie nalegała, rzucając wyzwanie mężowi i domagając się wyjaśnienia, dlaczego wkłada pieniądze do kieszeni mężczyzny, który w tak zimny i bezwzględny sposób zaprzeczył, że ona jest jego córką. Mówiła, że taki człowiek jak on powinien być ukarany, a nie nagradzany na każdym kroku. Kip nie mógł się nie zgodzić. Jego posunięcie odbiło się echem w „The New York Times” i wszystkich innych publikacjach handlowych. Było to tak drastyczne posunięcie, że mogło się przyczynić do upadku firmy Bena. Mimo to Ben nie zadzwonił.

- Jedna rzecz, której nie mogę zrozumieć, to zachowanie mojej matki - odezwała się Cissie. - Przecież musiała znać całą prawdę, jednak nie pisnęła ani słowa.

- Też się nad tym zastanawiałam - powiedziała Jinx z dezaprobatą w głosie.

- Działała w obronie własnej - wytłumaczyła sobie Cissie.
- Muszę powiedzieć, że moja matka jest jednym z najbardziej lojalnych ludzi na świecie. Zna więcej historii o różnych ludziach niż Rona Barrett. Ale ona nie rozsiewa plotek za cudzymi plecami.

- Trudno to nazwać zwyczajną plotką - odparła Jinx nieco zdegustowana „rycerskim” zachowaniem Tessy. - To bardzo poważna sprawa, nie sądzisz?

Cissie szybko zorientowała się, że do ich rozmowy wkradł się cień nieporozumienia.

- Oczywiście, że tak - powiedziała, zwracając uwagę na gorzki ton w głosie Jinx. - I nie traktuję tego lekko, wierz mi. Ale dla mnie to trochę szokujące i próbuję jakoś złożyć to wszystko do kupy.

Jinx pokiwała głową. Przez parę minut żadna z nich się nie odezwała.

- Sylvia wie o Kate - zaczęła Cissie. - Jestem tego pewna. - Mów dalej.

- Pamiętam, że kiedy byłam mała, odwiedził nas wujek Ben i ciocia Sylvia. Ojciec poszedł do drugiego pokoju zadzwonić za granicę i zostawił Bena z moją matką. Miałam wtedy zwyczaj zakradania się w holu i podsłuchiwania dorosłych. Chyba zabawiałam się w szpiega albo coś w tym rodzaju. W każdym razie pamiętam, jak moja matka powiedziała, że dostała list od Kate. Wujek bardzo się zdenerwował. Próbował ją uciszyć. Nic nie słyszałam, tylko Tessa zapytała, czy powiedział o wszystkim Sylvii. Coś zamruczał pod nosem i wydawało mi się, że słyszałam „tak”.

- Co jeszcze jej mówił? Czy rozmawiali o mnie?

- Szeptali jeszcze kilka minut. Sądząc z tego, co teraz wiemy, myślę, że powiedział Sylvii o swoim pierwszym małżeństwie, ale nie wspomniał o dziecku.

- Myślę, że nie wspomniał o zbyt wielu rzeczach.

Cissie pokiwała głową. Próbowała bronić matki, ale nie miała żadnych podstaw, żeby usprawiedliwić Bena.

- Jaka ona jest? - zapytała Jinx, zbaczając nieco z głównego tematu.

- Kto?

- Becca.

Cissie roześmiała się.

- Powiedzmy to tak: jeżeli istnieje jakiś powód, dla którego Ben nie chce przyznać się do ojcostwa, to jest nim właśnie ona.

Jinx była zła na siebie za to pytanie, ale wdzięczna Cissie, że nie wyraziła się źle o drugiej córce Bena.

- Kip twierdzi, że powinnam dać spokój całej tej sprawie - wtrąciła - nie sądzę jednak, żebym potrafiła to zrobić. A ty byś mogła?

- Zadajesz takie pytanie rycerzowi okrągłego stołu. Absolutnie nie!

- Wobec tego, co twoim zdaniem powinnam zrobić?

- Szczerze? Nie mam pojęcia. Rozmawiałaś z matką?

- Nie. Być może już nigdy się do niej nie odezwę.

- To chyba trochę zbyt drastyczne - powiedziała Cissie, zdziwiona lodowatym głosem Jinx.

- Okłamała mnie - Jinx próbowała uzasadnić swoje słowa.

- Ben też cię okłamał - odparła Cissie, modląc się w myślach o lekarstwo na cierpienia przyjaciółki. - Kate wychowała cię, kochała i chroniła. Myślę, że powinnas posłuchać jej wersji wydarzeń, zanim pošlesz ją na gilotynę. Jesteś jej to winna.

- A ona jest mi winna prawdę!

- Teraz znasz już prawdę - odpowiedziała miękko Cissie.

- I tak, jak z większością rzeczy, każdy medal ma dwie strony. Dobrą i złą. Musisz je wyważyć.

Jinx przysunęła się na kanapie bliżej Cissie i uścisnęła ją.

- Jesteś dobra - powiedziała, mocno się do niej przytulając. - Kocham cię.

- Nic dziwnego - odparła Cissie. - Przecież jesteśmy rodziną.

- Tak czy inaczej, z tego, co mi powiedziałaś, Ben wychodzi na skończoną świnię.

- Oczywiście - odparła Cissie i przytuliła się do Noaha, kiedy przemierzali ulice w okolicy placu Tompkins.

- Nie jestem pewien, czy twoja matka też nie maczała w tym palców.

- Wiem, że to nieładnie wygląda, ale ona naprawdę ma stare harcerskie zasady i jeśli obieca, że dochowa tajemnicę, to prędzej umrze, zanim ktoś zdoła z niej coś wydusić.

Noah przygarnął żonę do siebie i poprawił jej szalik, żeby lutowy wiatr nie zawiął jej uszu.

- Jakoś bym to przeżył - mówił dalej - z wyjątkiem faktu, że przecież pracowała z Jinx i bardzo się polubiły. Niezbyt mi się to podoba.

- A mnie się nie bardzo podoba, że jest tak okropnie zimno - odparła Cissie, szczękając zębami. - Wiem, jak ważne są dla ciebie te cotygodniowe spacerunki po okręgu, ale zaraz za rogiem jest przytulna francuska kawiarenka, gdzie znużony drogą wędrowiec może sobie kupić filiżankę gorącej czekolady i bułeczkę.

- Ten rejon nie słynie z najlepszej kuchni - rzekł Noah. Poczł się winny, że postąpił tak egoistycznie, zabierając ze sobą ciężarną żonę w taki nieprzyjemny zimowy wieczór. - Wiesz co? - powiedział poklepując rękawiczkami jej policzki. - Wstąpmy do Hildagów. To już tutaj. Zrobiam nam filiżankę kawy i trochę się rozgrzejemy. Później dowiem się, dlaczego wyrzucili Luisa z pracy. To facet, na którym można polegać jak na Zawiszy. Ta sprawa wydaje mi się podejrzana.

Powoli wspinali się na schody i kiedy w końcu doszli na czwarte piętro, byli zupełnie wyczerpani i poczłi się jakoś nieswojo. Od kiedy Noah został wybrany do senatu, spędzali w sąsiedztwie mnóstwo czasu i zdążyli już się przyzwycząić do nieświeżych zapachów i dziwnych odgłosów. Jednak

dzisiejszego wieczoru poczuli woń, której nie potrafili zidentyfikować, a jedynym dobiegającym dźwiękiem był płacz małych dzieci.

Rosa Hildago otworzyła drzwi i wychyliła głowę. Wyglądała na dziwnie zakłopotaną.

- Senor Gold! Senora Cissie! Co tu robicie? - zapytała stojąc w progu tak, by nie było widać, co dzieje się za drzwiami.

- Spacerowaliśmy - odpowiedział Noah, zerkając przez drzwi. - Cissie zrobiło się zimno. Pomyśleliśmy, że zrobimy wam mały kłopot i wpadniemy na kawę albo na herbatę.

- Rosa - zaczęła Cissie, przepychając się przed Noaha i opierając się ręką o framugę. - Dlaczego jesteś w rękawiczkach?

- Właśnie miałam wychodzić - wyjaśniła nie otwierając szerzej drzwi.

- Boże! - Cissie nerwowo wachała powietrze. - Czuć gazem - powiedziała do Noaha. - Otwórz - rozkazała Rosie.

Kiedy weszli do mieszkania, Cissie zrobiło się niedobrze. Luis leżał w rogu na materacu, przykryty stertą starych kocy. Miał czerwoną, rozognioną twarz i szkliste, nic nie widzące oczy. Dwoje z czworga dzieci kulilo się w kącie. Miały na sobie kilogramy ubrań, włącznie z płaszczami, czapkami i rękawiczkami. Ale najgorzej cierpieli starzy ludzie. Także ubrani byli jak na mróz, jednak duma nie pozwalała im tulić się do siebie, tak jak robiły to dzieci. Siedzieli przy stole, osłabieni chłodem, z wyprostowanymi plecami i smutnym wyrazem twarzy.

Na dwóch palnikach stały garnki z gotującą się wodą. Pozostałe dwa palniki były niebieskie od gazowych płomieni. Ze stanu, w jakim znajdował się sufit, można było wywnioskować, że rury popękały już jakiś czas temu. Cissie

poszła zaopiekować się Luisem, podczas gdy Noah zaczął oglądać mieszkanie.

- Jak długo już tak mieszkacie? - zapytał oburzony zastaną sytuacją.

- Od początku zimy - powiedziała spokojnie Rosa, zupełnie tak, jakby był to normalny stan rzeczy. - Na początku trochę grzali i mieliśmy gorącą wodę. Ale kiedy przyszło prawdziwe zimno, wszystko odcięli.

- Zawiadomiliście właściciela?

Rosa pokiwała głową.

- Tak, wszyscy. Dzwonimy. Piszemy. Żadnej odpowiedzi. Noah zmarszczył czoło. Jego oczy spochmurniały.

- Zapłaciliście czynsz w terminie?

- Tak. W przeciwnym razie już dawno by nas wyrzucił - odpowiedziała dziwiąc się, że Noah nic nie wie o zwyczajach właściciela domu.

- Niewiele gorzej mieszkałoby się na ulicy. Pójdziecie ze mną porozmawiać z innymi sąsiadami?

- Si, ale...

- Zostanę z Luisem - zaoferowała się Cissie. - Gdzie Tonio?

- Poszedł po supę. Zaraz powinien być.

Cissie pokiwała głową, zdjęła płaszcz i przykryła nim Luisa. Powinien pójść do szpitala albo przynajmniej poddać się badaniu i brać lekarstwa. Musiała dostać się do telefonu, lecz potrzebowała kogoś z trzeźwą głową, żeby został z Luisem.

- Gubi - odezwała się do młodszej od Tonia dziewczynki.

- Jeśli dam ci numer telefonu i pieniądze, pobiegiesz na dół i wezwiesz lekarza?

- Nie ma telefonu, senora Cissie. Zepsuł się miesiąc temu i nikt nie przyszedł go naprawić.

Nic dziwnego, że Luis nie zadzwonił, pomyślała Cissie, kładąc mu dłoń na czole. Głowa była gorąca jak piec. Dotykając wargami do jego palącej skóry, stwierdziła, że musi mieć około czterdziestu stopni. Najprawdopodobniej miał zapalenie płuc.

Upłynęły prawie trzy kwadranse, nim Noah i Rosa wrócili z obchodu. Rosa była smutna i zniechęcona, Noah zły i zdenerwowany.

- Wszyscy mówią, że pisali i dzwonili do tego szubrawca, ale nikt nie odpowiada.

- Musimy zawieźć Luisa do szpitala - rzekła spokojnie Cissie, nie chcąc nikogo straszyć.

- Zaraz się tym zajmiemy - odparł Noah. - Myślę, że wezwiemy kilku lekarzy, żeby przebadali wszystkich mieszkańców. Ci, których widziałem, też nie byli w doskonałej kondycji.

- Proszę, senor Gold - powiedziała cicho Rosa, nie chcąc denerwować innych. - Niech pan zadzwoni do tego człowieka, żeby włączył nam ogrzewanie. Większość ludzi z tego budynku nie ma gdzie się podziać.

- Rosa - przyjaznym tonem zapytał Noah - macie z Luisem dobrą pracę. Dlaczego nie przeniesiecie się gdzie indziej? Do domu, gdzie są lepsze warunki.

- Oszczędzamy. Tonio dobrze sobie radzi w szkole. Chcemy go posłać do college'u. Chcemy, żeby był kimś.

- Jeszcze nie wiem jak - powiedział Noah - ale dopadnę tego sukinsyna!

- Ale ja wiem - powiedziała Cissie tonem zdradzającym determinację. - Wprowadzimy się tutaj!

- Co? - Noah i Rosa nie mogli uwierzyć własnym uszom.

- Jeśli Luis i Rosa Hildago trochę przemarzną i kilkoro hiszpańskich dzieci dostanie kataru, ta kanalia wzruszy tylko ramionami. Komu na tym zależy? - zapytała. - Ale jestem

pewna, że ten łajdak nie pozwoli, żeby choć jeden włos spadł z głowy senatora Golda i jego żony - powiedziała z przebiegłym uśmiechem.

Noah zdjął płaszcz, zarzucił go Cissie na ramiona, czule ją pocałował i przygarnął do siebie.

- Jesteś genialna - powiedział. - Troszeczkę chytra, ale naprawdę genialna!

- Wiem - odpowiedziała szerokim uśmiechem na jego uśmiech. Zawsze była szczęśliwa, jeśli mogła mu w czymkolwiek pomóc. - Rosa, zacznij się pakować. Pojedziemy z Noahem do domu i przygotujemy się na przyjęcie waszej rodziny. Zadzwonimy po lekarza, zabiorą Luisa do szpitala i przebadają resztę mieszkańców. Jak tylko znajdę kogoś, kto zaopiekuje się naszą córką, natychmiast się do was wprowadzimy.

- Jak długo tu mieszkacie? - Tessa była u kresu wytrzymałości. Od dwóch dni szukała Cissie. Gdy odkryła nowe miejsce jej pobytu, wcale się nie uspokoiła.

- Od dwóch tygodni. - Cissie czuła się okropnie, ale nie dała tego po sobie poznać. Odgrywała rolę osoby szczęśliwej i zadowolonej z życia.

- Kochanie, rozumiem twoje przywiązanie do tych ludzi, ale nie mogliście temu zaradzić w inny sposób?

- Nie.

- Ile czasu zajmie panu Freyowi naprawienie awarii?

- Jak dotąd nie odpowiedział na żaden telefon. Za każdym razem, kiedy dzwoni do niego ktoś z biura Noaha, to albo jest poza miastem, albo jest zupełnie nieuchwytny. Oczywiście pozwoliliśmy dzwonić tylko Ramonowi Fuentesowi. - Cissie uśmiechnęła się. Zastawianie pułapki na tego gagatka sprawiło jej olbrzymią przyjemność.

- A kiedy będzie dzwonił senator Gold? - zapytała Tessa. Podobał jej się ten plan, jednak wyraźnie martwiła się o zdrowie córki.

Cissie nie najlepiej znosiła pierwsze trzy miesiące ciąży i chociaż twierdziła, że czuje się doskonale, Tessa wiedziała, że była zmarznięta do szpiku kości.

- Kto opiekuje się Alexis? - zapytała.

- Ja!

W tym momencie wyszła z łazienki Jinx i stanęła przed Tessą. - Nie wiedziałam, że tutaj jesteś - powiedziała Tessa z nerwowym uśmiechem. - Jak się miewasz, kochanie?

- Świetnie - odpowiedziała Jinx z oficjalnym uśmiechem.

- A pani?

- Dobrze, dziękuję.

Cissie przenosiła wzrok z Jinx na matkę. Stały po jej obu stronach, w przeciwległych rogach pokoju i milcząco taksowały się wzrokiem. Nie znosiła stawiać matki w niezręcznej sytuacji, ale pomyślała, że może na widok Jinx rozwiąże się jej język.

- To miło z twojej strony, że zajęłaś się Alexis - powiedziała Tessa, szukając jakiegoś miejsca, żeby usiąść.

Jinx ani drgnęła.

- Pomyślałam, że byłoby dobrze, by Alexis została z kimś z rodziny - powiedziała Cissie wyczuwając sytuację.

- Jinx jest naszą drogą przyjaciółką - odparła Tessa, znając zbyt dobrze córkę, by nie skojarzyć, że celowo zrobiła tę uwagę. - Nie jest jednak członkiem rodziny i myślę, że ma zbyt dużo zajęć przy własnym dziecku i tysiące spraw w pracy, by dodatkowo obciążać ją opieką nad Alexis. Może wezwiesz ciotkę Molly?

- Albo wujka Bena?

- Tak. Czemu nie. - Tessa starała się, by jej głos niczego nie zdradził, ale nerwowo przechodziła od jednego krzesła do

drugiego, nie siadając na żadnym z nich. - Zarówno Ben jak i Sylvia byliby bardzo zadowoleni.

Cissie popatrzyła na matkę. Wiedziała, jak okropnie musiała się czuć. Z daleka wyczuwała rosnącą złość Jinx.

- Byłby tak samo zadowolony jak w chwili, gdy usłyszał, że córka, którą porzucił dwadzieścia siedem lat temu, właśnie jest w mieście - skomentowała Jinx zmęczona już przerzucaniem się słowami.

- Nie wiem, o czym mówisz - wyszeptała Tessa.

- O Benie Rostovie, Kate Elliot i Frances Rebecce Rostov Elliot Kipling.

Jinx usłyszała wrogość w swoim głosie. Zobaczyła zatroskanie na twarzy Tessy i ból w jej spojrzeniu. Pomyślała, że ją także ciężko zraniono, ale nie miała zamiaru się wycofać.

Cissie niecierpliwie czekała. Pragnęła, żeby matka powiedziała o wszystkim i przyznała się do współudziału w utrzymywaniu tajemnicy Bena. Jednak znając Tessę wiedziała, że nigdy nie złamie obietnicy. Nie zrobi tego nawet dla swojej córki.

- Stałam z nim twarzą w twarz - ciągnęła Jinx, nie zwracając uwagi na kłopotliwe milczenie Tessy. - Odtrącił mnie. Zaprzeczył, że jest moim ojcem. Zaprzeczył, że kiedykolwiek znał Kate Freedman, nie mówiąc już o tym, że był jej mężem. Ale pani znała Kate?

Tessa stała nieporuszona.

- Jinx, kochanie, jestem już zmęczona. Nie wiem, co starasz się udowodnić, ale nie podoba mi się to przesłuchanie.

- A mnie nie podoba się pani udawana niewinność!

- Wiesz, jaką wspaniałą dziewczyną jest Jinx - wtrąciła Cissie, czując, że powinna wystąpić w roli mediatora. - Wiesz, jaka jest wrażliwa i wiesz, jak łatwo ją zranić.

- Udawała pani moją przyjaciółkę, podczas gdy przez cały czas wiedziała pani, że jest moją ciotką.

- Właściwie czego tak naprawdę ode mnie chcesz?

Głos Jinx nadal był rozwibrowany, choć pozbawiony już początkowej złości.

- Chciałabym, żeby potwierdziła pani, że jest moją ciotką, i powiedziała, że bardzo się z tego cieszy. Potem byłoby mi miło, gdyby doradziła pani swojemu bratu, żeby przyznał się do wszystkiego.

- Jinx nie chce publicznej deklaracji. Nie chce wprowadzać go w zakłopotanie przed jego rodziną. Chce tylko usłyszeć prawdę. Chyba potrafisz to zrozumieć, mamo?

Jej głos był pełen determinacji. Błagała matkę, by postąpiła zgodnie ze swoim sumieniem.

- Nie zrobię tego - odparła Tessa.

- Dlaczego? Bo obiecała pani, że zabierze tę tajemnicę do grobu? - Miękkosć zniknęła z tonu Jinx.

- Mam ku temu swoje powody.

Tessa podeszła do drzwi i Cissie spojrzała na nią z wyrzutem. Przewidywała, że tak może zakończyć się ta rozmowa.

- Rozczarowałam mnie, mamo. Myślałam, że masz w sobie więcej współczucia.

- Współczucie ma wiele twarzy.

Z tymi słowami Tessa zamknęła za sobą drzwi, pozostawiając Cissie i Jinx w mroźnym, zagraconym mieszkaniu na czwartym piętrze. Przez dłuższą chwilę żadna z nich nie odezwała się ani słowem.

- Tak mi przykro - powiedziała Jinx. - Nie chciałam poróżnić cię z matką, ale nie mogłam się powstrzymać. - Jej głos się załamał, a oczy zaszyły łzami. - Zawsze tak ją lubiłam i sądziłam, że ona też podziela moją sympatię.

- Oczywiście, że tak - pewnie odparła Cissie, widząc cierpienie w oczach Jinx i przypominając sobie ten sam wyraz na twarzy Tessy tuż przed wyjściem na korytarz.

- Możliwe, ale jak przyszło co do czego, Ben wygrał, a ja przegrałam. Jest w końcu jej bratem i chyba trudno ją winić, że pozostała wobec niego lojalna.

Jinx włożyła płaszcz, pochyliła się i uściskała Cissie.

- Kocham cię za to, co próbowałaś zrobić - powiedziała zmuszając się do uśmiechu. - Zaczekałabym na Noaha, ale muszę już uciekać.

- Noah jest w Albany - powiedziała głucho Cissie. - Poradzisz sobie sama?

Cissie pokiwała głową.

- A ty?

- Dam sobie radę.

Po wyjściu Jinx, Cissie przez parę minut wpatrywała się w metalowe, odrapane z farby drzwi. Jej myśli szaleńczo galopowały. Znajdowała się w cudzym mieszkaniu. Walka z właścicielem nie była jej walką, a problem między Jinx i Benem też nie był jej problemem. Czowała się zmęczona, tęskniła za córeczką. Była zmarznięta i zmartwiona sprzeczką z matką, i było jej niezręcznie tak otwarcie występować przeciwko Benowi. Większość ludzi uciekłaby od tego wszystkiego. Ale nie Cissie Gold.

Pokój w motelu był zimny, ogrzewany tylko przez kilka żeberek kaloryfera. Od czasu do czasu przepływała przez nie ciepła woda, której akompaniował chrobot skorodowanych rur. Na zewnątrz padały duże płaty śniegu. Noah podsunął koc pod głowę i wsłuchiwał się w wiatr, który tworzył pod oknem śniegowe zasy.

Przemarzył na kość, ale wiedział, że nawet ten pokój był prawdopodobnie cieplejszy niż mieszkanie Hildagów, gdzie nadal przebywała Cissie. Jego ciałem wstrząsnął dreszcz. Rzucił wzrokiem na drugą część łóżka, gdzie spała młoda kobieta owinięta w prześcieradło. Jej jasne włosy rozrzucone były na poduszce.

Nigdy przedtem nie oszukał Cissie. Nawet o tym nie pomyślał. W zasadzie, powiedział do siebie Noah, próbując usprawiedliwić swoje postępowanie, tej nocy też nie traktował tego w taki sposób. Po prostu tak się złożyło. Poleciał do Albany z samego rana, żeby dopilnować kilku spraw w senacie. Śnieg zaczął padać wczesnym popołudniem. Czas zleciał mu bardzo szybko. Kiedy szykował się do powrotu, sekretarka powiedziała, że zamknięto lotnisko.

Na początku bardzo się zmartwił, lecz nie mając innego wyboru, postanowił wykorzystać tę okazję i dokończyć pracę nad ustawą, mając zamiar przedłożyć ją na następnej sesji legislatury. W komisji znalazła się młoda blondynka, prawniczka, której ciało całkowicie uzasadniało jej skłonności do noszenia obcisłych ubrań i która wykazywała ogromną chęć współpracy z nowym senatorem przybyłym z Nowego Jorku.

O dziesiątej trzydzięci Noah zaproponował, żeby potraktowali ten dzień jak każdy inny i w końcu coś zjedli. Okazało się, że godziny otwarcia restauracji są dostosowane do czasu pracy i wszystkie miejsca, do których chcieli wejść, były pozamykane. Rita (nie pamiętał jej nazwiska) przypomniała sobie, że w motelu, w którym się zatrzymała, bar był otwarty co najmniej do północy. Wsiedli do jej volkswagena i pojechali. Po przełknięciu pieczonego kurczaka, przy drugiej filiżance kawy dotarło do Noaha, że nie ma gdzie przenocować.

Nie planował spędzenia nocy w Albany i nie zarezerwował pokoju w hotelu, w którym się zwykle zatrzymywał. Kiedy poszedł do recepcji, dowiedział się, że ze względu na pogodę wszystkie pokoje są zajęte. Wtedy Rita napomknęła, że w jej pokoju są dwa łóżka, więc mógłby u niej przenocować.

Brzmiało to zupełnie niewinnie i tak też wszystko się zaczęło. Dopiero w pokoju Rity poczuli się trochę niezręcznie. Postanowił przełamać skrępowanie. Rita poszła do garderoby, przyniosła butelkę whisky i zaproponowała Noahowi drinka. Nie odmówił. Później wypił następnego. Przy trzecim kieliszku Rita poczuła się tak odprężona, że przebrała się w szlafrok. Kiedy wyłoniła się z małej łazienki, z sumiennego pracownika przemieniła się w młodą, zmysłową kobietę. Noah nie myślał o konsekwencjach. W zasadzie w ogóle nie myślał, tylko po prostu reagował. Poszedł z nią do łóżka, kochali się i było mu bardzo przyjemnie.

Dopiero teraz, między napadami poczucia winy, zastanawiał się nad swoim alibi. Cissie wiedziała, że pojechał do Albany. Nie była pod telefonem, wobec tego nie mógł do niej zadzwonić. Ona też nie mogła. Z powodu śnieżycy zamknięto lotnisko. Nawet gdyby jej powiedział, że musiał zostać w hotelu, nigdy by go nie sprawdzała i nawet nie przyszłoby jej do głowy, że robi coś zdrożnego. Za bardzo mu ufała.

Rita przewróciła się na drugi bok i szczelnie owinęła prześcieradłem. Noah spojrzął na jej duże piersi pod tanim muślinem. Przyjrzał się jej długim nogom zgiętym w kolanach i podciągniętym aż do podbródka. Wiedział, że już nigdy nie będzie z nią spał. To był zwyczajny wybryk. Ale z uśmiechem pełnym zadowolenia musiał przyznać, że bardzo mu się on podobał. I wszystko poszło tak gładko.

Jinx nacisnęła na hamulec i zwolniła. Dojeżdżała do domu rodziców. Wcale nie cieszyła się na to spotkanie. Wciąż odkładała tę wizytę. Dopiero kiedy Cissie zgodziła się zostawić Alexis pod opieką rodziców Noaha, zwalniając ją z obowiązku opiekunki, i kiedy Kip oznajmił, że musi wyjechać, Jinx poleciała prywatnym samolotem do Phoenix.

Kiedy samochód wtoczył się na podjazd, pomyślała o Cissie, Noahu i ciężkiej atmosferze mieszkania Hildagów. Gazety w końcu podchwyciły tę historię i wkrótce wszystko potoczyło się zgodnie z planem. Goldowie odnieśli swoje zwycięstwo i mogli wrócić do domu, do normalnego życia.

Czyste zwycięstwo, pomyślała Jinx, jasne jak słońce. Zrobiono komuś krzywdę, zło zostało naprawione i sprawa była zamknięta.

Niestety, jej walka nie była ani tak prosta, ani tak łatwa do zdefiniowania. Problem w mniejszym lub większym stopniu dotyczył wielu osób, zawierał niebezpieczeństwo większego konfliktu. Dławiła się narastającym gniewem.

Kiedy otworzyła drzwi do domu Elliotów i weszła do holu, zdretniały jej plecy. Nigdy by nie uwierzyła, że to miejsce wyda jej się kiedyś obce, i że ludzie mieszkający w tym domu będą dla niej wrogami. Jednak tamtej nocy, kiedy Kip ujawnił jej całą prawdę o Benie, wszystko się zmieniło. Zmieniła się również Jinx.

Kate usłyszała, jak otwierają się drzwi i poszła przywitać swoją starszą córkę. Objęła ją ramionami. Jinx odwróciła w bok głowę i nie odwzajemniła uścisku matki. Po chwili w korytarzu ukazał się Hank.

- Miałaś wygodną podróż, kochanie? - zapytała Kate, uważnie obserwując córkę.

- Nie przyjechałam na śniadanie - zaczęła głosem nie wróżącym nic dobrego - tylko porozmawiać.

- O czym? - zapytał Hank trochę zdenerwowany jej obcesowością.

- O życiu i śmierci Benjaminu Rostova. Przenosząc wzrok z matki na ojca, zauważyła, że spodziewali się tego.

- Odkryłaś już, że Ben Rostov żyje? - zapytała Kate głosem, który nie wyrażał żadnych emocji.

- A może nie powinnam była się o tym dowiedzieć?

- Mieliliśmy nadzieję, że nigdy się nie dowiesz - powiedział Hank.

- Dlaczego mi o wszystkim nie powiedzieliście? - Jinx starała się nie podnosić głosu.

Kate przekroczyła próg i podeszła do krzesła, wykorzystując te kilka sekund na uporządkowanie myśli. Wiedziała, że skończył się czas udawania, ale część jej umysłu nie mogła znieść faktu, że naga prawda dotarła do córki.

- Na początku - zaczęła - nie powiedziałam ci o tym dlatego, że nie chciałam rozgrzebywać swoich ran. Później dlatego, że nie chciałam tobie zadawać bólu.

- Ale teraz cierpię - odparowała Jinx.

Kate roześmiała się, ale nie był to radosny śmiech.

- Wcale mnie to nie dziwi - powiedziała z goryczą. - Porzucił ciebie i mnie i ani razu nie obejrzał się za siebie.

- Zaprzecza nawet, że cię znał - odparła Jinx, obserwując, jak jej słowa przeszywając powietrze niczym strzały wbijają się w Kate, zadając bolesne rany. - Twierdzi, że nigdy cię nie poślubił. Ja natomiast jestem dzieckiem jakiegoś innego, przypadkowego mężczyzny.

Kate spuściła wzrok. Kiedy znów się odezwała, jej głos był tylko o ton głośniejszy od szeptu.

- Ależ on się ze mną ożenił i dał ci życie. Wówczas twierdził nawet, że mnie kocha.

Jakaś część Jinx skurczyła się boleśnie na dźwięk smutku w głosie matki, ale szybko otrząsnęła się ze współczucia, zdominowana przez swoje cierpienie.

- Ty kiedyś też twierdziłaś, że mnie kochasz! Kate uniosła głowę.

- Ależ tak - powiedziała. - Zawsze cię kochałam i zawsze będę cię kochać, bez względu na to, co powiesz i co zrobisz.

- Miłość pociąga za sobą uczciwość i zaufanie. Nigdy nie byłaś ze mną uczciwa i oczywiście nie chciałaś mi zaufać. Nie wiesz, co to jest prawdziwa miłość!

- Jak śmiesz tak się odzywać do swojej matki? - Hank podszedł do krzesła, na którym siedziała Kate, i w opiekuńczym geście objął ją ramieniem. - Ona na to nie zasługuje!

- A jak ty możesz jej bronić? Mówiąc bardziej otwarcie, jak mogłeś dopuścić do tego, żeby mi to zrobiła? - krzyczała Jinx. - Straciłam całe lata na marzeniach o ojcu. Robiłam z siebie idiotkę, a wy spokojnie się temu przypatrywaliście. Co gorsza, przez swoje kłamstwa jeszcze żeście mnie do tego zachęcali. Czy można to nazwać miłością? Ja to nazywam okrucieństwem.

- Kocham cię - powiedziała Kate. - I jego też kochałam - dodała odpowiadając na słowa Jinx. - Bardzo go kochałam.

- A co z człowiekiem, o którym mówiłaś, że jest moim ojcem? Jego też kochałaś? Czy może przez wszystkie te lata okłamywałaś go tak samo jak mnie?

Kate powoli zwróciła głowę w stronę Hanka. Miała wilgotne oczy, ale jej głos nawet nie zadrżał.

- Kocham Hanka, bardzo go kocham. I nie widzę, żeby jedna sprawa miała z drugą cokolwiek wspólnego. Mówi się, że jest wiele form miłości i ja w to wierzę - powiedziała, czując, jak atmosfera w pokoju robi się coraz bardziej zimna.

- A co z miłością matki do córki? - zapytała Jinx. - Ona też przyjmuje różne formy? Czy chcesz powiedzieć, że kochasz Heather inaczej niż mnie?

- Jesteście innymi ludźmi - odparła Kate, uważnie przypatrując się Jinx.

- Dobrze! - Naraz Jinx zaczęła wyrzucać z siebie słowa z szybkością karabinu maszynowego. - Heather dorastała ze swoimi prawdziwymi rodzicami. Ja - pod skrzydłami

mężczyzny, który mnie kochał, ale nie był moim prawdziwym ojcem, i pod opieką matki, która twierdzi, że mnie kochała, jednak okłamywała mnie na każdym kroku!

- Sądziłam, że dobrze robię - usprawiedliwiała się Kate, próbując zatamować falę gniewu przepelniającą córkę. - Hank cię kocha. Ja również. Dlaczego mam teraz rozmawiać o człowieku, który nas obie porzucił?

- Bo mam prawo wiedzieć! - Jinx zacisnęła zęby i jej usta zacisnęły się w wąską linię. - Nawet gdy odkryłam prawdę, ciągnęłaś swoje kłamstwo. Budowałaś mit Benjamina Rostova i owdowiałej panny młodej.

- Robiłam to, żeby cię chronić - upierała się Kate.

- Robiłaś to dlatego, żeby chronić samą siebie! Jinx krążyła po pokoju z rękami w kieszeniach.

Hank chciał przerwać tę rozmowę, powiedzieć coś, co zdjęłoby klątwę wiszącą nad jego żoną. Czuł się tak, jakby cały świat nagle zwałił się na jego barki. Wiedział, że to wszystko nie zaczęło się w tej chwili, tylko w dniu narodzin Jinx, kiedy to on, a nie Ben, stał przy łóżku Kate.

- Dlaczego nie powiedzieliście mi prawdy, kiedy jechałam do Nowego Jorku? - Jinx skierowała pytanie do obojga. - Powiedziałam wam, że jadę szukać jego rodziny. Myśleliście, że będę szukać przez dwa tygodnie, a potem dam sobie spokój?

Oczy Kate zachmurzyły się i Jinx dostrzegła, jak w głębokim błękitcie tęczówek zapalają się płomienie.

- Wiedziałam, że nie zaprzestasz poszukiwań, lecz chciałam, żeby to on ci powiedział, kim jest! - wyjaśniła Kate, nie mogąc powstrzymać się od krzyku.

- To ty powinnaś mi powiedzieć, kim on jest! Albo ty! - odparła Jinx, wskazując palcem na Hankę.

- Dzwoniłam do niego, kiedy tam pojechałaś - mówiła Kate. - Błagałam go, żeby nawiązał z tobą kontakt, ale sądzę, że nie potrafi tego zrobić.

- Wobec tego tworzycie doskonałą parę, bo z tego co widzę, ty również nie potrafisz tego zrobić.

- W porządku - odpowiedziała Kate tonem, który zapowiadał zmianę taktyki. Wystarczająco długo już się broniła. - Okłamałam cię. Przyznaję się do winy. Co chcesz, żebym teraz zrobiła? Rzuciła się przed tobą na kolana i błagała o litość? Czego chcesz? Żebym ci powiedziała, że jeśli zdarzyłoby się to raz jeszcze, postąpiłabym inaczej? Bardzo możliwe, ale to niczego nie zmienia. Ben Rostov był i jest egoistą. Boleśnie mnie zranił i czy wierzysz w to, czy nie - zrobiłam to wszystko tylko dla twojego dobra. Wygląda na to, że ciebie też dotknął i skoro nie możesz na nim się wyżyć, postanowiłaś nas za to ukarać.

- On nigdy nie twierdził, że mnie kocha, a ty to robiłaś - odparowała Jinx. Jej emocje pozbawione kontroli pędziły jak ekspresowy pociąg. - Zaprzeczył, że jestem jego dzieckiem, i za to mi zapłaci. Ale wy zadaliście kłam prawdzie i też musicie ponieść karę. Nie chcę was więcej widzieć!

Kate patrzyła na córkę zupełnie zszokowana. Podeszła do niej bliżej z wyciągniętą ręką, ale Jinx odsunęła się od niej tak, jakby jej palce były z kolczastego drutu.

- Chyba nie wiesz, co mówisz - powiedział Hank.

- Jestem świadoma każdego słowa. - Odwróciła się na pięcie i nie oglądając się za siebie, wyszła trzaskając drzwiami.

Hank ruszył za nią, ale Kate chwyciła go za ramię.

- Nie rób tego - powiedziała cicho. - Niech tak zostanie.

Kate siedziała na krześle roztrzęsiona, zmieszana, przybita i targana wyrzutami sumienia, nie wierząc, że Jinx naprawdę dotrzyma słowa. Potrzebuje czasu, pomyślała. Tygodnia.

Może i miesiąca. Najwyżej dwóch. Później wszystko wróci do normy. Znowu porozmawiają i wszystko będzie jak dawniej. W końcu ona, Jinx, Hank i Heather byli jedną rodziną i cokolwiek się stanie, na zawsze będą ze sobą.

- Pana miejsce jest gdzie indziej!

- Niby dlaczego? - zapytał Noah.

- Bo na stałe mieszka pan w kamienicy na Village.

Brian Frey prawie krzyczał. Tylko obecność prasy powstrzymała go od rzucenia się z pięściami na Noaha. Wszystkie miejscowe gazety i lokalne stacje telewizyjne wysłały swoich ludzi, żeby zrelacjonowali tę historię. Była to standardowa nowojorska potyczka właściciela domu z lokatorami, z tym wyjątkiem, że lokatorem był senator stanu z ciężarną żoną.

- Może moje miejsce jest gdzie indziej, ponieważ jestem biały, mówię po angielsku i potrafię walczyć o swoje prawa? - zapytał Noah.

- To nieprawda! Robi pan niepotrzebne zamieszanie!

- Panie Frey - przerwał im jeden z dziennikarzy telewizyjnych, podsuwając mikrofon pod nos rozjuszonego właściciela. - Dlaczego upłynął prawie miesiąc, zanim odpowiedział pan na telefony senatora Golda.

- Nie było mnie w mieście.

- Nie było pana w mieście, kiedy dzwonił Ramon Fuentes - wytknęła Cissie. - Później zostawiliśmy wiadomość, że dzwonił Noah Gold. Nagle zjawił się pan w mieście.

- Czysty zbieg okoliczności.

- Może pan mówić, co chce, lecz nie wierzę w ani jedno słowo - powiedziała Cissie, kuląc się w rogu tapczanu Hildagów i ostentacyjnie owijając się płaszczem.

- Może mi pani nie wierzyć - odpowiedział Frey, którego twarz w jednej chwili zrobiła się czerwona - ale próbowałem

dokonać napraw w tych mieszkaniach. Nigdy nie było nikogo w domu.

- To dziwne - skomentowała Cissie, ukazując operatorom kamery wystający brzuch. - Przez cały miesiąc nie ruszałam się stąd ani na krok. Przyjaciele dostarczali mi żywność i przychodzili mnie odwiedzać i ani na minutę, czy to w dzień, czy w nocy, nie opuściłam tego miejsca. Niestety, nie zdarzyło mi się otworzyć drzwi hydraulikowi bądź innemu robotnikowi, któremu podobno zlecił pan wykonanie napraw. Jedyne ludźmi, którzy pukali do tych drzwi, byli sąsiedzi, lokatorzy z chorymi dziećmi lub chorzy emeryci potrzebujący lekarstw i żywności.

- Panie Frey - jeden z reporterów telewizyjnych przeszedł obok Cissie i stanął naprzeciwko Briana Freya. - Czy sądząc z pańskiej obecności możemy się spodziewać, że w tym miesiącu wywiąże się pan z obowiązków wobec lokatorów, czy też zdecydował się pan na wystąpienie w sądzie? Jestem pewien, że w tym przypadku czekają na pana surowe kary, może nawet pobyt w więzieniu.

Mikrofony i kamery rejestrowały każdą sylabę, każde spojrzenie i każdy szczegół. Noah i Cissie zepchnęli Freya do rogu i nie chcieli go wypuścić, dopóki nie wypowie tego magicznego słowa.

- Zawsze jestem przygotowany do wypełniania zobowiązań względem lokatorów - odparł Frey z odpowiednią nutą oburzenia.

Noah rzucił mu ostrzegawcze spojrzenie.

- W zasadzie, żeby wynagrodzić im wszystkie niedogodności, postanowiłem nie ścigać czynszu za ten miesiąc.

Noah pokiwał głową z aprobatą.

- I namawiam wszystkich właścicieli domów w naszym mieście, żeby zrobili to samo.

- Narodziny gwiazdy - wymamrotała Cissie pod nosem, ku uciesze ekip prasowych.

- Kiedy wprowadzi się pan z powrotem do domu, panie senatorze?

- Na pewno nie przed naprawieniem awarii - odpowiedział Noah, zmywając pełen zadowolenia uśmiech z twarzy Freya.

- Skąd ta zwłoka? Na pewno bardzo chce pan znów zamieszkać z żoną i córeczką.

- To zależy od tego, na ile starczy panu zapachu - odparował Noah. - Ma pan równo tydzień na uporządkowanie opłakanego stanu tego budynku. W przeciwnym razie wezwiemy pana na konferencję prasową. Tylko że nasze następne spotkanie odbędzie się na sali sądowej!

Frey jak bomba wypadł z mieszkania otoczony tłumem reporterów, obiektywami kamer i gapiami. Cissie śmiała się co najmniej przez dziesięć minut.

- Wróci, i to szybko. I tym razem nie sądzę, żeby ociągał się z dokonaniem wszystkich napraw - powiedziała Cissie.

- Nie obchodzi mnie, kiedy wróci - odpowiedział Noah - ale ty już dzisiaj jedziesz do domu. Koniec tego przedstawienia, pani Frances Rebecca.

- A ty zostajesz?

- Tak.

- Wobec tego ja też.

- Jest ci zimno.

- Tobie też.

- Ale ty jesteś w ciąży.

- Jeśli tak bardzo się o mnie troszczysz, to chodź tutaj i mnie rozgrzej - powiedziała, zapraszająco rozchylając poły płaszcza.

- Oczywiście, że się troszczę. Wysyłam cię do domu - odparł Noah, siadając obok żony.

- Ale najpierw daj mi buzi na pożegnanie.

Pociągnęła go za klapy marynarki, przechylając głowę, dopóki nie natrafiła na jego usta. Kiedy się całowali, jej ramiona oplótły jego szyję. Osunęła się na tapczan i pociągnęła go za sobą, ukrywając się w stercie koców.

Namiętnie, z uczuciem niedosytu przesuwali dłońmi po swoich ciałach w poszukiwaniu wszystkich sekretnych miejsc. Było im ze sobą tak dobrze. Wiedzieli, jak siebie wspierać, jak sobie pomagać i jak się uzupełniać. Ale przede wszystkim potrafili tak wspaniale wzbudzać w sobie pożądanie.

Dla Cissie każda chwila miłości była najwspanialszą, najbardziej podniecającą i oczekiwaną. Całą duszą zaangażowana była w pobudzającą, wszechogarniającą wędrówkę do ekstazy.

- Nie dbam o to, jaka jesteś miękka i rozkoszna - poderwał się Noah, kiedy było już po wszystkim. Przesunął nosem po jej szyi. - Wysyłam cię do domu.

Zimne nocne powietrze musnęło jej nagą skórę. Otworzyła powoli oczy i od razu poraził je widok zardzewiałych rur uwalanych czarnym smarem. Nogi ocierały się o rozkładany stolik do kawy należący do Hildagów. W chwili uniesienia niemalże zapomniała, gdzie się znajduje, ale otaczające sprzęty szybko jej o tym przypomniały.

- Nigdzie mnie nie wysyłasz - odparła, szukając jego ust i odnajdując swoją bezpieczną przystań. - Jestem w domu.

- Odnieśliście z Noahem prawdziwe zwycięstwo. Wszyscy o tym mówią. Cissie uprzejmie się uśmiechnęła, chociaż powodem jej wizyty w biurze Bena

Rossa nie byłoby w mieszkaniu Hildagów.

- Wszystko bardzo dobrze wyszło - powiedziała. - Budynek jest teraz prawie jak nowy. Hildagowie wrócili do swojego domu, a Goldowie do swojego.

Ben siedział za biurkiem i zabawiał się drewnianym labiryntem, który dostał w prezencie od klientki. Wiedział, że Cissie nie przyszła do niego na pogaduszki, ale coś mu podpowiadało, żeby nie przyspieszać toku tej rozmowy. - Jedna rzecz jest pewna - powiedział sam zdziwiony swoim zdenerwowaniem - całe to zamieszanie powinno pomóc Noahowi w robieniu kariery.

- Na pewno mu nie zaszkodzi.

- Cissie, nie chcę być niegrzeczny, ale jestem bardzo zajęty i chociaż zawsze cieszę się naszymi spotkaniami, wybrałaś tym razem nie najlepszą porę.

- Nie pomyślałam! Oczywiście, że jesteś zabiegany, kręcąc się wokół nowych klientów i próbując nadrobić straty po wycofaniu konta Kiplinga. To musiał być dla ciebie szok! Jak do tego doszło?

- Pieniądze często przechodzą w inne ręce - powiedział Ben i na znak zniecierpliwienia rzucił na stół części łąmigłówki. - To nic wyjątkowego.

- Rany! Jaki ty jesteś spokojny facet! - gwizdnęła Cissie. - Gdybym to ja straciła trzydzieści pięć milionów dolarów, z pewnością bardziej bym się tym przejęła.

- Cissie, odnoszę wrażenie, że istnieje jakiś konkretny powód twojej wizyty. Dlaczego od razu nie przejdziesz do rzeczy?

- Okay - powiedziała tak zwyczajnym tonem, jakby zapytał ją o pogodę. - Dlaczego ty nie przyznasz, że jesteś ojcem Jinx Kipling?

Ben natychmiast wstał z krzesła, a na jego czole pojawiły się głębokie bruzdy.

- O czym ty mówisz?

- Słuchaj - zaczęła - mam zamiar zaoszczędzić nam zabawy w kotka i myszkę, podając ci kilka faktów. Kiedy byłeś w Berlinie, poznałeś, zakochałeś się i poślubiłeś

fantastyczną kobietę o nazwisku Kate Freedman. Mieliście dziecko. Nie wyszło wam to małżeństwo i postanowiłeś odejść. Jedynymi ludźmi wiedzącymi o twojej „pomyłce” byli moi rodzice, którzy przysięgli, że dochowają tajemnicy. Kiedy spotkałeś Sylvie, doznałeś przebłysku sumienia i opowiedziałeś jej o Kate, ale zapomniałeś wspomnieć o dziecku. Sylvia zaszła w ciążę, urodziła dziewczynkę i rodzina wymusiła, żebyś dał jej imię mojej babci. Zastosowałeś się bez zastrzeżeń do tego żądania i voila! Dwie Frances Rebecki mają tego samego ojca.

Cissie odgadła większość z faktów swojego monologu, ale sądząc z popłochu w oczach Bena, jej improwizacja nie rozminęła się z prawdą.

- Nie wiem, skąd zaczerpnąłeś te informacje lub kto ci je dostarczył, ale nie mam ochoty dyskutować na ten temat.

- Tak jak nie miałeś ochoty podyskutować na ten temat z Jinx w czasie przyjęcia?

- Skąd o tym wiesz?

- Dzięki jakiemuś cudownemu zrządzeniu losu Jinx Kipling jest moją najlepszą przyjaciółką i jak ostatnio się dowiedziałam, także kuzynką.

- Ta dziewczyna jest nawiedzona.

Ben podszedł do okna i spojrzał na Trzecią aleję. Jego biuro mieściło się w dużym, oszklonym budynku kształtem przypominającym wieżę. W tym momencie czuł się w nim jak w więzieniu.

- Wiem, że trudno byłoby ci wyjaśnić to wszystko cioci Sylvii i Becce - powiedziała Cissie, chcąc złagodzić swoje natarcie. - Nie proszę cię, żebyś to robił. Chcę tylko, żebyś się przyznał przed Jinx, że jesteś jej ojcem. Nie masz pojęcia, ile to dla niej znaczy. Dla mnie też.

Ben odwrócił się i spojrzał na siostrzenicę. Jego oczy były zimne i niedostępne.

- Nie wiem, kim jest Jinx - odpowiedział z nutą groźby w głosie - ale jej szczeniackie oskarżenia stają się coraz bardziej dokuczliwe. Jeśli jest twoją przyjaciółką, powiedz jej, żeby dała sobie spokój.

- Albo? - Cissie ani trochę nie dała się zastraszyć. - Albo zaskarżysz ją do sądu? Niczego bardziej nie pragnę. Wszystko by się wydało i co wtedy byś zrobił?

- Najwyższa pora, żebyś skończyła tę rozmowę - powiedział podchodząc do drzwi i otwierając je na oścież.

Cissie stała przed nim kilka sekund, nic nie mówiąc. Kiedy się odezwała, miała smutny, przepełniony goryczą głos.

- Zawsze uważałam cię, oprócz mojego ojca, za najmilszego, najbardziej przystojnego i najwspanialszego mężczyznę na świecie. Myślałam, że byłeś z gruntu prawy i uczciwy, i gdy zrobiłeś jakiś błąd, potrafiłeś się do niego przyznać. Sądziłam, że nieobce ci były takie cechy jak współczucie, uprzejmość i zrozumienie. Myślałam, że cię kocham - powiedziała przechodząc obok Bena i udając się w stronę holu. - Teraz widzę, jak bardzo się myliłam.

Kiedy Cissie postanowiła sobie, że czegoś dokona, zazwyczaj jej się to udawało i może dlatego sprawa Jinx i Bena wydawała jej się aż tak frustrująca. Chciała tylko, żeby ktoś zaakceptował Jinx jako członka rodziny. Andrew wyjechał z miasta w interesach, w przeciwnym razie zwróciłaby się do brata. Wahala się z powiadomieniem Molly i Herba bądź któregoś z ich dzieci ze względu na swoją matkę. Wiedziała, że żadnych delikatnych spraw nie należy powierzać Lillie, a rodzina Bena zupełnie odpadała. Jedyłą nadzieją była dla niej Frankie.

- ...potem mam zamiar pojechać do Londynu, żeby zacząć następny film. Nie zgadniesz, kto jest reżyserem?

- Chyba nie - powiedziała Cissie, wysyłając Alexis do drugiego pokoju, by mogły przez chwilę swobodnie porozmawiać.

- Jose Banta. Pamiętasz go? Więc reżyseruje swój pierwszy duży film i wybrał mnie na swoją gwiazdę! Czy to nie fantastyczne?

Entuzjazm Frankie był tak zaraźliwy, że Cissie „odłożyła na półkę” cel swojej misji, by dzielić z kuzynką jej radość.

- Cieszę się, Frankie - powiedziała szczerze zadowolona. - Widzę, że naprawdę zaczyna ci się dobrze układać.

- To Luke Maddox - odparła z prawie religijnym uniesieniem - przewrócił do góry nogami całe moje życie. Obiecał, że odkryje, kto stoi za wciągnięciem mnie na czarną listę, i zrobił to. Obiecał, że znajdzie mi pracę, i znalazł. Powiedział, że jeśli wezmę kilka drugoplanowych ról, to wkrótce wyląduję na szerokim ekranie, i miał rację. To jest to! Gwiazdorstwo! Czuję to!

Cissie starała się dzielić podziw Frankie co do błyskotliwości Maddoxa, ale przychodziło jej to z trudem. Nigdy nie rozumiała, dlaczego jej kuzynka była tak oddaną kapłanką bożka o nazwisku Luke Maddox. W końcu bałwochwalczy podziw Frankie zaczął działać jej na nerwy.

- Tak dobrze współpracowało ci się kiedyś z Jose - powiedziała, starając się zmienić obiekt zainteresowań - to na pewno będzie dla was wspaniałe doświadczenie.

- Luke powiedział, że jeśli ten film się uda, będę prawdziwą sensacją i kasową aktorką.

- Mam nadzieję, Frankie. Wiem, jak dużo to dla ciebie znaczy.

Frankie energicznie pokiwała głową. Kiedy Cissie dolewała świeżej kawy, Frankie wyjęła lusterko i przyjrzała się swojemu odbiciu. Cissie nigdy wcześniej nie widziała, żeby to robiła. Nigdy specjalnie nie zależało jej na wyglądzie i

było to częścią jej uroku. Właściwie dopiero teraz dostrzegła, że Frankie jak na poranną kawę w towarzystwie kobiety w bardzo zaawansowanej ciąży i małego brzdąca była za mocno umalowana.

- Frankie - zaczęła Cissie, w końcu decydując się na rozwinięcie tematu. - Chciałabym cię prosić o przysługę.

- Wal! Nie ma sprawy. Wiesz przecież, że wszystko bym dla ciebie zrobiła, Gotowość Frankie bardzo wzruszyła Cissie, ale dwa gorzkie doświadczenia zdołały ją już nauczyć, że ta specyficzna sytuacja wystawiała na ciężką próbę wierność i lojalność jej bliskich.

- Najpierw muszę opowiedzieć ci pewną historię.

Zrelacjonowała jej historię Jinx, tylko trochę koloryzując, w nadziei, że Frankie najprędzej ze wszystkich zareaguje szerokim otwarciem ramion. Jakkolwiek by na to patrzeć, pomyślała Cissie, Frankie latami nie widywała ojca. Też została oszukana, a nawet w pewnym sensie zabroniono jej dostępu do własnego ojca. Dopiero ostatnio udało się Sterlingowi nawiązać prawdziwie ojcowski kontakt z córką. Co by było, gdyby Sterling był tak samo uparty jak Ben?

- Co chcesz, żebym zrobiła? - Frankie zadała to pytanie tonem, z którego Cissie nic nie mogła wyczytać.

- Chciałabym sprowadzić tutaj Jinx. W towarzystwie Andrew, Noaha, no i oczywiście przy tobie, czułaby się jak członek rodziny.

- Przecież nim nie jest.

Cissie o mało nie doznała szoku.

- Nie wierzę własnym uszom.

- Jeśli wujek Ben mówi, że nie jest jego córką, to nie mam zamiaru udawać, że jest inaczej.

- Ależ ona jest jego córką. To prawda, Frankie.

Frankie wstała z kanapy, przeczesła palcami włosy i zbadała w najbliższym lustrze stan swojego makijażu.

- Nie będę przeciwko Benowi - powiedziała zdecydowanym tonem.

- Dlaczego? - zapytała Cissie i nagle odpowiedź sama przysła jej do głowy: „bo nic z tego nie będziesz miała”.

Frankie odwróciła się i Cissie dostrzegła na jej twarzy bojaźliwe spojrzenie. Przez chwilę wydawało jej się, że ujrzała starą, dobrą Frankie. Jednak nie miała racji.

- Kiedy w ostatniej chwili odwołałam przyjazd na ślub Becki, była wściekła. W zasadzie od tamtej pory nie odezwała się do mnie ani słowem. Ben też nie był szczęśliwy z tego powodu i znalazłam się u niego na czarnej liście. Ale kiedy usłyszał o filmie „Księżna z ulicy Portobello”, w którym gram, natychmiast zawarł kontrakt ze znaną firmą produkującą kosmetyki na wypuszczenie serii „Księżna z ulicy Portobello”. Ma lansować mój film. Robię dla nich teraz reklamówki i dostaję za to duże pieniądze.

- I obawiasz się, że jeśli spotkasz się u mnie na obiedzie z jego córką, do której za żadne skarby nie chce się przyznać, Ben odwoła całą sprawę. O to ci chodzi?

- Trafiłaś w dziesiątkę! - Frankie uniosła ramiona, podniosła brodę i odwróciła wzrok od Cissie. - Poza tym, dlaczego miałabym robić coś takiego dla kogoś, kogo nie widziałam nawet na oczy?

- Bo ja cię o to proszę - odparła Cissie.

- Nie graj na moich uczuciach - odparowała Frankie. - Prosisz mnie, żebym zaryzykowała swoją karierę dla jakiejś przybłedy, która pojawiła się w twoich drzwiach i nakarmiła cię tą patetyczną historią?

- Ona nie jest przybłędą - nalegała Cissie, ogarnięta coraz większą desperacją. - To córka Bena i nasza kuzynka.

- Słuchaj - powiedziała Frankie i nadal unikając wzroku Cissie mówiła do niewidzialnych słuchaczy - moja kariera jest dla mnie bardzo ważna. Nie mam rodzinnego interesu, z

którego mogłabym żyć, ani przystojnego męża z kapitałem i lukratywną pozycją, na którym mogłabym polegać. Wszystko, co mam, to siebie, i nie zamierzam odsuwać sobie sprzed nosa pieniędzy i możliwości zostania gwiazdą tylko dlatego, że mnie o to prosisz!

Jeszcze długo po tym, jak Frankie przemaszerowała przez pokój i trzasnęła za sobą drzwiami, Cissie usiłowała zrozumieć jej zachowanie. Spodziewała się pytań i początkowego oporu, ale szczerze mówiąc, wierzyła, że Frankie w końcu ją zrozumie i postąpi zgodnie z jej życzeniem. Jednak Frankie ponad wszystko stawiała dbałość o swoje interesy, nawet ponad lojalność. Cissie nie znała jej od tej strony i miała nadzieję, że nigdy już się z nią nie zetknie.

Ciało Jonathana było ciężkie jak worek kartofli. Jego skóra, zroszona potem pożądania, przykleiła się do niej tak, że czuła się jak wilgotny, nie dosuszony ręcznik. Jego twarz zagłębiła się w miękkiej fałdzie jej szyi mimo jej nie ukrywanego i oczywistego braku entuzjazmu. Nalegał na pieśczoty, pokrywając ją delikatnymi, namiętymi pocałunkami. Mocno zacisnęła zęby i jej szczęki znieruchomiały w grymasie obrzydzenia.

- Złaż ze mnie - powiedziała próbując wydostać się spod jego ciężaru.

- Podoba mi się tutaj - odparł nie zaprzestając pieśczot. - Jesteś ciepła i miękka.

Jej cierpliwość, i tak już ograniczona, zupełnie się wyczerpała. Wyśliznęła się na bok, zsunęła się z łóżka i narzuciła nocną koszulę. Jonathan przewrócił się na plecy, podłożył ręce pod głowę i przyglądał się swojej żonie, którą poślubił prawie dwa lata temu.

- Lepiej się pospiesz - powiedział sarkastycznie - i szybko wejdź pod prysznic, zanim mój obleśny zwierzęcy brud przylgnie do twojego niepokalanego ciała. W końcu jeśli ktoś się podkradnie za twoimi plecami i zacznie węszyć, poczuje, że rzeczywiście się pieprzysz. Co gorsze, pomyśli nawet, że to lubisz!

- Nie rób z siebie idioty - powiedziała Becca tonem obrażonej matrony. - Mówiłam ci, że boli mnie głowa, ale musiałeś to na mnie wymusić.

- Zawsze cię boli głowa - odpowiedział. - A gdybym tego nie wymusił, to byłbym kandydatem roku do instytucji celibatu. I gdybym dostawał jednego dolara za każdym razem,

kiedy źle się czujesz z powodu jakiejś gównianej choroby, byłbym już bogatym facetem.

- Biorąc pod uwagę rozwój wypadków, to chyba jedyny sposób, żebyś był bogaty - odpowiedziała Becca.

Jonathan usiadł na łóżku i założył ręce za głowę.

- Och! Pozwól, że zgadnę. Byłaś na lunchu z tatusiem Maxem i w czasie deseru zagroził, że mnie wyleje, jeśli nie będę dobrym chłoptasiem. Mam rację? - zapytał, a jego usta wykrzywiły się w pogardliwym uśmiechu. - A może obiecałaś, że wyjdiesz z siebie i staniesz obok, żeby sprowadzić mnie na właściwą drogę.

- No dalej, śmiej się! Pewnego dnia naprawdę cię wyrzuci - powiedziała Becca - i co ze sobą zrobisz?

- Stoczę się do rynsztoku - odparł unosząc głowę. - I prawdopodobnie będę bardziej szczęśliwy niż teraz.

- Jonathan! Uspokój się! Musi wreszcie do ciebie dotrzeć, że tylko dzieci się zabawiają. Dorośli pracują na życie.

- Dzieci właściciela nie pracują na taśmie, tylko w biurze. Gdyby mój stary zlecił mi coś poważnego, poczułbym się ważny i pewnie bardziej by mi się to podobało.

- Twój problem polega na tym, że jesteś zepsutym bachorem, i chcesz, żeby wszystko kręciło się wokół twojego nosa.

- Nie, nie wszystko - powiedział kręcąc głową. - A skoro już mówisz o tym, czego chcę... - zawiesił głos. - Raz, chociaż raz w życiu chcę usłyszeć, jak jęczysz i skowyczysz, i ruszasz tyłkiem w łóżku jak prawdziwa kobieta. Chociaż raz chcę cię dobrze zerznąć, tak, żebyś poczuła!

Becca obrzuciła go pełnym pogardy wzrokiem.

- Znowu odczuwasz potrzebę dania upustu swojej lubieżności.

- Ja zawsze odczuwam potrzebę, moja droga żono. To tylko ty nic nie czujesz. Wygrzebał się spod pościeli i

przetoczył się na koniec łóżka. Zanim zdążyła się zorientować, wyciągnął rękę i chwycił ją za dłoń.

- Może tym razem ty powinnaś spróbować zaspokoić moją męskość. Kto wie, może wzięłoby to nas oboje.

- Jesteś grubiański - powiedziała Becca, wyrywając dłoń. Dumnie odrzuciła do tyłu głowę i pomaszerowała do łazienki.

- A ty, moja wszechmocna, świątobliwa westalska dziewico, jesteś nudna!

Becca błyskawicznym ruchem zamknęła drzwi łazienki, przekręciła klucz w zamku, włączyła prysznic i uciekła pod parasol jego kojącego ciepła. Zaatakowała gąbką skórę, mydląc, szorując i pocierając ją aż do uzyskania uczucia czystości. Dwa razy wymyła szamponem włosy, kilkakrotnie je spłukując do chwili, gdy nie było na nich nawet pojedynczego bąbelka piany. Stała pod prysznicem bardzo długo, pozwalając gorącej wodzie spływać po skórze dotąd, dopóki nie zaróżowiła się i nie zaczęła się marszczyć.

Podczas okresu narzeczeństwa Becca zdecydowała się dopuścić Jonathana do pieszczot, jednak ich sporadyczne zbliżenia ograniczały się do międlenia na przednim siedzeniu samochodu lub szybkich obłapek na kanapie rodziców. Rzadko pozwalała sobie na bycie z nim sam na sam. Kiedy zostawali sami, okrywała się rumieńcem, protestowała i zalewała się łzami, dopóki Jonathan się nie wycofał w obawie, że ją skrzywdzi albo obrazi. Wyobrażała sobie, że po ślubie zamienią wprawdzie miejsce miłości na łóżko, jednak to ona będzie kontrolowała częstotliwość i intensywność współżycia.

Okazało się, że się pomyliła. Apetyty cielesne Jonathana oscyływały na krawędzi choroby. Uwielbiał się kochać i tylko przez symulowanie ataku migreny lub innych wymyślonych chorób, bądź też udając głęboki sen spowodowany krańcowym wyczerpaniem, Becca zdołała ograniczyć

spółkowanie do trzech razy w tygodniu, co i tak było wielkim wyczynem.

Dla Becki cała ta sytuacja przypominała sportową rozgrywkę. Jak w większości turniejów, osiągała minimalną przewagę tylko dlatego, że używała swojej ostatecznej broni. Była nią wystudiowana, całkowita obojętność. Jonathan rozpaczliwie pragnął uczynić ją szczęśliwą. Seks był dla niego największym spełnieniem. Ale nawet kiedy przez przypadek znajdowała radość we współżyciu, co wprawdzie rzadko, ale jednak się zdarzało, nigdy nie dała mu satysfakcji obserwowania tej radości. Sądziła, że jeśli już raz by ją zaspokoił, mógłby pomyśleć, że ma nad nią całkowitą kontrolę, a na to nikomu nigdy by nie pozwoliła.

Wyszła spod prysznic, owinęła się ręcznikiem i stojąc przy umywalce przyjrzała się w lustrze swojemu odbiciu. Jej twarz miała kolor purpury, a kosmyki włosów opadały na ramiona. Kiedy suszyła włosy, skupiła się na swoim wyglądzie, badając każdy rys twarzy z krytyczną skrupulatnością. Przekreśliła głowę w bok i wessała policzki, żeby sprawdzić, jak wyglądałaby z głębokimi dołkami. Uniosła brodę i palcem podciągnęła czubek nosa, zastanawiając się, czy drobna poprawka plastyczna nie dodałaby jej urody. Wydeła usta i przeciągnęła językiem po zębach, próbując nadać swoim wargom bardziej pełny kształt. Wsuszyła włosy i energicznie je wyszczotkowała, jakby chcąc je ukarać za to, że są delikatne i proste, a nie gęste i falujące. W końcu zarzuciła na siebie długą, nocną koszulę z jedwabiu.

Kiedy z powrotem weszła do sypialni, Jonathan, tak jak się spodziewała, głęboko spał. Podeszła na palcach do łóżka i ostrożnie wśliznęła się pod kołdrę, żeby przypadkiem się nie obudził. Ostatnią rzeczą, której chciała, była następna

dyskusja na temat, jak określał to Jonathan, jej drobnomieszczańskie purytanizmu.

Leżąc obok niego i wsłuchując się w jednostajny, miarowy oddech męża, Becca zastanawiała się, dlaczego pałała do niego aż taką niechęcią. Pomimo kłótni i awantur wiedziała, że naprawdę ją uwielbiał i na swój sposób też go kochała. Jednak ciągle ganiła go tak samo jak jego ojciec i manipulowała jego poczuciem winy tak często jak jego matka. Krytykowała go za nieudolność w zdobywaniu pieniędzy. Podważała jego męskość. Nie akceptowała go w roli kochanka, przyjaciela, a nawet drażniło ją jego towarzystwo podczas posiłków.

Jedyną spokojną przystanią w ich małżeństwie, jedyną płaszczyzną wspólnego porozumienia była jego praca twórcza. Jonathan był naprawdę utalentowany i Becca zachęcała go do rozwijania zdolności. Zapisała go na zajęcia rzeźbiarskie. Znalazła i wynajęła tanią pracownię, która mieściła się nieopodal ich domu, i nadal sprzedawała jego prace renomowanym galeriom. Kiedy z dumą prezentowała jego rzeźby gościom odwiedzającym ich dom, jej entuzjazm wynikał z kilku praktycznych powodów. Jeżeli zdołała coś sprzedać, chowała pieniądze do swojej kieszeni. Poza tym rzeźbienie w pracowni tak bardzo absorbowало Jonathana, że dawało Becce chwilę wytchnienia od obowiązku łóżkowej zabawy w kotka i myszkę. A co najważniejsze, przestawał wtedy myśleć o porzuceniu „Hillman Cookware” i wyjeździe z Nowego Jorku.

Kilku przyjaciół Jonathana przeprowadziło się do Los Angeles i kiedy do nich dzwonili, ludzie ci zawsze malowali ten sam rajski obraz - wspaniała pogoda, fantastyczne samochody i interesujący ludzie. Becca obawiała się, że jeszcze kilka złych dni w fabryce i parę oszałamiających nowin z wybrzeża, a Jonathan połknie bakcyła i jego tęsknota

za rajem zrealizuje się w zakupie dwóch lotniczych biletów na zachód.

Właśnie dzisiejszego popołudnia usiłowała przekonać Maxa, żeby nie wywierał takiego nacisku na syna próbując mu uzmysłwić, że jeżeli nadal będzie tak postępował, Jonathan może zrobić coś drastycznego.

- Jest taki nieszczęśliwy - starała się delikatnie podejść do sprawy. Za moment postanowiła wyłożyć kawę na ławę. - Czy nie mógłbyś go przenieść z magazynów?

- Zatrudniłem go na najniższym stanowisku, gdyż pięcie się w górę umacnia charakter - odpowiedział Max, jak zwykle wierny swojej upartej, krótkowzrocznej naturze. - Awansuję go, kiedy dojdę do wniosku, że się do tego nadaje, a nie przez wzgląd na jakieś zachcianki.

- A co będzie, jeśli tak się załamie, że w ogóle stąd wyjedzie?

- Nigdzie nie wyjedzie, bo nie ma dokąd - odpowiedział Max z całkowitą pewnością siebie.

Becca zastanawiała się, czy nie powiedzieć Maxowi, że kilku kumpli, którzy pojechali do Hollywood, doskonale się tam zabawia i Jonathan prawie siedzi na walizkach, ale Max zignorowałby jej obawy, tak jak ignorował wszystko, co odbiegało od jego poglądów. Jak mogła mu przetłumaczyć, że Jonathan w ogóle nie chce pracować dla „Hillman Cookware” i nie ma ani krzty cierpliwości i uporu, żeby piąć się po drabinie kariery.

- Zamiast siedzieć tutaj i opowiadać, jak mam prowadzić mój interes - ciągnął Max, nie zwracając uwagi na jej posępne milczenie - radzę ci, żebyś poszła do domu i zaszła w ciążę. Będiesz miała się czym zająć, a Jonathan znajdzie bodziec do ciężkiej pracy.

Jonathan zachrapał przerywając jej rozmyślenia i przewrócił się na drugi bok. Becca spojrzała na jego przystojną twarz i na chwilę zmiękła.

Może pomysł teścia nie był aż tak bezsensowny. Bez wątpienia, gdyby był jakiś spadkobierca w dynastii Hillmanów, Max byłby bardziej skłonny do zwiększenia pensji Jonathana. Prawdopodobnie byłby również chętny do innych rzeczy, jak chociażby powierzenie mu dodatkowych funduszy, przekazanie udziałów i otworzenie rezerwowego konta w banku. Dziecko na pewno ucieszyłoby Jonathana. Często wspominał, jak bardzo pragnąłby mieć rodzinę. Mogłoby to mocniej przywiązać Jonathana do małżeństwa, nauczyć go obowiązku i odpowiedzialności.

Sylvia też byłaby szczęśliwa. Chociaż nieraz powtarzała, że nie widzi siebie w roli babci, ale czuła się jak wyrzutek, gdy nie postępowała tak jak inni. Ponieważ większość jej przyjaciółek miała już wnuki bądź się ich spodziewała, intuicja mówiła Becce, że Sylvia odrzuciłaby swoją wieczną młodość w zamian za ponowne odnalezienie się w klanie znajomych.

Co do Bena, Becca nie była pewna, jak by to odebrał. Kilka razy od czasu swojego ślubu próbowała porozmawiać z nim na ten temat, ale zawsze odpowiadał tak samo.

- Dziecko to odpowiedzialna decyzja. Jeśli razem z Jonathanem jesteście na to przygotowani, to wszystko w porządku. Ale jeżeli nie, powinniście poczekać.

- Nie chciałbyś być dziadkiem? - zapytała.

- Oczywiście, ale nie powinnaś mieć dziecka tylko po to, żeby zadowolić innych. Jeśli tak zrobisz, będziesz gorzko żałować.

Przez jakiś czas nie poruszała tego tematu, widząc, że tak naprawdę to nie zależało na tym ani Benowi, ani Jonathanowi,

a tym bardziej jej samej. Dopiero po przeczytaniu wiadomości o narodzinach Joy Kipling pomyślała o zajściu w ciążę.

Pomysł wydał jej się bardzo atrakcyjny, kiedy zaraz po przeczytaniu o dziecku Jinx Sylvia opowiedziała jej o obiedzie w posiadłości Kiplingów. Wtedy właśnie ta wszechobecna, dziwnie pojmowana siostrzana rywalizacja, uśpiona przez tyle lat, dała o sobie znać. Przez parę dni Becca kładła się do łóżka z rozsadzającą głowę migreną i budziła się w środku nocy wystraszona zjawą Jinx, z promienną twarzą, trzymającą w ręku cherubinowe niemowlę owinięte w jasnoróżowy kocyk, przedstawiającą je Benowi jako pierwszą wnuczkę.

Właśnie wtedy, kilka dni po przyjęciu, zadzwoniła do niej matka i powiedziała, że z jakiegoś niewytłumaczalnego powodu Harrison Kipling wycofał swoje konto z agencji Bena. Sylvia była załamana, lecz Becca nie posiadała się z radości. Wiedziała dokładnie, co się stało. Jinx spotkała się z Benem. Ben odrzucił Jinx. Kipling go za to ukarał. I Becca wygrała.

Przez chwilę poczuła się bezpieczna i uwolniona z konieczności posiadania dziecka. Teraz jej bezpieczeństwo zostało zagrożone z innej strony i dziecko było jedynym rozwiązaniem.

- Jutro - wyszeptała do ucha śpiącego męża - mam zamiar jęczeć i skowyczeć i ruszać tyłkiem w łóżku jak prawdziwa kobieta. I dam ci tej nocy to, czego pragniesz - powiedziała, czule utykając pościel pod brodą Jonathana. Uśmiechnęła się.
- A w zamian za to dasz mi wszystko, czego ja od ciebie chcę.

Jonathan stał przy doku i patrzył na zniszczone budynki i porzucone rudery otaczające magazyn „Hillman Coockware”. Często podczas postoju w pracy Jonathan wychodził na zewnątrz i rozglądał się wokół, szukając jakiegoś zajęcia. Nie opodal było złomowisko ze starymi samochodami, z których wyjęto wszystkie użyteczne części. Jonathan czuł się jak

samotny rozbitek na dzikiej, betonowej wyspie, czekający na przybyszów z cywilizowanego świata, żeby ocalili go od niechybnej śmierci.

Niektórzy twierdzili, że Południowy Bronx miał lada dzień wkroczyć w erę rozkwitu, ale z perspektywy Jonathana należało się raczej spodziewać powolnej śmierci tej dzielnicy. Każdego ranka, kiedy przyjeżdżał tutaj z Manhattanu, zauważał jeszcze jeden budynek z zawalonym dachem, jeszcze jeden opuszczony dom albo nową czerń zżartych przez ogień cegieł.

Niegdyś Bronx był jedną z lepszych dzielnic Nowego Jorku, ale ostatnimi czasy przemienił się w zupełną ruinę.

Na całym obszarze pienią się gangi nękające mieszkającą tutaj biedotę. Na widok opustoszałych ulic Jonathan doznawał uczucia strachu i depresji,

Chociaż był już początek kwietnia, wiosna ociągała się z nadejściem. Dzień był zimny i wilgotny. Było parę minut po dziewiątej i w dokach panowała kompletna cisza. Na większość ciężarówek już dawno załadowano towar i przeszło godzinę temu wysłano je w dalszą trasę. Tylko trzy samochody nadal czekały na zakończenie załadunku. Jonathan klasnął w dłonie obleczone w rękawiczki i dreptał w miejscu, rozgrzewając stopy. Poprawił czapkę i zamruczał coś pod nosem.

Co pomyśleliby kompani jego nocnych zabaw, gdyby zobaczyli go w drelichowym kombinezonie i brudnej flanelowej koszuli?

Z przeciwnej strony ulicy dobiegł go znajomy głos.

- Eh amigo! Que pasa?

Pomachał ręką swojemu staremu przyjacielowi Portorykańczykowi, który mieszkał na ostatnim piętrze jednego z opuszczonych budynków. Codziennie chodzili tą samą drogą. Machali sobie rękami na powitanie i

wykrzykiwali pozdrowienia. Od czasu do czasu starszy mężczyzna podchodził do Jonathana, który wciskał mu w dłoń parę dolarów. Kiedy jeszcze dodatkowo wyżebrał coś na ulicy, kupował butelkę wina „Thunderbird” i hamburgera, po czym zniknął w trzewiach mroźnego, zamieszkanego przez szczury budynku, który zwał swoim domem.

Dzisiaj, kiedy przechodził, Jonathan chciał mu zrobić zdjęcie. Parę tygodni temu zaczął rzeźbić popiersie swojego znajomego. Po raz pierwszy od dłuższego czasu zdecydował się na zrobienie jakiejś rzeźby, tym bardziej że twarz mężczyzny była tak porwana zmarszczkami i głębokimi bruzdami, będącymi świadectwem ciężkiego życia, że znalazł w niej źródło prawdziwej inspiracji.

- Hej, młody! Będiesz tak stał cały dzień i podziwiał krajobraz?

- Wolę patrzeć na te ruiny niż na twoją zapijaczoną gębę - odparł Jonathan. Nie znosił, gdy ktoś zwracał się do niego per „młody”. - Kiedy już zapakuję ostatnie skrzynki, z największą chęcią załaduję cię razem z nimi na ciężarówkę i wyślę do diabła.

- Młody, kocham cię za to!

- Hej, ty! Czy myślisz, że włóczenie się tutaj bez celu jest największą atrakcją mojego życia? Do diabła, nie! Jak tylko zbierze się jeszcze paru takich frajerów jak ty, włożę do środka.

- Okey, chłopie. Nie chciałem potargać ci piórek. Powiem ci coś. Zgłodniałem jak pies. Idę do kantyny po bułkę i kawę. Przyniosę ci też. Co ty na to?

Jonathan pokiwał głową i odpowiedział mu uśmiechem pełnym wdzięczności.

- Wracaj szybko.

Jonathan spojrział na zegarek. Jego kumpel od butelki już dawno powinien przyjść. Wyjrzał przez okno, ale nie

spozstrzegł starego. Nagle jego wzrok padł na dwóch podejrzanie wyglądających młodych mężczyzn wybiegających z budynku. Jonathan był pewien, że jeden z nich miał na sobie płaszcz przyjaciela. Nawet nie zatrzymując się, żeby powiedzieć, gdzie idzie, przeszedł przez pusty plac oddzielający magazyn od budynku. Tak szybko, jak tylko mógł, wspiał się na szóstą kondygnację schodów, zwalczając niechęć wywołaną przez wszechobecny smród i kłujący ból w płucach. Kiedy dobiegł na ostatnie piętro, znalazł bezwładne ciało starego kumpla. Był pobity do nieprzytomności i ledwo oddychał.

- Amigo! Obudź się! Odezwij się!

Jonathan zbadał puls starego i poklepał go po żebrach. Człowiek na chwilę odzyskał przytomność, po czym znowu zemdlał.

Ostrożnie zarzucił na ramiona ciało starego i rozpoczął długą wędrówkę. Mężczyzna ledwo dyszał. Jediną szansą było szybkie dotarcie do szpitala. Na szczęście Szpital Centralny był tylko parę budynków dalej.

Kiedy Jonathan dotarł na oddział intensywnej terapii, tak go bolały nogi i krzyż, że nie był w stanie zebrać myśli. Pielęgniarki zabrali mężczyznę na salę i Jonathan opadł na najbliższe krzesło. Każdy mięsień drgał w nim z wycieńczenia. Nadal czuł woń przetrawionego alkoholu, wytyłanego ubrania, zaschniętego moczu i starości. Jego ręce były sine od zimna i wysiłku. Zupełnie zdrętwiały mu ramiona i lekarz kilka razy musiał klepnąć go po plecach, zanim zareagował.

- Czy jest pan jego kuzynem? - zapytał, dobrze wiedząc, że Jonathan nie należy do rodziny mężczyzny leżącego za kotarą.

- Nie - odparł Jonathan, podnosząc się z krzesła. - Jestem jego przyjacielem.

- Obawiam się - zaczął - że pański przyjaciel nie żyje.

Jonathan wpatrzył się otepiałym wzrokiem w mężczyznę w białym kitlu.

- Czy to jest moja wina? - zapytał po kilku minutach, kiedy otrząsnął się już z zamyślenia. - Może powinienem go tam zostawić i was zawiadomić?

- Nie, właściwie już nie żył, kiedy go pan przyniósł. Według mnie zmarł wkrótce po tym, jak go pan podniósł. Był nieźle poturbowany i w ogóle stan jego zdrowia pozostawiał wiele do życzenia. Organizm nie wytrzymał wewnętrznego krwotoku. Przykro mi. Wiem, że zrobił pan wszystko.

- Czy mogę go zobaczyć?

- Oczywiście.

Lekarz odsłonił kotarę i zrobił Jonathanowi miejsce obok kozetki, na której leżał stary mężczyzna. Jonathan długo przyglądał się jego twarzy, klepiąc go po ramionach, z których uszło już życie, i nawet nie starając się otrzeć łez. Chciał utrwalić w pamięci rysy jego twarzy.

Kiedy dotarł do magazynu, trzy ogromne ciężarówki zdążyły już odjechać i z wyjątkiem skulonej, gniewnej postaci ojca teren był zupełnie pusty.

- Gdzie byłeś? - wykrzyknął Max, dając upust złości tłumionej już od godziny.

- Pobito kierowcę. Zawiozłem go do szpitala. - Jonathan nie wdawał się w szczegóły. Max i tak nie słuchał, więc po co miał strzepić sobie język.

- Trzy ciężarówki opóźniły się prawie o godzinę. Wszyscy cię szukali. I osobiście musiałem tutaj przyjść, żeby podpisać faktury! - Max zmierzył Jonathana lodowatym wzrokiem. - Dobrze, że przyszedłem, żeby kryć twój tyłek. W innym wypadku samochody pojechałyby bez całego towaru i moglibyśmy stracić kilku dobrych klientów.

Jonathan nie słuchał. Po raz pierwszy zetknął się ze śmiercią i ciągle miał przed oczami postać starego mężczyzny leżącego na kozetce. Właściwie nie sama śmierć tak nim wstrząsnęła, lecz świadomość faktu, że jego amigo znacznie wcześniej był trupem. Jonathan nawet nie próbował się bronić.

- Nie masz mi nic do powiedzenia? - twarz Maxa była purpurowa, jego głos wibrował z wściekłości.

Jonathan spojrział na ojca, po czym przeniósł wzrok na brudny, obskurny magazyn, w którym stali, i poplamione krwią ręce.

- Tak, mam ci coś do powiedzenia - odparł mając świadomość nieodwracalności tego, co czyni. - Rezygnuję! Odchodzę z „Hillman Cookware”. Opuszczam cię. Wyjeżdżam z Nowego Jorku.

Odwrócił się na pięcie, wahając się tylko przez chwilę. Jednak ojciec stał już odwrócony do niego plecami.

- Dzień dobry! - Becca wpadła do gabinetu z szerokim uśmiechem na twarzy. Podbiegła do biurka i ucałowała ojca w policzek, zauważając, że powitał ją bezosobowym, oficjalnym spojrzeniem.

Leżała w łóżku, czytając gazetę i pijąc drugą filiżankę kawy, kiedy zadzwoniła sekretarka Bena i wezwała ją do jego biura. Kiedy Becca zapytała o powód, kobieta na drugim końcu linii stała się denerwująco tajemnicza. Po drodze Becca zastanawiała się, dlaczego ojciec poprosił ją do siebie. Nie miała urodzin. Nie był to dzień urodzin ojca ani też rocznica ślubu rodziców. Nie wzywał jej także na coroczne spotkanie udziałowców. Może coś się zdarzyło któremuś z ich krewnych? A może po prostu Ben zdecydował, że zje dziś śniadanie z córką? Rozejrzała się po gabinecie, lecz nic nie wskazywało na śniadanie ani niespodziewany prezent.

- Jaki dziś przepiękny dzień - rzekła entuzjastycznie, mając nadzieję, że jej pogodny nastrój udzieli się ojcu. -

Wkrótce będzie dobra pogoda na golfa i chyba umówimy się na partyjkę.

Jak za naciśnięciem guzika usta Bena ułożyły się w nikły, ledwo dostrzegalny uśmiech.

- Kawy? - zapytał wlewając do filiżanki płyn z błyszczącego, metalowego termosu.

Becca pokiwała głową i wyciągnęła rękę, żeby napęłnić swoją filiżankę. - Tato, jest wyjątkowo wcześnie, a ty wyglądasz wyjątkowo poważnie! Czyżby stało się coś mamie?

Od czasu kiedy „Kipling Worldwide” wycofał swoje udziały z „Ross Advertising”, Sylvia wiecznie była przykuta do łóżka, gnębiona przez coraz to inną chorobę. Za każdym razem kiedy Becca rozmawiała z matką i analizowała symptomy jej choroby, nie mogła oprzeć się wrażeniu, że przyczyną niedomagań Sylvii była wrodzona hipochondria. Jej matka była jedyną osobą, która zapadała na bardziej wymyślne choroby niż Becca.

- Nie - odpowiedział Ben. - Przepraszam, że cię zaniepokoiłem o tak wczesnej porze, ale mam ci coś ważnego do powiedzenia.

Becca w skupieniu zaczęła pić kawę. Na dźwięk słów ojca „dedukcyjna” część jej mózgu natychmiast się wyłączyła, chroniąc ją przed uprzedzaniem wypadków, a jej twarz przybrała wyraz obojętnej słodyczy. Cokolwiek Ben miał do powiedzenia, nie chciała dać mu poznać, co naprawdę czuje.

- Muszę obciąć ci pensję - wypalił prosto z mostu. - Jeden z moich najzdolniejszych plastyków zdecydował się na otworzenie własnej agencji, zabierając ze sobą paru najlepszych pracowników i sporą ilość pieniędzy.

Becca była oszołomiona. Przez całe lata, począwszy od szkolnych czasów, dostawała czek od „Ross Advertising”. Te okrągłe sumki w zupełności pokrywały nawet najbardziej ekstrawaganckie wydatki. Po ślubie jeszcze bardziej

uzależniła się od tych pieniędzy. Skromna pensja Jonathana nie starczała na wszystkie potrzeby.

- Jeden plastik nie może spowodować zbyt poważnych strat - powiedziała robiąc w myślach błyskawiczne kalkulacje.

- Dwieście pięćdziesiąt milionów dolarów to wystarczająco duża strata. Jestem w trudnej sytuacji, Becco, i dopóki ich nie nadrobię, nie mogę wypłacać ci pensji.

Twarz Bena poszarzała. Gdyby uważniej się przyjrzała, z pewnością zauważyłaby bruzdy okalające jego oczy.

- Nie jesteś przecież skończony - nalegała nie chcąc utracić praw, które dotychczas jej przysługiwały. - To po prostu chwilowy zastój. Dlaczego nie możesz mi tylko zmniejszyć pensji, do czasu gdy interesy pójdą lepiej. Wiesz, jak bardzo potrzebuję tych pieniędzy.

- Nie mogę obciążać tymi stratami pracowników i udziałowców. Poza tym masz męża, który cię utrzymuje.

Becca zaczęła oglądać lakier na paznokciach.

- Jeśli mówisz o tej jałmużnie, którą Jonathan dostaje od ojca, to ledwo starcza nam na życie.

Ben złożył dłonie w koszycek, oparł się na łokciach i spojrział na córkę. Rzadko dawała aż tak spektakularny upust swojemu egoizmowi. Ben przyjrzał jej się uważnie.

- Wobec tego idź do pracy. Jesteś młoda, inteligentna, utalentowana i masz wszelkie dane ku temu, żeby zarabiać niezłe pieniądze.

- Planowaliśmy dziecko i właściwie mogę być już w ciąży - skłamała.

- Byłoby wspaniale, kochanie, ale nie zmienię mojej decyzji.

Becca kipiała z wściekłości. Za co będzie kupować nowe stroje? Meble? Bizuterię? Skąd weźmie pieniądze na wizyty w salonach piękności, na manikiur, pedikiur, maseczki i masaże? Co się stanie z jej życiem towarzyskim? Jak sobie poradzi?

- Dlaczego ten plastik nie chce z tobą dłużej współpracować? - zapytała, nie mogąc pogodzić się z myślą, że jej finanse ulegną tak katastrofalnej zmianie.

Ben obrócił się na krześle i chcąc ukryć twarz przed Beccą, spojrzął w okno.

- Nie jestem pewien - odpowiedział kontrolując swój głos - ale według mnie wszystko zaaranżował Harrison Kipling.

- Wiedziałam! - syknęła Becca.

- Skąd? Becca przywołała się do porządku.

- Właściwie... tak naprawdę to nie wiem - wyjąkała starając się zebrać myśli. - Chciałam powiedzieć, że wcale mnie to nie dziwi. Sam przecież wycofał swój udział. To złośliwy i nikczemny człowiek. Naprawdę! Co takiego mu zrobiłeś, że odgrywa się na tobie w taki okropny sposób? Kiepską reklamę? Nie poszedłeś z nim na lunch?

A może odrzuciłeś jego żonę, a swoją córkę, z mojego powodu? - pomyślała.

Ben szukał ratunku w krajobrazie za oknem.

- Jestem pewien, Becco, że ma swoje powody.

- Rozmawiałeś z nim w cztery oczy? Ja domagałabym się wyjaśnień! Nalegałabym, żeby mi powiedział!

Czekała. Rozpaczliwie czekała na objaw gniewu Bena, czekała, że wpadnie w furję z powodu doznanej krzywdy, że zacznie wyzywać Kiplinga od łajdaków i szubrawców, albo jeszcze lepiej, że wścieknie się na Jinx za mieszanie męża w ten spisek. Ale nic takiego nie nastąpiło. Siedział w swoim dużym skórzanym fotelu, spoglądając przez okno, całkowicie godząc się z porażką.

- Nieważne, jaka była przyczyną - powiedział odwracając się w końcu twarzą do córki. - Liczy się tylko, że „Ross Advertising” znajduje się w poważnych kłopotach. Tylko to jest w tej chwili dla mnie ważne. I nie obchodzi mnie nawet,

co ty, kochana córeczko, zrobisz bez swoich ukochanych pieniędzy.

Podniósł się z krzesła, podszedł do Becki, wziął ją za rękę i poprowadził do drzwi. Kiedy je otwierał, pochylił się nad córką i pocałował ją w policzek.

- Gdyby w grę wchodził kto inny, mógłbym się zamartwiać - powiedział z ledwo dostrzegalnym uśmiechem - ale znając ciebie, wiem, że świetnie sobie poradzisz.

Kiedy zamknęły się za nią drzwi, Becca zawrzała gniewem, który nie opuszczał jej, gdy wychodziła z budynku.

- Jinx - powtarzała pod nosem, nieświadoma spojrzeń zdziwionych przechodniów. - Od kiedy przeczytałam o tobie w liście, systematycznie rujnujesz moje życie. Ukradłaś mi imię. Próbowalaś ukraść mi ojca. Staralaś się ukraść mi krewnych, a teraz udało ci się ukraść moje pieniądze. Nie wiem, kiedy to nastąpi, ale pewnego pięknego dnia zapłacisz mi za wszystko!

Becca do końca dnia nie mogła otrząsnąć się z szoku. Nawet do niej nie dotarło, że Jonathan nie wrócił do domu ani nie zadzwonił. W tej chwili było jej to zupełnie obojętne. Nie mogła nawet głośno przekląć Jinx, gdyż nikt nie wiedział o jej istnieniu. Nie mogła sobie ulżyć, knując plan zemsty, gdyż nikogo nie mogła w to wtajemniczyć.

Na początku rozważała każdą możliwą strategię - konfrontację z Harrisonem Kiplingiem, spotkanie z Jinx, wygarnięcie prawdy ojcu. Jednak górę wzięły najbardziej przyziemne potrzeby. Musiała uzupełnić dziurę w budżecie. Ale jak? Było oczywiste, że Jonathan z dnia na dzień nie stanie się sławny ani nie przyczyni się do poluzowania sznurków zaciskających sakiewkę Maxa. Jediną deskę ratunku widziała w ciągłości dynastii Hillmanów.

Po starannym rozważeniu planu, Becca uspokoiła się i zadowolona z siebie, postanowiła przygotować się na powrót

Jonathana. Najpierw zamówiła jego ulubione potrawy i kilka butelek dobrego wina. Później zastawiła stół w jadalni najlepszą porcelaną i srebrem. Wykąpała się w perfumowanej wodzie, wtarła w ciało pachnący balsam, wyszczotkowała włosy, aż miękko zaczęły spływać na ramiona i ubrała się w białe, jedwabne body, które dostała w ślubnym prezencie od męża i których jak dotąd nigdy nie miała na sobie. Jedyńm brakującym elementem był Jonathan.

Kiedy otworzył drzwi, kolacja dawno już ostygła, świece zdążyły się wypalić i Becca ostatkiem sił powstrzymywała się od wybuchu. Chciała wyrzucić z siebie całą złość, jednak odwiódł ją od tego dziwny wyraz twarzy Jonathana.

Dramatycznym ruchem podniosła się z kanapy i pobiegła przywitać się z mężem. Ubrany był w kombinezon. Dziwne, pomyślała. Jonathan nienawidził tego kombinezonu. Zawsze przywiązywał wagę do wyglądu i nigdy nie wracał do domu w brudnym ubraniu.

Wstrzymała oddech, kiedy całowała go na przywitanie, chcąc uniknąć przykrego odoru fabryki, który przyniósł ze sobą do domu. Nie spodziewała się takiego oschłego powitania. Pocałował ją tak, jak całuje się córkę na proszonym obiedzie, podszedł do stołu i nie zwracając uwagi na obrus, położył na blacie glinianą głowę rzeźby okręconą mokrym ręcznikiem.

- Gdzie byłeś? Czekałam na ciebie.

- Przepraszam, coś mnie zatrzymało. - Była drugą osobą tego dnia, która zadała mu to pytanie.

Nawet na nią nie spojrział. Jego wzrok skupiony był na nieobrobionym popiersiu starego mężczyzny.

- Co to jest? - zapytała zdziwiona i coraz bardziej zaniepokojona.

- Hołd oddany przyjacielowi - odpowiedział dotykając wilgotnej gliny. Coś w jego głosie przeszło Becce dreszczem. Dokładnie obejrzała rzeźbę.

Obracając ją za pomocą ręcznika, spoglądała na nią ze wszystkich stron.

- Wspaniała! To przełomowa praca w twojej twórczości! - Jeszcze raz ją odwróciła. Naprawdę była pod wrażeniem. - Nie mogę się doczekać, kiedy zaniosę ją do galerii. Zrobimy odlew z brązu i sprzedamy za niezłe pieniądze.

- Ta rzeźba nie jest na sprzedaż - odparł Jonathan cichym, lecz stanowczym głosem.

- Dobrze - powiedziała pomagając mu zdjąć ubranie. Pomyślała, że odłoży tę rozmowę na później. - Jesteś głodny?

- Nie, dziękuję. Padam z nóg. Od razu idę do łóżka.

- To dobrze, bo ja też o niczym innym nie marzę - powiedziała biorąc go za rękę i prowadząc wzdłuż korytarza.

Wyperfumowała sypialnię i w kilku miejscach ustawiła świece dla wywołania romantycznego nastroju. Kiedy weszli do pokoju, próbowała się poddać nastrojowi tej chwili. Jonathan nie zauważył tego, co zrobiła z sypialnią i jak przygotowała się na tę noc. Pomyślała, że nie zdołała zaskoczyć męża.

Z ogromną czułością popatrzyła na niego i namiętnie pocałowała, wodząc dłońmi po jego szyi i mocno przywierając do niego ciałem. Potem zaczęła go rozbierać, z uwodzicielską powolnością rozpinając guziki koszuli. Kiedy spojrzała mu w twarz, przez moment wydawało jej się, że ujrzała w jego oczach promyk rozbawienia. Nie spuszczając z niego wzroku, sięgnęła dłonią w dół, rozsunała rozporek i włożyła do środka rękę, precyzując swoje zamiary.

Nie musiała długo czekać na reakcję Jonathana. Kiedy skończyła go rozbierać, patrzył zafascynowany, jak Becca zrzuca z siebie czarny jedwab i białą koronkę, z nie znaną mu

dotąd zmysłowością. Stała przed nim zupełnie naga. Nigdy nie pozwalała mu się oglądać. Zawsze wołała anonimowość nocy i szczelne przykrycie kołdrą. Teraz jej nagie ciało lśniło w świetle świec, porcelanowa skóra wyglądała jak kość słoniowa, a jasne włosy połyskiwały niczym szczere złoto.

Poczuł się bardziej podniecony niż kiedykolwiek, pobudzony jej chęcią i nie ukrywanym pożądaniem. Zaniósł ją do łóżka i jeszcze bardziej się zdziwił, kiedy zamiast pasywnie leżeć na prześcieradle, zaczęła przesuwając dłońmi po jego plecach, pieścić go i całować, dotykając miejsc, których nigdy wcześniej nie dotykała, ocierając się, przywierając, poruszając się nieznacznie, lecz z rytmiczną stałością, sprawdzając jego i swoje reakcje.

Usłyszał przyspieszony oddech Becki i delikatnie zaczął odwzajemniać jej pieszczoty, wodząc dłońmi po jej ciele, podniecając i wzbudzając w niej coraz większe pożądanie. Najbardziej zdziwiła go jej namiętność, jej nieprzerwane falowanie i bezwstydna przyjemność w tym, co robili. Jonathan nie wiedział, czemu zawdzięczał tę przemianę, ale w tej chwili nie miało to dla niego żadnego znaczenia. Stała się cudownie zmysłowa, nienasycona i pozbawiona zahamowań.

Nagle jej ręce przyciągnęły go bliżej, nogi zamknęły się na jego udach biodra zaczęły się poruszać z siłą i w rytmie pałeczki dyrygenta. Nie miał już nad sobą żadnej kontroli i choć nie był przyzwyczajony do aktywnej partnerki, zaczął się z nią wznosić i opadać, wyczulony na odgłosy i prośby o zaspokojenie. Kiedy w końcu zjednoczyli się w ostatecznym akcie, wstrząsnęła nim nieopisana rozkosz. Nigdy nie był tak blisko z Beccą, nigdy nie czuł, że tak bardzo ją kocha. Po raz pierwszy od dwóch lat czuł się naprawdę żonaty.

Później leżeli spokojnie, sącąc czerwone wino, nie chcąc psuć nastroju cczą paplaniną. Jednak po drugim kieliszku

Jonathan poczuł potrzebę zwierzenia się Becce z tego, co zaszło w magazynie.

- Becca - powiedział nachylając się nad jej głową i muskając jej wargi. - Muszę ci coś wyznać.

Becca przytuliła się do niego, nie odgrywając już roli kochanki, nadal zdziwiona rozkoszą szczerej miłości.

- Zanim cokolwiek mi powiesz - uciszyła go pokrywając jego usta delikatnymi pocałunkami - dowiedz się, że cię kocham.

Spodziewała się, że zasypie ją słowami uwielbienia i obietnicami wiecznego oddania, ale Jonathan przybrał poważną minę.

- Mam nadzieję, że jeszcze będziesz mnie kochała po tym, co ci powiem. Przeszedł ją dreszcz. Podciągnęła kołdrę pod brodę, spodziewając się, że to

wyznanie będzie wymagało skromności, a nie nagości.

- Rzuciłem pracę.

- Co zrobiłeś?

- Widziałem, jak umierał mój kumpel - powiedział niezdolny do wymazania obrazu posiniaczonej twarzy amigo.

- To mi dało do myślenia. Latami odmierzał czas, pozwalając, by zegar wybijał godziny, aż śmierć była gotowa, żeby go zabrać.

Dopiero dzisiaj zdałem sobie sprawę z tego, co robię. Pozwalałem, żeby zegar wybijał godziny. Nie chcę, żeby tak było. Nie chcę po prostu odmierzać czasu. Chcę żyć całą pełnią.

- Ciekawe. A jak sobie wyobrażasz nasze życie? Mamy chodzić w łachmanach i żebrać na ulicy? - Jej głos zdradzał panikę. - Ojciec powiedział mi dziś rano, że nie będzie wypłacał mi pensji. Ma trudności z przepływem gotówki. A teraz z powodu jakiegoś starego włóczęgi ty po prostu rezygnujesz z pracy. Wielkie nieba! Z bogactwa do

łachmanów w niespełna dwanaście godzin! Zadzwoń do Guirmessa. Jestem pewna, że ustanowiliśmy jakiś rekord.

- Wszystko będzie dobrze - powiedział starając się ją uspokoić. - Mamy oszczędności i spore pieniądze w akcjach. Sprzedamy część udziałów i będziemy z tego żyć, dopóki nasza sytuacja się nie ustabilizuje. - Nachylił się nad Beccą i próbował ją objąć, ale energicznie odepchnęła go od siebie.

- Nie dotykaj mnie - powiedziała. - Jesteś szczeniakiem bez najmniejszego poczucia odpowiedzialności. Brzydę się tobą.

Jonathan obserwował, jak zdarła z łóżka koc i szczelnie się nim owijając, ruszyła do łazienki.

- Witaj z powrotem, Frances Rebecca Hillman - powiedział przetykając resztę wina i uzupełniając kieliszek. Kiedy usłyszał szmer prysznic, podniósł kieliszek i wzniósł toast do znajomego dźwięku. - To byłoby na tyle, seksowna damo. Dobrze było, ale się skończyło.

Przez cały tydzień Becca nie odzywała się do Jonathana, nie jadła z nim, nie patrzyła na niego i zdawała się w ogóle nie zauważać jego obecności. Spała prawie do południa, tak że nie było go w domu, kiedy się budziła, i wcześniej kładła się do łóżka, więc gdy wracał, chrapała już pod działaniem nasennej tabletki. Wkrótce wyrzuciła służącą i przestała zajmować się domem. Nie gotowała, nie zmywała, nie robiła prania i nie sprzątała mieszkania. Nie chodziła na zakupy, nie odbierała telefonów, nie zapraszała gości i nie odwiedzała przyjaciół. Po prostu siedziała w domu w szlafroku i wszystko było jej obojętne.

Jonathan próbował się tłumaczyć, wyjaśniać sytuację, w jakiej się znalazł, i przedstawiać argumenty na swoją obronę, jednak bez skutku. Jego głos uaktywniał wyłącznie jej nogi. Gdy tylko otwierał usta, natychmiast wychodziła z pokoju, w którym się znajdował. Wkrótce doszedł do wniosku; że

najpierw musi się zająć swoimi sprawami, a dopiero potem zacząć przejmować się Beccą.

Któregoś wieczoru wrócił do domu i nie zadając sobie trudu, by przywitać się z żoną, która, jak mniemał, przewracała się na łóżku, nalał sobie drinka, podszedł do okna i napawał oczy widokiem zmierzchu na Manhattanie. Kiedy wkroczyła do pokoju z twarzą wyrażającą stan najwyższej satysfakcji, Jonathan wyraźnie się zaniepokoił. Ostatnio coraz bardziej przypominała kameleona i trudno mu było nadażyć za zmianą jej nastrojów.

- Cześć, kochanie - powiedziała, całując go w policzek. Nie czekając na odpowiedź, powiesiła do szafy płaszcz i nalała sobie kieliszek sherry.

- Becco - powiedział nie bardzo pewien, czy może popsuć jej nastrój. - Wyjeżdżam do Los Angeles.

Zamiast żywiołowej reakcji, zauważył obojętne skinienie głową, zupełnie tak, jakby powiedział: „mamy dziś poniedziałek.”

- Podejrzywałam, że zechcesz to zrobić - odparła z zadziwiającym spokojem. - Mam już pracę - powiedział z dumą, czekając, że za chwilę powie, jakim jest dobrym chłopcem.

- Jaka?

Miała wymuszony uśmiech i przybrała protekcyjny ton, ale nie wyczuł w nim kpiny, więc nie przerywał.

- Będę pracował dla twojego wuja Herba. Mam rzeźbić manekiny.

- Och! - odparła Becca z tym samym uśmiechem, przyklepionym do obojętnej twarzy.

- Rozmawiałem z nim któregoś dnia i zadzwonił na wybrzeże do szefa. Okazuje się, że potrzebowali rzeźbiarza i właśnie mieli dać ogłoszenie do gazety.

- Jakie to szczęście.

- Bardzo się z tego cieszę, Becco. Wreszcie mam szansę zrobić to, co lubię, i kto wie, co z tego będzie.

- Zobaczymy.

Jonathan próbował zrozumieć jej brak entuzjazmu. Chciał zabrać ją od rodziny i przyjaciół. Jednak był pewien, że po pewnym czasie zdoła się zaaklimatyzować, a nawet polubić nowe miejsce.

- Gdzie byłaś przez cały dzień? - zapytał porzucając drażliwy temat. - Cieszę się, że cię widzę w dobrej formie.

- Właśnie umożliwiałam nam zrealizowanie nowych planów.

- Co masz na myśli?

- Wywnioskowałam, że chcesz wyjechać z Nowego Jorku, więc zebrałam pieniądze na przeprowadzkę.

- Sprzedałaś nasze akcje?

- Nigdy! - powiedziała stanowczo. - Sprzedałam wszystkie rzeźby, jakie tylko mogłam znaleźć. Mój przyjaciel kupił je co do sztuki i nieźle zapłacił. Widzisz? Nawet w Nowym Jorku możesz zarobić na życie.

Jonathan był zadowolony. Uściskał żonę, ucieszony jej wsparciem i zachętą. Rozejrzał się po domu i zauważył, że zabrała także prace z prywatnej kolekcji. Chciał wyrazić niezadowolenie, ale w końcu doszedł do wniosku, że da temu spokój. Rzucił pracę. Postanowił jechać na zachód. Jedyne, co mógł zrobić, to za to zapłacić.

- Wyobraź sobie, że najwyższą cenę zapłacono za popiersie tego włóczęgi z Puerto Rico; równowartość pięciu rzeźb.

Dobry nastrój prysł jak bańka mydlana. Jonathan odezwał się oschłym głosem.

- Mówiłem ci, że nie chcę tego sprzedawać. Becca przyjęła pogardliwy ton.

- A niby jak przejedziemy całe Stany. W wozie ciągniętym przez cztery woły?

- Mogłaś sprzedać udziały!

- W żadnym wypadku! Są dla mnie bardzo ważne. Za sprawą twojego nagłego wybuchu niezależności są wszystkim, co mamy.

- To popiersie wiele dla mnie znaczyło.

- No to zrób następne! - odparowała. - To ty chciałeś jechać do Kalifornii, wobec tego przestań narzekać.

W ciągu sześciu miesięcy od wyjazdu Becki do Los Angeles życie Bena Rossa jeszcze bardziej się skomplikowało. Sylvia tęskniła za córką i choć Ben próbował zrozumieć jej osamotnienie, ciągłe utyskiwanie żony stało się nie do zniesienia. Coraz częściej szukał spokoju w ramionach innych kobiet. Chociaż prawie od początku zdradzał Sylvie, ograniczał się do rzadkich, jednorazowych wyskoków z dala od domu. Ostatnio jednak w poszukiwaniu nowych klientów bądź też dlatego, że jeszcze się nie otrząsnął ze spotkania z Jinx, więcej podróżował i częściej oddawał się flirtom.

W tym tygodniu z grupą artystów i dwoma bankierami leciał do Miami w celu opracowania reklamy linii lotniczych. Nie było go przez tydzień i cały ten czas spędził w towarzystwie stewardesy, z którą sypiał już wcześniej i która była bardziej niż chętna, żeby zaciągnąć się na ten rejs, a następnie wymówić się chorobą i pozostać z Benem na okres jego pobytu.

Miała dwadzieścia lat, blond włosy, duże brązowe oczy i ciało, któremu nie można się było oprzeć. Faworytkami Bena były zawsze dwudziestoletnie blondynki z dużymi brązowymi oczami i apetycznymi ciałami. Shelly już któryś raz z rzędu towarzyszyła Benowi. Miała ten metaliczny rodzaj śmiechu, który Ben słyszał tylko u dwojga innych ludzi.

Każdego wieczoru, po powrocie do hotelu z codziennych spotkań, zostawiał swoich współpracowników i uciekał w zacisze pokoju z widokiem na plażę. Zamawiał kolację dla siebie i Shelly, pił kilka kieliszków martini i kochał się do nieprzytomności. Ale bez względu na to, jak bardzo się zmęczył i jak dużo wypił, noce były dla niego prawdziwą udręką.

Do jego snów wdzierały się wyraźne obrazy, wciskając się pod szczelnie zamknięte powieki i oplatając jego duszę. Przewracał się na plecy i przekręcał z boku na bok, starając się wystraszyć je ruchami ciała, lecz pozostawały na swoim miejscu.

- Ben, Ben! Obudź się!

Otworzył oczy i przez parę minut nie wiedział, co się dzieje. Był zlany potem i mocno ścisnął prześcieradła, próbując opanować drżenie rąk.

- Ben, dobrze się czujesz?

Głos Shelly przedarł się przez grubą mgłę półsnu. Potrząsnął głową i ciągle drżąc, wsparł się na poduszkach. Shelly, nic nie mówiąc, dała mu kieliszek brandy.

- Wiem, że nic nie znaczę w twoim życiu - powiedziała w końcu, wycierając mu czoło chusteczką do nosa - ale wyglądasz na człowieka, który potrzebuje porozmawiać, a ja mam wrażenie, że wolisz powiedzieć to obcemu niż przyjacielowi.

- Czy kiedykolwiek popełniłaś błąd? - zapytał z ulgą, czując silną potrzebę zwierzenia się ze swoich kłopotów.

Shelly roześmiała się.

- To zależy, co przez to rozumiesz.

Ben uśmiechnął się i poklepał ją po dłoni. Była miłą dziewczyną. Miała rację. Zaangażowanie się w romans z nim było jej pomyłką.

- Czy czasami żałujesz?

- O sobie mówisz? Czy mam wyrzuty sumienia z powodu krótkiego romansu z żonatą mężczyzną? No, może czasami, ale nie śnią mi się koszmary.

Napełniła obydwie kieliszki i z powrotem położyła się do łóżka.

- Pewnego razu - zaczął z ulotnym, lecz sardonicznym uśmiechem - zakochałem się w cudownej kobiecie. Oboje byliśmy bardzo młodzi, ale ja byłem młodszy, bardzo niedojrzały, bardzo samolubny i bardzo głupi. Wzięliśmy ślub. Ona zaszła w ciążę, a ja, bohaterski pilot, za którego wówczas się uważałem, odszedłem. Zostawiłem ją z dzieckiem, z przepiękną dziewczynką. Ostatnio ta mała dziewczynka mnie odnalazła i błagała, żebym przyznał się do tego, że jestem jej ojcem. Nie mogłem tego zrobić. Nawet przyniosła mi swoją córkę, a moją wnuczkę. - Ben wytarł oczy i przez kilka sekund pozbywał się grudy tkwiącej w gardle. - Dziecko mojej córki wyglądało dokładnie tak jak moja matka. Mały dołeczek na czubku nosa, duże, hipnotyzująco niebieskie oczy, gęste czarne włosy i bardzo jasna cera. Pragnąłem wziąć je na ręce i przytulić, pokochać je, ale... - zaczął krztusić się swoimi własnymi słowami, więc zamilkł, nie powstrzymując skapujących łez.

- Ale nie wzięłaś dziecka na ręce ani nie przyznałaś się do tego, że jesteś jego dziadkiem.

Ben pokiwał głową.

- Czemu nie?

- Poczucie winy. Strachu. Wstydu.

- Dodaj odrobinę fałszywej dumy i kilka nieładnych cech charakteru - uzupełniła Shelly.

- Nie podoba ci się to i wcale się nie dziwię.

- Dlaczego po prostu nie pojedziesz do niej, nie powiesz, że jesteś jej ojcem, i wszystkiego nie wyjaśniasz? Zasługuje chociaż na tyle.

- Ale jak to wytłumaczyć żonie i córce, Becce.
- Może wcale nie będziesz musiał tego robić. Jestem pewna, że będzie rozsądna.
- Nie wiedziałbym, od czego zacząć ani co powiedzieć.
- A czy nigdy nie przyszło ci do głowy, żeby powiedzieć prawdę?

Ben spojrział na nią ze świadomością, że już nigdy więcej jej nie zobaczy, i wiedział, że jest to teraz jej decyzja, a nie jego.

- Oczywiście, myślałem o tym - odparł przypominając sobie twarz Jinx, kiedy jej powiedział, że nigdy nie znał Kate Freedman i oprócz Becki nie spłodził żadnego dziecka.

- Po prostu nie jestem wystarczająco silny, żeby to wszystko udźwignąć.

- W kreacji z czarnej satyny i koronki monsieur Rochelle uwypuklił całą elegancję damy z towarzystwa. To istna symfonia powabu z płynnymi, zmysłowymi liniami.

Wysoka, wiotka brunetka z włosami gładko upiętymi w lakierowany kok spięty szylkretowym grzebieniem, trzymając w dłoniach obleczonych w koronkowe rękawiczki, wachlarz z czarnych strusich piór, zatrzymała się na moment, wsłuchiwała w muzykę i wolno ruszyła wzdłuż wąskiego pasa podłogi. Pokaz odbywał się dla Towarzystwa Przyjaciół do Walki z Rakiem, mającego swoją filię w Los Angeles. Kiedy modelka doszła do końca, powitał ją głośny aplauz. Kilka razy wdzięcznie się obróciła i skierowała w stronę wyjścia, przy którym umieszczony był duży ekran.

- Dla kobiety, która lubi wyglądać na elokwentną, nie wypowiadając ani jednego słowa, Rochelle proponuje czerwień! Jasną, zmysłową, jedwabną czerwień, owiniętą i związaną wokół ciała, tworzącą asymetryczną linię i ukazującą zarys zgrabnej nogi.

Smukła jak trzcina blondynka z ciałem otoczonym splotami ognistocynobrowego jedwabiu ruszyła zdecydowanym krokiem. Jej twarz miała dumny, arystokratyczny wyraz, a ręce zakrywał duży wachlarz ze strusich piór.

- To nieprawdopodobnie piękne - wyszeptała jedna z kobiet przy frontowym stoliku. - Ile to kosztuje?

- Trzy tysiące - odparła Becca, znając na pamięć cenę każdej sukni.

- Nie tak bardzo drogo. Muszę ją mieć. Byłaby doskonała na grudniowe przyjęcia, jak sądzisz?

Becca uśmiechnęła się, zatrzepotała rzęsami i powachlowała się swoim programem.

- Byłaby doskonała - powiedziała. - Dlatego ją sobie kupiłam.

- Szkoda!

- To jedna z zalet wypływających z osobistej znajomości z projektantem - powiedziała Becca, zupełnie pewna, że nikt się nie dowie, iż spotkała Rochelle'a dopiero dwa dni temu, kiedy przyleciał do miasta, żeby zorganizować ten pokaz.

Tak naprawdę, to miała tę sukienkę dzięki swojej kuzynce Cissie Gold i dzięki własnym umiejętnościom zaskarbiania sobie wdzięczności Rochelle'a w zamian za możliwość prezentacji nowej kolekcji bogatym i zachłannym damom mającym słabość do francuskich etykietek. Kiedy Becca zgodziła się zorganizować coroczny pokaz mody, nie miała pojęcia, w jaki sposób uświetnić tę imprezę. Wówczas, w przypływie natchnienia, przypomniała sobie o przyjaźni Cissie z Rochelle'em i wciągnęła kuzynkę w organizację tej imprezy. Na początku Cissie wahała się. Paul nie lubił pokazów w klubach. Wolał imprezy handlowe, ale Becca przekonała go o możliwości dużego zbytu, sypiąc tyłoma nazwiskami i stanami kont, ile uważała za stosowne.

- ...esencja lat siedemdziesiątych, kwintesencja panny młodej.

Światła przyblakły i został tylko jeden jasnoróżowy reflektor, który miał towarzyszyć drobnym kroczkom ostatniej modelki. Jej włosy były tak jasne, że prawie białe, rozrzucone w tysiące kędziorów i przykryte satynowym toczkiem wyszywanym perłami i ozdobionym tiulową woalką. Suknia była prostą draperią z kremowobiałej satyny spływającą z talii aż do podłogi, tworząc linię kwiatu tulipana, z dopasowaną, perłową górą i baskinką ozdobioną perłami i szylkretem. Ałasowe rękawy w stylu edwardiańskim zapinane były na małe perelki od łokcia aż do nadgarstka. Zamiast bukietu panna młoda niosła wachlarz białych strusich piór, związanych kremowymi wstążkami z satyny. Kiedy dotarła do końca wybiegu, dołączały do niej pozostałe modelki, dając sygnał do zakończenia imprezy i czekając na oklaski.

Kiedy damy podniosły się z krzeseł, aby przywitać projektanta, Paul Rochelle ruszył wzdłuż podestu. Wyglądał bardzo po francusku w czarnych obcisłych spodniach i gładkiej marynarce. Jego biała jedwabna koszula była rozpięta prawie do pasa, a spadające na ramiona włosy falowały w rytm kroków. Stał obok panny młodej, przesłał dłonią pocałunki wszystkim modelkom i elegancko skłonił się w podziękowaniu za owacje. Później, tak jak to było zaplanowane, pomógł Becce wspiąć się na podest, zachęcając publiczność, by kierowała oklaski w jej stronę.

Becca ćwiczyła to tygodniami, z niecierpliwością czekając na chwilę swojego tryumfu. Na jej ustach pojawił się przelotny, nieśmiały uśmiezek. Niewinnie spuściła wzrok, licząc sekundy do momentu, kiedy nastanie zupełna cisza. Gdy oklaski ucichły, wzięła Rochelle'a pod rękę i uwiesiła się na jego ramieniu.

- Pozwoli pan, że przedstawię pana kilku moim znajomym - powiedziała i uśmiechnęła się zwycięsko.

- Wolałbym tego nie robić - powiedział przeproszającym głosem. - Muszę wracać za kurtynę i zająć się strojami.

- Musi pan ze mną iść - nalegała nie przestając się uśmiechać. - To część naszej umowy.

Rochelle uprzejmym, lecz zdecydowanym ruchem zdjął jej rękę ze swojego ramienia.

- Tylko czerwona sukienka była częścią naszej umowy. Pani wybaczy, ale zabawianie pani przyjaciółek sprawiłoby mnie w zakłopotanie.

- Może czułby się pan lepiej, zabawiając moich przyjaciół?

Rochelle przyjrzał się jej uważnie, pamiętając o ostrzeżeniu Cissie: wygląda jak kociak, ale ma kły tygrysa.

- Miło było panią poznać, pani Hillman. Może pani zabrać sukienkę, kiedy będzie pani gotowa do wyjścia. Życzę miłego wieczoru.

Odwrócił się na pięcie i poszedł za kulisy, pozostawiając Beccę na środku pustego podestu.

- Kochanie, gdzie idzie monsieur Rochelle? Powiedziałaś, że przyłączy się do nas na drinka?

Kilka członkiń Towarzystwa zebrało się w krąg, czekając na nadejście jednej z największych gwiazd paryskiej mody. Becca zeszła z podestu i wzruszyła ramionami.

- Próbowałam - powiedziała - ale właśnie dostał ataku twórczego temperamentu. Wiecie, jak to jest.

- Jaka szkoda. Tak się cieszyłam na to spotkanie.

- Innym razem - odparła Becca, chcąc zakończyć rozmowę o Paulu Rochelle. - Myślę, że powinniśmy teraz sprawdzić, jak idzie sprzedaż. W końcu chodzi nam przecież o zbiórkę funduszy.

- Jak dotąd idzie bardzo dobrze. Zrobiłaś kawał dobrej roboty, Becco - stwierdził przewodniczący organizacji. - Tak dobrej, że chyba podzielę poglądy wszystkich, gdy powiem, że na pewno znajdziesz się na liście kandydatów do nowego zarządu, który będziemy wybierać w przyszłym miesiącu.

Beccę rozgrzał chórek potakiwań z ust pozostałych kobiet. Ciężko pracowała na to, żeby ją zaakceptowano w tym środowisku, tak samo jak starała się uzyskać akceptację wszystkich innych środowisk o liczącym się prestiżu. Teraz, gdyby tylko zdołała namówić Jonathana do rzucenia tej głupiej pracy, byłaby wreszcie zadowolona.

- Nie myślałam, że przespanie się z rzeźbiarzem należy do moich obowiązków.

- A jak inaczej mógłbym odtworzyć kontury twojego ciała? - Jonathan głaskał ciało młodej kobiety, patrząc na nią z góry i obserwując, jak reaguje na jego pieszczoty. - Jak inaczej mógłbym odtworzyć jędrność twych piersi i linię talii?

Jego dłonie gładziły i ugniatały jej ciało, wędrując we wszystkich kierunkach: zwijała się w kłębek, wślizgiwała się pod niego i wzdychała z zadowoleniem za każdym razem, kiedy się o nią otarł. Dla Jonathana jej podniecenie było wystarczającym bodźcem. Jeszcze zanim go dotknęła, miał kłopoty z opanowaniem swojego pożądania.

Ciągle siedząc, Jonathan głęboko w nią wszedł. Patrząc, jak jej ciało pręży się z rozkoszy, znajdował przyjemność w roli uczestnika i widza.

- Dobrze ci? - zapytał szukając odpowiedzi w jej dużych brązowych oczach i czując, jak napinają się jej nogi i drżą biodra.

- Tak! - krzyknęła. - O Boże, tak!

Dochodził wieczór, kiedy opuściła pracownię Jonathana.

Młody Hillman nie wyszedł razem z nią. Został sam, popijając w mroku wino, wyciągnięty na kanapie, na której właśnie zakończył lekcję anatomii.

Nawet nie zauważył, kiedy do pokoju wszedł Mark, jego szef, a także kuzyn Becki.

- Jeszcze jedna długa noc, Jonathanie? - zapytał Mark, biorąc kieliszek i nalewając sobie trochę wina.

- Karmię moją żonę - powiedział zapalając nocną lampkę.

- I swoje libido, jak widzę.

- Chyba nie chciałbyś, żeby moje biedne, wyposzczone libido zagłodziło się na śmierć?

- Oczywiście, że nie - odparł Mark. - Która to dzisiaj była? Ruda?

- Nie. Blondynka. Ta sama od ponad miesiąca. - Jonathan łyknął wina i spojrzał bojaźliwie w twarz przyjaciela. - Chyba się w niej zakochałem.

- Daj spokój, stary. Jedyna rzecz, którą kochasz, to dobra zabawa.

- Chyba nie ma w tym nic zdrożnego, co?

- Jeśli o mnie chodzi, to nie, ale nie pytaj mnie o takie rzeczy. W niektórych kręgach jestem znany pod pseudonimem Samotnego Dyndasa, czyli człowieka, którego należy unikać.

- Robisz aluzję do mojej świętej żony?

- Wiesz, że nie jestem na liście jej faworytów, chłopie.

- Ja też nie. Może dlatego tak dobrze się rozumiemy.

- Może, ale jeśli dorwie cię tutaj i zobaczy, jak się pieprzysz: na okrągło, to z nas obydwu wypruje flaki.

Jonathan miał zamiar się zaśmiać, ale z jego ust wydobył się tylko smutny pomruk.

- Myślę, że od czasu naszego ślubu powoli umierałem jak nie podlewana roślina.

- Słuchaj, wróci do ciebie - powiedział Mark, próbując przywrócić humor przyjacielowi i pocieszyć go dobrym słowem, bez względu na to, czy na nie zasługiwał, czy nie. - Myślę, że ta trudna ciąża trochę ją przytłoczyła. Bardzo wymiotowała.

- Wiem, ale to było parę miesięcy temu, a jeśli chcesz znać prawdę, to przedtem też nie była wielką amatorką seksu. Teraz zamiast jednego albo dwóch razy w tygodniu jest raz w miesiącu i tylko wtedy, kiedy księżyc wejdzie w dziesiąty dom.

- A czy nie zauważyła, że ostatnio nie jesteś na nią aż tak napalony?

- Nie rozśmieszaj mnie. Jedyna rzecz, którą zauważa, to fakt, że nie jestem milionerem.

- Gdybyś tylko chciał zrezygnować z pracy, daj mi znać. Rozumiem cię.

- Dzięki, ale ta praca jest moim zbawieniem. Kocham to. Uwielbiam pracować dłońmi i formować twarze i kształty.

- I poboczne korzyści też nie są złe, co? - lubieżnie zachichotał Mark.

- Masz rację. Hej, ale co ty tutaj robisz o tej porze?

- Właściwie to przyszedłem wyciągnąć cię na małą imprezkę, ale widzę, że jesteś wypluty.

- Nie jestem aż tak wypluty, żeby z tobą nie pójść. A co to ma być?

- Kilku moich przyjaciół z wytwórni „Olympus” organizuje zabawę przebierańców i zaprosili nas do siebie. Idziemy?

- A będzie John Denver z Kolorado? Albo zięć Archiego Bunkera? Jasne, że idziemy! Może być niezły ubaw.

Dopiero w grudniu Becca zwróciła uwagę, że coś jest nie tak z Jonathanem. Wcześniej jego późne powroty ani trochę jej nie martwiły i była wdzięczna za chwile spokoju. Wreszcie

nie musiała co drugi dzień uprawiać seksualnej gimnastyki. Nawet nie zaniepokoiło jej jego bezmierne przywiązanie do pracy. Skoro nie mogła już na nim wymusić, żeby robił, co ona zechce, cieszyła się, że czymkolwiek się zajmował.

W dniu spotkania zorganizowanego przez Towarzystwo jej mgliste podejrzenia zaczęły przybierać coraz bardziej realne kształty. Prosiła Jonathana, żeby wrócił wcześniej do domu. Mieli się przebrać i o godzinie szóstej przybyć do hotelu „Los Angeles Kipling”. Należała do zarządu i jako nowy członek rady musiała wraz z mężem wziąć udział w dobroczynnym bankiecie.

Była już ubrana i gotowa do wyjścia, lecz nie mogła doczekać się Jonathana. Centrala w „Aeropolis Mannequins” była w sobotę nieczynna. Zadzwoiła do pracowni, ale nikt nie odpowiadał. Spróbowała połączyć się z Markiem, lecz jego mieszkanie też było puste. Za dziesięć szósta sama nie wiedziała, czy jest zmartwiona czy zła, ale gdy Jonathan wszedł do mieszkania bez słowa usprawiedliwienia, wpadła w furję.

- Gdzie byłeś? - zapytała, podpierając się rękami pod boki, z twarzą tak czerwoną jak jej sukienka.

- Pracowałem. Wypuszczamy wiosenną kolekcję. Dostanę za to premię. - Ruszył do barku, lecz zatrzymał się w pół drogi. Spojrzał na Beccę i gwizdnął przeciągle. - Wyglądasz fantastycznie!

- Dziękuję.

- Czemu zrobiłaś się na bóstwo?

- Bo myślałam, że pójdziemy dzisiaj do kina - powiedziała sarkastycznie. Jonathan nalał sobie wódki, wychylił kieliszek i odpowiedział jej bez zająknięcia.

- Jak na miejscowe kino jesteś za bardzo wystrojona.

- Ale nie jestem za bardzo wystrojona jak na uroczyste spotkanie Towarzystwa do Walki z Rakiem.

Jonathan wybałuszył zdziwione oczy. Odstawił szklanę i momentalnie zaczął ściągać z siebie ubranie.

- Becco, naprawdę zapomniałem. Przepraszam. Serio. Za parę minut będę gotowy.

- Nie mam czasu dłużej czekać. Będziemy musieli spotkać się na miejscu.

- Jak chcesz. Cholera! Przepraszam. - Pobiegł do łazienki, zostawiając na środku pokoju zmiętą koszulę i spodnie.

Becca instynktownie podniosła ubranie z podłogi i już miała wrzucić je do pralki, gdy w kieszeni koszuli wyczuła kartkę papieru. Wyciągnęła ją, rozłożyła i przeczytała napisany ołówkiem numer telefonu. Podeszła do aparatu i wykręciła numer.

- Mulholland Motel, słucham? Becca zaczęło szumieć w głowie.

- Poproszę z Jonathanem Hillmanem.

- Przykro mi, lecz nie mamy nikogo zameldowanego pod takim nazwiskiem.

- Oh - powiedziała, próbując coś wymyślić - ale ja przed chwilą tam z nim byłam. Wysoki, czarne włosy, niebieskie oczy, w dżinsach i bawełnianej koszuli w czerwono - zieloną kratę.

- To pani jest tą wysoką, opaloną blondynką?

- Właśnie.

- Przykro mi, kochanie, ale wyszedł zaraz po pani.

- Dziękuję. Pewnie będę musiała złapać go w domu.

Becca odłożyła słuchawkę, schowała kartkę z powrotem do kieszeni i rzuciła ubranie na podłogę. Za wszelką cenę musiała się dowiedzieć, kim była ta brązowa bogini, jak długo Jonathan miał z nią romans i czy należało się tym przejmować. Zdecydowała, że odłoży te sprawy na później. W tym momencie szła na bal dobroczynny. Wszystko we właściwej kolejności.

Los Angeles ubrane było w bożonarodzeniową szatę: ulice udekorowane sznurami kolorowych lampek, a witryny sklepów pełne gwiazdkowych upominków. Wzdłuż Rodeo Drive każdy ekskluzywny butik starał się przyćmić wszystkie inne, błyszcząc wystrojem i zadziwiając kompozycją wystaw. Były złote drzewka ze złotymi lampkami i kryształowymi ornamentami u „Giorgia”; sztuczna choinka z francuskimi ozdobami, białymi welurowymi wstążkami i białymi świeczkami z wosku u „La Tessy”; neonowy trójkąt symbolizujący drzewko u „Bijana” i najbardziej urzekające drzewko w witrynie u „Cartiera”, zrobione z kryształowych gałązek, w ciągu dnia obwieszane diamentowymi bransoletkami, kolczykami naszyjnikami i pierścionkami z rubinami, szafirami i szmaragdami, zwieńczone na czubku tiarą, która była własnością cesarzowej Iranu.

W hotelu „Los Angeles Kipling” każde z drzew palmowych przy wejściu okalała gruba czerwona wstęga, a pomiędzy liśćmi błyszczały małe białe światełka. Bramy hotelu zwrócone w stronę granicy Bel Air i Beverly Hills przybrano gęstymi krzewami oddzielającymi luksus od biedniejszego sąsiedztwa.

Kiedy Jonathan dotarł na miejsce, godzina koktajlowa dobiegała końca. Dziesiątki razy usprawiedliwiała jego nieobecność słowami „geniusz przy pracy”. Jednak skoro wszystkie kobiece oczy błędziły za Jonathanem, po czym rzucały zazdrosne spojrzenie na Beccę, nie mogła odmówić sobie przyjemności przebywania w towarzystwie męża.

- Przepraszam, że się spóźniłem, kochanie - powiedział, całując Beccę w policzek i przyjmując tak afektowany ton i maniery, że Becca poczuła się mile połechtana. - Przeprosiny dla wszystkich wokół - usprawiedliwiał się, rzucając uśmiechy przyjaciółkom Becki, wpatrzonym w niego jak w obraz.

- Nie spóźniłeś się, Jonathanie - powiedziała jedna z nich.
- Przyszedłeś w samą porę, żeby poprowadzić żonę do sali balowej.

- Czy pani też zechce się do nas przyłączyć? - zapytał skłaniając kurtuazyjnie głowę i puszczając oczko do Becki.

Starsza kobieta przylepiła się do jego boku, stawiając swojego męża w niezręcznej sytuacji. Zmieszany mężczyzna odebrał Jonathanowi swoją żonę, pozostawiając go sam na sam z Beccą.

- Nie wiem, dlaczego nie chciałaś, żeby urządzić tutaj to przyjęcie? - odezwał się, zwracając uwagę na przestronność pomieszczenia. - Wspaniale to zorganizowali.

- Po prostu nie lubię hoteli Kiplinga - odparła.

- Bo wycofali pieniądze z firmy twojego ojca, a on z kolei pozbawił cię pensji - wyrecytował Jonathan. - Rzeczywiście, zapomniałem.

- Ostatnio zapominasz o wielu sprawach.

- Ale jeszcze nie zapomniałem, jak się tańczy - powiedział, ignorując przytyk. - Idziemy?

Becca skinęła głową i poszła przez labirynt stolików na parkiet. W sali było pięćset osób, wszyscy wytwornie ubrani, panie w pięknej biżuterii. Becca czuła się w sukni Rochelle'a prawie jak królowa, ale kiedy rozejrzała się wokoło, jej nastrój nieco przygasł. Chociaż miała diamentowe kolczyki, prezent urodzinowy od Jonathanana, ale były za małe i nie podobały się Beccie. Nie lubiła także złotego naszyjnika z diamentami, który mąż kupił jej na pocieszenie, kiedy poroniła. Nie założyła dzisiaj tej biżuterii. Woląca godzinami biegać po sklepach, aż w końcu natrafiła na sztuczne klipsy i kolie, które ładnie przypominały prawdziwe klejnoty. Drażniła ją myśl, że jest zapewne jedyną kobietą na sali, która nosi imitację.

Po tańcu zajęli z Jonathanem miejsca na podium. Becca zwróciła się do siedzącego po lewej stronie mężczyzny, który

zachwycał się wystrojem sali. Wnętrze było czerwono - białą baśnią. Wzdłuż ścian w równych odstępach zwisały z kwietników girlandy czerwonych kwiatów , które przepięknie kontrastowały ze śnieżną bielą ścian.

Przy każdym wejściu w dużych kamiennych doniczkach stały fikusy upstrzone małymi, choinkowymi lampkami. Lampy na dziesięciu żyrandolach, podobnie jak świece kinkietów, udekorowane były czerwonymi kokardami i gałązkami jemioli. Na każdym stole leżał biały aksamitny obrus, wyglądający jak świeży śnieg, a na szklanych tacach postawiono najlepszą chińską porcelanę z Limoges, z czerwonym różanym motywem. Kipling używał tej zastawy tylko na szczególne okazje. Pośrodku na dużych szklanych kręglach stały przezroczyste czary z czerwonymi różami i świeżymi gałązkami sosny, których zapachy mieszały się, tworząc niepowtarzalną woń.

Becca miała spory udział w wystroju sali i z radością słuchała pochwał. Przez chwilę nie zwracała uwagi na to, że Jonathan zajęty był zupełnie czymś innym. Dopiero kiedy odsunął krzesło, przypomniała sobie o jego obecności.

- Gdzie idziesz, kochanie? - zapytała mając nadzieję, że mąż wyczuje dezaprobatę w jej głosie.

- Jeden z moich kolegów po fachu właśnie wszedł na salę. Powinienem się z nim przywitać.

Bez czekania na jej zgodę opuścił podium. Mężczyzna, z którym rozmawiała Becca, kontynuował monolog na temat zbieżności pięknego otoczenia z niespodziewanie wysokimi dotacjami, jednak Becca nie potrafiła się skupić. Próbowwała odnaleźć wzrokiem Jonathana, ale nie udało jej się go dostrzec wśród setek ludzi tańczących na parkiecie. Ponieważ nie podano jeszcze kolacji, większość gości przechadzała się wokół stołów. Właśnie miała przeprosić swojego rozmówcę i udać się na parkiet, kiedy ich wypatrzyła. Kolega Jonathana

był tym, kogo Becca najwyraźniej się spodziewała - wysoką blondynką ze złotą opalenizną.

Przez chwilę poczuła przyływ zazdrości. Jonathan trzymał tę kobietę tak blisko. Obejmował jej talię i nawet z takiej odległości mogła zauważyć, że ich ciała niemalże do siebie przylegały. Blondynka miała długie włosy, które opadały na gołe, pięknie opalone plecy. Jonathan uwielbiał długie włosy, lecz Becca zawsze ścinała je do ramion na stosowną długość.

Blondynka miała prostą sukienkę z białego jedwabiu, z górą bez ramiączek, dopasowaną do biustu, i dołem luźno opadającym prawie do ziemi. Nie była aż tak droga jak kreacja Becki, jednak wprawne oko pani Hillman natychmiast oceniło, że nie była to też tania tandeta. Becca za wszelką cenę pragnęła w myślach zdyskwalifikować tę kobietę. Chciała porównać ją do zwyczajnej dziwki, jednak musiała przyznać, że było coś hipnotyzującego w tamtej dziewczynie. Jonathan był nieprzytomnie wpatrzony w swoją zdobycz. Jednak Becca nie byłaby sobą, gdyby poddawała się bez walki.

Kiedy muzyka ucichła, Jonathan odprowadził partnerkę do jednego z przednich stolików. Teraz ciekawość Becki sięgnęła zenitu. Myślała, że dziewczyna była jakimś podrzędnym pracownikiem z biura i dostała bilet na bal jako dodatek do premii. Okazało się, że bardzo się myliła. Kiedy Jonathan wrócił do stolika, Becca nie marnowała dłużej czasu.

- Czy to jedna z twoich modelek? - zapytała.

Jonathan pokiwał głową i poszedł po następny kieliszek wódki.

- Nie poznaję jej twarzy - powiedziała. - Czy używasz jej do rąk i nóg? Jonathan sączył wódkę. Popatrzył w oczy żonie i zauważył iskrę zazdrości.

Wywęszył pułapkę.

- Pozuje mi do piersi i ud - głośno odpowiedział.

- Jonathan! Nie rób mi wstydu.

- Wobec tego nie zadawaj mi głupich pytań. Jest modelką. Występuje w reklamach telewizyjnych, czasami w filmach, a ostatnio pozuje dla „Acropolis Mannequins”. Jeżeli chcesz poznać jej pozycję i rozwój kariery, to musisz do niej iść i sama zapytać.

- Może pójde - odparła Becca, mając nadzieję, że nikt nie podsłuchał tej rozmowy.

- Proszę bardzo.

Jonathana ogarnął nastrój przygnębienia. Wiedział, że Becca poszuka sobie bardziej wiarygodnego źródła informacji. Oczywiście patrzyła już tylko w jedno miejsce, zachowując bezpieczny odstęp dwóch krzesel.

- Pani Grayson - zwróciła się do siedzącej obok znajomej.

- Nie wie pani, kto siedzi przy stoliku numer trzy, zaraz przy parkiecie?

Edna Grayson wyjęła okulary z wyszywanego koralikami futerału i przebiegła wzrokiem po sali.

- Chodzi pani o drugi stolik na lewo od orkiestry?

- Tak, o tamten.

- To stolik Kiplingów.

- Słucham?

- Zawsze zostawialiśmy stolik dla zarządu hotelu, wyrażając w ten sposób wdzięczność za pomoc w organizacji przyjęcia.

Becca poczuła łomotanie w głowie. Dotknęła czubkami palców do skroni i zaczęła je masować.

- Coś się stało, kochanie?

- Nic. To tylko niewielki ból głowy. - Becca zmusiła się do uśmiechu i wróciła do wypytywania Edny Grayson. - Wie pani, kto siedzi przy tym stole? Czy to może obsługa biura?

- Och, nie. Zazwyczaj przychodzi ktoś z rodziny Kiplingów, a reszta to wyżsi urzędnicy z organizacji

finansujących nasze uroczystości, w tym wypadku „Kipling Worldwide”. Kipling popiera działalność naszej organizacji i jest gotowy udostępnić także inne swoje hotele. To bardzo hojny członek naszego Towarzystwa.

- Bez wątpienia jest cudownym człowiekiem. A kto dzisiaj jest obecny?

- W uroczystości miał wziąć udział pan Harrison Kipling z żoną, ale pojechali na narty do St. Moritz. Wobec tego przyszedł pan Jeffrey Dodge, jeden z szefów, państwo Billings, bliscy przyjaciele Kiplingów, i oczywiście Ralph Sworing, dyrektor generalny hotelu „Los Angeles Kipling” z kilkoma znajomymi.

Becca coraz bardziej się niecierpliwiła. Ból głowy się nasilał.

- A kim jest ta młoda blondynka w białej sukience?

- To Heather Elliot, siostra pani Kipling. Taka śliczna dziewczyna! Już kilka razy brała udział w naszych pokazach. Zawsze chętna do pomocy...

- Jadę do domu - Becca odsunęła krzesło, o mało go nie przewracając. Jonathan poderwał się z miejsca i stanął zakłopotany.

- Wszystko w porządku? Mogę ci w czymś pomóc?

- Nie. Fatalnie się czuję.

Z grymasu na jej twarzy bez trudu odgadł, że przechodziła kolejny atak migreny... Już jakiś czas temu zaobserwował, że zawsze istniała przyczyna tego bólu. Nie pojawiał się tak po prostu. Coś go poprzedzało. Może gdyby zdołał odkryć tę tajemnicę, dowiedziałby się, co tak wstrząsnęło Frances Rebecą Hillman!

Niecałe cztery godziny zajęło Becce przeprowadzenie śledztwa mającego na celu zebranie wszystkich informacji na temat Heather Elliot. Nie tylko miała jej domowy adres apartamentu w Central City, ale znała także rozkład jej zajęć

na następne dni. Jej agent powiedział, że przed piątą Heather powinna być już w domu. Kiedy nie pojawiła się do godziny dziesiątej, Becca wiedziała, gdzie była i z kim.

Czekała w holu przed mieszkaniem Heather od godziny czwartej. Próbowwała nie myśleć o tym, po co tutaj przyszła, więc zajęła się czytaniem magazynów „Town and Country”, „Architectural Digest” i „Vogue”. Gdy usłyszała dźwięk otwieranych drzwi, знаła już na pamięć wszystkie trzy czasopisma. Natychmiast poderwała się z fotela.

- Panna Elliot? - spytała, wychodząc z rogu korytarza i stając przed Heather.

- Tak. Czym mogę pani służyć?

Becca słodko się uśmiechnęła.

- Może mnie pani zaprosić na filiżankę gorącej kawy, a potem może mi pani powiedzieć, dlaczego pieprzy się pani z moim mężem.

Heather bez słowa szeroko otworzyła drzwi, wpuszczając nieproszonego gościa. Kiedy znalazły się obie w środku, położyła na stole klucze tuż obok swojego zdjęcia z Jonathanem, usadowiła gibkie ciało w dużym, skórzanym fotelu i poprosiła Beccę, żeby usiadła naprzeciwko.

- A teraz - zaczęła - po co pani tutaj przyszła?

- Chciałabym wiedzieć, dlaczego sypia pani z moim mężem.

Becca spojrzała na fotografię na stole i zauważyła kilka innych zdjęć stojących w różnych miejscach. Stanowili z Jonathanem przystojną parę i doprowadzało ją to do szału.

- Sypiam z nim, ponieważ pani tego nie robi.

Heather zrzuciła buty i przewiesiła nogi przez poręcz fotela.

Albo przygotowała się na to spotkanie, albo też była jedną z najbardziej błyskotliwych kobiet, jakie Becca kiedykolwiek

spotkała. Jedna rzecz nie ulegała wątpliwości - nie była byle popychłem, jak to sobie Becca wyobrażała.

- Żądam, żeby zakończyła pani ten romans - powiedziała tak, jakby zwracała się do niesfornego dziecka.

- Niech mnie pani posłucha, młoda damo. Tak się składa, że zakochałam się w pani mężu. Jeśli powie „koniec”, to przestaniemy się widywać. Ale ani minuty wcześniej.

Becca ledwie zdołała utrzymać nerwy na wodzy. Wiedziała, że Heather dopiero co wyslizgnęła się z ramion Jonathana, że jego zapach na jej skórze był ciągle świeży, a jego dotyk wciąż ciepły i kojący. Miłość Jonathana dawała Heather poczucie bezpieczeństwa. To tylko Becca stała sama w zimnym korytarzu. To Becca spała w zimnym łóżku, kiedy Jonathan kochał się z Heather.

- Rozbija pani moje szczęśliwe małżeństwo - powiedziała Becca i aż zaboląły ją uszy od wyświechtanego brzmienia tego sloganu i głuchego echa kłamstwa.

- Gdyby pani małżeństwo było szczęśliwe, nie miałabym czego rozbijać. - Heather wzięła papierosa z leżącego na stoliku pudełka, przypaliła go i mocno się zaciągnęła. Później pochyliła się i spojrzała prosto w oczy Becki. - Pani Hillman, naprawdę przykro mi z tego powodu. Wiem, że wychodzę na salonową lwicę i osobę pozbawioną skrupułów, ale nie miałam najmniejszego zamiaru angażować swoich uczuć w związek z żonatą mężczyzną. Kiedy poznałam Jonathana, nic o nim nie wiedziałam oprócz tego, że jest niesamowicie przystojny i potwornie nieszczęśliwy.

- I, jak mniemam, zdołała pani to wszystko zmienić?

- Wydaje się ze mną szczęśliwy.

- Jonathan jest zawsze szczęśliwy, jak się idzie z nim do łóżka. - Odparła Becca z przekąsem. - Jest jak dziecko, które interesuje wyłącznie własna wygoda. Mogłabym opowiedzieć o innych kobietach w jego życiu, ale nie chcę pani zanudzać.

- Nie wierzę pani, pani Hillman.

- To pani problem, panno Elliot. - Becca wstała z miejsca, pewna, że uzyskała przewagę. - Powiem pani coś jeszcze: zerwie pani z Jonathanem, powie mu pani, że nigdy więcej nie chce go pani widzieć i zrobi to pani tak szybko, jak tylko można.

Heather usłyszała groźbę w głosie Becki. Teraz rozumiała już, dlaczego Jonathan szukał u niej spokoju. Rozumiała, dlaczego obawiał się porzucić żonę. Wiedziała, że Becca kłamie. Mówiła o innych kobietach tylko po to, żeby ją urazić. Jednak zdawała sobie sprawę, że nie może jej nie doceniać. - A co się stanie, jeżeli powiem nie? - zapytała przewidując następną pogrózkę.

- Mam parę druzgocących informacji na temat pani siostry - Jinx Kipling; informacji, które mogą nie tylko zniszczyć jej reputację, lecz także jej małżeństwo.

- Jakie informacje? Skąd pani zna moją siostrę?

- To nieistotne w tym momencie. Musi pani zrobić to, co każe. Jeżeli nadal będzie pani niszczyć moje małżeństwo, zniszczę pani siostrę.

Odwróciła się na pięcie i zostawiła Heather stojącą na środku pokoju przestraszoną i zmieszaną. Co takiego mogła wiedzieć Becca Hillman? Heather nie miała pojęcia. Jednego była pewna: że kocha Jinx tak samo mocno jak Jonathana. Jeśli uwierzy Becce i zerwie z Jonathanem, straci kochankę i przyjaciela, lecz ocali siostrę. Jeśli zignoruje groźbę i nadal będzie widywać się z nim, straci oboje.

Godzinami starała się rozciąć ten gordyjski węzeł, poszukać jakiegoś wyjścia z sytuacji, ale bez względu na to, jak naświetlała fakty, dochodziła ciągle do tego samego wniosku - dopóki nie będzie miała dowodów na to, że Becca kłamie, musi robić dokładnie to, co tamta każe. Nie dlatego, że jej uwierzyła, i nie dlatego, że było to najłatwiejsze wyjście

z sytuacji. Heather nie chciała igrać z życiem Jonathana, Jinx i swoim. Spotkanie z Beccą trwało wprawdzie kilkanaście minut, ale kiedy dobiegło końca, Heather nie miała wątpliwości, że Becca Hillman nie zastanowiłaby się ani sekundy nad zniszczeniem człowieka, którego uważałyby za swojego wroga.

Ulica Portobello we wtorkowe poranki zwykle ziała pustką, ale ostatnio od wschodu do zachodu słońca na ulicach otaczających słynne targowisko tłoczyli się ciekawscy gapie. Powodem tego poruszenia było kręcenie zdjęć do filmu „Księżna z ulicy Portobello” z amerykańską superpięknością Frankie Travis i angielskim casanową, Colinem Matthesonem.

Oczywiście nie był to pierwszy film kręcony w tym rejonie i prawdopodobnie nie ostatni, ale z jakiegoś powodu ta historia w tym czasie i miejscu wywołała olbrzymie zainteresowanie. W zasadzie, prawo brytyjskie wymagało, aby większość ekipy i duży procent obsady pochodził z Anglii. Jednak ulice okupowało tyle samo londyńczyków co turystów. Dla miejscowych kino oznaczało Hollywood, a Hollywood sławę i blask. Podczas ciężkiej zimy, z fatalną pogodą i jeszcze gorszą sytuacją ekonomiczną w kraju, sława i blask były artykułami pierwszej potrzeby.

Podczas przerw w zdjęciach turyści gromadzili się w małych sklepikach ustawionych wzdłuż ulicy, kiedyś stanowiącej trakt dla dorożek. Przechadzali się od jednego straganu do drugiego, wyjątkowo robiąc zakupy we wtorek zamiast w sobotę rano. Targowali się o dzbanki z wiktoriańskiej zastawy, kawałki irlandzkiej koronki, ręcznie robioną srebrną ramę lub o rzadki okaz znaczka. Przeglądali sztywne kartki oprawnych w skórę starodruków. Spoglądali na stare drewniane kije i buty z metalowymi kolcami, które pamiętały Królewskie Turnieje Golfowe. Zatykali palcami nosy przy straganach z warzywami, starając się nie wdychać smrodu rozkładających się śmieci i oglądali świeże produkty ułożone w dużych wiklinowych koszach. Ale przede

wszystkim ciekawie zerkali na ludzi, którzy zawsze stanowili największą atrakcję ulicy Portobello.

Zach Hamlin podniósł kołnierz płaszcza i jeszcze raz obwiązał się szalikiem od Burberry'ego. Szedł ze stacji Notting Hill Gate wzdłuż ulicy Rembridge do Portobello. Niecały tydzień temu przyjechał z Paryża do Londynu. Zamiast zajmować się sprawami międzynarodowymi, w jego biurze rozmawiano wyłącznie o nowym filmie. Brytyjska prasa, zawsze żądna sensacji, która mogłaby przyćmić doniesienia o wzrastającym bezrobociu, strajkach związkowych i nowych zamachach IRA, dodawała pikanterii kolumnom towarzyskim, relacjonując rzekomy romans między dwójką gwiazdorów grających w „Księżnej z ulicy Portobello”.

Właściwie można było mnóstwo napisać na ten temat. Przyjaciele Zacha w „World Press Service” twierdzili, że plotki krążyły prawie nieprzerwanie. Jedna wersja głosiła że Colin i Frankie kochają się do szaleństwa, ale za wszelką cenę chcą utrzymać w tajemnicy swój romans. Inna mówiła o tym, że toczyli o wszystko batalie, włącznie z tym, czyje nazwisko pojawi się pierwsze w czołówce i ile zbliżeń będzie miało każde z nich. Trzecia wersja, jedyna, która wydawała się Zachowi sensowna, przedstawiała Frankie jako młodą i naiwną aktorkę, będącą pod całkowitą kontrolą swojego agenta - Luke'a Maddoxa, który manipulował nią dla siebie znanych celów.

Zach słyszał już gdzieś wcześniej to nazwisko. Zostawił kilka listownych wiadomości w hotelu dla Frankie, ale ona nawet nie zadzwoniła. Zach mógł dać głowę, że albo Luke konfiskował jego listy, zanim mogła je zobaczyć, albo nadal była na niego zła za rozmowę, jaką przeprowadzili w Los Angeles.

Zadzwoił do niej z Sajgonu w momencie, gdy ze swoim fotografem miał wracać z Laosu do biura w Stanach. Opowiedziała mu o Sunny Samuels, o czarnej liście i konferencji prasowej, ale instynkt reportera mówił mu, że pominęła parę istotnych faktów. Kiedy w czasie krótkiego urlopu pojechał odwiedzić rodziców, dowiedział się od Sheili Hamlin, że Sunny Samuels została zupełnie zniszczona. Według słów matki, wszyscy w Hollywood uważali, że Frankie posunęła się za daleko.

W ciągu pierwszego tygodnia, który spędzali razem, żadne nie poruszało tego tematu. Frankie cieszyła się, że Zach był cały i zdrow i że wrócił do domu w doskonałej formie. Zach nie posiadał się ze szczęścia, mogąc znów zatopić się w miękkościach jej ciała i odczuć odradzającą witalność jej młodości. Wprowadził się do jej mieszkania i, poza kilkoma sesjami zdjęciowymi, spędzali czas w swoich ramionach.

Dopiero, kiedy któregoś dnia Luke Maddox otworzył drzwi do apartamentu Frankie własnymi kluczami i rozkazał jej, żeby natychmiast się ubierała, Zach przypomniał sobie o incydencie z Sunny Samuels. Frankie jak automat wykonywała wszystkie polecenia agenta, bez protestów rezygnując ze swoich wcześniejszych planów. W takich momentach Zach zupełnie przestawał się dla niej liczyć. Kiedy któregoś dnia wróciła do domu wyczerpana i rozżalona, gdyż coś znowu jej się nie powiodło, Zach popełnił kardynalny błąd, żartobliwie sugerując, że być może Luke Maddox nie był największą rewelacją w Hollywood od czasów wynalezienia kokosowego olejku do opalania.

- Gdyby nie on - zaprotestowała - to gdzie bym teraz była?

- Ze mną w łóżku - odpowiedział Zach, chcąc poprawić jej humor.

- Nie bądź zazdrosny - prosiła ciągle, zajmując defensywną postawę. - Jestem dłużniczką Luke'a. Zrobił dla mnie coś, czego nikt inny nie był w stanie dokonać. Dał mi prawdziwą szansę.

- Inni też próbowali - odparł Zach, niezadowolony z pobrzmiwającego w jej słowach podziwu dla bohaterskiego Luke'a Maddoxa. - Może Luke po prostu zjawił się we właściwym momencie?

- Może. Ale cokolwiek byś mówił, kiedy stałam na skraju przepaści, nie było przy mnie ani ojca, ani Karen. Cissie też była daleko, ty zaszyłeś się gdzieś w azjatyckiej dżungli. Zostałam zupełnie sama i oprócz Luke'a do nikogo nie mogłam się zwrócić o pomoc. To on odkrył źródło moich problemów i zaproponował rozwiązanie. Przyjęłam jego rady i od razu podpisałam kontrakt na udział w jednym z największych programów telewizyjnych, a teraz czytam scenariusze do kilku niezłych filmów. Nawet zrobiłam już zdjęcia próbne do głównej roli; zaczynam robić karierę i mogę za to podziękować wyłącznie Luke'owi.

Zach zaczął się wycofywać, ale nie zadowolilo to Frankie.

- Znakomicie - odparł. - Nie ma co do tego wątpliwości. Ja tylko kwestionuję metody. Takie postępowanie niepotrzebnie przysporzyło ci wroga. Może gdybyś porozmawiała z tą Samuels na osobności, udałoby ci się załatwić to w inny sposób. Ostatecznie to nie ty spałaś ze starym Hershelem, tylko Lillie.

- Nie było cię tam - upierała się Frankie. - Nie widziałeś ani nie słyszałeś, jaka była wściekła i jaka okropna.

- Owszem, nie było mnie, ale wcale nie dlatego, że nie chciałem tam być.

- Wcale nie jestem tego taka pewna - powiedziała zmęczona ciągłym usprawiedliwianiem się. Chciała, żeby on też wyjaśnił jej parę rzeczy.

- Co masz na myśli? Czyżbyś próbowała mi wmówić, że celowo zgubiłem się w Laosie, by uniknąć doradzenia ci, co masz robić ze swoją karierą? Frankie, kiedy ty wreszcie spoważniejesz?

- Cały czas jestem poważna. Łatwo oceniać wszystko z dystansu, kiedy to nie ma związku z twoim codziennym życiem, albo potępiać rzeczy, które już się zdarzyły. - Zaczęło narastać w niej oburzenie. - A gdzie ty się podziewałaś, kiedy tak bardzo ciebie potrzebowałam? Poprosisz o przydział do Kalifornii, żeby ze mną być? Nie! Wkrótce znowu znajdziesz się w jakiejś obskurnej, zawszonej dziurze, i będziesz narażał życie tylko po to, żeby napisać jeszcze jeden reportaż, który okaże się szczeblem do twojej dziennikarskiej kariery i biletu wstępu do telewizji. A tymczasem, kiedy ty będziesz daleko, zajmując się swoimi sprawami, Luke Maddox zaopiekuje się moim życiem.

- Dobrze, masz rację - powiedział ustępliwym tonem. Wszystko, co mówiła, było prawdą. Właśnie czekał na następny przydział. Miał nadzieję, że to będzie naprawdę coś. Piał się coraz wyżej. - Jednak istnieje zasadnicza różnica. Luke cię nie kocha.

Podszedł, żeby ją objąć, lecz strząsnęła jego rękę.

- Ale zależy mu na mojej przyszłości, a może to jest ważniejsze niż miłość. Zach nie mógł uwierzyć własnym uszom. Bardzo go to zabolalo.

- Wygląda na to, że twoja kariera już wszystko ci przesłoniła. - Powiedział.

- Nie pozostało mi nic innego - skarżyła się Frankie. - Nie mam nikogo, do kogo bym należała.

- Myślałem, że należymy do siebie.

- Ach, to są tylko słowa. Potrzebuję czegoś konkretnego, kogoś, na kim mogłabym się oprzeć. Jeśli nie potrafisz albo

nie jesteś gotów, żeby mi to dać, w porządku, ale nie krytykuj Luke'a Maddoxa.

W tej chwili Zach skręcił za róg i wszedł w jedną z uliczek przy rynku Portobello. Przypomniawszy sobie, jak bardzo napięte były ich stosunki i jaką poczuli ulgę, kiedy wreszcie dostał przydział i pojechał robić reportaże z wojny domowej w Libanie. Zastanawiał się, czy czas zagoił już rany, zostawiając furtkę na powrót ich miłości.

Spodziewał się, że ujrzy ciężko pracujących techników i aktorów, ale kamery stały w miejscu, a wszyscy kręcili się w kółko, klaszcząc w ręce i tupiąc nogami, żeby choć trochę się rozgrzać.

Zauważył Josego Bantę opartego o ścianę budynku. Stał bez czapki, bez rękawiczek, w rozchełstanej kurtce. Miał nietęgą minę. Kiedy Zach poznał Frankie, pozowała dla Josego. Z miejsca polubili się z Zachem. Mieli jedną wspólną cechę - obydwaj kochali Frankie i nienawidzili Lillie.

- Jeśli się nie zapniesz, to dostaniesz zapalenia płuc.

Jose spojrzał na Zacha tak, jakby widzieli się dwa dni temu.

- Wszystko byłoby lepsze od tego filmu.

- Aż tak źle?

- Gorzej.

- No to wdepnijmy w jakieś ciepłe miejsce i pogadajmy.

Jose zaprowadził go dwa domy dalej, do sklepu z mięsem.

- Loyd jest moim kumplem - wyjaśnił. - Da nam gorącej herbaty i parę domowych ciasteczek. - Uśmiechnął się do rumianego mężczyzny za ladą, ubranego w biały, poplamiony krwią fartuch. - Pomijając konkurencję, ciasteczka Emmy pretendują do Oscara. Mam rację, Lloyd?

Emma przyniosła duże filiżanki herbaty i kilka ciastek, podczas gdy Lloyd przyciągnął kilka skrzynek po pomarańczach, by było na czym usiąść. Zach usiadł obok

Josego i sączył herbatę. Była słodka i ogólnie biorąc wszystko mu odpowiadało, dopóki nie spojrzał na okrwawione ciała świeżo ubitych królików.

- Dziwne - powiedział, patrząc na rząd obranych ze skóry niegdyś długouchych i białoogoniastych zwierząt, które teraz zwisały nadziane brzuchami na haki. - Coś w rodzaju wystawnej kolacji dla markiza de Sade?

- Może wykorzystam to w następnym filmie - odezwał się Jose. - Jeżeli zrobię jeszcze jakiś.

- Co się dzieje?

- Niewiele, i to jest głównym problemem. Frankie nie jest sobą. Zupełnie nie reaguje na wskazówki. Jest sztywna jak drut.

- Może to taka rola? - zapytał Zach, chociaż przewidywał, jaka będzie odpowiedź Banty.

- To ten jej agent. Postanowił sam nauczyć ją grać. Właśnie teraz zabrał ją do baraku. Czytają scenariusz i doradza jej, jak powinna grać. Ten facet myśli, że jest Swifty Lazarem, Lee Strasbergiem i Georgiem Cukorem w jednej osobie.

- Założę się, że to kiepsko mieć dwóch reżyserów na planie - powiedział Zach, starając się zapanować nad niechęcią do Luke'a Maddoxa.

- Szczególnie jeśli główna aktorka czuje się tak zagrożona, że wszystkich mierzy tym samym kryterium, które można ująć słowami: A co ty dla mnie ostatnio zrobiłeś? I na tej podstawie opiera swoje zaufanie. Jasne, że stary Maddox zrobił dla niej więcej niż ja.

Jose oderwał oczy od krajobrazu za oknem i poderwał się na równe nogi.

- Jeśli sam chcesz się przekonać, to chodźmy. Już pojawiła się nasza gwiazda, wobec tego zaczynamy kręcić - powiedział z udanym entuzjazmem.

Przez następne trzy godziny Zach starał się nie rzucać w oczy. Nie sądził, żeby to był odpowiedni moment na ujawnienie swojej obecności. Nie chciał wprowadzać zbędnego zamieszania. Miał także sposobność obserwowania Frankie, Josego i przyczynę problemów - Luke'a Maddoxa.

Jak zdążył się zorientować, film opowiadał o młodej Amerykance, która przyjechała do Londynu, żeby odzyskać posiadłość swojej matki. Spodziewała się fortuny, a tymczasem okazało się, że cały majątek matki ograniczał się do straganu na ulicy Portobello i mało ciekawego zbioru starej biżuterii. Ojciec dziewczyny, który zabrał ją do Stanów, kiedy była niemowlęciem, zmarł zaraz po przyjeździe i dzieckiem zajęli się krewni. Przez całe życie matka pisała do niej listy, przedstawiając siebie jako księżnę, która wiodła luksusowe życie, obracając się w kręgach europejskiej śmietanki. Kiedy zmarła, dziewczyna sądziła, że odziedziczyła po niej tytuł, majątek i świetną pozycję. Po przyjeździe okazało się, że matka nazywana była księżną ulicy Portobello, gdyż przez całe życie nosiła się jak królowa. Ubierała się w starą pretensjonalną odzież i nakładała na siebie kilogramy ozdób, jednocześnie nie zapominając o przyjaciółkach i z hojnością królowej rozdając pieniądze tym, którym interes nie szedł aż tak dobrze.

Bohaterka, chcąc lepiej poznać życie zmarłej matki, próbuje nawiązać kontakt z jej przyjaciółkami, jednak spotyka się z podejrzliwą, nieprzychylnie nastawioną społecznością, która nie chce jej zaakceptować. W ciągu dnia próbuje zyskać ich aprobatę, dzielnie znosząc obojętne wzruszenia ramionami i wrogie szeptu, natomiast noce spędza w bardziej interesujący sposób w towarzystwie pewnego młodego Anglika, który spotkał ją na herbacie w hotelu, gdzie mieszkała. Powiedziała mu, że jest modelką; on ukrył przed nią swoje książęce pochodzenie.

Właśnie dzisiaj filmowano scenę, w której młody Anglik przypadkiem zjawia się na rynku Portobello i widzi, jak jego muza sprzedaje bibeloty z rozsypującego się wózka.

Zach obserwował tę scenę ze sklepu Lloyda. Fascynowało go posłuszeństwo aktorów, którzy na dźwięk „stop” natychmiast zamierali w bezruchu, by po usłyszeniu „klapsa” ponownie przystąpić do gry. W jednej chwili rynek wypełnił się ludźmi. Statyści wchodzili i wychodzili ze sklepików, zatrzymując się na zewnątrz, zagadując przekupniów. Na polecenie Josego, Colin Mattheson i dwóch innych aktorów zaczęli przemierzać rynek, zatrzymując się przy niektórych straganach, rzadko kiedy zwracając uwagę na sprzedawców.

Kiedy podeszli do stoiska Frankie, Colin odruchowo wziął w rękę naszyjnik. Właśnie w tym momencie Frankie chciała pokazać ten sam naszyjnik innemu klientowi. Zetknęły się ich ręce i spotkały oczy. Colin doznał prawdziwego szoku. Frankie ubrana była w wyleniałe futerko z nutrii, wygniecioną sukienkę z tafty, na głowie miała wełnianą czapkę, a jej ręce okrywały przed mrozem rękawiczki bez palców. Zapytał ją, czy na tym właśnie polega praca modelki. Na początku miała spuścić wzrok i zrobić wystraszoną minę, zakłopotana, że dowiedział się, kim jest. Za chwilę, kiedy zaczął odnosić się do niej z wyższością, miała zacząć bronić siebie i innych przekupniów. Colin miał odejść, do żywego dotknięty jej kłamstwem, Frankie zaś miała nadal wykonywać tę pracę, z dumą i smutkiem, by w końcu powoli zacząć zyskiwać uznanie u innych sprzedających.

Powtarzali tę scenę dziesiątki razy. Colin brał ją za rękę. Spoglądali na siebie. Colin był zszokowany. Czuł się zdradzony. Zagrał świetnie. Frankie spłoszyła się i zdenerwowała. Zupełnie nieźle. Wyglądała na odpowiednio zakłopotaną, ale kiedy otworzyła usta, żeby wygłosić burzliwy monolog, wypowiedane przez nią słowa brzmiały sztucznie.

Nie wyrażały żadnych emocji, żadnego uczucia, żadnej dramaturgii, nic, co mogłoby poruszyć widzów. Jose rozmawiał z nią wiele razy, zawsze spokojnie i w cztery oczy. Kiedy ponownie zaczęły pracować kamery, Zach zauważył, jak Frankie rzuca spojrzenie Luke'owi, który mrugnął do niej okiem, tak jakby dawał jej znak, żeby zagrała tę scenę według jego wskazówek.

Właśnie mieli przygotować się do czterdziestego szóstego ujęcia, kiedy Zach zauważył, że ktoś dał Luke'owi karteczkę. Przeczytał ją, pokiwał głową do Frankie i odszedł. Kiedy Zach zobaczył go wsiadającego do taksówki, wyszedł ze sklepu i dyskretnie podszedł do Josego. Jeszcze raz powtarzano scenę.

Na początku Frankie nie zauważyła Zacha. Była tak zmęczona, że prawie padała z nóg, a musiała jeszcze skoncentrować się na roli. Czuła na sobie zdenerwowane spojrzenia innych aktorów. Szło jej tak źle od samego początku i nie miała pojęcia dlaczego. Dobrze się przygotowała. Dawała z siebie wszystko. Nieważne, jak często pytała Luke'a, zawsze udzielał jej tej samej odpowiedzi. Twierdził, że Jose jest amatorem, Colin zazdrośnikiem, który chorobliwie chce być najlepszy, a pozostali po prostu nie mają pojęcia, jak grać. Ponieważ Luke był jedynym człowiekiem, z którym się spotykała poza planem, nie miała okazji zapytać o zdanie nikogo innego. Najprawdopodobniej w ogóle nie przyszło jej do głowy, że mogłaby to zrobić.

Colin zbliżał się do jej stolika. Dotknął naszyjnika. Spojrzał na nią. Na chwilę podniosła wzrok, ale zaraz dostrzegła Zacha, który podszedł właśnie do Josego stojącego w polu jej widzenia. Natychmiast krew nabiegła jej do twarzy. Spuściła powieki i zagryzła dolną wargę. Wyglądała na zawstydzoną i zakłopotaną.

Banta wstrzymał oddech. To było najlepsze ujęcie całego dnia i dał sygnał kamerzyście, żeby kręcił wszystko bez wyjątku.

Frankie spojrzała na Colina i wyrecytowała swoją kwestię, ale widziała już tylko postać Zacha Hamlina i zalała ją fala uczuć. Czemu aż tak za nim tęskniła? Dlaczego miał na nią tak silny wpływ?

Colin oskarżył ją o kłamstwo, o stwarzanie pozorów osoby, którą nigdy nie była. Frankie spojrzała na Zacha. Zamiast słuchać tego, co mówi, przypomniała sobie ich ostatnią kłótnię i prośbę Zacha, żeby zawsze była sobą i nie pozwoliła Luke'owi Maddoxowi zrobić z siebie marionetki.

- Właśnie taka jestem - powiedziała drżącym i dumnym głosem. - To jest moja praca. Jeżeli ci to nie odpowiada, możesz odejść.

- Ale okłamałaś mnie - odparł Colin, chwytając ją za ramię.

Frankie wyzwoliła się z jego uścisku i spojrzała na niego odważnie. W kącikach jej oczu pojawiły się łzy.

- Nigdy nie kłamałam - opowiedziała cicho. - Po prostu nie mówiłam o tych rzeczach, o których i tak nie chciałbyś słyszeć. Wiedziałam, że nigdy nie zaakceptujesz handlarki tandetą, która spędza całe dni na targowisku Portobello. Teraz wiem, że miałam rację. Wszystko jasne - powiedziała wskazując palcem na siebie i swoje ubranie - nie chcesz tego.

Colin był zmieszany i niepewny. Frankie patrzyła na niego z nadzieją. Jej oczy mówiły, że pragnie tylko, by wziął ją w ramiona, mocno przygarnął i pokochał tak, jak ona go kocha. Ale Colin zbyt długo się wahał.

- Chyba nie znajdzie pan tu nic dla siebie - powiedziała, celowo modulując głos i przybierając piskliwy ton handlarki. - Nie podoba się? Przejdź pan do następnego stoiska.

Z powrotem zwróciła się do pierwszego klienta, odwracając się plecami do Colina, i zaczęła zachwalać zalety naszyjnika, cicho pociągając nosem i wycierając łzę zewnętrzną stroną rękawiczki. Tylko na sekundę obejrzała się za siebie i w jej oczach pojawił się przejmujący ból.

Jose i reszta ekipy byli zaszokowani. Właśnie tę Frankie Travis oglądali na próbnym zdjęciu. Właśnie taka Frankie była im potrzebna do roli księżnej i tylko taka Frankie Travis miała szansę zostać gwiazdą.

- Stop!

Jose, pomocnik reżysera, Colin i inni członkowie obsady podbiegli do Frankie, ściskając ją, gratulując i dziękując, że tak wspaniale zagrała tę scenę. Zach spojrzawszy porozumiewawczo na Frankie, dając znak, że będzie na nią czekał i aprobująco uniósł kciuk do góry.

Kiedy Frankie weszła do baraku zmienić ubranie, Banta podszedł do Zacha.

- Nie wiem, co masz do roboty, ale na pewno nie ruszysz się z Londynu, dopóki nie nakręcimy tego filmu.

- Była wspaniała. - Zacha naprawdę wzruszyła jej gra i zastanawiał się, jaka część tej roli była skierowana do niego.

- Prawdziwy cud. - Jose był podekscytowany. - Ten frajer Maddox opuszcza plan, ona widzi ciebie i proszę bardzo, z powrotem mam swoją dziewczynę.

- Może to tylko zbieg okoliczności - odparł Zach z żalem w głosie. - Nie jestem pewien, czy mam na nią jakiś wpływ.

Jose wyciągnął rękę i poklepał przyjaciela po plecach.

- A ja nie jestem pewien, czy go nie masz - odparł.

Zanim Frankie wyszła z baraku, reszta ekipy już się rozeszła i powitał ją tylko Zach.

- Cześć - powiedział nieśmiało, kiedy schodziła po drewnianych schodach. - Byłaś fantastyczna!

- Dzięki. - Czula się bardzo niezręcznie. Nie wiedziała, czy go pocałować, czy może uścisnąć mu dłoń. Zach przejął sprawy w swoje ręce i złożył jej delikatny pocałunek na policzku. - Nie wiedziałam, że jesteś w mieście.

- Zostawiłem cały stos wiadomości - powiedział starając się, by nie wyczuła oskarżenia w jego głosie.

- Nie dotarły do mnie - odpowiedziała szczerze, zupełnie zdezorientowana.

- Nic nie szkodzi.

Czuł się tak samo głupio jak ona. Przez parę sekund stali niezgrabnie naprzeciwko siebie, zastanawiając się, co dalej robić.

- Wyglądasz wspaniale - powiedział, zerkając ukradkiem na jej dłoń. Paznokcie Frankie były obgryzione do samej skóry. - Jak ci leci? - Zauważył także sińce pod oczami i zwrócił uwagę na to, jak mocno ciemnoczerwona szminka kontrastowała z jej bladą cerą.

- A jak było w Libanie? - zagadnęła, odpowiadając pytaniem na pytanie.

- Ciężko - odparł. Więc jednak było coś nie tak. - Nie mogą dojść do porozumienia.

- To zupełnie tak jak u mnie. Luke mówi, że gram znakomicie. Jose twierdzi, że jestem spięta. Colin myśli, że jestem zielona, a wszystkie gazety piszą, że gram, jak przystało na pierwsze skrzypce. A ty co o tym sądzisz?

- Sądzę, że bardzo bym chciał zjeść z tobą kolację.

Spojrzała na niego, po czym natychmiast odwróciła wzrok. Nie była pewna, jak przyjmie jej odmowę.

- Byłoby miło - powiedziała, staczając ze sobą walke. - Ale jestem naprawdę zmęczona.

- Nawet przez wzgląd na starą, dobrą znajomość? - zapytał, widząc jej zakłopotanie i wyczuwając wewnętrzny konflikt, jednak obstając przy swoim.

Krótki uśmiech pojawił się na jej wargach. Hipnotyzująca zieleń jego oczu jakby cofnęła ją w przeszłość, przypominając ich pierwsze spotkanie w Nowym Jorku, pobyt w Tajlandii, kiedy ich miłość wybuchła ciepłym, ożywczym płomieniem.

- W porządku - powiedziała, zatopiona we wspomnieniach. - Ale tylko przez wzgląd na starą przyjaźń.

Kiedy Zach wchodził do hotelu „Claridge” był prawie pewien, że spotka w holu Luke'a Maddoxa. Zastanawiał się, co by powiedział i co by zrobił, gdyby doszło do konfrontacji. Ale na szczęście nie było Luke'a. Zastał tylko Frankie ubraną w prostą, czarną sukienkę, ciasno przylegającą do jej ciała, kończącą się tuż nad kolanami, ukazującą zgrabne nogi w czarnych rajstopach. Szybko, w obawie, żeby nie natknąć się na Luke'a, Zach pomógł jej założyć płaszcz, po czym pobiegli do czekającej przed wejściem taksówki. - Gdzie jedziemy?

- Do jedyne miejsce w Londynie, gdzie można zjeść napoleonki ze świeżą bitą śmietaną.

Jej chichot szczerze go ucieszył. Całe popołudnie planował ten wieczór, wybierając restaurację, stolik, menu i wszystko, co mogło ułatwić pojednanie. Kiedy weszli do „Cicccone” i podeszli do małego stolika przy frontowym oknie, Frankie z niepokojem zmarszczyła brwi.

- Co się stało? Czy ten stolik ci nie odpowiada?

- Tutaj jest tak jasno - wyglądała na wystraszoną. - Ludzie mnie zobaczą, będą podchodzić i nam przeszkadzać. Wszystko popsują.

- Nie martw się - powiedział odsuwając krzesło i zastanawiając się, czy to naprawdę kolekcjonerzy autografów wprowadzali ją w taką panikę. - Usiądziesz plecami do sali. W ten sposób będą widzieć tylko mnie. - Zmusił się do śmiechu. - Jak widzisz, nikt się nie spieszy, żeby się ze mną przywitać. Będziemy mieli dużo szczęścia, jeśli w ogóle pojawi się kelner.

Uśmiechnęła się. Dlaczego zawsze jej uśmiech był dla niego tak ważny?

W zasadzie nie zamienili z kelnerem ani słowa. Zamówienie przyjął właściciel. Pomimo wysiłków, które miały na celu nakłonienie Zacha do zamówienia którejś ze specjalności kuchni, Hamlin wziął wszystkie ulubione potrawy Frankie: małże w oregano, sałatkę cesarską i cielecinę po włosku. Kiedy Zach dziobał widelcem w jedzeniu, Frankie zmiotła wszystko z talerza, jedząc z apetytem.

Jednak największą atrakcją był wózek z deserami, na widok którego Frankie wydała z siebie radosny pisk jak mała łakoma dziewczynka, którą tata zabrał na lody.

To nie była zwyczajna napoleonka. Po pierwsze była okrągła, wysoka i nie tak chrupiąca jak te zrobione z tradycyjnego francuskiego ciasta, lecz lekka i puszysta, wypełniona chmurkami bitej śmietany. Frankie bez większej zachęty zjadła wszystko co do okruszka.

Kiedy kelner przyszedł z dolewką kawy, nastrój Frankie wyraźnie się poprawił. Wyglądała na spokojniejszą, bardziej zrelaksowaną. Przypominała prawdziwą Frankie.

- Podoba ci się?. - zapytał nachylając się nad stołem i lekko dotykając jej dłoni. Nie cofnęła się, więc czule ją pogładził, nie spuszczać wzroku z jej twarzy.

- Jest cudownie - powiedziała, czując, jak ogarnia ją obezwładniające ciepło, które nie miało nic wspólnego z posiłkiem, winem, z napoleonką ani nawet z prawdziwą bitą śmietaną.

- Muszę ci coś powiedzieć - zaczął Zach.

- Nic nie mów. - Nie chciała, żeby cokolwiek zakłóciło jej błogi stan.

- Muszę. - Ujął jej dłonie w swoje ręce. - Muszę powiedzieć ci trzy rzeczy. Po pierwsze: kocham cię. Wiem, że moje zaloty są trochę niekonwencjonalne, ale odległość nigdy

nie osłabiła moich uczuć. Zakochałem się w tobie tego dnia w twoim mieszkaniu, kiedy zmiotłaś ostatni okruszek czekoladowego ciastka upieczonego przez Tildy, i kocham cię teraz, kiedy zmiotłaś ostatni kawałek napoleonki, może z wyjątkiem bitej śmietany, która przykleiła ci się do warg.

Frankie nie wiedziała, czy ma się śmiać, czy płakać. Zach nachylił się nad stołem i różkiem swej serwetki wytarł jej śmietanę z ust, pozwalając swoim palcom na chwilę dotknąć jej warg.

- Przepraszam za to, co się zdarzyło w Los Angeles - mówił. - Miałaś rację. Nie mam prawa mieszać się do twoich spraw i czepiać się Luke'a ani mówić ci, co jest dobre, a co złe i wydawać sądów o innych ludziach. Odnosiłem się do ciebie jak do dziecka, podczas gdy we wszystkich innych sprawach traktowałem cię jak dorosłą kobietę. Masz swoją pracę tak samo jak ja i żądanie, żebyś zrezygnowała ze swojej kariery, byłoby nieuczciwe z mojej strony. Masz ogromny talent, Frankie, i musiałbym być głupcem, żeby sprzeciwiać się twojemu rozwojowi. Wybacz mi, proszę.

Podniósł jej dłonie do ust i pocałował w koniuszki palców. Później wytarł łzę, która spłynęła na jej policzek.

- Obiecałam sobie, że się nie rozkleję - powiedziała przygryzając dolną wargę. Wzięła głęboki oddech. - Nie mogę tego zrobić.

- Czego?

- Nie mogę znowu się angażować w nasz związek.

- Czemu? Myślałem, że już się zaangażowałaś. - Zach zaczynał już tracić cierpliwość.

- Za dwa tygodnie muszę skończyć ten film. Potem muszę lecieć do Kalifornii zagrać w dwóch następnych filmach. Podpisałam już kontrakty. Nie mogę się wycofać.

- Ależ ja wcale ciebie o to nie proszę!

- Wiem, ale prosisz, żebym znowu pozwoliła wydostać się na powierzchnię tym wszystkim uczuciom, które w sobie stłamsiłam po twoim wyjeździe. Nakłaniasz mnie, żebym pozwoliła sobie na miłość do ciebie, po czym znowu mnie zostawisz i zostanę w próżni ze wszystkimi tymi uczuciami. To zabiera mi zbyt dużo zdrowia. Wpływa na moją pracę i nie mogę się skoncentrować. Nie mogę ciągle być tłamszona.

Zach zauważył, że spojrzała powyżej jego głowy. Usłyszał, jak spontaniczna szczerłość w jej głosie ustępuje sztuczному dystansowi i nadmiernej ostrożności.

- Próbujesz mi powiedzieć, że cię niszczy?

- Dokładnie to ci próbuje powiedzieć! - Luke Maddox zbliżył się do Frankie i stał teraz pomiędzy nimi przy blacie stolika. - Nawet gorzej, rujnujesz jej karierę!

- A ty mój system trawienny - odparł Zach. - Nie jestem miłym facetem, kiedy boli mnie brzuch, więc lepiej spływaj stąd i zostaw nas w spokoju.

- Frankie wcześniej jutro wstaje. Nie ruszę się bez niej.

- Czy mam poprosić kelnera, żeby zapakował resztę jej posiłku? - Zach zzieleniał już ze złości.

- Słuchaj, już i tak wystarczająco narozrabiałeś jak na jeden dzień. Chyba nie chcesz zrobić sceny.

Frankie głębiej wcisnęła się w krzesło. Zapragnęła natychmiast uciec od obu mężczyzn, ale nie wiedziała, dokąd.

- A dokładnie, to jaką wyrządziłem szkodę? - Zach domagał się odpowiedzi. - Zabrałem damę na obiad. Czyżby nie mogła już jadać obiadów?

- Nie takie gówno jak to! - odpowiedział Luke, patrząc z obrzydzeniem na talerz Frankie tak, jakby pełzały po nim larwy. - Wiesz, że jest w trakcie kręcenia filmu. Ile kalorii pochłonęła za twoją namową?

- Dziesięć, a może dwadzieścia tysięcy. Ile tylko zdołałem włączyć jej do gardła - powiedział Zach, próbując zapanować nad sobą tylko ze względu na Frankie.

- Bardzo śmieszne. - Luke chwycił Frankie za ramię i podniósł ją siłą z krzesła. - Nie może sobie pozwolić na przybranie na wadze. I nie może tracić czasu na jałowe rozmowy. Potrzeba jej więcej snu. Chodźmy, Frankie. Już dawno powinnaś być w łóżku.

- Wiesz - odezwał się Zach - zaczynasz się zachowywać tak jak jej matka.

- Jeśli Frankie nie ma wystarczająco dużo wiedzy o życiu, żeby trzymać się z daleka od takich typów jak ty, to może Lillie miała rację? Może ona naprawdę potrzebuje ciągłej kontroli!

Zach ujrzał poniżenie w oczach Frankie i poczuł, jak ją to zabolowało. Spodziewał się, że odpowie coś Maddoxowi, że raz na zawsze zamknie mu usta, chociażby z tego powodu, że przyznawał rację Lillie. Jednak gdy Luke skierował się do wyjścia, jak robot ruszyła za nim. Idąc, odwróciła się i spojrzała na Zacha. Jej duże brązowe oczy błagały, żeby zrozumiał. Po chwili zniknęła za drzwiami.

- Nie powiedziałem ci jeszcze najważniejszej rzeczy - zaczął Zach, podnosząc kieliszek, świadomy, że Frankie nie słyszy jego słów. - Nie zamierzałem znowu cię opuszczać. Poprosiłem o przydział w kraju - mówił do stojącego naprzeciwko pustego krzesła. - Wiesz, pomyślałem, że weźmiemy ślub i może będziemy mieć rodzinę. Chciałbym, żebyśmy resztę życia spędzili razem, jednak - powiedział, wypijając ostatnią kroplę wina i wruszając ramionami do nieobecnego słuchacza - widzę, że ma już pani zamówione wszystkie tańce!

Siedem miesięcy później Frankie siedziała w biurze Luke'a, potrząsając głową i nerwowo wykręcając sobie palce.

- Musisz ich załatwić, zanim cię dopadną! - nalegał Luke, zastanawiając się, ile razy jeszcze będzie musiał powtarzać to samo zdanie. Nawet on zaczął być tym znudzony.

- Jose jest moim starym przyjacielem. Nie mogę go skrzywdzić.

- Słuchaj! - Luke miał dosyć. Rozmawiali o tym już ponad godzinę. Podszedł do krzesła, na którym siedziała Frankie, brutalnie chwycił ją za brodę i zmusił, żeby popatrzyła mu prosto w oczy. - Wszyscy mówią, że „Księżna z ulicy Portobello” jest zwyczajną szmirą. Producent potrzebuje kozła ofiarnego, a moje źródła podpowiadają mi, że najprawdopodobniej ty nim będziesz! Wobec tego albo zwołasz konferencję prasową i zrobisz to, co ci powiem, albo twoja kariera rozsypie się w drobny mak, tak że nawet pieprzony Kopciuszek nie będzie mógł tego zebrać do kupy.

- Co stanie się z Josem? - Frankie przesunęła się w bok, próbując uniknąć groźnego spojrzenia Luke'a.

- A kogo to obchodzi? - odwarknął.

- Mnie - odparła cicho.

Luke z rezygnacją opuścił ramiona, kilka razy przemierzył swój gabinet i oparł się o biurko. Skrzyżował ręce i popatrzył na nią z wymuszoną cierpliwością.

- Jeszcze raz ci to wyklaruję - powiedział do Frankie, tłumacząc jej, jakby była kompletną idiotką. - Ktoś zamierza załatwić ten film i bez względu na to, kto to jest, twój film będzie prawdziwą klapą. Jeśli dobrze pamiętam, masz już kilka takich numerów na swoim koncie. Z pewnością nie wybaczą ci następnego?

Frankie zatrzęsła się na samo wspomnienie recenzji swoich dawnych filmów, zakłopotania, jakie wówczas odczuwała, długich tygodni osamotnienia i równie długich miesięcy starań, by ponownie wejść na ekran.

- Ja tak to widzę - powiedział Luke, wyczuwając jej strach i wiedząc, że zdołał przełamać opór. - Twój własny tyłek albo Banta. Co wybierasz?

Zach właśnie odwiedził rodziców. W nagrodę za doskonały reportaż z Izraela przyznano mu miesiąc wakacji i pracę w ABC - TV na stanowisku europejskiego korespondenta. Od czasu kolacji w Londynie nie kontaktował się z Frankie. Teraz widział ją w telewizji odpowiadającą na pytania reportera.

- Panno Travis - zapytał dziennikarz, machając dłonią w powietrzu - nie owijając w bawełnę, recenzenci pani filmu „Księżna z ulicy Portobello” używają słowa: kłapa. Większość krytyków uważa, że, cytując: „pani gra była w najlepszym razie nierówna, a w większości filmu nie grała pani w ogóle”. Czy chciałaby pani to skomentować?

Frankie siedziała z Lukiem Maddoxem przy basenie w domu w Bentwood, który obecnie wynajmowała. Ubrana była w przesadnie skromną, białą, bawełnianą koszulę i spodnie. Włosy miała zebrane w koński ogon, a na prawej ręce dyndały jej bransoletki. Zach natychmiast zauważył jej zbyt ostry makijaż i za krótkie paznokcie. Wszystko przewróciło mu się w środku.

- Bardzo ciężko pracowało mi się nad tym filmem - powiedziała tonem zapowiadającym jakąś smutną historię.

- Czy była to wina scenariusza? Reżysera? Pani partnera, Colina Matthesona?

- Myślę, że wszystkiego po trochu - skierowała uśmiech w samo oko kamery.

- Myślałam, że Jose Banta jest pani starym przyjacielem?
- zapytała młoda dziennikarka.

- Tak, bardzo serdecznym - odparła Frankie ciepłym głosem, tak rzadko brzmiącym w Hollywood. - Ale moja współpraca z Jose wcześniej ograniczała się do pojedynczych

zdjęć i reklam. Jest w tym genialny. „Księżna z ulicy Portobello” była jego pierwszym większym filmem.

- Czy chce pani powiedzieć, że Banta nie dał sobie z nim rady?

- Myślę, że krytycy odpowiedzieli już na to pytanie. - Frankie szybko zwróciła się do innego reportera, nie pozostawiając wątpliwości, że Banta nie stanął na wysokości zadania.

Zach mało co nie spadł z krzesła. Jeśli on czuł się przybity i zdradzony, jak musiał czuć się Jose?

- Podczas kręcenia filmu - zaczął starszy, bardziej doświadczony reporter, podążając tropem młodszej koleżanki - słyszano pogłoski o pani romansie z Matthesonem. Kiedy oglądałem film, nie wyglądaliście na parę gruchających gołąbków nawet w scenach, gdzie należało się tego spodziewać. W zasadzie sceny miłosne były najgorsze w tym filmie. Czyżby nie był w twoim typie?

- Wręcz przeciwnie - odparła Frankie głosem, który miał w sobie coś z posmaku plotki. - Tak jak miliony innych kobiet, uważam Colina za następcę Roberta Redforda. Może sobie pan wyobrazić, jak mnie rozczarowały pogłoski, że... hm... to ja nie jestem w typie Colina.

- Wyduś to z siebie, Frankie - nalegał starszy mężczyzna, nie dając jej szansy odwrotu. - Kto był faworytem Colina?

Frankie przygryzła wargę i zmarszczyła brwi, tak jakby miała wyrzucić z siebie coś bardzo bolesnego.

- Nie mogę powiedzieć.

- Czy te insynuacje na temat Banty i Matthesona nie są po prostu przykrywką dla twojej kiepskiej gry?

Młoda dziennikarka myślała, że złapała ją już w pułapkę, ale coś w wyrazie twarzy Luke'a pozwalało Zachowi sądzić, że właśnie czekali na to pytanie. Frankie spojrzała kobiecie prosto w twarz.

- Gdyby Colin i Jose poświęciliby więcej uwagi kręceniu „Księżnej z ulicy Portobello” i mniej zajmowali się sobą, moglibyśmy mieć świetny, romantyczny film zamiast jeszcze jednego romansu pedałów.

- Mój Boże!

Rodzice Zacha zareagowali na słowa Frankie wybuchem oburzenia. Wszyscy wiedzieli, że wielu czołowych filmowców było homoseksualistami, ale nikt z tego środowiska nie odważyłby się wypowiadać na ten temat publicznie. W światku aktorów akceptowano pociąg do tej samej płci i uważano go za prywatną sprawę. Konkretnie nazwiska pozostawiano dociekaniom i mglistym domysłom. Frankie pierwsza przekroczyła zakazaną barierę i jednym zdaniem zrujnowała karierę dwóch niezwykle utalentowanych ludzi.

- Jakie to ohydne! - powiedziała Sheila.

- Ukłony dla starego przyjaciela, Josego Banty - sarkastycznie skomentował Gabe, podnosząc brwi z niedowierzania.

- Najpierw niszczy Sunny Samuels. Potem wbija nóż w plecy Matthesonowi i Bencie. Nie rozumiem, co się z nią dzieje. - Z tonu matki Zach nie mógł wywnioskować, czy jej współczuła, czy ją oskarżała.

- Ona tak nie myśli - wymamrotał Zach, próbując bronić Frankie.

- Być może - skomentował Gabe - ale przysparza sobie wrogów i któregoś dnia gorzko za to zapłaci!

Zach był zbyt oszołomiony, by odezwać się słowem. Widząc, jak Frankie bezlitośnie upokarza dwóch niewinnych ludzi, nie mógł powstrzymać się od domysłów, że ten plugawy rodzaj oszczerstwa to cuchnący show w stylu Maddoxa. Najwyraźniej zaplanował cały ten występ od dziewczęcej wstążki na końskim ogonie po ostatnią skórkę obgryzionych

paznokci. W pewnym sensie należały mu się gratulacje za tak perfekcyjnie dopracowany plan. Najprawdopodobniej ocalił film od finansowej katastrofy i wszyscy polecą do kas chociażby z ciekawości wywołanej skandalem. Ale co było tego ceną? Lojalność Frankie? Jej przyjaźń z Bantą? Szacunek dla samej siebie? Dla Maddoxa prawdopodobnie nic to nie znaczyło. Ale co stanie się z Frankie? Dlaczego to zrobiła? Dlaczego pozwoliła się namówić na coś takiego? Czy zagrał na jej uczuciach strachu, odtrącenia? A może na świadomości nieuchronnej porażki? Zach mocno zagryzł wargi. Jego ręce zacisnęły się w pięści. Maddox musiał manipulować nią na wszystkie sposoby, skoro zgodziła się zrobić coś takiego Josemu Bancie.

W pierwszym odruchu Zach chciał do niej zadzwonić, porozmawiać i przyjść z pomocą. Ale co mógł zrobić? Obrzydzić jej Maddoxa? Kwestionować jego metody? Nie chciał zaczynać tego od początku. Ciągłe robiło mu się niedobrze na wspomnienie ich spotkania w Londynie. A jeśli Frankie powie, że nie potrzebuje jego pomocy? Co wtedy zrobi? Będzie nalegał, żeby ją przyjęła? Wyrecytuje jej stare hollywoodzkie przysłowie: Jeśli kopniesz kogoś, gdy będziesz u szczytu sławy, odda ci podwójnego kopniaka, gdy będziesz spadał na dno?

Frankie nie zechce go słuchać. Ci, którzy wspinali się w górę, zazwyczaj byli głusi na wszystko oprócz komplementów i roztaczanych przed nimi świetlanych perspektyw. Mieli przed oczami tylko obrazy dawnych porażek. W tym momencie Zach zdał sobie sprawę, że jest już za późno.

Zwykle lepiej pamięta się początek niż koniec dnia. Dwudziesty stycznia 1978 roku zaczął się doskonale: ognista kula słońca wstała nad Meksykiem, rozpościerając swą świetlisto - złotą jasność. Ciemna woda opływająca Acapulco lśniła plamami odbijającego się światła. Tuż przy brzegu woda pieniała się i marszczyła, tworząc miękkie fale obmywające piaszczystą plażę leżącą u stóp klifów.

Tropikalne kwiaty zabarwiły przestrzeń gorącym różem, głęboką purpurą i płonącym kolorem pomarańczy. Przelatujące ptaki trzepotały różnokolorowymi skrzydłami, rozbudzając swoim ćwierkaniem zaspany świat. Ale dopiero niebo dodawało tej scenie gracji i uroku - niebo, które tego ranka nie było tak zwyczajnie niebieskie jak co dzień. Było wyraźnie błękitne, nie zmacone nawet najmniejszą chmurką.

Dochodziła siódma, a Halona przygotowała już wszystko do porannego posiłku. Oprócz pachnącej kawy i świeżych bułeczek, w metalowym pojemniku leżały tuzin jaj, plaster bekonu i małe salaterki sera, łososia i papryki, które miały być wykorzystane jako nadzienie do przepysznych omletów. Wielka kryształowa misa sałatki owocowej stała obok pater z półksiężycami grejpfrutów, pomarańczy i krawkami ananasów. Na stole stały koszyki z pieczywem, szklanki soku pomarańczowego i pomidorowego, butelka zamrożonego szampana dla dorosłych oraz małe pojemniki z owsianką i kubki mleka dla dzieci.

Kiedy Halona przygotowywała werandę do śniadania, ustawiając talerzyki i sztucce, nie mogła się oprzeć przepięknemu widokowi. Rozpierała ją radość z powodu tak cudownie ciepłego i suchego dnia. Byli w Meksyku już

dziesiąty dzień i większość czasu spędzili pod parnym kocem wilgoci, który zebrał się nad Acapulco, powodując ociężałość i uczucie klaustrofobii. Na przyjęciu z okazji trzydziestych urodzin Jinx Kipling ledwo dawało się wytrzymać. Zaplanowali zorganizowanie uroczystości w przydomowym ogrodzie, ale po pięciu dniach potwornego upału Kip wykorzystał przywilej właściciela i przeniósł imprezę do dyskoteki najbliższego kurortu „El Cielo”.

Przyjęcie udało się znakomicie pomimo dokuczliwej pogody. Przyjechała Heather, Claire z Peterem i Goldowie z dziećmi, którzy zostali na parę dni w gościnnej hacjendzie. Na uroczystość przybyła jeszcze setka innych przyjaciół, którzy przylecieli z kraju specjalnie na tę okazję.

Dyskoteka „El Cielo” stosownie do swojej rajskiej nazwy tonęła w kwiatkach; stoły nakryte białymi obrusami zastawiono kryształami i porcelaną w różnych odcieniach błękitu. Kobiety założyły swoje najbardziej szykowne kreacje i najpiękniejszą biżuterię i jak określił to Noah, miały na sobie „coś złotego, coś nowego, coś drogiego i coś niebieskiego”. Nawet prezent od Kipa nie odbiegał od tego założenia. Podarował żonie przepiękny stukaratowy szafir z Kaszmiru, osadzony w wianuszkach diamentów.

Jedyną ciemną stroną wakacji Kiplingów były ciągle utarczki między Kipem i Jeffreyem Dodge'em. Wyglądało to na niezgodność poglądów w sprawie pomysłu Jinx sugerującego powołanie centralnej agencji turystycznej. Zamiast korzystać z usług indywidualnych agentów, Jinx zaproponowała utworzenie „Kipling Travel”, która mogłaby zajmować się pełną obsługą turystyczną od transportu po opiekę nad gośćmi. Uważała, że takie przedsięwzięcie sprowadziłoby do kurortów Kiplinga więcej posezonowych gości. Dodge twierdził, że to jeszcze jedna naiwna koncepcja, która w miejsce wysublimowanej elity sprowadzi do kurortów

„masy”. Nawet powodzenie programu uzdrowisk nie przekonało Dodge'a do pomysłów Jinx.

W rzeczywistości Jeffrey czuł rosnące zagrożenie pozycją Jinx w „Kipling Worldwide”. Próbował wykorzystywać każdy pretekst, żeby zakwestionować jej opinię lub też podważyć jej autorytet. Kip rozumiał te obawy, ale jego cierpliwość była już na wyczerpaniu.

Jak zwykle na śniadanie pierwsze przybiegły dzieci: Alexis Gold, mającą już sześć lat, oraz Joy Kipling i Nicole Gold - czterolatki. Halona pomogła każdemu dziecku wybrać jego ulubioną owsiankę, rozdała im owoce, wlała trzy szklanki mleka i zaniósła to wszystko do małego stolika ustawionego pod parasolem.

Kiedy Heather dołączyła do Goldów i Kiplingów jedzących śniadanie na werandzie, dzieci zdążyły połknąć już swoje danie i pobiegły na małą plażę za hacjendą budować zamki z piasku. Dorośli byli przy drugiej kawie, kiedy Halona przeprosiła gości i poinformowała Kipa, że dzwoni do niego ktoś z Nowego Jorku.

- Wiedziałam, że nie uda nam się przeżyć całych dwóch tygodni bez jakiegoś kryzysu - powiedziała Jinx, patrząc, jak mąż znika w drzwiach domu.

- Może da się to załatwić przez telefon - powiedziała Heather, wzięła kawę i usiadła na leżaku. Przeciągnęła się, zamknęła oczy i wystawiła na słońce błyszczące od olejku ciało. - Muszę po południu złapać samolot do Los Angeles i bardzo bym nie chciała zmarnować tego cudownego poranka na rozmowę o interesach.

- Ja także - powiedziała Cissie, odstawiając talerz. - Noah i ja też musimy dzisiaj lecieć do domu. Zabieram dzieci na poranną przejażdżkę łodzią po zatoce. Czy ktoś chce się dołączyć?

- Wolałabym nie ryzykować - odparła Heather wydymając wargi. < Reszta towarzystwa podzielała jej obawy.

- Róbcie, jak wam się podoba - odparła Cissie ani trochę nie zniechęcona.

- Ja i Kip idziemy zagrać w golfa z Pierre'em Marquese'em. - Noah podniósł się z miejsca i spojrzał na zegarek. - Kiedy już go wykończę moim druzgocącym trafieniem i padnie na kolana, błagając mnie o litość, dołączymy do was na szybki lunch.

Kip pojawił się w drzwiach. Jinx zakryła dłońmi uszy, zrobiła niezadowoloną minę i zazgrzytała zębami.

- Tylko nic mi nie mów. Nowy Jork legł w gruzach, a Ed Koch właśnie zadzwonił, błagając cię, żebyś wrócił do domu i zaczął kręcić kołem fortuny.

Kip nachylił się nad Jinx i pocałował ją w wydeptane usta.

- Naprawdę powinienem dać ci klapsa - powiedział. - Jesteś zupełnie niemożliwa.

- Kip - przerwał im Noah. - Pole golfowe czeka.

- On nigdzie nie pójdzie, dopóki nie powie mi, o co chodzi.

Jinx usiadła na krześle i przykleiła się do męża z przesadną zaborczością.

- Zazdrosna jędza! - Kip uściskał jej dłoń. - Nic pilnego. Jakiś klient był bardzo niezadowolony. A teraz - Kip zwrócił się do swojego partnera w golfa - o jaką stawkę dzisiaj gramy?

Noah wyszczerzył zęby.

- Zamiast na pieniądze zagrajmy w monopol. Jeśli wygram, zabieram „Park Place” i „Boardwalk”, oczywiście z hotelami.

- A jeśli ja wygram?

- Będziesz chodził na wszystkie dobroczynne kolacje, no i oczywiście, kiedy nadejdzie odpowiednia chwila, staniesz w wyborach do Kongresu.

Kip zaśmiał się.

- Przede wszystkim nie znoszę kurczaków, więc zrzekam się darmowych posiłków. A jeśli chodzi o to drugie, to przecież wiem, że nie dasz mi szansy. Dlaczego jeszcze nie zgłosiłeś kandydatury? Na co, u diabła, czekasz?

- Na znak - powiedział Noah, chwytając Kipa za ramię i zabierając go do samochodu. - Jeśli trafię we wszystkie dołki, jutro się zgłaszam. Jak ci się to podoba?

- Brzmi całkiem rozsądnie - odparł Kip i pomachał wszystkim na pożegnanie. Cissie czekała, aż Noah też się pożegna, ale jak zwykle był za bardzo zajęty rozmową, żeby się tym przejmować.

Kiedy wszyscy już poszli, Jinx przysunęła swój leżak bliżej Heather, nasmarowała skórę olejkiem i wyciągnęła się twarzą do słońca.

- Cieszę się, że możemy być same - powiedziała. - Właściwie nie miałam jeszcze okazji usłyszeć, co się dzieje w twoim życiu.

Heather wyciągnęła rękę po leżący na ziemi ręcznik i starła pot z czoła i policzków.

- Ciągle szukam mojego ideału - powiedziała z nonszalancją. - Problem polega na tym, że skoro ty już złapałaś jedyne samotnego multimilionera na świecie, nie pozostało mi nic innego, jak tylko uzbroić się w cierpliwość i czekać na następnego.

- Ten występ możesz sobie zachować dla znajomych - odparła Jinx. - Ale ja jestem twoją siostrą i wiem swoje. No mów, co się dzieje?

Heather przez chwilę milczała. Kiedy ponownie otworzyła usta, jej głos był spokojny, niemalże beztroski, jednak pobrzmiwało w nim echo cierpienia.

- Zakochałam się w żonatym mężczyźnie i chociaż nie jestem z tego dumna, mam z nim romans.

- Nie chce opuścić żony?

- Nigdy bym go o to nie poprosiła. Ta kobieta jest rasową dziwką. Kiedyś przyszła do mojego apartamentu i zaczęła mnie szantażować.

Jinx oparła się na łokciach i przyjrzała się siostrze.

- Czym?

Heather nie otwierała oczu.

- Tak naprawdę, to były chyba bezpodstawne pogróżki, ale udało jej się mnie wystraszyć. Już z nim zerwałam, lecz ciągle do mnie wraca. Chciałabym go wyrzucić za drzwi, ale nie potrafię. Kocham go i nie mogę stać i patrzeć, jak coraz bardziej się zatracza.

- Co masz na myśli?

- Kiedy nie zgadzam się na spotkanie, mnóstwo pije, włóczy się po knajpach i Bóg wie gdzie jeszcze.

Jinx z namysłem pokiwała głową.

- A kim jest?

- Nie znasz go - odparła Heather, spoglądając na swój brzuch tak, żeby Jinx nie mogła spojrzeć jej w oczy. - Jest rzeźbiarzem w Los Angeles i jest w tym dobry.

- Znam wielu artystów z Kalifornii. Może o nim słyszałam. - Jinx starała się z niej coś wyciągnąć, ale Heather milczała jak grób.

- Uff. Nie wystawia swoich prac w znanych galeriach i nie pokazuje się w twoim egzaltowanym towarzystwie.

- Kocha cię? - zapytała Jinx.

- Tak mówi.

- Mają dzieci?

- Trudno spłodzić dziecko, kiedy się ze sobą nie sypia.

- Może nie sypiają ze sobą przez ciebie? Heather zaśmiała się gorzkim, bezradnym śmiechem.

- Nie - od parła. - To my ze sobą sypiamy z jej powodu. Nie zachowuje się jak żona, ale nie pozwoli mu odejść, żebym nie mogła zająć jej miejsca. Nieźle, co?

Jinx pokręciła głową. Nie musiała patrzeć Heather w twarz, żeby wiedzieć, że płacze.

- Chciałabym ci pomóc. - Jinx położyła dłoń na ramieniu siostry i czule ją pogłaskała. - Kocham cię i nie mogę patrzeć, jak cierpisz.

- Nie możesz mi pomóc - odparła Heather. - Poza tym nie jest ze mną aż tak źle. - Heather często pozowała do zdjęć i zagrała już w kilku filmach. - Robię to, co lubię, i jeśli moje prywatne życie odbiega od ideału, to trudno. Jak mówi nasz wielki filozof, Kate Elliot, to minie.

Czekała na reakcję Jinx, ale skoro siostra nic nie odpowiedziała, zdecydowała się raz jeszcze poruszyć sprawę matki. - A wracając do Kate Elliot, nie sądzisz, że już najwyższa pora, żeby wybaczyć i o wszystkim zapomnieć? Uplynęły już trzy lata.

- Okłamywała mnie przez ponad dwadzieścia lat - głos Jinx był ostry jak brzytwa, a na twarzy nie malowało się żadne uczucie.

- Robiła to dla twojego dobra - tłumaczyła Heather, znając na pamięć zdanie, które wypowiadała już dziesiątki razy.

- Robiła to dla swojego dobra.

- Dlaczego ciągle nie chcesz jej wybaczyć? - spytała Heather, potrząsając ramieniem Jinx i zmuszając ją, żeby spojrzała jej w oczy. - Ona cię kocha. Tata też. I twoja obcość coraz bardziej ich przygniata.

- Ty po prostu nic nie rozumiesz - odparła Jinx.

- Masz cholerną rację - odparowała Heather. - Zupełnie nie rozumiem! W jaki sposób osoba taka jak ty, zupełnie wytracona z równowagi z powodu odrzucenia przez

człowieka, którego nigdy nie знаła, może odtrącać dwoje ludzi, którzy tak bardzo cię kochają?

- Okłamywali mnie! - wystrzeliła Jinx. - Zdradzili mnie!

- Chronili cię, gdyż cię kochali!

- Nie potrzebuję ich ochrony. - Jinx odwróciła się od siostry. - Tak samo jak nie potrzebuję takiej miłości.

- Pewnego dnia - powiedziała Heather niezdolna do dalszej kłótni - zdasz sobie sprawę z tego, co zrobiłaś. Zostaniesz zupełnie sama i będziesz potrzebować ich miłości i wsparcia. Mam tylko nadzieję, że nie jest jeszcze za późno na pojednanie.

Położyła się na leżaku i zamknęła oczy. Przynajmniej na razie ten temat był zamknięty. Jinx także leniwie się przeciągnęła. Spojrzała w niebo. Zanim zamknęła oczy, zauważyła coś niepokojącego. Na tym czystym, doskonale błękitnym niebie, które jeszcze przed chwilą otaczało ją aurą spokoju, pojawiła się chmura.

Czterech mężczyzn stało na murawie i obserwowało, jak piłka Noaha wpadła do wody przed siedemnastym dołkiem. Kiedy sztuczna sadzawka plusnęła pod ciężarem piłeczki, Kip, Noah i dwaj pozostali gracze zdjęli z głowy czapki i z szacunkiem przyłożyli je do serc.

- To by było na tyle - odparł Noah z udaną powagą. - Pogrzebałem ostatnią szansę trafienia do dołka.

- Niech spoczywa w pokoju - powiedział Kip ze śmiechem. - Chcesz jeszcze raz zagrać, czy zgodnie z dżentelmeńską umową zakończymy ten mecz?

- Może straciłem szansę na błyskawiczny wyścig do Kongresu, ale mam zamiar walczyć do końca.

Wyjął z worka jeszcze jedną piłkę, położył ją na ziemi i uderzył. Piłka poszybowała ponad wodą i upadła na murawę, spory kawałek za flagą.

- Może pomogłaby ci operacja plastyczna? - powiedział Kip. - Mamy tutaj dwóch zdolnych chirurgów, którzy mogliby cię wybawić z kłopotu.

Zgodnie ze zwyczajem na polach golfowych w kurortach, Kip i Noah zaprosili do gry dwóch mężczyzn. Ich partnerzy - chirurdzy z Los Angeles - przyjechali do Acapulco na symposium neurologiczne. Starszy z nich, Sam Lawson, był doświadczonym lekarzem bez pretensjonalnych manier, ze świetną renomą i wisielczym poczuciem humoru. Młodszy, Matthew Grant, był bardziej rozmowny, znany ze swoich bezbłędnych diagnoz i niepoprawnego optymizmu tak rzadko spotykanego w zawodzie, w którym więcej pacjentów szło do piachu, niż wychodziło ze szpitala.

- To Matthew jest ekspertem od beznadziejnych przypadków - wyjaśnił Lawson, patrząc, jak jego własna piłka właśnie wpada do wody. - Dlatego nalegałem, żeby zaczął grać w golfa. To idealny sport dla kogoś, kto codziennie chociaż raz przegrywa.

Przedmiot drwin Lawsona spokojnie czekał na swoją kolejkę, uśmiechając się pod nosem i zupełnie nie przejmując się kpina przyjaciela. Był bardzo wysokim, wyjątkowo przystojnym mężczyzną z błękitnymi oczami, w których zawsze kryło się badawcze spojrzenie, i głębokimi dołeczkami pojawiającymi się w policzkach wtedy, gdy się uśmiechał. Gęste brązowe wąsy były równo przycięte nad górną wargą. Przyciągały uwagę do pełnych ust i kwadratowej szczęki.

Lawson uderzył piłkę, i z uśmiechem samozadowolenia zwrócił się do Granta. Piłka przeleciała nad sadzawką i upadła na trawę.

- Załatwione - powiedział. - Zobaczymy, czy bronisz się lepiej niż inni śmiertelnicy.

Matthew bez słowa sięgnął do worka, wyjął parę piłek i stanął na końcu pola rzutów. Zrobił szeroki zamach i wrzucił wszystkie piłki w środek stawu.

- Nienawidzę tracić energii - powiedział ku zdziwieniu pozostałych graczy. - Dlaczego nie załatwić za jednym zamachem tego, co wymaga kilku zbędnych ruchów? Idziemy?

Energicznie wspiął się na palce, zamachał na Lawsona i podszedł do Kipa i Noaha. Wszyscy gracze jednomyślnie postanowili przerwać rozgrywkę, aby przyjemnie zakończyć to piękne przedpołudnie, i zdecydowali się pójść do klubu na kawę. Rozmowa krążyła wokół Granta i jego kolegi.

- Bez najnowocześniejszego sprzętu istnieje ryzyko, że szpital w Meksyku będzie robił więcej szkody niż pożytku - mówił Matthew. - Już któryś raz przyjeżdżamy z Samem, żeby zademonstrować naszym kolegom neurochirurgom nowe urządzenia i metody badań.

- A dlaczego oni do was nie przyjadą? - zapytał Kip, będący pod wrażeniem tego młodego, sympatycznego człowieka.

- Dlatego, że nie widzą sensu w uczeniu się obsługi sprzętu, na który nigdy nie będzie ich stać. Uczymy ich, jak najlepiej wykorzystywać to, co mają. Potem zwracamy się do rządu o sfinansowanie nowego sprzętu.

- I co na to rząd? - zapytał Noah.

- I co na to nasz rząd? - w głosie Granta słychać było wyraźne rozczarowanie.

- Starają się. - Noah natychmiast stanął w obronie kolektywnego ciała określonego wspólną nazwą „rząd”.

- Z całym należnym szacunkiem - odparł Matthew - powinni bardziej się starać.

- Nie ma na to więcej funduszy - odpowiedział Noah.

- Jeśli to ja miałbym zajmować się przydziałem funduszy, przeznaczyłbym mniej pieniędzy na budowę dróg i remonty starych ruder, a więcej na badania medyczne i szkolnictwo. Wolałbym bardziej ratować życie niż łątać dziury.

- Musicie wybaczyć mojemu przyjacielowi - powiedział Lawson, starając się załagodzić wymianę zdań. - Trochę go ponosi rozmowa na ten szczególny temat.

- Ma ku temu powody - powiedział Kip szczerze zainteresowany. - A co z prywatnymi dotacjami? Nie wystarczają?

Matthew ściągnął brwi.

- Tylko do pewnego stopnia. Ale nawet hojność taka jak pańska, a wiem coś na ten temat, jest sporadyczna. Potrzebujemy ciągłego przypływu gotówki. Brak nam w rządzie ludzi, którzy sfinansują ten projekt i dopilnują, żeby jego realizacja nie była odwołana nawet po zmianie administracji. Jeśli szuka pan motywacji, by kandydować do Kongresu, to już pan ją ma.

- Co pan próbuje przez to powiedzieć? - Noah zamienił się w słuch.

- Okey. Na razie wygląda to w ten sposób. Rozpoczynamy program badawczy. Wynajmujemy ludzi, wykonujemy prace przygotowawcze i naraz - bum! - mamy następne wybory i nasz nowy prezydent chce wykazać się czymś zupełnie innym. Projekt upada i wszystko idzie do diabła.

- Jak jeden kongresman może temu zaradzić? - zapytał Noah tak, jakby już pisał przemówienie do kampanii. - Z tego, co pan mówi, wygląda to na wadę całego systemu.

Matthew pochylił się nad stołem, a w jego oczach błysnęła śmiertelna powaga. Przez chwilę nic nie mówił, zupełnie tak, jakby ważył myśli i upewniał się, że tym razem zostanie dobrze zrozumiany.

- Wybierają pana do Kongresu. Zapisuje się pan do naszego komitetu i z werwą napalonego ewangelisty przekonuje pan każdego mężczyznę i każdą kobietę do konieczności badań medycznych. Nawet jeżeli z jakiegoś powodu nie wybiorą pana ponownie, niektórzy z nich nadal będą o to walczyć.

- Matthew ma rację! - powiedział Kip, klepiąc Noaha po plecach. - Czekasz na bodziec? To już go masz! Oczywiście nie spotkaliśmy się tutaj z Matthew i Samem tylko po to, żeby namówić cię do wyciągania pieniędzy od rządu - powiedział, szeroko uśmiechając się do chirurgów - chociaż to byłoby niegłupie. Zresztą zaaranżowałem to spotkanie, żeby ten człowiek przekonał cię, jak bardzo jesteś potrzebny w Waszyngtonie.

- To już wiem, ale co dalej? - Noah potrzebował jeszcze większej zachęty i wsparcia.

- Zgłoś swoją kandydaturę. Niech cię wybiorą. Potem zwołaj komitet i przyprowadź tego młodego krzyżowca. Niech wyniszczy im sprawę. Jeśli choć w połowie będzie tak elokwentny jak dzisiaj, może załatwimy coś, z czego wszyscy będziemy dumni.

Noah uśmiechnął się do Kipa i uściśnął nad stołem dłoń Granta.

- Być może mój przyjaciel ma rację. Możliwe, że nasze spotkanie okaże się bardzo owocne - powiedział, a jego myśli skupiły się już wokół następnej kampanii.

Spotkanie z Matthew rzeczywiście nie przeszło bez echa, ale wtedy jeszcze żaden z mężczyzn nie zdawał sobie z tego sprawy.

- Czy między tobą i Noahem wszystko jest w porządku?

Dzieci poszły spać, Heather brała prysznic i na werandzie została tylko Cissie i Jinx.

- To zależy, o co ci chodzi - odpowiedziała Cissie wymijająco.

- O Cissie i Noaha, których znam i kocham.

W ciągu ostatniego tygodnia Jinx wyczuwała napięcie w tym zawsze sobie oddanym małżeństwie.

Cissie przeczesła palcami włosy i położyła nogi na stoliku, tak jakby przygotowywała się na dłuższą rozmowę.

- Powiedzmy, że droga do raju ma kilka wybojów.

- Czy możesz mi powiedzieć, jakiego rodzaju są te wyboje?

- Ego. Ambicja. Libido i tak dalej.

Jinx widziała, że za tą z pozoru beznamiętną i zdawkową odpowiedzią kryje się coś więcej.

- Czy powinnam zaryzykować i wskazać sedno problemu?

Chociaż Cissie nic nie odpowiedziała, nie wycofała się z tej rozmowy, wobec tego Jinx postanowiła spróbować.

- Czy kariera Noaha nie jest przypadkiem aż tak absorbująca, że masz w niej rywalkę? Bardziej przypomina kochankę niż pracę.

- Zawsze wiedziałam", że jesteś inteligentna - powiedziała Cissie, szczypiąc Jinx w policzek. Nagle spoważniała. - Jest bardzo zaangażowany w pomoc dla rodzaju ludzkiego. Niestety, wśród jego pracowników jest kilka nimfetek, bardziej interesujących się Noahem niż jego pracą.

- Myślisz, że flirtuje z panienkami?

- Nie. Myślę, że bardzo poważnie podchodzi do swoich jednonocnych delegacji. Kiedy wypowiedziała te słowa, jej zielone oczy przybrały szary kolor.

- Wiesz to na pewno, czy tylko go podejrzewasz?

- Powiedzmy, że moje podejrzenia opierają się na faktach.

- Może to tylko przejściowe? - zasugerowała Jinx. - Ale nie myśl, że usprawiedliwiam takie postępowanie - dodała szybko.

- Próbuję sobie wmówić, że to nic poważnego, ale stawiam dziewięć do dziesięciu, że sam to prowokuje. Zwaląłem to na karb jego wahania i niepewności co do tego, czy ma ubiegać się o urząd w Kongresie. Ale nawet jeśli z tego powodu spadają mu spodnie na widok młodej, pięknej kobiety, nie chciałabym, żeby taki sposób rozwiązywania problemów wszedł mu w nawyk.

- Cissie, Noah cię kocha. Przecież wiesz o tym.

- Oczywiście, że tak. Wiem także, że jego krucha męskość ciągle potrzebuje olbrzymich dawek wsparcia i zachęty. Może nie daje mu wystarczająco dużo?

- Dajesz mu więcej niż kiedykolwiek inna kobieta.

- Jedyne, czego w tym wszystkim nie zauważasz, kochana Jinx, to że niezależnie, ile daje z siebie kobieta, niektórzy mężczyźni biorą więcej niż inni. Kip świetnie sobie radzi i jest z tego zadowolony. Poza tym jest wręcz szaleńczo szczęśliwy z tobą i z Joy. Czuje się bezpieczny i stabilny. Noah jest zupełnie inny. Trudno mu dogodzić. Staram się jak mogę, ale wiecznie coś jest nie tak, ciągle czegoś szuka.

- Czego?

- Podejrzewam, że spokoju. - Cissie nie powiedziała ani słowa o nocnych koszmarach Noaha, o jego lękach i podejrzliwości wobec nieznanym. - Może siły. Zresztą cokolwiek by to było, uwierz mi, próbowałam już wszystkiego oprócz domu towarowego „Selfridge”. Gdybym dokładnie wiedziała, czego mu trzeba do szczęścia, natychmiast zamówiłabym cały kontener.

- Ale z niego szczęściarz - powiedziała Jinx, próbując zrozumieć Cissie. Jednocześnie była wściekła na Noaha, że może nie dochowywać wierności tak fantastycznej kobiecie.

Cissie wyczuwała jej miłość, zaangażowanie i była jej wdzięczna za tę rozmowę.

- Mam pomysł - powiedziała Cissie w nadziei, że trochę rozwieje smutny nastrój. - Powiedz mu w czasie lunchu, jak szczerze obdarzył go los. Nic oczywistego, coś subtelnego w rodzaju: „Czy mógłbyś mi podać avocado, a tak przy okazji to wiesz, że masz fantastyczną żonę?”

- Doskonały pomysł - zaśmiała się Jinx. - Nigdy nie przyjdzie mu do głowy, żeśmy to zaplanowały.

Ich chichotanie przerwało nadejście Dodge'a jak zwykle dopiętego na ostatni guzik w swoim dwurzędowym garniturze z kamizelką, z teczką na akta przyklejoną do ręki i bezbarwnym wyrazem twarzy.

- Przepraszam. Halona powiedziała mi, żebym zaczekał z wami na Kipa.

- Proszę bardzo - zachęciła go Jinx, celowo skupiając wzrok na jego krawacie i kamizelce. - Jeśli jest ci za gorąco, możesz poczekać wewnątrz. W domu jest wentylacja.

- Nie przejmuj się mną - odparł ze stoickim spokojem.

- Tak czy inaczej, my idziemy do domu się przebrać. Poproszę Halonę, żeby przyniosła ci mrożoną herbatę.

- Bardzo ci dziękuję.

Kiedy po wzięciu prysznicza i zmianie ubrania Cissie i Jinx wyszły z powrotem na powietrze, Kip, Noah i Jeffrey Dodge siedzieli już przy stoliku nad basenem i zawzięcie dyskutowali.

- To jest ekonomicznie nieuzasadnione i zupełnie niepotrzebne - powiedział Dodge. Prawie krzyczał. - W kraju są tysiące agencji turystycznych, które odwalają dla nas kawał dobrej roboty.

- I właśnie dlatego mamy zamiar zatrudnić tych agentów. Niech pracują u nas - skontrował Kip, trzymając w ryzach swoją niecierpliwość. - Jeffrey, już ci to mówiłem. Poszukuję

sposobów zwiększenia wydajności „Kipling Worldwide”, a jednym z nich jest większa centralizacja.

- Nie przyniesie to żadnych rezultatów oprócz nawału pracy.

Noah zauważył Cissie i Jinx i szybko odszedł od stolika. Poszli razem w drugi koniec basenu, starając się nie zwracać uwagi na tę niezbyt prywatną rozmowę.

- Czasami wydaje mi się, że tracisz więcej energii na stawanie mi okoniem niż na pracę w firmie! - Kip poderwał się na równe nogi. Aż kipiał z wściekłości.

- Twój punkt widzenia jest nieco zamglony przez nadmierną ilość gorącego powietrza! - skontrował Dodge.

Halona podeszła do Kipa z wiadomością, że ktoś prosi go do telefonu. Bezradnie rozkładając ręce, zostawił Dodge'a na zewnątrz, a sam wszedł do domu. Za parę minut wrócił z twarzą jeszcze bardziej wściekłą niż wcześniej.

- Mamy kłopoty w Nowym Jorku. Lecimy jutro z samego rana. Bądź na lotnisku przed piątą.

- Jeżeli są jakieś problemy, to dlaczego nie wracamy dzisiaj?

- Ponieważ chcę spędzić ten wieczór z rodziną. Czy ta odpowiedź cię zadowala? - zapytał Kip oburzony, że Dodge śmie kwestionować jego decyzję.

- W porządku, jak chcesz - odparł Jeffrey, zaciskając zęby. - Przecież w końcu to ty jesteś tutaj szefem.

- A któżby inny! Do jutra, Jeffrey. - Kip zakończył tę stresującą rozmowę i obejrzał się za odchodzącym Dodge'em.

Jinx wolno podeszła do Kipa, dając mu czas, żeby trochę ochłonął. Cissie i Noah dyskretnie zniknęli w domu.

- Co się stało?

- W „New York Kipling” odnotowano kilka ostrzeżeń o podłożeniu bomby. Oczywiście z miejsca podchwyciła to prasa. Nasza ochrona już pojechała do hotelu, ale nic nie

znalazła. Nasi ludzie twierdzą, że powinienem pokazać się w Nowym Jorku i odwołać pogłoski rozpowszechniane przez gazety.

Z jakiegoś powodu serce Jinx zaczęło walić z całej siły. Ostatnio dziennikarze trąbili o porwaniu dla okupu bogatego mężczyzny.

- A jeśli to prowokacja?

Kip wziął ją w ramiona i mocno przycisnął do siebie.

- Dlatego właśnie jadę jutro rano, a nie dziś wieczorem. Jeżeli to pułapka, to na pewno spodziewają się, że przyjadę najszybciej, jak mogę. Tak na wszelki wypadek zarezerwowałem bilet na dzisiejszy wieczór i w ostatniej chwili mam zamiar wycofać rezerwację.

- Myślisz, że to wszystko zostało ukartowane?

- Nie sądzę - powiedział. - Oboje dobrze wiemy, że takie rzeczy się zdarzają. Jak do tej pory ekipy z psami i wykrywaczami ładunków wybuchowych przeczesały cały budynek i nic nie znalazły. Prosiłem o sprawdzenie Penthausu i domu w Westchester. Też nic. To na pewno tylko pogróżka, ale jeśli ktoś występuje osobiście przeciwko mnie, nie chcę, żeby wyglądało to tak, jakbym ignorował bezpieczeństwo moich gości. Zgadzasz się ze mną?

Jinx zupełnie się nie zgadzała. Chciała zamknąć go w pokoju i zabronić mu wyjazdu, ale potakująco kiwnęła głową.

- Jadę z tobą.

- Nie ma mowy - powiedział Kip, całując ją w policzek. - Razem z Joy! zostanieie tutaj do końca wakacji.

- To tylko trzy dni. Wyjedziemy teraz.

- Nie. Nie ma o co się spierać. Kiedy przyjdziecie do domu, już dawno będzie po wszystkim. - Otoczył ją ramionami i przytulił do siebie w nadziei, że wywoła uśmiech na jej twarzy. - Najpierw musimy odprowadzić Noaha i Cissie. Później wsadzimy Heather do samolotu. A w następnej

kolejności, droga pani Kipling, spędzimy bardzo intymny wieczorek we dwoje.

Jinx objęła go za szyję i zatrzepotała rzęsami.

- Panie Harrisonie K. - powiedziała naśladując Scarlett z filmu „Przeminęło z wiatrem” - myślałam, że nie przyjdzie to panu do głowy.

Joy Kipling przytuliła się do piersi ojca, przepychając się pod jego ramieniem, tak żeby dobrze widzieć obrazki w swojej ulubionej książce z bajkami. Jej kruczoczarne kędziory wiły się wokół twarzy, kontrastując z bladym różem policzków, lawendowymi oczami i białą, nocną koszulką. Kiedy Kip czytał, modulując głos dla lepszego zobrazowania każdej postaci, Joy tuliła lalkę i od czasu do czasu ssała prawy kciuk, śmiejąc się z żartów ojca.

- ...A potem książkę Herman z Yonkers zaniósł swoją piękną księżniczkę na słońce, gdzie dostali słonecznego udaru.

Joy pokręciła głową, potrząsając kędziorkami.

- I wcale nie dostali udaru - powiedziała, poprawiając jego błędy - tylko żyli długo i szczęśliwie.

- Nie mogli żyć długo i szczęśliwie - odparł bardzo poważnym tonem.

- Dlaczego? - dopytywała się, znając już chyba odpowiedź.

- Bo nie mieli takiej córeczki jak ty - powiedział Kip, łaskocząc ją pod pachami, aż jej radosne piski wypełniły cały pokój.

- Skończyliście, łobuziaki? - Jinx stała w drzwiach. Przyszła przerwać im przekomarzenie i położyć Joy do łóżka.

- Cisza nocna dla Joy i czas na kolację dla mamy i taty.

Kip i Joy nie przestawali się mocować. Ich twarze były czerwone od śmiechu, a ręce latały w powietrzu.

- Liczę do trzech - Jinx udawała bardzo groźną.

- Uff... - Kip usiadł spokojnie na łóżku, wygładził zgniecioną, lnianą koszulę i położył ręce na kolanach jak grzeczny uczeń. - Lepiej zrobimy, co każe nam mama.

- A jeśli się nie zgodzimy? - wyszeptała Joy, wiedząc, że to jeszcze nie koniec zabawy.

- To mama da Halonie dwa tygodnie wolnego i sama będzie gotować. - Odwrócił się do Jinx, chwycił się za brzuch i wysunął język tak, jakby za chwilę miał zwymiotować.

Joy natychmiast wskoczyła pod kołdrę, ułożyła obok siebie lalkę, zamknęła oczy i zaczęła cicho pochrapywać. Jinx podeszła do jej łóżka, dała Kipowi kuksańca i pochyliła się nad córką, by pocałować ją na dobranoc.

- Dobranoc - powiedziała Joy, przytulając matkę i oplatając rękami Kipa. - Kocham was.

- My też ciebie kochamy, maleńka. Śpij dobrze.

- Mhm - wymamrotała i włożyła kciuk do buzi.

- Jeśli wysłucham twojej głupawej opowieści o księciu Hermanie z Yonkers, to też ułożysz mnie do łóżka? - wyszeptała Jinx, kiedy zamknęli już drzwi pokoju córeczki i szli korytarzem.

- Dla ciebie, moja droga, mam zupełnie inną bajkę - powiedział Kip, kiedy wychodzili do samochodu. - Tobie opowiem historię o bohaterskim królu Salvatore Sulcovini, znanym kochanku i nieustraszonemu władcy starożytnego Secaucusa, i jego królowej - Ethel z Idaho.

Kiedy jechali w stronę „El Cielo”, Jinx oparła głowę na fotelu i przyglądała się niebu, uśmiechając się do pełni księżyca.

- Nie mogę się doczekać - powiedziała z takim samym zniecierpliwieniem jak Joy. - No powiedz mi. Czy żyli długo i szczęśliwie?

Czule pogłaskał ją po kolanie.

- A czy komuś w bajce przydarzyło się inaczej?

Jinx zaśmiała się. Znowu spojrzała w górę. Gwiazdy, które jeszcze kilka minut temu świeciły na niebie, zniknęły bez śladu. Księżyc otaczały ciężkie chmury. Jej uśmiech przybladł, posmutniała. Nie mogła się doczekać, kiedy wejdą do środka.

- Nie mogę uwierzyć, że już tak późno! - Jinx spojrzała na mały zegar na nocnym stolyczku. - Jest po pierwszej. Za niecałe dwie i pół godziny musimy wstawać.

Kip sięgnął ręką i wyłączył lampkę.

- Mam lepszy pomysł - powiedział okrywając jej szyję czuлыми pocałunkami. - W ogóle nie kładźmy się spać.

- Czy nie wiesz, że w twoim wieku powinieneś więcej sypiać? - szepnęła, wsuwając ramiona pod jego szyję i przyciągając go bliżej siebie. - Wypiłeś mnóstwo wina do kolacji, tańczyłeś jak latynoamerykański szaleniec i czeka cię długi lot.

- Prześlę się w samolocie - powiedział i odnajdując ustami jej wargi, momentalnie zakończył dyskusję.

- Czy jesteś pewien, że nie chcesz, bym ci towarzyszyła? - zapytała nabierając powietrza.

- Teraz jak najbardziej - odparł przeczesując jej włosy palcami. - Do Nowego Jorku w żadnym wypadku.

- „Trzymajcie je w kojach, ale z dala od pokładu”. Czy tak brzmi to szowinistyczne męskie przysłowie? - drażniła się z nim.

- Wszyscy muszą znać swoje miejsce. - Twarz Kipa wyrosła nad jej głową, kiedy odgarniał włosy z jej czoła, i pocałował ją w sam czubek nosa. - W tym momencie jesteś dokładnie tam, gdzie chcę.

Później ze spokojem zżytego małżeństwa, które kochało się już setki razy, całowali się, pieścili, wyslizgiwali się z ubrań i przylegali do siebie odnajdując tę jedną pozycję, w której ich ciała najbardziej do siebie pasowały. Wiedząc, że

mają dla siebie resztę nocy, powoli się pobudzali, czule i delikatnie wyśpiewując pieśń zjednoczenia.

Kiedy dłonie Kipa miękko przesuwają się po jej skórze, poczuła ogarniające ciepło. Zaczęło się głęboko w środku, gdzie czuła się bezpieczna i pewna. Rozchodziło się wokoło, do momentu, gdy każdy dotyk jego palców i ust powodował wstrząsającą falę gorąca. Przyciągnęła go bliżej siebie i łakomie przywarła wargami do jego ust.

Wiedzieli dokładnie, gdzie całować, gdzie pieścić, kiedy przestać i kiedy zacząć. Z olbrzymią wprawą dostarczali sobie rozkoszy, czekając na nadejście ekstazy.

- Czy tak właśnie King Salvatore traktuje królową Ethel?
- zapytała Jinx, całując pot na piersi Kipa.

- Wątpię - odpowiedział Kip, wciąż głośno oddychając. - Słyszałem, że królowa Ethel była prawdziwą suką.

- A ja myślałam, że miłość jest ślepa.

- Chyba tak. - Kip przewrócił się na bok, żeby lepiej przyjrzeć się twarzy żony. - W moim przypadku nie potrzebuję żadnego wytłumaczenia. - Pocałował ją w nos, a potem delikatnie potarł jej usta. - Moja dama jest doskonała w każdym calu.

Jinx uśmiechnęła się, ale powieki już zaczęły jej opadać.

- Chyba nie mówisz tego serio. Weź pod uwagę, że jest czwarta nad ranem i mam czarne kręgi pod oczami, a moja cera ma taki miły zielony odcień.

Kip wsunął kołdrę pod brodę Jinx i pogłaskał ją po policzku. - Idziesz spać, a ja zadzwonię do ciebie z Nowego Jorku. Jinx nie otworzyła oczu; jej głos był zaspany, lecz przytomny.

- Nigdy nie zdarzyło się, żebym nie pomachała ci na pożegnanie i bez względu na to, jak nierozsądnie zaplanowałeś sobie ten lot, i tak będę przed startem.

Kip pochylił się, pocałował żonę w policzek i przysunął się bliżej niej z błogim uśmiechem na twarzy.

- Jak pani każe - wymamrotał i zasnął snem sprawiedliwego. Było nadal ciemno, kiedy Kip i Jinx przyjechali na lotnisko w Acapulco.

Podjechali do małego terminalu obsługującego prywatne samoloty. Kip poszedł odnaleźć Healy'ego, ich pilota, a Jinx zaparkowała samochód. Powietrze znowu zrobiło się duszne i zawiesiste: na niebie zebrała się masa chmur i jak parasol zatrzymała pod sobą wilgoć.

Cisza dzwoniła w uszach. Jinx trzasnęła drzwiami samochodu i aż podskoczyła na dźwięk uderzenia. Idąc w stronę terminalu, rozejrzała się wokół. Wmawiała sobie, że to tylko ciemność ją tak niepokoi, że to samotność na pustym parkingu wśród metalowych hangarów tak działa jej na nerwy.

- Tutaj, tutaj! - krzyknął Kip, machając do niej ręką zza małej lady, gdzie stały filiżanki z kawą i pączki.

- Kiedy startujecie? - zapytała, ciągle nieco zaniepokojona.

- Za niecałą godzinę. Jak tylko wzejdzie słońce.

- Czy Healy nie zapomniał, jak prowadzi się to urządzenie? - zapytała, próbując się uśmiechnąć.

- Nie możemy wcześniej wystartować. Muszę przecież zobaczyć, jak mi machasz. - Szybko ją pocałował i zlizął jej lukier z ust.

- Lepiej nich pan wskakuje na pokład, panie Kipling.

Kip przywitał kierownika prywatnego terminalu i zwrócił się do Jinx.

- Skończ śniadanie i przespaceruj się na pas. Nie ma pośpiechu. Jinx objęła go i mocno uścisnęła.

- Nie masz pojęcia, jak bardzo cię Kocham - powiedziała. Dał jej całusa i wziął ją za obie dłonie.

- Ależ mam - powiedział poważnie. - Prawie tak samo jak ja ciebie. Jeszcze raz ją pocałował, wziął swoją aktówkę i z szerokim uśmiechem wyszedł na zewnątrz w stronę samolotu.

Zazwyczaj Jinx wychodziła zaraz za nim. Lubiła słuchać krzątający mechaników kręcących się przy samolocie. Lubiła rubaszny irlandzki humor Glena Healy'ego i Cormaca O'Donnella. Chociaż zawsze traktowali ją z wielkim szacunkiem, pozwalali sobie na małe przekomarzanie, dzięki któremu czuła się bardziej zrelaksowana i spokojna.

Tego ranka, z powodu niewyspania, Jinx została w terminalu, powoli sącząc kawę, czekając, aż kofeina zacznie krążyć w jej żyłach i całkowicie ją rozbudzi. Kiedy dotarła na pas, niebo zaczęło się przejaśniać, samolot był gotowy do odlotu, czekając na sygnał do startu.

Kip zapiął się w fotelu drugiego pilota i rozpoczął kontrolę wskaźników. Tymczasem Healy skontaktował się z wieżą kontrolną, potwierdził trasę lotu, skontrolował pogodę i czas odlotu.

Mac O'Donnell, drugi pilot, leżał w łóżku chory na grype, ale dochodził już do siebie i miał asystować Healy'emu podczas lotu do Nowego Jorku, kiedy na pokładzie zajmą miejsca Jinx, Halona i Joy. Kip był nawet zadowolony z takiego obrotu sprawy. Uwielbiał latać i często, gdy leciał bez Jinx, cały czas spędzał w kokpicie.

- Mamy grubą powłokę chmur i małą burzę w okolicy Teksasu - poinformował Healy - ale możemy spokojnie lecieć wyżej. Tam jest czysto jak w komorze próżniowej.

- Przewidujesz opóźnienie? - zapytał Kip.

- Jeśli nie będziemy krążyć w kółko nad lotniskiem Kennedy'ego, to wylądujemy zgodnie z planem.

- Świetnie! Kiedy startujemy?

- Za jakieś pięć minut.

- No to na co czekamy. Włączamy silniki i jazda!

Dwusilnikowy odrzutowiec Lear opuścił hangar i zaczął kołować na miejsce startowe dla małych samolotów, z dala od pasów przeznaczonych dla dużych linii towarowych i pasażerskich. Kiedy przejeżdżali przez lotnisko, Kip jak zwykle podziwiał konstrukcję tej małej maszyny. Wszystkie wskaźniki połyskiwały zielonymi tarczami, a dźwignie lśniły wypolerowanym metalem. Kokpit wyposażono w skórzane fotele, gładkie i miękkie, w które człowiek zagłębiał się jak w ochronnej rękawicy. Za kokpitem znajdowała się luksusowa kabina przeznaczona dla dziesięciu pasażerów. Miała grube wełniane dywany, kuchnię, miękkie kanapy, dwie łazienki i siedzenia, które zamieniano podczas podróży w wygodne łóżka. W rogu stało małe łóżeczko przeznaczone specjalnie dla Joy. Imię dziewczynki wymalowane było dużymi, czerwonymi literami na dziobie samolotu.

Kip uśmiechnął się, przypominając sobie dzień, w którym przywiózł Jinx i Joy na lotnisko, żeby ochrzcić nową maszynę. Joy miała wtedy trzy miesiące i Halona trzymała ją na rękach, kiedy Jinx rozbijała butelkę szampana o kadłub samolotu. Oczywiście Joy nie miała pojęcia o tej ceremonii, jednak w tym momencie uśmiechnęła się radośnie, wypełniając czułością serce ojca.

- Lot numer dwanaście gotowy do startu na pasie szóstym.

Głos kontrolera lotów przywołał Kipa do terażniejszości i jego ręce natychmiast spoczęły na sterze. Healy skierował samolot na początek pasa, zatrzymał się i spojrzał w okno na rozciągającą się przed nimi czystą, niebieską wodę.

- Pełna moc - powiedział pchając dźwignię do przodu. - Klapy.

Kip wykonywał instrukcje pilota z rutynową sprawnością. Nie pierwszy raz lecieli razem.

- Podrywamy się.

Samolot gwałtownie przyspieszył. Healy zmienił wychylenia klap i zwiększył ciąg silnika. Gdy samolot oderwał się od ziemi i zaczął nabierać wysokości, Healy i Kip uśmiechnęli się i zagwizdali.

- Lecimy!

Nagle wszystko zwariowało: maszyna przestała się wznosić i na moment jakby zawisła w bezruchu. W następnej sekundzie odczyt wysokościomierza zaczął gwałtownie maleć.

- Tracimy prędkość!

Healy błyskawicznie omiótł wzrokiem tablicę przyrządów. Ściągnął wolant, rozpaczliwie próbując wyrównać lot.

Kip zaalarmował wieżę kontrolną.

- Mayday! Mayday!

- Co się, do diabła, dzieje! - krzyknął Healy, usiłując zapanować nad maszyną. Z desperacją manipulowali przyrządami, starając się uniknąć katastrofy, ale bez rezultatu. Maszyna jak kamień runęła w dół. Ostatnią rzeczą, jaką widział Kip, zanim samolot zderzył się z pasem, była fotografia Jinx i Joy przyklepiona do szyby na szczęście!

W czasie sprawdzania silników Jinx, chcąc uniknąć gwałtownego uderzenia powietrza, wróciła do terminalu. Zatkła uszy i zamknęła oczy, kiedy maszyna wyjeżdżała z hangaru. Gdy „Joy” stanęła już na pasie, wyszła na zewnątrz, otworzyła oczy i pomachała, nie wiedząc, czy Kip w ogóle ją dostrzegł. Uśmiechnęła się, kiedy samolot stale nabierając prędkości oderwał się od pasa i szybko zaczął wznosić się w powietrze. Nagle zobaczyła, jak skrzydła samolotu gwałtownie zachybotwały. Jeszcze przez parę sekund maszyna utrzymywała dotychczasową wysokość, po czym z potwornym wyciem runęła w dół.

Przez chwilę nie mogła się ruszyć, zupełnie sparaliżowana. Jednak za moment pędziła już do rozbitej

maszyny. Dotarła na miejsce razem z pogotowiem awaryjnym i ekipą ratunkową. Czterech mężczyzn w przeciwpożarzeniowych kombinezonach przebiegło obok, odepchnęło ją do tyłu i zaczęło rozpylać pianę po całym kadłubie. Następna grupa zaatakowała dno kokpitu, miażdżąc je kilofami i tnąc metal acetylenowymi palnikami. Wycięto z boku otwór, by wydostać przebywających w środku ludzi.

- Tam jest mój mąż - krzyczała histerycznie, starając się przybliżyć do wraku. - Przepuście mnie!

Ktoś chwycił ją za ramiona i mocno trzymał. Mówił do niej po hiszpańsku i nie rozumiała ani słowa. Próbowwała uwolnić się z uścisku, ale mimo że kopała z całej siły, nie pozwolił jej się wyrwać.

Na pas wjechała karetka i Jinx poczuła, jak coś eksploduje jej w środku. To było serce. Waliło i łomotało z siłą, która o mało nie zwała jej z nóg, jednak zmusiła się do zachowania trzeźwej głowy

- Lekarza - jęknęła. - Potrzebny lekarz. - Jej myśli gnały jak szalone. O kim wspominał dziś Kip? Noah spotkał go dzisiaj na polu golfowym. Amerykanin. Kip mówił, że zdolny. Jak miał na imię? Płatała się w domysłach, wiedząc, że tylko Kip znał odpowiedź. - Grant. Na pewno. Jakiś Grant. Michael Grant. Nie, Mitchell Grant. - Przylepiła wzrok do okien kokpitu, skąd ratownicy próbowali wydostać załogę. - Matthew Grant! Ależ tak, Matthew Grant. Muszą do niego zadzwonić. Muszą wezwać go do szpitala!

Uwolniła się z rąk mężczyzny i pomknęła do lekarza stojącego przy karetce.

- Matthew Grant - powiedziała starając się ściągnąć jego wzrok. - Proszę, niech ktoś zadzwoni do „El Cielo” i wezwie doktora Matthew Granta.

Młody lekarz wyglądał na zdenerwowanego.

- W tym samolocie jest mój mąż. Zadzwoń do doktora Matthew Granta! - krzyczała wskazując na niego palcem i dziko gestykulując, lecz mężczyzna widział w jej oczach rozpacz, a nie gniew.

- Si, senora. Zadzwonię. „El Cielo”. Doktor Matthew Grant.

- Gracias! - powiedziała kiwając głową i przygryzając wargi, żeby nie wybuchnąć płaczem. - Gracias!

Wszedł do ambulansu uruchomić radio, a Jinx wróciła do wraku. Mężczyźni wyciągali ze środka jakieś ciało.

- Kip! - rzuciła się do samolotu, gubiąc po drodze sandał i rozdzierając bluzkę o kawałek sterczącego metalu. - Kip! O, Boże! Pozwól mu żyć!

Dwóch mężczyzn odciągnęło ją do tyłu, kiedy ekipa ratownicza kładła Kipa na nosze. Wszędzie było pełno krwi; na jego twarzy i na ubraniu. Jinx rozkleiła się, ale tylko na moment.

Musisz się kontrolować, powtarzała w myślach. On cię potrzebuje. Nie możesz teraz pozwolić sobie na histerię.

Wytarła oczy i zmusiła się do trzeźwego obserwowania ewakuacji. Robiła wszystko, żeby zachować zimną krew, ale coś w sposobie zachowania lekarzy zajmujących się Kipem dotknęło jej trzewi jak zatruta strzała i wypełniło ciało cierpieniem i strachem. Patrzyła, jak przypinali go do noszy i ostrożnie kładli do ambulansu.

- Jadę z nim - powiedziała tonem, który każdy rozumiał, choć mówiła obcym j językiem.

Wspięła się do karetki, uklękła obok Kipa i tylko raz oderwała od niego wzrok. Widziała, jak kogoś jeszcze położono na noszach i zakryto mu twarz prześcieradłem.

Jinx przemierzała skąpo oświetlony korytarz oddziału intensywnej terapii. Ramiona miała przykryte kocem, a na nogi założyła parę pożyczonych skarpetek. Cała się trzęsła,

była zlane potem i nierówno oddychała. Wszystko widziała jak przez mgłę, ale ciągle skupiała wzrok na labiryncie gabinetów. W jednym z nich leżał jej mąż.

Nie była pewna, ile czasu spędziła w tym miejscu. Pojęcie czasu istniało o tyle, o ile odnosiło się do stanu Kipa. Tak jakby olbrzymi zegar zaczął tykać od chwili, gdy samolot rozbił się na pasie - tik, tak, tik, tak, tik, tak - z denerwującą regularnością. Czas połykał cenne minuty. Chciała go zatrzymać, odwrócić nieodwracalny bieg wydarzeń, wtedy wszystko mogłoby jeszcze dobrze się skończyć.

- Pani Kipling.

Jinx spojrzała w górę na sympatyczną twarz Matthew Granta. W pierwszej chwili nie wiedziała, kim jest. Z powodu swego wzrostu unosił się nad nią jak olbrzymi potwór i widziała tylko jego czerwoną koszulkę do gry w polo. Dopiero po kilku sekundach zauważyła, że miał na sobie biały kitel.

- Mój mąż? - nagle w jej głosie pojawiła się panika. - Co się stało z moim mężem? Umarł?

- Nie.

Matthew nie był pewien, czy nieśmiało się uśmiechnęła, czy tylko wykrzywiła usta. Widział, że była w szoku i potrzebowała opieki, ale coś mu podpowiadało, że nie przyjęłaby jej w takiej chwili.

- Wie pan, co się stało z innymi pasażerami? - zapytała z wahaniem.

- O ile wiem, w środku była jeszcze tylko jedna osoba. Chyba pilot.

- Healy. - Znowu ten sam półgrymas, półuśmiech. Robiła wszystko, żeby zachować odwagę.

- Przykro mi, pani Kipling: nie wytrzymał.

Opuściła głowę i ukryła zapłakaną twarz w dłoniach.

- A mój mąż? - spytała wycierając oczy.

- Jest w stanie krytycznym.

- Jakie są szanse?

Matthew wziął ją za rękę, zaprowadził do krzesła i pomógł usiąść. Przykucnął obok niej i uparcie patrzył jej w oczy, nie pozwalając, żeby straciła koncentrację.

- Ma złamany kręgosłup - powiedział nie ukrywając stanu swojego pacjenta.

- O mój Boże! - Jinx zachwiała się, ale jego ręce nie pozwalały jej się osunąć.

- Jest na wyciągu i jeśli czuje się pani na siłach, może pani iść go zobaczyć.

- Oczywiście, że czuję się na siłach.

Matthew pomógł jej wstać.

- Pani Kipling, mąż jest nieprzytomny i nie najlepiej wygląda. Może zechce pani poczekać na kogoś z rodziny przed wejściem do środka?

Odwróciła się i spojrzała mu w oczy. Nie docierało do niej, że Matthew chce ją przygotować na najgorsze.

- Nie ma tu nikogo z mojej rodziny - powiedziała. - Chciałabym zobaczyć go w tej chwili.

- Jak pani sobie życzy. - Wziął ją pod rękę i zaprowadził do windy. Chciał wcześniej z niej wysiąść, lecz zauważył, jak cała zamarła. - Pójdę z panią - powiedział wyczuwając, że Jinx boi się iść sama do Kipa.

Pokiwała głową. Wyszła na korytarz. Szpital był mały, źle wyposażony i od lat nie remontowany. Chociaż cała jej umysłowa energia skupiła się teraz na Kipie, peryferie jej świadomości odnotowywały stan otoczenia. Pierwsza myśl, jaka przyszła jej do głowy, to żeby zawiadomić Healy'ego. Chciała go poprosić, żeby przetransportował Kipa do Denver, do Houston albo innego świetnie wyposażonego szpitala. Wtedy sobie przypomniała. Healy nie żyje. Jej ciałem wstrząsnął dreszcz.

- Dobrze się pani czuje? - Matthew zatrzymał się przed wejściem do izolatki. - Może chce pani coś na uspokojenie? - Zaprzeczyła ruchem głowy. - Czy senator Gold i jego żona nadal są u pani w domu?

- Nie. Wszyscy wyjechali. To aż tak źle?

Jej twarz była blada jak papier. Kiedy mówiła, drżały jej usta, jednak Matthew dostrzegł determinację i odwagę w jej oczach. Chciała znać prawdę.

- Bardzo źle.

Odsunął szarą kotarę i wycofał się tak, żeby Jinx mogła wejść do środka, lecz zachowując bezpieczny dystans, by móc ją złapać na wypadek, gdyby zemdląca. Kip leżał przywiązany pasami do łóżka, a z jego ciała wyrastał gąszcz rurek i drutów przymocowanych do wiszących butelek i podłączonych do szumiących i migających lampkami maszyn, przedstawiających funkcję organizmu za pomocą falistych linii i dziesiętnych części liczb. Miał pokaleczone ramiona i twarz, a nogi oplatały białe bandaże. Jinx mogłaby jakoś to znieść, ale podeszła bliżej i zobaczyła duże metalowe śruby wystające z ciała Kipa i metalową obęcz biegnącą z tyłu głowy aż do klatki piersiowej. Łzy, które starała się zatrzymać, popłynęły z jej oczu olbrzymim strumieniem.

Pielęgniarka przyniosła krzesło i pomogła jej usiąść. Matthew wypisywał jakieś znaki na karcie Kipa, kontrolując rozstawione urządzenia. Jinx podniosła się z miejsca i dotknęła dłoni Kipa. Chciała go dotknąć, ale bała się, że może zadać mu ból. Obawiała się, że nawet najmniejszy ból może go zabić. Zaczęła delikatnie przesuwając palcami po jego palcach, mając nadzieję, że wie, iż jest przy nim; kochająca, troskliwa, czekająca, żeby wrócił do zdrowia. Wtem zadrgały mu powieki. Oddech uwiązł jej w gardle.

- Kip. Jestem tutaj, kochanie. Obudź się! Odezwij się! Spójrz na mnie. - Stała przy nim, próbując dotrzeć do jego świadomości. - No już. Uda ci się. Otwórz oczy.

Żadnej reakcji, żadnego ruchu.

- Zrób to dla mnie. Zrób to dla Joy. - Kiedy wypowiedziała imię córki, łzy znów wystąpiły jej na policzki. - Mój Boże! - zanosła się od płaczu, rozpaczliwie patrząc na Matthew. - Pomóż mi!

Później tonem naiwnego dziecka pytającego, dlaczego niebo jest niebieskie, wyszeptała: - Kiedy on się obudzi?

- Nie wiem.

Oczy Jinx szerzej się rozwarły i zanim otworzyła usta, przygryzła dolną wargę, jakby chciała dodać sobie odwagi.

- Czy on w ogóle się obudzi?

- Mam taką nadzieję.

Chciała poczuć ulgę, lecz usłyszała w jego głosie nie wypowiedziane „ale”.

- Proszę mi powiedzieć. Chcę znać całą prawdę. Matthew widział, jak bardzo stara się być odważna. Nie mógł przestać jej

podziwiać.

- Jeśli się obudzi, istnieje możliwość, że będzie sparaliżowany.

- Podobno jest pan doskonałym chirurgiem - powiedziała, a jej rozpacz i strach zamieniły się w gniew. - Kip wyrażał się o panu w samych superlatywach. Noah śpiewał pochwalne hymny. Podobno dokonuje pan cudów. Doktorze Grant, niech pan sięgnie do swojego magicznego kapelusza. Niech pan wyciągnie białego królika. Niech pan powie abrakadabra. Niech pan zrobi cokolwiek, ale błagam pana, niech go pan tak nie zostawia! Niech pan nie pozwoli mu umrzeć!

- Zareczam pani - powiedział Matthew bardziej ze współczuciem niż z przekonaniem - że zrobię wszystko, co mogę.

- Dobrze - powiedziała odzyskując samokontrolę - ale czy to poskutkuje? Matthew spojrział na Jinx. Jej hiacyntowe oczy wyrażały nadzieję i nie spełnione marzenia. Przyjrzał się Kipowi. Chciałby, żeby wyglądało to inaczej. Zawsze chciał, żeby wyglądało to inaczej.

- Nie mamy pewności - powiedział smutno - musimy czekać. Później zobaczymy.

* * *

Niemalże przez cały dzień Jinx nie odstępowała od łóżka Kipa. Kiedy przyszła Halona, wysłała ją do domu nalegając, żeby opiekowała się Joy. Chciała zostać sama z Kipem. Jednak nie była sama. Matthew Grant nie opuścił jej ani na krok.

Przez cały czas zaspokajał jej potrzeby równie dobrze, jak potrzeby pacjenta. Kiedy mówiła, zamieniał się w słuch, kiedy milczała, on też nie odzywał się ani słowem.

Około godziny czwartej po południu Matthew zaczął nalegać, żeby choć na chwilę odpoczęła. Zaoferował, że zostanie przy Kipie, lecz gdy przybył jeszcze z pomocą Sam Lawson, Jinx zaproponowała, by on czuwał nad jej mężem i poprosiła Matthew, żeby jej towarzyszył.

Kiedy weszli do zaśmieconej poczekalni, pełnej popielniczek z setkami niedopałków i pustych kubków po kawie, Jinx ujrzała Jeffreya Dodge'a. Zdziwiła się, że tak szybko przyjechał.

- Miałem problemy z samochodem - wyjąkał, starając się usprawiedliwić, że nie przybył natychmiast po wypadku. - Zepsuł się po drodze i nie zdążyłem na samolot. - Gubił się w słowach. - Miałem lecieć razem z Kipem.

- Dzięki Bogu, że tak się nie stało. - Jinx starała się być uprzejma, jednak usłyszała w swoim głosie wrogość, która ją samą zaskoczyła.

- Słuchaj, nigdy wprawdzie nie byliśmy ze sobą bardzo blisko - powiedział Dodge, zmieszany jej nieprzyjaznym tonem - ale teraz nadszedł czas, żeby zapomnieć o tym wszystkim. Musimy trzymać się razem. Zrobię wszystko, co będę mógł, dla Kipa i dla twojej rodziny. Po prostu daj mi znać. Jeśli trzeba będzie czymś się zająć, wezmę wszystkie sprawy w swoje ręce.

Miał poważny wyraz twarzy i taki sam poważny ton głosu. Jednak Jinx ciągle nie mogła pohamować niechęci.

- Kip jeszcze nie umarł - odparowała, zastanawiając się, dlaczego tak denerwowała ją obecność Dodge'a. Może dlatego, że Kip i Dodge nie robili ostatnio nic innego, tylko wiecznie się kłócili. Może dlatego, że Dodge wyprowadził Kipa z równowagi w przeddzień wypadku. A może dlatego, że Dodge zdołał uniknąć katastrofy, nie wsiadając do samolotu z Kipem.

- Jinx jest zdruzgotana - usprawiedliwił ją Matthew. - Niech pan przyjdzie trochę później, panie Dodge.

Jeffrey pokiwał głową, nieco zażenowany tym, że poproszono go o wyjście, lecz z drugiej strony ogromnie wdzięczny za to, że nie musi zostać.

Jakby czekając na chwilę samotności, Jinx załamała się. Przyłgnęła ze szlochem do Matthew, zupełnie nie panując nad swoimi emocjami. Poglaskał ją po plecach, wypowiadając słowa pocieszenia, jednak doskonale zdawał sobie sprawę z tego, że nic nie zdoła ukoić jej bólu.

- Wiem, że umrze - powiedziała Jinx - a moja córka zostanie bez ojca. Boże, jak ja jej to powiem?

- Kip dzielnie się trzyma - odparł Matthew - i ty też musisz być dzielna.

- Staram się - szlochala - ale to takie trudne.

Będzie jeszcze trudniejsze, pomyślał Matthew, o wiele trudniejsze.

- ... I Heather opowiedziała Joy przy śniadaniu całą bajkę o księciu Hermanie. Zrobiła to dokładnie tak samo jak ty, zmieniając intonację i tak dalej.

Smutny uśmiech przebiegł przez usta Jinx, kiedy z wymuszoną wesołością opowiadała różne historie, śpiewała niemądre piosenki, powtarzała plotki, zachowując się tak, jakby był zupełnie przytomny.

- Czyż nie wyglądała przepięknie w swojej słodkiej niebieskiej sukieneczce w wieczór moich urodzin? - Jinx podsunęła fotografię przed zamknięte oczy Kipa. - Tak bardzo się starała dotrzeć do końca, ale kiedy Halona zabrała ją do domu, chyba w cichości ducha odetchnęła z ulgą. - Jeszcze raz rzuciła okiem na zdjęcie i ponownie pokazała je nieprzytomnemu mężowi. - Coraz bardziej jest do ciebie podobna, nie sądzisz? - Poczowała ucisk w gardle i głos odmówił jej posłuszeństwa. - Boże. Musisz się obudzić! Joy tak bardzo cię potrzebuje - jęknęła. - Brak mi ciebie. Nie mogę bez ciebie żyć. Jesteś moim przyjacielem, mężem, powiernikiem, nauczycielem, kochankiem i jedynym obrońcą. Jesteś dla mnie wszystkim, rozumiesz? - Podniosła rękę, żeby otrzeć łzy spływające jej po policzku. Nie wypuściła z dłoni zdjęcia i z uporem trzymała rękę Kipa. - Proszę cię - powiedziała, stając na równe nogi w nagłym przyplywie energii. - Hej! Królu Salvatorze Sulcorini! Obudź się! To ja, królowa Ethel! Przyjechałam szmat drogi z Idaho tylko po to, żeby się z tobą zobaczyć! Proszę! Otwórz oczy. Obiecałeś mi, że zawsze będziesz mnie kochał! Jeszcze nie skończyło się „zawsze”. Otwórz oczy!

Wyczerpana, z powrotem osunęła się na krzesło, pochylając głowę nad krawędzią łóżka, zahipnotyzowana

miarowym szumem medycznej aparatury i regularnymi uderzeniami serca w swojej piersi.

Matthew stał w rogu pokoju, patrząc w kartę Kipa, kontrolując urządzenia i obserwując Jinx. Dochodziło pół do czwartej rano. Był przyzwyczajony do wielogodzinnego czuwania, ale nie miał pojęcia, jak ona to wytrzymywała. Siła woli, jak przypuszczał. I nadzieja.

Powoli zbliżył się do łóżka Kipa i dotknął palców jego stóp, żeby się upewnić, czy nadal są ciepłe. Kiedy badał puls, Kipowi nagle drgnęły powieki. Czekał. Znowu zadrgały i w oczach Kipa ukazały się dwie małe szparki.

- Jinx - wyszeptał Matthew, żeby jej nie przestraszyć. - Chyba się budzi.

Oczy Jinx szeroko się otworzyły. Spojrzała na Kipa, starając się nie krzyknąć i powstrzymując się resztkami sił, żeby nie potrząsnąć go za ramiona.

- Kip! To ja! Jestem tutaj, kocham cię. Proszę. Obudź się. Spójrz na mnie. Dobrze. Jeszcze trochę otwórz oczy. Świetnie. Otworzył oczy - powiedziała do Matthew. - Czy to nie cudowne?

Matthew uśmiechnął się i pokiwał głową, ale wiedział, że nie ma powodu do radości.

Z ust Kipa wydobył się cichy dźwięk. Nawet nie słowo, tylko jakaś nierozpoznawalna sylaba, ale dla Jinx zabrzmiało to jak symfonia. Poruszył ustami. Jego wzrok powędrował od Jinx do Matthew, a potem znowu do Jinx. Usta ponownie mu zadrgały.

- Myślę, że się do ciebie uśmiecha - powiedział Matthew, wycofując się o krok, żeby zapewnić im chwilę sam na sam, zachowując jednak bezpieczną odległość na wypadek, gdyby potrzebna była jego interwencja.

- Też tak myślę - powiedziała uszczęśliwiona Jinx. - Czy uśmiecha się pan do mnie, panie Harrison?

Kip mrugnął powiekami i Jinx prawie rozplakała się z radości. Czule i ostrożnie nachyliła się nad Kipem i pocałowała go w usta.

- Ji... Ji... - próbował mówić, ale głos uwiązł mu w krtani. Próbował poruszyć głową. Ból był przeszywający.

- Musieliśmy przykuć cię do łóżka - powiedział Matthew, starając się go uspokoić. Szybko sprawdził położenie obręczy na szyi Kipa. - Wiem, że nie podoba ci się ta pozycja, ale zażalenia będziemy przyjmować później.

Zrozumiał jego słowa. Zwrócił wzrok w stronę Jinx.

- Co się stało? - Mówił słabym głosem. Jinx musiała wyteńczyć całą uwagę, żeby rozróżnić słowa. - Gdzie Healy?

- Na innej sali - powiedziała z takim spokojem, na jaki tylko było ją stać. - W takim samym eleganckim garniturze jak ty..

- Byłem z wami bardzo szczęśliwy - odezwał się Kip ledwo słyszalnym głosem. - Z tobą i z Joy. Miałem szczęście, że cię spotkałem.

Wielkie słone łzy popłynęły z oczu Jinx.

- Nadałyście sens mojemu życiu - ciągnął Kip. Ciężko oddychał i z jego ust dobiegał szmer. - Nigdy nikogo nie kochałem tak bardzo. Pamiętaj o tym.

- Nie mów mi „do widzenia” - odparła Jinx. - Nie możesz mnie opuścić.

- Kiedy Joy będzie na tyle duża, żeby zrozumieć, powiedz jej, dlaczego nadałem jej takie imię. Powiedz jej, jak bardzo ją kochałem i jak bardzo kochałem jej matkę.

- Proszę cię - błagała Jinx - proszę cię, nie!

Jego powieki opadły. Jinx nasłuchiwała. Urządzenia nadal wydawały dźwięki. Ciągle jeszcze żył. Ale Matthew zawołał pielęgniarkę. Przyłożył stetoskop do piersi Kipa. Wtem obok łóżka Kipa pojawił się Sam Lawson z dwiema innymi pielęgniarkami.

- Wszystko będzie dobrze - mówiła Jinx podnosząc głos, żeby dotarły do Kipa jej słowa. - Zobaczysz. Doktor Grant się tobą zajmie. Pamiętasz Matthew Granta? Grałeś z nim w golfa. Wezwałam go, żeby się tobą zajął. Jest świetny, pamiętasz? Doktor Lawson też tutaj jest. Są najlepsi. Sam mówiłeś. Zaopiekują się tobą. A jak już lepiej się poczujesz, pojedziemy razem z Joy do domu.

Czuła coraz większy ucisk w gardle i coraz więcej łez cisnęło jej się do oczu. Jedna z pielęgniarek chwyciła Jinx i odwiodła od łóżka, trzymając ją delikatnie, lecz pewnie. Jinx starała się dojrzeć Kipa, ale otaczało go zbyt wielu ludzi, więc skoncentrowała się na jedynym urządzeniu, które mogła dostrzec, na maszynie rejestrującej bicie jego serca. Niebieska linia od czasu do czasu gwałtownie drgała, czemu towarzyszył ostry, przeszywający dźwięk. Zygzaki przez cały dzień i noc były tak miarowe i tak monotonne, że przyzwyczała się już do akompaniującego im dźwięku. Nagle rytmiczny pisk zatracił swoją regularność.

- Będziemy żyć długo i szczęśliwie! - rozpaczliwie krzyczała, wściekła na maszynę, jakby to ona była wszystkiemu winna. - Wszyscy żyją długo i szczęśliwie. Sam mi tak mówiłeś tamtej nocy. Nie pamiętasz? Ty...

Niebieski zygzak zamienił się w pojedynczy punkt, który przesuwiał się na ekranie, tworząc ciągłą linię, a regularny pisk zamienił się w jednostajny dźwięk, przeraźliwy jak żałobny dzwon.

„22 stycznia 1978 roku. Lekarze reanimujący Harrisona Phineasa Kiplinga stwierdzili, że zgon nastąpił nad ranem, o godzinie czwartej zero sześć. Dokonano sekcji zwłok i przygotowano ciało do transportu do Stanów Zjednoczonych. Wiek pacjenta: pięćdziesiąt jeden lat. Sekcja wykazała, że powodem śmierci były obrażenia spowodowane wypadkiem samolotowym. Przyczyna śmierci: zniszczenie tkanki wiążącej

aortę z kręgosłupem i przemieszczenie aorty, które spowodowało uszkodzenie jej ściany. Około godziny czwartej nad ranem aorta uległa rozerwaniu, co było przyczyną krwotoku wewnętrznego. Próby uratowania życia pacjenta nie powiodły się".

Dzień 24 stycznia 1978 roku był szary i nieprzyjemny. Poprzedniej nocy w Nowym Jorku zaczął padać zimny deszcz, pokrywając drogi śliską, niebezpieczną breją. Mimo paskudnej pogody wszystkie ławki w kaplicy były zajęte, a zza drzwi wysypywali się ludzie, dla których nie było miejsca w środku.

Na pogrzeb przybyły tłumy, chociaż Jinx zawiadomiła tylko najbliższą rodzinę, najwierniejszych przyjaciół i współpracowników Kipa. Dzięki asyście policji udało jej się nie dopuścić do ceremonii wścibskich reporterów. Nie zgodziła się na długą pożegnalną mowę, woląc, aby wszyscy zebrani pożegnali Kipa swoimi własnymi słowami.

Nie docierały do niej dziesiątki kondolencji, które składano jej przed mszą, ledwie rozpoznawała twarze ludzi, którzy przybyli przekazać jej wyrazy szacunku i współczucia. Siedząc kilka metrów za trumną myślała o Joy. Dziewczynka była zupełnie otumaniona wydarzeniami ostatnich dni. Dwa dni temu powiedziała Joy o śmierci Kipa, ale ze szklanego wyrazu oczu córeczki wywnioskowała, że prawda jeszcze do niej nie dotarła. Spokojnie, jak przed ekranem telewizora, Joy przysłuchiwała się mszy. Nie płakała, nie krzyczała. Wszystko było dla niej zbyt abstrakcyjne i zbyt odległe. Miała dopiero cztery lata i wiedziała od mamy, iż tatuś jest w tym dużym pudełku, że śpi specjalnym snem, z którego nigdy się nie obudzi, i że już nigdy go nie zobaczy ani nigdy z nim nie rozmawia, chyba że w czasie modlitwy. Powiedziała jej również, że tata nigdy już nie da jej buzi na dobranoc, ale że zawsze, do końca życia, będzie ją kochał.

Skończyła się msza i Jinx poprowadziła Joy wzdłuż nawy, patrząc prosto przed siebie nic nie widzącym wzrokiem, nieświadoma obecności innych ludzi, z wyjątkiem współczującej, kojącej twarzy Matthew Granta.

Matthew nalegał, że odwiezie ją do domu po dokonaniu sekcji. Dał jej środek na uspokojenie i został przy jej łóżku, kiedy zasnęła. Zorganizował przewiezienie zwłok do Stanów, zawiadomił członków rodziny, a kiedy nadszedł czas wyjazdu do Ameryki, postanowił lecieć z nią do Nowego Jorku.

Podczas lotu przez cały czas opiekował się Jinx i jej córeczką. Teraz schodził z nimi ze schodów do czekającej limuzyny. Jinx weszła do środka, posadziła Joy na kolanach i zachęciła ją do drzemki. Dziecko prawie natychmiast zasnęło, trzymając kciuk w ustach, a drugą ręką ściskając poły płaszcza matki.

- Byłeś bardzo miły - powiedziała Jinx do Matthew z twarzą wykrzywioną cierpieniem. - Nie wiem, co bym bez ciebie zrobiła przez te ostatnie kilka dni.

Matthew wpadł w zakłopotanie.

- Gdybyśmy byli w innym szpitalu i mieli lepszy sprzęt - powiedział - moglibyśmy to wykryć, zanim było za późno.

Jinx położyła rękę na jego policzku. - Nie obwiniaj siebie - powiedziała czule. - Wiem, że robiłeś wszystko, co mogłeś.

- Po prostu chciałbym móc zrobić więcej.

- Ja też - powiedziała zgarniając kilka włosów z czoła córki. - Ja też... Przez resztę drogi Jinx i Matthew siedzieli obok siebie w milczeniu, każde pogrążone we własnych myślach. Kiedy dojechali na cmentarz, Jinx pocałowała Joy w policzek i delikatnie ją obudziła.

- Chodź, kochanie - wyszeptała. - Musimy pożegnać tatusia. Matthew pomógł jej wziąć Joy na ręce i wyszli z samochodu. Powoli podeszła do trumny i stanęła obok dwóch sióstr Kipa, ich mężów i dzieci. Poczowała, jak stojący za nią

Cissie i Noah pokleпали ją po ramieniu. Usłyszała, jak Claire i Peter Billings coś do niej mówili, ale kiedy tak stała obok córeczki, wszystko wkoło niej zlało się w jedną całość, z wyjątkiem trzech nagrobków obok grobu Kipa i trzech marmurowych płyt, pod którymi spoczywała jego pierwsza rodzina: Elizabeth Dodge Kipling, Philip Kipling i Delilah Kipling.

Duże, smutne łzy zalały jej fioletowe oczy, strumieniami spływając po policzkach. Zadrżała jej broda, a w krtani ugrzązł przeciągły jęk. Jaka to ironia! - pomyślała. Kip zmarnował tyle czasu i energii, chroniąc przed niebezpieczeństwem ją i Joy. A jak później się okazało, to on potrzebował tej ochrony.

Właśnie stanęli przed nią Jeffrey i Alice Dodge. Kiedy Jeffrey pochylił się nad grobem, Jinx usłyszała, jak mówi do żony:

- Kip jest teraz w domu. Tam, gdzie zawsze pragnął być. Tam, gdzie jest jego miejsce.

Przez chwilę Jinx opanowała dziwna myśl. A jeżeli Jeffrey ma rację? Może Kip podświadomie tego właśnie pragnął? Może chciał jak najszybciej połączyć się z dziećmi i z Elizabeth? Czyżby sprowokował Boga i los, żeby powtórzyli tragiczną historię za jego przyzwoleniem?

Usłyszała szmer modlitwy. Widziała płaczących ludzi i pochylone głowy, ale nie potrafiła się skoncentrować. Była zbyt zaabsorbowana myślą, że być może życie Kipa z nią było tylko przerwą, sposobem zabicia czasu do ponownego połączenia z Elizabeth. Być może ona i Joy były niczym innym tylko krótkim rozdziałem w księdze jego życia, nieważnym i mało istotnym.

Nie było wątpliwości co do tego, że Jeffrey i Alice nigdy jej nie zaakceptowali. Jeśli chodzi o siostry Kipa, Jinx podejrzewała, że one także nigdy nie pogodziły się z myślą o

jego ponownym małżeństwie. Nawet teraz skupiły się razem i choć fizycznie stały od niej w odległości paru kroków, emocjonalnie oddzielała je ogromna przepaść. W domu pogrzebowym składały jej wyrazy współczucia z tym samym dystansem, z jakim czynili to współpracownicy Kipa. Żadna z nich nie zaproponowała jej wsparcia ani pomocy, żadna czule jej nie objęła ani przyjaźnie nie uścisnęła jej dłoni. Żadna nie zainteresowała się Joy.

Spojrzała na siostry Kipa, a zaraz potem na olbrzymią mahoniową trumnę, w której spoczywało ciało jej męża, i zastanowiła się, co było powodem tej alienacji. Może ich charakter, a może różnica wieku. Czy odepchnęła je w taki sam sposób, jak odsunęła się od własnej rodziny? A może czuli się tak dlatego, że nigdy nie próbowała się do nich zbliżyć.

Jeszcze kilka dni temu, choć teraz wyglądało to na wieczność, Heather ostrzegała ją przed pogłębieniem przepaści między nią i rodzicami; mówiła, że któregoś dnia może potrzebować ich miłości i wsparcia. Pomyślała, że właśnie dziś mogłaby mieć przy sobie swoją rodzinę; matka mogłaby ją pocieszać, ojciec trzymać za rękę, siostra zaś ocierać łzy. Ale nikogo z nią nie było. Heather, nieświadoma śmierci Kipa, pojechała robić zdjęcia na Hawaje i Jinx nie mogła jej złapać, Kate i Hank przeczytali o wypadku w gazetach, ale kiedy do niej zadzwonili, nie chciała z nimi rozmawiać. Czyżby była aż tak złym człowiekiem? Czy nie powinna im wybaczyć? Czy to nieszczęście nie mogłoby doprowadzić do pojednania?

Zanim zdążyła odpowiedzieć sobie na te pytania, jej twarz zaatakował mroźny deszcz. Na moment zamknęła oczy i wystawiła się na bryzgi zimnej wody. Czy to Bóg odpuszczał jej grzechy? Czy ta woda zmywała z niej całe zło? W tym momencie usłyszała, jak grudy ziemi odbiły się od wieka

drewnianej trumny. Było już po wszystkim. Naprawdę, okropnie, nieodwracalnie po wszystkim. Wzdrygnęła się i jej ciało zaczęło drżeć nie tylko od chłodu szarego dnia. Nie było już Kipa. Nie miała już męża. Jej córka nie miała ojca.

Wtem, jakby czytając w myślach matki, Joy wyrwała się z jej uścisku i podeszła do grobu. Wszyscy zamarli, obserwując, jak dziecko zerka w głąb ziemi. Przez chwilę stała tak bez ruchu, patrząc tylko, jakby próbując pojąć pełnię tego okropnego zdarzenia. Potem jej cienki dziecięcy głosik przerwał żałobną ciszę.

- Do widzenia, tatusiu - powiedziała i w jej dużych lawendowych oczach pojawiły się łzy, którym towarzyszył wyraz niedowierzania. - Będę za tobą tęsknić.

I zawsze, ale to zawsze będę cię kochać.

Spokojnie i delikatnie Halona wzięła ją na ręce i zaniósła do samochodu, trzymając ją blisko siebie i pozwalając, by łzy płynęły jej z oczu. Tłum powoli zaczął się przeredzać. Została tylko Jinx. Zamknęła powieki i z trudem przełknęła ślinę, ale nie mogła wymazać żalu, który zabrzmiał w głosie dziecka, ani widoku zapłakanej twarzy Joy. Przez kilka chwil sama płakała, pozwalając, by deszcz mieszał się z jej łzami.

- Może Jeffrey miał rację? - wyszeptała. - Może twoje miejsce jest między nimi. Może właśnie tak miało być. - Głos uwiązł jej w gardle. - Jesteś znowu z Elizabeth i z dziećmi. Mam nadzieję, że pomogą ci odzyskać spokój. Bóg jeden wie, jak bardzo na to zasługujesz!

Stała przy grobie i nagle jej płacz przerodził się w rozpaczliwy szloch. Zobaczyła, jak to wszystko było zaplanowane, jakie dopracowane - jeden duży pomnik - cztery groby i żadnego wolnego miejsca.

- A co z Joy? Co ze mną? - krzyczała, żądając odpowiedzi od zziębniętej, czarnej ziemi. - Nie ma dla nas tutaj miejsca?

Gdzie ono jest? Do kogo należymy? - Jej głos był ostry, na pograniczu hysterii i gniewu.

Chciała się na kimś wesprzeć, zjednoczyć się w bóle i w tej chwili przytłoczyła ją świadomość tragedii, jaka ją dotknęła. Nikogo nie było przy jej boku. Kip nie żył. Joy zabrano do samochodu. Siostry Kipa we własnym gronie opłakiwały brata, reszta poszła do domu zmienić ubranie i dalej żyć własnym życiem.

Stała sama, Frances Rebecca Kipling - kobieta bez rodziny, bez więzów krwi, kobieta bez powiązań, bez przyjaciół, kobieta bez męża i bez miłości. Patrzyła na zalany deszczem grób Kipa, czując się odseparowana od wszystkich i od wszystkiego, co знаła. Czowała się tak, jakby jej życie także się zatrzymało. Wiedziała, że to nieprawda. Wiedziała, że żyje, oddycha i że przetrwa ten dzień. Ale kiedy odwracała się, by odejść, przerażający głos odezwał się w głębi jej duszy i zadał pytanie, na które nie znała odpowiedzi. Dokąd zmierzasz?

KSIĘGA CZWARTA

FRANCES REBECCA TRAVIS

Frankie

Luty 1978

Po klapie „Księżnej z ulicy Portobello” i niefortunnej konferencji prasowej, status Frankie Travis obniżył się do persona non grata. W ciągu kilku dni od konferencji, Frankie zniknęła ze sceny towarzyskiej, znajomi aktorzy zbliżali się do niej na odległość wyciągniętej ręki, producenci nie chcieli mieć z nią nic wspólnego i co najgorsze, liczbę scenariuszy, jaką jej oferowano, można było uznać za mniej niż znikomą. Gdyby nie dwa kontrakty podpisane przed „Księżną”, prawdopodobnie w ogóle nie dostałaby żadnej pracy.

Podczas gdy Frankie przechodziła następną depresję, spowodowaną szykanami i niechęcią, z jaką spotykała się na każdym kroku, Luke jakby w ogóle się tym nie przejmował. Zgodnie z zasadą panującą w Hollywood mówiącą, że gwiazda żyje tak długo, jak długo jest na ustach wszystkich, Luke był nad wyraz zadowolony, że imię Frankie pojawia się we wszystkich gazetach i w każdej towarzyskiej rozmowie.

- Najostrzejsza krytyka też jest reklamą! - tłumaczył jej, kiedy się skarżyła. - Poza tym połowa miasta wystaje w kolejkach dla bezrobotnych. Dopóki masz pracę, niech cię nie boli głowa o to, co mówią ludzie.

Zazwyczaj Frankie zgadzała się na wszystko i pokornie się wycofywała. Nie mogła sobie pozwolić na wzbudzenie gniewu Luke'a lub jego dezaprobatę. Bez niego była nikim. Przez ostatnie lata Luke nie tylko sterował jej karierą, ale coraz bardziej zdecydowanie kierował jej życiem. Dyktował jej, gdzie powinna chodzić, co jeść, jakie nosić ubranie, z kim umawiać się na randki, a nawet z kim spać.

To on dbał o jej image, podczas gdy Frankie do wszystkiego stosowała się bez zastrzeżeń, czasami świadoma

konsekwencji swojego postępowania, lecz zazwyczaj zupełnie obojętna. Domagał się, żeby przedkładała jego zalecenia nad wskazówki reżyserów, choć było zupełnie jasne, że nie zawsze miał rację. Zdołał ją nawet przekonać, że skoro już razem w to wdepnęli, to powinni również dzielić ze sobą łóżko.

Mogłaby na zawsze być przykuta niewidzialnym łańcuchem do Luke'a Maddoxa, gdyby nie dwie rzeczy: jej talent i jego brak umiaru.

Pierwszy film, który zrobiła po „Księżnej z ulicy Portobello”, zebrał dobre recenzje, ale nie był sukcesem kasowym. Za drugi film otrzymała nominację do Oscara i chociaż nie udało jej się zdobyć tej nagrody, zyskała znacznie więcej - wiarygodność i uznanie jako aktorka. Zaczęła dostawać lepsze role i traktowano ją z większym szacunkiem.

Swojego sukcesu nie przypisywała w całości Luke'owi Maddoxowi, przypominając mu, że okres „banicji” jeszcze się dla niej nie skończył i że to przez niego została towarzyskim pariasem. Wtedy właśnie postanowiła skończyć z nim raz na zawsze.

Sterling i Karen Travis wyprawili Frankie dwudzieste szóste urodziny, na które zaprosili ponad dwustu gości. Wydali wystawną kolację, żeby Frankie mogła wreszcie wyjść ze skorupy, którą otoczył ją Maddox, i ponownie wkroczyć do towarzyskiego świątka hollywoodzkiej elity. W dzień przyjęcia Luke postanowił zatrzymać Frankie, umawiając ją po południu na zdjęcia próbne. Przedtem dobrze się upewnił, że zdjęcia skończą się dopiero późnym wieczorem. Kiedy dotarła do domu swojego ojca, przyjęcie już się zakończyło, podobnie jak jej współpraca z Lukiem Maddoxem.

- Koniec z nami - powiedziała przechodząc między pustymi stolikami i stąpając po balonach, z których uszło

powietrze. - Wiedziałeś, jak ważne było dla mnie to przyjęcie i celowo nie dopuściłeś do tego, żebym wzięła w nim udział.

- Najpierw praca, później przyjemność - powiedział Luke tonem człowieka, który zawsze robi tylko to, co stosowne.

Frankie odwróciła się i spojrzała mu w twarz.

- Nie - powiedziała. - W końcu do mnie dotarło. To nigdy nie była praca i to nigdy nie byłam ja. Zawsze ty najbardziej się liczyłeś. Twoje potrzeby. Twoje zachcianki. Tylko ty. Nigdy ci na mnie nie zależało. Po prostu mnie wykorzystywałeś, jak jeszcze jeden talon na obiad.

Chociaż miała zaciśnięte pięści i cała trzęsła się z wściekłości, jej ton był spokojny i opanowany.

- Moja wcześniejsza agentka popełniła błąd, traktując mnie jak rzecz, a nie jak żywą osobę. Zrezygnowałam z jej usług i teraz rezygnuję z twoich.

Luke nawet nie drgnął. Zamiast wpaść w furję, uśmiechnął się szeroko i klasnął w dłonie.

- Brawo! - wykrzyknął. - Powinienem sfilmować tę małą scenę. Tym razem na pewno dostałabyś Oscara.

- To nie żarty, Luke. - Frankie dzielnie się trzymała. Nie połknęła przynęty. - Wynoś się!

Ruszył w jej kierunku, gdy na tarasie dostrzegł dwóch ochroniarzy, których wynajął Sterling. Nie zrobili najmniejszego ruchu, lecz ich wzrok spoczął na nim. a ręce na kaburach. Luke wycofał się, ale nie zrezygnował z walki.

- Będiesz tego żałować.

- Nawet w połowie nie tak, jak rzeczy, do których mnie namówiłeś. - Frankie spojrzała mu w oczy i pokręciła głową. - I nawet w połowie nie tak, jak żałuję, że nie było mnie dziś na tym przyjęciu.

Luke jak bomba wypadł z tarasu i skierował się do wyjścia, lecz kiedy zniknął za drzwiami, Frankie wiedziała, że tak łatwo się go nie pozbędzie.

Przed dwoma miesiącami Frankie przyjechała do Paryża, żeby zagrać w filmie „Manekin”, którego scenariusz napisany był specjalnie dla niej. Po rozstaniu z Lukiem wynajęła jednego z najlepszych ludzi w „Artists Unlimited”, współpracującego z Williamem Morrisem i „ICM”. Po kilku miesiącach pertraktacji zdołał w końcu załatwić Frankie rolę, która mogłaby pokazać jej rzeczywisty talent. Film oparty był na prawdziwej historii; ukazywał życie pięknej sieroty, wychowanej w ubóstwie i seksualnie wykorzystywanej, która stała się największą modelką swoich czasów. Chociaż film miał zwrócić uwagę na eleganckie stroje z epoki Chanel, wszystkie kostiumy zostały zaprojektowane przez Paula Rochelle'a, a ich styl miał tchnąć romantyką i luksusem. „Manekin” był nie tylko opowieścią o miłości, lecz także studium męskiego szowinizmu i hołdem złożonym wewnętrznej sile kobiety. Frankie miała prawdziwe pole do popisu i szansę na ogromny sukces.

Wiedząc, o jaką gra stawkę, bardzo przejmowała się swoją rolą. W zasadzie od jej powodzenia zależała reputacja Frankie. Musiała udowodnić każdemu, a przede wszystkim sobie, że potrafi stanąć o własnych siłach. Zanim pojechała do Paryża, dokładnie przestudiowała historię tamtych czasów, czytając książki o latach dwudziestych i trzydziestych, oglądając filmy pochodzące z tego okresu, spędzając godziny w bibliotekach, przeglądając mikrofilmy, starając się poznać klimat tamtej epoki i problemy, które mogły nękać jej bohaterkę.

Kiedy zaczęto kręcić zdjęcia, całkowicie rzuciła się w wir pracy, grając w ciągu dnia, studiując w nocy i nie pozwalając sobie na najmniejszą chwilę wytchnienia i jakiegokolwiek inne towarzystwo oprócz scenariusza.

Zamknęła się w wynajętym mieszkaniu i nie podała nikomu numeru telefonu oprócz reżysera, agenta i ojca. Nic

dziwnego, że gdy usłyszała dzwonek aparatu, ogarnął ją niepokój.

- Czy rozmawiam ze słynną Frankie Travis, światową gwiazdą sceny i ekranu?

- Kto mówi? - zapytała, patrząc na zegarek i zastanawiając się, kto i po co mógłby do niej dzwonić o siódmej wieczorem.

- Gwiazdy mają krótką pamięć. To ja, Zach Hamlin.

- Zach! Nie poznałam twojego głosu. - Serce zaczęło walić jej w piersi. Poczwała zarazem ulgę i podniecenie. - Gdzie jesteś?

- Tutaj. W Paryżu. Właśnie się dowiedziałem, że kręcisz film. Jeśli nie jesteś bardzo zajęta, to może znalazłabyś pół godziny na kolację ze starym przyjacielem?

Gdyby była trochę mniej zdenerwowana tą rozmową, na pewno usłyszałaby w jego głosie nutkę niepewności i cień tremy przed tym, że może zostać odtrącony. Był w Paryżu od jej przyjazdu, jednak długo nie mógł zdobyć się na odwagę.

- Fantastyczny pomysł! - powiedziała spoglądając w lusterko. - Ale fatalnie wyglądam. Kiedy wpadniesz?

- Za jakieś trzydzieści siedem sekund. Jestem w budce na rogu.

Kiedy tylko otworzyła drzwi, wybuchnęła śmiechem. Zach chował się za dwiema torbami pełnymi zakupów. Z jednej wystawały bagietki i pory, z drugiej sterczała nać marchewki i butelka czerwonego wina. Frankie stanęła z boku i z wielkim rozbawieniem przyglądała się, jak bezceremonialnie wchodzi do środka, bez rzewnego przywitania, z wyjątkiem radosnego „cześć”, przechodzi obok niej i udaje się prosto do kuchni. Położył papierowe torby na podłodze, zdjął płaszcz, rzucił go na taboret i zaczął krzątać się, wyciągając naczynia, garnki, noże, żaroodporne miski i

deskę do krojenia chleba. Gdy już zlokalizował wszystko, co było mu potrzebne, odwrócił się do Frankie.

- Jeśli mademoiselle byłaby tak miła i zamiast się gapić, zaczęła kroić, być może udałoby się nam podać kolację na stół przed północą.

- Już się robi - powiedziała stukając obcasami i salutując.

Frankie nie przestawała się uśmiechać. W parę minut Zach dosłownie zawładnął małą kuchnią, opróżniając paczki, organizując zbiornik na śmieci, kładąc warzywa na jedną stronę, wołowinę na drugą, chleb do wiszącej szafki, masło do lodówki, a pizzę do piekarnika. Kiedy stanęła obok niego i otworzyła usta, żeby coś powiedzieć, Zach, zamiast spokojnie jej wysłuchać, wręczył jej nóż, deskę do krojenia i trzy rodzaje sałaty.

- Ty odpowiadasz za sałatę - powiedział z zadufaną miną mistrza kuchni. - Ja zajmę się le boeuf bourgungnon.

- Pańska specjalność, jak mniemam?

Odpowiedział jej połowicznym skinieniem głowy, tak jakby niższy ukłon mógł narazić na szwank jego niezachwianą reputację, po czym zajął się już tylko wołowiną. Z ogromną wprawą zaczął kroić mięso na grube kawałki i wrzucał jej do naczynia ze skwierczącym olejem. Żeby zaoszczędzić sobie następnej reprimendy, Frankie zaczęła myć liście sałaty.

- Nie posiniacz im końców - burknął, kiedy odrywała listki. - Jeśli zrobisz im krzywdę, to się zdenerwują i natychmiast zwiędną.

- Słuchaj mnie uważnie, mistrzu Hamlinie - powiedziała z udanym oburzeniem. - Ty pilnuj swojej wołowiny. Ja zajmuję się sałatą.

- W porządku. - Mrugnął okiem i uśmiechnął się. Przez chwilę skupili się na swoich czynnościach, niewiele rozmawiając. Kiedy mięso i cebula przybrały złoty odcień, a warzywa były już pokrojone i gotowe do wrzucenia, Zach

otworzył butelkę wina, nalał dwa kieliszki i oparł się o blat stołu. Ze wzrokiem ciągle utkwionym w patelnię zapytał Frankie, co wydarzyło się w jej życiu od czasu ich ostatniego spotkania.

Opowiadała mu o filmie i o swojej ciężkiej pracy, zaskoczona, jak szybko udało jej się przejść od banałów do poważnej rozmowy. Złapała się na tym, że zwierza się Zachowi zupełnie tak, jakby byli najlepszymi przyjaciółmi, tak jakby potrafił jej współczuć i zmobilizować ją do działania. Przez moment zastanawiała się, czy Zach naprawdę nie był takim człowiekiem.

Kiedy zapytała o jego pracę, powiedział, że przeszedł z radia do telewizji. Chciał, żeby zabrzmiało to zwyczajnie, jednak dostrzegła dumę w jego wzroku. Był teraz starszym korespondentem odpowiedzialnym za selekcję i obróbkę materiału przesyłanego z Europy i cały czas torował sobie drogę do gabinetu szefa. Chociaż nie przechwalał się swoimi sukcesami, wydawał się pewny swoich planów. Mówił o realizacji niebezpiecznych spotkań i przeprowadzaniu wywiadów, wymagających wielkiej delikatności, zupełnie tak, jakby to były rutynowe czynności dnia codziennego. U kogoś innego recytacja listy własnych osiągnięć mogłaby wyglądać na bufonadę. U Zacha był to tylko jeden z elementów samopoznania, stwierdzenia, kim jest i na co go stać. Frankie odstawiła kieliszek i wróciła do siekania sałatek, życząc sobie, by miała chociaż jedną dziesiątą jego niezłomności i przekonania do tego, co robi.

- Czy popsułbym ci humor, gdybym zapytał o powód twojego zerwania z Lukiem Maddoxem - zapytał nagle, zastanawiając się, dlaczego, nawet po tak długim czasie, ciągle była jedyną kobietą, na której mu zależało.

Zawahała się i odwróciła wzrok, zastanawiając się, ile powinna powiedzieć.

- Założmy, że miałeś rację - odparła w końcu, wsypując kawałeczki dymki do dużej miski na sałatę. - Nie leżały mu na sercu moje prywatne sprawy.

Zach nachylił się nad nią i wziął ją za rękę.

- Nieważne, co myślałem i czy miałem rację. Najważniejsze, jak ty się z tym czujesz.

Frankie spojrzała w duże, zielone oczy, które zawsze dawały jej tyle siły.

- Dlaczego jesteś jedynym człowiekiem na świecie, który interesuje się tym, co ja czuję?

- Może dlatego, że naprawdę jestem superfacetem, który myśli, że jesteś wyjątkową kobietą. - Uśmiechnął się, zanim zdążył dodać, że ją kochał, kocha i zawsze będzie kochał.

Frankie zaczerwieniła się i spojrzała w bok. Z nagłym skupieniem zaczęła wlewać do sałatki dokładnie odmierzoną ilość oliwy. Zach nie przestał jej obserwować, zastanawiając się, czy jej rumieniec spowodowany był zakłopotaniem, czy też był wyrazem zadowolenia.

- Słyszałam jakiś czas temu, że w twoim życiu była jeszcze jedna wyjątkowa kobieta - powiedziała, starając się przyjąć swobodny ton, a jednocześnie obserwując go kątem oka.

Zach szerzej się uśmiechnął. Był zadowolony, że też śledziła bieg jego życia.

- A ja myślałem, że byliśmy tacy dyskretni! - powiedział, zasłaniając się ścierką do naczyń jak wiktoriańska dama podczas ataku hysterii. - Widzę, że nie można tego ukryć nawet w ciemnych alejkach i pokojach tanich hoteli.

Frankie uśmiechnęła się.

- To nie było nic poważnego - powiedział, wlewając na patelnię wodę i wino oraz bacznie śledząc reakcję Frankie.

- Słyszałam coś zupełnie innego.

- Okey - poddał się, unosząc ręce i wzruszając ramionami zupełnie tak, jakby jej werdykt i tak nie zależał od jego zdania.

- Wobec tego był to gorący i namiętny romans, który zdarza się przynajmniej raz w życiu każdego szczeniaka.

- Nadal się z nią spotykasz? - zapytała Frankie trochę zdenerwowana, że to nie ona miała z nim ten gorący i namiętny romans, który zdarza się raz w życiu.

- Nie. - Zachowi wydawało się, że usłyszał w jej głosie nutkę zazdrości, a w oczach dojrzał iskierkę zawiści. - To było dawno temu.

- Czy byłeś w niej zakochany?

- A czy miałoby to jakieś znaczenie? Frankie była zażenowana.

- Tak - uczciwie odpowiedziała.

- Nie. Nie kochałem jej.

Uśmiechnęła się i Zach poczuł ten sam przyjemny smak nagrody.

- Skoro odgrzebaliśmy już wszystkie szczegóły mojego cielesnego rozpasania. mam chyba prawo zapytać, czy w twoim życiu nie pojawił się nikt ważny.

- Nikt oprócz ciebie - powiedziała nieśmiało, sama zaskoczona szczerością swojego wyznania.

Zach zrobił krok do tyłu i dokładnie się jej przyjrzał. Od czasu ich pierwszego spotkania jej uroda stała się bardziej dojrzała i dostrzegł w jej twarzy poważniejszy wyraz, a mimo to nadal otaczała ją aura młodości. Miała na sobie dzinsy i bawełniany podkoszulek, włosy związane były w koński ogon, a twarz nie nosiła śladu makijażu.

- Mam jedno pytanie - powiedział swobodnym tonem, lecz na jego twarzy malował się wyraz powagi. - To zupełnie oczywiste, że jesteśmy dla siebie przeznaczeni. Dlaczego więc nie jesteśmy razem?

Frankie sączyła wino. Wiedziała, że czekał na uczciwą odpowiedź, a nie na jakąś grę słówek.

- Okoliczności, jak sądzę. - Zamyśliła się - I fakt, że żyje w nas żądza sukcesu i kariery, którą gotowi jesteśmy przedkładać nad wszystko inne.

Zach pokiwał głową. Chciałby się z nią nie zgodzić. Chciałby zaprzeczyć własnym ambicjom i wymazać jej pragnienie sławy. - Zmądrzałaś - skomentował.

- To przychodzi z wiekiem - odpowiedziała i pogodnie się uśmiechnęła. Zach podniósł jej dłoń do ust i czule ją pocałował.

- Dopóki mogę, będę zbierał owoce mojej pracy - powiedział. - Dopóki jesteś tutaj i ja jestem blisko ciebie, będę głodził mojego tasiemca ambicji i widywał się z tobą tak często, jak tylko to możliwe.

Frankie spojrzała mu w oczy. Nagle ciężar samotności odpłynął gdzieś jak statek spuszczonej z cumy.

- Potrzebuję cię - powiedziała, po raz pierwszy czując się naprawdę bezpieczna.

- Nie bardziej niż ja ciebie. - Tym razem pochylił się nad nią i pocałował ją czule w usta.

- Twoja wołowina się gotuje - wyszeptała, prawie nie odrywając od niego ust

- I to nas zbliża. - Znów ją pocałował, przesuwał ramionami po jej plecach i obejmując dłońmi talie.

- A co z kolacją? - zapytała.

- Co z kolacją? - powtórzył przygarniając ją mocniej do siebie.

- Jak długo musi się gotować twoja specjalność?

- Trzy dni - odparł całując jej szyję.

- Do tego czasu możemy nieźle zgłodnieć - powiedziała Frankie bez fałszywej skromności.

- Będziemy zaspokajać nasz głód w należytej kolejności - zamruczał. Frankie zaśmiała się chrapliwie.

- Zachary Hamlinie! Nie mogę uwierzyć. Stałeś się lubieżnikiem!

- Jeszcze niezupełnie - powiedział prowadząc ją za rękę do sypialni. - Ale pracuję nad tym.

Przez kilka najbliższych miesięcy gorycz i gniew, które Frankie przywiozła ze sobą do Paryża, ustąpiły wszechogarniającemu poczuciu szczęścia i samozadowolenia. Wiodło jej się w każdej dziedzinie życia. Na planie promieniała. Ludzie związani z filmem zachwycali się jej kreacją Giselle, mówiąc o dojrzałości tej roli, o głębi, emocjonalnym dystansie obiecującym przynajmniej nominację do Oscara. Poza planem było życie z Zachem, głębsze i bardziej satysfakcjonujące niż kiedykolwiek. Razem jadali, chodzili na zakupy, razem sypiali, rozmawiali, śmiali się i po raz pierwszy byli prawdziwą parą, a nie wyłącznie parą kochanków.

Chociaż żadne z nich nic nie mówiło, podświadomie odmierzali czas w niewidzialnym kalendarzu. Czy był to tylko jeszcze jeden przejściowy okres, czy może było to coś więcej? Jak długo będzie to trwało? Może przetrwa następną rolę, następny kontrakt? Dni, tygodnie i miesiące, które spędzali razem, były częścią testu, wielką próbą, która mogła wkrótce się zakończyć bądź też zaowocować małżeństwem.

Każde na swój sposób starało się znaleźć w swoim życiu miejsce dla drugiej osoby. Chociaż kariera była murem, który ich rozdzielił, próbowali go zburzyć interesując się wzajemnie swoją pracą.

W ciągu dnia byli zabiegani, a wieczorem wracali wyczerpani do mieszkania Frankie, gdzie razem gotowali domowe kolacje albo wychodzili zjeść coś na mieście. Frankie pracowała nad scenariuszem, a Zach zajmował się swoimi

artykułami. W weekendy, kiedy Zach nie musiał iść do redakcji, a Frankie nie była potrzebna na planie, wyjeżdżali za miasto, polowali na antyki, odwiedzali stare francuskie oberże i małe hotele. Rzadko spędzali czas w większym gronie. Czasami zdarzało im się odwiedzać garstkę przyjaciół Zacha lub kilku znajomych Frankie z ekipy filmowej. Chociaż wyglądało na to, że świetnie przechodzili ten próbny okres, jeszcze było za wcześnie na gratulacje. Każdy test miał swoje łatwiejsze i trudniejsze zadania. Jak dotąd, wszystko szło im gładko. Nawet zbyt gładko.

Pewnego wieczoru kilku przyjaciół Frankie zadzwoniło z propozycją pójścia na tańce do „oo - Koo” - małej, gorącej dyskoteki na ulicy de Ponthieu niedaleko Regines.

Zach miał wolne następnego dnia, a Frankie przerwę w zdjęciach przez najbliższy tydzień. Całe wieki nie byli na dyskotece. Żeby należycie uczcić tę okazję, Zach wbił się we frak, Frankie założyła na siebie suknię z kolekcji Rochelle'a, którą wypożyczyła z garderoby. Była to koktajlowa kreacja z białej krepy z dużym dekoltem, z szarfą miękko opasującą talię i ramionami na poduszkach, wyszywanymi perełkami w kolorze kości słoniowej. Taki sam wzór zdobił dopasowane nadgarstki rękawów. Niewielki kapelusz z białej satyny z czarnymi piórami rzucał cień na twarz Frankie i doskonale kontrastował z czupryną czarnych, kręconych włosów opadających na ramiona. Z szacunku dla Zacha, który głośno wyrażał swoją niechęć do ostrego makijażu, Frankie pomalowała usta jasną pomadką, nałożyła na policzki odrobinę różu i pociągnęła rzęsy czarnym tuszem.

- Nie sądzę, żebym dzisiaj wypił choćby jednego drinka - powiedział Zach, kiedy ją zobaczył.

- Dlaczego nie? - zarumieniła się pod intensywnością jego wzroku.

- Nie wiem, czy się orientujesz, ale we wtorki w „oo - Koo” wybierają piękność wieczoru. - Zarzucił jej na ramiona futro, pocałował w szyję, podał rękę i zaprowadził do windy. .

- A co to ma wspólnego z twoim piciem?

- Kiedy już ogłoszą cię najpiękniejszym stworzeniem w całym wszechświecie, natychmiast rzuci się na mnie banda zazdrosnych samców, a wtedy będę musiał mieć trzeźwą głowę, żeby nas obronić.

Frankie weszła do taksówki i uśmiechnęła się do Zacha.

- Kocham cię - powiedziała z uśmiechem.

- Jasne, że tak. - Przysunął się do niej i kilka razy pocałował ją w niczym nie osłoniętą szyję. - Gdzie mogłabyś znaleźć kogoś równie wysokiego i miłego, kto wolałby się z tobą zabawić niż iść pograć w koszykówkę?

- Masz rację - powiedziała i zadrżała od dotyku jego ust. - Ale lepiej się pospieszmy, wielkoludzie. Mamy jeszcze dziesięć minut i jeśli kierowca przez cały czas będzie patrzył w tylne lustro, to na pewno nie zdążymy.

Zach spojrzał na kierowcę, a potem na Frankie, po czym z przesadną skromnością odsunął się na drugi koniec siedzenia i niewinnie położył ręce na kolanach.

- Jeśli obiecuję, że teraz będę się zachowywał grzecznie, to dasz mi słowo. że później będę mógł sobie pofolgować? - zapytał rzucając jej półprzymknięte spojrzenie.

Frankie położyła rękę na sercu i uniosła w górę dwa palce.

- Słowo honoru skauta - powiedziała.

„oo - Koo”, najnowszy prywatny klub w Paryżu, był otwarty krócej niż rok, jednak już zdołał zdobyć sobie sławę. Te same twarze, które pojawiły się w tak renomowanych klubach jak „Maxim”, „Regines”, „Le Prive”, „Elysees Matignon”, kręciły się teraz wokół baru w „oo - Koo”. Wewnątrz dominowała purpura i złoto. Ściany głównej sali obite były szkarłatnym aksamitem, z sufitu zwisały złote

draperie, krzesła wyściełane były wzorzystym welurem, a stoliki z brązu wypolerowane na wysoki połysk. W kilku miejscach stały wypchane ptaki, od których klub przejął swoją nazwę. Właściciele lokalu byli bardzo elegancy, personel niezwykle usłużny, a znakomita kuchnia cieszyła się zasłużoną sławą. Jadanie kolacji we frontowym pokoju „oo - Koo” i tańce do białego rana w usytuowanej z tyłu dyskotecce stały się ulubionym sposobem spędzania wolnego czasu przez paryską elitę.

Kiedy Frankie weszła z Zachem do baru, natychmiast zostali otoczeni przez znajome towarzystwo. Byli to: Gary Browning - asystent Zacha, któremu towarzyszyła żona będąca tłumaczką w ambasadzie, asystent reżysera filmu, w którym brała udział Frankie, i jego obecna miłość, oraz duet skojarzony przez Frankie i Zacha dwa miesiące temu: jeden z reporterów Zacha i asystentka z planu zdjęciowego. Chociaż kelner powiedział im, że dostaną stolik dopiero za parę minut, przyjęli to jako część doskonałej zabawy. Nikt nie chciał opuszczać baru, dopóki nie upewnił się, że widział już wszystkie osobistości i sam został dostrzeżony.

Frankie doskonale się bawiła, ale mniej więcej po półtorej godzinie zaczęło burczeć jej w brzuchu. Chciała zamówić coś do jedzenia i kiedy rozglądała się za kelnerem, zauważyła Lillie paradującą w objęciach Dantona Rochelle'a, w towarzystwie osób, które wydały się jej znajome.

Frankie nie widziała się z matką od czasu pobytu w Tajlandii. Śledziła jednak jej ruchy, czerpiąc informacje z gazet i od dobrze poinformowanych osób, chociażby takich jak Cissie, która chciała, żeby Frankie pogodziła się z matką. Jak zdołała się zorientować, zaraz po incydencie w Tajlandii Lillie wyjechała do Francji, zamieszkała z Rochelle'em i wiodła życie światowej damy. W Paryżu, gdzie uroda i styl zwykle tuszowały brak treści, Lillie przyjmowana była w

towarzystwie z wielkimi owacjami, a jej zdjęcia zdobyły tytułowe strony „Le Monde” i „Paris Match”. Pojawiła się także w kilku francuskich filmach i jak twierdziły plotki, wynajęła nowego agenta, który miał jej zapewnić powrót na amerykańską scenę. W chwili kiedy Frankie zobaczyła Lillie, rzuciła jej się w oczy znajoma twarz Luke'a Maddoxa, kroczącego u jej boku.

Szybko odwróciła głowę i udała, że podnosi coś z podłogi, czekając, aż towarzystwo przejdzie obok baru.

- Zach - wyszeptała. - Musimy iść. Ona jest tutaj.

Oczy Zacha zaczęły penetrować otoczenie w poszukiwaniu znajomej twarzy.

- O kim ty mówisz? - zapytał, nikogo nie spostrzegając.

- Lillie. Jest w lokalu z Dantonem, w towarzystwie jakichś bufonów. - Frankie ze zdenerwowania nie mogła zaczerpnąć tchu. - Jest z nimi Luke Maddox.

Zach zmrużył oczy. Było tylko dwoje ludzi na świecie, którzy potrafili skutecznie odseparować go od Frankie. Teraz obydwójce znajdowali się w pomieszczeniu obok.

- Zabierz mnie do domu - prosiła Frankie błagalnym tonem. - Jeśli tutaj zostaniemy, stanie się coś strasznego.

Zach pochylił się nad nią i pocałował ją w czubek nosa.

- Nic się nie stanie - zapewnił ją, pragnąc, by jego własny system alarmowy przestał dawać mu znaki ostrzegawcze. - Byliśmy tutaj pierwsi. Przyszliśmy tu z przyjaciółmi. A poza tym, jesteśmy razem.

- Boję się, Zach.

- Nie ma się czego bać. Przecież wcześniej czy później doszłoby do tego spotkania. Dlaczego nie chcesz mieć z głowy tej konfrontacji?

- Z tego samego powodu, dla którego ludzie sami nie meldowali się na gestapo - powiedziała Frankie, próbując zrozumieć jego sposób myślenia. - Bo to czyste samobójstwo!

- Hej, wy gołąbki. Zostawcie sobie na później to gruchanie. Nasz stolik już jest wolny.

Znajomi Zacha i Frankie podnieśli się z taboretów i poszli do sali restauracyjnej.

- Idziecie? - zapytała żona Gary'ego.

Zach odwrócił się do Frankie. Kiedy dostrzegł jej wahanie, mocno ujął ją za ramiona. Spojrzał jej prosto w oczy i powiedział do niej przyjaznym, lecz zdecydowanym tonem.

- Pamiętaj - zaczął - nikt oprócz ciebie samej nie może cię upokorzyć ani stłamsić. Ja tak to widzę. Albo pójdiesz tam z wysoko uniesioną głową i pokażesz im, na co cię stać, albo rzucisz się do ucieczki. To zależy od ciebie, ale jeśli teraz uciekniesz, będziesz zawsze postępować w ten sam sposób.

Frankie zamknęła oczy i wzięła głęboki wdech.

Jestem gwiazdą, pomyślała. Jestem w Paryżu, żeby zagrać w dobrym filmie. Jestem podziwiana. Przy moim boku jest człowiek, który mnie uwielbia. Jestem młoda i piękna. Ona jest już tylko wspomnieniem przeszłości. Przyjechała do Paryża, żeby ukryć się za plecami Rochelle'a. Jest tutaj z moim byłym agentem i kochankiem tylko dlatego, że w Stanach nie ma do kogo wyciągnąć ręki.

- Jestem gotowa - powiedziała, chociaż naprawdę wcale nie czuła się na siłach.

- Uśmiech do kamery - powiedział Zach, wyciągając do niej mocne ramię. Frankie jeszcze raz zaczerpnęła tchu, przeczesła palcami włosy, przywołała na usta swój najlepszy filmowy uśmiech i przeszła obok Lillie i jej towarzystwa do stolika, przy którym czekali na nich znajomi. Na szczęście krzesła, zostawione dla Zacha i Frankie, ustawione były przodem do parkietu i Frankie siedziała tyłem do reszty sali. Kolacja była wyśmienita. Frankie próbowała brać udział w rozmowie, ale od czasu do czasu jej uwaga odpływała w innym kierunku. Usłyszała głośny śmiech Lillie i zeszywniały

jej plecy. Widząc, że matka przechodzi obok niej w drodze na parkiet, pochyliła głowę nad stołem jak dziecko, które coś przeskrobało i właśnie spodziewa się kary. Kilka razy Luke towarzyszył Lillie do tylnej sali i Frankie mogłaby przysiąc, że słyszała za plecami jego chichot. Jedynym przyzwoitym człowiekiem okazał się Danton, który podszedł do stolika Frankie, żeby się przywitać, podczas gdy Lillie z Lukiem szaleli na parkiecie.

- To miło, że cię widzę - powiedział, nachylając się nad stołem i składając na jej policzku ojcowski pocałunek. - Ślicznie wyglądasz.

Frankie spojrzała mu w twarz. Z trudem przychodziło jej otworzenie ust.

- Monsieur... - Rochelle wyciągnął rękę do Zacha, dając Frankie czas, żeby zebrała się w sobie. - Miło mi pana poznać. Jak smakuje kolacja?

Zach odwzajemnił powitanie starszego mężczyzny, przedstawił się, wymienił nazwiska swoich znajomych i puścił oczko do Frankie.

- Jak się pan miewa, doktorze Rochelle? - odezwała się w końcu, układając usta w uśmiechu.

- Dziękuję, dobrze. - Ujął dłoń Frankie i przez chwilę nie wypuszczał z ręki, jakby chciał powiedzieć, że bez względu na to, co zaszło między nią i jej matką, i bez względu na to, co zaszło między nimi, zawsze będzie jej przyjacielem. Frankie i Zach zauważyli ten miły gest. - Słyszałem, że kręci pani film. Jak idzie praca?

- Jest fantastyczna - odezwał się jej znajomy z takim entuzjazmem, że Frankie zdziwiła się, iż stać go na takie porównanie. - Zapowiada się na rewelacyjną aktorkę.

- Nie mam co do tego żadnych wątpliwości - skomentował Danton, uśmiechając się do Frankie. - Jest bardzo utalentowaną młodą osobą.

Jego wzrok pobiegł w kierunku Lillie, która ciągle przebywała w towarzystwie Luke'a, zatrzymując się co krok, żeby rozdawać kurtuazyjne pocałunki osobistościom pokroju księżniczki Karoliny, Helene Rochas i Marisy Berenson.

Nie będąc w stanie się opanować, Frankie powiodła wzrokiem za jego spojrzeniem i z niechęcią musiała stwierdzić, że Lillie wygląda wręcz doskonale. Czarne włosy miała gładko zaczesane do tyłu i upięte diamentowymi szpilkami, które lśniły w dyskretnym świetle. Jej szyję zdobił delikatny sznur diamentów, a w uszach błyszczały duże diamentowe kolczyki. Frankie rozpoznała na niej kreację z kolekcji Ungaro - krótką suknię bez ramiączek uszytą z wzorzystego jedwabiu, doskonale dopasowaną do zgrabnej, świetnie utrzymanej figury, nie pozwalającej się domyślać jej czterdziestu dziewięciu lat. Twarz Lillie, nadal jasna i lśniąca, ozdobiona była lekkimi muśnięciami różu i makijażem oczu, tak perfekcyjnie dobranymi, że dawały wrażenie świeżości i naturalności.

Kiedy Frankie przyglądała się twarzy matki, poczuła znajomy przyływ zazdrości i złego samopoczucia. Nie chodziło jej o urodę Lillie. Do tego zdążyła się już przyzwyczać, a nawet, w pewnym sensie, była dumna z urody matki. To raczej fasada niezachwianej pewności siebie powodowała, że Frankie od razu wycofywała się na linię obrony. Lillie, delikatna i kobieca, rozsiewała wokół klimat dojrzałości, dobrego stylu i towarzyskiego obycia. Frankie czuła się przy niej niezgrabna jak żyrafa.

Dlaczego w towarzystwie Lillie zawsze wydawała się sobie taka niezdarna, zastanawiała się? Dlaczego matce zawsze udawało się wpędzać ją w kompleksy?

- Świętujemy dzisiaj uroczystość naszych zaręczyn. - Danton wyrwał ją z zamyślenia. - Mamy zamiar się pobrać. Pomyślałem, że powinnaś o tym wiedzieć.

Czekał na komentarz, gratulacje lub jakieś miłe słowa, ale Frankie nawet nie poruszyła ustami. Po prostu wbiła w niego wzrok, tak że pod jego ciężarem poczuł się trochę nieswojo.

Z niewzruszoną miną dżentelmena i ciepłym uśmiechem zrozumienia przełknął jej milczenie, pocałował ją w rękę i zaczął zbierać się do odejścia.

- Proszę mi wybaczyć, ale muszę wracać do moich gości - usprawiedliwił się. - Adieu, ma chérie.

Frankie skinęła głową, przyglądając mu się uważnie, podziwiając jego maniery i zastanawiając się, jak Lillie mogła ubezwłasnowolnić takiego człowieka. Czyżby nie zdawał sobie sprawy, jaka potrafiła być okropna? - pomyślała.

- Czy to ten sam Rochelle, który posiada „Rochelle Pharmaceuticals”? - zagadnął Gary Browning.

- Ten sam. Dlaczego pytasz?

- Zanim przyjechałeś do Paryża - Browning odezwał się do Zacha - zbieraliśmy dane o francuskich magnatach przemysłowych. Pamiętam, że pojawiło się tam nazwisko Rochelle. Bardzo typowa postać. Był lekarzem w czasie wojny, a później nagle zmienił powołanie i u szczytu kariery ze swojego gabinetu zrobił perfumerię.

- I co dalej? - reporterski instynkt Zacha dawał o sobie znać.

- Nie puściliśmy tej historii. Nie pamiętam już szczegółów, ale miało to związek z jakimś skandalem i szef agencji zdecydował wycofać się z tego.

- Pewnie chodziło o rozwód - przerwała niecierpliwie Frankie. Nie chciała teraz mówić o przeszłości Dantona. Jej myśli całkowicie pochłonęła jego wspólna przyszłość z matką.

- Nie sądzę - powiedział Zach. - Nie we Francji, w kraju wolnej miłości. Nie wierzę, żeby rozwód, chociażby nie wiem jak skandaliczny, mógł po tak długim czasie burzyć krew wśród wydawców. Musiał istnieć jakiś inny powód.

Nawet gdyby Frankie usłyszała jego słowa, powstrzymałaby się od komentarza, Jej oczy utkwione były w parę obracającą się na parkiecie. Gryzła do krwi paznokcie, starając się przełknąć stojącą w gardle grudę.

- Nadchodzi panna młoda - wymamrotała, kiedy Lillie z Lukiem Maddoxem przechodzili obok ich stolika. - Lillie nie zasługuje na takiego człowieka jak Danton Rochelle. Jedynym, na którego zasługuje, jest Luke Maddox.

Chociaż Zach chciał się nie zgodzić, awersja do matki Frankie zapanowała nad jego humanitarnymi odczuciami.

Przyjaciele Frankie i Zacha wyczuwali ich napięcie i postanowili spróbować swoich sił na parkiecie. Zostali sami.

- Moja ryba była wyśmienita - pierwszy odezwał się Zach. - A jak smakowały twoje paznokcie?

Wziął Frankie za rękę i odsunął je od ust; odwrócił dłonie na zewnątrz i z niepokojem pokręcił głową. Z długich, starannie pomalowanych paznokci, które Frankie wyhodowała sobie podczas ich wspólnego życia, nie zostało ani śladu. W ich miejscu sterczały nabiegłe krwią kawałki pogryzionej skóry. Kiedy spojrzał jej w twarz, wyglądała tak nieszczęśliwie, że musiałby nie mieć serca, żeby ją zganić. Pochylił się nad stolikiem i pocałował ją.

- Nienawidzę jej - powiedziała Frankie, jakby chciała tym usprawiedliwić zakrwawione palce.

- Kocham cię - odparł Zach, po czym wstał i pomógł Frankie podnieść się z miejsca. - A teraz odczuwam nagłą potrzebę zabrania cię na parkiet, żebyś mógł wreszcie poczuć twoje apetyczne, delikatne ciało.

Nie czekając na odpowiedź, poprowadził ją do tylnej sali, gdzie weszli w sam środek wirującego tłumu. W tej chwili muzyka zagrała wolniej, tak jakby disc - jockey czekał na ich przybycie. Zach wziął Frankie w ramiona i przez kilka minut zagubili się w sobie i w muzyce, falującej w tanecznym

rytmie. Zach czuł każdy napięty mięsień jej ciała; sztywne plecy, twarde nogi i zaciśniętą szczękę, która przywarła do jego policzka. Wiedział, jak czuła się zagubiona, niezdarna i przytłoczona. Pragnął, by rozejrzała się wokół czystym, radosnym wzrokiem, zobaczyła spojrzenia pełne podziwu i usłyszała zazdrosne komentarze wpatrzonych w nią mężczyzn. Ale było to niemożliwe, kiedy Lillie przybywała w tym samym pomieszczeniu. Znowu udało jej się zredukować córkę do rozmiarów wystraszonego dziecka.

- Zapomnij o tym - wyszeptał. - Jeżeli miałyby coś zrobić albo coś powiedzieć, nie czekałaby tak długo. Z pewnością miała ku temu niejedną okazję. Myślę, że nie będzie się dzisiaj na tobie mścić.

- Mylisz się - odpowiedziała mu szeptem. - Ona nigdy nie zrezygnuje z szansy, żeby mnie upokorzyć. Po prostu czeka na najbardziej odpowiedni moment.

Odpowiedni moment nadszedł za niecałą godzinę. W czasie gdy Lillie idąc na parkiet ze swym towarzystwem mijala stolik Frankie, podeszło do nich dwóch mężczyzn. Jeden z nich miał w ręku aparat fotograficzny i zanim Zach i Frankie zdążyli się zorientować, co się dzieje, rozbłysły światła fleszy. Drugi z mężczyzn, reporter, zaczął zadawać Lillie pytania na temat jej zaręczyn, planów powrotu do filmu i działalności „Rochelle Pharmaceuticals”. Frankie była zbyt roztrzęsiona, żeby zauważyć, że ani jedno pytanie nie było skierowane w jej stronę. Dziennikarz zdawał się jej nie zauważać.

- Słyszałem, że ma pan zamiar wylansować nowe perfumy. Czy to prawda? - zapytał Dantona, podnosząc notes i kierując ołówek nad niebieskie kartki papieru z taką ceremonią, jakby za chwilę miał otrzymać plan skonstruowania bomby nuklearnej.

Danton przytakująco skinął głową i z zażenowanym uśmiechem przedstawił reporterowi Luke'a, który miał odpowiedzieć na to pytanie. Lillie nie przestawała patrzeć z uśmiechem w obiektyw kamery, ustawiając się w najkorzystniejszy sposób i ani razu nie spoglądając na córkę.

- W związku ze zbliżającym się małżeństwem, monsieur Rochelle stworzył nową gamę zapachów. Oczywiście nazwał je „Lillie” w dowód swojego przywiązania do przyszłej żony. Za niecałe sześć tygodni ruszy kampania reklamowa w Paryżu i perfumy pojawią się na półkach wszystkich eleganckich sklepów w Stanach.

Reporter, tak jak gdyby recytował przygotowaną uprzednio listę, przeszedł do następnego pytania.

- A co powie pan na krążące pogłoski o powrocie madame Rostov na ekrany amerykańskiego kina?

- Właśnie zapoznaliśmy się ostatnio z kilkoma doskonałymi scenariuszami i rozpoczęliśmy negocjacje z jednym z większych studiów filmowych w sprawie filmu, który ukazałby nie tylko niezwykły talent, ale także doskonale piękno Lillie Rostov.

- A pan, sir. Jaka jest pańska rola?

- Jestem menedżerem madame Rostov.

- Czy nie reprezentował pan wcześniej Frankie Travis, córki madame Rostov? Wtem serce zaczęło tak mocno walić Frankie w piersi, że zdawało jej się, iż wszyscy to widzą. Jak dotąd wywiad tak był zaaranżowany, by nie przedstawiać jej w niekorzystnym świetle. Jednak z jasnością doprowadzającą ją do furii, Frankie wiedziała, że Lillie musi zatriumfować. Była świadoma jeszcze jednej, okrutnej, pozbawionej wyczucia i szokującej sztuczki Luke'a Madoxa i nie miała wątpliwości, że to ona miała paść jej ofiarą.

- Zająłem się nią na prośbę przyjaciela - odezwał się Luke niedbałym tonem, tak jakby prośba reprezentowania Frankie

Travis była dla niego męczącym obowiązkiem. - Próbowałem jej pomóc, ale sam pan wie, jak to jest.

Skrzywił się wymownie, po czym wyćwiczonym ruchem i z przesadnie zdziwionym spojrzeniem zwrócił się w stronę Frankie, jakby dopiero teraz ją zauważył.

- Nie do wiary. Jaki ten świat jest mały - powiedział. - Proszę spojrzeć, kogo tutaj mamy. Frankie Travis.

Nagle fotograf wycelował obiektyw w jej stronę i oślepił ją serią błysków. Kiedy cofnął się o krok, Frankie tarła dłońmi oczy.

- Mademoiselle Travis! - wysapał podniecony reporter. - Jaki niebywały zbieg okoliczności, że jest pani tutaj wraz ze swoją matką. Co pani sądzi na temat ślubu Lillie z monsieur Rochelle'em?

Frankie poczuła na plecach zaskoczone spojrzenia swoich przyjaciół. Kątem oka spostrzegła rozbawiony wzrok przypadkowych ludzi. Po chwili poczuła na ramieniu uścisk ręki Zacha. Wiedziała, co chciał jej przekazać. Nie poniżaj się do poziomu Lillie. Nie pozwól Luke'owi zrobić z siebie idiotki.

Frankie uśmiechnęła się do reportera. - Życzę im wszystkiego co najlepsze - odparła słodko.

- A co sądzi pani o nowym zapachu?

- Trudno mi coś powiedzieć - odparła zadowolona, że siedzi na krześle. Była pewna, że gdyby stała, nogi zdradziłyby jej zdenerwowanie. - Nie miałam jeszcze przyjemności powąchania perfum.

- Proszę - powiedział Luke, podstawiając jej pod nos buteleczkę. - Wraz z pozdrowieniami. - Jego twarz wykrzywiła się w pogardliwym uśmiechu.

- Czy istnieje szansa na to, że zagra pani z matką w jednym filmie? - dopytywał się reporter.

Zanim Frankie zdążyła cokolwiek odpowiedzieć, Zach był już przy niej.

- Dziękuję panom bardzo. Panna Travis nie odpowie na więcej pytań. Ruszył w kierunku przyjaciół, którzy momentalnie podnieśli się z krzeseł i udali się do wyjścia. Wziął Frankie pod rękę i poprowadził ją obok fotografa, który nadal robił zdjęcia. Kiedy dotarli do baru, stanął przed nimi Luke.

- Powinnaś być mi wdzięczna - powiedział napastliwie, patrząc Frankie w oczy. - Potrzebujesz popularności.

- To nie jest popularność - odparowała gniewnie Frankie, nie potrafiąc już dłużej nad sobą zapanować. - Wątpię, czy któryś z tych clownów kiedykolwiek miał w rękę gazetę. To jeszcze jeden z twoich plugawych podstępów, które mają na celu ośmieszenie mnie i ukazanie ciebie w dobrym świetle.

- Nie muszę cię ośmieszać, kochanie, sama robisz z siebie pośmiewisko. - Pstryknął jej palcami przed nosem i wyzywająco spojrzął na Zacha, prowokując go do tego, żeby zrobił scenę. - Nie masz za grosz talentu i jeśli myślisz, że któryś z agentów może przysporzyć ci sławy, to gorzko się mylisz. Możesz tylko pracować z tym, co posiadasz, a masz śmierdzące gówno!

W tym momencie przy boku Luke'a pojawiła się Lillie z Dantonem.

- Chodź, kochanie - powiedziała Lillie tonem obrażonej księżnej. - Nie zwracaj sobie głowy. Ona nie jest tego warta.

- Wiesz, mam - odparła Frankie, a jej gardło tak zacisnęło się od gniewu, że ledwie mogła mówić. - Muszę ci to powiedzieć. Wiem, jak długo szukałaś kogoś, kto mógłby odratować twoją upadłą karierę i widzę, że w końcu znalazłaś. Samozwańczego Lazarusa z Hollywood - Luke'a Maddoxa. Życzę ci szczęścia. Będzie ci bardzo potrzebne.

Odwróciła się, żeby wyjść, ale Lillie nie dała za wygraną i zatrzymała się tuż przed nią. Jej oczy pociemniały od wściekłości, a jej głos był jednym gniewnym rykiem.

- Nie potrzebuję twojej rady ani twojego życzenia - powiedziała. - I nigdy nie mów do mnie „mamo”. Nie jestem twoją matką. Jeżeli zdążyłaś już zapomnieć, to moja córka umarła kilka lat temu. W Tajlandii!

Podniosła wysoko brodę, odwróciła się na pięcie i wypadła z baru, kierując się ku drzwiom. W ślad za nią podążał zażenowany narzeczony i tryumfujący Luke Maddox.

Frankie cały czas się trzęsła. Zach rzucił zdawkowe „do widzenia” znajomym, pospieszył do taksówki i tak szybko, jak tylko mógł, zawiózł Frankie do domu. Kiedy weszli do mieszkania, zrobił jej herbaty, nalał kieliszek brandy i zaczął masować jej ramiona. Próbował wszystkiego, żeby tylko ją uspokoić, ale Frankie trwała w swoim hipnotycznym gniewie. Nie odezwała się do niego ani słowem. Nawet na niego nie spojrzała. Jak wściekła chodziła po pokoju, starając się wyładować swoją furię.

Rozejrzała się wokół, tak jakby pierwszy raz w życiu oglądała to pomieszczenie i powoli, jakby budząc się z długiego snu, zaczęła dochodzić do siebie. Spojrzała na Zacha, mrugając oczami i skupiając wzrok, upewniając się, że gdzieś już widziała tę twarz. Nagle zerknęła w dół. Nadal trzymała w dłoni flakonik z napisem „Lillie”, który Luke wcisnął jej do ręki. Z ciekawością dziecka podniosła go do góry, przyglądając się obłemu kształtowi buteleczki zrobionej z matowego szkła. Wyglądała tak, jakby przed chwilą opuściła pracownię Laliqua. Odkręciła nakrętkę i do jej nozdrzy wniknął kwiatowy zapach z odpowiednią porcją ekstraktu ziół, dobraną tak, żeby woń była wystarczająco zmysłowa i tajemnicza. Ponownie powąchała zawartość, po czym z furją

wrzuciła flakonik do kominka, patrząc, jak rozbija się o kamień i rozlatuje w drobny mak.

- Co ja takiego zrobiłam, żeby aż tak mnie nienawidziła! - krzyknęła wyrzucając z siebie wściekłość i cierpienie, które tłumiała w sobie przez cały wieczór. - Staralam się być dobrym dzieckiem! Robiłam wszystko, co chciała! Poświęciłam dla niej miłość ojca! Poświęciłam swoje dzieciństwo. Zrzekałam się dla niej każdego przyjaciela! - Przerwała, żeby zaczerpnąć powietrza, obejmując się ramionami tak, jakby sama chciała ukoić swój ból. - Dopiero wtedy przestałam być posłuszna, gdy posunęła się za daleko i prosiła o zbyt wiele. Chciała, żebym poświęciła cię - powiedziała Frankie i w końcu spojrzała na Zacha. - Nie mogłam tego zrobić. Musiałam kogoś kochać i potrzebowałam, by ktoś dał mi miłość. Nie potrafiłam już dłużej znosić samotności.

Zach podszedł bliżej i wziął ją w ramiona; gładził ją po plecach i głaskał jej włosy.

- Już nigdy nie będziesz musiała być samotna - powiedział. - Kocham cię. Wiesz o tym. I są jeszcze inni, którzy cię kochają. Rodzina. Przyjaciele.

Frankie wyrwała się z jego objęć. Nie ochłonęła jeszcze z gniewu.

- Rodzina? Śmiechu warte! Oprócz Sterlinga i Karen nikt nie da za mnie złamanego grosza.

- Jak możesz tak mówić? - zapytał Zach zaszokowany głębią jej wrogości. - A co z Cissie? Z Bertem i Tessą? Z twoimi wujkami i ciotkami? Z kuzynami?

- Cissie jest tak zaabsorbowana przyjaźnią z Jinx, że nie ma już dla mnie czasu. Jest na mnie wściekła, ponieważ nie chciałam przywitać jej przyjaciółki z otwartymi ramionami w naszej rodzinie. - Frankie znowu zaczęła bezmyślnie kręcić się po mieszkaniu. - Naprawdę wszystko zwała mi się na głowę - powiedziała, patrząc w okno i ciągnąc swój monolog. - Nie

zgodziłam się pomóc tej Jinx tylko dlatego, że chciałam być lojalna wobec mojego kochanego i hojnego wujka Benjamina. Miał mi pomóc w karierze, lansując serię kosmetyków „Księżna z ulicy Portobello”. I myślisz, że to zrobił? Skądże! Powiedział, że jeden z jego plastyków wycofał udziały z firmy i zaczął działać na własną rękę. Jemu też już nie wierzę. A co gorsza, założę się o ostatniego centa, że jego agencja zajmie się sprzedażą kosmetyków Lillie.

- I co w tym złego? - powiedział Zach, próbując wprowadzić do tej rozmowy odrobinę zdrowego rozsądku.

- Jak to, co w tym złego? Dlaczego robi dla niej coś, czego nie może zrobić dla mnie?

- Frankie, myślisz nielogicznie. To nie jest kwestia chęci, tylko interes. Rochelle prawdopodobnie włożył fortunę w to przedsięwzięcie. Dlaczego twój wuj ma z tego nie skorzystać?

- To jeszcze jeden plugawy plan Luke'a. Czuję to. Nie prowadzi żadnych negocjacji w związku z filmem. Lillie nie dostałaby nawet ochłapów. Dlatego Luke wyskoczył z pomysłem tych perfum. Żeby zakleić całe miasto plakatami z jej twarzą. Wcześniej czy później jakiś kmiotek z Hollywood podłapie jej nazwisko. I co dalej? Lillie Rostov - witamy na ekranie!

Zach uważnie ją obserwował. Jej twarz była czerwona od gniewu. Trzęsły jej się ręce. Nie był pewien, czy wiedziała, gdzie jest.

- Dlaczego czujesz się aż tak zagrożona? - zapytał rozumiejąc, że w jej świadomości Luke i Lillie zjednoczyli się w walce przeciwko niej. Wiedział, że współzawodnictwo Frankie z Lillie było raczej odruchem Pawłowa niż świadomą reakcją samoobrony. - Nawet jeśli Lillie wróci na scenę i jeżeli uda jej się odnieść sukces, co to ma wspólnego z twoją osobą? Przecież nie zabiorą ci roli i nie dadzą jej Lillie w

prezencie. Jesteś Frankie Travis i powinnaś się troszczyć wyłącznie o siebie. No i o mnie.

Frankie usłyszała czułość w jego głosie. Odwróciła się i tak, jakby ktoś przycisnął jakiś magiczny guzik, przestała biegać po pokoju i rzuciła mu się w ramiona, szukając ukojenia, miłości i współczucia. Przez chwilę siedzieli razem - on, w dużym miękkim fotelu, ona na jego kolanach - i tulili się do siebie bez słów.

Rozpłakała się i Zach zaczął ją pocieszać. Kiedy zauważył, że jej napięcie zaczęło już opadać, nalał jej kieliszek brandy i zabrał ją do łóżka. Jednak tak, jak się spodziewał, żadne z nich nie mogło zasnąć.

Przez całą noc Zach próbował ukoić jej ból. Próbował odbudować jej pewność siebie, przekonując, że bez względu na to, co zrobi Lillie i jakie intrygi będzie knuł Luke, Frankie jest panią swojego losu. Obiecywał, że między nimi nic się nie zmieni, że jej kariera nie zawali się jak domek z kart i z odrobiną wiary w siebie będzie w stanie omijać wszystkie zasadzki, które Lillie ustawi na jej drodze.

Przez całą noc błagał ją, żeby zapomniała o tym, co się wydarzyło. Nie wiedział, że mógł sobie zaoszczędzić słów i nie przespanej nocy. Do Frankie zupełnie nic nie docierało.

Po tygodniu Zach oznajmił Frankie, że musi pojechać do Włoch, by relacjonować historię porwania Aldo Moro przez Czerwone Brygady. Frankie bardzo się zasmuciła. Nic nie pisnęła ani Zachowi, ani producentowi nowego filmu o anonimowych pogrózkach, w których nakazywano jej zaprzestać kręcenia „Manekina”. Frankie była więcej niż pewna, że autorem listów był Luke Maddox działający z polecenia Lillie. Na początku pomyślała, żeby iść z tym na policję, ale w końcu porzuciła ten zamiar. Śledztwo zaszkodziłoby filmowi, a ona byłaby narażona na wątpliwą popularność. Luke i Lillie z pewnością tylko na to czekali.

Oboje pragnęli zrujnować jej karierę i Frankie nie zamierzała im w tym pomagać.

Kilka dni po wyjeździe Zacha zadzwonił telefon. Było późno i Frankie spodziewała się wiadomości z Włoch. Jednak kiedy podniosła słuchawkę i przyłożyła ją do ucha, rozległ się w niej złośliwy śmiech. Rozdygotana rzuciła słuchawkę na widełki. Postanowiła to zignorować, lecz Luke'owi udało się zasiać w niej ziarno strachu. Razem z Lillie byli mściwi do obrzydliwości i nie istniały dla nich żadne bariery.

Następnej nocy i w ciągu najbliższych dwóch tygodni Frankie odbierała takie same telefony. Chociaż robiła wszystko, żeby się na nie uodpornić, zawodziły ją nerwy, źle sypiała i miała trudności w skoncentrowaniu się na pracy. Wreszcie pewnej nocy pękła w niej jakaś struna. Gdy usłyszała dzwonek, nie wiedziała, czy to jeszcze jeden anonimowy telefon, czy może dzwoni Zach. Jak lodowa bryła siedziała w fotelu. Nie mogła ruszyć się z miejsca i jak wystraszone dziecko wpatrywała się w obiekt swojej udręki. Kiedy telefon zamilkł, rozplakała się z ulgą. Wtedy właśnie zdała sobie sprawę, że im się udało. I wtedy zdecydowała, że musi się odegrać.

Następnego dnia Frankie zadzwoniła do Gary'ego, asystenta Zacha, i poprosiła, żeby wpadł do niej po pracy. Po kilkunastu minutach kurtuazyjnej rozmowy Frankie postanowiła przejść do rzeczy.

- Pamiętasz ten wieczór, kiedy poszliśmy na dancing do „oo - Koo”? - zapytała z niewinnym uśmiechem przyklepionym do twarzy.

- Jasne. Było sympatycznie - odpowiedział uprzejmie Gary, zachowując dla siebie „dopóki ty i twoja matka nie zrobiłyście sceny”.

- Tak, do pewnego momentu - powiedziała Frankie z odpowiednią dozą rumieńca na twarzy. - W każdym razie

powiedziałaś wtedy coś, co zaniepokoiło mnie i Zacha i pomyślałam sobie, że mógłbyś dla nas zebrać parę informacji.

- Na jaki temat?

- Na temat przeszłości Dantona Rochelle'a. Kiedy wspomniałaś, że twój zwierzchnik odmówił wydrukowania historii o Rochelle'u, coś zaświtało w płodnym umyśle mojego Dicka Tracy.

- Wcale mnie to nie dziwi - odparł Gary. - Ja też byłem tym zaintrygowany.

- Zach nie mówił o niczym innym przez całą noc - ciągnęła dalej Frankie, po czym nachyliła się nad stołem i odezwała się konspiracyjnym szeptem. - Po prostu nie mogłem uwierzyć, że w centrum tego wielkiego skandalu stał rozwód. Próbowałam go przekonać, że nie istniał żaden inny powód, ale znasz Zacha, ma w sobie coś z policyjnego psa i oczywiście zdołałaś rozbudzić w nim ciekawość.

- Teraz, kiedy o tym wspominasz - zaczął Gary, nie broniąc się przed manipulacją Frankie - dochodzę do wniosku, że Zach miał rację. Mnie też wydaje się to podejrzane.

- Ten człowiek - Frankie szeroko otworzyła oczy - ma zamiar poślubić moją matkę. Chociaż, jak zdążyłaś zauważyć, jesteśmy na wojennej ścieżce, nadal kocham Lillie i nie pozwolę, żeby stało jej się coś złego.

- Rozumiem - odparł. - Facet jest może byłym nazistą albo jakimś innym ptaszkiem.

Frankie pokiwała głową, z należytą troską marszcząc czoło.

- Zach sam miał zamiar się tym zająć - powiedziała - ale, jak wiesz, musiał jechać na koniec świata i pewnie miną całe wieki, zanim będzie miał na to czas. Pomyślałam, że może mógłbyś oddać mi przysługę.

- Jasne. Nie ma sprawy. Co chcesz wiedzieć?

Frankie pozwoliła sobie na uśmiech, jednak nie zrobiła tego zbyt ostentacyjnie. Istniała możliwość, że Gary nie znajdzie nic szokującego; nic, co mogłaby użyć, ale zawsze warto było spróbować. Jeśli Luke Maddox zdołał ją czegoś nauczyć, to tylko tego, że gdy kopie się wystarczająco głęboko, to w końcu dociera się do żyły złota.

- Chcę wiedzieć wszystko, o czym twój zwierzchnik nie chciał informować całego świata - odpowiedziała.

Gary Browning był wprawdzie młody i może trochę naiwny, ale z pewnością bardzo dociekliwy. Cztery dni po ich tete - a - tete przyniósł Frankie kompletny raport na temat Dantona Rochelle'a. Tak jak podejrzewała, jego rozwód był bagatelką w porównaniu z tym wszystkim, co wykopał Gary.

W latach swojej młodości Danton Rochelle, tak jak zawsze twierdził, był prawym, pnącym się w górę obywatelem. Pochodził z dobrej rodziny, uczęszczał do świetnej szkoły i tuż przed wybuchem drugiej wojny światowej złożył przysięgę Hipokratesa. Przed okupacją służył we francuskiej armii, walczył jako żołnierz i wykorzystywał swoją wiedzę medyczną we francuskim Ruchu Oporu. Był odważny i pełen poświęcenia, toteż zasłużył sobie na medal i dumne miano „bohatera”.

Dopiero w latach powojennej odbudowy jego historia zaczęła odbiegać od faktów. W wywiadach oblekał ten okres w woalkę romantyzmu, twierdząc, że mieszkał razem z Claudine i ich synem Paulem w domu przy placu Pigalle, gdyż było to jedyne miejsce, gdzie mogli za tak niewielkie pieniądze wynająć skromne mieszkanie i gabinet. Jego praktyka, jak twierdził, ograniczała się do leczenia biedoty, która nie miała do kogo się udać, i kilku stałych pacjentów płacących mu grosze za porady.

Prawda była taka, że Danton Rochelle dokonywał aborcji i miał z tego duże pieniądze. Jego klientela składała się głównie

z prostytutek pracujących w okolicy placu Pigalle. Leczył je z chorób wenerycznych, prowadził rejestr ich ogólnego stanu zdrowia, a w razie konieczności usuwał niepożądane ciążę.

Z tych pieniędzy utrzymywał się z rodziną i powodziło im się nie najgorzej, ale naprawdę duże pieniądze - te, które trzymał na zamkniętym koncie - pochodziły z innego źródła, z bogatszych i bardziej szacownych portfeli paryskiego światka. Chociaż jego nazwisko nie było powszechnie znane i nie domagano się jego obecności na koktajlach, gdy tylko któraś z seniorek lub debiutantek znalazła się w konflikcie z moralnymi zasadami, natychmiast dzwoniono do Dantona Rochelle'a. Nie tylko był przystojny, czarujący, sympatyczny i wyrozumiały, ale miał szacunek dla życia, które prowadziły. Nigdy nie był oburzony ani nie wyrażał najmniejszej dezaprobaty.

W zasadzie zrobił bardzo wiele, żeby dogodzić tym kobietom. Miał dla nich osobny gabinet wyposażony znacznie lepiej od pokoju, w którym przyjmował prostytutki. Rozmawiał z nimi w bardzo bezpośredni sposób, zwracając się do nich po imieniu, i nigdy się nie spieszył z dokonaniem zabiegu, czekając, kiedy staną się spokojne i zrelaksowane. Stosował jedwabne kompresy zamiast muślinowych, puszczał muzykę klasyczną z gramofonu, przynosił im na srebrnych tacach świeże bułeczki, kawę z mlekiem i marmoladę, zanim odeskortowano je do domu w prywatnym pojeździe. Było całkiem oczywiste, że skoro te kobiety posiadały więcej, Danton więcej żądał, ściągając niesamowite sumy w zamian za usługę i dyskretne milczenie.

- Jak go złapali? - zapytała. Chciała zebrać jak najwięcej informacji.

- Żona jednego z wysokich urzędników miejskich poszła do Rochelle'a, żeby zrobił coś z pozostałością po jej romansie. Nie wiedziała, że śledził ją mąż, który wyładował swój gniew

na Rochelle'u. W polityce nie ma sentymentów i wydaje mi się, że mąż owej damy doszedł do wniosku, że skandal przeciwko rzeźnikowi niewiniątek miał także polityczne znaczenie i można było dla niego poświęcić nieudane małżeństwo.

- Poszedł do więzienia!

- Na rok - odparł Gary, przeglądając swoje papiery. - Gra warta świeczki. Frankie przez moment zastanawiała się nad tym, co powiedział Gary.

- Ma to ręce i nogi - odparła. - Urzędnik zachował twarz, Rochelle pozwolił, żeby zmieszano go z błotem, a w zamian za to odsiedział tylko rok. Czy właśnie wtedy opuściła go żona?

- Nie. W zasadzie większość ludzi jest zdania, że Claudine Rochelle nic nie wiedziała o prawdziwym źródle dochodów męża. Musisz jednak przyznać, że należy jej się szacunek. Stała po jego stronie.

- A co się stało, jak wyszedł z więzienia?

- Rząd zawiesił jego uprawnienia i nie mógł ponownie wrócić do zawodu. Na szczęście dla doktora Rochelle'a, jeden z jego przyjaciół potrzebował pieniędzy i pozwolił Rochelle'owi wykupić swoją firmę farmaceutyczną.

- Była to przykrywka sprzedaży narkotyków, czy coś w tym rodzaju? To wtedy odeszła od niego żona? - zapytała z nadzieją Frankie. Historia Dantona była doprawdy okropna, jednak nie tak szokująca, jak spodziewała się Frankie.

- Nie - odpowiedział Gary. - Rzuciła go, kiedy zaczął romans z jakąś Amerykanką. Facet dosłownie oszalał na jej punkcie. Wyprowadził się od syna i żony i zaczął jeździć za nią po całym Paryżu. Madame Rochelle musiała czuć się bardzo upokorzona.

- Kim była tamta kobieta? - ciekawie dopytywała się Frankie.

- Nie wiem, ale - dodał szybko, widząc rozczarowanie w jej wzroku - odnalazłem jego starą pielęgniarkę.

- Myślisz, że nam pomoże? - zapytała. - Założę się, że znała jego kochankę.

- Dlaczego tak sądzisz?

- Widzisz, ona i Rochelle byli ze sobą bardzo blisko. Nie tylko pozostali nadal przyjaciółmi, ale moje „śledztwo” wykazało, że raz w miesiącu dostaje od niego czek.

- Jak ma na imię?

- Monique Patois.

- Masz jej adres?

- Tutaj, proszę - powiedział gładko.

- Dobrze - odparła Frankie, czując, że w końcu natknie się na żyłę złota. - Najpierw zamierzam złożyć wizytę Monique Patois. A potem wybiorę się do Dantona Rochelle'a.

„Rochelle Pharmaceuticals” miało swoją siedzibę w dzielnicy Beaubourg, zaraz za Centrum Pompidou przy ulicy Świętego Marcina. Frankie zadzwoniła do Dantona i poprosiła, żeby się z nią spotkał przy fontannie Nikki de Saint Phalle na placu Pompidou.

Było to bardzo ruchliwe miejsce. Codziennie przed fasadą budynku zbierały się tłumy gapiów. W środku miasta, które zachowało starą architekturę, Narodowe Centrum Sztuki i Kultury imienia George'a Pompidou rzucało się w oczy tak jak rzeźba Andy'ego Warhola w Pałacu Wersalskim.

Budynek oplatała stalowa konstrukcja z niebieskich i zielonych rur, a wielkie, czerwone tafle metalu wyścielały wnętrza wind i klatek schodowych. Całą strukturę pokrywała stalowa siatka i budynek sprawiał wrażenie szkieletu, z którego obdarto skórę.

Z boku stała fontanna Świętego Phalle'a, będąca prostokątną konstrukcją ozdobioną dziwaczными gipsowymi figurami i metalowymi rzeźbami. Ogromny wielokolorowy

ptak ze złotą koroną stał na straży zielonego żółwia, pękatego serca, gumowego węża i pary dużych, czerwonych, zmysłowych ust, z których tryskała woda do sadzawki.

Frankie stała zapatrzona w grupę uczniów podziwiających fontannę i nie zauważyła zbliżającego się Dantona. Położył jej rękę na ramieniu i odezwał się spokojnym głosem, tak żeby jej nie wystraszyć.

- Frankie, moja droga. Cieszę się, że zadzwoniłaś. Pocałował ją w oba policzki i przyjacielsko się uśmiechnął.

- Danton, dziękuję, że zechciałeś się ze mną spotkać. - Poczowała wyrzuty sumienia, ale szybko stłumiła je w sobie.

- Może nie będziemy stać na tym zimnie. Co byś powiedziała na filiżankę herbaty? - zapytał patrząc, jak powiew wiatru marszczy wodę na powierzchni sadzawki.

Zgodziła się i poszła za Dantonem do małej kafejki na tyłach placu. Przez kilka minut rozmawiali o błahostkach, po czym zjawił się kelner i przyjął zamówienie. Po kilku minutach przyniósł im herbatę i ciastka. Kiedy się już oddalił, twarz Dantona przybrała poważny wyraz.

- Chyba nie będzie niegrzeczne, jeśli od razu przejdę do rzeczy? Wezwałaś mnie tutaj z powodu swojej matki?

- W pewnym sensie tak - odparła Frankie, ciekawa, co Rochelle ma do powiedzenia.

- Wiem, że zachowała się nieładnie tamtego wieczoru w dyskotecie, ale w głębi serca wierzę, że bardzo chciałaby się z tobą pogodzić.

- Doprawdy? - Znowu zastanowiło Frankie, jak taki uprzejmy człowiek mógł się poświęcać dla takiej żmii jak Lillie. - Nie dam się na to nabrać.

- Czasami zdarza jej się coś powiedzieć, zanim pomyśli - powiedział przepaszająco. - Ostatnio niezbyt dobrze się czuje.

Frankie sączyła herbatę, słuchając i powstrzymując się od komentarzy.

- Coraz częściej miewa wybuchy depresji. Kiedy naprawdę jest z nią niedobrze, zabieram ją do domu na wsi, gdzie zajmuje się nią moja pielęgniarka.

Czekał na współczujące skiniecie głową, na jakiś znak, na wyraz zainteresowania. Zamiast tego Frankie odstawiła filiżankę i z zimnym wyrazem twarzy spojrzała mu prosto w oczy.

- Nie zadzwoniłam do ciebie, żeby prosić Lillie o wybaczenie - powiedziała. - I nie interesuje mnie stan psychiczny mojej matki. To wasz problem. Zadzwoniłam, bo chcę, żebyś wstrzymał produkcję perfum.

- Co? - Danton był wyraźnie zaszokowany.

- Chcę, żebyś wstrzymał produkcję perfum „Lillie”.

- Nie mogę tego zrobić - odparł.

- Nie mogę czy nie chcę?

- Jedno i drugie. - Nad brwiami Dantona zaczęły się zbierać małe kropelki potu.

- Wobec tego będę musiała dostarczyć ci bodźca. - Frankie przez chwilę nic nie mówiła. Chciała dać mu do zrozumienia, że nie ma zamiaru bawić się w kotka i myszkę. - Jeżeli nie zrobisz tego, o co cię proszę, to twoja przeszłość pojawi się na pierwszych stronach wszystkich angielskich gazet. Pomyśl, jak to wpłynie na reputację twoją, Lillie, nie mówiąc już o twoim synu, Paulu. Kobiety mogą nie zechcieć kupować strojów zaprojektowanych przez człowieka, którego ojciec usuwał ciężę prostytutkom. Nie będą także zainteresowane nowymi perfumami eks - akuszera. W Paryżu też nie na wszystko można sobie pozwolić.

Danton popijał herbatę, przetrawiając to, co usłyszał, i przygotowując plan obrony. Niełatwo było go zapędzić w kozi róg.

- To wydarzyło się bardzo dawno temu - powiedział z dystansem. - Bardziej ośmieszyłabyś siebie niż mnie.

- Wiem - zaczęła nachylając się nad stołem i rzucając mu zaczepny uśmiech. - Chyba masz rację. Jeżeli człowiek osiągnie sukces, często zapomina mu się dawne potknięcia. Ale niektóre z nich mogą być tak bolesne, że nie da się ich tak łatwo wymazać.

- Jak co, na przykład? - w jego głosie zabrzmiała duża doza pewności siebie.

- Jak usunięcie swojego własnego dziecka.

Dantonowi pobladła twarz. Jego oczy zdawały się nic nie dostrzegać i przez chwilę pomyślała, że straci przytomność.

- O czym ty mówisz? - zapytał nonszalanckim tonem, lecz Frankie usłyszała panikę w jego głosie.

- Właśnie odbyłam przyjazną rozmowę z Monique Patois; chyba ją pamiętasz. Asystowała ci przy wszystkich zabiegach. To do niej wysyłasz moją matkę, kiedy dostaje „ataku depresji”.

- Mów dalej - ponaglił Danton.

- Kiedy tylko mnie zobaczyła, od razu zauważyła podobieństwo między mną a moją drogą mamą. Rozmowa przeskakiwała z tematu na temat, aż w końcu zatrzymałyśmy się na roku 1954, kiedy po raz pierwszy spotkałeś moją matkę. Była wtedy w Paryżu i dochodziła do siebie po swoim drugim rozwodzie. Mieszkała u znajomej ciotki, która na dłużej przyjechała do Paryża w interesach. Oczywiście Lillie zostawiła mnie w Nowym Jorku z Cissie, Andrew i służącą. Nienawidziłam, kiedy zostawiała mnie samą, ale po tym, co powiedziała mi Monique, dobrze, że tak się działo. - Frankie przerwała na moment, wzbudzając w Rochelle'u jeszcze większą ciekawość. - Monique powiedziała, że Lillie już wtedy jej się nie spodobała. Zresztą teraz też za nią nie przepada. Nie podoba jej się, jak Lillie cię traktuje. Od razu zorientowała się, że zupełnie zwariowałeś na jej punkcie. Kiedy poprosiłam, żeby więcej opowiedziała mi na ten temat,

bardzo się zdenerwowała. - Frankie ściągnęła brwi w udanym geście zaaferowania. - Długo musiałam ją uspokajać, a kiedy doszła do siebie, opowiedziała mi o dniu, w którym asystowała przy twojej ostatniej aborcji. - Oparła łokcie na małym stoliku, nachyliła się do przodu i odezwała się zachrypniętym głosem. - Pamiętasz dobrze ten dzień, co Dantonie? Nie miałeś już papierów, nie miałeś swojego gabinetu, więc zrobiłeś to w kuchni w mieszkaniu Monique. Powiedziała mi, że przez cały czas gorzko płakałeś.

Frankie znowu na chwilę umilkła, dając Dantonowi czas, żeby zastanowił się nad tym, co powiedziała, i przygotował się na następny cios. Dla niej była to chwila tryumfu. Dla Dantona okropne wspomnienie życiowej tragedii. Obrazy z przeszłości stanęły mu przed oczami z niewiarygodną wyrazistością.

Przypomniął sobie tę noc, kiedy po raz pierwszy zobaczył Lillie w mieszkaniu Kahnów, które wynajmowali na Right Bank. Była urzekająco piękna. Zupełnie nie mógł wówczas nad sobą zapanować i do dzisiaj żałował tego, jak podle potraktował Claudine. Właściwie natychmiast rzucił się w ramiona Lillie, przeprowadził się do niej do hotelu, latał za nią wszędzie jak tresowany pudel, trzymał ją za rękę, gdy siedziała u fryzjera, i niósł jej płaszcz, kiedy przechadzała się wzdłuż Sline.

Kiedy Lillie dowiedziała się, że jest w ciąży, zażądała, by Danton dokonał aborcji. Nalegała, że będzie przytomna i wszystko będzie obserwować. Podczas zabiegu trzęsły mu się ręce i cały czas płakał. Wyskrobywał z jej łona własne dziecko i serce pękało mu z żalu. Jedną Lillie wydawała się niewzruszona. Jeszcze tego samego wieczoru opuściła mieszkanie Monique i nie widziała się z nim aż do roku 1968, kiedy Danton przyjechał do Nowego Jorku. Lillie na zawsze pozostała w jego pamięci. Monique miała rację. Zupełnie

zwariował. Na sam dźwięk jej imienia budziła się w nim namiętność. Bez względu na to, co zrobiła, kochał ją jak szalony.

- Dlaczego mi to robisz? - zapytał, a w jego głosie słysząc było cierpienie.

- Mam ku temu osobiste powody - odparła beznamiętnym tonem.

- Twoja matka włożyła całe serce w to przedsięwzięcie. Od powodzenia perfum zależy jej przyszła kariera. Zainwestowałem już w to miliony. Twój wuj Ben straci fortunę.

- Przykro mi, Dantonie - odpowiedziała. - W zasadzie jesteś miłym facetem, ale z pewnością zdajesz sobie sprawę, że ani trochę nie zależy mi na takich błaznach jak Luke Maddox albo moja matka. Jeśli chodzi o mojego wujka, to już zdążył podstawić mi nogę i dochód jego agencji przestał mi leżeć na sercu.

- Nigdy nie sądziłem, że potrafiś być aż tak mściwa - powiedział.

- Nie interesuje mnie to, co o mnie myślisz. Po prostu rób, co ci każe. Wycofaj się z produkcji perfum. Jeśli tego nie zrobisz, będziesz żałował do końca życia.

Danton zawahał się, ale tylko na moment. Była bardzo poważna, widział to. I bezsprzecznie miała rację. Niektórych czynów z przeszłości nie da się zapomnieć i pewnych błędów nigdy nie będzie mógł sobie wybaczyć.

Rzucił parę franków na stół, cofnął krzesło i bez słowa wyszedł z kawiarni. Jeszcze przez jakiś czas Frankie czuła żar jego gniewu, ale zamiast drżeć ze zdenerwowania, miała dziwne uczucie satysfakcji. Chociaż Danton Rochelle nie powiedział ani słowa, wiedziała, że w końcu pokonała ludzi, którzy pragnęli ją zniszczyć. W końcu udało jej się wygrać.

- Dziękuję wam, Lillie Rostov i Luke'u Maddoksie - wymamrotała pod nosem, wychodząc z kawiarni. - Byliście dobrymi nauczycielami.

Zanim Zach, tydzień później, wrócił do domu, otrzymała już wiadomość od Dantona, że plan wypuszczenia perfum „Lillie” został odwołany. Rozmowa z Dantonem była oczywiście bardzo nieprzyjemna i jeszcze parę minut po odłożeniu słuchawki Frankie trzęsa się ze zdenerwowania. Czowała psychiczne wyczerpanie. Danton by w to nie uwierzył, lecz uczciwie żałowała, że zmuszona była wplątać go w tę brudną rozgrywkę. Zawsze był bardzo porządny w stosunku do Frankie i liczył się z jej uczuciem, jednak kiedy przemyślała sprawę, doszła do wniosku, że czasami ocenia się ludzi według towarzystwa, w którym się obracają. Bywa, że muszą niekiedy ponosić konsekwencje utrzymywania takich znajomości.

Ani przez moment nie pożałowała Luke'a Maddoxa. Zasługiwał na to, żeby go zdeptać jak glistę, a Frankie dokładnie tak zrobiła. Postawił wszystko na Lillie Rostov i teraz już żadna siła nie pomoże mu odzyskać dobrej reputacji. Złożył publiczne obietnice i oświadczenia, których nie będzie w stanie spełnić. Będzie musiał odwołać kontrakty i tłumaczyć się przed prasą. Jego wiarygodność jako agenta zostanie dotkliwie podważona, o ile nie straci jej na zawsze.

Jednak znając dobrze Luke'a, w dzień po spotkaniu z Dantonem Frankie powiedziała swojemu producentowi o listach z pogrózkami i dziwnych telefonach. Powiedziała także, iż podejrzewa, że jest śledzona. Natychmiast zapewniono jej obstawę. Tak jak się spodziewała, już po dwóch dniach Luke pojawił się przed jej drzwiami. Wyskoczył na nią jak byk na lancę pikadora. Złapał ją za włosy, zaczął wykrzykiwać jej w twarz różne oszczerstwa i obelgi. Usunięcie Maddoxa zabrało solidnie zbudowanym

ochroniarzom prawie dziesięć minut, ale nawet kiedy obolały Luke pokuśtykał spod jej drzwi, nadal groził jej zemstą.

- Lillie nie odezwała się ani słowem - powiedziała Zachowi, kończąc relację z przebiegu wydarzeń ostatnich tygodni. - Nawet się nie łudziłam, że to zrobi. Jestem pewna, że kiedy dowiedziała się o wycofaniu perfum, to dostała szału. Pewnie siedzi teraz zamknięta w wiejskim domu Dantona, w jednej z tych swoich obcisłych podomek z głębokim dekoltem.

Podczas recytowania całej historii była tak pochłonięta poklepywaniem się po ramieniu, że nawet nie zauważyła strapionego spojrzenia Zacha. Nie spostrzegła, że ani razu się nie zaśmiał i ani razu nie pokiwał aprobowująco głową. Dopiero kiedy podniosła się z krzesła i chciała usiąść mu na kolanach, zauważyła milczący chłód, z jakim przyjął jej relację.

- Zmęczony lotem? - zapytała widząc nienaturalny błysk w jego oczach i zaciśnięte usta.

- Trochę - odpowiedział, przeszedł obok niej i nalał sobie drinka. Frankie patrzyła na niego z coraz większym niepokojem; Zach nieczęsto pił alkohol.

Rzadko pił cokolwiek oprócz wina i tylko czasami po obiedzie pozwalał sobie na kieliszek brandy. Szkocka z wodą poza towarzyskim spotkaniem była dziwnym rekwizytem w jego ręku, a wypicie szklaneczki i ponowne jej napełnienie było naprawdę alarmujące.

- Myślisz, że posunęłam się za daleko? - zapytała potulnie.

Zach odwrócił się i spojrzał jej w twarz. Jego zielone oczy były pochmurne i jakieś odległe.

- Po co mnie pytasz, jeżeli i tak cię nie obchodzi, co o tym myślę? Frankie zamurowało.

- Oczywiście, że mnie obchodzi - odparła zmieszana. - Kocham cię. - To dlaczego mnie wykorzystujesz?

- O czym ty mówisz?

- Kiedy wplątałaś Gary'ego Browninga, żeby się babrał w tej brudnej historii, to na kogo się powołałaś?

Frankie poczuła się tak, jakby olbrzymia prasa zaczęła zgniatać ją z obydwu stron. Przez chwilę nie mogła złapać powietrza.

- Przepraszam - powiedziała, lekko się jękając. - Nie pomyślałam o tym.

- Wygląda na to, że nie myślisz o niczym innym tylko o swoich zachciankach, a w tym wypadku sprowadziło się to do zrujnowania życia kilku ludziom.

Frankie spojrzała na Zacha z niedowierzaniem. Spodziewała się, że będzie zadowolony z jej pomysłowości i pochwali jej zwycięstwo. Nigdy nie przyszłoby jej do głowy, że może ją skrytykować i wyrazić swoje współczucie dla Lillie i Luke'a.

- Pierwsi zaczęli, a poza tym, to od kiedy tak ci zależy na mojej matce i Luke'u Maddoksie? - domagała się odpowiedzi. - Nigdy ich nie lubiłeś. Dlaczego teraz stajesz w ich obronie? Dlaczego obracasz się przeciwko mnie?

Podeszła do Zacha, stanęła przed nim i natarczywie spojrzała mu w oczy. Kiedy się nie odezwał, trochę złagodniała.

- Tak naprawdę to nikogo przecież nie zraniłam - zaczęła się tłumaczyć. - Danton i wujek Ben stracili wprawdzie trochę pieniędzy, ale przecież nie doprowadziłam ich do bankructwa. Misterny plan Luke'a Maddoxa rozpadł się jak domek z kart. I o to chodziło! A co się tyczy mojej kochanej mamusi, to ma to, na co zasługuje. Więcej niż raz próbowała zniszczyć moją karierę, a nawet jeśli pokrzyżowałam jej plany powrotu na scenę, to prawda jest taka, że nikt już jej nie pamięta, więc nie miałam nawet czego rujnować.

Zach oparł się łokciami o parapet w salonie i próbował uporządkować swoje uczucia. Zupełnie inaczej wyobrażał

sobie ich przywitanie. Miał w kieszeni pierścioneł, który chciał ofiarować Frankie, prosząc ją o rękę. Włożył dłoń do spodni, tak jakby chciał sobie przypomnieć, jak bardzo kocha tę kobietę, ale jego palce zamarły jak ścięte lodem, kiedy natrafiły na małe, aksamitne pudełeczko.

- Nie stałem się ich obrońcą - powiedział. - I masz rację. W pewnym sensie nikogo nie zniszczyłaś, ale w twoim postępowaniu jest coś, co mnie odrzuca.

- Dlaczego? - krzyknęła Frankie i poczuła, że ogarnia ją rozpacz na myśl, że traci Zacha. - Dlaczego aż tak mnie potępiasz?

- Nie potępiam aż tak bardzo tego, co zrobiłaś - powiedział próbując wytłumaczyć to nie tylko Frankie, lecz także samemu sobie. - Przeraza mnie jedynie radość, jaką z tego czerpiesz, i zupełny brak poczucia winy. Rozgrzeszasz się ze swojej mściwości bez przemyślenia tego, co zrobiłaś.

- Mówisz tak, jakbym była potworem - powiedziała Frankie, kuląc się i zaczynając manipulować wokół swoich paznokci.

- Frankie, zadajesz ludziom ból - powiedział Zach. - Czy naprawdę tego nie widzisz? Przysparzasz sobie niepotrzebnych wrogów. Sunny Samuels, Colin Mattheson, Jose Banta, Danton Rochelle i Bóg wie kto jeszcze!

Wielkie łzy zaczęły spływać po twarzy Frankie. Jej dolna powieka drżała, kiedy słuchała oskarżeń Zacha.

- Ale oni starali się mnie zastraszyć - szlochała. - Te listy. Te telefony. Czulaam się jak w pułapce. Musiałam jakoś zareagować!

- Nie masz pewności, że to byli oni, a jeśli nawet, to co, u diabła, daje ci tę pewność, że dobrze zrobiłaś? - Zach domagał się odpowiedzi, a w jego głosie słychać było gniew i niepewność.

Frankie spojrzała na niego smutnymi oczami. Jej twarz była mokra od łez.

- Sterling poradził mi kiedyś, żebym nie uciekała od problemów. Powiedział, żebym stawiała im czoło i starała się je rozwiązywać. I przekonywał mnie, że najlepszą metodą jest mówienie prawdy. Nie zrobiłam nic innego. Nie wymyśliłam sobie historii o tym, że Danton dokonywał aborcji. Nie wysłałam z palca opowieści o tym, że usunął swoje własne dziecko! To naga prawda.

Palce Zacha rozluźniły się w kieszeni i przestały ścisnąć pudełko z pierścionkiem.

- Istnieje różnica między mówieniem prawdy a manipulowaniem prawdą, Frankie. Zasadnicza różnica.

I nagle, zanim Frankie zdążyła zorientować się, co się dzieje, Zach podniósł walizkę i ruszył w kierunku drzwi.

- Opuszczasz mnie? - krzyknęła, biegnąc do niego i rzucając mu się na szyję. Poczuł, jak jej ciało opiera się o jego pierś, a jej łzy płyną mu na szyję.

- Jeżeli bym został - powiedział głosem przepełnionym bólem - mógłbym być następny.

- Nigdy bym cię nie skrzywdziła - szlochała. - Potrzebuję ciebie. I pragnę, żebyś mi wybaczył i żebyś mnie kochał.

Jej głos i jej wygląd były tak pełne patosu, że prawie się załamał.

- Nikt mi nie dał prawa do tego, żeby cię rozgrzeszać. Spojrzała na niego błagalnym wzrokiem.

- Jeżeli ty mi wybaczysz, inni się nie liczą - powiedziała.

Zach odwrócił się i wyszedł. Jak mógł jej wytłumaczyć, że powiedziała coś okropnie naiwnego. Inni się liczyli. Znaczyli bardzo wiele. Zach za dużo wiedział o wojowniczej stronie ludzkiej natury. Miał pewność, że wrogowie Frankie nigdy jej nie zapomną i nigdy jej nie przebaczą. Pewnego pięknego dnia, kiedy najmniej będzie się tego spodziewała, wybuchnie

jakaś zegarowa bomba, którą sama wcześniej nastawiła. Jakaś ofiara jej intrygi będzie domagała się zapłaty. Zach nie miał pojęcia, kto to będzie i kiedy to nastąpi. Jednak był pewien, że bomba już zaczęła wytrwale cykać, odmierzając minutę za minutą i bez względu na to, jak bardzo kochał Frankie i jak bardzo pragnął zatrzymać mechanizm zegara, nie był w stanie tego zrobić.

Frankie siedziała w ciemnym mieszkaniu pijąc brandy, próbując znaleźć logiczne podstawy swojego zachowania i wyleczyć się z ran. W jej mózgu wirowały sprzeczne myśli. Gdyby nie zaatakowała Luke'a i Lillie, mogliby zniszczyć ją swoimi groźbami. Gdyby jednak nie zareagowała tak drastycznie, Zach na pewno by jej nie opuścił. Dlaczego nie było go teraz przy niej? Czemu nie mówił jej, że dobrze zrobiła, że dostali to, na co zasługują, i że już nigdy nie odważą się na coś podobnego? Dlaczego zawsze wyglądało to tak, jakby Zach nie akceptował żadnego jej posunięcia? Czyżby jego opinie były aż tak różne? A może to ją zawodził instynkt? Może jej działania podążały w niewłaściwym kierunku?

- Dlaczego zawsze jestem sama? - zaczęła cicho płakać. -
Dlaczego nikt nie chce ze mną być?

Nasłuchiwała przez chwilę, jakby w ciemności miała zabrzmieć odpowiedź na jej pytanie. Skończyła pić brandy i w końcu zasnęła niespokojnym snem, w którym jakiś wewnętrzny głos powtarzał jej w kółko, jaka jest bezwartościowa.

Frankie przewracała się z boku na bok i wciskała głowę w poduszkę, próbując odciąć się od tego głosu. Jednak tajemniczy głos nadal krzyczał jej do ucha, a wskazówki zegara nie przestały się przesuwac.

Przez ponad dwa miesiące Jinx żyła jakby w stanie hibernacji. Nie potrafiła przełamać się i pójść do pracy, całymi dniami przesiadując w domu. Nie odbierała telefonów i nikogo nie zapraszała, całą energię oddając Joy i poświęcając jej tyle uwagi, ile tylko mogła. W nocy, kiedy Joy już spała, Jinx zatapiała się w swojej żałobie, czasami płacząc, czasami siedząc w milczeniu, zdecydowana na samotność do czasu, aż nauczy się radzić sobie z demonami nachodzącymi ją po śmierci Kipa.

Wraz z upływem czasu zaczęła dochodzić do wniosku, że powinna stawić czoło rzeczywistości. Jeden po drugim próbowała zwalczyć swoje demony - samotność, poczucie winy, brak bezpieczeństwa, zazdrość i strach - starając się zdystansować od nich. Wprawdzie z różnym skutkiem, lecz z godnym podziwu uporem Jinx zdzierła z siebie żałobne szaty.

Na początku starała się nauczyć powracania pamięcią do szczęśliwych chwil z życia z Kipem bez zanoszenia się płaczem. Uczyła się umieszczać je w perspektywie przeszłości. Starła się również przypominać sobie gorsze okresy, bez analizowania wszystkich „za” i „przeciw” i zastanawiania się nad tym, co kto powinien wówczas zrobić. W końcu poczuła się wystarczająco silna, żeby wejść do gabinetu Kipa, gdzie miała zamiar zakończyć pogrzebowy rytuał oględzinami wspólnych małżeńskich pamiątek.

Zamknęła się tam na parę godzin, buszując po kartonach z listami i zdjęciami. Znalazła ich ślubny album, zeszyt ze szkicami, które zrobiła podczas miodowego miesiąca, album ze zdjęciami Joy - pierwszy uśmiech, pierwszy ząbek,

pierwszy krok, pierwsze urodziny i setki luźnych fotografii, które miała kiedyś uporządkować, ale zawsze odkładała to na później. Teraz uważnie im się przyglądając, tak jakby studiowała stare ryciny, starała się zapamiętać każdy szczegół. W końcu włożyła je z powrotem do pudełka i raz na zawsze odstawiła na swoje miejsce.

Powoli zaczęła odzyskiwać równowagę. Kiedy poczucie winy będące nierozłączną częścią jej żałoby zaczęło stopniowo przygasać, była w stanie bardziej realistycznie spojrzeć na swoje małżeństwo, zrozumieć jego istotę i wagę. Kip bardzo ją kochał. Była jego żoną w każdym znaczeniu tego słowa, a nie, jak jej się wydawało, gdy stała nad grobem, jakimś nieistotnym przerywnikiem w życiu Kipa. Była jego przyjacielem, pracowała przy jego boku, podzielała jego ambicje i marzenia. Dała mu dziecko. Dała mu miłość. Stworzyła mu dom i kiedy o tym myślała, doszła do wniosku, że uczyniła go szczęśliwym.

Któregoś kwietniowego popołudnia, kiedy zastanawiała się nad ich wspólnym życiem i porównała je do życia w samotności, zaczęło wypływać na powierzchnię poczucie obowiązku. Tak jak odradzał się krajobraz za oknem pod wpływem ożywczego ciepła wiosny, tak samo zaczęła budzić się z mroków jej dusza. Dotarło do niej, że ma dziecko, które wymaga opieki, i pracę, której była kiedyś oddana. Obudziło się w niej pragnienie wyjścia z domu i włączenia się w życie.

Po pogrzebie Kipa odczytano jego testament. Nikogo to nie zdziwiło, choć niektórzy nie ukrywali swojego rozczarowania, że Jinx odziedziczyła cały majątek Kipa włącznie z posiadłościami, jak również trzydzieści procent udziałów w „Kipling Worldwide”. Każda z sióstr Kipa otrzymała po dziesięć procent, a Jeffrey Dodge - pięć. Będąc największym udziałowcem, Jinx została przewodniczącą rady nadzorczej i głównym decydującym, jednak przez całe tygodnie

świadomie unikała swoich obowiązków, nie odpowiadając na telefon od Milтона Foxa - prawnika Kipa. Chociaż Milton zawsze był jej przyjacielem i miał jak najlepsze intencje, Jinx jak dotąd pozostawała niewzruszona. Co z tego, że miała przejąć rządy w „Kipling Worldwide”! Co z tego, że ktoś mógł wykorzystać jej nieobecność i wyrwać jej władzę z ręki! Bez Kipa to wszystko nie miało znaczenia.

Jinx nigdy nie potrafiła sobie wytłumaczyć, dlaczego akurat w ten piątek, o tej a nie innej godzinie, to wszystko wydało jej się nagle tak ważne. Z miejsca zadzwoniła do Milтона Foxa. Na początku zapytała go, czy nie mógłby w poniedziałek rano zorganizować spotkania zarządu. Milton od razu na to przystał. Zapytała również, czy nie mógłby odwiedzić jej w czasie weekendu i opowiedzieć, co działo się w firmie podczas jej dobrowolnej banicji. Na to również zgodził się bez wahania.

Zanim odłożył słuchawkę, dodał jeszcze:

- Oprócz ciebie i Joy, koncern „Kipling Worldwide” był najważniejszą rzeczą w życiu Kipa. Nie pozwól, żeby umarł razem z nim.

Jinx zamarła jak porażona prądem.

- Miltonie, nigdy bym na to nie pozwoliła. Nazywam się Kipling i to samo nazwisko nosi moje dziecko.

- Racja - powiedział, a w jego głosie słycać było sympatię i współczucie - ale wiesz tak samo dobrze jak ja, że są ludzie, którzy będą kwestionować twoje prawo do noszenia tego nazwiska i nigdy cię nie zaakceptują.

Jinx roześmiała się. Miltonowi wydało się to co najmniej dziwne.

- Nie muszą mnie zaakceptować - powiedziała, przypominając sobie uczucie odtrącenia i braku przynależności - ale jedno mogę ci obiecać. Będą musieli się ze mną liczyć.

Nietypowa w swoim kształcie, ośmiokątna sala konferencyjna „Kipling Worldwide” stanowiła świadectwo bogactwa i potęgi imperium Kiplinga. Na podłodze tego bezokiennego pomieszczenia leżał gruby zielony dywan, pośrodku którego można było rozpoznać ręcznie tkany herb Kiplingów. Pod szklanym matowym sufitem umieszczony był szereg lamp, napełniających pokój światłem imitującym światło dzienne. Ściany zdobiły freski malowane przez florenckiego artystę - Alberta di Crespiego, przedstawiające cztery strony świata, które obsługiwała sieć hoteli Kiplinga. Pozostałe cztery ściany w kolorze palonej ochry pomalowanej w białe pasy przypominały wykończenie antycznych budowli i symbolizowały historyczną trwałość. Z przodu i z tyłu sali stały naprzeciwko siebie dwa marmurowe podesty, na których ustawiono dwa bezcenne antyki: popiersie rzymskiego boga - Jupitera i koryncki fronton z ruin w Korfu. Na podestach stały również cenne zegary, które kolekcjonował ojciec Kipa. Każdy ustawiony był według innej strefy czasu i z dokładnością co do minuty wskazywał obowiązującą tam godzinę.

W centralnym punkcie sali stał olbrzymi dębowy stół wypolerowany na wysoki połysk, z mosiężnymi okuciami. Otaczało go dwanaście krzeseł obitych rdzawozielonym aksamitem. Sala konferencyjna „Kipling Worldwide” różniła się od pomieszczeń o podobnym przeznaczeniu tym, że znajdował się tam okrągły stół bez specjalnego miejsca dla przewodniczącego zebrania. Był to symbol niezwykle popularnego stylu zarządzania Kipa, który uważał, że szef był szefem bez względu na to, gdzie usiadł, i jeśli nie potrafił zdobyć autorytetu siłą swojej osobowości, tym bardziej nie zdobędzie go siadając na najbardziej widocznym miejscu.

Dzisiejszego przedpołudnia, tak jak podczas wszystkich zebrań, przy każdym miejscu stał termos z gorącą kawą i

filizanka z najlepszej kolekcji chińskiej porcelany. O godzinie dziewiątej czterdzieści pięć, piętnaście minut przed planowym rozpoczęciem zebrania, dziesięciu stałych udziałowców oraz tradycyjny gość - tym razem Antoinette Troy, sekretarka Kipa - siedzieli już na miejscach, czekając na nowego szefa korporacji - Jinx Kipling.

W powietrzu czuć było wprawdzie podniecenie i ciekawość, jednak z twarzy uczestników zebrania trudno było cokolwiek wyczytać. Większość z nich miała ogromne wpływy w swoich sferach i lepiej znała się na wewnętrznych rozgrywkach niż kobieta, która ich tutaj wezwała. Oprócz Jeffreya Dodge'a, Milтона Foxa i dyrektora finansowego Kipa - Charlesa Miepa, na zebranie przybyła Claire Billings, senator Kenneth Soames - uszy, oczy i usta „Kipling Worldwide” w Waszyngtonie, Warren Pritchard - dyrektor głównego banku „Kipling Worldwide”, Lord Melville - Anglik, reprezentujący interesy sieci w Europie, Yukio Nishizaka - japoński przemysłowiec popierający interesy koncernu na Wschodzie oraz dwie siostry Kipa - Judith i Cynthia.

Kiedy punkt dziesiąta Jinx weszła do sali, przywitała ją pełna podejrzliwości cisza, świadcząca o prywatnych uprzedzeniach i wcześniejszych dyskusjach - cisza wyrażająca mieszaninę antagonizmu i przychylności. Bez rozglądania się na boki, szybko podeszła do jedyne wolnego krzesła. Zbyt często gościła na zebraniach, by nie dostrzec, że Jeffrey Dodge zajął krzesło, na którym zwykle zasiadał Kip. Chociaż wyprowadziło ją to z równowagi, bez komentarza zajęła wolne miejsce. Na szczęście po lewej stronie miała Claire Billings. Kiedy siadała, poczuła, jak Claire przyjaźnie ścisła jej ramię.

- Witam wszystkich - powiedziała modląc się w duchu, żeby nie zdradzić swojego zdenerwowania - i bardzo dziękuję

za przybycie, tym bardziej że powiadomiłam państwa o tym zebraniu w ostatniej chwili.

Uśmiechnęła się i rozejrzała wokół stołu. Chciała wyłapać przyjaciół i wrogów, ale siedziała przed grupą wytrawnych biznesmenów, którzy świetnie potrafili ukryć swoje emocje.

- Pragnę również podziękować wam za wyrazy szacunku, sympatii i kondolencje złożone po śmierci mojego męża. Wszystkich głęboko dotknęła ta tragedia, ale jestem pewna, że żadne z nas nie wątpi, iż Kip nie chciałby, byśmy wiecznie go opłakiwali. „Kipling Worldwide” stanowi przedłużenie jego życia i jesteśmy odpowiedzialni za to, żeby realizować jego plany.

Ponownie rozejrzała się po twarzach, szukając jakiejś reakcji. Spostrzegła kilka kiwnięć głową i parę nieprzenikniętych uśmiechów. Wzięła głęboki oddech i spróbowała się skupić na tym, co przedyskutowała wcześniej z Miltonem.

Cały weekend spędzili na przeglądaniu akt, kartkowaniu ksiąg, analizowaniu cech osobowościowych poszczególnych pracowników, rozpatrywaniu stanu finansowego i konstruowaniu planu pracy. Tuż przed zebraniem Jinx jeszcze raz przejrzała notatki, żeby przypomnieć sobie, z kim ma do czynienia.

Milton był przyjacielem. Wiedziała, że dopóki nie zrobi nic niezgodnego z prawem, nic niemoralnego bądź sprzecznego z wizją korporacji stworzoną przez Kipa, zawsze może liczyć na jego poparcie. To samo mogła powiedzieć o Charlesie Miepie. Claire Billings była szczerym sprzymierzeńcem. Dodge - sprawdzonym wrogiem.

Kenneth Soames, były senator z Connecticut, był surowym sędzią ludzkich charakterów i zrećnie potrafił manipulować faktami. Te dwie cechy Kip podziwiał najbardziej u swojego długoletniego przyjaciela. Soames

wiedział, kogo nacisnąć i kiedy. Potrafił znakomicie przemawiać i jeszcze lepiej słuchać. W powiązaniu ze swoimi politycznymi koneksjami był cenionym adwokatem interesów „Kipling Worldwide” i szanowanym członkiem rady. Stosunki towarzyskie Jinx i Soamesa zawsze doskonale się układały, ale w obecnej sytuacji Jinx wiedziała, że nie może na niego liczyć. Kiedy korporacją zarządzał Kip, Soames zawsze był lojalnym podwładnym. Lecz Kip już nie żył i jego lojalność w stosunku do Jinx stała pod znakiem zapytania.

Lord Patrick Melville, jeszcze jeden stary znajomy Kipa, był elokwentnym dżentelmenem, znanym z tego, że zanim podjął decyzję, dziesięć razy rozważył wszystkie „za” i „przeciw”. Był konserwatystą w każdym calu; cechowała go błyskotliwość i dziwna w jego sferach niechęć do samego faktu, że nie musi pracować. Uwielbiał intelektualną stymulację płynącą z prowadzenia spraw handlowych. Liczne sukcesy, osiągnięte na tym polu, dostarczały mu ogromnej satysfakcji. Dopóki Kip nie zaproponował mu nadzoru nad ekspansją swojego mocarstwa w Europie, Melville zajmował się głównie nadzorowaniem stanu rodzinnych majątków i badaniem notowań na giełdzie. Propozycję Kipa przyjął niemalże z wdzięcznością. Problem Jinx polegał na tym, że Jeffrey Dodge rozpoczął karierę w „Kipling Worldwide” w Londynie, pod kuratelą Melville'a. Zostali bliskimi przyjaciółmi i Jinx obawiała się, że będą stanowić zwartą frakcję.

Warren Pritchard był człowiekiem pieniędzy i rozumu. Nic nie było dla niego ważniejsze od dochodów. Niecierpliwy i wymagający. Jediną pociechą dla Jinx było to, że Pritchard sprawdzał się jako znakomity inwestor, gotowy do ponoszenia kosztów, kiedy widział równowagę między ryzykiem a przyszłym zyskiem.

Jedynymi niewiadomymi były siostry Kiplinga, Judith Wharton i Cynthia Sherwood. Jinx wiedziała, że obie są inteligentne i energiczne, i jak dotąd kwitowały skinieciem głowy każdą jej wypowiedź. Oczywiście do czasu, kiedy Kip popierał ich interesy, zgadzały się z każdą decyzją brata. Z Jinx było jednak zupełnie inaczej. Wiedziała, że były przeciwne temu małżeństwu i chociaż jak dotychczas nie zrobiły ani nie powiedziały nic, co mogłoby wzbudzić jej podejrzania, wiedziała, że nie może liczyć na ich przychylność. Dopóki się nie przekona, że jest inaczej, postanowiła zaliczyć je do opozycji.

- Chociaż funkcje przewodniczącej rady nadzorczej i dyrektora generalnego są dla mnie zupełnie nowe, nie od dzisiaj pracuję w „Kipling Worldwide”. Podczas studiów w Wyższej Szkole Administracji Hotelowej w Cornelle spędzałam każde wakacje pracując w „Oasis” w Phoenix. Po obronie dyplomu zaczęłam pracować w pełnym wymiarze godzin na stanowisku asystenta menedżera. Po dwóch latach zostałam menedżerem „Oasis” i sprawowałam tę funkcję przez dziewięć miesięcy.

„Zacznij wyliczać swoje kompetencje” - radził jej Milton. „Potraktuj to jako rozmowę wstępną przed podjęciem pracy. W zasadzie, tak to będzie wyglądało”.

- Kiedy przyjechałam do Nowego Jorku - ciągnęła Jinx, co chwila spoglądając na Milтона i szukając wsparcia w jego oczach - miałam szczęście przepracować okres próbny w Departamencie Rozwoju u godnego szacunku Jeffreya Dodge'a.

„Powiedz komplement Dodge'owi, nawet gdybyś miała się nim zakrzuszyć”.

- Dopiero wtedy moje pomysły przybrały ostateczny kształt. Projekt zabudowania nieużytków wokół kurortów, rozpoczęty w 1971 roku, w ciągu ostatnich siedmiu lat

przyniósł ogromne dochody. Domki do wynajęcia funkcjonują już w dwunastu amerykańskich ośrodkach i przewidujemy rozszerzyć budowę na następne cztery. Na wyspach Bahama i Puerto Rico udało nam się otworzyć duże kolonie i w tym sezonie mamy zamiar udostępnić jeszcze jedną na wyspie Świętego Marcina. Eksperymentalny projekt kolonii domków w Europie został w październiku ubiegłego roku zaaprobowany przez radę nadzorczą i w przyszłym miesiącu mamy rozpocząć budowę w południowej Francji, pod nadzorem naszego nieocenionego współpracownika lorda Melville'a. Jak dotąd, sprzedano już trzy czwarte domków.

Jinx spodziewała się uśmiechu, skinięcia głową, czegokolwiek, ale zamiast tego Patrick Melville patrzył na nią tępym wzrokiem zupełnie tak, jakby spał z otwartymi oczami. Warren Pritchard uśmiechnął się i wcale nie zdziwiło to Jinx. Nic bardziej nie rozgrzewało mu serca niż sprzedana posiadłość.

- Następny projekt uzdrowisk i butików w kurortach „Kipling”, którego autorką była Claire Billings, także okazał się niezwykle udany. Nie tylko przez ostanie sześć lat obiekty Kiplinga zyskały posezonalnych klientów, ale odnotowaliśmy również stały wzrost zysku o sześć procent w ciągu roku.

Kiedy Jinx wymieniała pozostałe projekty, w które była zaangażowana, Jeffrey Dodge starał się ukryć swój antagonizm, ale nawet z jego nieskazitelnymi manierami miał kłopoty z zachowaniem obojętnej twarzy. Nie mógł odgonić od siebie myśli, że to jemu należy się tytuł dyrektora generalnego i że to on powinien przejąć kontrolę nad „Kipling Worldwide”. To on powinien mieć największe prawa, a nie ta nowoczesna Lorelei, która wśliznęła się do łóżka Kipa, jednocześnie tak go niszcząc, że zapomniał, co przystoi dojrzałemu mężczyźnie i kto jest jego prawdziwą rodziną.

Dodge jednym uchem wpuszczał, a drugim wypuszczał to, co mówiła Jinx, ale i tak ta niewielka część, która zostawała mu w środku, doprowadzała go do furii. Nie tylko doskonale przemawiała, lecz zdołała uzmysłwić zebranym, że w tak krótkim czasie przyczyniła się do wielu sukcesów firmy. Nieważne, uspokajał Dodge sam siebie. Dzisiaj jest tylko inauguracja, ceremonia. Dzisiaj wszyscy będą jej pobrażać. Ale jutro czy pojutrze skończą się wszystkie kurtuazyjne gesty. Będzie musiała działać. Jeżeli się nie sprawdzi, zrezygnuje. To prawda, że była inteligentna, ale Dodge był pewien, że wcześniej czy później popełni błąd, który będzie mógł wykorzystać przeciwko niej.

- ...centralną agencję działającą w ramach „Kipling Worldwide”, która zajmie się informacją i transportem wczasowiczów.

- Przepraszam, pani dyrektor - odezwał się Dodge z wyraźnym sarkazmem w głosie. - Czy sprawa już została zamknięta, czy możemy jeszcze poddać ją dyskusji?

- Oczywiście jestem otwarta na wszelkie sugestie, panie Dodge, ale jeśli o mnie chodzi, to będę robiła wszystko, żeby zrealizować ten projekt. Panna Troy już sporządziła listę naszych najlepszych agentów i właśnie próbuje przekonać ich, żeby rozpoczęli pracę wyłącznie dla „Kipling Worldwide”.

- Tysiące razy mówiłem Kipowi, że ten pomysł jest stratą czasu i pieniędzy. - Odwrócił się do Judith i skrzywił się z niesmakiem. - Według mnie to zupełnie poroniony pomysł.

Jeśli podważy twoją opinię, nie pozwól, żeby uszło mu to na sucho - przypomniała sobie słowa Milona.

- Ma pan prawo do własnego zdania, panie Dodge, ale chciałabym panu przypomnieć, że jesteśmy na zebraniu rady nadzorczej, a nie na spotkaniu pracowników Departamentu Rozwoju, może więc byłby pan tak uprzejmy i zatrzymał dla siebie poglądy nie związane z tematem naszego zebrania.

Dodge zbladł. Milton Fox w zdziwieniu uniósł brwi. Claire zakryła dłonią usta, żeby stłumić śmiech, i przez ułamek sekundy Jinx wydawało się, że dostrzega błysk uznania w oczach Judith Wharton.

- Głównym celem dzisiejszego zebrania - powiedziała Jinx ucieszona swym niewielkim zwycięstwem - jest zobowiązanie się do realizacji planów Kipa w stosunku do „Kipling Worldwide”. Chciał rozbudować kompanię i to zarówno w sensie posiadanego majątku, jak i odpowiedzialności względem społeczności, której służy. Będziemy szukać coraz to nowych możliwości, żeby przysłużyć się interesom miasta. W Chicago Kip sfinansował utworzenie miejskiego parku przylegającego do budynku hotelu. W Los Angeles udostępnił obiekty hotelu dla zawodników przygotowujących się do olimpiady. W Denver zaoferował pomoc całego personelu w organizacji balu „Carousel”, z którego dochody miały być przeznaczone na badania nad cukrzycą. Pragnął, żeby „Kipling Worldwide” był czymś więcej niż tylko międzynarodowym konglomeratem. Pragnął, żeby był częścią naszego życia. I zrobię wszystko, żeby spełnić jego wolę.

Usiadła na miejsce i przez kilka sekund, które zdawały się ciągnąć w nieskończoność, panowała zupełna cisza. Wtedy usłyszała, jak Claire zaczyna klaskać w dłonie. Zawtórowała jej Antoinette Troy. Po chwili dołączyli do nich inni i po raz pierwszy tego ranka Jinx spostrzegła kilka przyjaznych uśmiechów. Za chwilę Milton Fox podniósł się z krzesła.

- Zgłaszam wniosek o przyznanie votum zaufania naszemu nowemu dyrektorowi generalnemu, pani Jinx Kipling.

- Popieram - odezwała się Claire Billings.

- Kto jest za?

Jinx nerwowo obserwowała, jak prawe ręce jedna za drugą unoszą się do góry. Większość bez wahania przychyliła się do wniosku. Judith i Cynthia przez chwilę ze sobą walczyły, ale w końcu poparły Jinx. Tylko ręka jednego człowieka ani drgnęła. Był ktoś, kto nie chciał dać jej satysfakcji z następnego małego zwycięstwa.

Kiedy skończyło się zebranie i wszyscy zaczęli zbierać się do wyjścia, Dodge chciał przemknąć niepostrzeżenie obok Jinx, ale nie pozwoliła mu opuścić sali. Właśnie przyjaźnie żegnała się z Cynthią, lecz przerwała tę ceremonię tylko po to, by stanąć przed Dodge'em, blokując sobą drogę do drzwi.

- Nie możemy zostać przyjaciółmi? - zapytała.

- Ofiarowałem ci moją przyjaźń w szpitalu w Acapulco - powiedział. - Nie tylko, że jej nie przyjąłeś, ale praktycznie wyrzuciłeś mnie za drzwi. Czy ci się to podoba czy nie, Kip był moim szwagrem.

- Wiem, Jeffrey, że cię obraziłam. Naprawdę przepraszam. Wyciągnęła pojednawczo dłoń, ale nie podał jej ręki.

- Zejdźmy z wojennej ścieżki. Przecież przepracowaliśmy ze sobą tyle czasu - prosiła, dławiąc się swoją niechęcią, zmuszając się, by zabrzmiało to przepraszająco i miło - a w pewnym sensie jesteśmy nawet rodziną.

Dodge wyglądał na zbulwersowanego.

- Bez względu na to, jak daleko wyciągasz gałęzie twojego genealogicznego drzewa - powiedział - zapewniam cię, że nie ma między nami ani krzty pokrewieństwa.

- Jak sobie życzysz - odparła Jinx, przyjmując zasadniczą i profesjonalną pozę. - Tak czy inaczej, oboje jesteśmy członkami ogromnej rodziny „Kipling Worldwide” i w związku z tym oczekuję od ciebie lojalności, jeśli nie poświęcenia.

- Doprawdy? - Dodge ściszył głos, a kiedy odezwał się znowu, z jego ust wyrwał się złowieszczy syk. - To fascynujące, że ktoś aż tak dotknięty brakiem , lojalności może jej oczekiwać od innych ludzi.

- O czym ty mówisz? - Jinx domagała się odpowiedzi.

- Nie uszło mojej uwagi, że nikt z twojej rodziny nie przyszedł na pogrzeb Kipa. Twoi rodzice byli tak samo konspiracyjnie nieobecni na przyjęciu urodzinowym

w Meksyku. Czyżby się ciebie wyrzekli? Jeśli mógłbym zacytować slogan, którego użyłaś przed chwilą, to sama zejdziesz z wojennej ścieżki.

- To są moje prywatne sprawy - odpowiedziała zdenerwowana, że miesza do tej rozmowy jej osobiste problemy.

- Może i tak, ale niewątpliwie wskazują one na dwie różnice istniejące między tobą i mną.

- To może raczysz mi je zdradzić? - zapytała Jinx, zgrzytając zębami.

- Klasa i honor.

- Dwie cechy, które ty posiadasz, a których ja jestem pozbawiona?

W odpowiedzi Dodge beczelnie się uśmiechnął. Z tonu jej głosu mógł wywnioskować, że uderzył w najczulszy punkt.

- Przyjrzyj się faktom - powiedział z nutką protekcjonalizmu. - Pozwoliłaś, żeby ktoś albo coś odizolowało cię od rodziny. Z kolei ja w wielu sprawach nie zgadzałem się z Kipem, jednak potrafiłem utrzymać z nim bliskie stosunki. Nigdy nie pozwoliłbym nikomu, nawet tobie, wdrzeć się pomiędzy nas dwóch. A wiesz dlaczego? Bo był mężem mojej siostry i gdybyś, moja droga, była dobrze wychowana, to wiedziałabyś, że rodzina jest zawsze rodziną, bez względu na to, co się stanie! Dodge odwrócił się na pięcie, jak bomba wypadł z sali i jakby dla zaakcentowania wagi

swojej przemowy objął ramionami Judith i Cynthię, pozostawiając Jinx oszołomioną i przygniecioną jego słowami. Chciałaby umieć lepiej się bronić. Trudno jej było pogodzić się z tym, że nie miała gotowej riposty na jego oskarżenia, że nie mogła wykazać swojej niewinności i udowodnić mu, że ma prawo czuć się obrażona. Jednak milczała jak grób. Dlaczego? Czyżby dlatego, że sala konferencyjna nie była najwłaściwszym miejscem do rozmowy o prywatnych sprawach? A może nie chciała zdradzać swoich osobistych sekretów? A może dlatego, że to Dodge miał rację i rzeczywiście popełniła fatalny błąd?

Jinx przynagliła konia i pognąła galopem, pozwalając, by wiatr rozwiewał jej włosy. Pędziła po wzgórzach nie opodal lasu. Poranny krajobraz był piękniejszy w naturze niż we wspomnieniach, cały w beżu i różu, muśnięty odbiciem turkusu i złotymi strumieniami słońca. Czowała, jak wracają jej siły witalne, tak jakby Dolina Słońca miała medyczną moc oczyszczania krwi z drażniącej żółci i wtlaczania do krwioobiegu uczucia spokoju.

Mknęła na wierzchowcu coraz szybciej, pragnąc poczuć wewnętrzne ciepło wywołane pędem i stawić czoło niebezpieczeństwu nie kontrolowanej jazdy. Co ważniejsze, odczuwała potrzebę odnalezienia się na nowo, zawarcia zgody z tą częścią siebie, którą zatraciła zrywając rodzinne więzy, z tą częścią swojej dumy, która żywo gnała na grzbiecie konia, samotna wśród pustyni.

Nagle pociągnęła za cugle. Bez chwili namysłu poszła dawnymi śladami, gdzie dziesięć lat wcześniej spotkała Harrisona P. Kiplinga. Kiedy rozejrzała się wokół, na jej twarzy pojawił się uśmiech. Z niewiarygodną ostrością przypominała sobie każde słowo ich pierwszej rozmowy, każdy szczegół, każde spojrzenie, każdy moment tamtego dnia. Przypomniła sobie, jaki wydał jej się wówczas

przystojny, światowy oraz z jaką wdzięcznością podziękował jej za pomoc. Przypomniła sobie także jego smutek, kiedy próbował odnaleźć się w domu, który zbudował dla swojej rodziny i do którego musiał wrócić samotny jak palec.

Dziwne, pomyślała Jinx. Teraz ona przyjechała samotnie do Casa w poszukiwaniu ukojenia. Kip wrócił do tego miejsca w nadziei, że odzyska spokój po utracie rodziny. Jinx pragnęła pojednać się z rodzicami i wróciła tutaj, żeby przygotować się na to spotkanie.

Przez kilka tygodni po rozmowie z Jeffreyem Dodge'em przeprowadzała rachunek sumienia. W rezultacie musiała przyznać, że Dodge nie we wszystkim się mylił. To przecież ona sama pozwoliła Benowi Rostowowi na wdarcie się klinem pomiędzy nią a jej rodzinę. To ona była inicjatorką tej schizmy i nikt inny tylko ona sztucznie podtrzymywała ten stan. Ile razy Kip błagał ją, żeby wybaczyła rodzicom? Więcej, niż mogła policzyć. Do znudzenia ją prosił, żeby uwolniła się od obsesji Bena Rostova i naprawiła stosunki z rodzicami.

- Czy jesteś księgową, która patrzy na życie jak na bilans rozchodów i przychodów? - pytał. - Jeśli nawet obciążasz Kate i Hankę za nadużycia, to przynajmniej bądź na tyle uczciwa i zapisz na ich konto te wszystkie szczęśliwe lata, które spędziłaś pod ich dachem, i miłość, którą cię obdarzali.

Chociaż nigdy świadomie tego nie roztrząsała, zawsze w głębi duszy liczyła na to, że jeśli zdecyduje się pogodzić z rodzicami, to przyjmą ją z otwartymi ramionami. Teraz, kiedy próbowała zebrać siły przed dzisiejszym spotkaniem, nie była tego już taka pewna.

Kiedyś wyszła i trzasnęła drzwiami. Teraz miała tylko nadzieję, że te drzwi nie zamknęły się za nią na zawsze.

Kiedy Hank otworzył drzwi i Jinx spojrzała mu w oczy, ogarnął ją przygniatający żal. Oboje walczyli ze sobą nie

wiedząc, czy pocałować się na przywitanie, czy tylko się uśmiechnąć. Zdała sobie sprawę, w jakiej okropnej sytuacji postawiła ojca. Był takim przyzwoitym człowiekiem. Zaadoptował ją, kochał i traktował jak własne dziecko. W zamian za to Jinx pozwoliła, żeby zawładnął nią egoizm. Odtrąciła Hanka z takim samym przekonaniem, że dobrze robi, z jakim Ben Ross nie chciał się do niej przyznać. Jaki ojciec, taka córka - pomyślała i poczuła wstręt do samej siebie.

Pochyliła się nad Hankiem i pocałowała go w policzek.

- Cześć, tato - powiedziała czując się jak mała dziewczynka i w pewnym sensie pragnąc, żeby tak było: żeby się nigdy nie dowiedziała o Benjaminie Rostovie. Żałowała, że nic nie będzie już nigdy takie proste.

- Witaj, Jinx. - Hank uśmiechnął się ciepło, ale zauważyła, że nie spieszył się, by wziąć ją w ramiona.

- Jest mama? - Poczowała się obco i ta obcość rozdzierała jej serce. Była w domu rodziców, w domu, w którym dorastała. Rozmawiała ze swoim ojcem i nie wiedziała, co powiedzieć.

Hank pokiwał głową i zaprowadził ją do salonu. Kate siedziała na krześle przy kominku. Widziała, jak Jinx wchodzi do pokoju, ale się nie podniosła. Jinx wykonała krok w jej stronę, jednak wyczuwając rezerwę matki, postanowiła zostać w miejscu.

- Witaj, mamó. - Uśmiechnęła się najładniej, jak tylko potrafiła, i czekała, aż któreś z nich poprosi, żeby usiadła. Nie doczekała się zachęty, więc zajęła miejsce na kanapie, naprzeciwko Kate. Hank stanął za plecami żony.

- Jinx. - Kate zareagowała na przybycie córki obojętnym skinieniem głowy. Na jej twarzy nie pojawił się cień uśmiechu ani żaden znak powitania.

- Dobrze wyglądacie - powiedziała Jinx, próbując czymś wypełnić niezręczną ciszę i analizując w myślach zmiany,

które rzuciły jej się w oczy. Hank prawie zupełnie posiwiął i pogłębiły mu się zakola. Jego knykcie zdradzały początki artretyzmu. Kate miała zmarszczki wokół oczu. Zwiotczała jej szyja, a ręce nie były już takie gładkie jak kiedyś. Niewielkie, ledwie zauważalne zmiany, ale na Jinx wywarły przygnębiające wrażenie. Jej rodzice się postarzel, a ona w okresie tych przemian nie była częścią ich życia.

- Dlaczego tutaj przyjechałaś? - zapytała otwarcie Kate, nie chcąc się wdawać w kurtuazyjną rozmowę.

- Chciałam przeprosić. - To było takie proste, łatwe, szczere. Dlaczego zwlekała z tym aż cztery lata?

- Dlaczego teraz? - Jinx usłyszała oschłość w głosie Kate, ale oprócz tego rozpoznała także odgłos matczynego cierpienia.

- Dlatego, że śmierć potrafi zmieniać ludzi - odpowiedziała Jinx.

- Było nam bardzo przykro z powodu śmierci Kipa. - Hank był na tyle uprzejmy, że nie zaakcentował faktu, iż przeczytali o tym w gazecie, zamiast dowiedzieć się od niej. - To taki porządny człowiek.

- Tak samo myślał o was - powiedziała Jinx, przetykając łyzy goryczy. - O was obojgu. - Czekala, aż Kate coś powie, ale matka nie odezwała się ani słowem. - Nigdy tego nie popierał.

- Czego? - Kate najwyraźniej nie miała zamiaru jej niczego ułatwiać.

- Tej rozłąki. Tego zaciętrzewienia. Nigdy mu się to nie podobało.

- Ale podobało się tobie.

Jinx nie wiedziała, czy jej matka za chwilę wybuchnie gniewem, czy płaczem. Miała zaciśnięte usta, a jej głos brzmiał tak, jakby coś stało jej w gardle.

- Wtedy... tak. Chyba tak. Byłam wściekła - powiedziała Jinx. - Czułam się zdradzona. Oszukana. Chciałam się zemścić.

- Za co? - zapytał Hank. Miał spokojny głos. Nagle przypomniał jej ojca z dziecięcych wspomnień. - Za to, że ukrywaliśmy przed tobą prawdę? Za to, że Ben nie potwierdził tej prawdy? A może za fakt, że Ben cię porzucił?

- Chyba za wszystko.

- Udało ci się ukarać Bena? - Jinx wydawało się, że usłyszała w głosie Hanka nutkę goryczy.

- Tak, na swój sposób. - Przez chwilę milczała, patrząc na nich, patrząc na siebie, próbując znaleźć klucz do drzwi, za którymi chowali swoją miłość. - Wiem, że nie wynagrodzę wam cierpienia, którego wam przysporzyłam, ale mnie też było ciężko. Straciłam rodziców. Nie udało mi się nawiązać kontaktu z ojcem. Moja córka straciła dziadków. I w końcu pogrzebałam męża, zupełnie sama; nie było przy mnie nikogo, kiedy go żegnałam.

- Pragnęliśmy być przy tobie - odparła Kate, próbując ukoić jej ból. - Wszystko, co musiałaś zrobić, to po prostu poprosić.

- Teraz cię proszę, mamó. Proszę cię, znajdź w swoim sercu jeszcze trochę miłosierdzia i wybac mi moje okrucieństwo i bezwzględność. Proszę, pozwól mi znów być częścią twojego życia; pokochaj moją córkę!

- Joy nawet nas nie zna - dodała Kate ze smutkiem.

- Dostawała prezenty, które wysyłaliście jej na urodziny i święta. Mówiłam jej, od kogo są te upominki.

- Czy nigdy nie zapytała, dlaczego nas nie zna?

- Nie - powiedziała Jinx zdziwiona, jakby dopiero w tej chwili zdała sobie z tego sprawę. - Chyba dzieci szybciej godzą się ze wszystkim i akceptują świat takim, jaki jest.

- Na to wygląda - powiedział Hank.

- Chciałabym, żeby wszystko było tak jak dawniej - odezwała się Jinx.

- To niemożliwe. Zbyt wiele się zdarzyło. Zbyt wiele zostało powiedziane i upłynęło tyle czasu...

Jinx z pewnością odpowiedziałaby agresją, gdyby nie usłyszała rezygnacji w głosie Kate.

- Może masz rację. Być może nie da się przywrócić dawnej niewinności - powiedziała Jinx wstając z kanapy. Podeszła do matki i wzięła ją za rękę. - Ale na pewno możemy decydować o naszej przyszłości. Możemy odnaleźć naszą miłość! Możemy odnaleźć sposób na to, żeby znowu być rodziną! Wiem, że potrafimy. Musimy tylko tego chcieć. Bardzo tego pragnę!

Kate zawahała się, ale tylko na moment. Jej oczy zasnuły się łzami, zadrżały jej wargi, ale kiedy się odezwała, jej głos był mocny i czysty.

- Ja też, córeczko - powiedziała, pozwalając, by Jinx ją objęła. - Ja też.

Cały Waszyngton był w glorii. Kwiaty wiśni zdobiły miasto delikatnym odcieniem wiosennego różu. Zima zsunęła swoją mroźną powłokę i każdy budynek i pomnik wydawał się jasny i błyszczący, tak jakby wczesny kwietniowy deszcz spadł na zlecenie firmy kosmetycznej świadczącej usługi oczyszczania cery. Chociaż powietrze było jeszcze zimne, słońce świeciło jasno na bezchmurnym niebie.

Cissie i Noah spacerowali po parku między budynkami Kapitolu i pomnikiem Waszyngtona. Noah szedł energicznie. Cissie starała się dotrzymać mu kroku. Szczelnie przyciskała poły płaszcza i uważała, żeby nie wejść w jakąś kałużę utworzoną przez poranną ulewę.

- Za kilka miesięcy, jak dobrze pójdzie, wybiorą mnie na członka Kongresu. - Noahowi iskrzyły się oczy. - Nie powiem, żeby mi na tym tak bardzo zależało. Izba Reprezentantów to przecież nie żadne kokosy, ale Jeremy mówi, że ta kampania jest dla mnie doskonałą wyrzutnią do senatu. Mają zamiar mnie przedstawić jako obrońcę spraw publicznych.

Cissie wzięła go pod ręką i pomyślała sobie, że mogłby mieć mniej entuzjastyczny stosunek do swojej kariery. Każdą minutę podczas wspólnych spacerów wykorzystywali na planowanie kampanii Noaha, ciągle jeździli do Nowego Jorku na spotkania z komitetem wyborczym i spędzali całe dni w Waszyngtonie z doradcami gotowymi poprzeć Noaha. Powinna się cieszyć, ale z jakiegoś powodu czuła się zupełnie pusta, wydrażona w środku i zaczynało ją to martwić. Zazwyczaj w chwilach napięcia potrafiła się szybko zmobilizować, odczuwając przyjemne podniecenie, jednak

teraz nie umiała się w to aż tak zaangażować, czuła się słaba i zmęczona.

- Potrzebuję teraz publicznego poklasku i czegoś, co zwróciłoby na mnie uwagę glosujących, co zachęciłoby ich do słuchania moich przemówień.

- Mówiłam ci już, co według mnie powinieneś zrobić - powiedziała zastanawiając się, który to już raz się powtarzało.

- Jesteś weteranem uznanym za bohatera. Możesz to wykorzystać. Ludzie są wrażliwi na chłodne przywitanie, z jakim spotkali się w kraju weterani z Wietnamu. Myślę, że powinieneś skrytykować to podejście. Musisz uświadomić wyborcom żołnierskie oczekiwania. Obudzić w nich świadomość poświęceń, jakie ci ludzie ponieśli dla kraju. Zorganizować jakieś spotkanie albo przemarsz. Amerykanie uwielbiają machać flagami. Obudź w nich patriotyzm! Wsadź im sztandary w ręce.

Noah zwolnił kroku. Jego twarz zasepiła się.

- Mówiłem ci setki razy, żebyś dała sobie z tym spokój! To nie jest ani odpowiednia pora, ani odpowiedni temat, ani ja nie jestem odpowiednim człowiekiem do przeprowadzenia tego rodzaju akcji.

Cissie chwyciła go za rękę i zmusiła, żeby spojrzał jej w oczy.

- Nie masz racji! Teraz jest najlepszy okres i nie znam nikogo, kto miałby w tym względzie lepsze kwalifikacje od ciebie.

- Wszyscy mają to w nosie - odparł Noah. - A ja najbardziej.

- Nieprawda! Zależy ci na tym. Wiesz, ile się nacierpiełeś. Ile czasu żyłeś z koszmarami. Wiesz, jak trudno było ci się pozbyć tragicznych wspomnień i doskonale zdajesz sobie sprawę, przez co przeszli żołnierze, którzy tam byli.

- Właśnie dlatego nie chcę tego robić. Oni wszyscy chcą zapomnieć o tej śmierzącej wojnie. Tak samo jak całe amerykańskie społeczeństwo i tak samo jak ja! Dlaczego nie możesz raz na zawsze wybić sobie tego z głowy?

Noah wyrwał się z uchwytu jej ramienia i odszedł parę kroków, zostawiając ją za sobą. Kiedy próbowała go dogonić, doskonale wiedziała, że nie da sobie tego wybić z głowy. To było ważne dla tego kraju i dla jej męża. W szczególności dla niego.

Ostatnio znowu zaczęła nakłaniać Noaha, żeby rozpoczął wizyty u lekarza, by stawił czoło bolesnym wspomnieniom, które głęboko pogrzebał w swoim wnętrzu. Przez całe lata przynajmniej raz w tygodniu nękały go nocne tortury. Mówił przez sen, rzucał się na łóżku, krzyczał i budził się złany potem. Bez względu na to, jak gorąco go prosiła, niemalże błagała, uparcie sprzeciwiał się jej opinii, że jedyną metodą wyleczenia ran jest pogodzenie się z przeszłością.

Wraz z upływem czasu koszmary pojawiały się coraz rzadziej i zatraciły pierwotną intensywność, jednak Cissie nie wierzyła, żeby zupełnie się ich pozbył. Przez ponad dziesięć lat ich małżeństwa Noah nigdy naprawdę nie stawił czoła swojej przeszłości. Na początku uparcie protestował, kiedy Cissie przypominała mu o jego zasługach, jednak ostatnio zauważyła, że obnosi się cały czas ze swoimi niewidzialnymi medalami, mówiąc o swoich dokonaniach na froncie, żeby odseparować się od innych i nawet wynieść się ponad tych, którzy nie byli na tej wojnie. Wyglądało to tak, jak gdyby czuł, że wszystko, co tam zrobił, uprawniało go do zbierania nagród w kraju. Służył swojej ojczyźnie i ojczyzna miała w stosunku do niego dług. Było w tym coś brzydkiego i nieuczciwego i z tym samym oślim uporem, z którym Noah przeciwstawiał się spojrzeniu w twarz przeszłości, Cissie nie chciała dostrzec ciemnych zakamarków osobowości męża.

Mogła go wprawdzie dalej naciskać, ale bała się to robić. Ostatnio czuła, że napięcie między nimi narasta. Na początku zrzucała to na karb kampanii i woli wygrania, jednak nawet kiedy byli w domu, nie obciążeni stresem, zrelaksowani, wyczuwała między nimi dystans. Noah był oschły w stosunku do dzieci i bywał dla niej nieprzyjemny. Odtrącał jej sugestie tak samo, jak gorące uczucia. Jedyne ludźmi, na których zwracał uwagę, był jej brat Andrew i reszta personelu, w szczególności płci pięknej.

Już od dawna Cissie przymykała oczy na jego okresowe skoki w bok. Starła się przekonać samą siebie, że zdarzały się tylko wtedy, kiedy czuł się zagrożony i musiał w jakiś sposób neutralizować zewnętrzne naciski. Wmawiała sobie, że nie zdarzało się to nagminnie i nie miało wpływu ani na ich małżeństwo, ani na wzajemną miłość. Jednak za każdym razem, kiedy odkrywała następny flirt, ogarniała ją fala wątpliwości i bólu, atakując jej miłość i oddanie.

Zazwyczaj szybko rozpoznawała symptomy kolejnego romansu - wybuchy gniewu, nieuzasadniony krytycyzm, niezapowiedziane nieobecności w domu. W ciągu ostatnich miesięcy zdarzały się one coraz częściej. Była prawie pewna, że jeżeli w chwili obecnej nie miał nikogo na boku, to jej nacisk na kwestię Wietnamu, połączony ze stresem kampanii wyborczej, na pewno wkrótce zaprowadzi go do łóżka następnej kobiety. Tylko z tego powodu zdecydowała się poddać.

- Przepraszam - powiedziała w końcu dorównując mu kroku. - Znasz się na reakcjach wyborców o wiele lepiej ode mnie. Wymyślmy coś innego.

- Andrew i Jeremy właśnie nad tym pracują - powiedział odbierając jej inicjatywę. - W zasadzie mam cały sztab wysoko wykwalifikowanych doradców, którzy planują moje kolejne posunięcia. Dlaczego nie wsiądziesz w najbliższy

samolot i nie polecisz do Nowego Jorku? Jestem pewien, że nie mogą się tam bez ciebie obejść.

Wypowiadając zdawkowe „do widzenia” poszedł w kierunku Kapitolu. Cissie stanęła jak wmurowana. Czuła się tak, jakby dostała pięścią w brzuch. Zawsze stała u jego boku, amortyzując jego stresy i niepokoje. Latami odkładała na dalszy plan swoje aspiracje, całkowicie poświęcając się Noahowi i jego ambicjom. Zmieniła pracę, kiedy ją o to poprosił. Podczas ostatnich wyborów do senatu na jego prośbę zupełnie przestała pracować. Wszystko tylko dlatego, że czuła, jak bardzo jej potrzebował. A teraz po prostu ją zwalniał jak szeregowego ochotnika.

- Noahu Goldzie, jeśli się nie opamiętasz - syknęła za jego plecami, ciągle jeszcze starając się usprawiedliwić jego zachowanie i próbując zapanować nad swoim gniewem - to pewnego dnia mogę zapomnieć, jak bardzo cię kocham.

- Nie chcę dorosnąć. Nie chcę nosić krawata i używać mądrych słów w środku lipca.

Cissie usiadła w pierwszym rzędzie szkolnego audytorium i przyglądała się, jak jej córka Alexis gra Piotrusia Pana. Po jednej stronie siedziała Tessa, która razem z wnuczką recytowała pod nosem tekst bajki, po drugiej Bert, który bezgłośnie poruszał ustami w stronę wnuczki, deklamując słowa piosenki, zupełnie tak, jakby to on był odpowiedzialny za powodzenie spektaklu. Upłynął już tydzień od czasu odejścia Noaha i jak dotąd jeszcze nie pojawił się w domu. Ostatniego wieczoru znowu do niego dzwoniła, przypominając mu o szkolnym przedstawieniu, w którym występowała Alexis. Wiedział, że jego obecność na widowni była dla niej bardzo ważna. Noah wylewnie ją przeproszał, ale mimo nalegań Cissie został w Waszyngtonie.

- Dlatego, że dorastanie jest najokropniejszą ze wszystkich okropnych rzeczy. Nigdy nie urosnę, nigdy, nigdy, nie ja!

Kiedy opadła kurtyna i rozległy się brawa, Cissie cała promieniała. Alexis była rewelacyjna i duma rozsadzała policzki Cissie w szerokim uśmiechu.

- Co o tym myślicie? - zapytała rodziców.

- Głupie pytanie - odparła Tessa. - Jest tak przepyszna, jak jej mały zielony kostiumik. Zjadłabym ją na miejscu.

- To dziecko jest po prostu fantastyczne! - Bert nie posiadał się z entuzjazmu. - Muszę z miejsca zadzwonić do Davida Merricka. Myślę, że od raz zatrudnię ją na Broadwayu!

- Tak mi przykro, że ospa przykuła Nicky do łóżka. Tygodniami pomagała Alexis w próbach i kiedy wychodziłyśmy z domu, Alexis była zupełnie załamana.

- Jestem pewien, że Alexis zrozumie nieobecność Nicky i potrafi wybaczyć ojcu. - Bert rzadko pozwalał sobie na krytykę, ale jeśli coś dotyczyło jego wnucząt, nic nie mogło go powstrzymać, nawet zięć.

- Jest w samym środku kampanii - Cissie automatycznie usprawiedliwiła męża.

- Jak zwykle. - Sarkazm w głosie Berta spowodował, że obrona Noaha zabrzmiała pusto i bezsensownie.

Tessa trąciła go łokciem i poklepała Cissie po dłoni.

- Jestem pewna, że ma poważne powody - powiedziała ze współczuciem. Cissie roześmiała się, i to nie dlatego, że ubawiła ją uwaga matki, ale po to, by ulżyć samej sobie. Też miała do niego straszną pretensję.

- Noah zawsze ma poważne powody ku temu, żeby robić, co chce, a nie to, co powinien. Nie zapominajcie, że jest politykiem. - Stwierdził Bert i uważnie przyjrzał się córce.

Tessa rzuciła mu wymowne spojrzenie, które miało oznaczać: „nie wsadzaj nosa w cudze sprawy”, lecz Bert całkiem to zignorował.

- Okay - powiedział. - Musielibyśmy chyba być głuchoniemi i ślepi, żeby nie zauważyć, że ostatnio coś się między wami popsuło.

- Przygotowuje się do następnych wyborów i mnóstwo czasu spędza w Waszyngtonie. - Cissie przesłała ojcu swój najlepszy uśmiech żony kandydata, całkowicie świadoma, że nie odpowiedziała na jego pytanie, i że ojca nie tak łatwo zbyć.

- To nie ma nic wspólnego ani z regularnymi wyjazdami, ani ze strategią wyborczą - ciągnął Bert, przypominając sobie, że nie może być stronnicy, chociaż Cissie jest jego córką. - To dotyczy wyłącznie dwojga ludzi, którzy zaczęli się od siebie oddalać. Wygląda, jakbyś ostatnio miewała same czarne dni. Chciałbym naprawdę wiedzieć, co się za tym kryje. Może wtedy mógłbym w czymś pomóc?

Cissie zastanawiała się nad odpowiedzią. Czy zrzeknie się lojalności wobec męża? Czy nie zabrzmiałoby to jak płacz dziecka w ramionach rodziców, wywołany tym, że ktoś zranił jej dumę? A może zrobić normalną rzecz, którą zwykle robią skrzywdzeni ludzie, nie wiedząc, jak dalej postępować? Wyciągnąć rękę do ludzi, na których miłość i wsparcie zawsze mogła liczyć.

- Mój wisielczy humor jest tylko i wyłącznie moją winą - powiedziała zbyt bez troski, winiąc samą siebie za pogrążenie się w czarnym nastroju. - Chyba za bardzo rozczulam się nad swoją stłamszoną duszą.

- Dlaczego twoja dusza jest „stłamszona”? - dopytywał się Bert i na widok rumieńca na twarzy Cissie zrobiło mu się nieswojo.

- Przechodzę trudny okres, przeżykając gorycz tego, że już nie jestem nikomu potrzebna.

- Nie rozumiem, kochanie. - Tessa nie mogła się pogodzić ze słowami córki.

- Pamiętasz, parę miesięcy temu Paul otworzył swój butik na Madison Avenue? Poprosił mnie wtedy, żebym nadal go reprezentowała, tak jak dotychczas, po czym w zeszłym miesiącu powiedział, że wynajął agencję reklamową w Nowym Jorku. Twierdził, że teraz, kiedy zaczął wkraczać na amerykański rynek, jedna osoba miałaby z tym zbyt dużo pracy. Był słodki i wdzięczny za moją pomoc, ale jednoznacznie dał mi do zrozumienia, że już nie jestem mu potrzebna. Zastąpił mnie grupą ekspertów. Pomyśl tylko! Eksperci wuja Bena przy takiej pracy! - Cissie j zagryzła wargi i przez chwilę w milczeniu porządkowała myśli. - Potem, w zeszłym tygodniu, mój kochany mąż poinformował mnie, że też nie potrzebuje mojej pomocy. Również zostałam zastąpiona grupą ekspertów od polityki i jego kampania świetnie się obywa beze mnie.

Tessa klepała Cissie po dłoni, podczas gdy Bert patrzył na wszystko sfrustrowany.

- A na domiar złego moja kochana córka Alexis nie pozwoliła mi uszyć sobie kostiumu na przedstawienie. Uszyła go nowa gospodyni. I niech nikt mi nie mówi, że jestem jeszcze komuś potrzebna. - Cissie całą siłą powstrzymywała łzy cisnące się jej do oczu. Ostatnia rzecz, jaką chciała zrobić, to zawstydzić Alexis, robiąc scenę na oczach całej szkoły.

- Wygląda na to, moja mała dziewczynko, że masz za dużo czasu - odpowiedział Bert. - Nie wiem, jak tam inni, ale „La Tessa” nadal cię potrzebuje. Od twojej rezygnacji nie mieliśmy w Nowym Jorku tak dobrego menedżera i jestem pewien, że wiesz od Jinx, iż bez ciebie butiki „Kipling - La Tessa” nie są już tym samym. Może wróciłabyś do pracy?

- Noahowi by się to nie spodobało.

Znowu dwuznaczna odpowiedź.

- Jak się zdążyłem zorientować - powiedział Bert - Noah prawdopodobnie nawet by tego nie zauważył.

Na twarzy Tessy pojawił się grymas. Wiedziała, że atakowanie Noaha nie przyniesie ulgi Cissie.

- Wiesz - odezwała się do córki - rozmawialiśmy o potrzebach Paula, Noaha, a nawet naszych. Ale główny problem tkwi w tym, że nikt, a już najmniej ty sama, nie rozpatruje twoich potrzeb. - Na chwilę przerwała, czekając, aż jej słowa dotrą do Cissie. - Twój ojciec ma rację. Mogłabyś do nas wrócić. Masz talent i zawsze będzie na niego ogromne zapotrzebowanie; ale nie chcę, żebyś traktowała pracę jako ucieczkę od twoich prawdziwych problemów, bez względu na to, z czym się teraz borykasz. Musisz sama siebie zrozumieć. Odpowiedzieć sobie na pytanie, czego naprawdę chcesz. Co cię uszczęśliwi i co ci zapewni spokój.

Przygasły światła, sygnalizując rozpoczęcie drugiego aktu. Cissie uśmiechnęła się do rodziców i wzięła ich za ręce.

- Nie wiem, czy jestem gotowa na to, żeby zadać sobie te pytania w tym momencie - wyszeptała. - Wiem tylko, że muszę się czuć użyteczna i bez względu na to, co powie Noah, jeśli chcecie, mogę wrócić do pracy u was od następnego poniedziałku.

- Zgoda! - ucieszył się Bert i odwrócił głowę w stronę sceny, gdzie pojawił się siedmioletni krasnal z jasnymi, rudawymi włosami i jasnozielonymi oczyma.

Cissie patrzyła, jak Alexis odgrywa swoją rolę w bajce o Piotrusiu Panu i jego mitycznym domu w Nigdylandii, śpiewając i tańcząc z niewinnością, której wymagała przedstawiona postać. Cissie nawet w połowie nie była tak niewinna jak jej córeczka, jednak siedząc na widowni zaczęła się zastanawiać, czy ona przypadkiem też nie odgrywa roli,

żyjąc w świecie wyobraźni, w którym ludzie nie chcą dorastać.

Nie miała wątpliwości, że Noahem bardziej kierowały chłopięce marzenia niż codzienna rzeczywistość dorosłego życia. Wszystko, co robił i mówił, było preludium do jego wyścigu o miejsce w Kongresie. Często Cissie zastanawiała się, co będzie, kiedy skończy się ten wyścig.

Jeśliby przegrał, byłby załamany. Jeśliby wygrał, nie miałyby nad nim żadnej kontroli. Tak czy inaczej, pomyślała Cissie, gdzie będzie wówczas jej miejsce? Być może rodzice mieli rację. Być może nadeszła pora, żeby zacząć realizować swoje własne potrzeby.

Kiedy patrzyła, jak Wendy, Michael, John i Nana próbują zwabić Piotrusia Pana do prawdziwego świata, zdała sobie sprawę, że pewnego dnia ona także będzie musiała dorosnąć i odkryć parę prawd, których poznania dotąd unikała. Prawd o sobie. I prawd o Noahu.

W ogromnej sali balowej w hotelu „Beverly Plaza” w Los Angeles panował półmrok. Pięćdziesiąt parę zebranych tu osób czekało w napięciu. Nagle rozległa się muzyka. Olbrzymi ekran rozbłysł przed nimi i z czterech ogromnych głośników rozległ się głos Johna Forsythe'a.

- Pierwsze manekiny robiono z wosku. Klik. Manekin z przełomu wieków w ogromnym kapeluszu z piór i z parasolem.

- Niestety, wosk jest bardzo wrażliwy na zmiany pogody. Zdarzało się, w początkach dziewiętnastego wieku, że przechodząc obok wystaw sklepowych w letni upalny dzień, można było zauważyć głowę manekina spadającą z szyi i topiącą się od gorąca. W roku 1925 Irving Eldridge odwiedził wystawę Sztuki Współczesnej w Paryżu, gdzie rzucił mu się w oczy manekin zrobiony z nowej substancji - masy papierowej znanej pod nazwą papier - mache. Papier - mache nie topiła się, lecz również nie trzymała kształtu. Podczas suszenia masa kurczyła się deformując proporcje figur.

Becca stała przy drzwiach, słuchając wykładu i patrząc, jak slajd przedstawiający Irvinga Eldridge'a pojawił się po jednej stronie ekranu, podczas gdy drugą wypełniło zdjęcie papierowego manekina. Nie słuchała słów spikera. Interesowało ją tylko to, jak odbierano jej pokaz. Ostatnimi czasy Becca zaangażowała się w działalność jeszcze jednego dobroczyнного stowarzyszenia - Zrzeszenie Kobiet przy Centrum Medycznym „Memoriał Zachodu Słońca”. Odpowiadała za przebieg corocznego bankietu i miała zamiar odnieść jeszcze jeden sukces. Bazując na popularności pokazu Paula Rochelle'a, postanowiła zorganizować wystawę

awangardowej mody męskiej i damskiej, zapraszając do udziału osobistości ze świata biznesu, projektantów, znanych modeli i modelki.

- Po wojnie technologia tworzyw sztucznych całą parą wkroczyła do przemysłu. W końcu manekiny zyskały stabilność wymiarową. Pojawił się wszakże nowy problem. Nowe tworzywa zmieniały kolor na zielony.

Klik. Klik. Klik.

W tempie dostosowanym do objaśnień Forsythe'a pojawiły się na ekranie trzy następne slajdy.

- Dopiero od czasu pojawienia się poliestrów lateksu i włókna szklanego, po raz pierwszy w historii problem produkcji manekinów przestał istnieć.

Klik. Klik.

Widownia przenosiła wzrok z jednego slajdu na drugi, pokazując palcami i mamrocząc sobie do uszu z zadowoleniem. Bez wątpienia pokaz bardzo się podobał i Becca była cała w skowronkach. Czuwała nad każdym szczegółem dzisiejszego wieczoru, począwszy od doboru miejsca imprezy. Chociaż Edna Grayson, jej koleżanka z Amerykańskiego Towarzystwa do Walki z Rakim, sugerowała hotel „Kipling”, Becca zdołała ją przekonać, że „Beverly Plaza” będzie bardziej odpowiednim miejscem. Ostatnią rzeczą, której pragnęła, było dodanie okrągłej sumki do konta Jinx Kipling.

Zgodnie z informacjami podawanymi w gazetach, Jinx przypadło w spadku przedsiębiorstwo o wartości ponad siedmiuset milionów dolarów, a co najmniej połowa koncernu zapisana była wyłącznie na jej nazwisko. Poza tym została wyniesiona do funkcji dyrektora generalnego w „Kipling Worldwide” i według wewnętrznych raportów finansowych firmy doskonale dawała sobie radę w zarządzaniu przedsiębiorstwem.

Becca śledziła historię profesjonalnych sukcesów Jinx z ogromnym zainteresowaniem. Właściwie trudno byłoby się o to nie otrzeć. Jinx była oczkiem w głowie całej prasy i na samą myśl o jej popularności wszystko podchodziło Becce do gardła. Gdziekolwiek spojrzała, wszędzie widziała zdjęcia pięknej i błyskotliwej wdowy lub rzucał jej się w oczy artykuł opisujący, jak mimo śmierci ukochanego męża niezłomna pani Kipling doskonale prowadziła interesy i wzorowo wychowywała dziecko. Uwaga, jaką poświęcano Jinx, doprowadzała Beccę do szału, toteż czerpała perwersyjną przyjemność z oglądania żałobnych zdjęć przyrodniej siostry, na których Jinx wyglądała na zdruzgotaną i nieszczęśliwą.

- Dzisiejsze manekiny, podobnie jak ich przodkowie, biorą swoją formę z rzeźby. Klik. Jonathan przy pracy w swoim studio w „Acropolis”.

- Oto człowiek z wyobraźnią; człowiek, który tworzy nie tylko twarz i formę, ale także styl i osobowość manekina.

Klik. Szkielet manekina.

- Wszystkie manekiny wykonywane są z włókna szklanego, po czym podlegają dalszej obróbce, która zapewnia im gładkość i pozbawia wypukłości spowodowanych dostaniem się do środka bąbelków powietrza. Następnie manekiny pokrywane są warstwą lakieru, poddane ponownej obróbce, aż w końcu zostają pomalowane. W ostatnim etapie robi się makijaż i przykleja włosy.

Klik. Duże bryły masy i ogromne piece.

Klik. Nierówności ścierane przez dziwnie ubranych ludzi w maskach ochronnych.

Klik. Ręce, nogi, tułowia zwisające z haków w suszarni.

Klik. Nagie głowy stojące na długich półkach, patrzące na widownię szklanymi oczami.

Muzyka zaczęła głośniejsz grać. Kręgi światła rozblęły wokół trzydziestu manekinów ubranych w zapierające dech w

piersiach przepiękne kostiumy i ustawionych na podestach wzdłuż ścian sali. Światła skupiły się najpierw na jednym manekinie, potem przesunęły się na następny i sunęły wokół sali. Jednocześnie na sześciu ekranach zaczęły jeszcze raz migotać slajdy. Obrotowe podstawy, na których stały plastikowe figury, zaczęły się powoli kręcić, ukazując z wszystkich stron elegancko ubrane lalki ludzkich rozmiarów. Widownia w pierwszej chwili nie mogła otrząsnąć się z podziwu. Za moment muzykę zagłuszyła wrzawa oklasków.

Światła przeniosły się z manekinów na scenę, spowijając blaskiem kobietę, która miała komentować przebieg pokazu. Zagrała głośniejsza i szybsza muzyka. Uchyliły się poły wielkich zasłon i na podest wyszła pierwsza para, z uśmiechem prezentująca wzorcowe modele projektantów.

- ... Wibrujące barwy splotów Missoniego stają się jeszcze bardziej żywe i zaczynają pulsować własnym życiem, kiedy założą je na siebie, jak zawsze fantastyczni i wierni sobie, Rosemary i Bob Stack!

Becce z podniecenia spociły się ręce. Jedna po drugiej, pary przechadzały się wzdłuż podestu, a każda z nich powodowała zrozumiałe poruszenie na widowni. Instynktownie spojrzała na swoją sukienkę. Była to szyfonowa kreacja od de la Renty, w kolorze palonego karmelu, suto zdobiona małymi koralikami. Długa i powłóczysta, znakomicie kontrastowała z jasną cerą Becki i jasnymi jedwabistymi włosami, nadając całej postaci subtelny urok kobiecości. Suknia mieniła się i Becca nie musiała zakładać biżuterii (był to jeden z głównych powodów, dla których ją kupiła). Miała na sobie tylko małe diamentowe kolczyki i złotą bransoletę z diamentami, którą wyciągnęła od Sylvii podczas ostatnich odwiedzin w Nowym Jorku.

Kiedy upewniła się już, że doskonale wygląda, spojrzała na frontowy stolik, przy którym siedział Jonathan. Z

pewnością jej mąż nie był najłatwiejszym partnerem życiowym, ale nie mogła zaprzeczyć, że był nieprzyzwoicie przystojny. Kiedy wszedł do sali, nie było kobiety, która nie spojrzałaby na niego z zainteresowaniem. Jego kruczoczarne włosy i stalowoszare oczy nabierały jeszcze większej wyrazistości w czarnym fraku i Becca kilkakrotnie tłumaczyła się przed koleżankami, dlaczego nie pozwoliła mu wziąć udziału w pokazie mody. Kiedy studiowała jego profil, przypominały jej się zazdrosne spojrzenia koleżanek i głęboko w środku poczuła przyjemne uczucie zadowolenia.

Może dzisiaj, pomyślała, może dzisiaj nie powiem „nie”.

Właśnie rozpoczął się ostatni punkt pokazu - przegląd strojów wieczorowych. Becca odwróciła wzrok od modeli i coś przykuło jej wzrok. Edna Grayson prowadziła dwoje ludzi do pustych miejsc przy stoliku Jonathana. Przyjrzała się tej parze tylko po to, żeby potwierdzić swoje obawy. Była to Jinx i ten lekarz, Matthew Grant, ten sam, który był przy jej mężu w Meksyku.

Co ona tutaj robi? Becca chciała zawołać Ednę i dowiedzieć się, dlaczego Jinx pojawiła się na tej imprezie, kto ją zaprosił i dlaczego ona nic o tym nie wiedziała, ale właśnie zauważyła, że na podium wchodzi Brigitte i Sly Stalone. Pokaz dobiegał końca i musiała wracać na swoje miejsce.

Nie pozwolę, żeby wszystko zniweczyła, wymamrotała pod nosem, kiedy przeciskała się między stolikami, by zająć miejsce przy Jonathanie. Tym razem to mój wieczór, a nie jej.

Miała tak skołatane nerwy, że dopiero teraz przypomniła sobie, iż powinna była wcześniej zainteresować się Jonathanem. Obiecał, że nie będzie pił, ale strasznie długo przebywała daleko od stolika, a znała zbyt dobrze swojego męża, żeby bezkrytycznie przyjmować jego słowa. Szybko zmierzyła go wzrokiem - siedział wyprostowany jak struna, ze wzrokiem skupionym na konferansjerze, jego ręce spoczywały

na płóciennej serwetce, a kieliszek był zupełnie pusty. Becca zmrużyła oczy, starając się dostrzec w nim pozostałości po wypitym alkoholu. Zauważyła jednak tylko szklanę wody stojącą przy jego drugiej ręce. Mogła się odprężyć i spokojnie obejrzeć dalszy ciąg imprezy.

Kiedy ucichły oklaski i Edna Grayson podziękowała wszystkim sponsorom, zwróciła się w stronę Becki.

- ...która czuwała nad całością tego wspaniałego wieczoru. Jej zasługi dla Centrum Medycznego „Memoriał Zachodu Słońca” są wręcz nieocenione. Bez niej nigdy nie osiągnęłybyśmy takiego powodzenia.

Orkiestra wręczyła Ednie pałeczki do perkusji i Becca musiała wessać policzki, żeby nie uśmiechnąć się na ten widok.

- Dzięki Becce Hillman - dalej mówiła Edna - a także innym działaczkom komitetu i oczywiście wam wszystkim, Centrum Medyczne „Memoriał Zachodu Słońca” pragnie ogłosić, że zdołało zebrać na swój szczytny cel trzysta pięćdziesiąt tysięcy dolarów.

Poczekala, aż burzliwy aplauz trochę przycichnie.

- A teraz wyrażmy wdzięczność naszej uroczej gospodyni i jej równie uroczemu mężowi, panu Jonathanowi Hillmanowi!

Jonathan pomógł Becce wstać z krzesła i zaprowadził ją na scenę. Starła się, by ta chwila trwała jak najdłużej. Kiedy stanęli w świetle reflektorów, pozwoliła Ednie pocałować się w policzek i nagrodziła widownię krótkim, skromnym uśmiechem. Spuściła nieśmiało wzrok, kiedy Edna wyliczała jej zasługi i chwaliła jej bezinteresowną chęć niesienia pomocy ludziom, których skrzywdził los.

Becca od czasu do czasu zalewała się rumieńcem. Nie słuchała tego, co mówi Edna. Jeszcze raz powtarzała sobie w

myślach, co powie, kiedy sama zostanie na scenie. Nagle Edna odwróciła się do niej plecami.

- W naszym gronie mamy zaszczyt dzisiaj gościć jeszcze jedną młodą kobietę, której bardzo leży na sercu los chorych ludzi. Niestety, życie ciężko ją doświadczyło i sama odczuła tragiczne skutki złego wyposażenia szpitala i braku odpowiedniej opieki lekarskiej, toteż postanowiła, nie szczędząc sił i środków, walczyć z takim stanem rzeczy i hojnie wspomóc naszą działalność. Pozwolą państwo, że przedstawię panią Jinx Kipling i naszego ukochanego doktora Matthew Granta.

Matthew i Jinx wchodzili na scenę witani entuzjastycznymi oklaskami. Dla przygodnego obserwatora stanowili przystojną parę; wysocy, ładni i kulturalni. Nikt nie zwrócił uwagi, jak Jinx trzęsły się nogi, kiedy szła w kierunku podestu, ani jak drżały jej ręce na samą myśl o spojrzeniu w oczy drugiej córce Bena. Jinx nie wiedziała, że Becca będzie obecna na tej imprezie. I do tego momentu nie miała pojęcia, jak wygląda jej przyrodnia siostra.

- Nie potrafię wyrazić, jak jestem podekscytowana! - powiedziała Edna Grayson, kiedy Jinx i Matthew stanęli po jej lewej stronie. Rzuciła spojrzenie Becce i Jonathanowi, po czym znów zwróciła się do zebranych. - Dzisiejszego wieczoru mam przyjemność powiadomić państwa o największej dotacji w historii naszej działalności. Pani Kipling wystawiła dla naszej organizacji czek na oszałamiającą sumę trzech milionów dolarów.

Zewsząd dobiegał szmer pełen niedowierzania. Becca miała ochotę wyć.

- Żeby na zawsze zachować imię swojego męża w naszej pamięci i ocalić innych od niepotrzebnej śmierci, pani Kipling zobowiązała się do pokrycia kosztów budowy oddziału neurologicznego, który będzie nosił nazwisko jej męża.

Obiecała także wyposażyć oddział w personel i najlepszą aparaturę medyczną. O przyjęcie funkcji ordynatora oddziału imienia Harrisona Kiplinga poprosiła doktora Matthew Granta.

Kiedy widownia zdołała już przetrwać najświeższe wiadomości i była w stanie skupić się na dalszej przemowie Edny, pani Grayson zwróciła się do Becki z szerokim uśmiechem na ustach.

- Przez wzgląd na pani poświęcenie i nieustanne starania o poprawienie naszej finansowej kondycji, członkowie naszej organizacji postanowili, że to pani powinna dostąpić zaszczytu przyjęcia tego szczególnego daru.

Jinx przeszła obok Edny Grayson i wręczyła Becce białą kopertę.

Jakie to dziwne, pomyślała Becca. Obie na tej samej scenie. Może to jakiś znak?

Jinx przez moment zastanawiała się, czy Becca wie o jej istnieniu; czy Ben jej o niej powiedział? A może Becca też znalazła kiedyś jakieś ukryte papiery? Po chwili spojrzała jej w oczy. Nienawiść pulsująca w jej wzroku była tak wyrazista, że poraziła Jinx jak uderzenie pioruna.

Becca stała nieruchomo jak przykuta do podłogi. Zignorowała lekkie trącenie Jonathana. Nie zwróciła uwagi na Ednę, która przez zaciśnięte zęby starała się ją nakłonić do wygłoszenia mowy dziękczynnej. Zignorowała niecierpliwie szmery na widowni. Nie mogła się ruszyć. Nie mogła pogodzić się z myślą, że Jinx jeszcze raz pokrzyżowała jej plany, że jeszcze raz spowodowała, iż poczuła się mała i nieważna. Chciała zniszczyć czek od Jinx, ale jeszcze bardziej pragnęła zniszczyć ją samą.

W jakiś sposób, któregoś dnia, pomyślała, zrobię to. Zniszczę cię tak metodycznie i bezwzględnie jak ty starałaś się zniszczyć mnie.

Jinx zadrżała, kiedy Becca wyrwała czek z jej dłoni. Czasami, jeszcze jako dziecko, miewała koszmary o groteskowych postaciach, które podkradały się do niej, kiedy spała. Cała trzęsła się ze strachu i często budziła się zlane zimnym potem. Nigdy nie pamiętała twarzy swoich śmiertelnych prześladowców, ale żadna z nich nie mogła być aż tak przerażająca jak twarz, którą widziała w tym momencie - twarz jej przyrodniej siostry, Frances Rebecki Hillman.

- Nigdy nie czułam na sobie takiej nienawiści! Opowiedzenie Matthew o sobie, Benie i Becce zabrało Jinx ponad godzinę.

Mogła nic mu nie mówić, ale po prezentacji była tak roztrzęsiona, że domagał się wyjaśnień. Jinx zdecydowała, że może mu zaufać i odkryła przed nim całą prawdę.

- Ponieważ mój kochający ojciec tak uparcie zaprzecza mojemu istnieniu, zawsze myślałam, że jego żona i córka żyją w błogiej nieświadomości. Sądząc z reakcji Becki, najwyraźniej się myliłam.

Wrócili do apartamentu Jinx w „Los Angeles Kipling”, gdzie odpoczywali przy kieliszku brandy. Jinx zdjęła sukienkę i przebrała się w spodnie od dresu i bawełnianą koszulkę. Nalegała, żeby Matthew też poczuł się swobodnie, wobec tego zdjął marynarkę, rozluźnił krawat, odpiął guzik przy kołnierzyku koszuli, usiadł naprzeciwko Jinx i wygodnie oparł stopy o puf.

- Chyba za dużo się doszukujesz w jej reakcji - powiedział. - Po prostu mogła być niezadowolona, że musi dzielić z tobą tryumf. Poza tym w tym kaszmirowym szafirze i z czekiem na trzy miliony dolarów spadłaś na nią jak grom z jasnego nieba.

Jinx roześmiała się.

- Nie twierdzę że nie - powiedziała, nie chcąc rozmawiać na temat swojego wyglądu, lecz nie zamierzając zupełnie

schodzić z tematu. - Ale sam ją widziałeś. I powiedz szczerze, czy jej spojrzenie nie mówiło samo za siebie?

Matthew nieśmiało się uśmiechnął.

- W porządku - powiedział, podnosząc obie ręce w geście poddania. - Więc było to spojrzenie Lukrecji Borgii, a nie Debbie Reynolds. Załóżmy, że wie, kim jesteś. Może dowiedziała się o tym w taki sposób jak ty - powiedział, zauważając, jak ostry zapach brandy kłóci się z kobiecą słodyczą perfum Jinx. - Może Ben też miał fotografie i listy wetknięte gdzieś na strychu.

- Mimo że tylko raz w życiu spotkałam swojego ojca, mam podstawy sądzić, że nie jest typem romantyka. Przypuszczam, że natychmiast pozbył się wszystkiego, co miało związek ze mną albo z moją matką.

- Mówiłaś, że był bardzo zdenerwowany w wieczór waszego spotkania. Może Becca podsłuchiwała, jak dzielił się wrażeniami ze swoją żoną.

Znowu Jinx zaprzeczyła ruchem głowy. Na wspomnienie tamtego wieczoru zachmurzyły jej się oczy.

- Nie sądzę, żeby z kimkolwiek rozmawiał o naszym spotkaniu, a już na pewno nie z żoną.

Matthew był świadkiem cierpienia Jinx przy łożu Kipa. Widział jej rozpacz na cmentarzu w Nowym Jorku. Przez ostatnie dwa lata widywał ją tak często, jak tylko pozwalały mu na to obowiązki. Za każdym razem, kiedy Jinx przyjeżdżała do Los Angeles, dzwoniła do niego bez poczucia niezręczności sytuacji. Matthew reagował w ten sam sposób. To śmierć Kipa tak umocniła ich więź, usuwając towarzyskie konwenanse i powodując, że czuli się naturalnie w swoim towarzystwie. Nie było dla nich tematów tabu.

Jednak ból, który Jinx odczuwała dzisiejszego wieczoru, był dla Matthew czymś nowym. Słyszał to w jej głosie, widział w jej zachowaniu. Nie było to aż tak obezwładniające

i paralizujące uczucie jak ból po utracie Kipa, jednak Matthew wiedział, że na swój sposób bardzo wyniszczające.

- Dotknęło cię to? - zapytał.

Jinx oparła się o sofę i spojrzała na sufit. Jej profil oświetlała stojąca lampka, a jasna cera odbijała światło. W tym momencie Matthew musiał sobie przypomnieć, że przyjechał z nią jako przyjaciel.

- Nie, to nie boli - powiedziała. - I dlatego mam wyrzuty sumienia. W końcu mój ojciec, Hank, jest cudownym, czułym i kochającym człowiekiem. Zmuszenie Bena Rossa do tego, żeby się do mnie przyznał, było tylko zbytecznym kaprysem. Co takiego bym zyskała? Nie jestem małym dzieckiem jak Joy, która nie ma ojca. - Zadrżały jej wargi i upłynęło kilka sekund, zanim ponownie się odezwała. - Jestem egoistką. Powinnam być wdzięczna Bogu za to, co mam, i zapomnieć o tym, co mogłabym mieć.

- Bzdura! - odezwał się Matthew, podnosząc nogi z pufy i energicznie siadając na sofie. - Nie jesteś egoistką, jesteś po prostu człowiekiem! Chyba znasz mnie na tyle dobrze, by wiedzieć, że potrafię być obiektywny. Ten człowiek cię porzucił i to cię boli. Pewnego dnia możesz zrozumieć, dlaczego to zrobił, możesz mu nawet wybaczyć, ale wątpię, żebyś zapomniała. Nikt nie zapomina takiego odtrącenia.

W głosie Matthew był gniew, którego Jinx nigdy dotąd nie słyszała. Po raz pierwszy w czasie ich znajomości pozwolił sobie na demonstrację osobistych emocji, na wybuch, który nie miał nic wspólnego ani z nią, ani z Benem Rossem.

Kiedy przemierzał pokój, próbując odzyskać równowagę, Jinx starała się zrelaksować. Sącząc alkohol, przeczeswała palcami swoje długie włosy, bawiąc się kędziorami i pozwalając czarnym sprężynom spaść na oparcie sofy. Jednak ciągle nie mogła wymazać ze swoich myśli twarzy Becki.

- Jeśli ona naprawdę o mnie wie, a jej zachowanie na to wskazuje, to może ma prawo do tego, żeby mnie nienawidzić?

- Skąd ci to przyszło do głowy? - zapytał Matthew, stojąc za kanapą i spoglądając w dół na Jinx.

- Mam dwóch ojców, nawet jeżeli jeden nie chce się do tego przyznać. Ona ma tylko jednego. Jeślibym go jej zabrała, nie miałyby nikogo. To nie byłoby w porządku.

Przez kilka minut siedzieli w milczeniu, Jinx zatopiona w myślach, Matthew niezdolny oderwać od niej wzroku. Później usiadła, podciągnęła kolana pod brodę i objęła nogi ramionami. Wyglądała na wypłoszoną i samotną i był pewien, że w tej chwili myślała o Kipie.

- To naprawdę dziwnie zabrzmiało - odpowiedziała z zakłopotanym uśmiechem - ale czasami myślę, że śmierć Kipa była dla mnie karą za moją zachłanność.

- Możesz mi to wyjaśnić?

- Przez całą młodość interesowałam się starszymi mężczyznami. Moja matka uważała, że w ten sposób poszukuję w partnerze ojca. Kiedy wychodziłam za mąż za Kipa, zapytała mnie nawet, czy naprawdę jestem zakochana w Harrisonie Kiplingu, czy może w mężczyźnie, którym mógłby być Benjamin Rostov, gdyby dożył tamtego dnia.

- Nigdy nie widziałem cię z Kipem, oczywiście poza szpitalem - odparł Matthew - ale wyglądałaś na bardzo zakochaną.

Jinx pokiwała głową.

- Wiem, byłam - powiedziała. - Ale musiałam zrobić coś złego, skoro on też mnie opuścił, nie sądzisz?

- Nie, Jinx - powiedział Matthew czułym i współczującym tonem. - Kip z pewnością nie umarł z wyboru.

- Czy śmierć nie jest formą odrzucenia?

Matthew uważnie jej się przyglądał. Nie należała do kobiet, które domagałyby się współczucia i prowokowały do

komplementów. Próbowwała coś sobie wytłumaczyć i prosiła go o pomoc.

- To jest ostateczna forma odrzucenia - powiedział - ale nadal nie można porównywać tych dwóch przypadków. Śmierć nie jest wcześniej zaplanowana i nie jest celowa. Ben porzucił cię świadomie. Kip nigdy by tego nie zrobił.

- Wiem, że nie, ale tak właśnie się stało. Może tak bardzo pragnęłam odzyskać Bena, że straciłam Kipa. Może Bóg mi go zabrał, żeby mnie czegoś nauczyć.

Tak jak się spodziewał, z jej smutnych, wilgotnych oczu stoczyły się dwie duże łzy. Podszedł do niej bliżej, wziął ją w ramiona i pozwolił jej się wypłakać, gładząc jej włosy i głaszcząc ją po plecach. Zawsze, kiedy byli razem, zdarzało się coś takiego i za każdym razem Matthew starał się ją uspokoić. Jednak dzisiaj pragnął przytulić ją do siebie nie tylko dlatego, że było jej smutno.

- Ze wszystkich ludzi! - Becca z furią rzuciła butem o podłogę i dalej jak wściekła chodziła po mieszkaniu. - Dlaczego właśnie ona?! I dlaczego dzisiaj?!

Wściekłość obudziła się w niej już w hotelu „Beverly Plaza”, w chwili gdy usłyszała imię Jinx. W jednej chwili złość rozrosła się do takich proporcji, że nawet przytłumiła rozdzierający ból głowy. Zazwyczaj Becca szybko pozbywała się migreny, zażywając lekarstwo i samotnie kładąc się w ustronnym miejscu. Dzisiejszej nocy niemalże z radością powitała ten ból, który wydawał jej się niezwykle stosownym dopełnieniem tego, co w jej umyśle było odbierane jako publiczne upokorzenie.

- Widziałeś ją? Widziałeś ten koszmary naszyjnik oplątany wokół szyi? Ma żelazne nerwy. Zrobiła ze mnie pośmiewisko!...

Jonathan rozebrał się i położył na kanapie ze szklanką wódki w ręku. Szklanka pokonywała co chwila stałą trasę do jego ust.

- Przecież nie pożyczyła tego bubla, żeby cię załatwić - powiedział ciesząc się w duchu z wściekłości buzującej w Becce. Tak rzadko widywał ją pozbawioną kontroli, że aż zaczęło go to podniecać. - Poza tym, naprawdę nie wiem, co wywołało w tobie taką złość. Ta Kipling zrobiła z ciebie bohaterkę. To ty organizowałeś zbiórki pieniędzy i tobie udało się zebrać taką sumę. Gdybym był na twoim miejscu, natychmiast poleciałbym do telefonu i złożył jej podziękowanie. Becca miała ochotę zdjąć but i walnąć nim Jonathana w łeb.

- Na szczęście nie jesteś na moim miejscu. Ja nigdy bym jej nie podziękował po tym, co mi zrobiła!

Jonathan popijał wódkę i obserwował żonę. Była na granicy wytrzymałości i chociaż wybuchy złości nie należały do rzadkości w domu Hillmanów, zazwyczaj skierowane były przeciwko Jonathanowi. Głowa zachodziła mu już alkoholową mgłą, ale na jej powierzchni dryfowała jedna myśl, która nie dawała mu spokoju.

- Nie wiedziałem, że znasz panią Kipling - powiedział Jonathan. - A co ona właściwie ci zrobiła?

Becca stanęła jak wryta i zaczęła mu się przyglądać. Jak mogła pozwolić sobie na taką nieroztropność? Jak mogła aż tak się obnażyć?

- Znam ją przez kółko dobroczynne - powiedziała z odpowiednią dozą zniecierpliwienia, żeby wyglądało to tak, jakby jej odpowiedź była całkiem oczywista. - I za każdym razem, kiedy chciano docenić moją ciężką pracę, włączyła na scenę i obnosiła się z tym swoim bogactwem.

Jonathan zaśmiał się pełną piersią i kilka kropli wódki spadło mu na koszulę.

- Nosisz w sobie kupę gnoju. Od kiedy to przeszkadza ci bogactwo? Od czasu, kiedy cię poślubiłem, słyszę tylko o tym, jakie to żenujące należeć do klasy średniej.

Becca chciała wyjść z pokoju, ale Jonathan poderwał się z kanapy i chwycił ją za ramię.

- Poza tym - mówił dalej, zmuszając ją, żeby patrzyła mu prosto w oczy - Jinx nie mieszka w Los Angeles i z tego, co czytałem, jest zbyt zajęta zarządzaniem multimilionową kompanią, żeby zawracać sobie głowę taką pluskwą jak ty. - Przyciągnął ją tak blisko, że kiedy mówił, jego usta prawie dotykały jej policzka. - Dobra, Becco. O co tu chodzi naprawdę? Może to jakaś szkolna rywalka, która miała to szczęście, że była lepsza od ciebie? A może jakaś dziewczyna, którą kiedyś zrobiłaś na szaro, a która może cię dzisiaj tysiąc razy kupić i sprzedać?

Becca wyrwała się z jego uścisku i pobiegła do sypialni. Próbowwała zatrzaskać drzwi, ale Jonathan wcisnął się do środka. Już raz widziała go w takim nastroju i bardzo ją to przeraziło. Musiał brać prochy w czasie pokazu. Z wódką tworzyły wybuchową mieszaninę.

- Zostaw mnie w spokoju - wykrzykiwała cofając się w głąb pokoju.

- Wiem, dlaczego jej nienawidzisz - powiedział Jonathan. Jego oczy wpiły się w jej oczy, a na ustach pojawił się lubieżny uśmiech. - Bo jest bogatą wdową, czyli dokładnie tym, kim ty chciałabyś być. - Zaczął blokować jej wyjście, spychając ją do rogu. - Lepiej pogódź się z tym, dziecińko, i naucz się kochać takie życie, jakie masz. Nie rozwiedziesz się ze mną i ja też nie mam zamiaru natychmiast się stąd wymeldować. - Zaśmiał się obleśnym, pogardliwym śmiechem. - Poza tym, jeśli nawet jutro padłbym trupem, to i tak nie dostałabyś ani centa, bo tatuś nie zapisał mi nawet złamanego grosza!

- Znalazłabym kogoś innego - syknęła Becca, czekając na możliwość wydostania się z pokoju. - To nie byłoby trudne. Wszystko jest lepsze od ciebie.

- Naprawdę? Mam dla ciebie przykrą wiadomość, Frances Rebecca. Faceci oczekują trzech rzeczy od kobiety. Władzy, pieniędzy i dobrego rżnięcia! A ty nie jesteś w stanie zapewnić żadnej z nich.

- Jesteś odrażający.

- Nie - odparł ocierając się o jej ciało. - Jestem napalony i ty masz się tym zająć. Natychmiast!

Usta Becki wykrzywiły się w obrzydzeniu.

- Nie mam zamiaru robić nic takiego.

- Ależ oczywiście, zrobisz.

Jonathan doskoczył do niej, chwycił ją za ręce i pchnął ją na łóżko. Jednym brutalnym ruchem zdarł z niej majtki i rozerwał pończochy. Przywarł do niej ustami i zwałił się na nią całym swoim ciężarem. Jego pocałunki były pełne wściekłości, jego ruchy nachalne i zdobywcze, ale pomimo alkoholowego zaćmienia i wzmożonej agresji, wiedział dokładnie, jak ją dotykać i w których miejscach.

Becca wyrwała głowę i przechyliła ją na bok, odsuwając się od niego najdalej jak mogła, rzucając mu w twarz obelgi i waląc go pięściami, lecz nic nie było w stanie go powstrzymać.

- Co mi robisz? - krzyknęła. - Przecież mnie nie chcesz. Cały czas mi to powtarzasz.

Jonathan, przyciskając kolaniem jej udo i dociskając łokciem jej ramię, podniósł się i spojrzał jej w twarz.

- Robię to tobie - powiedział uśmiechając się z podniecenia, które odczuwał - bo nie pozwalasz mi tego robić z nikim innym.

Wspiął się na jej ciało. Oplótł ją ramionami i z całej siły do siebie przycisnął. Jego wargi zaatakowały jej usta i powoli

zaczęły się osuwać, kłusząc jej piersi i całkowicie nad nią panując. Bezwiednie zaczęła się pod nim poruszać, udając, że jeszcze z nim walczy i że bardzo ją to upokarza, jednak czuła większe podniecenie niż kiedykolwiek; Jonathan bardziej nią zawładnął, niż była to sobie w stanie wyobrazić. Małe igielki przyjemności zaczęły ją kłuć od środka, kiedy Jonathan zaspokoił swoją namiętność. Nawet nie wiedział, że ona też otrzymała przy okazji własną porcję przyjemności.

Zamknęła oczy i powoli unosiła się na falach rozkoszy, mając pod powiekami twarz Matthew Granta. Zaczęła jej się podobać ta wizja, kiedy niespodziewanie zadzwonił telefon. Jonathan zużył już całą energię i spadł z niej, zostawiając jej wolną rękę, żeby mogła odebrać telefon. Rozmowa była krótka. Kiedy odłożyła słuchawkę, usiadła na łóżku i zaczęła potrząsać Jonathanem, dopóki nie oprzytomniał.

- Twój ojciec miał zawał - powiedziała spokojnie. - Musimy jechać do Nowego Jorku.

Jonathan nawet nie oderwał głowy od poduszki.

- Nie żyje? - zapytał.

- Na szczęście uratowali mu życie.

- To jedź sama! - powiedział odwracając się do niej plecami i zupełnie ignorując chorobę ojca.

Becca spojrzała na jego plecy. Jeżeli Jonathan kiedykolwiek miał sposobność wkupić się w łaski ojca, nie wykorzystywał swojej szansy. Był szczęśliwy rzeźbiąc. Zadowalało go to, co miał. Dobrze się czuł, kiedy ginął w tłumie. Becca wręcz nienawidziła tego uczucia.

- Dobrze, pojedę sama - powiedziała do ściany. - W końcu któreś z nas, powinno tam być, na wypadek gdyby Maxowi przydarzyło się najgorsze.

Nerwowy tik Ruth Hillman jeszcze się pogłębił. Kiedy rozmawiała z synową, kącik jej oka nieustannie drgał i Becca nie mogła skupić się na tym, co do niej mówiła.

- ... i być może będą musieli wszyć mu rozrusznik. Powiedzieli, że jest poważne uszkodzenie mięśnia.

Becca klepała Ruth po dłoni i współczująco kiwała głową, kiedy opuszczały korytarzem w stronę poczekalni. W czasie lotu na wschód i podczas trzech dni pobytu w Nowym Jorku Becca długo i intensywnie zastanawiała się na tym, co chciała zyskać dzięki tej misji. Z pewnością nie chciałyby płakać na pogrzebie Maxa, a szczególnie dlatego, że potrzebowała go żywego. Nie zależało jej na tym, żeby był w dobrej kondycji. Wystarczy, żeby po prostu był żywy.

- Jestem pewna, że uda mu się z tego wyjść - odezwała się czułym, pełnym nadziei głosem. - Wszyscy się za niego modlimy.

Ruth zaczęła się denerwować.

- Nie rozumiem, dlaczego nie przyjechał z tobą Jonathan - powiedziała siadając na kanapie i ciągnąc Beccę za sobą.

Becca spuściła wzrok i pokręciła głową.

- Nie chciałam cię martwić, mamó, ale Jonathan jest chory. Bardzo chory. Ruth zaczęła nerwowo sapać.

- O Boże! Co się stało?

Becca kilka razy otworzyła i zamknęła oczy, żeby wyglądały na wilgotne. Kiedy poczuła, że są już wystarczająco mokre, by mogła symulować łzy, podniosła głowę i spojrzała na teściową.

- Jest słaby fizycznie i ma skłonności do depresji. Czasami potrafi godzinami siedzieć w ciemnym pomieszczeniu i nie odezwać się ani słowem. Zdarza się, że nie wraca do domu. Włóczy się po ulicach i zagląda do podejrzanych spelun. Nie chce iść do lekarza, ale, szczerze mówiąc, myślę, że nie jest całkiem zdrowy psychicznie.

- Ale dlaczego? Co mogło spowodować aż taką reakcję?

Becca policzyła do trzech, udając, że ma trudności w znalezieniu odpowiednich słów.

- Brak pewności siebie. Poczucie osamotnienia i odtrącenia.

- Odtrącenia? Przez kogo?

Becca spojrzała na Ruth, po czym przeniosła wzrok w przestrzeń. Kilka razy wyprostowała palce i spojrzała znowu na teściową. Jej oczy były duże i smutne.

- Przez ciebie i Maxa - odparła.

Ruth złapała się za serce i jej powieka znowu zaczęła drgać z nie kontrolowaną prędkością.

- On myśli, że się go wyrzekliście - spokojnie powiedziała Becca.

- To nieprawda!

- Wiem - mówiła dalej, przechodząc do kulminacyjnej części tego występu. - Ale w pewnym sensie mogę zrozumieć, dlaczego tak się czuje. Każdy młody mężczyzna przynajmniej na chwilę chciałby rozwinąć skrzydła. Kiedy odcięliście mu przyływ gotówki i wycofaliście jego udziały z „Hillman Cookware”, poczuł się tak, jakbyście zatrzasnęli przed nim drzwi i nigdy nie chcieli ich otworzyć na wypadek, gdyby chciał do was wrócić. Nie zostawiliście mu żadnego wyboru i musiał znaleźć jakąkolwiek pracę. Dzięki Bogu moja ciotka i wuj zgodzili się na to, żeby pracował w ich fabryce.

Ruth wytarła oczy chusteczką.

- Nie wiedziałam, że pracuje w fabryce - powiedziała pociągając nosem. - Myślałam, że ma własną pracownię, że kocha swoją pracę.

- Nienawidzi jej - powiedziała Becca, zagryzając usta i wprowadzając w drganie wargi. - Nigdy by się do tego przed wami nie przyznał, ale ja z nim żyję. Kocham go, wiem, co czuje, i wiem, co go gryzie.

- Nie miałam o tym pojęcia - mamrotała Ruth. Becca zauważyła swoim przenikliwym wzrokiem, że matka Jonathana o mało co nie upadła na ziemię, przygnieciona ciężarem winy.

- W roli męża czuje się jak nieudacznik. Zarabia tak mało, że gdyby nie pieniądze, które dostajemy co miesiąc od ojca, to nie wiem, jak dalibyśmy sobie radę.

Becca nie zamierzała nawet wspomnieć, że Jonathan nic nie wiedział o wznowionych darowiznach ojca. Zataiła również fakt, że Mark podwyższył pensję Jonathana do najwyższego pułapu i ostatnio rozważał zamiar wejścia z nim w spółkę. Jonathan chciał przyjąć ofertę Marka, jednak Becca była temu przeciwna. Nie chciała się zadowalać drobną częścią rodzinnych interesów. Pragnęła przejąć w posiadanie cały majątek Hillmanów. Mieć każdą patelnię, każdy garnek i każdego centa z tej złotej żyły.

- Nawet zdobyłam się na pójście do mojego kuzyna Marka i poprosiłam, żeby dał Jonathanowi podwyżkę. Obiecał, że porozmawia o tym z ciotką Molly, ale nie mogę już dłużej czekać. Sama z nią rozmawiam.

- Nie powinnaś chodzić i błagać ludzi w sprawach mojego syna - powiedziała Ruth z oburzeniem. - Jonathan nie potrzebuje ochłapów z cudzego stołu. Ma przecież własne przedsiębiorstwo.

- Tak? - powiedziała Becca, dodając do swego głosu nutkę smutku.

- Oczywiście. O nic się nie martw. Max będzie potrzebował pomocy Jonathana, a ja już zatroszczę się o to, żeby Max pomógł Jonathanowi.

Becca uścisnęła Ruth.

- To naprawdę wielkie szczęście mieć taką teściową - wyszeptała. - Wiedziałam, że zrozumiesz. Wiedziałam, że już dłużej nie pozwolisz Jonathanowi cierpieć.

Ruth otarła łzy z oczu Becki i uśmiechnęła się.

- To mój syn ma szczęście, mając taką żonę - powiedziała.

- Cieszę się, że tak myślisz - odparła Becca.

- Musisz to zrobić. - Becca trzymała nerwy na wodzy. - Chociażby ze względu na swoją matkę.

- Nienawidzę garnków i patelni. Nienawidzę linii produkcyjnych, a najgorzej ze wszystkiego nienawidzę mojego ojca. Czemu nie możesz tego zrozumieć?

- Rozumiem. - Naląła mu następnego drinka, jednak z jego zwężonych źrenic mogła wywnioskować, że brał już jakieś prochy. - Ale przecież ludzie się zmieniają. Max też się zmienił. Jest bardzo chory. Nie może już sam prowadzić interesów. Potrzebuje ciebie i żeby to udowodnić, obiecał dać ci świetną, sześciocyfrową pensję i zapisać ci ponad czterdzieści procent udziałów w „Hillman Cookware”.

- Dobrze, dobrze - odparł sarkastycznie.

- Jonathanie, czekałeś przez całe życie, żeby twój ojciec wreszcie do ciebie przyszedł. W końcu wygrałeś. Przyszedł z czapką w rękę, oferując ci czterdzieści procent udziałów w przedsiębiorstwie, którego wartość szacuje się na sto milionów dolarów. To przecież czterdzieści milionów. Chyba mi nie powiesz, że brzydzisz się tymi pieniędzmi.

Jonathan usiadł na krześle i ukrył twarz w dłoniach.

- Nie brzydzę się pieniędzmi, zresztą tu nie chodzi o pieniądze, ale o sznurki, do których są przymocowane. Mój ojciec pociąga je z jednej strony, a ty ciągniesz z drugiej. Jeśli tak dalej pójdzie, to umrę przez uduszenie.

- Nie ma żadnych sznurków - powiedziała z narastającą niecierpliwością. - Będiesz dyrektorem do spraw produkcji i dystrybucji w kraju. Max zgodził się nawet, żebyś od czasu do czasu jeździł do Europy w celu rozszerzenia ekspansji na

tamten rynek. Oczywiście nadal większość interesów będzie kontrolowana przez Maxa z Nowego Jorku.

- I nigdy nie będę musiał się z nim widywać, tak? - Usta Jonathana rozciągnęły się w kapryśnym grymasie.

- Tylko raz w miesiącu - powiedziała Becca, podchodząc do okna i odwracając się plecami do męża, żeby uniknąć jego oskarżycielskiego wzroku. - Będiesz latał do Nowego Jorku raz w miesiącu tylko po to, żeby skoordynować wasze działanie.

- Wiedziałem, że jest w tym coś podejrzanego. - Pokiwał głową popijając drinka.

- Nie nastawiaj się tak negatywnie - powiedziała siadając obok niego i starając się zarazić go entuzjazmem. - Będę latać z tobą. Możemy odwiedzać moich rodziców. Możemy także odnowić stosunki z paroma właścicielami galerii, którzy sprzedawali twoje prace.

- A po co zawracać sobie tym głowę? - Jego słowa zaczęły przecinać powietrze jak noże. - Od dzisiaj, kiedy podpisałem traktat pokojowy z moim ojcem, będę tworzył tylko patelnie.

- Bzdura! - Becca ujęła jego dłoń i włożyła mu długopis między palce. - Dopiero teraz będziesz miał czas, który poświęcisz dla sztuki. Marnowałeś talent na te głupie manekiny.

- To prawda, poza „Acropolis” nie rzeźbiłem zbyt wiele - odparł wiedząc, że był przegrany, zanim przedstawił pierwszy argument na swoją obronę. - Ale podobało mi się tam. Lubiłem tamtych ludzi.

Szczególnie kobiety, pomyślała Becca.

- To też ci się spodoba - mówiła dalej, kładąc na stole umowę sporządzoną przez prawnika Maxa. - Będiesz głową jednej z większych korporacji. W końcu będziesz kimś.

- Śmieszne - powiedział potulnie, kiedy jej dłoń wskazała mu miejsce, w którym miał złożyć podpis. - Zawsze znałem swoją wartość. Dopiero ty i mój ojciec zaczęliście mi wmawiać, że jestem nikim.

Becca nigdy nie słyszała patosu w jego głosie. Nigdy nie słyszała rezygnacji ani poddania się, ani dźwięków zranionej duszy. Nigdy tego nie słyszała, ponieważ nie chciała go słuchać.

Następne sześć miesięcy było najszcześniejszym okresem z życia Becki. Kupiła i zaczęła meblować starą posiadłość w Hancock Park. Chodziła na zakupy, aż miała więcej ubrań niż okazji, żeby się w nich zaprezentować. Stała się stałym bywalcem „Freda Joailliera” i najnowszym członkiem klubu „Beverly Hills Country”. Jeździła sportowym mercedesem i nalegała, żeby Jonathan sprzedał swojego dzipa i kupił sobie jaguara. Nie było soboty, żeby nie byli na przyjęciu albo jakimś wieczorze towarzyskim. I nie było czwartku, żeby nie organizowała w domu wystawnej kolacji dla śmietanki towarzyskiej z Los Angeles. W każdy poniedziałek, środę i piątek przychodził do niej instruktor jogi i prowadził z nią prywatne sesje medytacji. A każde czwartkowe popołudnie przynajmniej trzy godziny spędzała w najmodniejszym salonie piękności na Rodeo Drive. Frances Rebecca Hillman była wreszcie sobą.

Z kolei Jonathan Hillman zaczął powoli, ale systematycznie się zatracać. Coś w nim pękło tego wieczoru, kiedy podpisał cyrograf i oddał swoją duszę ojcu. Nagle stał się automatem, robotem, który chodził, rozmawiał, pracował, jadł i spał na rozkaz innych. Nienawidził towarzystwa, z którym utrzymywała kontakty jego żona. Nie znosił tych wszystkich snobistycznych miejsc, do których go ciągała. Ale robił wszystko, co chciała. Oczywiście pił coraz więcej. Brał coraz więcej środków psychotropowych i narastało w nim

uczucie depresji. Wyglądało na to, że jedyną deską ratunku była dla niego przyjaźń z Markiem Schwartzem.

Nawet po odejściu z „Acropolis” pozostali przyjaciółmi i spotykali się, gdy tylko Jonathan zdołał uwolnić się od Becki, której nie nazywał już inaczej niż swoją „panią”. Co najmniej raz w tygodniu jadali razem lunch, codziennie rozmawiali przez telefon i od czasu do czasu udawało im się zorganizować przyjęcie na cześć starej przyjaźni. Często Jonathan zamieniał swojego jaguara na motocykl Marka. Mark pozwalał mu z kolei pracować w swoim studio, żeby mógł oderwać się od wątpliwych uroków małżeńskiego życia i choć przez chwilę побыć sam. Mark rozumiał przyczynę frustracji przyjaciela. Doceniał jego potrzeby i chociaż zdawał sobie sprawę, że Becca nigdy by mu tego nie wybaczyła, pozostał lojalny w stosunku do Jonathana, a nie do swojej kuzynki.

Pewnego wieczoru Jonathan siedział samotnie w studio. Było już ciemno i jedynym światłem, jakie wdzierało się do środka, był granat jesienno nieba. Dochodziło wpół do dziesiątej i chociaż pił przez cały wieczór, był zadziwiająco trzeźwy. Przyszedł do studia, żeby przy pracy rozładować napięcie, ale jego ręce były dzisiaj bezpłodne, niezdolne do rzeźbienia ani do modelowania w glinie. Kilka razy próbował formować zimną, elastyczną substancję w jakiś ciekawy kształt, ale bez względu na to, ile wkładał w to wysiłku, z gliny wyłaniał się brzydki, groteskowy skrzep.

Przestraszyło go to i dał sobie spokój. W jakiejś ciemnej, irracjonalnej części mózgu Jonathanowi zaświtała myśl, że to Becca zawładnęła jego rękoma, tak samo jak zapanowała nad jego duszą. Obdarła go z talentu, podobnie jak pozbawiła go męskości. Spowodowała, że w pracowni był takim samym impotentem jak w łóżku.

Zupełnie tak, jakby cofnął się w czasie do okresu, kiedy stał przy doku i liczył kartony ładowane do ciężarówek. Na początku próbował zostać częścią przedsiębiorstwa, starał się wprowadzać innowacje, zapoznał się z nowymi technologiami, nowoczesnym parkiem maszyn i sposobami zwiększenia wydajności pracy i wzrostu produkcji. Kiedy podczas comiesięcznych spotkań przedstawiał ojcu wyniki swoich badań poparte wzorami i liczbami, zawsze spotykał się z tą samą pogardą i brakiem szacunku.

- Co ty w ogóle wiesz o produkcji? - pytał Max. - Co ty wiesz o czymkolwiek? Ciągłe jesteś dzieckiem i musisz jeszcze się mnóstwo nauczyć. Rób, co do ciebie należy, a innowacje zostaw mnie.

W pierwszej chwili nawet nie zauważył nadejścia Heather. Jego oczy wpatrzone były w niebo, a zdolność widzenia ograniczała gęsta mgła niezadowolenia z samego siebie. Srebrne światło księżyca lśniło w złotych włosach dziewczyny. Jonathan aż podskoczył. Myślał, że to Becca nawiedziła jego sanktuarium.

- Nie chciałam cię przestraszyć - rzekła czule. - Wpadłam przed chwilą na Marka i powiedział mi, że tutaj jesteś.

Jonathan próbował się zaśmiać, ale wydobył z siebie tylko urywany oddech.

- Czy prosił cię, żebyś mnie wyratowała, zanim utonę w butelce wódki?

- Powiedział mi, że jesteś w nie najlepszej formie.

Podeszła do małej kanapy, na której siedział Jonathan, i usiadła obok niego. Delikatnie powiodła palcem po jego brwiach, ścierając z nich krople potu zewnętrzną częścią dłoni. Zanim zdążyła zorientować się, co się dzieje, Jonathan wtulił twarz w jej ramię i zaczął płakać.

- Potrzebuję ciebie - szlochał. - Pragnę z tobą być i z tobą rozmawiać.

- Jestem tutaj - wyszeptała rozczesując palcami pasma jego włosów i trzymając go w objęciach jak matka dziecko. - Nigdzie nie odchodzę.

Poczuła, jak jego głowa porusza się przy jej piersi, tak jakby jej przytaknął. Mocniej przycisnęła go do siebie.

Heather nie widziała się z Jonathanem przez prawie dwa lata. Kiedy dowiedziała się, że wrócił, by prowadzić interesy wraz z ojcem, od razu domyśliła się, że Becca zacisnęła swoją pętlę. Jeszcze długo po tym, jak Becca jej groziła, pielęgnowała w sobie wątpliwą nadzieję, że może któregoś dnia Becca zmęczy się Jonathanem albo znajdzie kogoś bardziej odpowiedniego do zaspokajania swoich apetytów i bardziej chętnego do znoszenia jej huśtawek nastrojów. Ale nie. Zamiast odstawić go w ką, zaczęła manipulować jego rodzicami. Określiła jego dochody, zmuszając go do podpisania kontraktu, który był korzystny tylko i wyłącznie dla niej. Ich posiadłość w Kalifornii okazała się ciężkim więzieniem, z którego trudniej było uciec niż z Alcatraz.

- Czy chciałbyś się stąd wyrwać? - zapytała Heather, poważnie zmartwiona stanem, w którym go znalazła. - Możemy pojechać do mnie.

- Nie możemy - wymamrotał. - Ona nas tam znajdzie. Tutaj nie może nas dopaść. Drzwi są zamknięte, a ona nie ma kluczy.

- Przecież weszłam tutaj bez klucza - powiedziała Heather wyraźnie zmartwiona. - Mark zawołał stróża. Przecież mógłby to samo zrobić dla Becki.

Jonathan pokręcił głową.

- Mark wie, że to miejsce jest moim ustroniem; jedyne, w którym jestem bezpieczny. Nigdy by nie pozwolił, żeby wtargnęła do tej oazy spokoju.

- Mam taką nadzieję - odparła Heather, zmuszając usta do uśmiechu. - Na jej widok robi mi się niedobrze.

- Mnie też - odparł Jonathan i na chwilę zaniósł się kaszlem, po czym zrobił poważną minę. - Nie wiedziałem, że już się kiedyś spotkałyście.

- W zasadzie nie i szczerze mówiąc po tym, co mi o niej opowiadałeś, nie sędzę, żebym kiedykolwiek chciała zaznać tej przyjemności - stwierdziła Heather, starając się zapomnieć o oszczerstwach, jakimi obrzuciła ją Becca.

- Zrobiłaby ci krzywdę. - Twarz Jonathana zastygła w trwodze. - Chyba bym tego nie przeżył. - Ujął jej twarz w dłonie i czule ją pocałował. - Kocham cię - wyszeptał i jeszcze raz ją pocałował.

Heather poczuła przyływ ciepła i uczucia, kiedy wtuliła się w jego ramiona.

- Ja też cię kocham - odparła czując, jak jej ciało coraz bardziej naprężyło się w oczekiwaniu. Do diabła z Beccą Hillman, pomyślała. Brakowało jej Jonathana. Pragnęła go jak żadnego innego mężczyzny i teraz, zaraz, w tym momencie, tej nocy chciała go mieć tylko dla siebie.

Podeszła do szafki, gdzie leżały wszystkie przybory, i grzebała między tubkami, dopóki nie znalazła prześcieradeł, którymi zakrywały się modelki. Szybko zrzuciła z siebie ubranie, owinęła się przybrudzoną płachtą materiału i dołączyła do Jonathana siedzącego na łóżku, na ich łóżku. W napięciu szukała jego warg. Jej dłonie pomogły mu się rozebrać. Później położyła się na plecach, rozchyliła spowijający ją materiał i przyciągnęła go do siebie. Zadrżała, kiedy poczuła dotyk jego ciała. Czekala. Jonathan, który zawsze był doskonałym kochankiem, który potrafił być wrażliwy i agresywny, dzisiaj wydał się jej dziwnie opieszaly, zbyt powolny, żeby wejść w krainę jej ulubionych erotycznych marzeń.

To wódka, pomyślała, i prochy.

Zamiast zadawać kłopotliwe pytania albo zrezygnować z miłości, przejęła inicjatywę. Zaczęła go pieścić, pragnąc przelać w niego swoje podniecenie i chęć zaspokojenia. Wiedziała, że za szybko się porusza, ale odczuwała nienasycenie, którego sama nie potrafiła zrozumieć. Zupełnie tak, jakby dzisiejsza miłość była ich ostatnią szansą. Tak, jakby w każdej minucie do pracowni mogła wtargnąć Becca i zrobić coś okropnego. Zrobiła wszystko, co mogła, ale Jonathan nie reagował na jej pieszczoty.

- Nie mogę - wymamrotał i wcisnął twarz w jej ramiona.

- Nic nie szkodzi. Kocham cię i jestem szczęśliwa, kiedy po prostu z tobą jestem - odparła i każde jej słowo było szczerą prawdą.

Wydawało jej się, że usłyszała, jak zaczął płakać. Nagle roześmiał się smutnym, dławiącym śmiechem.

- Pokonała nas - powiedział i krople łez zatańczyły na jego skrzywionym uśmiechu. - Zabrała mi pracę. Zabrała mi moją wolność. Zabrała mi moją sztukę. A nawet jeżeli nie udało jej się zabrać ciebie, to wygląda na to, że pozbawiła mnie męskości.

- Nie zabrała ani mnie - powiedziała Heather wiedząc, że kłamie, lecz wydawało jej się, że prawda byłaby nie do zniesienia - ani nie odebrała ci męskości. Jest już późno i trochę za dużo dziś wypiliśmy.

- To nie to - odparł zażenowany i wystraszony.

- Jesteśmy razem i tylko to się liczy - starała się podnieść go na duchu.

- Jesteśmy razem dzisiejszej nocy - powiedział złowieszczo Jonathan. - Ale nadejdzie noc, kiedy nie będzie cię przy mnie. Noc, kiedy nic już nie będzie miało dla mnie znaczenia, a wtedy nie wiem, co zrobię.

Heather z niedowierzaniem wbiła w niego wzrok. Wzięła jego twarz w dłonie i spojrzała mu prosto w oczy.

- Zadzwoń do mnie - powiedziała, a po plecach przebiegł jej dreszcz. - Będziesz czekał, aż przyjadę do ciebie.

- Dobrze - odparł. Zobaczyła pustkę w jego wzroku. - Jeśli będę mógł.

Podczas długiego lotu do Japonii Jinx starała się czymś zająć. Próbowwała zastanowić się nad sprawami firmy, lecz nie mogła się skoncentrować. Usiłowała zasnąć, ale jej umysł był niespokojny, zajęty wspomnieniami Kipa i marzeniami o Matthew Grancie. Chociaż świadomie nie chciała się do tego przyznać, ich znajomość dawno już przekroczyła granice przyjaźni. Często rozmawiali przez telefon i raz na dwa miesiące, kiedy byli razem, zupełnie swobodnie i otwarcie dzielili się swoimi myślami i odczuciami.

Gdyby nie Matthew, Jinx zapewne do dziś nie potrafiłaby się wyzbyć poczucia winy, które dręczyło ją po śmierci Kipa. Nadal by sobie wyrzucała, że nie powinna była puszczać go samego do Nowego Jorku i że należało zrobić więcej, by ustrzec go przed katastrofą. Prawdopodobnie poddałaby się wszechogarniającemu poczuciu samotności i izolacji od wszystkich i od wszystkiego. Pograżyłaby się na zawsze w swoim nieszczęściu, ale jakoś tak dziwnie się składało, że mimo dzielącej ich odległości Matthew zawsze był przy niej, kiedy potrzebowała czułego ramienia i kogoś, komu mogłaby się wyżalić. Powoli zdejmował z niej żałobną szatę, krok po kroku wprowadzając ją w strumień życia, zachęcając, żeby wróciła do pracy i zaczęła spotykać się z ludźmi. Jednak ich przyjaźń zacieśniła się tylko do pewnego stopnia, nie przeradzając się w fizyczną więź, ograniczając się do przyjacielskiego pocałunku na dobranoc.

Ostatnimi czasy Jinx zaczęła dostrzegać subtelne różnice w ich zachowaniu. Zrobili się nerwowi, często zaczynali mówić w tym samym momencie, oboje doskonale świadomi swojej atrakcyjności, oboje znoszący katusze, żeby

przypadkiem się nie dotknąć, nie zbliżyć ponad bezpieczną odległość, za każdym razem mamrocząc zdawkowe „przepraszam”. W przedłużających się chwilach milczenia ich twarze pokrywały się rumieńcem. Wyczuwało się między nimi narastające napięcie, zrodzone z nie zaspokojonej namiętności.

Jinx zamknęła oczy i poruszyła się w fotelu, próbując przyjąć najwygodniejszą pozycję, żeby w końcu zasnąć i uwolnić się od dręczących myśli, które zabrała ze sobą w podróż, jak niepotrzebny bagaż. Próbowała przywołać w pamięci obraz Kipa: mocną, jasną i bardzo wyraźną postać mężczyzny, który był jej pierwszą miłością, jej mężem i ojcem jej dziecka. Zamiast tego dojrzała zamazane rysy i niewyraźne kształty, które nie potrafiły się oprzeć biegowi uciekającego czasu.

Chciała wyobrazić sobie twarz Kipa, włączając w myślach obraz, jak odbiornik telewizyjny, czując się winna, że mimo wszelkich wysiłków obraz ten rozmazał się na szarym tle, a na ekranie jej psychiki ukazała się inna twarz. Twarz Matthew Granta. Przystojna. Męska. Młoda. Z magnetyczną wręcz zmysłowością.

Jak mogła? - zaczęła sobie wyrzucać. Czy nie zdradzała w tym momencie Kipa? Czyż nie była to obraza jego pamięci? Czyż nie łamała swojej małżeńskiej przysięgi?

Otworzyła oczy. Skupiła wzrok na mrocznych ciemnościach za oknem, próbując sobie przypomnieć cudowną czystość dnia, w którym brała ślub - śnieg, góry, kwiaty, suknię. Łzy napłynęły jej do oczu, kiedy przypomniła sobie, jak czekał na nią przy ołtarzu, aż przejdzie przez nawę i stanie obok niego. Stojąc przed Bogiem, przysięgała mu: „nie opuszczę cię aż do śmierci”. Kochała Kipa do ostatniej chwili. Prawdopodobnie nadal będzie go kochała, dopóki śmierć ich nie połączy. Ale Kip nie chciałby, żeby opłakiwała go do

końca życia. Nie chciałby, żeby żyła samymi wspomnieniami. Pomimo to, po tylu latach spędzonych razem, Jinx nie potrafiła usunąć go z pamięci i niezmiernie ciężko było jej go pożegnać.

Długo zastanawiała się, czy powinna towarzyszyć Matthew w tej podróży, i czuła się teraz spięta i zdenerwowana. Chociaż wiele razy byli już ze sobą sam na sam, zawsze czuła się bezpieczna. Zazwyczaj spotykali się w hotelowym apartamencie pełnym zdjęć i pamiątek z czasów jej małżeństwa. Teraz leciała do miejsca, w którym nigdy nie była z Kipem, do miejsca, które w żaden sposób nie było związane z przeszłością.

Czy wezmą jeden pokój, czy dwa? - zastanawiała się.

Co powinna powiedzieć? Jak będzie się czuła?

Zapaliły się lampki nad głowami i stewardesa poprosiła o zapięcie pasów. Drugi pilot ogłosił, że zbliżają się do lądowania. Za kilka minut będzie w Osace. Matthew będzie tam na nią czekał, a razem z nim będą czekały odpowiedzi na te natarczywe pytania.

Pierwsze dwa dni podróży nie rozwiąły dręczących ją wątpliwości. Większość czasu spędzali na rozmowach ze sprzedawcami sprzętu medycznego, poznając jego zastosowanie, uzgadniając cenę i załatwiając transport. Wieczorem poszli na kolację z japońskimi gospodarzami, a następnie udali się do dwóch oddzielnych pokoi w hotelu „Osaka Kipling”, które sam wybrał usłużny recepcjonista, nie będąc oczywiście wtajemniczony w skrzętnie ukrywane marzenia dwojga przybyłych.

Trzeciego dnia, kiedy załatwili już wszystkie sprawy, Matthew zaproponował krótką podróż do dawnej stolicy Japonii, Kioto. Zatrzymali się przy hotelu „Kioto Kipling”, położonym w sercu dzielnicy słynnej ze sklepów z antykami i dziełami sztuki. Jinx otworzyła drzwi samochodu.

- Nie wychodź - powiedział Matthew. Kazał kierowcy wyładować bagaże i poprosił mężczyznę niecierpliwie kręcącego się przy samochodzie, żeby usiadł na przednim siedzeniu.

- Chciałam tylko zobaczyć nasze pokoje - powiedziała Jinx zdziwiona zachowaniem Matthew i niespodziewanym pasażerem.

- Nie ma potrzeby. Wszystkim się zająłem. - Matthew dał napiwek portierowi i kiedy Jinx z powrotem usadowiła się na tylnym siedzeniu, usiadł obok niej. - Mamy tylko kilka dni i nie chcę marnować ani chwili na załatwianie tak prozaicznych spraw. Jesteśmy w Kraju Wschodzącego Słońca i przynajmniej do końca dnia z pomocą naszego przewodnika pana Nishamury będziemy zwyczajnymi turystami zza oceanu.

Entuzjazm Matthew okazał się zaraźliwy i mimo zmęczenia, Jinx uśmiechnęła się, przystając na ten plan.

Na początku zatrzymali się przy zamku Nijo, który był rezydencją pierwszego szoguna Tokugawy. Zamek Nijo był kompleksem pięciu budynków otoczonych niezwykle malowniczymi ogrodami. Stanowił arcydzieło rzeźbiarstwa w drewnie. Ukazywał kunszt malowideł ze szkoły Kano oraz bogato i misternie zdobionych metalowych bram. Szerokie, długie korytarze prowadziły z jednego pokoju do drugiego. Pomieszczenia oddzielono od siebie ręcznie malowanymi ekranami naciągniętymi na drewniane ramy. W kilku większych pokojach postawiono manekiny, ubrane w tradycyjne stroje i upozowane w tradycyjnym japońskim geście powitania, tak aby najwierniej oddać klimat tamtych czasów.

W jednym z pomieszczeń znajdowała się figura szoguna w cesarskim stroju, zwrócona twarzą do rzędu klęczących postaci ubranych w identyczne szaty. Pan Nishamura zwrócił

im uwagę na uchylony ekran drzwi znajdujących się z prawej strony.

- Przy najmniejszej oznace niebezpieczeństwa - wyjaśnił - straż szoguna natychmiast stawała przy boku swojego pana.

W innym pokoju postać szoguna otoczona była damami dworu i konkubinami.

- Zwyczaj nakazywał, że kiedy pan feudalny wyruszał w podróż, zostawiał swoją żonę jako zakładnika - tłumaczył pan Nishamura. - Oczywiście w każdym miejscu, w którym się zatrzymywał, czekały na niego inne kobiety.

- Oczywiście - poważnie stwierdził Matthew i trącając Jinx łokciem, ze zrozumieniem pokiwał głową.

Poza sporadyczną wymianą spostrzeżeń, Matthew i Jinx szli za swoim przewodnikiem w pełnym szacunku milczeniu, wsłuchani w jego ciekawą opowieść o przodkach. Przewodnik po kolei zaczął im wyjaśniać symbolikę malowideł na poszczególnych ekranach, zachęcając ich, żeby odszukali tygrysa, który reprezentował szoguna, i smoki reprezentujące panów feudalnych. Pokazywał, jak zmieniały się tematy malowideł, od scen batalistycznych do obrazów kwiatów i ptaków, w miarę jak przybliżali się do gospodarskich pomieszczeń pałacu.

Nagle przewodnik zatrzymał się i przyłożył palec do ust.

- Teraz stoimy w korytarzu prowadzącym do sypialni szoguna - wyszeptał. - Stąpajcie cicho i uważnie słuchajcie.

Matthew i Jinx, jak małe dzieci, poszli na palcach wzdłuż holu. Zauważyli, że ich kroki wydają dziwne, wysokie piski.

- To są „podłogi skowronka” - z dumą oznajmił pan Nishamura. - Kiedy wybudowano ten zamek, wzięto wprawdzie pod uwagę pomieszczenia dla straży, jednak potrzebne były dodatkowe zabezpieczenia. Skonstruowano dwupoziomową podłogę, zostawiając przestrzeń między dwiema płaszczyznami. W dolną część podłogi wbito

gwoździe ostrzami do górnej płaszczyzny. Kiedy ktoś próbował wśliznąć się do sypialni szoguna, gwoździe rysowały spodnią część górnej podłogi, wydając piskliwy dźwięk, ostrzegający strażę o nadejściu nieproszonego gościa.

- Powinnaś coś takiego zainstalować w swoim hotelu - zasugerował Matthew. - Mogłabyś oszczędzić majątek na ochronie.

- Niegłupi pomysł - odparła rozbawiona Jinx.

Matthew wziął ją za rękę i poszli do ogrodu, śladem pana Nishamury.

- Mamy dziś przepiękny dzień! Zakwitły chryzantemy, załatwiliśmy wszystkie sprawy i nie mamy nic innego do roboty, tylko zachwycać się Japonią i cieszyć się sobą.

Jinx uśmiechnęła się, ale była zbyt pochłonięta dotykaniem dłoni Matthew, żeby cokolwiek odpowiedzieć. Ogarnęło ją uczucie ogromnego podniecenia. Co gorsza, Matthew dążył do ich fizycznej bliskości. W samochodzie przez całą drogę trzymał ją za rękę, kiedy spacerowali obejmował ją w talii i siadał przy niej bliżej, niż było to konieczne. Za każdym razem, kiedy mrugnął do niej okiem albo się uśmiechnął, przez jej ciało przepływały fale radości. Chwilami zachowywała się jak nastolatka. Parę razy, gdy poczuła się bardziej odprężona, żeby móc dostrzegać takie rzeczy, zauważyła, że Matthew był mniej poważny niż zwykle, weselszy, chłopięcy, mniej oficjalny. Podsuwał jej myśli, za których tokiem bała się podążać.

Robiło się późno. Pan Nishamura stwierdził, że wieczorne cienie jeszcze przydadzą piękna Złotemu Pawilonowi, więc pojechali przez miasto do Świątyni Kinkakuji. Dopadły ich tam hordy japońskich dzieci, które uśmiechały się z ożywieniem, chyliły głowy w ukłonach i błagały Matthew i Jinx, żeby złożyli swoje podpisy w małych książeczkach. Kiedy Jinx spojrzała zupełnie zdezorientowana na

przewodnika, ten wyjaśnił, że dzięki ich podpisom najmłodszy poznają rzymski alfabet.

- Boże! A ja miałem nadzieję, że pomyliły mnie z Tomem Selleckiem - powiedział Matthew z udanym rozczarowaniem.

Jinx przyjrzała mu się fachowym wzrokiem, ustawiając jego głowę pod innym kątem i patrząc na profil.

- Nic z tego - powiedziała przecząco kręcąc głową. - Jego dołeczki są głębsze! Matthew wziął ją za rękę i przyciągnął do boku, tak że dzieliła ich odległość zaledwie kilku centymetrów.

- Słuchaj, moja damo - rzekł naśladując Johna Wayne'a - to są dołeczki światowej klasy i proszę mi o tym nie zapominać.

Później nachylił się nad nią i pocałował ją w usta. Był to czuły, delikatny i bardzo, ale to bardzo krótki pocałunek, jednak nie umknął niczyjej uwagi, Pan Nishamura dyskretnie się odwrócił, a dzieci gapiły się zapamiętale, chcąc, żeby Matthew powtórzył to jeszcze raz. Natomiast Jinx spojrzała na Matthew i jej wzrok mówił tylko jedno: „szkoda, że nie jesteśmy sami”.

- Odwołuję to - wyszeptała, nie mogąc wydobyć z siebie normalnego głosu. - Twoje dołeczki są głębsze.

- Wiedziałem, że Bóg wróci ci rozum - powiedział, niechętnie wypuszczając ją z objęć.

Wziął ją pod rękę, pomachali na pożegnanie dzieciom, po czym weszli przez bramę na mały drewniany mostek, z którego mogli podziwiać pokryty złotem pawilon.

- Doznaję wrażenia, jakbym oglądała gigantyczną pocztówkę - powiedziała Jinx. Tysiące razy widziała tę scenę na okładkach kalendarzy i na reklamówkach linii lotniczych. - Wygląda prawie nienaturalnie.

- Jest jak najbardziej prawdziwa - powiedział pan Nishamura, wskazując palcem na świątynię lśniąca w

zachodzącym słońcu - jednak nie oryginalna. Chociaż wybudowano ją w czternastym wieku, w roku 1950 została spalona przez młodego księdza, który prawdopodobnie tak zakochał się w jej pięknie, że pragnął mieć ją tylko dla siebie. Odbudowa świątyni trwała pięć lat.

Przewodnik nie chciał skracać wycieczki, pozwolił im przez parę minut przyglądać się widokowi, który sam oglądał tysiące razy, po czym spojrzął na zegarek, na ciemniejące niebo i taktownie zapytał o ich plany na wieczór.

- Może chcieliby państwo, żebym wam polecił jakąś dobrą restaurację? - zapytał.

- Nie, dziękujemy - odparł szybko Matthew. - Jeśli byłby pan tak uprzejmy, to proszę podrzucić nas do hotelu. Spotkamy się jutro. Dzisiejszy wieczór mamy już zajęty.

Pan Nishamura uprzejmie skinął głową i grzecznie się uśmiechnął. Nigdy nie robił zakładów, lecz gdyby był hazardzistą, postawiłby tysiąc do jednego, że w planach Matthew nie było miejsca na kolację.

Po przybyciu do hotelu, Matthew poprowadził Jinx obok sadzawki, przez tylny ogród do tradycyjnego skrzydła „ryokan”, oddającego klimat autentycznej japońskiej gospody.

- Czy byłoby niegrzecznie, gdybym cię zapytała, gdzie mnie zabierasz? - spytała Jinx. Nie dawała tego po sobie poznać, ale była mocno poruszona jego uwodzicielskim zachowaniem.

- Zamówiłem kolację - powiedział - i myślę, że dobrze byłoby dotrzeć do pokoju, zanim obsługa przyniesie nam jedzenie.

Do pokoju... Nie do „twojego” pokoju, nie do „mojego” pokoju ani nie do „naszego” pokoju. Matthew był bardzo uprzejmy, lecz podchodził do niej z rezerwą graniczącą z nieśmiałością. Jinx uśmiechnęła się do siebie. Może tak samo

się denerwował i był tak samo niepewny jak ona przed wykonaniem następnego kroku.

W tylnej części ogrodu stał dwupiętrowy budynek z opadającymi liniami dachu i szeregiem kasetonowych drzwi. Wydawał się zredukowany do rozmiarów karła na tle dużego hotelu. U progu jednej pary drzwi stał banto - san - hotelowy chłopiec w niebieskim kimonie. Przywitał ich uśmiechem i pełnym szacunku uniżonym ukłonem. Zgodnie z japońskim zwyczajem Jinx i Matthew natychmiast zdjęli buty i postawili je na schodkach przy wejściu. Banto otworzył zewnętrzne drzwi i zaprosił ich do małego, jasnego przedsionka, prowadzącego do dużego pokoju.

Znajdowali się na wyższej kondygnacji, która w istocie była jeszcze jednym holem wyłożonym boazerią. W pomieszczeniu tuż pod świetlikiem stała toaletka, a w ścianach znajdowały się dwie pary drzwi, jedne prowadzące do toalety, a drugie do obszernej drewnianej łaźni. Dwa stopnie schodów dzieliły ich od przestronnego, pięknie usytuowanego pokoju. Stojący pośrodku długi, niski stół, lakierowany na wysoki połysk, otoczony był miękkimi czarnymi poduszkami. Na jednej ze ścian, kilka centymetrów nad podłogą, znajdowało się wejście do pokrytej kwiecistymi ornamentami alkowy. Wzdłuż przeciwległej ściany leżały dwie maty, na których układano materace z kołdrami. W rogu pokoju rysowała się jeszcze jedna para rozsuwanych drzwi, wychodzących na mały ogródek z malowniczymi skałkami, kilkoma karłowatymi sosnami, bukietami chryzantem, oświetlony latarniami.

- Przepiękne! - westchnęła Jinx, zachwycając się elegancją prostotą apartamentu.

- Cieszę się, że ci się podoba - odpowiedział Matthew ze szczerym uśmiechem. - Gdybyś miała jakieś zastrzeżenia, postawiłbym na baczność obsługę całego hotelu.

W tym momencie przeszła przez pokój służąca w kimonie, niosąc tacę z gorącą herbatą i ciasteczkami, którą postawiła na stoliku w ogrodzie. Razem z banto nisko się uklonili i wyszli.

- Czy mogę zaprosić cię na herbatkę przy zachodzie słońca?

Matthew szarmancko się uklonił, podał ramię Jinx i poprowadził ją na zewnątrz do małego stolika, przy którym stały dwa krzesła. Zanim usiadła, zdążył się odwrócić, położyć dłonie na jej talii i przyciągnąć do siebie. Jego usta nieśmiało otarły się o jej wargi, czekając na jej reakcję. Jinx objęła ramionami jego szyję, zachęcając go do głębszego pocałunku. Matthew przytulił ją mocniej i po raz pierwszy byli ze sobą tak blisko.

- Cały dzień na to czekałem - westchnął, nieco rozluźniając uścisk.

- Ja też - wyszeptała ogarnięta ciepłem własnych emocji. Była trochę speszona własnym zachowaniem, ale jego wargi ułożyły się w szczerym uśmiechu i w jednej chwili zapomniała o wstydzie.

- Zarezerwowałem jeden pokój - powiedział dając jej szansę sprzeciwu. Jinx podniosła wzrok. Przez moment nie mogli oderwać od siebie wzroku i siła spojrzenia Matthew wzbudziła w niej niepokój. Przemknęły jej przez myśl ostatnie trzy lata ich znajomości. Pomyślała, jaki był cudowny i troskliwy. Jednocześnie nie mogła zignorować tych kilku momentów, kiedy zapytała go o jego przeszłość, a on natychmiast urywał rozmowę. Pomyślała o dzielącym ich dystansie, o różnicach, jakie istniały między nimi. Nadal myślała o Kipie, jednak w tej chwili, w czułych objęciach Matthew, ogarnęło ją uczucie bezpieczeństwa i przeniknął dreszcz podniecenia.

- Nie potrzebujemy oddzielnych pokojów - odparła.

Nastrój następnych paru godzin przypominał klimat sonaty Beethovena, kiedy liryczny motyw narastał, drżał w powietrzu, ociągał się i zmieniał, jednak wkomponowany był w całość bogatej, romantycznej melodii. Matthew i Jinx zawarli milczącą zgodę, że nie będą się spieszyć. Pławili się w luksusie wolnego przemijania czasu, pozwalając, by ich emocje narastały w oczekiwaniu na crescendo wyzwolenia.

Kiedy wypili herbatę, służąca przyniosła im dwa świeżo wykrochmalone kimona. Matthew narzucił je na ubranie. Jinx sięgnęła po swoje i Matthew dostrzegł przepiękny haft na przodzie jej jedwabnej szaty.

- Jesteś zbyt piękna, żeby nosić zwykłe ubranie - powiedział, wręczając jej japoński ubiór.

Zażenowana, nie wiedząc, co powiedzieć i jak się zachować, zniknęła za drzwiami toalety. „Czy powinnam przebrać się na jego oczach? - zaczęła się zastanawiać. - Może powinnam wszystko z siebie zrzucić? A może założyć kimono na sukienkę? Skąd się wzięła u mnie ta dziewczęca skromność?” - pomyślała.

Gdy pojawiła się w drzwiach, mając pod kimonem tylko bieliznę, do pokoju podano kolację. Dwie służące obsługiwały ich z wielkim ceremoniałem, przygotowując przy stole sukiyani, napełniając małe filiżanki z laki ciepłą sake i oferując im plasterki ogórka na chryzantemowym liściu, odnoża zimnego kraba, parujący ryż i małe porcje sashimi w sosie musztardowym.

W pierwszej chwili Jinx wzdrygnęła się na myśl o zjedzeniu surowej ryby; wołała raczej spróbować innych przysmaków, jednak Matthew zapewnił ją, że te dziwnie wyglądające kaski są naprawdę przepyszne. Służące cichutko zachichotały i Jinx, skuszona jego zachętą, wzięła do ust różowy kawałek surowego tuńczyka. Nie wykrzywiła się z obrzydzenia. Nie wydało jej się to szczególnie smaczne, ale

kiedy patrzyła, jak Matthew z chirurgiczną precyzją manipuluje pałeczkami, pochłaniając rybę ze zdrowym apetytem, pomyślała, że nawet gdyby zaproponował jej teraz zjedzenie żywego węgorza, bez słowa sprzeciwu wsunęłaby go do ust.

Czuła, że się zakochuje. Było to dziwne doznanie, lecz kiedyś już doświadczyła tego uczucia. Tak dawno temu, iż nie mogła się oprzeć wrażeniu, że doznała tego w poprzednim wcieleniu. Przy każdym spojrzeniu Kipa cała pokrywała się rumieńcem. Wszystko wirowało jej w środku, kiedy przypadkowo jego ręka otarła się o jej dłoń. Nie mogła wydusić z siebie słowa, jąkała się i nerwowo przełykała ślinę, kiedy miała się odezwać. W tej chwili było podobnie, a jednak inaczej.

W towarzystwie Kipa była agresywna i zdecydowana zdobyć jego uczucie i zacieśnić ich znajomość. Przy Matthew stała się nieśmiała, pasywna, ciekawa, jak zinterpretuje noc spędzoną razem i denerwowała się, czy zdoła go zaspokoić. Z Kipem od razu była pewna siebie, lecz chociaż знаła Matthew już kilka lat, nadal czuła się trochę obco i niepewnie. Kip w ciągu kilku dni wszystko jej o sobie opowiedział. Przeszłość Matthew nadal pozostawała dla niej zagadką i pilnie strzeżoną tajemnicą. Kipa cechowała otwartość, szczerłość i chęć dzielenia się swoimi uczuciami. Matthew był mniej rozmowny, zamknięty w sobie, odległy i samotny jak bezludna wyspa. Fizycznie Kip był bardzo przystojny i sprawny. Matthew był wyższy i bardziej rozrośnięty; miał w sobie młodzieńczy witalizm i pociągającą męskość.

Czy naprawdę się w nim zakochałam? - pytała samą siebie. A może próbuję uciec od samotności? Może tylko zastępuję Kipa kimś innym? Może Matthew Grant podnieca mnie w specyficzny sposób, tak jak nigdy wcześniej nie podniecał mnie żaden mężczyzna?

Jej mózg pracował gorączkowo w natłoku pytań. Próbowwała skoncentrować się na posiłku, lecz myślami była gdzie indziej. Kiedy skończyli jeść i służące dyskretnie zniknęły za drzwiami, poczuła, że cała drży. Czuła się jak dziewczyna w noc poślubną, podniecona i wystraszona. Z chwilą, kiedy zostali sami w pokoju, wszystko się zmieniło.

W towarzystwie służących pokój wyglądał na żywy i jasny, drgający tysiącem barw i rozbrzmiewający pełnią życia. Teraz stał się cichy i zaciemniony; oświetlany jedynie przez płomień kilku świec i nieśmiałe promienie księżyca, które zdołały się wedrzeć przez otwarte okna. W rogu paliła się pachnąca trociczka, wypełniając powietrze zmysłową wonią sandałowego drzewa. Sprzątnięto naczynia i otoczenie znów nabrało wyrazu oszczędnej surowości.

Matthew podniósł się z miejsca i przeszedł naokoło stołu. Pomógł jej wstać, po czym bez słowa ujął jej twarz w dłonie i z czułością, delikatnie zaczął ją całować. Powoli jego palce rozdzielały pasma jej włosów. Ostrożnie odsunął wargi od jej ust i czule się uśmiechnął. Zaprowadził ją w kierunku mat, na których służba ułożyła materace i puszystą pościel. Przesunął dłońmi wzdłuż jej ramion, zsuwając z niej jedwabne kimono. Jego usta przylgnęły do jej warg, powędrowały do szyi i przywarły do piersi. Dreszcz przebiegł przez jej ciało, kiedy Matthew rozwiązał pasek kimona i jedwabny materiał osunął się na podłogę.

Zacząła ściągać bieliznę, ale Matthew powstrzymał ją, chcąc zostawić sobie tę przyjemność. Za kilka sekund stanęła przed nim naga. Chciała się przykryć, coś na siebie zarzucić albo położyć się na łóżku, zamiast stać tak bez ruchu pod ciężarem jego spojrzenia. Lecz Matthew znowu zaczął ją pieścić, odkrywając stopniowo tajemnice jej ciała. W jego dotyku wyczuła podziw i zachwyt i ogarnęło ją dziwne poczucie dumy. Obawiała się, że może nie być dla niego

wystarczająco atrakcyjna, że może nie pragnął jej tak bardzo jak ona jego, lecz zauroczenie i podziw Matthew były zupełnie oczywiste.

Odszedł od niej o krok i nie odrywając od niej wzroku, zdjął ubranie. Cofnęła się, kiedy położył się obok niej na materacu, czekając na następne pieszczoty. Gdy jego dłonie ponownie przesunęły się po jej ciele, zadrżała. Jego ruchy były zmysłowe i miały w sobie coś z celowości, budząc w niej tak silne pożądanie, że przestraszyła ją obezwładniająca siła własnych emocji. Przywarła do niego całym ciałem, czując, jak pulsuje w niej napiętność, obejmując go ramionami i składając na jego ciele gorące, szybkie pocałunki. Jej ciało zaczęło błagać o spełnienie, ale próbowała zachować nad sobą kontrolę, pozwalając mu odkrywać swoje sekretne zakamarki i szukając jego tajemnicy.

Każda chwila przynosiła nowy dreszcz rozkoszy. Każdy dotyk wywoływał wulkaniczną reakcję. Każda część jej ciała żyła własnym życiem, wyginając się, tańcząc i pulsując, podniecając zmysły do niewyobrażalnych granic. Jej biodra wyginały się i skręcały, zaspokajając jego żądania. Cała płonęła w środku płomieniem ekstatycznego ciepła, wypełniającego jej wnętrze. Zewnętrzny świat przestał dla niej istnieć.

Kiedy w końcu złączyli się ze sobą, poczuła w sobie jego męską siłę i ogarnęła ją natychmiastowa potrzeba spełnienia. Przywarli do siebie jeszcze bliżej i wstrzymując oddech, wznieśli się na szczyt rozkoszy. Przez długi czas leżeli bez ruchu w swoich ramionach, nie tracąc energii na zbędne słowa, nie mogąc znieść myśli o rozłące, bojąc się, że za chwilę pryśnie czar ich zjednoczenia.

- Jesteś cudowna - wyszeptał Matthew. - Naprawdę. Jesteś najwspanialszą kobietą, jaką kiedykolwiek spotkałem. -

Pocałował ją i odgarnął pasmo włosów z jej twarzy. - Dałaś mi szczęście - powiedział, nie czekając na jej odpowiedź.

Pragnęła mu powiedzieć, jak bardzo go kocha. Pragnęła, by on też jej powiedział to samo. Pragnęła wierzyć, że ta noc wybiegała poza ten pokój i to łóżko. Ale kiedy jej ciało ochłoneło i umysł stał się bardziej aktywny, ponownie ogarnęły ją wątpliwości.

Z nikim się nie kochałam od śmierci Kipa - pomyślała. Może to tylko wybuch stłumionej frustracji? Może nie było to nic więcej niż banalny wakacyjny romans?

- Nie zaznałaś ode mnie rozkoszy - głos Matthew wdarł się w jej myśli.

- Ależ tak - zaprzeczyła, wracając myślami na ziemię. - Naprawdę. Matthew uniósł się na łokciu i uważnie jej się przyjrzał. Miał poważną twarz.

- Ciągłe myślisz o Kipie?

Jinx poczuła się winna. Właściwie dopiero przed sekundą jej myśli podążyły w tym kierunku.

- Dziwnie było kochać się z innym mężczyzną?

- Tak - szczerze odpowiedziała, nieświadomie obracając obrączkę na palcu.

- Nie chciałem cię przynaglać.

Wiedziała, jak bardzo się o nią troszczył, i to tylko wzmogło jej uczucie.

- Matthew, było naprawdę cudownie. To była fantastyczna, baśniowa noc. Jest mi tak dobrze.

- Cieszę się - powiedział. - Nigdy nie uczyniłbym ci najmniejszej krzywdy. Za bardzo mi na tobie zależy.

Nachylił się nad nią i delikatnie pocałował. Jego usta znowu mocniej przywarły do jej warg i ponownie poczuła ten sam wstrząsający dreszcz. Odwzajemniła czuły pocałunek.

Co ją w nim tak podniecało? Dlaczego znowu pragnęła się z nim kochać?

Spojrzała na niego i zauważyła, że on także poczuł się już odrodzony. Ze zdecydowaniem, które jeszcze przed chwilą próbowała w sobie stłumić, wyciągnęła ręce i przyciągnęła go do siebie, całując go w sposób całkowicie wykluczający jakąkolwiek rozmowę lub sen.

- Pragnę cię, Matthew Grant - powiedziała głosem zachrypłym z podniecenia. Wyciągnął się obok niej, wziął ją w ramiona i przytulił do siebie.

- Więc będziesz mnie miała, Frances Rebecca Kipling - odpowiedział - ponieważ Bóg jeden wie, jak bardzo pragnę się z tobą kochać!

Następnego dnia o godzinie dziesiątej w recepcji hotelu, zgodnie z wcześniejszymi ustaleniami, zjawił się pan Nishamura, któremu wręczono kopertę zawierającą czek i uprzejmy bilecik ze słowami: „Dziękujemy. W razie potrzeby skontaktujemy się z panem”.

Jinx i Matthew nawet na minutę nie wyszli z pokoju. Właściwie wcale nie wychodzili z łóżka. Dwa razy zamówili herbatę do westybulu i późnym popołudniem wezwali służbę, żeby przygotowała im kąpiel.

- A oto stary japoński rytuał - powiedział Matthew, kiedy otworzyli drzwi do wykładanej boazerią kabiny prysznic. - Zwyczaj ten nakazuje dobrze wypocząć pod koniec długiego, męczącego dnia.

Jinx roześmiała się.

- Musiałabym być zupełnie nieprzytomna - odparła - żeby czuć się jeszcze bardziej odprężona niż jestem!

Matthew zamknął drzwi i lekko pchnął Jinx, tak że się o nie oparła.

- Błagam! Tylko mi nie mdlej! Nie chciałbym być zmuszony do tego, żeby cię wykorzystać.

Zwilżył jej usta serią krótkich pocałunków i zaczął łaskotać ją wargami, tak że zachichotała i odepchnęła go.

- No, chodź już - przynagliła go Jinx, zdejmując kimono. Podwiązała do góry włosy i odkręciła prysznic. - Nie chcę, żeby woda w wannie wystygła. Wygląda fantastycznie!

- Tak samo jak ty - powiedział Matthew, celowo się ociągając.

- Jesteś nieprzyzwoitym młodzieńcem - odparła i zamknęła oczy, pozwalając, aby ciepła woda obmywała jej ciało.

- Nieprzyzwoitość jest stanem umysłu - odpowiedział, stając pod drugim prysznicem i wodząc spienioną gąbką po swoim ciele - a mój umysł jest tak czysty jak wczesny grudniowy śnieg.

- Dobrze. W takim razie ja jestem Joanna d'Arc. - Jinx znowu się zaśmiała i chlapnęła na niego wodą.

- Wyłącznie dlatego, żeby ci udowodnić, iż nie gniewam się za tę złośliwość - zaczął Matthew, idąc w jej kierunku z chropowatą gąbką - będę wyjątkowo miłym facetem i wyszoruję ci plecy, brzuch i wszystko, na czym spoczną moje ręce.

Delikatnie otarł gąbką jej udo, policzki, nos i szyję. Umył jej ramiona, odwrócił do tyłu i namydlił plecy. Znowu ją obrócił, przesunął gąbką wzdłuż linii jej szyi aż do brzucha, po czym masował brodawki jej piersi. Ponownie się do niej przysunął, objął ją ramionami i pocałował.

- Nie mogę się tobą nasycić - powiedział, lekko krztusząc się wodą.

Jinx objęła go za szyję i przyciągnęła do siebie, napawając się dotykiem jego mokrego, nagiego ciała.

- Ja też nie - powiedziała z półuśmiechem - ale myślę, że już najwyższa pora, by w końcu się zamoczyć.

- Uwaga praktycznej kobiety. Założę się, że następną rzeczą, o którą mnie poprosisz, będzie pójdzie na kolację.

Jinx przecząco pokręciła głową, zakręciła prysznic i weszła do obszernej, w połowie wypełnionej parującą wodą wanny. Usiadła na krawędzi.

- Zamówimy do pokoju.

- Dobry pomysł - powiedział Matthew, sadowiąc się obok niej. - Wiedziałem, że niegłupio robię, szalejąc na twoim punkcie.

Jinx położyła się w wodzie, oparła głowę o ścianę, zamknęła oczy i pozwoliła odpłynąć swojemu napięciu wraz z przyływem parującego ciepła. Jednocześnie poczuła odprężenie w mięśniach i wpatrzony w nią wzrok Matthew.

- Chcę ci powiedzieć, że cię kocham - odezwał się niespodziewanie Matthew. - Ale to pociąga za sobą pewne zobowiązanie, na które nie jestem jeszcze przygotowany.

Jinx podniosła głowę i przyjrzała mu się z ciekawością. Było coś takiego w jego oczach, co wcześniej już dostrzegła, lecz czego nie udało jej się zinterpretować.

- Nie wymagam tego od ciebie - odparła czule. - Szczerze mówiąc, ja też nie jestem jeszcze gotowa.

Matthew zagapił się w wodę, która zmarszczyła się, rozgarnięta ruchem jego palców. Jinx dawała mu czas. Czowała, że chciał coś jeszcze powiedzieć i miała nadzieję, że nie było to nic, o czym wolałaby nie usłyszeć.

- Byłem żonaty - powiedział, nie podnosząc wzroku.

- Byłeś?

- Rozwiodłem się.

Spojrzał w górę i dopiero wtedy Jinx potrafiła określić jego enigmatyczne spojrzenie. Wyrażało bezmierne cierpienie.

- Chcesz o tym porozmawiać? - zapytała. - Czy w ogóle możesz o tym rozmawiać?

- Nie - odparł. - Raczej nie. Nawet z tobą.

Jinx zobaczyła, jak na jego twarz zstępuje gradowa chmura, a z błękitnych oczu uciekają promienie życia. Intuicja

podpowiadała jej, że jego ból nie był spowodowany zachowaniem dwojga ludzi, którym się nie udało. Musiało zdarzyć się coś strasznego.

- Kocham cię, Matthew.

Przez moment nie była pewna, czy ją usłyszał. Wydawał się zagubiony w czarnej przeszłości, ogarnięty cierpieniem, które opłotło go jak pajęcza sieć.

- Myślałem, że nie chcesz podejmować żadnych zobowiązań - powiedział po chwili.

- To nie jest zobowiązanie. - Jinx podniosła się i dotknęła dłonią jego policzka. Koniuszek jej palca zamoczyła kroplą, która nie pochodziła z wody, lecz spłynęła z jego oka. - To czuję właśnie w tej chwili, w tym momencie.

Spojrzał na nią z niedowierzaniem. Po chwili nachylił się i delikatnie ją pocałował.

- W tej chwili ja też ciebie kocham - odparł.

Jinx przypomniało się, jak zawsze myślała, że jej uczucie do Kipa będzie trwało wiecznie. Jakże krótka okazała się ta wieczność. Uśmiechnęła się i odpowiedziała pocałunkiem na pocałunek Matthew.

- Liczy się tylko teraz - powiedziała.

Było jeszcze bardzo wcześnie, kiedy dobiegło ich natrętnie pukanie do drzwi.

- To musi być pan Nishamura - powiedział Matthew, z trudem otwierając oczy. - Zdaje się, że mieliśmy dzisiaj odwiedzić ogród Ryoanji i pograć się w świętości buddyźmu Zen.

- Nieźle się zapowiada. - Jinx roześmiała się, wkładając na siebie jedwabne kimono i rozczesując palcami włosy. - Dobrze nam zrobi, jeśli zaczerpnjemy trochę świeżego powietrza. Poproszę go, żeby na nas zaczekał.

Kiedy wróciła do pokoju, jej twarz była blada jak kreda. - Muszę wracać do domu. Trzymała w dłoni telegram.

- Co się stało? - zapytał Matthew już całkowicie rozbudzony. - Wszystko w porządku z Joy?

Jinx pokiwała głową.

- Mój zły duch, Jeffrey Dodge, właśnie wykorzystał moją nieobecność i zarządził budowę nowego hotelu.

- Czy to aż takie poważne? - Matthew widział w jej wzroku troskę i obezwładniający gniew.

- Odrzuciłam tę ofertę, gdyż wiązała się z rozbiórką kilku pensjonatów z pojedynczymi pokojami, zamieszkiwanych przez biednych, starych i schorowanych ludzi. Nie chciałam słyszeć o wyrzuceniu ich na ulicę. Kip nigdy by nie pozwolił na coś takiego i Dodge doskonale o tym wiedział.

Jinx opowiedziała Matthew o swojej zimnej wojnie z Dodge'em. Wcześniej już często napomykała o tym, że za punkt honoru wzięła sobie zarządzanie kompanią zgodnie z wolą Kipa. Mówiła o dręczącym ją przeczuciu, że Dodge nie tylko ma ochotę na podważenie jej stanowiska jako szefa „Kipling Worldwide”, lecz także, gdyby nadarzyła mu się sposobność, z chęcią by po nie sięgnął. Matthew za każdym razem starał się ją uspokoić, przekonując ją, że zachowanie Dodge'a było tylko wyrazem zawiści i że w ten sposób usiłował sobie wynagrodzić zmniejszenie wpływów w korporacji. Jednak teraz, patrząc na twarz Jinx, zaczął z niepokojem odnosić się do jej obaw. - Pojadę z tobą - powiedział.

Jinx zgmiotła w dłoni telegram i cisnęła go na podłogę.

- Nie - zdecydowała. Jej usta zacisnęły się w wąską kreskę, a w oczach pojawił się gniew. - Z tym muszę sama sobie poradzić.

Kiedy Jeffrey Dodge wszedł do gabinetu, zastał w nim Milтона Foxa - prawnika Kipa, i oczekującą go Jinx.

- Jak się masz, Milton? - zapytał pozdrawiając Foxa uściskiem dłoni i siadając naprzeciwko Jinx. - Jak się udał pobyt w Japonii? - zapytał.

- Doskonale - powiedziała spokojnie. - Oddział neurologiczny imienia Kiplinga jest świetnie wyposażony i gotowy na przyjęcie pacjentów. Ale nie jesteśmy tutaj, żeby dyskutować o moich sprawach, tylko twoich.

Dodge przeniósł wzrok z Jinx na Milтона, po czym ponownie spojrział na Jinx. - Nie wiem, o czym mówicie.

- Kiedy byłam w Japonii - mówiła Jinx, nie spuszczać wzroku z Dodge'a - wydałeś polecenie budowy nowego, dużego kompleksu hotelowego w dzielnicy teatralnej.

- Tak, to prawda - powiedział, przyjmując swój normalny, pełen zuchwałości ton. - Tylko realizowałem twoje plany. Pamiętasz, jak obiecywałaś pomóc miastu w oczyszczeniu rejonu Times Square?

- Pamiętam, że zgodnie z moimi planami hotel miał stać na terenie rzadko używanych parkingów i nie wykorzystanych magazynów. Twoja propozycja zakłada wyburzenie pensjonatów, a to się wiąże z wyrzuceniem setki starców na ulicę. Ten „mały planik” jest nie tylko źle dopracowany, ale także, pozwól, że użyję twojego określenia - nieodpowiedzialny.

Dodge spodziewał się starcia z histeryzującą kobietą, toteż postawa Jinx wprowadziła go w osłupienie. Głos miała zdecydowany i całkowicie opanowany, a jej zachowanie było pewne siebie i bardzo stanowcze.

- Wiesz dobrze, że nie możemy się z tego wycofać, nie sprawiając niekorzystnego wrażenia na władzach miasta. Powinieneś być również świadomy, że eksmisja biednych i bezradnych ludzi rozpęta burzę dyskusji w prasie i nie wyda dobrego świadectwa o sieci hoteli „Kipling”. Oczywiście

uważam twój czyn za działanie z premedytacją, mające na celu wystawienie mnie na uzasadnione zarzuty dziennikarzy.

Dodge skurczył się w fotelu. Spojrzał na Milтона Foxa w poszukiwaniu aprobaty, ale Milton siedział wpatrzony w Jinx.

- Jeśli cię to aż tak bardzo niepokoi, myślę, że możemy zorganizować mieszkania zastępcze - powiedział Dodge, nagle odczuwając potrzebę usprawiedliwienia swojego działania.

- Nie ma żadnego „jeśli” w tej kwestii. To ty znajdziesz odpowiednie mieszkania dla wszystkich ludzi zamieszkujących hotele przeznaczone do rozbiórki i to ty pójdziesz na spotkanie z prasą i wyjaśnisz, dlaczego, będąc przedstawicielem korporacji „Kiplinga”, podjąłeś tak kontrowersyjną decyzję.

Dodge cały czas przenosił wzrok z Milтона na Jinx. Jego poczucie niepewności wzmogło się.

- A co będzie, jeśli odmówię?

- Wtedy będę zmuszona uznać cię za osobę wykazującą brak szacunku dla przełożonych, ignorującą swoje obowiązki i uchylającą się przed odpowiedzialnością za podjęte decyzje, a tym samym za osobę niepożądaną w radzie nadzorczej „Kipling Worldwide”. Będę zmuszona cię zwolnić.

Dodge spojrział na nią z niedowierzaniem.

- Nie mówisz tego poważnie? - powiedział.

- Ależ jak najbardziej - odpowiedziała, opierając się na łokciach i patrząc mu prosto w twarz.

- Nie możesz tego zrobić - zaprotestował i zwrócił się do Milтона Foxa. - Powiedz jej, że nie może mnie wyrzucić. Mam kontrakt, który jest ważny jeszcze przez trzy lata.

Jakby przewidując jego słowa, Fox wyjął z aktówki plik papierów.

- Cztery lata temu, kiedy pan Dodge został mianowany na zastępcę szefa „Kipling Worldwide”, podpisali z Kipem siedmioletnią umowę o pracę, która mówi że pan Dodge może

być zwolniony tylko w szczególnych okolicznościach. - Milton przeczytał ustęp głosem pozbawionym jakichkolwiek emocji i zaangażowania.

- Musisz przestrzegać tej umowy - powiedział Dodge tonem człowieka przyciśniętego do muru.

- Jaki może być ten „szczególny przypadek”, który prawo bierze pod uwagę? - Jinx zwróciła się do Milтона, ignorując uwagę Dodge'a.

Fox spojrzawszy spod okularów na kartkę papieru.

- W tym wypadku - zaczął - szczególny przypadek określony jest jako duże zaniedbanie, działanie ze szkodą dla firmy lub lekceważenie odpowiedzialności wymaganej na stanowisku pracy. Jeżeli nie będziesz w stanie udowodnić przynajmniej jednego z wyżej wymienionych punktów, Jeffrey ma prawo pozwać cię do sądu i domagać się wypłacenia odszkodowania równego swojej trzyletniej pensji, co, jak wiesz, będzie niebagatelną sumą.

- A jeśli będę w stanie to udowodnić? - zapytała Jinx.

- Wówczas nie będziesz musiała płacić mu ani grosza.

- Dziękuję, Miltonie - powiedziała z uprzejmym uśmiechem. - A teraz czy mógłbyś zostawić nas samych?

- Oczywiście. - Fox podniósł się z miejsca i pożegnał Dodge'a uściskiem dłoni. - Do widzenia - powiedział i wyszedł z gabinetu.

- Co to wszystko ma znaczyć? - Dodge poderwał się na równe nogi i prawie krzycząc, domagał się odpowiedzi.

- Gdzie jest twój honor, poczucie obowiązku i uczciwość? - zapytała Jinx. - Kiedyś powiedziałeś, że ponad wszystko cenisz sobie lojalność i nigdy nie pozwolisz, żeby ktoś popsuł twoje stosunki z Kipem. Jestem wdową po Kipie i jednocześnie przewodniczącą rady nadzorczej i albo będziesz lojalny w stosunku do tej kompanii, albo z trzaskiem wyrzucę cię za drzwi. Jeszcze raz posuniesz się do takiej sztuczki, a tak

zinterpretuję twoje zachowanie, by dokładnie pasowało do listy oskarżeń odczytanej przez Miliona. Uwierz mi, Jeffrey, nie doceniasz mnie.

- Nasze stosunki nigdy nie układały się najlepiej - zaczął Dodge, nagle zmieniając ton rozmowy. - Przyznaję, że na początku nie traktowałem cię zbyt dobrze, ale zyskałaś mój szacunek. Nawet cię polubiłem. Chcę, żebyś o tym wiedziała.

- Nic o tym nie wiem - odparowała. - Wiem jedynie, że właśnie próbujesz zrujnować „Kipling Worldwide”, ale ja na to nie pozwolę.

Dodge spojrział na nią z wściekłością.

- To ty rujnujesz tę kompanię, pani Kipling! - krzyczał Dodge.

- Być może - odparła zrównoważonym tonem. - Ale to moja firma, a nie twoja.

Dodge odwrócił się i wyszedł z gabinetu, zostawiając za sobą fale wibrującej wrogości.

Jinx wyjrzała przez okno i odetchnęła z ulgą. Koniec pierwszej rundy, pomyślała. Biorąc pod uwagę wszystkie okoliczności, sądziła, że wyszła z niej zwycięsko. Ale Jeffrey Dodge był długodystansowcem i wiedziała, że ich walka dopiero się rozpoczęła.

- Od dziecka miałam te okropne bóle głowy - powiedziała Becca. Siedziała naprzeciwko Matthew Granta. - Ostatnio znacznie się nasiliły i pomyślałam, że dobrze byłoby, gdyby mnie ktoś przebadał. Skoro i tak już pracujemy razem nad tą charytatywną kolacją, a pan cieszy się tak świetną opinią, postanowiłam przyjść do pana.

Uśmiechnęła się i założyła nogę na nogę, subtelnie unosząc spódnicę i odsłaniając kolano. Becca nie była zmysłową kobietą. Nie miała seksualnych potrzeb, chociaż czasami w środku nocy jakaś nie zidentyfikowana część jej „ja” zaczynała dopominać się o swoje prawa.

Ostatnio miewała dziwne sny. Widziała w nich, jak kocha się z Matthew Grantem. Widziała, jak on ją uwodzi, pieści i w nieskończoność przedłuża chwilę namiętności. Za każdym razem pytała go, czy ktoś jeszcze liczy się w jego życiu i zawsze odpowiadał, że ona jest dla niego jedyną kobietą i tylko ona może uczynić go szczęśliwym. Uzbrojona w pewność siebie, której dodawała jej wygórowana pensja i lukratywny status prezydenta zrzeszenia kobiet, Becca postanowiła urzeczywistnić swoje senne marzenia.

- Czy może pani opisać te bóle? - zapytał.

Jego głos był głęboki i dźwięczny. Patrzył na nią przyjaźnie i spokojnie. Wydał się Becce bardzo seksowny i od dwóch miesięcy wynajdywała coraz to nowe preteksty, żeby go zobaczyć.

Poprosiła go, żeby wybrał lokal na najbliższe zgromadzenie. Spędzała z nim godziny nad układaniem listy potencjalnych uczestników. Zdołała go przekonać, żeby oprowadził bogate damy z towarzystwa po nowo otwartym

oddziale neurologicznym w celu otworzenia ich sakiewek na potrzeby szpitala. Nawet udało jej się go nakłonić do przybycia na kilka czwartkowych wieczorków, które sama organizowała.

Wszystko, co dotyczyło osoby Matthew Granta, niezmiernie ją intrygowało. Nie był z nikim związany, co wydawałoby jej się dziwne u mężczyzny w wieku trzydziestu paru lat, gdyby nie męskość Matthew, która nie pozostawiała żadnych wątpliwości. Zastanawiało ją również, dlaczego zdawał się tak odporny na kobiece wdzięki. Becca próbowała różnych sposobów. Kilka razy przekroczyła nawet granice subtelności, sugerując, że na jego życzenie mogłaby zorganizować prywatny wieczorek. Co więcej, uważnie słuchając plotek w czasie przerwy na lunch, dowiedziała się, że odrzucił również awanse innych kobiet (a była ich całkiem pokaźna liczba), które miały ochotę na przelotny romans z tym przystojnym doktorkiem. Ostatnimi czasy widziała Matthew idącego ręką w rękę z Jinx, co tylko wzmoгло jej ciekawość. Przekartkowała już wszystkie gazety, szukając zdjęć tej pary w kronikach towarzyskich, ale nic nie znalazła. Mogły istnieć tylko trzy powody takiego stanu rzeczy. Fascynacja prasy życiem i pracą Jinx Kipling minęła całkowicie, znajomość Matthew Granta z panią Kipling ograniczała się do założenia fundacji oddziału neurologicznego bądź też utrzymywali swój romans w wielkiej tajemnicy.

Każda nowinka towarzyska wzbudzała w Becce nieposkromioną ciekawość, a wszystko, co dotyczyło Matthew Granta, obchodziło ją w dwójnasób. Jonathan coraz bardziej się od niej oddalał i potrzebowała względów innego mężczyzny, jakiegokolwiek odpowiednio sytuowanego przedstawiciela płci odmiennej. Matthew Grant był dla niej wyzwaniem.

- Są bardzo dotkliwe - powiedziała zauważając, że na jego biurku nie ma żadnych zdjęć, ani jednej oprawionej w ramki fotografii żony i dzieci. - Zazwyczaj zaczynają się przy skroniach. - Dotknęła dłońmi miejsce nad uszami i wolno zaczęła zataczać palcami małe kręgi. - Później zaczynają ogarniać cały mózg. Pulsują aż do momentu, kiedy właściwie zaczynam tracić wzrok.

Kiedy mówiła, robił zapiski w żółtym notatniku.

- Czasami nie pomaga nawet kofeina. - Zrobiła smutną minę, pragnąc sprawić wrażenie kruchej „kobietki”, która zupełnie nie może sobie poradzić ze swoją dolegliwością. - Nie mogę wówczas znieść widoku nawet najbardziej bladego światła. Muszę się położyć w kompletnej ciemności i czekać, aż ból się nieco zmniejszy. Zwykle trwa to godzinami, a czasami nawet kilka dni.

- Czy towarzyszy temu złe samopoczucie i wymioty?

- Czasami - odparła sprawiając wrażenie osoby, która pierwszy raz słyszy to pytanie.

- Czy kiedykolwiek kontaktowała się pani z innym lekarzem? - zapytał.

- Owszem. Kiedy byłam dzieckiem, zajmował się mną rodzinny internista. Później po prostu nauczyłam się z tym żyć.

Pokiwał głową w bezosobowy sposób, w jaki lekarze reagują na zwierzenia swoich pacjentów.

- Czy te bóle pojawiają się w momentach stresu?

Becca starała się wyglądać na uosobienie nieśmiałości, jakby napięcie było małą kobiecą dolegliwością, jak wydzielenie się potu lub innych woni pochodzących z ciała.

- Chyba tak.

- Czy towarzyszy im jakaś prawidłowość? Mam na myśli szczególną okoliczność albo powtarzający się powód.

Za każdym razem, kiedy słyszę imię Jinx Kipling. Miała to już na końcu języka, lecz w ostatniej chwili się powstrzymała.

- Nie. Trudno mi wskazać jakąś przyczynę.

- Może występują przed miesiączką?

Na jej twarzy pojawił się wyćwiczony rumieniec, ale Matthew był zbyt zajęty robieniem notatek, żeby go zauważyć.

- Nie zaobserwowałem takiej regularności.

- Czy miewała pani kłopoty z zatokami albo jakąś alergię?

Zacząła już być zmęczona tym przesłuchaniem. Chciała, żeby wstał zza biurka, podszedł do niej i zaczął masować jej skronie albo gładzić ją po czole. Pragnęła, żeby coś zrobił, cokolwiek. Kiedy odłożył długopis i spojrzał jej w oczy, wstrząsnął nią emocjonujący dreszczyk.

- Wygląda na to, pani Hillman, że cierpi pani na chroniczną migrenę. Zazwyczaj sugeruję moim pacjentom, żeby zastosowali biologiczne sprzężenie zwrotne w celu zmniejszenia napływu krwi do czaszki. Zazwyczaj powoduje to redukcję pulsacji w arteriach głowy. Zalecałbym także zrezygnowanie z czekolady, orzechów i innych słodczy, które tylko wpływają na pogorszenie tego stanu.

Becca ze znużeniem pokiwała głową. Nie ukrywała rozczarowania.

- Oczywiście mógłbym przepisać pani jakieś tabletki, ale obawiam się, że w tym wypadku niewiele pomogą.

- Szkoda - powiedziała zrezygnowanym głosem. - Miałam nadzieję, że przepisze mi pan jakąś magiczną pigułkę, po której ból odejdzie, jak ręką odjął.

Wstał i uśmiechnął się do niej po raz pierwszy tego popołudnia.

- Chciałbym pani pomóc - odparł podchodząc do jej krzesła i odprowadzając ją do drzwi. - Ale jestem tylko lekarzem, nie cudotwórcą.

Becca miała właśnie powiedzieć mu jakiś komplement na temat jego medycznej sławy i zaprosić go na wieczornego drinka, ale brutalnie przerwał jej dźwięk telefonu. Przeprosił ją i podniósł słuchawkę. Wiadomość była krótka. Matthew bez słowa odłożył słuchawkę, podszedł do stojącej przy drzwiach Becki i wziął ją za rękę.

- Pani Hillman, musi pani ze mną iść.

Twarz doktora była nieprzenikniona, ale w jego oczach pojawiło się współczucie, które wydało się jej podejrzane. Coś się stało.

- Dlaczego? - zapytała i serce podeszło jej do gardła.

- Przywieziono pani męża. Miał wypadek na motorze. Pod Beccą ugięły się kolana. Zamknęła oczy i kąciki jej ust opadły w nie udawanym szoku.

- Kiedy to się stało? Gdzie? - Serce zaczęło jej walić jak młot. Trzęsły jej się ręce.

- Parę przecnic od szpitala, mniej więcej dziesięć minut temu - odparł Matthew i pociągnął ją w stronę drzwi.

- Jak on się czuje?

- Nic nie mogę pani powiedzieć, dopóki go nie zbadam - powiedział Matthew. Jednak w mózgu kołatała mu tylko jedna myśl: jeżeli mnie do tego wezwali, to nie może być z nim dobrze.

Becca od ponad godziny przemierzała korytarz przed izolatką w tę i z powrotem, w oczekiwaniu na wiadomość o stanie Jonathana. Sekretarka Matthew przyniosła jej kawę, dwie tabletki na uśmierzenie bólu głowy i uprzejmie zaproponowała, że zawiadomi rodziców Becki i Jonathana. Za chwilę wróciła z informacją, że Hillmanowie i Sylvia Ross przyjadą wieczorem do Los Angeles. Ben, który nadzorował

realizację kampanii reklamowej w Los Angeles, właśnie był w drodze do szpitala.

Kiedy wszedł do holu, Matthew wychodził z izolatki. Po krótkiej wymianie nazwisk poprosił go z Beccą do małego pokoju w końcu korytarza.

- Co z moim zięciem? - zapytał Ben obejmując córkę ramieniem.

- Jonathan miał bardzo poważny wypadek - powiedział doktor, starając się przygotować ich na najgorsze. - Ma złamaną prawą rękę i prawą nogę, doznał paru groźnych otarć, ale najpoważniejszy problem tkwi w tym, że prowadził bez kasku. Siła upadku spowodowała złamanie kości czaszki i kilka wewnętrznych obrażeń. Zaaplikowaliśmy mu sporą dawkę pantobarbitalu, żeby zlikwidować obrzęk wewnątrz czaszki. Kiedy obrzęk zacznie się zmniejszać, będziemy mogli coś więcej powiedzieć.

- Niech pan przetłumaczy to na angielski - uciął mu Ben zniecierpliwiony tym, co zawsze określał mianem lekarskiej nowomowy.

Nieprzyjemny komentarz Bena spłynął po Matthew jak woda po kacze. Setki razy przeprowadzał takie rozmowy. Zaprzeczenie i gniew były typowymi reakcjami na pierwszą wiadomość o stanie pacjenta i Matthew nigdy nie spodziewał się wyjątków od tej reguły, nawet od człowieka, który, jak wiedział, był ojcem Jinx.

- Pani Hillman, zrobiliśmy EEG - powiedział zwracając się wyłącznie do Becki. - Na razie otrzymaliśmy charakterystykę liniową, co oznacza, że w korze mózgowej nie ma przepływu energii.

Mózg Becki zaczął łomotać o ściany czaszki. Nie mogła wydusić z siebie ani słowa. Patrzyła na Matthew nieprzytomnym spojrzeniem spod półotwartych powiek.

- Taka charakterystyka EEG nie należy do rzadkości po podaniu pentobarbitalu - powiedział cichym i zimnym profesjonalnym tonem. - Szczególnie po tak dużej dawce. Kiedy lek przestanie działać, zrobimy jeszcze jeden encefalogram. Na razie jest pod aparatem tlenowym i przeprowadzamy transfuzję krwi. Jak tylko skończymy, przeniesiemy go na oddział intensywnej terapii.

- Dlaczego nie operujecie? - dopytywał się Ben przerażony tym, co usłyszał, i jeszcze bardziej zdenerwowany tym, co Matthew z lekarskiego obowiązku na razie zachował dla siebie.

- Panie Ross, zrobiliśmy także skaning mózgu. Operację przy otwartej czaszce przeprowadzamy tylko w trzech przypadkach: kiedy w obrębie czaszki pojawi się odprysk kości lub wolny fragment tkanki; gdy w mózgu występuje zator lub uszkodzenie arterii; albo jeśli do wnętrza dostanie się ciało obce, które należy niezwłocznie usunąć. W przypadku Jonathana nie zaobserwowaliśmy żadnego z tych symptomów. Operacja nic by nie pomogła, a najprawdopodobniej jeszcze by mu zaszkodziła.

Matthew celowo przyjął oficjalny ton. Ostatnią rzeczą, którą chciał robić, było dawanie nadziei bez pokrycia. Podszedł do Becki i poklepał ją po ramieniu.

- Muszę wracać do Jonathana - powiedział. - Jak już go zainstalujemy na intensywnej terapii, przyjdę do państwa.

Becca obserwowała go, jak wychodził z pokoju. Chciałaby mieć tyle odwagi, żeby poprosić go, aby został przy niej. Postawny, w białym fartuchu, wydawał jej się taki mocny i działał na nią jak balsam.

- Na pewno mu się uda, kochanie - powiedział Ben. Nie wierzył w ani jedno słowo z tego, co mówił, ale starał się pocieszyć Becę, która właśnie zaczęła płakać. - Zobaczysz. Będzie dzielnie walczył i wyjdzie z tego zwycięsko.

Cały system emocjonalny Becki był w stanie kompletnego chaosu. Wewnętrznie czuła się wystraszona, wściekła i sfrustrowana, ale nie potrafiła wytłumaczyć tego Benowi. Nigdy by nie zrozumiał jej historycznych obaw. Ile razy ostrzegała Jonathana przed jazdą bez kasku? Ile razy starała się go odwieść od tego młodzieńczego, brawurowego i niebezpiecznego zamiłowania do szybkości? Ile razy błagała Marka, żeby nie pożyczał mu motoru?

- Co będzie, jeśli on umrze? - zaszlochała opierając głowę na piersi ojca. - Co ja zrobię? Nie mam tyle siły, żebym sama dała sobie radę w życiu.

Tylko jedna część osobowości podpowiadała jej te słowa. Druga z zimną krwią kalkulowała, jaki wpływ na jej życie miałyby śmierć Jonathana. Nie mieli prawie żadnych oszczędności. Wydała już wszystkie pieniądze, które zarobił, i jak się orientowała, Jonathan nie_ ubezpieczył się na wypadek śmierci. Nie urodziła dla Maxa Hillmana żadnego dziedzica, którym musiałaby się opiekować. Zastanawiała się, kiedy Max przestałby dawać jej pieniądze i jak długo byłaby w stanie utrzymać się bez jego pomocy.

- Becco, zawsze jestem z tobą - powiedział Ben, biorąc jej milczenie za oznakę żalu i głaszcząc ją po włosach. - Jesteś silniejsza, niż przypuszczasz, kochanie. I zobaczysz, że dasz sobie radę bez względu na to, co się stanie.

- Może wyjść z tego zupełnie sparaliżowany i bezwolny jak roślina - powiedziała i wizja przykutego do łóżka Jonathana przytłoczyła ją bardziej niż perspektywa jego śmierci.

- Doktor Grant nie dopuszczał takiej możliwości - odparł Ben, w duchu przerażony tą samą obawą. - Zachowajmy spokój i zostawmy go pod opieką lekarzy.

Becca skinęła głową, lecz w jej mózgu kołatała się tylko jedna myśl: „a kto się mną zajmie?”

Max Hillman był tak porażony widokiem syna, że Matthew natychmiast oddał go w ręce kardiologa. Ruth Hillman doznała poważnego szoku i jej tik nigdy przedtem nie był aż tak widoczny. Sylvia Ross zanosila się płaczem i z niedowierzaniem kręciła głową.

Jonathana przewieziono na oddział intensywnej terapii i podłączono do aparatu tlenowego, który przez szeroką rurę pompował powietrze do jego płuc. Po jednej stronie łóżka wisiały foliowe worki na kał i mocz. Z metalowego pręta zwisała butelka z glukozą, która ściekała do żyły w jego ramieniu. Lekarze zgolili mu gęste, czarne włosy, żeby umożliwić oględziny. Miał zamknięte oczy. Urządzenia ustawione przy boku łóżka przeprowadzały pomiary ciśnienia, temperatury ciała i mierzyły uderzenia serca, wydając kliki i miarowe piski, które nakładały się na chrapliwy rytmiczny odgłos respiratora i relacjonowały makabryczną historię nadchodzącego końca.

Pierwszą noc i następny dzień Hillmanowie i Rossowie z Beccą spędzili przed pokojem Jonathana, na zmianę czuwając przy jego łóżku, każde pogrążone we własnych myślach, wspomnieniach i modlitwach. Po południu drugiego dnia zaczęli schodzić się przyjaciele, wyrażając swoje współczucie, oferując wsparcie i pomoc. Część została w korytarzu oddziału intensywnej terapii, inni usiedli w poczekalni lub w podziemnej kawiarni, wszyscy przejęci walką młodego mężczyzny ze śmiercią.

Ból Maxa był nie do uśmierzenia. W którymś momencie Becca zaprowadziła teścia do jednego z niewielkich ślepych korytarzyków, gdzie przez chwilę mogli zostać sami. Nie lubiła Maxa, ale nawet na niej zrobił wrażenie jego przejmujący smutek.

- Nigdy mu nie powiedziałem, że go kocham - zaszlochał Max, wyrzucając z siebie paroksyzm cierpienia. - To takie

niesprawiedliwe. Szczególnie teraz, kiedy zdecydowałem się naprawić nasze stosunki.

- Jak? - zapytała Becca z miejsca połączona ciekawością.

Max spojrział na nią oczami pełnymi łez. Jego cera przybrała odcień popiołu i Becca przez chwilę pomyślała, że Max umrze, zanim zdąży wyjaśnić, co miał na myśli.

- Jestem schorowanym człowiekiem - powiedział. - Od czasu kiedy miałem zawał, nie mogę już pracować jak dawniej. Kilka miesięcy temu duże konsorcjum złożyło mi bardzo dobrą ofertę. Kiedyś, gdy ktoś występował z propozycją kupna mojego interesu, odrzucałem nawet najkorzystniejsze warunki. Moja duma nigdy mi na to nie pozwalała. Mówiłem sobie, że nikt nie potrafi poprowadzić tej firmy tak dobrze jak ja. Nawet mój syn. - Jego słowa zdusiły cisnące się do gardła łzy i przez kilka minut płakał jak małe dziecko. - Nie było to łatwe, ale w końcu musiałem pogodzić się z myślą, że już nie będę w stanie kierować tym interesem, gdzie każdego dnia zwała się człowiekowi na głowę tysiące spraw. Pomyślałem o wyjeździe na Florydę i zasłużonej emeryturze. Na początku chciałem, żeby Jonathan przejął interes, chociaż w głębi serca wiedziałem, że nie chce mieć nic wspólnego z garnkami, patelniami, liniami produkcyjnymi i fabryką. Dwa tygodnie temu sprzedałem „Hillman Cookware”. - Przerwał na chwilę, otarł łzy ciekące mu z oczu i od czasu do czasu potrząsał głową, przełykając ślinę. - W tym tygodniu kupiliśmy z Ruth bilety i planowaliśmy przyjazd do Los Angeles. Chcieliśmy zrobić Jonathanowi niespodziankę. Miałem zamiar mu powiedzieć, że skoro tak bardzo pragnął zostać artystą, nie będę mu się dłużej sprzeciwiał. Chciałem, żeby był szczęśliwy.

W pierwszej chwili Becca była tak zaskoczona tym, co usłyszała, że nie wiedziała, jak zareagować. Miała ochotę roześmiać się z ulgą, ale nie odważyła się tego zrobić. Mogła

jedynie otoczyć Maxa ramieniem. Chciała go uspokoić, lecz jeszcze bardziej chciała mu przypomnieć, jaką była słodką i dobrą synową.

- Czy ta sprzedaż jest już nieodwołalna? - zapytała, modląc się, żeby tak było. Gdyby Max nadal miał otwartą furtkę, mógłby w wypadku śmierci Jonathana odzyskać przedsiębiorstwo. Wówczas nie miałyby żadnych praw.

- Tak - wymamrotał Max, trzęsąc się na całym ciele. - Kilka dni temu podpisałem wszystkie papiery. W zasadzie już jutro pierwsza rata w wysokości ośmiu milionów dolarów powinna znaleźć się na waszym koncie. W dniu, w którym otrzymałem czek, poleciłem, żeby bank natychmiast przesłał pieniądze.

- Jesteś wspaniałym człowiekiem - powiedziała Becca ze szczerym uczuciem, starając się nieco ostudzić swoje podniecenie.

- Wspaniały człowiek zrobiłby to dawno temu - odparł Max i jego głos się załamał.

- Nie mów tak. - Becca poklepała go po dłoni i otarła mu oczy. - Jonathan na pewno z tego wyjdzie. Zobaczysz. Będzie zdrów ja ryba.

Max pokręcił głową.

- Tyle lat mój syn błagał mnie o pomoc, a ja głuchy na wszystkie jego prośby odwracałem się od niego. Nic nie robiłem w tym kierunku. - Max zakrztusił się, a jego głos coraz bardziej przycichał. - W końcu, kiedy zrobiłem coś, co nam wszystkim mogło ułatwić życie, okazało się, że jest już za późno.

Ja inaczej to widzę, pomyślała Becca. Jej uwaga nadal była napięta jak struna. Być może to zbyt późno dla Jonathana, jak dla mnie to w sam raz.

Przez pierwszą noc Becca ani na krok nie ruszyła się ze szpitala. Razem z Hillmanami i Rossami siedziała przy łóżku

męża. Pozostali wchodzili i wychodzili z pomieszczenia: ich ruchy dyktowały emocje. Wielogodzinne czuwanie przy Jonathanie w oczekiwaniu na jakiś znak, na jakieś nieznaczne poruszenie sygnalizujące poprawę było niezwykle męczące. Co chwila wydawało się Ruth albo Sylvii, że dostrzegają drgnięcie palca albo ruch powieki, ale prawdę mówiąc, były to tylko halucynacje wywołane krańcowym wyczerpaniem i rozpaczą.

Becca także żyła nadzieją, że Jonathan odzyska przytomność, że w każdej sekundzie może wejść do pokoju Matthew Grant, pstryknąć palcami, obudzić Jonathana z letargu i zakończyć ten koszmar. Za każdym razem, kiedy Matthew albo pielęgniarka mierzyli puls Jonathana lub też gdy sprawdzali odczyty na monitorach, wszyscy czekali na jakiś dobry znak, na jakąś pocrzepiającą wiadomość, ale wynik oględzin był wciąż ten sam - żadnej zmiany w stanie pacenta. Dopiero nad ranem pielęgniarka sprawdziła odczyt aparatu tlenowego i przynajmniej dla Becki wszystko stało się jasne.

Pozostali pili właśnie kawę w korytarzu. Matthew poszedł do innego pacjenta, a Becca prawie zasypiała na krześle. Usłyszała, jak pielęgniarka Dina zdejmuje z metalowego pręta rurę, przypominającą wąż odkurzacza, która przymocowana była do ustnika. Przez zamglone oczy ujrzała, jak młoda kobieta strząsa kropelki wody zgromadzone w plastikowej tubie. Widząc zaniepokojenie na twarzy Becki, pielęgniarka wyjaśniła, że płuca do prawidłowego funkcjonowania potrzebują zarówno wody, jak i powietrza. Becca pokiwała głową i przyglądała się czynnościom pielęgniarki z rozbudzonym zainteresowaniem.

Bez żadnego specjalnego powodu jej uwaga powędrowała do piersi Jonathana. Kiedy tuba była podłączona do ustnika, jego żebra poruszały się w górę i w dół w rytmicznym oddechu. Jednak w chwili, kiedy pielęgniarka odłączyła

aparaturę, jego pierś nawet nie drgnęła. Trzęsącymi się dłońmi dotknęła ramienia męża. Jego skóra nadal była ciepła i miał różowe policzki. Becce wydawało się, że żyje; wyglądał na żywego, ale kiedy pielęgniarka z powrotem dołączyła rurę do ustnika i kiedy piersi Jonathana ponownie zaczęły miarowo się unosić, jakiś wewnętrzny głos podpowiedział Becce, że już po wszystkim, że mimo wysiłków i starań Jonathan już nie żyje.

Jej oczy wypełniły się łzami i położyła głowę na łóżku, nie przestając trzymać go za ramię.

- Nigdy nie chciałam, żeby tak się potoczyło nasze życie - wymamrotała, nie dopuszczając do siebie prawdy. - Wiem, że nie wierzysz, ale kocham cię naprawdę i jak wyzdrowiejesz, wszystko zaczniemy od nowa. Będzie zupełnie inaczej. Twój ojciec o wszystko się zatroszczył. Jesteśmy bogaci! Już nigdy nie będziesz musiał pracować w fabryce. Możesz kupić sobie studio i oprócz rzeźbienia nic więcej nie robić. Zawsze mówiłam, że masz ogromny talent. Teraz będziesz mógł to udowodnić. Ale musisz walczyć, Jonathanie. Słyszysz mnie? - krzyknęła i słowa utknęły jej w gardle. - Przynajmniej raz w życiu, do cholery, musisz przestać myśleć, że jesteś księciem z bajki, i czekać, aż inni się tobą zajmą. Przynajmniej raz w życiu musisz walczyć o siebie!

Podniosła głowę, jakby w oczekiwaniu na ripostę i nagły kontratak. Nie doczekała się odpowiedzi. Jonathan po prostu leżał bez ruchu, bez wyrazu i bez życia.

Chociaż stan Jonathana nie wykazywał poprawy, wraz z nadejściem następnego dnia zwiększyło się grono zainteresowanych jego powrotem do zdrowia. W szpitalu zjawili się kilka znajomych Becki z towarzystwa dobroczynnego, ale większość stanowili przyjaciele Jonathana, których poznał w „Acropolis”, oraz bywalcy hucznych przyjęć. Wielu wywodziło się ze środowiska

filmowego. Inni ze świata mody. Niektórzy byli niebieskimi ptakami, bez celu włóczącymi się po świecie, jednak wszyscy stanowili część tajemniczego życia Jonathana, o którym Becca nie miała zielonego pojęcia.

Siedzieli w głównej poczekalni, w korytarzu oddziału intensywnej terapii lub w podziemnej kawiarni. Niektórzy przybyli tylko po to, żeby wyrazić swoje współczucie, zjednoczyć się w bólu z jego najbliższymi, inni zdecydowani byli przywołać go do życia wszelkimi możliwymi środkami. Byli też tacy, którzy złożyli ręce i stojąc nad znieruchomiałym ciałem Jonathana za pomocą namiętnej, pełnej pasji modlitwy starali się rozniecać w nim iskrę życia, a także tacy, którzy w korytarzach odprawiali milczące czuwanie.

Ruth i Max byli zupełnie nieświadomi tego, co się wokół nich dzieje. Żyli wyłącznie relacjami o stanie swojego dziecka. Ben zupełnie nie przejął się dziesiątkami postaci krążących po budynku, lecz Sylwię zirytowała ta maskarada i co godzina prosiła Matthew Granta, żeby usunął ich ze szpitala, gdyż robią więcej złego niż dobrego. Becca była zbyt oszołomiona, by w ogóle zwracać uwagę na ludzi zgromadzonych w poczekalni i w korytarzach. Kiedy zapytano ją o to, co zrobić z „intruzami”, nie miała nic przeciwko temu, żeby zostali. Bez względu na opinie pozostałych członków rodziny, Jonathanowi z pewnością podobałoby się to towarzystwo.

Jinx od ponad tygodnia przebywała w Los Angeles, gdy dotarła do niej wiadomość o wypadku Jonathana. Zawsze, kiedy odwiedzała Matthew, spędzali ze sobą każdą chwilę. Dlatego też, gdy nie pojawił się tego wieczoru na kolacji w jej apartamencie i gdy nawet nie zadzwonił następnego dnia, zaczęła się coraz bardziej niepokoić. Czekwała do późnego popołudnia. W końcu zatelefonowała do szpitala i poprosiła oddziałową, żeby odszukała Matthew. Podszedł do aparatu.

Wiadomość, którą jej przekazał, spadła na nią jak grom z jasnego nieba.

- Jonathan Hillman jest w stanie krytycznym. Nie mogę teraz opuścić szpitala. - Nic więcej nie powiedział.

W pierwszej chwili Jinx zdecydowała, że pójdzie do szpitala, ale kiedy zbliżyła się do wyjścia, coś ją zatrzymało. Dlaczego chciała tam iść? Czy tylko dlatego, że Matthew był tak rozstrojony? A może powodowały ją względy rodzinne? Przecież nie знаła Jonathana, a jej obecność z pewnością nie przyniesie Becce ulgi. A może chciała się tam pojawić, żeby ponownie natknąć się na Bena? Ale przecież ostatnim razem dał jej wyraźnie do zrozumienia, że nie chce mieć z nią nic wspólnego.

Poza tym, studziła się w swoich zapędach, umiera jego zięć. Nie jest to odpowiednia pora na spełnianie egoistycznych zachcianek.

Jinx czekała na dole w gabinecie Matthew i dopiero po północy, kiedy była pewna, że rodzina i przyjaciele Jonathana poszli do domu, wymknęła się na zewnątrz. Przeszła przez labirynt tuneli i korytarzy prowadzących z Sunset Memorial do oddziału neurologicznego. Kiedy drzwi windy otworzyły się na trzecim piętrze, przez moment się zawahała. Nie spotykając nikogo po drodze, przemknęła wzdłuż korytarza na oddział intensywnej terapii.

Właśnie miała zamiar otworzyć grube, oszklone drzwi, kiedy spostrzegła Matthew, który stał w rogu i obejmował ramieniem młodą blondynkę. Ręka opadła jej z klamki. Za nic w świecie nie chciała narzucać się Becce w takiej chwili. Miała się odwrócić, kiedy coś przykuło jej wzrok. Uważniej przyjrzała się postaci. Becca była niska i bardzo blada. Ta kobieta była wysoka, opalona i skądś jej znana.

- Heather! - wymamrotała.

Widok siostry niemalże zwałił ją z nóg. Złapała się najbliższej ściany, żeby nie upaść na podłogę. Wszystko zaczęło usuwać jej się spod stóp. Ta rozmowa, którą przeprowadziły w Meksyku. Tajemniczy kochanek. Znienawidzona żona. Jonathan Hillman był tym żonatym kochankiem Heather! A Becca była tą kobietą, która ją szantażowała.

Co było przedmiotem tego szantażu? - zastanawiała się. Coś związanego ze mną? Z Kate?

Jinx potrząsnęła głową, odgarniając od siebie katastroficzne myśli, pchnęła drzwi prowadzące na oddział intensywnej terapii i pospieszyła w kierunku siostry. Matthew powitał ją smutnym uśmiechem i przesunął się na bok.

Jinx ujrzała w twarzy siostry ogromną udrękę; w jej szlochu usłyszała cierpienie, którego nie da się uśmierzyć. Objęła siostrę i czując drżenie jej ciała, zajrzała do pokoju chorego.

Tylko raz w życiu widziała Jonathana Hillmana, ale jego wyjątkowo piękne rysy wywarły na niej niezapomniane wrażenie. Nawet dla obcego ten kontrast był porażający. Jinx zadrżała na samą myśl o tym, jak musiało to uderzyć jego najbliższych. Przypomniała sobie, jak okropnie się czuła, kiedy na szpitalnym łóżku leżał jej własny mąż.

- To wszystko moja wina - wymamrotała cichutko Heather. - Pozwoliłam jej zapędzić się w kozi róg. Pozwoliłam jej się zastraszyć i przestałam widywać się z Jonathanem. - Przez gorzkie łzy spojrzała na Matthew i Jinx.

- On mnie potrzebował - rozpacziała. - Kochał mnie, a ja go tak zawiodłam!

- Nieprawda - powiedziała Jinx, próbując ją uspokoić. - Był żonaty. Dobrze zrobiłaś.

Heather przyjrzała się Jonathanowi.

- Uważasz, że tak jest w porządku? - zapytała.

- Nie, ale to naprawdę nie była twoja wina - z uporem przekonywała ją Jinx, zdając sobie sprawę, że jej słowa do Heather zupełnie nie docierają.

- Powinnam go była powstrzymać. Powinnam przewidzieć, że tak się stanie. Już od dawna zachowywał się tak, jakby tylko na to czekał.

- Nie rozumiem - odparł Matthew.

- Jonathan to wspaniały człowiek, ale bardzo słaby. Potrzebuje ludzkiego ciepła i opieki innych ludzi. Kogoś, kto pokochałby go całym sercem. Ani Becca, a tym bardziej jego ojciec, nie dali mu tej miłości. Pewnie myślał, że ja też go nie kocham. Po naszym rozstaniu zaczął sięgać po alkohol. Potem przeszedł na prochy. Bóg jeden wie, w co się ostatnio wpakował.

Jinx spostrzegła, że w twarzy Matthew zaszła ledwie zauważalna zmiana.

- Spotykaliśmy się od czasu do czasu, żeby porozmawiać.

- Heather weszła do izolatki i stanęła przy łóżku Jonathana. Drżącymi palcami gładziła jego policzek. Starła się być dzielna, ale kiedy poruszyła wargami, żeby coś powiedzieć, z jej ust wyrwał się przeciągły szloch. - Był takim wspaniałym kochankiem, ale przez żonę, te prochy i alkohol stał się zupełnym impotentem. - Położyła dłonie na jego piersi. - Mnie nic nie przeszkadzało. Pragnęłam tylko być razem z nim. - Delikatnie pogładziła go po czole. - Kochałam go. Troszczyłam się o niego. Martwiłam się, że pewnego dnia będzie z nim tak źle, że zrobi coś głupiego.

Matthew podszedł do Heather.

- To był wypadek, Heather - powiedział z czułością.

- Tak? - wykrzyknęła histerycznym głosem. - Jechał na pożyczonym motorze. Nie miał zielonego pojęcia, jak się go prowadzi. Miał na głowie kask? Nie!

Nawet nie zabrał go ze sobą. A może próbował się ratować? Na jego dłoniach nie ma ani jednego zadrapania, ani jednej blizny wskazującej na to, że się bronił przed upadkiem. I nawet jeśli nie powiedziałaś o tym jego rodzinie, założę się, że był pod wpływem narkotyków! Może nie był to czysty przypadek podejrzenia sobie żył, ale daję głowę, że próbował popełnić samobójstwo.

- To był wypadek - z uporem powtarzał Matthew. - Znam raport policji. Nie miał czasu, żeby się ratować. Wszystko zdarzyło się zbyt szybko. Wjechał na plamę oleju, przewrócił się i uderzył głową w słup telefoniczny. Według mnie natychmiast stracił przytomność. Dlatego nie ma żadnych śladów siniaków ani zadrapań.

Heather ukryła twarz w dłoniach i nie mogąc nad sobą zapanować, głośno płakała. Kiedy trochę się uspokoiła, przetarła oczy, spojrzała na Jonathana, po czym przeniosła wzrok na Matthew i Jinx.

- Nie obchodzi mnie, co mówisz ty, co mówi policja ani co twierdzi jego żona. Gdyby miał jedną sekundę na wybór między życiem i śmiercią, Jonathan bez wahania wybrałby śmierć.

Prawie świtało, kiedy Jinx zabrała Heather do domu i poczekała, aż zaśnie. Zamiast wracać do hotelowego pokoju albo pojechać do biura, z powrotem poszła do szpitala. Nie zastała Matthew w gabinecie, wobec tego skierowała się na oddział neurologiczny. Na trzecim piętrze było zupełnie cicho i tylko od czasu do czasu odzywały się piski pochodzące z urządzeń utrzymujących przy życiu nieprzytomnych pacjentów.

Jinx pchnęła grube drzwi prowadzące na oddział intensywnej terapii i skierowała wzrok w róg korytarza, w którym znajdował się pokój Jonathana. Wtem usłyszała nieprzytomny, rozpaczliwy krzyk rozdzierający nocną ciszę.

- Walcz, do cholery! Ani mi się waż bezradnie leżeć i umierać! Robię wszystko, co mogę, ale ty też musisz coś z siebie dać! Nie możesz się poddać! Jesteś młody. Masz przed sobą całe życie. Nie odchodź! Pomóż mi! Potrzebuję cię! Sam nic nie zrobię. Pomóż mi! Proszę, J. J., nie umieraj.

Serce Jinx zaczęło walić jak młot. Rozpoznała głos Matthew dobiegający z pokoju, w którym leżał Jonathan. Czyżby Jonathan odzyskał przytomność? Kim był J. J.? Może przenieśli Jonathana do innego pokoju, a J. J. był jakimś innym pacjentem? A może Jonathan zmarł?

Nagle ujrzała w drzwiach cień Matthew. Coś w przygiętej linii jego ciała ostrzegło ją, żeby nie zakłócać mu teraz spokoju. Odwróciła się tyłem i czekała, aż opuści oddział intensywnej terapii. Szybko sprawdziła, czy Jonathan leży na swoim miejscu, po czym bez pośpiechu skierowała się do gabinetu Matthew.

Drzwi na korytarz były zatrzaśnięte, lecz nie były zamknięte na klucz. Przekręciła klamkę, uważając, by nie spowodować najmniejszego hałasu. Na palcach podreptała do recepcji. Matthew nie zamknął drzwi do swojego gabinetu. Siedział sam za biurkiem, tyłem do wejścia, trzymając w rękę coś błyszczącego. Z drżenia jego ramion Jinx wywnioskowała, że płacze.

Instykt ostrzegł ją, że gdyby weszła teraz do jego pokoju, mogłaby wtargnąć na prywatne terytorium Matthew, do czarnej głuszy, gdzie nikt nie miał wstępu. W ostatnim roku ich związek jeszcze bardziej się zacieśnił i umocnił. Była pewna, że go kocha. Wiedziała, że on kocha ją także. Ale mimo narastającej bliskości musiała przyznać, że nadal doznawała uczucia obcości i odosobnienia. Wiecznie towarzyszyła jej obawa, że pewnego dnia bez żadnego ostrzeżenia jakaś osoba lub rzecz z jego przeszłości odbierze

jej Matthew i ich romans zakończy się jak nożem uciął, bez wyjaśnień ani przeprosin.

Może ten J. J. był właśnie kimś z jego przeszłości? Obawiała się, że Matthew nie będzie zadowolony z jej najścia i że potraktuje to jako brak szacunku dla jego prywatności. Jednak postanowiła zaryzykować. Cichutko weszła do gabinetu, stanęła obok niego i spojrzała mu przez ramię. Lśniący przedmiot, który trzymał w ręku, okazał się oprawioną w ramki fotografią przedstawiającą Matthew, ale dużo młodszego, jeszcze bez wąsów, z dziesięcioletnim chłopcem. Obydwaj mieli na głowach czapki do baseballa odwrócone daszkami do tyłu i obydwaj szczerzyli zęby w szerokim uśmiechu. Mieli takie same oczy, takie same dołki w policzkach, a nawet taki sam uśmiech. Jinx zakrztusiła się swoim własnym oddechem. Chłopiec z fotografii był bez wątpienia synem Matthew.

- Jest śliczny - powiedziała, delikatnie kładąc dłoń na jego ramieniu. - Wygląda jak twoja replika. - Była przygotowana na to, że może raptownie się odwrócić i rzucić jej groźne spojrzenie, ale Matthew wykonał obrót, wtulił głowę w jej piersi i pogrążył się w rozdzierającym serce szlochu. Objęła go ramionami tak, jak przytula się dziecko i chcąc przynieść mu ulgę, zaczęła czule głaskać go po plecach. Kiedy zdołała go uspokoić i przestał płakać, odezwał się do niej bez zbędnego wstępu i bez cienia pretensji w głosie.

- Nazywał się Jonathan Jay Grant i był światłem mojego życia. Zmarł na białaczkę, kiedy miał dziesięć lat. Jak dotąd nie było ani jednego dnia w moim życiu, żebym za nim nie tęsknił. - Matthew zapatrzył się w fotografię. - To zdjęcie zostało zrobione tuż przed jego chorobą. Grał w lidze młodzików i gdy tylko miałem wolną . chwilę, trenowałem razem z nim. - Spojrzał na Jinx, lecz jego oczy nadal zatopione były we wspomnieniach. - Dobrze się zapowiadał.

Doskonale rzucał. Był świetnym środkiem. - Na jego ustach pojawił się nikły uśmiech. Próbował zatrzymać go na wargach, ale nie chciały posłuchać jego rozkazu i wykrzywiły się w żalnym grymasie. - Byliśmy kumplami. Razem graliśmy, rozmawialiśmy i śmieliśmy się do łez. J. J. był fantastycznym chłopcem. Miał kapitalne poczucie humoru. Kiedy był mały, zawsze opowiadałem mu bajkę na dobranoc, a potem on rewanżował się tym samym. Jego opowieści były czasami lepsze od moich. - Matthew postawił zdjęcie na biurku i począł do okna. Pierwsze światło poranka zaczęło wdzierać się przez zaciągnięte żaluzje. - Gadaliśmy o wszystkim. O sporcie, o szkole, jego ulubionych programach telewizyjnych, jego marzeniach i ambicjach.

Matthew zatopił twarz w dłoniach i bezradnie potrząsnął głową, jakby chciał odpędzić od siebie myśl o katastrofie, która wstrząsnęła jego życiem.

- Chciał być lekarzem, kiedy dorośnie. - „Tato, chcę być taki sam jak ty” - mówił. - Taki sam jak ja! Co za ironia! Kiedy najbardziej mnie potrzebował, nie byłem w stanie mu pomóc.

Odwrócił się do Jinx i oparł się o framugę okna. Uważnie mu się przyjrzała i dopiero teraz przestał wydawać jej się taki nieprzenikniony, opancerzony, niemalże jak robot. Oczywiście, że dostrzegała wcześniej jego ciepło i czuła jego miłość. Wiedziała, że był zdolny do wielkich uczuć. Jednak nigdy nie przypuszczała, że potrafi tak bardzo cierpieć i tak boleśnie krwawić.

- Pracowałem wówczas w „Mass General” - wyjaśnił spokojnie - w jednym z najlepszych szpitali w kraju, i nawet tam nikt nie mógł nic zrobić, żeby go uratować. Przeprowadziliśmy transfuzję krwi, stosowaliśmy naświetlania i leczymy go chemoterapią. Przez miesiąc, może dwa wydawało się, że zdołaliśmy mu pomóc, ale to były tylko

złudzenia. Krótka poprawa stanu zdrowia. Upłynęło dosłownie parę dni i zanim zdążyłem się zorientować, zanim zdążyłem cokolwiek zrobić, mój syn już nie żył. Nagle zostałem sam jak palec.

Jinx podeszła do okna i stanęła obok Matthew. W jego oczach dostrzegła udrekę. Pragnęła jakoś mu pomóc, lecz wyobraziła sobie, jak sama by się czuła, gdyby coś takiego przytrafiło się jej dziecku. Wiedziała, że żadne słowa nie zdołają uśmierzyć jego bólu.

- Gdzie była wtedy twoja żona? - zapytała. Może dlatego, że sama była matką, a może dlatego, że obudziła się w niej zwykła ludzka ciekawość, pragnęła się dowiedzieć, jak matka chłopca zachowała się w obliczu takiej tragedii.

- Moja żona odeszła od nas w miesiąc po potwierdzeniu diagnozy.

Jinx momentalnie pożałowała, że kiedykolwiek poruszyła ten temat, lecz Matthew był jej wdzięczny za to pytanie. Pragnął się z nią podzielić swoją tragedią; chciał mówić, płakać, wyrzucić z siebie wszystko, co dusił w sobie przez tyle lat.

- Nie mogła tego znieść - mówił z widocznym sarkazmem i dezaprobatą. - Nie mogła patrzeć, jak J. J. umierał! Tak jakby mnie przychodziło to łatwo! Tak jakbym ja mógł patrzeć, jak wychodzą mu włosy, jak z dnia na dzień chudnie w oczach i jak puchnie jego ciało od końskich dawek leków. Tak jakbym mógł trzymać go w ramionach, kiedy wydawał ostatnie tchnienie i gdy życie opuszczało jego ciało. - Matthew zamilkł na chwilę i przyłożył dłoń do ust w nadziei, że zdoła pohamować łkanie. - Powiedziała, że nie będzie w stanie pochować własnego dziecka. Sam poszedłem na pogrzeb.

Jinx wydała cichy jęk i rozpaczliwie potrząsnęła głową. Boże, jakie to wszystko okrutne - pomyślała.

- Była młoda, bardzo ładna, rozkapryszona i zawsze ktoś ją ochraniał. Jej rodzice zawsze starali się osłaniać swoją jedynaczkę przed ciosami losu. - Matthew trochę się uspokoił. Najgorsze było już za nim. Teraz zdawał już tylko relację z wydarzeń, które miały miejsce w jego życiu. - Wzięliśmy ślub, kiedy byłem jeszcze na studiach, i za niecały rok urodził się J. J. Rodzice pomagali nam, jak mogli, ale kiedy robiłem specjalizację, zarabiałem grosze. Myślała, że lekarze mieli furi pieniędzy, które codziennie dowożono im pod drzwi. Trudno było jej się pogodzić z rzeczywistością. Ciągły brak pieniędzy działał jej na nerwy. Tak samo jak moje dyżury w szpitalu. Niczego nie rozumiała. Mnie chyba też nie.

- A jak radziła sobie z J. J.? - zapytała Jinx. Ból Matthew palił ją żywym ogniem.

- Właściwie była dobrą matką. Poświęcała się dla niego; do czasu, gdy zaczęło jej to dokuczać. - W jego głosie zabrzmiała nuta obrzydzenia. - Kiedy dowiedziała się, że J. J. jest umierający, uciekła. Od tej pory nie odezwała się do mnie ani słowem. Dopiero przed naszym wyjazdem do Japonii przesłała mi do podpisania papiery rozwodowe. Nadal nie wiem, co się z nią dzieje - wyjaśnił Matthew.

- Zależy ci na tym? - zapytała Jinx. Miała nadzieję, że nie zabrzmiało to zbyt samolubnie.

- Nie, nie tak, jak myślisz. Chcę tylko, żeby zrobiła jedną rzecz. Żeby odwiedziła grób swojego syna. Chciałbym, żeby dała mu w końcu to, co jest mu winna - ostatnie wyrazy szacunku.

- J. J. był szczęściarzem, że miał ciebie - powiedziała Jinx z czułością.

- To ja byłem szczęściarzem. - Matthew podszedł do biurka, otworzył szufladę i wyjął z niej kopertę z listem. Podał ją Jinx. - Znalazłem to po jego śmierci.

Jinx ostrożnie rozprostowała złożoną kartkę. Pragnęła uciec i uniknąć starcia z koszmarem. Chciała postąpić tak, jak zrobiła matka chłopca, uciekając od śmierci swojego dziecka. Ale miłość do Matthew nakazywała jej przeczytać ten list.

Kochany Tatusiu!

Ta pani doktor, która przychodzi ze mną rozmawiać, powiedziała, że na pewno poczuję się lepiej, jeśli napiszę, o czym myślę. Próbowałem jej wytłumaczyć, że czuję się dobrze, ale i tak kazała mi to zrobić. Wiem, że próbuje mi pomóc, bo niedługo umrę, ale jeśli mam naprawdę umrzeć, to przecież ten list i tak mi nie pomoże. Boże, trudno to sobie przedstawić. Umrzeć. Jak odejść na zawsze? Tato, nie mogę sobie tego wyobrazić. Nie mogę sobie wyobrazić, że już nigdy nie będę oglądać telewizji ani grać w baseballa. A najbardziej nie mogę sobie wyobrazić, że już nigdy cię nie zobaczę i będziesz żył beze mnie. To nie jest w porządku. Najpierw odeszła mama, a teraz ja odchodzę. Kocham Cię i wiem, jak okropnie będziesz się czuł. Ja nic już nie będę czuł. Nie będę żył. Wiesz co, tato? Boję się. Nie chcę umierać. Chciałbym, żebyś mógł coś zrobić, ale wiem, że ty też być chciał, a skoro nawet Ty tego nie potrafisz, to już nikt nie może mi pomóc.

Kropki łez rozmyły atrament. Jinx nie wiedziała, czyje były te łzy - J. J.?, Matthew?, a może jej?

Chcę tylko, żebyś wiedział, jak bardzo Cię kocham. Żaden chłopiec nigdy nie miał lepszego ojca. Naprawdę. Wszyscy moi koledzy zazdroszczą mi Ciebie! Chciałbym być lepszym dzieckiem. Może mama by wtedy nie odeszła. Nic z tego nie rozumiem. Dlaczego Bóg chce, żebym umarł? Chyba woli, żebym był z nim niż z Tobą. Chciałbym, żeby Bóg zapytał mnie o zdanie. Wolałbym być z Tobą.

Jinx trzęsły się ręce i nie potrafiła wydusić z siebie ani słowa.

- Przepraszam - odezwał się Matthew. - Nie powinienem cię tym obciążać. Jinx wzięła jego twarz w swoje dłonie i czule go pocałowała.

- Cieszę się, że mi zaufałeś i otworzyłeś przede mną swoje wnętrze. Masz rację. Naprawdę, miałeś szczęście, że Bóg dał ci takiego syna jak J. J.

Matthew otoczył ją ramionami i przez chwilę trwali w milczącym uścisku.

- Nie mogę patrzeć, gdy tak cierpisz - wyszeptała Jinx, czując, jak cały dygoce. - Chciałabym coś zrobić albo coś powiedzieć, żeby było ci łatwiej.

- Wystarczy mi, że ze mną jesteś, że mnie słuchasz, że mnie rozumiesz i że mnie kochasz. Potrzebuję ciebie, Jinx.

- To dobrze - odpowiedziała. Wytarła oczy i uśmiechnęła się. - Ja też ciebie potrzebuję. Oboje jesteśmy sobie potrzebni.

Matthew pocałował ją w policzek i powrócił do rzeczywistości.

- Mam pacjenta na intensywnej terapii, który też mnie potrzebuje.

- Jak ty to robisz? - zapytała obserwując, jak Matthew zakłada biały fartuch. - Dlaczego to robisz? Zawsze cały czas otacza cię śmierć.

- Po śmierci J. J. bardzo poważnie zastanawiałem się nad tym, czy nie rzucić tego wszystkiego. Długo nie mogłem opanować wściekłości, aż pewnego dnia pomyślałem o innych ojcach, którzy mogą stracić swoich synów. Pomyślałem o wszystkich innych lekarzach, którzy próbowali ocalić moje dziecko. Jeśli zdołam uratować choć jedno życie, nawet gdyby nie udało mi się ocalić pięciu innych, to i tak gra jest warta świeczki.

- Czy Jonathan jest tym jednym?

Matthew odwrócił się. Jinx widziała w nim już tylko lekarza w białym kitlu.

- Z klinicznego punktu widzenia Jonathan nie żył już w momencie przywiezienia do szpitala. Obawiam się, że jest jednym z tych pięciu.

Horror trwał jeszcze przez dwa dni. Uwolnienie pentobarbitalu z organizmu Jonathana trwało dłużej niż zazwyczaj i tylko potęgowało napięcie. Znajomi Jonathana przychodzili na oddział intensywnej terapii, tłocząc się w korytarzach i poczekalniach. Rodzice nie przestawali czuwać, łudząc się nadzieją, że nastąpi cud.

Ruth Hillman była tak wyczerpana i zdruzgotana, że Matthew musiał jej dać tabletki na uspokojenie. Sylvia Ross nie bardzo starała się zrozumieć, co dzieje się z Jonathanem, całkowicie koncentrując się na pocieszaniu córki i z właściwym sobie egoizmem odrzucając wszelkie informacje, które nie dotyczyły samopoczucia Becki. Zdrowie Maxa Hillmana znalazło się w poważnym niebezpieczeństwie i co jakiś czas musiał poddawać się badaniu kardiologicznemu.

Becca wyglądała na osobę, która znosi wszystko ze spokojem i godnością, ale wiedziała, że w każdej chwili mogą ją poprosić o podjęcie ostatecznej decyzji. Waga tej decyzji, spotęgowana przez tortury nie kończącego się czekania, wydawała się jej ponad siły. Wszystkim musiał zająć się Ben.

Pod koniec czwartego dnia Ben postanowił porozmawiać z Matthew w cztery oczy. Kiedy wszedł do jego gabinetu, zamiast lekarza zastał Jinx. Z miejsca zareagował wściekłością. Miał i tak zszarpane nerwy, a na widok Jinx wszystko zaczęło w nim wrzeć. Od paru dni wysłuchiwał od Maxa Hillmana wyznania winy i jego wyrzutów sumienia z powodu zaniedbywania ojcowskich obowiązków. Ojciec Jonathana dręczył go opowieściami o licznych błędach wynikających z braku odpowiedzialności w stosunku do własnego dziecka. Ben za wszelką cenę chciał uniknąć konfrontacji ze swoim sumieniem i swoimi błędami.

- Co tutaj robisz? - zapytał głosem domagającym się odpowiedzi. Sylvia i Becca były w szpitalu. Co by się stało, gdyby zobaczyły Jinx?

- Czekam na doktora Granta - wyjąkała Jinx, nie mniej zaskoczona jego widokiem.

- Umówił się tutaj ze mną - powiedział szorstko Ben - na rozmowę w cztery oczy.

Jinx podniosła się z krzesła. Nie wiedziała, co powiedzieć ani co zrobić. Była wstrząśnięta jego obcesowością.

- Bardzo mi przykro z powodu pańskiego zięcia - wymamrotała w końcu. Przez moment Ben zastanawiał się, czy nie powinien wyrazić współczucia

z powodu śmierci jej męża, ale nie potrafił się na to zdobyć. Całe lata zajęła mu odbudowa agencji ze zniszczeń spowodowanych destruktywnym manewrem Kiplinga. O ile wiedział, kryła się za tym jego żona. Przeszła mu ochota na składanie jej kondolencji.

- Dziękuję za zainteresowanie, pani Kipling, lecz prosiłbym bardzo o opuszczenie tego pokoju. To nie jest rozmowa przeznaczona dla osób trzecich.

W jego głosie zabrzmiała taka wrogość i chłód, że Jinx aż się zatrzęsała. Ruszyła w stronę drzwi, potykając się o własne nogi i wpadając na Matthew, który przed sekundą zdążył wejść do gabinetu. Matthew przeniósł wzrok z Bena na Jinx. Szybko zorientował się, że ich rozmowa nie należała do najprzyjemniejszych.

- Pani Kipling właśnie wychodzi - skomentował Ben z tryumfującym okrucieństwem. - Nasze spotkanie dotyczy spraw rodziny, a nie będąc jej częścią, nie sędzę, żeby miała prawo przysłuchiwać się dyskusji. Krótko mówiąc, to nie są jej sprawy.

Matthew zrobił krok, żeby chwycić ją za ramię i sprawdzić, czy dobrze się czuje, ale przeleciała obok niego jak

torpeda, wpadła do recepcji, a potem w labirynt korytarzy, oddalonych od gabinetu Matthew i od siedzącego w nim Bena.

Biegła przez całą drogę aż do parkingu, a jej oczy parzyły gorące łzy. Kiedy w końcu dotarła do samochodu, o mały włos nie zderzyła się z Heather. Jej siostra też nie wyglądała najlepiej. W pierwszej chwili Jinx pomyślała, że Jonathan zmarł. Zostawiła swoje problemy i zwróciła się do siostry.

- Co się stało? - zapytała. Wytarła oczy i próbowała się skoncentrować.

- Zrobiłam coś głupiego. - Heather wyglądała na wystraszoną. - Poszłam na trzecie piętro, żeby zobaczyć Jonathana. Czekałam, dopóki pielęgniarka nie powiedziała, że cała rodzina zeszła na obiad. Wtedy weszłam do pokoju i zastałam ją przy jego łóżku.

- Beccę? Heather pokiwała głową.

- Z miejsca mnie zaatakowała. Nazwała mnie dziwką, wstrętną kurwą i kazała mi się wynosić. Powiedziała, że to ja ponoszę winę za to, co się stało, i że tak samo jak ty niepotrzebnie mieszam się do jej życia. Jinx, która i tak miała już wszystkiego dosyć, straciła nad sobą panowanie.

- Jak możesz być aż tak bezwzględna? - wykrzyknęła kipiąc od gniewu. - To jej mąż leży w tamtym łóżku, a nie twój!

Wyraz twarzy Heather kompletnie się zmienił. Była wystarczająco zdenerwowana spotkaniem z Beccą i na słowa Jinx zareagowała nagłym przypływem agresji.

- Czekaj - powiedziała wlepiając wzrok w Jinx. - Czego na mnie wrzeszczysz? Jestem twoją siostrą. Ona jest dla nas obcą babą!

- Nic dziwnego - powiedziała Jinx bardziej do siebie niż do Heather. - Musiał to usłyszeć. Musiał to usłyszeć. Musiał zobaczyć, jak zdenerwowałaś Beccę.

- Jaki on? - Heather domagała się wyjaśnień. - O kim ty mówisz?

Jinx stanęła w miejscu, odwróciła się na pięcie i bez chwili zastanowienia krzyknęła na Heather.

- Mówię o Benie Rossie! Jest moim prawdziwym ojcem, a Becca jest moją przyrodnią siostrą!

- Co? Ben Ross? Becca? - Heather, całkiem zdezorientowana, cofnęła się o krok. - Myślałam, że on się nazywał...

Dopiero teraz przypomniała sobie wrogość Becki, kiedy rozmawiały w jej mieszkaniu; nienawiść, jaką Becca żywiła do Jinx, i jej pogrożki. Wtedy wydawało jej się to pozbawione sensu. Teraz rozumiała wszystko, z wyjątkiem zachowania Jinx.

- Dlaczego nic mi nie powiedziałaś? - zapytała składając w całość części łamigłówek.

- Nie przyszło mi to do głowy! - Jinx nieudolnie próbowała się bronić. - To nie dotyczyło ciebie.

W jednej chwili Heather stanęła jak wryta, zupełnie tak, jakby ktoś pstryknięciem palców wyrwał ją z hipnotycznego snu. Zagotowała się ze złości.

- Nie dotyczyło to mnie? - krzyknęła. - Jak śmiesz! Przez lata wysłuchiwałam od ciebie o Benjaminie Rostovie. Dojrzewałam karmiona twoją głupią obsesją. Godzinami słuchałam, jak paplałaś o nim, o jego rodzinie i o tym, jakie to dla ciebie ważne, żebyś ich odnalazła. I wiesz, co ja wtedy myślałam? Że to jest obrzydliwe, że powinnaś być wdzięczna Bogu za Hankę i przestać uganiać się za człowiekiem, którego nigdy nie znałaś.

- Jestem wdzięczna - zaprotestowała Jinx, poruszona monologiem Heather. - Wiem, jaki wspaniały jest nasz tata.

- Gadka szmatka! - Heather nie mogła opanować podniecenia. Zupełnie tak, jakby w tym momencie uwalniała

wszystkie dziecięce żale do Jinx, głęboko przechowywane w pamięci. - Czy twój prawdziwy tatuś też jest taki wspaniały? Może to z jego powodu tak się na mnie rzucasz?

Jinx pokręciła głową.

- Ben Ross nie przyznał się do mnie. Odtrącił mnie z zimną krwią. Powiedział, że nigdy nie znał ani naszej mamy, ani mnie. Parę minut temu wyrzucił mnie z gabinetu Matthew. Powiedział, że nie jestem tam potrzebna. Nie należę do rodziny.

- I zamiast splunąć mu w twarz, przylazłaś tutaj, żeby go bronić i usprawiedliwiać tę sukę, która jest jego córką! - Heather zdawała sobie sprawę, że Jinx potrzebuje współczucia, lecz w tym momencie nie mogła zapewnić jej tego komfortu. - Mówisz, że jest twoją siostrą? Dobrze, ja też jestem twoją siostrą! Razem dorastałyśmy i przez całe życie byłyśmy ze sobą blisko. To ja ciebie kocham. Ta kobieta wręcz cię nienawidzi. I z tego, co powiedziałaś, wnioskuję, że jej ojciec jest niewiele lepszy. - Heather wpiła wzrok w Jinx. Zastanawiała się, czy dotarły do niej jej słowa i czy nie strzępi sobie na próżno języka. - Ben Ross nigdy nie uzna cię za swoją córkę i szczerze mówiąc, nie rozumiem, dlaczego ci na tym zależy. Odszedł od ciebie. Porzucił naszą matkę. Potraktował ją jak szmatę, potraktował ciebie jak ścierwo i nie rozumiem, dlaczego teraz, po tylu latach, nadal się za nim uganiaasz! Kiedy przyjechałaś do Phoenix i powiedziałaś mamie i tacie, że pragniesz być z nami, to oczywiście kłamałaś!

- Mówiłam prawdę - zaprotestowała Jinx. - Nie powiedziałam im ani jednego fałszywego słowa. Znowu jesteśmy rodziną. Wszystko wróciło do normy.

- Jasne, ale po dwóch sekundach w towarzystwie Bena Rossa zaczynasz mi mówić, żebym szanowała uczucia Becki zupełnie tak, jakbym ja sama była zrobiona z drewna.

Najwyższa pora, żebyś dokonała wyboru, moja droga siostrze, która rodzina bardziej ci odpowiada? Ta, która cię kocha i akceptuje, czy ta, która na każdym kroku cię odtrąca!

Słowa Heather niczym groty strzał raniły jej duszę. Stała w miejscu, jakby zapuściła korzenie, i z niedowierzaniem patrzyła, jak Heather odwraca się na pięcie i idzie do samochodu. Na ciele było jej tak samo ciężko, jak na duszy, ale zmusiła się do biegu za Heather. Zatrzymała ją w chwili, gdy właśnie siadała za kierownicą.

- Wybacz mi - załkała i chwyciła Heather za rękę. - Przepraszam, nie zastanowiłam się nad tym, co mówię. Kocham cię. Nie chciałam cię zranić.

Uścisnęła siostrę i przytuliła ją do siebie, żeby uśmierzyć jej ból i ukoić własne cierpienie. Przez jakiś czas milczały w swoich objęciach, aż w końcu były na tyle spokojne, że mogły otworzyć usta.

- Masz rację. Najwyższa pora, żebym przestała odgrywać Don Kichota i walczyć z wiatrakami - odezwała się Jinx. Próbowała zetrzeć przed oczu obraz Bena i zagłuszyć echo jego słów. - Nazywam się Elliot, a nie Rostov - dodała. - Kocham cię, mamę, tatę i możesz mi wierzyć, wiem, gdzie jest moje miejsce.

Moje miejsce jest tam, gdzie jestem potrzebna, pomyślała obserwując, jak Heather rusza z parkingu. A Benjamin Ross z pewnością mnie teraz nie potrzebuje.

Piątego dnia Matthew Grant zarządził spotkanie rodziny Hillmanów w małym gabinecie na oddziale intensywnej terapii. Przybyli na nie również Sam Lawson i prywatna pielęgniarka.

- Przed południem przeprowadziliśmy Jonathanowi badanie krwi, które wykazało, że jego organizm jest już wolny od wszelkich związków toksycznych. Godzinę temu zrobiliśmy następne EEG.

Ruth Hillman zaczęła płakać. Sylvia przysunęła się bliżej niej i objęła ją ramieniem. Ben podszedł do córki. Sam Lawson uważnie obserwował Maxa.

- Linia na ekranie nawet nie drgnęła.

Zapanowała zupełna cisza. Wydawało się, że wszyscy wstrzymali oddech. Becca spojrzała na Matthew. Sądziła, że była na to przygotowana, jednak słowa lekarza i ich realne konsekwencje spowodowały, że opuściły ją siły. Poczowała, że jej głowa zrobiła się dziwnie lekka i ugięły się pod nią nogi.

Pielęgniarka, która stała zaraz za Beccą, natychmiast ją złapała i pomachała jej przed nosem fiolką z amoniakiem. Przyłożyła jej do brwi wilgotną gazę i czekała przy niej, dopóki Becca nie odzyska równowagi.

- Dobrze się pani czuje? - zapytał Matthew.

Becca pokiwała głową. Była zupełnie wyczerpana i ścisnęło ją w żołądku, ale domyślała się, jakie będą następne słowa Matthew i chciała jak najszybciej mieć to poza sobą.

- Chce pan przez to powiedzieć, że Jonathan nie żyje. - Jej głos był drżący.

- Tak. Jego mózg nie emituje fal elektrycznych, co oznacza, że zarówno w sensie medycznym, jak i prawnym Jonathan nie żyje.

- Ale nadal jeszcze oddycha - powiedziała Ruth przez łzy. Próbowwała odwlec to, co było nieuniknione.

- Tylko dzięki aparaturze tlenowej. - Głos Matthew był spokojny.

- Co się stanie, jeśli odłączymy go od aparatu? - zapytał Ben.

- W przeciągu pół godziny jego serce przestanie bić. Max Hillman prawie osunął się na stół.

- To ja powinienem tam leżeć - jęknął. - Jestem stary i schorowany. On jest młody i ma wszystko. Czy naprawdę nic już nie można zrobić?

Matthew nienawidził tego oblicza swojej pracy. Nie znosił zadawać bólu i odbierać resztek nadziei. Nie cierpiał mówić: „zrobiliśmy wszystko, co w naszej mocy”. Czuł się wówczas taki bezradny, taki zbędny i godny pożałowania.

- Odnotowano przypadki, kiedy ofiary śpiączki żyły po odłączeniu respiratora - powiedział Ben, kierując swoje słowa do Sama Lawsona.

- To prawda, ale Jonathan nie jest w stanie śpiączki - odparł Lawson bardzo profesjonalnym tonem. - Trzon jego mózgu jest obumarły. Oznacza to, że mózg nie wysyła odpowiednich impulsów do reszty ciała. Jeśli odłączymy respirator, mózg nie będzie w stanie wydać polecenia płucom, żeby pobierały i wydychały tlen. Bez tlenu jego tkanki szybko zaczną umierać.

- A co będzie, jeśli zostawimy go pod aparatem? - Ben znowu zadał pytanie Lawsonowi. Celowo unikał wzroku Matthew, tak jakby to on wydał na Jonathana wyrok śmierci.

- Jest młody i ma silne serce - wyjaśniał Lawson - i jeśli zostawilibyśmy go pod aparatem, mógłby tak leżeć bardzo długo. Ale proszę się nie łudzić, że odzyskałby przytomność.

- Czy chce pan przez to powiedzieć, że żyłby jak roślina?
- głos Becki był ostry i prawie niegrzeczny.

- Tak. - Sam Lawson spojrzał jej prosto w twarz. - Dokładnie to chcę powiedzieć.

Becca odwróciła się do Matthew.

- Proszę wyłączyć aparaturę - powiedziała tonem, który eliminował wszelki sprzeciw. - Jeśli Jonathan nie żyje, myślę, że wszyscy powinniśmy pozwolić mu odejść w spokoju. Mam tylko jedną prośbę. Chciałabym zostać z nim sama na parę minut.

- Oczywiście.

Kiedy podnosiła się z krzesła, Matthew podał jej ramię. Dochodzili do drzwi, kiedy Ruth Hillman zaczęła krzyczeć.

- Jak możesz to zrobić? - zawyła. - Zabijasz mi syna!

Becca odwróciła się i spojrzała na teściową. Miała ochotę wykrzyczeć jej prosto w twarz, że nic innego nie można już zrobić i że Jonathan sam się zabił, jednak zdławiła to w sobie i po prostu odeszła.

Matthew zamknął za sobą drzwi, pozostawiając Beccę z ciałem męża. Przez parę minut wpatrywała się w jego twarz, przypominając sobie, jak wyglądał podczas ich pierwszego spotkania, jaki był uwodzicielski i szalony. Starła się zapomnieć o tym, że zrobił się gburowaty, uszczypliwy i bardzo obcy. Pogłaskała go po głowie. Żałowała, że nie może zdjąć bandaży z jego oczu i dokładnie sobie przypomnieć, jak bardzo były niebieskie.

Ostrożnie oparła się o krawędź łóżka. Ujęła jego lewą dłoń i w tym momencie zauważyła, że nikt nie nastawił jego prawej ręki ani prawej nogi. Z pewnością nie mieli nadziei, że z tego wyjdzie. Czekali. Tak samo jak ona.

- Jest w nas coś z Romea i Julii - wyszeptała, i był to dla niej moment ich największego zbliżenia. - Nasze losy zapisane były w gwiazdach. Nigdy nie chciałam, żebyś był nieszczęśliwy, i wiem, że ty też tego nie chciałeś, ale tak naprawdę niszczyliśmy się nawzajem. Przepraszam cię za to, Jonathanie; przepraszam za nas dwoje. - W jej oczach zebrały się łzy, lecz zdołała je powstrzymać. Pomyślała, że jeszcze zdąży się napłakać. - Ciężko mi się do tego przyznać, ale było w tym więcej mojej winy. Byłeś taką otwartą i ufną istotą. Ja nikomu nie ufałam. Zawsze się obawiałam, że jeśli pokażę komuś moje uczucia, to natychmiast zostanę odtrącona. Może właśnie dlatego z tobą walczyłam. Chociaż kochałam cię tak mocno, jak tylko potrafię kochać, bałam się powierzyć ci swoją miłość. - Poczowała, jak zaciska jej się gardło, jak słowa i myśli skupiają się w dużą kulę, tkwiącą w jej krtani. Nie mogła przełknąć śliny. - Wiem, że gdybyś mógł się odezwać,

powiedziałbyś, że powinnam była bardziej w ciebie wierzyć - mówiła z rzadko spotykaną u siebie wnikliwością. - Ale dawno temu, jeszcze jako dziecko, nauczyłam się, że nie mogę liczyć na uczucia mojego ojca. Nauczyłam się, że nie mogę mu ufać i że jego miłość była chwiejna i zależała od wielu innych spraw. Jak mogłam po tym komukolwiek ufać? - Smukłymi palcami odłożyła na bok ustnik, nachyliła się nad głową Jonathana i pocałowała go w usta. Ponownie włożyła mu ustnik między wargi i skierowała się do drzwi. Kiedy była przy nogach łóżka, zatrzymała się i ostatni raz spojrzała na swojego męża. - Kiedyś powiedziałeś mi, że jedynym moim pragnieniem jest zostać bogatą wdową. Odpowiedziałam, że nie masz racji, ale skoro już tak się złożyło, muszę ci ją przyznać. Rzeczywiście łatwiej mi będzie to wszystko znieść, mając pieniądze. Żegnaj, Jonathanie. Odpoczywaj w spokoju.

Zazwyczaj Frankie zachwycała się wszystkim, co dawało filmowi posmak autentyczności, ale w tym momencie oddałaby nawet nerkę za łyk świeżego powietrza, a już z pewnością całą duszę za hollywoodzkie studio z działającą klimatyzacją. Czterdziestostopniowy upał w Houston utrzymywał się już od paru dni. Miasto dławiło się i krztusiło pod lepiałą pokrywą chmur, która czopowała dostęp do warstwy tlenu. Co gorsza, akcja pierwszych scen serialu „Złoto Teksasu”, który każdego wieczoru pokazywany był w telewizji, rozgrywała się przy przytulnym, domowym palenisku.

Frankie zaproszono do zagrania roli Toni Swift, która pojawiała się na scenie w tym odcinku. Jeśli rola grana przez Frankie zyskałaby uznanie telewidzów, jej kontrakt przedłużono by do końca sezonu. Frankie, podobnie jak wszyscy odtwórcy małych ról, zdana była na łaskę i niełaskę telewidzów.

Od godziny siódmej rano cała ekipa była na miejscu, próbując nakręcić trzy sceny, które rozgrywały się przy kominku w domu Tatumów. Tatumowie byli bohaterami serialu „Złoto Teksasu”. Wraz z upływem dnia żar z paleniska w połączeniu z dręczącym upałem stawał się nie do zniesienia. Frankie była pewna, że topił jej się nie tylko makijaż, ale cała skóra, i tylko czekała, aż dzieło charakteryzatorki spłynie jej z twarzy. Cierpiała także z powodu ciepła innego rodzaju - piekła się ze wstydu i z zażenowania.

Mimo że pracowała już wcześniej dla telewizji i brała udział w programach rozrywkowych, pogadankach i wywiadach, „Złoto Teksasu” było jej pierwszym serialem i nie

była przyzwyczajona do nowego stylu pracy. W filmach przeznaczonych na ekrany kin każda scena była kombinacją paru długich ujęć, kilku zbliżeń głównej postaci, efektów scenicznych i dźwiękowych. Zdarzało się, że tę samą scenę kręcono kilka, a nawet kilkanaście razy. Cotygodniowe seriale telewizyjne nie mogły sobie pozwolić na taki luksus. Podczas kręcenia filmu szerokoekranowego z całego dnia zdjęć montowano dwu - lub trzyminutowy fragment. Obsada „Złota Teksasu” musiała nagrać, opracować i przygotować do wejścia na antenę godzinny film w ciągu zaledwie sześciu dni. Kilka kamer kręciło jednocześnie te same sceny z różnych odległości i pod różnymi kątami.

Frankie była zupełnie zdezorientowana. Nie wiedziała, gdzie powinna patrzeć, do której kamery ma grać i który mikrofon rejestruje jej głos. Gubiła się w tekście i zapominała, kiedy wchodzi na scenę. Robiła zbyt dużo błędów. Co chwila reżyser krzychał „stop” i Frankie widziała niecierpliwie podnoszące się brwi innych aktorów. Jeszcze bardziej się tym denerwowała, co z kolei odbijało się na poziomie jej gry. Zastanawiała się, czy kiedykolwiek uda jej się dobrze zagrać. Jej obawy bez wątpienia dzielali inni członkowie ekipy.

W końcu około godziny szóstej po dziewiętnastej pomyłce w dwustronicowym dialogu reżyser zakończył męczącą sesję i zwolnił aktorów i ekipę techniczną do domu. Frankie zdążyła zauważyć, że przed wejściem do autobusu, odwożącego ich do Houston, nikt oprócz Very Knowles nie zamienił z nią słowa.

Vera brała udział w tym serialu od czasu swojego debiutu przed trzema laty i była jedną ze stałych gwiazd programu. Grała Georgię Tatum, zwyczajną, wiecznie zatroskaną żonę Archa Tatuma - przystojnego i bogatego potentata naftowego, zawadiackiego kowboja należącego do grupy czarnych charakterów.

Jednym z powodów, dla którego Frankie aż podskoczyła na propozycję gry w „Złocie Teksasu”, była możliwość pracy ze starą przyjaciółką. Mimo że „Manekin” przyniósł niezłe dochody, hollywoodscy producenci niechętnie podpisywali z nią kontrakty. „Złoto Teksasu” było pewnym przebojem. Jak wyraził się jeden z jej agentów - skoro ten mydlany serial potrafił robić gwiazdy z zupełnie nieznanymi ludźmi, to tobie z pewnością przyniesie szaloną popularność! Frankie zgodziła się. Gdyby udało jej się wybić, byłby to przełom w jej karierze. Jeśli nie, to mogła stracić ostatnią szansę.

- Czy w drodze do miasta moglibyśmy wstąpić do weterynarza? - zapytała Frankie, kiedy Vera zbliżała się do autokaru. - Mam wścieklicznę albo pchły i może gdybym się w końcu ich pozbyła, nie odstraszałabym wszystkich moim widokiem.

Vera uśmiechnęła się. Frankie nic nie odpowiedziała na jej milczenie, jednak w myślach dodała je do serii rozczarowań, których doświadczyła już w pierwszym dniu pracy na planie. Przez cztery tygodnie nie mogła się doczekać, kiedy znowu ujrzy przyjaciółkę. Zadzwoiła do niej zaraz po przyjeździe do Houston, spodziewając się fontanny łez i czułego powitania. Vera była miła i uprzejma, ale nie zachowywała się tak jak dawniej. Zadawała właściwe pytania i udzielała równie stosownych odpowiedzi, ale nie przekroczyła bariery kurtuazyjnej grzeczności. Nie przysłała do pokoju Frankie na całonocne babskie pogaduszki. Nawet nie zaprosiła jej do siebie. Nie opowiedziała ani jednej plotki na temat aktorów występujących w serialu i ani razu nie zachichotała na wspomnienie starych, dobrych czasów. Podczas dwóch tygodni pobytu w Houston, Frankie spędziła z Verą prywatnie najwyżej godzinę.

Na początku próbowała zrzucić to na karb tego, że od czasu jej wyjazdu nie napisały do siebie ani jednego listu.

Może Vera sądziła, że to Frankie była odpowiedzialna za zerwanie kontaktu. A skoro Frankie nie odezwała się do niej ani słowem, pomyślała sobie, że szkolna przyjaźń już dawno wygasła.

Poza tym Frankie wiedziała, że Vera była blisko z producentem „Złota Teksasu”. Pogłoski o ich ślubie krążyły już wcześniej, zanim zaczęli wspólnie pracować nad tym filmem. Vera prawdopodobnie była pochłonięta układaniem planów życiowych i nie chciała zawracać sobie głowy koleżanką sprzed lat. Nie mogła wykluczyć, że Vera nabawiła się kompleksów na punkcie własnego wyglądu i nie chciała jej dopuszczać do swojego Earla Byrona. Bez względu na powód, jaki się za tym krył, Frankie była bardzo zmartwiona tym dystansem. Nadal pamiętała Verę jako jedyną osobę do zwierzeń, która miała cudowną umiejętność natychmiastowego sypania mądrymi radami. Właśnie teraz byłaby jej bardzo potrzebna.

W drodze do miasta Vera milczała jak zaklęta. Frankie próbowała nawiązać rozmowę, ale odpowiedzi Very były krótkie, prawie opryskliwe i zniechęcały do dalszych starań. W końcu znużona, upałem i niezrozumiałą oziębłością przyjaciółki dała sobie spokój. Utkwiła wzrok w oknie i zastanawiała się, dlaczego Vera stała się taka nieprzenikniona. Nigdy wcześniej taka nie była. Kiedy autobus zatrzymał się przy „Houston Kipling”, Frankie nadal nie potrafiła znaleźć przyczyny takiego zachowania. Jeszcze raz postanowiła spróbować.

- Słuchaj - powiedziała chwytając ją za ramię i nie pozwalając jej wsiąść do windy. - Wiem, że Earl pojechał na kilka dni do Los Angeles. Czy mogę ci postawić drinka? Proszę. Nie możemy przez chwilę porozmawiać?

Vera spojrzała na Frankie i zmiękła. Nie potrafiła oprzeć się rozpaczycy widocznej w tych dużych, piwnych oczach.

- Dobra - powiedziała do Frankie głosem, w którym słycać było rezygnację. - Weźmiemy prysznic - i zmienimy ubranie. Za godzinę spotkamy się w barze.

- Świetnie! - Frankie uśmiechnęła się i pokiwała głową. Patrząc, jak Vera odbiera listy z recepcji, zdołała przekonać samą siebie, że wszystko będzie w porządku. Jeżeli istniał jakiś problem, to na pewno go obgadają, rozważą i szybko o nim zapomną.

Za godzinę Frankie siedziała przy barze. Odświeżona i z większą ochotą do życia, czekała na przyście Very. Kiedy spostrzegła, jak Vera zatrzymała się po drodze, by zamienić parę słów z kimś z obsady, poczuła lekkie ukłucie zazdrości. Od czasów college'u z dumą śledziła przebieg jej kariery. Pięła się wolno, ale pewnie i konsekwentnie. Na początku z różnym powodzeniem występowała w sztukach na off - Broadway. Podczas jednego z przedstawień jakiś znany krytyk dostrzegł talent Very i sztuka stała się przebojem. Wkrótce zaczęła grać główne role w przedstawieniach teatralnych i za każdym razem zbierała doskonałe recenzje. Kiedyś Frankie poszła ją zobaczyć. Była znakomita i wycisnęła z Frankie ostatnie łzy, grając rolę młodej kobiety umierającej na raka. Frankie chciała iść za kulisy i pogratulować jej występu, ale była z Lukiem Maddoxem, który nie pozwolił już ruszyć się z miejsca.

Mieli zjeść kolację z jakimś producentem i Luke nie chciał tracić czasu. Może powinna była nalegać, może Vera widziała Frankie na widowni...

Przed przyjęciem roli Georgii Tatum Vera zrobiła dwa filmy pełnometrażowe i dwa filmy dla telewizji. Wszystkie odniosły wielki sukces. Frankie przypomniła sobie, że kiedy Vera zgodziła się na udział w „Złocie Teksasu”, pisały o tym wszystkie gazety. Obecność Frankie w tym filmie była tylko dodatkiem. Zabawne, pomyślała Frankie, jak dziwnie układa

się w życiu. Kiedy były w college'u, zawsze żartowały i dla wspaniałej, pociągającej Frankie wymyślały pierwszoplanowe role. Verę klasyfikowały w najnowszej kategorii, wśród aktorek charakterystycznych, których nazwiska szybko wylatują z pamięci. W tym serialu to Vera była prawdziwą gwiazdą, Frankie zaś mało znaczącą gwiazdeczką.

Kiedy Vera usiadła przy barze, zamówiły drinki i przez parę minut prowadziły banalną paplaninę na temat pogody i przedpołudniowych zdjęć. Później nastąpiło to, czego Frankie najbardziej się obawiała - zapadła niezręczna cisza.

- Za co jesteś na mnie zła? - wyrzuciła z siebie. Nie mogła dłużej wytrzymać takiego napięcia. - Tak się cieszyłam, że znowu cię zobaczę i że będziemy razem pracować, ale od chwili mojego przyjazdu ciągle mnie unikasz. Dlaczego?

Vera bawiła się plastikową słomką od koktajlu, wyginając ją na wszystkie strony między palcami. Odpowiedź wcale nie była prosta.

- Powiedz mi, proszę, cokolwiek by to było - domagała się Frankie. - Byłyśmy ze sobą tak blisko. Potrafiłyśmy o wszystkim ze sobą rozmawiać.

- To było tak dawno temu... - Vera nadal nie chciała spojrzeć Frankie prosto w oczy. - Wszystko się zmienia. Ludzie też się zmieniają.

Frankie zaczęła kurczyć się w fotelu. W głosie Very usłyszała ton krytyki.

- Odnoszę wrażenie, że próbujesz mi powiedzieć, iż to ja się zmieniłam. Vera spojrzała na Frankie i pokiwała głową. Na jej ustach pojawił się smutny uśmiech.

- Tak. Chyba właśnie to mam na myśli.

- W czym się tak zmieniłam? Co takiego zrobiłam, że odrzuca cię na mój widok? Frankie pomyślała, że jeśli Vera jest taka jak zawsze, to zaraz walnie prawdę prosto z mostu.

- Boję się z tobą zadawać - sucho wyrzuciła z siebie Vera.
- Każdy, kto się do ciebie zbliży, ryzykuje publiczną chłostę. Ciężko pracowałam, żeby osiągnąć swoją pozycję, i bez względu na to, co do ciebie czuję, nie pozwolę zniszczyć ci tego, co zbudowałam w pocie czoła.

To było to. Naga, bezlitosna prawda. Frankie zbladła jak ściana. - Nigdy nie zrobiłabym ci krzywdy - odparła podniesionym głosem. - Jak w ogóle mogło coś takiego przyjść ci do głowy?

Vera zaśmiała się nerwowo, ale nie była to złośliwa reakcja na słowa Frankie.

- Zobacz, co zrobiłaś Josemu Bancie i Colinowi Matthesonowi. Zobacz, co zrobiłaś Sunny Samuels. A z tego, co słyszałam, na nich nie kończy się lista ofiar ambicji Frankie Travis. - Vera umilkła, zastanawiając się, czy powinna mówić dalej.

Frankie nie powiedziała ani słowa. Siedziała oszupiała po tym, co usłyszała.

- Wiem, że twoje kontrakty są obwarowane klauzulami - ciągnęła dalej Vera. - Zdaję sobie sprawę, że kiedy zejdziesz z pierwszych stron gazet, to wypadniesz z gry. Ale mówiąc szczerze, Frankie, gdyby kiedykolwiek miało się to stać, to nie chcę obudzić się pewnego dnia i przeczytać w gazetach, że to wszystko moja wina.

Frankie zaczęła bawić się serwetką. Kilka razy zwinęła ją w rurkę, wyprostowała, aż w końcu zgmiotła ją w dłoni. Kiedy spojrzała na Verę, na jej ustach pojawił się pełen zatroskania uśmiech.

- Zasłużyłam sobie na to - powiedziała.

- Przykro mi, ale chciałaś wiedzieć.

- Wiesz przecież, że to nie była moja wina. - Frankie w popłochu wyrzucała z siebie słowa, zupełnie tak, jakby się obawiała, że Vera za moment wstanie i odejdzie. - Miałam

wtedy agenta, Luke'a Maddoxa. Był okropnym człowiekiem. To on nakłonił mnie do tych wszystkich rzeczy. Nie chciałam tego. Naprawdę nie chciałam. Wiem, że zachowałam się jak sęp rzucający się na swoją ofiarę. Ale to ja byłam ofiarą w tym samym stopniu co oni. Może nawet bardziej. Cały czas powtarzał, że ci ludzie mnie zrujnują, jeśli ja ich pierwsza nie dopadnę. Nie powinnam była go słuchać, ale zupełnie nie wiedziałam, co mam robić. Nic nie przychodziło mi do głowy.

Vera widziała, jak Frankie skręca się z bólu. Wyczytała w jej twarzy cierpienie i żal. Oczy Frankie wypełniły się łzami.

- To nie było tak, jak wyglądało. To nie była moja wina.

- Mogłaś powiedzieć „nie”. - Vera mówiła spokojnym tonem, ale nie było w nim przebaczenia. - Zamiast się sprzeciwić, wolałaś postępować tak, jak ci kazał, a skoro się podporządkowałaś, była to tylko i wyłącznie twoja wina. Sama zrobiłaś z siebie ofiarę, Frankie, nie on.

- Nie chciałam nikomu zrobić krzywdy - powiedziała Frankie protestującym tonem.

- To jest dziecinne wytłumaczenie, Frankie. Jesteś przecież dorosłą kobietą, stykasz się z problemami dorosłych i prowadzisz dorosłe życie. Dorośli rozumują inaczej. Nie wybaczą tak łatwo, a już na pewno nie zapominają.

Zach mówił jej to samo. Tej okropnej nocy w Paryżu powiedział jej, że nie może bezkarnie niszczyć życia innym. Czyżby właśnie teraz wyrządzone innym krzywdy powracały do niej jak bumerang? Czy była to jej pokuta? Odwracała się od niej stara przyjaciółka. Zupełnie tak, jakby była zadżumiona. A może to dopiero początek? - pomyślała.

Nagle ogarnął ją paniczny strach. Uczucie to narastało w niej od czasu pobytu w Paryżu i odejścia Zacha. Czuła się wtedy tak, jakby ktoś wrzucił ją do wirującej pralki. W zasadzie mogła policzyć na palcach wszystkich swoich znajomych. Pomyślała, że jeżeli zaangażowanie i zdrada szły

w jej życiu w parze, to angażowanie się w cokolwiek zawsze było początkiem końca. Dla Frankie utrzymywanie się na fali było swoiście pojmowanym symbolem kontynuacji. Pociągała ją idea przynależności do stałej grupy i bycia częścią artystycznej rodziny. Jednak kiedy potrzebowała pomocy i bliskości Very tak bardzo jak teraz, spotykała się tylko z kamienną twarzą starej przyjaciółki. Znajome poczucie braku własnej wartości jak żądło wbiło się w jej krtań.

- Nie uciekaj ode mnie - błagała chwytając Verę za dłoń. - Proszę cię. Pomóż mi. Potrzebuję ciebie. Nigdy cię nie skrzywdzę. Nie mogę nawet znieść myśli, że podejrzewałaś mnie o coś takiego. Jesteś moim jedynym przyjacielem.

- Zrobię, co mogę - powiedziała Vera. Wzruszyła ją szczerłość Frankie, jednak mimo to postanowiła zachować rozsądny dystans. - I nie ucieknę. Ale musisz wiedzieć, że jeśli odejdę, zrobię to tylko z jednego powodu. Ty mnie do tego zmusisz.

Owen Phillips był wyrachowany. Przyjął rolę Archa Tatuma z dwóch powodów: jego kariera wyraźnie podupadła, a stan konta w banku pozostawiał wiele do życzenia. Podpisując kontrakt na rolę w „Złocie Teksasu”, nie wykazywał wielkiego entuzjazmu. Mimo sukcesu „Dallas”, Phillips uparcie trzymał się opinii, że opery mydlane były chlebem dla mas. Dobra publiczność nie tolerowała zawiłych wątków ciągnących się w nieskończoność. Gubiła się w zagmatwanej akcji i skomplikowanych perypetiach bohaterów. Nie znosiła niczym nie uzasadnionych skoków w czasie. Przypuszczał, że „Złoto Teksasu” zdomowi się na ekranie na okres planowanych trzynastu tygodni, po czym zniknie bez śladu.

Ku jego zdumieniu serial wzbudził prawdziwą sensację, a Owen Phillips stał się telewizyjnym prototypem anty - bohatera, do którego ludzie wręcz uwielbiali pałać

nienawiścią. W ciągu trzech lat odtwarzania roli Archa Tatum zdobył taką popularność jak Larry Hagman. Zaczepiano go na ulicy i zarzucano propozycjami udziału w reklamach. Kilka razy wystąpił z odczytem w college'ach uniwersytetów bluszczowej ligi. Uczelnia, którą ukończył bez specjalnych wyróżnień, przyznała mu nawet tytuł doktora honoris causa. Mógłby być szczęśliwym człowiekiem, gdyby jego charakter choć trochę odbiegał od roli, którą odtwarzał. Niezależnie od tego, ile zdołał osiągnąć, zawsze mu było mało. Pragnął mieć wszystko.

W dniu, kiedy Frankie Travis pojawiła się w Houston, zapragnął także jej. Była bez wątpienia jedną z najwspanialszych kobiet, jaką kiedykolwiek spotkał. Marzył o jej wysokim, szczupłym i jędrnym ciele i miał zamiar urzeczywistnić swoje marzenia. Potrzebował tylko uzbroić się w cierpliwość. Był pewien, że nadejdzie chwila, w której nie powie mu „nie”. Kobiety nigdy mu nie odmawiały.

Będąc wytrwałym myśliwym, zaczął krążyć wokół swojej ofiary. Postanowił, że będzie dla niej uprzejmy, lecz nie miał zamiaru się narzucać. W czasie kręcenia miłosnych scen starał się być pomocny, zachowując jednocześnie profesjonalny dystans. Pierwsze zdjęcia wypadły fatalnie, ale z czasem Frankie była coraz lepsza. W zasadzie była rewelacyjna. Grała przebiegłą lisicę, która dodawała pikanterii rozwlekłej akcji. Na jej tle postać, którą kreował, zyskała pełniejszy wymiar.

Rozbawiła go ironia tej sytuacji. Frankie grała rolę młodej uwodzicielki, która przyjechała do miasta z niezachwianym zamiarem poróżnienia Archa i jego solidnej, niezawodnej i lojalnej żony. Przyjemnie było występować z Verą, będącą znakomitą aktorką, bardziej niestety przypominającą czołg niż kobietę. Wyglądała jak snopek siana nawet w bardzo szykownych i drogich strojach. Wiedział wprawdzie, że role dobrane były na zasadzie kontrastu. On - przystojny, czarujący

i światowy, ona - skromna, oddana i gospodarna i taki mariaż intrygował widzów w całym kraju. Ale nawet dla dobra serialu nie mógł się zmusić do sugestywnego odgrywania łóżkowych scen. Na szczęście większa część scenariusza zakładała, że wskakiwał do łóżka każdej dostępnej dziewczyny w Houston i sceny miłosne z żoną pojawiały się sporadycznie. Phillips wolałby, żeby w ogóle je wyeliminowano, a najchętniej, żeby zrezygnowano z Very Knowles.

Nakręcono już cztery epizody, a piąty miał się zacząć od sceny erotycznej, w której partnerką Phillipsa miała być Frankie Travis. Producent serialu, Earl Byron, pozwolił zagrać Frankie w jeszcze jednym epizodzie. Jej dalsza praca w filmie była uzależniona od oceny widzów.

Sceny wprowadzające poszły jak po maśle, jednak Owen zauważył, że Frankie była bardzo spięta. Kiedy szła do garderoby, nerwowo obgryzała paznokcie. Była wyraźnie zaniepokojona tym, że musi wskoczyć do łóżka obcego mężczyzny w obecności czterdziestu osób. Garderobiana zdjęła jej szlafrok i Frankie stanęła przed reżyserem w jednoczęściowym kostiumie w kolorze stonowanym z jej ciałem.

- Okey! Do roboty! - Reżyser serialu, Marty Weber, wyrozumiałe się do niej uśmiechnął. Wiedział, że niektóre aktorki uwielbiały miłosne harce przed kamerą. Inne wstrząsały się na samą myśl.

Owen podszedł do Frankie i uklonił się.

- Chodźmy do mojej sypialni - powiedział jak pajak do muchy. Uśmiechnął się i wziął ją za rękę.

Frankie wskoczyła pod koc i obserwowała, jak Owen ściąga z siebie welurowy szlafrok. Ubrany był w kostium podobny do jej scenicznego stroju, jednak bez odzieży wyglądał o wiele mniej imponująco. Na planie w barwnych

strojach z poduszkami i dużym kowbojskim kapeluszu był młody, energiczny i całkiem przystojny. Dopiero teraz jego obnażone ciało zdradzało, że przekroczył pięćdziesiątkę. Był średniego wzrostu, miał owłosione piersi i krępe, szerokie ramiona. Jego skóra była gąbczasta i Frankie z rozbawieniem patrzyła, jak wciąga brzuch, zanim położył się obok niej.

Przez jakiś czas niezręcznie siedzieli pod przykryciem, podczas gdy technicy krążyli wokół nich jak oddział mrówek ustawiając mikrofony, światła i sprawdzając połączenia kabli. Frankie zapamiętała obgryzała paznokcie.

- Nie denerwuj się - szepnął jej do ucha Owen. - Dasz sobie radę. Frankie uśmiechnęła się do niego z wdzięcznością. Potrzebowała wsparcia.

- Okey! Jedziemy z tym.

Przez godzinę jeszcze raz ćwiczyli to ujęcie, czytali skrypt i ustawiali się do kamery. Marty przez cały czas ustawiał kamery i dawał im wskazówki co do położenia ramion i dłoni. W czasie próby Owen był prawdziwym dżentelmenem. W końcu zaczęli kręcić.

Kiedy pierwszy raz dotknął jej piersi, myślała, że to zwykły przypadek. Później powtórzył to jeszcze dwa razy. Czowała, jak od czasu do czasu jego stopa wędrowała wzdłuż jej nogi. W którymś momencie przywarli do siebie ustami, objął jej szyję ramieniem i przyciągnął ją bliżej, niż przewidywał scenariusz. Zamiast „wciągniętych policzków” albo „suchego pocałunku” poczuła, jak jego język wrzyna się pomiędzy jej wargi. Nie był to filmowy pocałunek. Grała już w niejednej scenie miłosnej, ale nigdy nie przytrafiło jej się coś takiego. Była tym zażenowana, ale nie przestawała grać, dopóki Marty nie powiedział „stop”.

Kiedy skończyli, Owen czule pocałował ją w policzek.

- Możesz wskoczyć mi do łóżka o każdej porze - powiedział badając jej reakcję. - Byłaś fantastyczna!

Frankie poczuła się jak idiotka. Na początku sądziła, że naprawdę się do niej dobiera. Teraz z miną zawodowca gratulował jej udanej sceny. Uśmiechnęła się do niego z ulgą. Po prostu wykonywał swoją pracę, pomyślała. Zachowywał się jak prawdziwy profesjonalista, sprawujący kontrolę nad przebiegiem gry. Kiedy patrzyła, jak idzie do przebieralni, potrząsnęła ramionami, jakby chciała zrzucić z siebie amatorszczyznę. Zdała sobie sprawę, że jeszcze dużo musi się nauczyć.

Telewizja transmitowała ten odcinek jeszcze tego samego wieczoru. Prawie cała obsada oglądała serial w hotelowej poczekalni. Frankie zamknęła się w swoim pokoju. Była zbyt zdenerwowana, żeby krytycznie ocenić swoją grę. Bała się spojrzeć na ekran. Otworzyła książkę i postanowiła trochę poczytać. Nic z tego, pomyślała. Nie potrafię na niczym się skoncentrować. Myślała tylko o kontrakcie. Czy przedłużą jej umowę? Czy polubią ją widzowie? Czy ją zaakceptują? A co będzie, jeśli ją odrzucą? Jak sobie z tym poradzi? Jak zareaguje prasa? W końcu, parę minut po północy, zmęczona tym rozmyślaniami, wzięła proszek na sen i poszła do łóżka.

Następnego ranka obudziło ją walenie do drzwi. Przez kilka minut nie wiedziała, co się dzieje. Łomot nie ustępował. Wstała, zarzuciła szlafrok, podeszła do drzwi i spojrzała przez wizjer.

- To my, Vera i Earl. Obudziliśmy cię? - usłyszała za drzwiami głos Very. - Jeśli nawet, to i tak nic nie szkodzi!

- Nie. Już wstałam - skłamała. - Wejdźcie.

- Gratulacje - powiedział Earl. Pocałował ją w policzek i szeroko się do niej uśmiechnął. - Byłaś bombowa! Toni Swift zostaje z nami!

- Naprawdę byłaś fantastyczna - rozplýwała się w pochwałach Vera. Przytuliła Frankie do siebie. - Widzowie cię ubóstwiają.

- Skąd wiesz? - Frankie ciągle jeszcze była zaspana. - Przecież pokazywali to dopiero wczoraj.

- Najpierw nadali to w Nowym Jorku, a potem we wszystkich strefach czasu - wytłumaczył jej Earl. Był wyraźnie podekscytowany. - Widzowie nagradzali cię owacjami za każdym razem, kiedy wchodziłaś na scenę. Nazywali cię żeńskim wcieleniem Archa Tatum. Chyba przyłganie do ciebie to określenie.

- Najwyższa pora, żeby to uczcić!

Vera wyciągnęła zza pleców butelkę szampana i dzbanek soku pomarańczowego. Earl dopełnił honorów, zdejmując korek i wlewając spienioną ciecz do hotelowych kubeczków z plastiku, po czym wzniosł toast:

- Za długi i szczęśliwy pobyt na antenie serialu „Złoto Teksasu"! Stuknęli się szklaneczkami i wypili do dna. Nawet gdyby piła szampana ze szkieł

Laligu'a, nie smakowałby jej lepiej. Otoczona była przyjaźnią i sukcesem i po raz pierwszy od lat szczerze wierzyła, że wreszcie uśmiechnęło się do niej szczęście.

Następnego dnia zaraz po lunchu Frankie poszła pokręcić się koło basenu i powtórzyć tekst do kolejnych zdjęć. Owen stał przy wejściu do hotelu i długo jej się przyglądał. Jak alkohol, od którego kręci się w głowie w letni upalny dzień, tak jej widok spowodował, że Owena zalała fala pożądliwości, której natychmiast musiał dać upust. Frankie ubrana była w bardzo skąpe bikini. Jej ciało lśniło olejkiem do opalania. Wyglądała jak westalka, która za chwilę zostanie złożona w ofierze na ołtarzu. Powoli się do niej zbliżył, świadomy faktu, że w wytartych dżinsach, kowbojskich butach i kapeluszu wyglądał niezwykle pretensjonalnie. Nie obchodziły go zdziwione spojrzenia hotelowych gości. Był gwiazdą i każdemu, kto o to pytał, odpowiadał, że musi zachować swój image. Włóczenie się w szortach i bawełnianej koszulce było

poniżej jego godności. Prawda wyglądała jednak nieco inaczej. Owen miał w butach specjalne wkładki i publicznie nigdy się bez nich nie pokazywał.

- Słyszałem, że odniosłaś ogromny sukces - powiedział i usiadł obok niej na ławeczce.

- Tak mówią... - Frankie podniosła dłoń osłaniając oczy przed słońcem. - Wiem tylko, że przedłużyli mi kontrakt i jestem stałym członkiem obsady.

- Cieszę się - odparł. Zauważył śnieżną biel jej zębów, które ukazała w szerokim uśmiechu.

- Dlaczego nie świętujesz z tej okazji?

- Nie mam czasu. Muszę nauczyć się tekstu do następnego epizodu.

- Może chcesz, żebym ci pomógł?

- Świetny pomysł. Byłabym ci wdzięczna, gdybyś poświęcił mi parę minut.

- Mam wolne całe popołudnie.

Przez pół godziny pracowali nad jej tekstem. Frankie była tak zaaferowana tym, co robili, i tak wdzięczna, że zaproponował jej swoją pomoc, że nawet nie zauważyła, jak jego wzrok nieustannie błądzi po jej ciele.

Owen nie spoufalał się z byle kim. Rzadko widywano go na drinku i tylko czasami zdarzało mu się wypić symboliczną lampkę z Earlem albo z Marty. Odnosił się z dystansem do pozostałych członków obsady, a ekipy technicznej prawie nie zauważał. Vera powiedziała Frankie, że wielu ludzi go nie znosiło, ale ona sama siedziała cicho, gdyż Owen był Archem Tatumem, a bez Archa Tatuma „Złoto Teksasu” nie zdobyłoby takiej popularności.

- Frankie, czy nie miałabyś nic przeciwko temu, żebym poprosił cię o przysługę? - zapytał. Otarł spocone czoło chustką do nosa. Rekwizyt ten zupełnie nie pasował do dżinsów i flanelowej koszuli.

- Jasne. Co mam zrobić?

- Okropnie tutaj gorąco. Może byśmy dokończyli w moim pokoju?

- To może już skończymy... - zaczęła, nie chcąc, by wyglądało to na nadużywanie jego uprzejmości.

- Nie, moja droga. Nie chodzi mi o to, żebyś teraz przerywała. Następne sceny są bardzo istotne. Po prostu w środku będzie nam o wiele wygodniej.

Bez chwili zastanowienia Frankie przystała na jego propozycję. Starła z siebie olejek, włożyła biały cienki szlafroczek i klapki i udała się za nim do hotelu. Apartament Owena mieścił się na pierwszym piętrze, jego okna wychodziły na sztuczne jeziorko. Klimatyzacja pracowała pełną parą i Frankie poczuła, jak przyjemny chłód owiewa jej ciało.

- Chodź tutaj - powiedział chwytając ją za ręce i pocierając je dłońmi. - Rozgrzeję cię.

Na widok błysku w oczach Owena system alarmowy w mózgu Frankie natychmiast się włączył. Uwolniła się z jego uścisku.

- W porządku - powiedziała szybko. Nie chciała, żeby zabrzmiało to niegrzecznie. - Nie są zimne.

- Ty też nie jesteś zimna, Frankie. Jesteś gorąca i zmysłowa. Już dawno chciałem ci to powiedzieć.

Jej system alarmowy natychmiast zareagował. Nie przyprowadził jej tutaj, żeby ćwiczyć. Jedynym powodem było to, że chciał iść z nią do łóżka. Przez moment Frankie zastanawiała się, czy pozwoli jej wyjść. Nie był wysoki ani szczególnie umięśniony, ale po Luke'u Maddoksie Frankie wiedziała, że niektórzy mężczyźni potrafili wykazać olbrzymią siłę, kiedy chcieli podporządkować sobie odporne kobiety.

- Wiesz - powiedziała obojętnym tonem. - Na śmierć zapomniałam, że umówiłam się w garderobie. Przykro mi, ale będę musiała iść.

Zablokował drzwi.

- Mnie też jest przykro, jednak będziesz musiała zostać.

- Czyżbyś mi groził, Owen? - Nie ruszyła się z miejsca, czekając, aż odsunie się od drzwi.

- Nie nazwałbym tego w ten sposób - powiedział, cofając się o krok i przekręcając klucz w zamku. - Nazwałbym to zaproszeniem.

- Wobec tego nie skorzystam. - Zaczęła ogarniać ją panika.

- To nie jest w porządku.

- Czemu nie? - Proszę, pomyślała. Przesuń się na bok tak, żebym mogła się stąd wydostać!

- Ponieważ obiecałaś, że wyświadczysz mi przysługę, a teraz odwracasz kota ogonem. Nie zapominaj, kochanie, że zawarliśmy układ. Przysługa za przysługę.

- Dzięki, ale ja nic od ciebie nie potrzebuję. - Zrobiła krok w prawą stronę. Owen powtórzył jej ruch.

- Wydaje ci się, mała. Myślisz, że jeśli podobasz się publiczności, to wystarczy. Nie, moja droga. W realnym świecie wszystko jest bardziej skomplikowane. Widzowie mogą cię ubóstwiać. Ale jeśli mnie się nie spodobasz, to wylądujesz swoją słodką dupcią na bruku.

- O czym ty mówisz? - Przesunęła się w lewo. Oparł rękę o ścianę, blokując jej drogę.

- Bardzo nie chciałbym tego robić, ale jeśli nie będziesz żyć ze mną w zgodzie, to mogę szepnąć słówko Earlowi i moim znajomym w telewizji i przekonać ich, że Toni Swift powinna młodo umrzeć.

- Nie zrobisz tego.

- Ależ tak - powiedział z bezczelnym uśmiechem. -
Widzisz? W filmie jesteśmy kochankami. Jestem wprawdzie
aktorem, ale doświadczenie czerpię z życia. Frankie
przypomniała sobie ostatnią scenę miłosną. Instynkt jej nie
zawiódł. Jego ruchy nie były przypadkowe.

- Aktorstwo jest naśladowaniem, Owen. Niczym więcej.
Doskonale o tym wiesz. Poza tym w przyszłym tygodniu
jedziemy do Los Angeles. Czeka na ciebie żona.

- To będzie w przyszłym tygodniu. Dzisiaj jest dzisiaj.

Szybkim ruchem rzucił się na nią i szarpnął rękawy jej
szlafroka. Frankie próbowała się od niego uwolnić, ale
przyparł ją do rogu w pobliżu okna. Przysunął się bliżej, a w
jego oczach zapalił się ogień pożądania. Popchnął ją w
kierunku ściany, chwycił ręką za nadgarstki i podniósł jej ręce
ponad głowę. Wolną dłonią zdarł jej cieniutki biustonosz,
uwalniając białe piersi. Poczowała na ciele jego obleśny, gorący
oddech i zacisnęła zęby. Próbowwała się wyzwolić, ale trzymał
ją przy ścianie żelaznym uściskiem, a jego lewe udo wrzynało
się w jej nogę. Syknęła z bólu.

Szybkim ruchem, który pozbawił ją równowagi, pociągnął
ją za sobą i rzucił na łóżko. Z ogromną wprawą, zupełnie
jakby robił to dziesiątki razy, zdarł z niej szlafrok i przywiązał
jej ręce do barierki łóżka. Przygniatając jej kolanem pachwinę,
wyskoczył z koszuli i zdjął spodnie. Potem mocno
przytrzymując ją rękami, kilkoma kopnięciami zrzucił buty i
zsunął slipki. Usiadł na niej okrakiem. Rzuciła się jak zwierzę
złapane w pułapkę.

- Proszę - jęknęła - nie rób mi tego! Błagam cię! Nie!

- Chcę ciebie - wysapał wpijając w nią wzrok. - Oddaj mi
się. No, chodź. Powiedz „tak”. Nie będzie cię bolało. Chcę cię
tylko dotknąć.

Wsunął palec za materiał jej majtek i zaczął ją pocierać,
nie spuszczając wzroku z jej twarzy.

- Dobrze... - powiedział przesuwając palcem w górę i w dół. - Jesteś bardzo miła. - Z głębi jego gardła wydobywał się przytłumiony jęk. - Powiedz „tak” - jego głos przybrał nagle ostry ton. - Powiedz, że mnie pragniesz! Teraz!

Luke Maddox był wprawdzie brutalnym i wymagającym kochankiem, ale nigdy by jej nie skrzywdził. Z Owenem było inaczej. Był maniakiem. Wiedziała, że jeśli się nie zgodzi, Owen posunie się do gwałtu.

- Dobrze - powiedziała. Jej głos drżał z przestachu. - Pragnę ciebie. Wyszczrzył zęby w zwycięskim uśmiechu. Przebiegł językiem po wargach. Jego

twarz pulsowała z pożądania. Frankie nigdy w życiu nie widziała nic tak odrażającego.

- Ściągaj majtki.

- Nie mogę - jęknęła. - Mam związane ręce.

Wsunął nogi między jej uda i uwolnił więzy. Przez moment, kiedy miała wolne ręce, próbowała się spod niego wyśliznąć, ale przyparł ją do materaca z ogromną siłą. Wiedziała, że do końca tygodnia cała będzie posiniaczona. Oczywiście miała pełne łez, ale posłusznie zsunęła dół kostiumu. Tak jakby czekał na ten moment, wszedł w nią z całą siłą i brutalnie się od niej odbijał, upokarzając ją i zadając jej ból.

Frankie próbowała odseparować się od tego, co się z nią działo. Chciała zemdleć, stracić świadomość i uciec od tej koszmarnej rzeczywistości, ale jej umysł zachował wyostrzoną percepcję i postrzegała wszystko ze zdwojoną ostrością. Cierpiała w milczeniu, połykając łzy upodlenia. Złapał ją za piersi, ścisnął je i gryzł tak mocno, że aż skurczyła się z bólu. Jego ciało miarowo waliło o jej biodra z niesamowitą siłą, ale Frankie nie wydała z siebie najmniejszego odgłosu. Zagryzała wargi, żeby nie krzyknąć. Nie chciała mu dać tej satysfakcji.

W końcu ogarnęło go wyczerpanie. Bolesny napór ustąpił. Skończyła się jej tortura, ale Owen się z niej nie zsunął. Znowu usiadł na niej okrakiem; słyszała, jak wydaje z siebie rytmiczne sapanie.

- Podobało ci się, co? Frankie nie odpowiedziała.

- Powiedz, że ci się podobało. - Znowu wbił jej łokcie w ramiona i przycisnął do materaca.

Nie mogła wydusić z siebie ani słowa. Po prostu nie mogła. Zmęczona, pobita, niezdolna, żeby dalej stawiać opór, przekręciła głowę i czekała, aż ją uderzy. Owen głucho się roześmiał, okrutnym, sadystycznym śmiechem. - Nie musisz tego mówić. Zrobiłem sobie dobrze, a reszta gównu mnie obchodzi.

Zszedł z Frankie, uwolnił jej rękę, oparł się o ścianę i z zadowoleniem jej się przyglądał. Przestraszona, że w każdej chwili znowu może ją zaatakować, zsunęła się z łóżka. Chwyliła podarty szlafrok i szczelnie się zakryła. Chciała rzucić się do ucieczki, ale wszystko niemiłosiernie ją bolało. Nogi miała jak z waty. Zdołała tylko dokuśtykać do nocnego stolika.

- Jesteś obrzydliwy - wypluła z siebie te słowa.

- A ty jesteś młoda i podniecająca. Wkrótce jeszcze raz to zrobimy. Zaskoczyła ją jego bezczelność.

- Nigdy! - krzyknęła.

- Nigdy nie mów nigdy. - Zaczął machać jej przed nosem wskazującym palcem, a jego twarz wykrzywiła się w pogardliwym grymasie. - Masz za kiepską pozycję, żeby mówić „nie”. Wiem, jak bardzo zależy ci na tej pracy, a ty też już wiesz, jak bardzo lubię się z tobą pieprzyć.

- Zrobisz jeszcze jeden krok w moim kierunku i rozdepczę cię jak glistę! Powiem wszystkim, że mnie zgwałciłeś.

- Nie zrobisz tego. - Zaśmiał się szyderczo i zaczął macać rękami po łóżku w poszukiwaniu czegoś, czym mógłby się przykryć. W końcu wpadła mu w ręce koszula, którą błyskawicznie na siebie założył. - Nic nie powiesz, bo nikt cię już nie będzie chciał słuchać. Zasrałaś sobie reputację, opowiadając prasie bajki, moja mała.

- Nie pójdę do prasy - powiedziała telepiąc się do drzwi. Starła się uspokoić drzenie. - Pójdę do Earla Byrona.

Phillips poderwał się z łóżka.

- Proszę bardzo. Wpieprzam mu pieniądze do kieszeni. Robi na mnie miliony. Myślisz, że komu będzie wierzył? Gwieździe najlepszego telewizyjnego serialu czy jakiejś kiepskiej aktoreczce, która potrzebuje tej pracy bardziej niż praca jej. Nie zapomnij jutro przyjść na plan w doskonałej kondycji, pączuszk. Kręcimy następną scenę miłosną i chyba nie chcesz jej opuścić?

Frankie wypadła z jego pokoju i schodami awaryjnymi pognąła na swoje piętro. Kiedy wspinała się na stopnie, poczuła, jak ciepła ciecz spływa jej po udach. Nie musiała patrzeć, żeby wiedzieć, że krwawi. Dobry Boże, pomyślała. Co ten skurwysyn mi zrobił.

Przekręciła zamek, weszła i trzasnęła za sobą drzwiami, zrywając z siebie ubranie i z impetem rzucając je na podłogę. Weszła do łazienki i odkręciła prysznic. Chciała jak najszybciej zmyć z siebie barbarzyński odór i zatrzeć wspomnienie upokarzającej zniewagi. Zanim weszła do łazienki, zobaczyła w lustrze swoje odbicie. Całe ciało usiane było siniakami. Załkała. Chciała coś zrobić, kogoś zawołać, ale bała się zadzwonić po policję, bała się wezwać lekarza, bała się zrobić najmniejszy ruch.

Później, kiedy siedziała na łóżku owinięta w koc i starała się opatrzeć swoją zboląłą duszę, nurtowało ją jedno pytanie. Jaka była w tym jej rola? Czy znowu pozwoliła zrobić z siebie

ofiare? Czy zachowywała się prowokacyjnie w stosunku do Owena? Może sama go do tego zachęciła. Nie! - odpowiedziała sobie ze złością. To zupełna bzdura. Mężczyźni gwałcący kobiety są bezwzględni i brutalni. Była ofiarą aktu przemocy, a nie nieokiełznanej namiętności.

Może powinna z tym pójść do Very? Pokazać jej siniaki? Poradzić się, co ma zrobić? Wprawdzie ostatnia rozmowa w barze nieco je zbliżyła, ale Frankie nadal nie była pewna, czy może jej zaufać. Czowała na sobie jej badawczy wzrok. Vera testowała Frankie. Przyglądała się jej życiu z wnikliwą uwagą i Frankie musiała przyznać, że wyniki tego testu nie były zadowalające. Nie, nic nie powie Verze. Zatrzyma to dla siebie. Postąpi jak dojrzała i odpowiedzialna osoba.

Nagle usłyszała za drzwiami głos Very. Poderwała się z łóżka i podbiegła do drzwi. Spojrzała przez wizjer, żeby się upewnić, że Phillips nie kręci się w korytarzu. Otworzyła drzwi i zastanawiając się, co za opatrność zesłała tutaj Verę, wpuściła ją do środka.

- Ty dziwko! - Twarz Very była czerwona z wściekłości. - Znowu to zrobiłaś! Frankie nie mogła uwierzyć własnym uszom.

- Co? O czym ty mówisz? - Serce zaczęło walić jej w piersi.

- Owen Phillips odbył małą pogawędkę z Earlem. Wiesz, co powiedział? Frankie zaprzeczyła ruchem głowy. Vera nerwowo przełykała ślinę i gniewnie sapała.

- Powiedział, że dla dobra serialu lepiej byłoby wyciąć parę scen ze starą dobrą Georgią i więcej kręcić z Toni Swift. zaproponował nawet, żeby Arch rozwiódł się z Georgią i poślubił Toni. Podsunął Earlowi, żeby rozważył możliwość dwóch tak czarnych charakterów grających ze sobą w parze. Rozważył możliwość! Wiesz, co to znaczy?

- Dlaczego mnie za to winisz? - Frankie rozplakała się. Cała trzęsła się w środku. Była zupełnie zdruzgotana. - To on to powiedział. Nie ja!

- Ale ty na tym zyskujesz. - Vera syczała z podniecenia. - To ty go do tego namówiłaś. Wiem o tym

- Dlaczego miałabym to robić?

- Z tego samego powodu, dla którego wbijałaś nóż w plecy wszystkim, z którymi pracowałaś. Dlatego, żeby tobie było lepiej.

- Vero, to wszystko jest nie tak. - Frankie podeszła do niej bliżej. Próbowwała wziąć ją za rękę, ale Vera odsunęła się od niej z obrzydzeniem jak od trędowatej. - Vero, jesteś po prostu od niego lepsza. Dlatego chce cię usunąć. Stanowisz dla niego zagrożenie. Nie ja.

- Nieźle brzmi - powiedziała Vera. - Ale nie kupuję tego. Dopóki się tutaj nie zjawiałaś, nasze stosunki układały się bardzo dobrze. Dlaczego nagle postanowił odstawić starą, dobrą Georgię Tatum? Może mu coś obiecałaś? Może twoje zmysłowe ciało?

Frankie nie mogła już dłużej wytrzymać. Jej oczy wypełniły się łzami i zaczęła drżeć.

- Nie mów tego - załkała. - Nigdy tego nie mów.

- Dlaczego? Bo prawda kole cię w oczy?

- Vera, on mnie zgwałcił.

Vera rozłożyła ręce i wydała z siebie głośny egzaltowany pomruk.

- Przestań, Frankie. Przespałaś się z nim, to wszystko. Włazłaś do jego łóżka, żeby odwalił za ciebie brudną robotę. I wpadłaś jak śliwka w kompot. Przyznaj się!

- Zgwałcił mnie - Frankie skamlała jak zranione kocię. - Zobacz, pokażę ci. - Zaczęła rozwiązywać pasek szlafroka, ale Vera wykrzywiła się z niesmakiem i ruszyła w stronę drzwi.

- Mówiłaś, że chcesz być moją przyjaciółką. Ale nawet nie wiesz, co znaczy słowo „przyjaźń”!

- Spójrz! - Frankie rozchyliła poły pizamy, pokazując swoje posiniaczone piersi.

Vera nawet się nie odwróciła. Pomaszerowała do drzwi i trzasnęła nimi tak mocno, że prawie wyleciały z zawiasów.

Frankie osunęła się na podłogę. Jeszcze długo leżała na ziemi, łkając, płacząc i użalając się nad sobą. Musiała jakoś przekonać Verę, że nie maczała palców w brudnej robocie Owena ani nie uknuła żadnego planu zdrady.

Nagle z jej ust wydobył się dziwny, pusty i gorzki śmiech. Tym razem była zupełnie niewinna i naprawdę była ofiarą i jedyną osobą, która ucierpiała. Ale w oczach Very i najprawdopodobniej wszystkich innych uchodziła za intrygantkę. Zaszkoziła zbyt wielu ludziom, by ktoś mógł teraz uwierzyć w jej niewinność.

Owen Phillips był nikczemnym człowiekiem, ale miał rację. Mogła zaprzeczać wszystkiemu, lecz któż by jej uwierzył? Zbyt wiele błędów popełniła w życiu.

- Jestem tak samo rozczarowana jak ty - powiedziała Jinx - ale nic nie możemy na to poradzić.

- Co się znowu stało? - Matthew próbował mówić spokojnym głosem, lecz już nie po raz pierwszy Jinx odwoływała podróż do Los Angeles.

- Zwołano spotkanie rady nadzorczej na poniedziałek rano. - Jinx usłyszała sarkazm w głosie Matthew, ale postanowiła to zignorować. - Dodge podniósł sprawę Fundacji Kiplinga. Mimo że wyłożyłam wszystkie pieniądze z własnej kieszeni, Dodge twierdzi, że są one częścią posiadłości Kipa i pochodzą z zysków, jakie przynoszą hotele. Według niego rozporządzanie tymi pieniędzmi zależy od decyzji rady nadzorczej. Nie mogę wprost uwierzyć, jaki ten facet ma tupet!

Po wysłuchaniu wyjaśnień Jinx Matthew musiał przyznać, że dalsza dyskusja mijała się z celem. Jinx powołała Fundację Kiplinga głównie po to, by sfinansować oddział neurologiczny w „Sunset Medical Center”. Matthew był ordynatorem tego oddziału i doskonale zdawał sobie sprawę, że bez pomocy finansowej Jinx miałby ogromne trudności z jego utrzymaniem.

- A co powiedział na to Milton Fox? - zapytał.

- Milton zapewnił mnie, że zarzuty Dodge'a są zupełnie bezpodstawne, ale skoro już poruszył tę sprawę, nie mogę uchylić się od odpowiedzi. - Przerwała na chwilę. - Proszę, powiedz, że mnie rozumiesz!

Matthew próbował właśnie to zrobić. Starał się zrozumieć jej niewolniczą lojalność w stosunku do korporacji męża i obsesję trzymania Dodge'a na dystans od podejmowania

decyzji. Starał się zrozumieć, że chciała sama sobie udowodnić, iż zasługuje na to, żeby zarządzać korporacją i nosić nazwisko Kipling. Jednak wcale nie zmieniało to faktu, że „Kipling Worldwide” zaczęła wypierać z jej serca osobę Matthew Granta.

- Skoro już zrezygnowałem ze swoich planów - odezwał się - to może polecę do Nowego Jorku?

- Byłoby cudownie - odparła ze szczerym entuzjazmem - ale przez cały tydzień będę musiała przeglądać papiery z Miltonem. Zależy mi, żeby dobrze wypaść na tym spotkaniu.

Chciała, żeby życzył jej powodzenia, dodał jej otuchy albo po prostu powiedział, jak bardzo za nią tęskni, ale Matthew uparcie milczał.

- Jak tylko się z tym uporam - dodała szybko - wyjedziemy razem na weekend. Obiecuję.

- Świetnie. Jak będziesz wolna, daj mi znać.

Matthew odłożył słuchawkę. Zrobiło mu się ciężko na duszy. Od czasu pobytu w Japonii, a już szczególnie od śmierci Jonathana, coraz bardziej się od niej uzależniał. Złapał się na tym, że liczy dni i tygodnie między ich spotkaniami. Zauważył, że powinien pomyśleć o ustabilizowaniu tego związku, ale stały mu na drodze dwie rzeczy: wahanie i obawa przed zawarciem następnego małżeństwa oraz strach, że Jinx była bardziej zaangażowana w rozbudowywanie imperium Kipa niż w planowanie z nim wspólnej przyszłości. Dzisiejsza rozmowa spotęgowała tylko ten strach.

Znów zadzwonił telefon. Podniósł słuchawkę sądząc, że to Jinx zmieniła plany i pragnie się z nim spotkać w Nowym Jorku. W słuchawce odezwał się jednak głos Becki Hillman.

- Mam nadzieję, że nie przeszkadzam - powiedziała. - Wiem, że jesteś bardzo zajęty, ale chciałabym prosić o przysługę.

Od śmierci Jonathana Becca cały czas utrzymywała kontakty z Matthew. Często do niego dzwoniła i zapraszała na domowe kolacje przy świecach. Nigdy nie przyjmowała żadnych wymówek. Czasami czuł się winny, że łączy go takie stosunki z przyrodnią siostrą Jinx i zastanawiał się, jak Jinx zareagowałaby na tę nową znajomość. Jinx mogła różnie postrzegać Beccę, ale jemu wydawała się zawsze niezwykle uprzejmą i myślącą osobą. Matthew nie chciał uchodzić za gburę i samotnika i nie lubił odrzucać zaprosin. Poza tym u Becki zawsze bywali ludzie, którzy w ten czy inny sposób związani byli z finansowaniem działania szpitala. Zawsze mógł usprawiedliwić się przed Jinx, że jego obecność na wieczorkach u Becki była podyktowana troską o stan kliniki.

- Tylko mi nie mów, że to jeszcze jedna dobroczynna kolacja. - Matthew był rozczarowany, że nie była to Jinx, ale z wdzięcznością przyjął jakąś odmianę. - Nie powinienem ci tego mówić, ale chyba już wyczerpałem mój dar przekonywania.

Becca roześmiała się bardzo kobiecym chichotem.

- Tak podejrzewałem - odpowiedział Matthew i poczuł dziwne odprężenie. - Czy nigdy nie robisz nic, co nie miałoby związku z pomocą dla potrzebujących?

- A czy twoja matka nigdy ci nie mówiła, że przyjemniej jest dawać niż brać? - spytała kokieteryjnie. - W ten weekend organizujemy w Springs Park dobroczynny turniej golfowy, z którego dochody przeznaczone będą na nowe centrum rehabilitacyjne. Obiecałam, że wezmę w nim udział, ale dopiero wczoraj dotarło do mnie, że potrzebuję partnera. Wiem, że ostatnio pracujesz jak wół. Może byś tak zrobił sobie krótką przerwę. Jutro jest piątek. Turniej jest w sobotę. Moglibyśmy wylecieć jutro zaraz po twoim obchodzie i wrócić w niedzielę wieczorem, co ty na to?

Matthew nie musiał nawet sprawdzać rozkładu swoich zajęć. Wziął wolne na przyjazd Jinx. Skoro nie mogła przylecieć, nie miał nic do roboty.

- Zapowiada się fantastycznie - powiedział. - I masz całkowitą rację. Od czasu do czasu lekarze bardzo potrzebują zmiany otoczenia.

- Cudownie! - powiedziała Becca szczerze uradowana. - Musisz tylko spakować torbę, wyciągnąć kije do golfa i być gotów na czwartą. Zajmę się resztą.

Przez kilka miesięcy Becca zmieniała kosztowne stroje i pudrowała twarz, żeby wyglądać na jeszcze bledszą i bardziej wymizerowaną. Nauczyła się przyjmować na zawołanie zrozpaczoną minę, rzucać spojrzenie pełne tragizmu i wylewać łzy na dźwięk imienia zmarłego męża. Na przyjęcia charytatywne nie zakładała wprawdzie czarnych strojów, ale zagryzała dolną wargę i głęboko wzdychała, podczas gdy orkiestra grała „Memories”, „When I Fall in Love” lub inne „znaczące” szlagiery. Chociaż już wkrótce miała otrzymać nagrodę za doskonale odgrywaną rolę, powoli zaczynało ją to nudzić. Miała serdecznie dosyć i znów chciała rzucić się w wir towarzystwa; wydawać pieniądze, które odziedziczyła, chodzić na drinki i kolacje, lecz najbardziej chciała mieć na własność Matthew Granta.

Becca nie należała do kobiet, które zakochiwały się do szaleństwa i była zupełnie odporna na strzały Kupidyna. Za bardzo interesowała ją własna osoba, by potrafiła żyć dla kogoś. Poza tym nie mogła dopuścić, żeby ktoś przejął kontrolę nad jej duszą.

Jednakże pomysł przelotnego romansu zupełnie jej nie przeszkadzał. Nie interesowała jej fizyczna strona flirtu, ale sam proces zdobywania względów. Była zachwycona, kiedy mężczyźni mówili, że jest piękna i że nie mogą się jej oprzeć.

Pocałunki, pieszczoty, wybuchy namiętności naprawdę jej nie ekscytowały.

Kiedy po raz pierwszy spotkała Matthew Granta, stwierdziła, że jest na tyle kulturalnym mężczyzną, że nie będzie się wstydził wyrażania podziwu dla kobiety swojego serca. Domyślała się, że jest zapewne rozsądnym kochankiem, nie tak wymagającym i o byle co się obrażającym jak Jonathan. Pomyślała, że zaciągnięcie go do łóżka byłoby nie lada wyczynem. Próbowano tego już wiele kobiet i najczęściej im się nie udawało. Jediną osobą, która zdołała uwieść czarującego Matthew Granta, była jej przyrodnia siostra - Jinx. Sam ten fakt mobilizował Beccę do wysiłku.

Becca nigdy nie pozostawiała spraw własnemu biegowi i jeśli tylko miała na to jakiś wpływ, eliminowała prawdopodobieństwo porażki. Zawsze lubiła mieć ostatnie słowo.

Zanim zaczęła flirtować z Matthew, przeprowadziła małe dochodzenie dotyczące jego życia uczuciowego. Zaprzyjaźniła się również z jego pielęgniarką, nagradzając ją serdecznym uśmiechem za każdym razem, kiedy wciskała Beccę do napiętego harmonogramu wizyt Matthew. Od czasu do czasu Becca pozwalała sobie z nią na plotki. W ten sposób dowiedziała się, że Matthew wziął wolny weekend, żeby spotkać się z jakąś „szczególną kobietą”.

Becca nie musiała usłyszeć jej imienia. Wiedziała dokładnie, kim była ta kobieta. Zauważyła także, że zapracowywał się na śmierć. Bywał nieprzyjemny i łatwo go było wyprowadzić z równowagi. Dowiedziała się również, że od czterech miesięcy nie miał wolnego weekendu. Zdecydowała, że nadeszła odpowiednia chwila na pierwszy ruch.

Jak dotąd, wszystko szło zgodnie z planem. Odbyli spokojny lot i zjedli kolację u Gastona. Becca obawiała się, że

Matthew może rozszyfrować jej prawdziwe motywy, kiedy oznajmiła mu, że zatrzymują się w domku, który wynajęła po śmierci Jonathana. Przyjął to jednak bez najmniejszego zdziwienia, tak jak słodzenie herbaty albo łykanie aspiryny.

W sobotę z samego rana ruszyli na pole. Był przepiękny dzień. Na turkusowym niebie nie było ani jednej chmurki. Od początku Becca była przekonana, że wygrają, i tak też się stało. Matthew nie grał najlepiej, ale jego partnerka była znakomita. Matthew nie ukrywał swojego podziwu.

Podczas rozdawania nagród i popołudniowego bankietu Becca nie spuszczała Matthew z oczu. Bała się, że może się znudzić golfową paplaniną, ale nic nie zdołało zakłócić jego doskonałego nastroju. Gawędził z innymi zawodnikami i prawil komplementy Becce, mówiąc, że to jej zawdzięczają zwycięstwo. Kilka razy wydawało jej się, że dostrzega jego zainteresowanie, mrugnięcie okiem, objęcie ramieniem, przeciągły uśmiech.

Wrócili do domku, przebrali się i wyszli na kolację. Becca wybrała starą francuską restaurację „Melvyn” przylegającą do legendarnego zajazdu „Ingleside”. Była dyskretnie oświetlona i bardzo szykowna. Znakomite tło, pomyślała.

Podczas posiłku Matthew kilkakrotnie pochwalił ją za wybór restauracji i dania. Spuściła wzrok i bawiła się nóżką kieliszka.

- To wszystko nie ma żadnego znaczenia - wyszeptała.

- Co masz na myśli? - zapytał, trochę zaskoczony tą nagłą zmianą nastroju - Tylko nie zrozum mnie źle. - Przesłała mu nikły uśmiech. - Miałam cudowny dzień. Byłeś wspaniały, a ja tak cieszyłam się naszą wygraną. Ale jak wrócę do domu, będzie mi źle.

- Źle? Czemu?

- Moje życie jest teraz puste - powiedziała. - Rzadko widuję się z przyjaciółmi. Dnie i noce spędzam sama jak kołek. Nie mam nic, co pobudzałoby mnie do działania.

- Masz przecież mnóstwo przyjaciół - odparł próbując poprawić jej nastrój. - Na pewno wyciągają cię z domu.

Becca zaśmiała się gorzko, ale patetycznie.

- Z początku tak było. Ale Los Angeles jest okropnym miastem dla wdowy. Kiedy pójdę gdzieś sama, wszyscy podejrzliwie mierzą mnie wzrokiem. Jeśli dołączę do jakiejś pary, czuję się jak piąte koło u wozu. Wobec tego siedzę w domu.

Matthew pochylił się nad stołem i wziął ją za rękę. W jego oczach malowało się współczucie, mówił czułym i głębokim głosem.

- Becco, jesteś piękną kobietą. Doznałaś ogromnej straty, ale w życiu są lepsze i gorsze dni. To, co dzisiaj wydaje ci się murem nie do przeskoczenia, jutro należeć będzie już do historii. Po prostu musisz to przeczekać.

- Staram się - powiedziała. Jej głos był bardzo cichy.

- Jeśli mógłbym ci w czymś pomóc, po prostu powiedz.

- Dziękuję - powiedziała Becca i uśmiechnęła się do siebie pod nosem. Było dobrze po północy, lecz Becca i Matthew nadal jeszcze nie spali. Pół godziny temu powiedzieli sobie dobranoc i poszli do oddzielnych pokoi, jednak Becca celowo zostawiła otwarte drzwi, żeby widzieć, kiedy Matthew zgasi światło. Tymczasem dokonała wieczornej toalety, wzięła prysznic, wyperfumowała całe ciało i wślizgnęła się w prześwitującą jedwabną koszulę. Przed pójściem do pokoju postawiła na szafce przy łóżku Matthew jego ulubioną brandy. Przypuszczała, że do tej pory jest już zupełnie zrelaksowany i dojrzały do zbliżenia.

Narzuciła na siebie szlafroczek i bez pukania otworzyła drzwi do jego pokoju. Siedział w łóżku i czytał książkę. Dolna

część jego piersi przykryta była prześcieradłem. Becca zauważyła, że w butelce ubyłoby sporo trunku.

Łatwiej wszystko pójdzie - pomyślała, kiedy podchodziła do jego łóżka.

Matthew był tak pochłonięty lekturą, że nawet nie usłyszał, jak weszła. Kiedy usiadła obok niego, jego twarz przybrała zaskoczony wyraz.

- Powiedziałeś, żebym przyszła do ciebie, jeśli będę czegoś potrzebować. - Jej głos był dźwięczny i nieśmiały, dokładnie tak, jak to wcześniej przećwiczyła. - Potrzebuję miłości - powiedziała. - Potrzebuję mężczyzny, który przypomni mi, że jestem kobietą. Potrzebuję ciebie. Teraz.

Nie czekając na odpowiedź, zdjęła z siebie szlafrok i rzuciła go na podłogę obok łóżka. Potem drżącymi palcami ujęła twarz Matthew i przysunęła wargi do jego ust głęboko wzdychając, kiedy się zetknęły. Wyczuła w nim wahanie i brak zdecydowania. Odwzajemnił jej pocałunek, ale miał on w sobie coś z przyjaznego gestu, z zastosowania się gościa do życzeń gospodyni. Zaczęła całować go coraz bardziej namiętnie, drażniąc palcami jego piersi. Po chwili poczuła, jak burzy się w nim krew. Zgasiła światło i stanęła w blasku świecącego przez okno samotnego księżyca, zrzuciła z siebie koszulę i wśliznęła się do jego łóżka.

Na szczęście życie z Jonathanem nauczyło ją kilku rzeczy. Wiedziała, jakich reakcji oczekiwał od niej partner i jak najlepiej go podniecić. Dotykała go, pieściła i głaskała do momentu, w którym wiedziała, że jej nie odrzuci, że nie będzie się dłużej wahać i zapomni o lojalności.

Becca trafiła na dobry grunt. Matthew podświadomie zobaczył w jej ciele oazę, gdzie mógłby uciec od samotności, która coraz bardziej dokuczała mu w życiu. Jej skóra była gładka i zapraszająca, ale własna frustracja wywołała w nim większą namiętność niż jej pieszczoty i podniecające jęki. Nie

kochał tej kobiety. Nie była tą kobietą, z którą chciałby być w tym momencie: tamta kobieta znajdowała się w Nowym Jorku, a on tutaj, w Palm Springs. Tamta kobieta wolała poświęcić tę noc interesom. Ta poświęciła się jemu. Wszystko wskazywało na to, że tamtej kobiecie nie był potrzebny. Ta naprawdę go pragnęła.

Stopniowo coraz bardziej pogrążał się w cielesnej stronie swojej natury. Podporządkowywał się miłosnej grze Becki, blokując wszelkie myśli o konsekwencjach i o tym, co będzie później. W tej chwili ten człowiek nauki, zazwyczaj rozumujący według schematu przyczyna - skutek, był tylko mężczyzną, który zatapiał się w czystej i nie skalanej niewiernością fizycznej radości seksu.

Oczywiście Becca przypisywała zachowanie Matthew swojej zmysłowości. Sądziła, że skoro udało jej się zrealizować zamiar pójścia z nim do łóżka, to nic nie stanie jej na przeszkodzie w nawiązaniu dłuższego romansu. Pogrążyła się w marzeniach. Spodobała się jej wizja romansu z dobrze ustawionym Matthew Grantem. W swoich myślach widziała ich jadających razem intymne kolacyjki, a potem dzielących jeszcze bardziej intymne przyjemności. Widziała go towarzyszącego jej na różnych balach i ekskluzywnych uroczystościach, w których uwielbiała uczestniczyć. Nawet widziała go już na kolanach z bukietem kwiatów.

Jonathana poślubiła głównie dlatego, żeby wreszcie wyrwać się z domu, pomnożyć własny majątek i zyskać lepszą pozycję w towarzystwie. Teraz było inaczej. Była osobą niezależną, miała zabezpieczony byt i liczyła się w towarzystwie, potrzebowała jednak mężczyzny, nawet kochanka, kogoś, kto mógłby zmasać z niej kłopotliwy stygmat samotnej kobiety. Matthew doskonale pasował do tej roli. Miał według niej wszystko, co powinien posiadać mężczyzna - był przystojny, sławny w swojej dziedzinie,

świetnie zarabiał i miał nieodparty urok. Dała mu dodatkowy punkt za to, że był uprzejmy, delikatny i smakowicie erotyczny.

Po powrocie z Palm Springs Becca czekała. Minał tydzień, drugi, trzeci. Zaczynała już się niepokoić, co się stało? Przecież się kochali. Najwyraźniej podobała mu się. Następnego dnia nie był dla niej nieprzyjemny. Obiecał zadzwonić. Z wywiadu, jaki przeprowadziła, wynikało, że był ostatnio bardzo zapracowany, ale wcale nie zmniejszyło to jej podejrzeń i nie poprawiło samopoczucia. Coś pokrzyżowało jej plany. Coś, a może ktoś?

W końcu zadzwonił. Kiedy usłyszała jego głos, sama była zaskoczona swoją reakcją. Sądziła, że będzie zwycięska i bardzo pewna siebie, ale kiedy wymienili zdawkowe przywitania, zaczęło ją ssać w żołądku. Poczowała się jak uczennica, nieśmiała i niepewna. Jej umysł natychmiast zaczął pracować nad zaaranżowaniem następnego spotkania.

- Chciałem, żebyś pierwsza się o tym dowiedziała - powiedział. Becca była tak pochłonięta swoimi myślami, że nic do niej nie dotarło.

- Słucham?

- Powiedziałem, że mam wspaniałą wiadomość. Zaproponowano mi stanowisko w „General Hospital” w Nowym Jorku. Mam być ordynatorem oddziału neurologicznego. Szczerze mówiąc, już dawno myślałem o wyjeździe z Los Angeles, ale nawet nie przypuszczałem, że będę miał taką szansę.

- To świetnie - powiedziała, czując, jak ogarnia ją niepokój. - Jak do tego doszło?

Nie wiedziała, dlaczego zadała to pytanie. I tak znała na nie odpowiedź.

- Już jakiś czas temu moja przyjaciółka przedstawiła moją ofertę radzie szpitala. I wyobraź sobie, że zostałem

zakwalifikowany. List dotarł do mnie zaraz po naszym przyjeździe z Palm Springs. Chciałem do ciebie zadzwonić, ale ostatnie tygodnie spędziłem na sprawach związanych z rozwiązaniem umowy i masie drobiazgów, których musiałem dopilnować przed odlotem. W końcu zaświeciła moja gwiazda. Jeśli nie przeszkodzi mi jakiś kataklizm, to w przyszłym tygodniu będę już w Nowym Jorku.

Becca nic nie odpowiedziała. Znowu Jinx Kipling pokrzyżowała jej plany. Złość spadła na nią tak nagle i z taką siłą, że nie mogła wydusić z siebie ani słowa.

- Będę za tobą tęsknił - powiedział Matthew, przerywając milczenie.

- Miło to słyszeć - głos Becki był cichy, niski i bardzo niepewny. Za chwilę jednak zmieniła ton na bardziej zdecydowany. - Ale nie będziesz musiał zbyt długo się męczyć, bo też przenoszę się do Nowego Jorku.

- Co za zbieg okoliczności. - Oświadczenie Becki zupełnie zbiło go z tropu.

- Prawda?

- Co cię skłoniło do tej decyzji?

- Wiesz, jaka jestem tutaj nieszczęśliwa. Parę tygodni temu zadzwonili moi rodzice, błagając mnie, żebym wróciła do domu. Od czasu śmierci Jonathana bardzo się o mnie martwią. Doszłam do wniosku, że mają rację. Bez Jonathana Los Angeles jest dla mnie obcym miastem. Muszę mieć wokół siebie ludzi, którym na mnie zależy i którzy naprawdę się o mnie troszczą.

- To dobry pomysł - powiedział Matthew. - Cieszę się, Becco. Jak już przyjedziesz, zadzwoń do mnie.

- Możesz na mnie liczyć - odparła, próbując ukryć targające nią emocje. Wymienili słowa pożegnania i Becca odłożyła słuchawkę. Przez dłuższą chwilę wpatrywała się w telefon, czując rosnącą złość. Jak on śmie? Jak mógł tak ją

wykorzystać? Nie była zwyczajną dziwką. Nie robiła tego typu przysług wszystkim wokół. Ofiarowała mu swoją intymność, a on ją przyjął. Zgodnie z zasadami Becki był jej dłużnikiem. Ale on wypiął się na ten dług i poleciał do Jinx Kipling. Dokonał wyboru, a dla Becki nie liczyło się, czy zrobił to świadomie, czy podświadomie, celowo czy przypadkowo. Czują, że zrobił z niej idiotkę.

- Popęłnił pan fatalny błąd - powiedziała sama do siebie - błąd, którego będzie pan gorzko żałował.

Limuzyny stały ściśnięte na okrągłym podjeździe przed głównym wejściem do hotelu „New York Kipling”. Tłumy gapiów pchały się na barierki, chcąc widzieć, kto przybył wziąć udział w uroczystości Gold Stars, której celem było finansowe wsparcie kampanii Noaha Golda ubiegającego się o urząd senatora Stanów Zjednoczonych. Niebo przecinały strumienie świateł. Podłoga od wejścia do głównego holu wyłożona była złotym dywanem. Fotograficy i reporterzy ze wszystkich największych gazet i stacji telewizyjnych przepychali się łokciami i prawie wychodzili ze skóry, żeby przeprowadzić wywiad ze znanymi osobistościami, które Cissie Gold zaprosiła na tę imprezę.

Cissie przeszła samą siebie, zapraszając nie tylko polityczną elitę Nowego Jorku, lecz także cały świat mody, artystów, pisarzy, magnatów z Wall Street, profesorów uniwersyteckich, osoby znane w kręgu reklamy, wydawców książek i czasopism, ludzi z telewizji, jednym słowem całą śmietankę Nowego Jorku. Zjawiły się gwiazdy Hollywoodu, Broodwayu i dyktatorzy mody z Paryża wraz ze sławą ostatnich lat - Paulem Rochelle'em.

Mimo że Partia Demokratów potwierdziła kandydaturę Noaha dopiero parę dni temu, Cissie pracowała nad spotkaniem od kilku miesięcy. Zwykle imprezy tego typu miały ten sam nudny przebieg - niewyszukana kolacja, długie przemówienia, których nikt nie miał ochoty słuchać, apel o wpłacenie pieniędzy i mnóstwo obietnic, w które nikt nie wierzył. Celem Cissie było wywołanie atmosfery podniecenia, wytworzenie wokół Noaha aury wyjątkowości i nietuzinkowości oraz obudzenie entuzjazmu, który wybiegał

poza punkty programu i przemówienia polityków. Bez względu na to, czy było to dobre czy złe, amerykańska polityka to był show i jeśli tego oczekiwali od Noaha wyborcy, Cissie postarała się, żeby się nie rozczarowali.

W wielkiej sali balowej zwisały z sufitu setki gwiazd ze złotej folii. Stoły przykryte były złotym materiałem i ozdobione bukietami białych kwiatów. W końcu sali wisiał ogromny transparent ze zdjęciami Noaha. Cissie zdecydowała, że nie będzie przemówień ani nie kończących się owacji. W zamian za to postanowiła zorganizować paradę gwiazd, których obecność będzie dodawać splendoru kandydaturze jej męża.

Cissie promieniała. Ubrana była w suknię z mięsistego złotego materiału. Jej kasztanowe włosy lśniły blaskiem wypolerowanej miedzi, a oczy radośnie się skrzyły. Jediną biżuterią, jaką miała na sobie, był delikatnie połyskujący sznur diamentów okalających jej łabędzią szyję. Ten wieczór był jej prezentem dla Noaha, sposobem wyrażenia swojej miłości i oddania. Wprawdzie głównym jego celem była zbiórka pieniędzy i zwrócenie uwagi społeczeństwa na osobę Noaha, jednak Cissie żywiła w sercu nadzieję, że być może dzisiejsza noc przyczyni się do zmniejszenia dystansu między nią i mężem.

Ostatnio chodzili różnymi drogami. Noah ogarnięty był obsesją władzy i pieniędzy, Cissie zaś próbowała dotrzymać mu tempa i odzyskać miejsce przy jego boku. Krok po kroku Noah odsuwał ją od grona swoich doradców. Kiedyś rozmawiali na temat taktyki i strategii działania, teraz dopuszczał ją jedynie do dyskusji na ogólne tematy. Już nie ona organizowała wystąpienia Noaha; ktoś inny pisał przemówienia i pomagał wytyczać przebieg kampanii. Zamiast być dla niego ostoją i doradcą, musiała się zadowolić rolą żony kandydata. Dyktowano jej, gdzie ma się pojawić,

wciskano w ręce kartki z przemówieniami, zbywano kurtuazyjnymi pocałunkami w policzek i wysyłano do domu. Rzadko stawali na tym samym podium i chodzili na te same spotkania. Prawie nigdy nie spędzali ze sobą wolnego czasu. Kiedyś dzielili te same marzenia. Teraz prawie nic ich nie łączyło, z wyjątkiem małżeństwa, które straciło swój dawny blask.

Kiedy przecięto wstęgę i zabrzmiała muzyka, Noah znów zostawił ją na uboczu, a sam poszedł witać zebranych, przeciskając się przez grupki wpływowych gości, uśmiechając się i pławiąc w aurze swojej popularności. Cissie zwalczyła w sobie poczucie bezużyteczności i rozejrzała się po sali w poszukiwaniu ludzi, którzy dotrzymaliby jej towarzystwa i podnieśli ją na duchu. Zaprosiła całą rodzinę i oprócz Becki wszyscy byli na miejscu. Córka Bena nawet nie raczyła osobiście usprawiedliwić swojej nieobecności. Jej sekretarka zdawkowo poinformowała Cissie, że pani Hillman nie będzie mogła uczestniczyć w uroczystości ze względu na wcześniejsze zobowiązania. Tak naprawdę, widząc wśród zebranych Jinx i Matthew, Cissie dziękowała Bogu, że Becca nie przyjechała.

Cissie nie musiała długo wodzić wzrokiem, żeby dojrzeć Frankie. Stała przy wejściu do sali otoczona wielbicielami Toni Swift. Cissie obserwowała, jak rozmawia z grupą ludzi, i uśmiechnęła się. Cieszyła się, że Frankie odniosła sukces. Ta rola dała jej to, czego nie dał żaden wcześniejszy film - prawdziwą popularność. Od chwili, gdy pojawiła się w „Złocie Teksasu”, całkowicie oczarowała widzów. Grała tam boginię zła - piękną, sprytną, inteligentną, czasami bez serca, lecz miała w sobie coś z niepewności i podatności na zranienia, co pozwalało sądzić, że nie do końca była zła.

Prawie tak samo jak Frankie - pomyślała Cissie, torując sobie drogę w tłumie.

- Czy mogę prosić o autograf? - zapytała i serdecznie uścisnęła Frankie.

- Sądziłam, że dziś zbieracie tylko czek. - Frankie powiedziała to bardziej do grona wielbicieli niż do kuzynki, ale Cissie się nie obraziła. Mogła się tego spodziewać.

- Jeśli podpiszesz czek, to upiekę dwie pieczenie na jednym ogniu - odparła. Frankie złożyła kilka podpisów na serwetkach i zbywając w ten sposób fanów, zwróciła się do Cissie.

- Jaki cudowny wieczór! - Jej uśmiech był szeroki i promienny.

- Tak się cieszę, że przyjechałaś - szczerze powiedziała Cissie. - Jak ci idzie praca?

- Wspaniale. Mam nadzieję, że oglądasz.

- Nie przegapiłam ani jednego odcinka - odparła Cissie zdziwiona, że Frankie wciąż potrzebuje jej aprobaty. - Jest tam tyle ciekawych intryg i pikantnych sekretów. Może ty mi wreszcie powiesz, jak się to wszystko skończy!

- Chciałabym, ale sama nie wiem. - Frankie mówiła konspiracyjnym szeptem. - Co tydzień dostajemy nowy skrypt i to wszystko. Nikt nie wie, jak rozwinie się akcja. Wiem tylko, że podpisałam kontrakt na dwa lata!

- To wspaniale! - Cissie zastanowiła się, dlaczego Frankie nie wykazuje większego entuzjazmu. - Powinni z tobą podpisać kontrakt na dziesięć lat. Ta postać jest tak cudownie okropna.

- W roli Toni Swift mogę mieć każdego mężczyznę, jakiego zapragnę - powiedziała Frankie, niepewnie się uśmiechając. - Według najnowszych danych rozbiłam już co najmniej trzy szczęśliwe domy, a teraz właśnie pracuję nad czwartym.

- Tylko nie bierz sobie tego za bardzo do serca - powiedziała Cissie z udaną powagą.

- To tylko rola. - Frankie zaczęła się bronić, tak jakby uwaga Cissie zawierała krytykę jej postępowania. - W prawdziwym życiu nikt się o mnie nie zabija.

Cissie pomyślała, że nastrój Frankie ulega zbyt gwałtownym zmianom, ale nie mogła wiedzieć, że powodem tej huśtawki była jutrzejsza sesja zdjęciowa. Frankie paraliżowała sama myśl o wrogości, z którą spotykała się na planie, i alienacji, którą musiała znosić poza pracą. Mimo że parę razy próbowała porozmawiać z Verą, dawna przyjaciółka odzywała się do niej tylko wtedy, kiedy było to absolutnie konieczne i traktowała ją jak skazańca. Earl Byron pozostał lojalny wobec Very i także traktował ją jak powietrze, rozmawiając z nią tylko i wyłącznie na temat serialu. Wprawdzie Owenowi Phillipsowi nie zamykały się usta, lecz jego komentarze ograniczały się do sprośnych docinków i niesmacznych szantaży. Kiedy zorientował się, że Frankie nie powiedziała nikomu o zajściu w jego pokoju, wziął to za oznakę swojego zwycięstwa i jej słabości. Czasami nie mogła go już znieść, ale nie mając innego wyboru, musiała się z tym pogodzić. Od powodzenia tego serialu zależała jej kariera.

Co gorsza, poza „Złotem Teksasu” w życiu Frankie zupełnie nic się nie działo. Nie chodziła na randki, nie miała przyjaciół i nie mogła znaleźć ucieczki od otaczającej ją niechęci. Wszystkie wolne chwile spędzała ze Sterlingiem i Karen, ale była zbyt zażenowana, żeby opowiedzieć im o zajściu z Owenem, i zbyt zawstydzona, żeby wyjaśnić im powody wrogości, jaką żywiła do niej Vera. Jediną osobą, z którą mogła normalnie porozmawiać, był jej nowy agent, jednak Maddox zdążył ją nauczyć, że osobiste zwierzenia były niepożądanym elementem w stosunkach między agentem i jego klientem. Wszystkie dyskusje skupiały się więc na sprawach zawodowych.

Z chęcią zagrałaby w filmie. Czowała potrzebę oddania się jakiemuś działaniu, rzucenia się w wir innej sensownej pracy. Mogło wydawać się to dziwne, ale „Złoto Teksasu” znacznie ograniczyło jej możliwości. Producenci kojarzyli ją z pewnym typem postaci i wątpili, by widownia zaakceptowała Frankie w roli niewinnej lub pokrzywdzonej bohaterki.

- Próbujesz mi wmówić, że nie nachodzi cię codziennie co najmniej stu przystojnych młodzieńców? - zapytała Cissie.

- Pewnie cię rozczaruje, ale jak dotąd nie zjawił się nawet jeden. - Frankie nie zamierzała być taka wylewna. Swoją szczerłość przyplaciła zakłopotaniem.

- Odzywał się do ciebie Zach Hamlin?

- Nie. Z tonu jej głosu Cissie wywnioskowała, że wciąż jeszcze o nim myśli. Prawdopodobnie nadal była w nim zakochana.

- Wiesz? Pracuje teraz w Nowym Jorku. Parę miesięcy temu przeniesiono go z Europy do kraju. Jest szefem wieczornych wiadomości.

Frankie pokiwała głową. Dokładnie wiedziała, gdzie mieszka Zach i co robi.

- Dlaczego do niego nie zadzwonisz? - Cissie powiedziała to swobodnym tonem. W pierwszej chwili Frankie poważnie potraktowała tę sugestię, ale zaraz potem smutno pokręciła głową.

- Ostatni raz, kiedy go widziałam, jasno dał mi do zrozumienia, że nie chce mieć ze mną nic wspólnego.

- Mówi się, że czas leczy rany. Przecież od waszego ostatniego spotkania minęły już wieki. Założę się, że byłby szczęśliwy, gdybyś się do niego odezwała.

- Nie mogę - powiedziała Frankie głosem, w którym było słycać, że często się nad tym zastanawiała. - Gdyby znowu mnie odtrącił, pewnie bym tego nie przeżyła. Poza tym - dodała zmuszając wargi do uśmiechu - mam zbyt dużo

obowiązków. Naprawdę nie starcza mi czasu na ognisty romans.

- Nie możesz na siłę wciskać miłości do swojego kalendarza - przez Cissie przemawiało doświadczenie. - Musisz sama jej szukać.

- Może, ale chciałabym mieć kogoś, kto by mnie kochał bez względu na wszystko; kto by zaakceptował mnie taką, jaka jestem. Kogoś takiego jak Noah. Wiesz - mówiła - zawsze ci zazdrościłam. Jest przystojny, błyskotliwy, ma zostać senatorem i do tego jeszcze założę się, że jest ci tak samo oddany jak dawniej.

Cissie spuściła wzrok i zaczęła się bawić bransoletką.

Przegrałabyś, pomyślała ze smutkiem, starając się przynajmniej w tej chwili zapomnieć o nocach Noaha, które spędzał nie tam, gdzie powinien, i o jego pracowitych weekendach w Waszyngtonie.

- Moja ukochana córka i ulubiona siostrzenica. - Sterling Travis ucałował każdą z nich w policzek. - Co za wspaniałe przyjęcie!

- Tak się cieszę, że mogłeś przyjść - odparła Cissie, przekrzykując muzykę. Od wieków nie kontaktowała się ze Sterlingiem i kiedy zadzwoniła, by zaprosić go na uroczystość, spodziewała się jakiejś wymówki. Jednak Sterling natychmiast przyjął zaproszenie. - Świetnie wyglądasz.

- Czuję się świetnie. Może dlatego, że w końcu mam okazję pracować z moją córką. Czy mówiłem ci, że właśnie skończyliśmy kręcić następny epizod „Złota Teksasu”?

- Nic mi o tym nie wspomniała. - Cissie wydawało się to bardzo dziwne. Sterling otoczył córkę ramieniem. Frankie wyglądała bardzo nieswojo.

- Była znakomita. Ale z niej wyrosła aktorka! - Widać było, że rozpiera go duma. Cissie spojrzała na Frankie,

spodziewając się, że pochwała ojca rozpogodzi jej zachmurzoną twarz.

- Nie róbmy z tego „Sprawy Kramerów”. To tylko mydlana opera.

- No i co z tego. Doskonale wykonałaś swoją pracę i cudownie mi się z tobą współpracowało.

Frankie westchnęła z niedowierzaniem. Może któregoś dnia nie będę musiała się zniżyć do takich przyziemnych filmów jak „Złoto Teksasu”. Być może będę kiedyś na tyle dobra, żeby zagrać w jednym z twoich filmów albo wystąpić w sztuce na Broodwayu - pomyślała.

- Vera Knowles jest właśnie aktorką z Broodwayu - powiedział Sterling, chcąc podnieść Frankie na duchu. - I jak widzisz, wcale jej nie przeszkadza, że występuje w popularnym telewizyjnym tasiemcu.

- Nie porównuj mnie ani z nią, ani z nikim innym - powiedziała Frankie z rozdrażnieniem. - Zawsze jestem do kogoś porównywana, tak jakbym nie zasługiwała na to, żeby być sobą.

- Nie zrozum mnie źle - odparł Sterling zaniepokojony jej odpowiedzią. - Kocham cię taką, jaka jesteś. Zawsze cię kochałem, wiesz o tym.

- Czasami się nad tym zastanawiam - odpowiedziała zgryźliwie.

Cissie chciała coś powiedzieć, ale Frankie obróciła się na pięcie i zniknęła w tłumie.

- O co jej chodzi? Sterling pokręcił głową. Na jego twarzy malowała się troska.

- Wydaje mi się, że zmarnowała tyle czasu, szukając aprobaty innych, że kiedy w końcu ktoś jej przykłaśnie, nie chce w to uwierzyć.

- Martwię się o nią - powiedziała Cissie.

- Ja też. Kiedy gościnnie występowałem w serialu, zauważyłem dystans, jaki panował między Frankie, a resztą obsady. Co więcej, odniosłem wrażenie, że pływa na powierzchni, poszukując jakiejś przytulnej przystani. Jest bardzo, ale to bardzo zagubiona, a ja sam nie wiem, jak mam jej pomóc.

- Sądzę, że powinna się w kimś zakochać.

- Tak - powiedział Sterling, kiwając głową - ale obawiam się, że w tym stanie nie potrafi rozróżnić ziarna od plewy. Tak rozpaczliwie potrzebuje zainteresowania i czułości, że wystarczy, by ktoś wykazał odrobinę uprzejmości i parę razy klepnął ją po ramieniu, żeby stała się jego niewolnicą.

- Pozostaje nam tylko nadzieja, że wszystko będzie dobrze - powiedziała Cissie, biorąc Sterlinga pod ramię i prowadząc go na parkiet. - Może w końcu uśmiechnie się do niej szczęście i spotka w życiu tego jedyne go mężczyznę.

Ponieważ żadne z nich nie wzięło pod uwagę wcześniejszych doświadczeń Frankie i stanu jej obecnych potrzeb, nawet nie przyszło im do głowy, że być może w tym okresie swojego życia Frankie nie potrafi dostrzec granicy między dobrem i złem.

Noah promieniał ze szczęścia. Dzisiejszej nocy mógł się do woli upajać aurą władzy i popularności. Zjawił się gubernator. Przybył też burmistrz. Obecny senator nie mógł przyjechać ze względu na zły stan zdrowia, ale przylecieli czołowi politycy z Albany i Waszyngtonu. I dzięki Cissie w sali było więcej gwiazd niż podczas premiery na Broadwayu.

Dla Noaha dzisiejszy wieczór był zapowiedzią jego rządów. Chociaż musiał poczekać na nominację do listopada, czuł się tak, jakby już nasadzono mu koronę na głowę. Nieświadomie zacisnął pięści. Tak długo na to czekał. Marzył o tym. Pracował na to tyle lat i uznał, że nikt inny nie odważy się teraz wyciągnąć po to ręki.

Może dlatego, mimo podniosłej atmosfery tego wieczoru, w jego umysł wdarł się cień niepokoju. Jego oponent był zdolnym człowiekiem i Noah zbyt głęboko wsiąkł w politykę, by nie zdawać sobie sprawy, że gdy tylko zgasną światła w tej sali, znowu będzie się toczyć zacięta walka między kandydatami. Wprawdzie kampania przebiegała niezwykle sprawnie, jednak nadal potrzebował jakiegoś fortelu, który przeciągnąłby na jego stronę niezdecydowanych wyborców. Jak dotąd jego pracownicy nie wpadli na żaden pomysł.

Noah szukał wzrokiem Jeremy'ego Kinga i swojego szwagra - Andrew. Mieli za zadanie obstawiać polityków i podczas luźnej pogawędki na różne tematy wyciągnąć z nich, co tylko się da. Sądził, że podczas rozmowy przy szampanie rozwiążą się gościom języki i zdobędzie się jakieś informacje na temat republikańskiego kontrkandydata Noaha, które potem będzie można wykorzystać w zakulisowych rozgrywkach.

Zaczęły mu się pocić ręce. Potrzebował jakiegoś oderwania. Chciał z kimś porozmawiać albo zatańczyć. Rozejrzał się za Cissie, ale stała w drugim końcu sali. Obok kręciła się jego najnowsza asystentka, soczysta brunetka mająca magisterium z nauk politycznych. Zanim Noah do niej podszedł, jeszcze raz to przemyślał. Dyskrecja nie była jej największym atrybutem.

- Frankie - zawołał zadowolony, że dojrzał w końcu jakąś znajomą twarz. - Cudownie, że przyszłaś. - Pocałował ją w policzek i przytulił do siebie. Później kazał jej zrobić krok w tył, położył dłonie na jej ramionach i przeciągle gwizdnął. - O rany! Jesteś jeszcze piękniejsza niż zwykle.

Rzeczywiście wyglądała wyjątkowo dobrze. Jej długie kruczoczarne włosy spływały kaskadą na gołe ramiona. Jasnoczerwona suknia na dwóch ramiączkach lśniła od srebrnych cekinów, dodając blasku jej jasnej, śmietankowej cerze.

- Ty też wyglądasz rewelacyjnie - odpowiedziała mu uśmiechem. - Co za przyjęcie!

- Jak dotąd był tylko potok uścisków rąk i moc zdawkowych powitań. Może byśmy zrobili użytek z muzyki i zatańczyli?

Zaprowadził ją na parkiet, a za nim podążyło kilku fotografów, żeby zarejestrować taneczne umiejętności przyszłego senatora i opublikować zdjęcie w porannych gazetach.

- Jak przebiega kampania? - zapytała Frankie, kiedy muzyka nieco ucichła i istniała szansa, że jej pytanie dotrze do Noaha.

- Nieźle, ale do listopada zostało jeszcze mnóstwo czasu.

- Może mogłabym w czymś pomóc? Noah nagroził ją szerokim uśmiechem.

- Byłoby fantastycznie! Jesteś dobrą wróżką, która zawsze przynosi mi szczęście. Pomogłaś mi wygrać pierwsze wybory, mogłabyś więc użyć swojej magicznej mocy i w tej rozgrywce.

- To musi być dla ciebie bardzo ważne, Noah!

- Jasne, że tak - powiedział. - Ale ty też jesteś dla mnie ważna i jestem ci bardzo wdzięczny, że chcesz się do nas przyłączyć.

Frankie zaraziła się entuzjazmem Noaha. Cała płonęła. Poza tym usłyszała dziś od niego tyle ciepłych słów...

- To co mam robić? - nagle poczuła przyływ energii.

- W tym momencie po prostu uśmiechaj się do kamery i zachowuj się jak gwiazda swojego kalibru. A później zobaczymy...

Jinx przyjechała bardzo późno. Cissie niecierpliwie na nią czekała, co chwila zerkając na drzwi.

- Już myślałam, że nie przyjedziesz - powiedziała, składając na policzku Jinx powitalny pocałunek.

- Musiałam zatrzymać się w Bostonie, a potem czekałam na Matthew. Wezwali go na ostry dyżur. Przepraszam.

- Dobrze, że jesteś. Jest tutaj masa ludzi, z którymi chciałabym cię poznać.

- No to prowadź - powiedziała Jinx, idąc za Cissie do najbliższego stolika. Przez godzinę Cissie oprowadzała Jinx po sali, przedstawiając ją ważnym

osobistościom i swoim znajomym. Cissie zaprosiła ją również po to, by poznała swoją drugą rodzinę - Andrew, ciotkę Molly i wujka Herba. Wcześniej jednak ustaliły, że na razie Jinx będzie występować w roli przyjaciółki Cissie. Nie było sensu wyjaśniać wszystkiego od początku. Kiedy podeszły do stolika Tessy i Berta, Bert zachowywał się czarująco, niemalże wylewnie. Tessa, podobnie jak Jinx, kontrolowała się na każdym kroku. Dzisiejszy wieczór należał do Noaha i wszelkie zatargi odchodziły na dalszy plan.

Dla Cissie najważniejsze było jednak spotkanie Jinx z Frankie. Gdy tylko opuściły innych członków rodziny, Cissie pociągnęła Jinx do końca sali, gdzie Frankie udzielała krótkiego wywiadu reporterowi z „People”. Cissie przedstawiła sobie obie panie, modląc się w duchu, żeby jej plan nie okazał się fatalną pomyłką.

- Już dawno chciałam cię poznać - zaczęła Jinx, uśmiechając się do Frankie. - Nie będę sobie strzepić języka i powiem tylko, że jestem wierną wielbicielką Frankie Travis. Trzy razy oglądałam „Księżną z ulicy Portobello”, uważam, że byłaś cudowna w „Manekinie”, no i oczywiście przechodzisz wszelkie oczekiwania w „Złocie Teksasu”.

- Miło mi to słyszeć - powiedziała Frankie pogodnie, miło polechtana tymi komplementami. - Dziękuję.

W tym momencie reporter z „Times'a” rozpoznał Jinx i zasypał ją pytaniami dotyczącymi postępów w budowie kompleksu hoteli przy Times Square. Podczas gdy Jinx wdała

się w wyjaśnienia na temat tego, jak kompania „Kipling” ma zamiar zorganizować przekwaterowanie lokatorów, i zaczęła przechodzić do następnego pytania, Frankie dokładnie obserwowała kobietę, która była jej kuzynką.

Cissie utrzymywała, że były do siebie podobne. Być może, miały ten sam kolor włosów i ten sam alabastrowy odcień skóry, ale Frankie była wyższa i miała ładniejsze oczy - ciemne i seksowne, nie takie jasne i rozmyte, jak lawendowe tęczówki Jinx. Z tego, co mogła dostrzec, przyglądając się jej w długiej, czarnej sukni, uszytej z grubego jedwabiu, Jinx miała zdecydowanie lepszą figurę, bardziej kobiecą i jędrną. Musiała jednak przyznać, że Jinx była od niej starsza i urodziła dziecko.

Frankie, sama nie wiedząc dlaczego, w głębi serca nie była zadowolona ze spotkania z Jinx. Nie wchodziła tu z pewnością w grę lojalność w stosunku do Becki. Od lat nie zamieniły ze sobą ani słowa. Nawet kiedy Frankie zadzwoniła, żeby złożyć jej kondolencje z powodu śmierci Jonathana, Becca rozmawiała z nią tonem obrażonej królowny. A może była zazdrosna o przyjaźń Cissie z Jinx? Ostatnio znów czuła się tak niepewnie, wydawało jej się, że stale jest do kogoś porównywana. Tym razem do Jinx Kipling.

- Przepraszam, ale nie chcę zanudzać pana na śmierć problemami korporacji „Kipling” - Jinx brutalnie urwała przesłuchanie reportera i przerwała Frankie wnikliwą analizę jej osoby. - W końcu jesteśmy tutaj dla Noaha - odezwała się Jinx - no i po to, żeby lepiej się poznać.

- Cissie twierdzi, że jesteś córką Bena Rossa. - Ton Frankie był ostry, prawie niegrzeczny. Cissie rzuciła jej ostrzegawcze spojrzenie, lecz Frankie zupełnie je zignorowała. - Obawiam się, że tylko z nazwiska.

Jinx usłyszała nieprzychylność w głosie Frankie, lecz postanowiła nie zwracać na to uwagi.

- Jediną osobą, która bez mrugnięcia okiem zaakceptowała mnie jako członka rodziny, jest Cissie. - Serdecznie uśmiechnęła się do kasztanowowłosej kuzynki. - Dlatego jestem ci wdzięczna, że chciałaś się ze mną spotkać. Przynajmniej czuję się teraz trochę lepiej niż nosiciel tyfusu.

Frankie stwierdziła, że trudno było nie polubić Jinx. Traktowała ją z wielkim szacunkiem, którego Frankie nigdy nie miała w nadmiarze. Im dłużej jej się przyglądała, tym większe widziała podobieństwo między Jinx i zdjęciem ich wspólnej babki - Franyu, które stało na toalecie Lillie. Nie było żadnej wątpliwości co do pochodzenia Jinx. Musiała być wnuczką Franyu. Poza tym Frankie musiała przyznać, że czuła pewną solidarność z Jinx w jej walce o akceptację w klanie Rostovów. Sama strawiła większą część życia na poszukiwaniu ojcowskiej miłości.

- Cissie mówiła mi, że jesteś wdową - powiedziała. - Nigdy nie spotkałam twojego męża, ale z tego, co czytałam, Harrison Kipling był imponującym mężczyzną. Musisz mieć w sobie jakiś magnes, żeby przyciągnąć takiego człowieka.

Cissie spostrzegła zmianę stosunku Frankie do Jinx. Pomyślała, że może to spotkanie nie było aż takim błędem.

- Był wyjątkowy - odparła Jinx. - Naprawdę jestem szczęśliwa, że spotkałam go na swojej drodze.

- A jak się miewa twoja córeczka? Zdaje się, że ma na imię Joy.

- Znakomicie - odparła Jinx i spostrzegła, jak oczy Frankie przesłoniła gradowa chmura.

- Poświęcasz jej dużo czasu? Pozwalasz jej mieć przyjaciół? Opowiadasz jej bajki przed snem i całujesz na dobranoc? - Frankie zatopiła się w swojej przeszłości i wróciły do niej bolesne wspomnienia z dzieciństwa. - Wiem z doświadczenia, jak okropnie jest dorastać bez ojca -

powiedziała ze smutkiem. - Mam nadzieję, że jej to jakoś wynagrasz.

- Oczywiście. Obie panie Kipling czują się znakomicie. - Cissie chciała poprawić nastrój i nadać rozmowie pogodny ton. - Joy jest prymuską w podstawówce, a Jinx ma nowego wielbiciela, wprost druzgocąco przystojnego chirurga, który jest w niej zakochany po same uszy.

Frankie zmarszczyła czoło. Wiedziała, że Cissie nie chciała jej dokuczyć, ale znowu poczuła się gorsza. Dlaczego tylko ona nie miała mężczyzny, który byłby jej oddany? Wyglądało na to, że przepowiednia Lillie, iż nigdy nie wydorosłeje i zawsze będzie małą dziewczynką, sprawdzała się co do joty.

- Tak się cieszę, że zdecydował się przenieść do Nowego Jorku - ciągnęła Cissie, zupełnie nieświadoma myśli, które krążyły w głowie Frankie.

- Szpital „New York General” już od lat próbował ściągnąć Matthew do Nowego Jorku - wyjaśniła Jinx. - W końcu zaproponowali mu takie warunki, że się zgodził.

- Nie próbuj mi wmówić, że twoja obecność w Nowym Jorku nie miała wpływu na jego decyzję - powiedziała Cissie.

- Może troszeczkę - Jinx zaczerwieniła się.

- Jakie szanse ma Noah? - zapytała Frankie, pragnąc zejść z tematu gruchających gołębi.

- W zasadzie niezłe - odparła Cissie. - Ostatnia ankieta wykazała, że wysunął się na prowadzenie. Oczywiście martwi nas wpływ Reagana i niepewna sytuacja ekonomiczna, ale to my mamy walczyć o stabilizację. A dzięki takim ludziom jak Jinx, mamy spore szanse na zwycięstwo.

Frankie przeniosła wzrok z Cissie na nową kuzynkę.

- Jinx jest największym sponsorem kampanii Noaha. Oprócz tego udostępniła nam hotel na dzisiejszą uroczystość i obiecała, że podobną imprezę zorganizujemy w „New York

Kipling" w listopadzie. Na dodatek jej własna agencja reklamowa za darmo zajęła się naszą promocją.

Frankie pokiwała głową. Na jej ustach pojawił się niepewny uśmiech. Znowu to samo. Cissie nie robiła nic innego, tylko wychwalała Jinx. Chciała krzyknąć: a co ze mną? Czy ja w ogóle się nie liczę?

- To wspaniale, ale obawiam się, że nie zaspokaja to potrzeb Noaha - odezwała się prowokacyjnie. - W dzisiejszych czasach politycy potrzebują splendoru i popularności. Właśnie zgłosiłam się do prowadzenia programu w telewizji, który popiera jego kampanię. Jeśli tylko będę miała czas, to postaram się w nim wystąpić. Podczas ostatnich wyborów okazało się to bardzo pomocne i mam nadzieję, że tym razem również poskutkuje.

- Świetnie - powiedziała Cissie z wyważonym entuzjazmem. Była jej wprawdzie wdzięczna za tę propozycję, ale podejrzewała, że Frankie bardziej zaspokaja swoje potrzeby niż Noaha. - Goldowie potrzebują każdego wsparcia, a w szczególności asysty sprawdzonych i ofiarnych ochotników - powiedziała pogodnie. - A skoro już skończyłyśmy zajmować się przyszłością mojego męża, to może zajmiemy się napełnieniem naszych żołądków.

Cissie podeszła do kelnera, żeby przynieść trzy kieliszki szampana. Chciała choć na moment odpocząć od ciężkiej na niej presji towarzyszącej zbliżaniu się do siebie dwóch obcych osób. Miała nadzieję, że to przyjęcie ułatwi nawiązanie przyjaźni. Okazało się, że nie. Coś pobudziło mechanizm obronny Frankie. Wszystko, co powiedziała Jinx i co ona mówiła o Jinx, spotykało się z kontratakiem Frankie, która momentalnie kierowała rozmowę na swoją osobę. Przerodziło się to niestety w zupełnie pozbawioną sensu rywalizację.

Mimo że delikatna psychika Frankie leżała Cissie na sercu, poczuła, że ma wszystkiego dość. Z natury była

wprawdzie altruistką, ale ostatnio zaczęła dostrzegać własne słabości i potrzeby. Była fizycznie i psychicznie wyczerpana. Miała na głowie utrzymanie domu w Nowym Jorku i w Georgetown, życie swoich dzieci, życie męża (kiedy pozwalał w nie ingerować), swoją pracę w „La Tessie” i butiki w kurortach „Kipling Worldwilde”. Miała kłopoty ze znalezieniem czasu na to wszystko i po raz pierwszy w życiu czuła, że przerasta to jej siły.

Pragnęła, żeby udało się to przyjęcie. Chciała zapoznać Jinx z jeszcze jedną osobą z rodziny Rostovów i chciała, żeby Frankie doceniła wagę tej nowej gałęzi. Poza tym miała zamiar doskonale się bawić, ale nic nie wychodziło tak, jak sobie zaplanowała.

- Za parę tygodni organizuję obiad w moim domu w Westchester. Mam nadzieję, że uda nam się zebrać jeszcze trochę pieniędzy - Jinx odezwała się do Frankie. Zobaczyła, jak na czole Cissie pojawiły się zmarszczki zmęczenia. - Serdecznie cię zapraszam. Chciałabym, żebyś poznała Joy. Będzie szaleć ze szczęścia. Myślisz, że uda ci się mnie odwiedzić?

Frankie zaczęła obgryzać paznokcie. Zauważyła, że Cissie i Jinx przesłały sobie spojrzenie, którego znaczenia nie potrafiła odczytać. Była zbyt zaabsorbowana sobą, żeby dojrzeć zmartwioną twarz Cissie, i zbyt rozżalona na swój ciężki los, by zauważyć niepokój Jinx. Przez cały czas tej rozmowy wyczuwała głęboką przyjaźń między kobietami i czuła się jak przybłęda.

- Obiecałam Cissie, że się z tobą spotkam - powiedziała odgryzając kawałek skórki. - Nie powiedziałam jednak, że z miejsca cię zaakceptuję. Wpadnę, jeżeli nie będę zajęta.

- Byłoby mi bardzo miło - powiedziała Jinx, ignorując nieprzychylność Frankie. - Ale jeśli nie będziesz miała ochoty, nikt cię do tego nie zmusza. Cissie, widzę kilka osób, z

którymi powinnam się przywitać. Przepraszam was na moment.

Kiedy Jinx odeszła, Cissie zwróciła się do Frankie.

- Jak ty się zachowujesz? - zapytała zdenerwowana. - Jak mogłaś być taka bezczelna?

Frankie zapamiętała obgryzała paznokcie.

- Nie byłam bezczelna - odparła - a poza tym dziwne, że w ogóle coś zauważyłaś. O mało co nie weszłaś jej nosem w twarz. Nawet gdybym zrobiła się cała zielona, to nie przestałabyś się w nią wgapiać.

- Mówisz jak dwuletnie dziecko - odparła atak Cissie. - Chciałam cię zapoznać z Jinx, ponieważ jest serdeczną i bardzo sympatyczną kobietą i myślałam, że możesz się z nią zaprzyjaźnić. Jednak z twojego zachowania wynika, że wolisz być sama.

Odwróciła się na pięcie i poszła do toalety. Frankie patrzyła, jak odchodzi, a w uszach cały czas odbijały się echem jej własne słowa. Dlaczego tak się zachowywała? Przecież nie chciała być sama. Potrzebowała przyjaciółki. Dlaczego odepchnęła Jinx? I Cissie? Instynkt - pomyślała. Wewnętrzny instynkt. Jej reakcjami nie kierowały rozsądek i logiczny osąd. Znowu zrobiła tak, jak robiła zawsze. Z pazurami rzucała się na ludzi, zanim zdążyła im się przyjrzeć. Zwalczała to, co wydawało jej się zagrożeniem. Mogła pobiec za Cissie i usprawiedliwić swoje zachowanie, ale wiedziała, że jej wytłumaczenie będzie egoistyczne i niepoważne. Ludzie nie mieli zazwyczaj współczucia dla tych, których uważali za dobrze ustawionych. Mogłaby przeprosić, ale doświadczenie nauczyło ją, że „nie chciałam” nigdy nie brzmiało przekonująco. Więc zamiast postąpić tak, jak robiła to dziesiątki razy, wołała zrezygnować.

Kiedy wychodziła z sali balowej, nie żegnając się z nikim, z jej ust wydobyło się głębokie westchnienie. Nie był to udany

wieczór. Najpierw zachowała się niegrzecznie w stosunku do ojca. Przez cały czas była opryskliwa dla większości swojej rodziny, a potem chciała wejść między Jinx i Cissie. Gdy już jechała taksówką w stronę przedmieścia, zdała sobie sprawę, że jedynym miłym akcentem tej uroczystości był Noah. Gdyby nie on, mogłaby zaliczyć ten wieczór do licznego grona życiowych niepowodzeń.

W środku lipca kampania zaczęła przynosić efekty. Cissie była jednak coraz bardziej wyczerpana i pod naciskiem Jinx i brata poszła do swojego lekarza. Podczas badania cały czas go przekonywała, że nic jej nie jest. Później doktor Arthur przeglądał jej dokumentację, a Cissie ubrała się, wyjęła puderniczkę i zaczęła pudrować nos tylko po to, żeby uniknąć karcącego wzroku lekarza.

- Cissie, wykryłem guz twojej lewej piersi. Chciałbym, żebyś poszła do szpitala. Weźmiemy wycinek tkanki.

- To tylko torbiel - powiedziała szybko, tak jakby informowała go o czymś, o czym jeszcze nie wie, łudząc się, że zmieni swoją diagnozę.

- Wiem o tym - odpowiedział cierpliwie - jednak chciałbym, żebyś to zrobiła.

- Po wyborach.

- Nie. Natychmiast.

- Nie mam czasu - powiedziała podnosząc się z krzesła. W jednej chwili ogarnął ją niepokój.

Doktor Arthur również się podniósł, obszedł biurko i stanął na wprost niej.

- Wiem, że wydaje ci się to przerażające, Cissie, ale musisz to zrobić jak najszybciej. To bardzo ważne.

Cissie zaczęły drżeć wargi.

- Kampania Noaha jest też bardzo ważna. Jestem mu potrzebna.

- Potrzebuje cię zdrowej i silnej, Cissie - nalegał lekarz. - To nie zajmie więcej niż dwa dni.

Cissie zrobiło się słabo. Jej kolana były jak z waty i przez chwilę myślała, że zemdleje.

- Nie mogę - wyjąkała i poczuła, jak po policzkach spływają jej łzy. - Nic nie rozumiesz. Ostatnio Noah i ja... no wiesz, nie najlepiej się między nami układa. Ta kampania jest dla niego wszystkim i jeżeli nie będę mogła go teraz wesprzeć, może to oznaczać koniec naszego małżeństwa.

Doktor Arthur patrzył, jak Cissie wyciera chusteczką oczy.

- Cissie, nie chcę cię martwić, ale nie możesz tego odkładać. Jestem pewien, że Noah natychmiast wysłałby cię do szpitala.

- Tylko nic mu nie mów - powiedziała z niepokojem. - Nie chcę, żeby o tym wiedział.

Doktor Arthur pokręcił głową i spojrzał na Cissie niepewnym wzrokiem.

- Wobec tego, proszę, zrób co konieczne.

- Dobrze. Później. Jak wszystko się skończy, zrobisz mi biopsję.

- Cissie, nigdy nie przypuszczałem, że możesz być aż tak nieodpowiedzialna. Wybory są za cztery miesiące. Ten guz może być złośliwy.

- Jest takie samo prawdopodobieństwo - powiedziała właściwie wypadając z gabinetu - że nie będzie złośliwy.

- Dlaczego aż tak ryzykujesz? - zawołał za nią.

- Bo muszę - odpowiedziała i trzasnęła za sobą drzwiami.

Bo muszę teraz być z Noahem, dodała w myślach.

Wyścig nowojorskich kandydatów do zajęcia fotela w senacie wywołał burzliwą dyskusję, kiedy Noah Gold ujawnił, że Jack Chandler, jego oponent z Partii Republikanów, spędził kilka lat w szpitalu dla umysłowo chorych i jeszcze w ubiegłym roku poddany był leczeniu. Kongresman Gold

powiedział, że przykro mu, iż był zmuszony rozpowszechnić tę informację, jednak skłoniła go do tego kroku uczciwość względem wyborców. Chandler, długoletni i szanowany senator stanu z Buffalo, nie skomentował tej informacji.

Cissie była zaszokowana. Widziała na ekranie twarz Zacha Hamlina, słyszała jego głos, ale wciąż nie mogła uwierzyć w to, co mówił. Nie mogła także zrozumieć wyrazu zadowolenia, które pojawiło się na twarzy jej męża.

- Co to jest? - zapytała widząc, jak Noah wstaje z krzesła.
- To, kochanie, jest dopiero początek!

- Początek czego?

- Mówiłem ci, że potrzebowałem jakiegoś fortelu. Jak widzisz, już sobie z tym poradziłem. Myślisz, że teraz wyborcy będą mieli wątpliwości, kogo wybrać? Szukajcie, a znajdziecie!

Cissie próbowała doszukać się w tym sensu, ale docierała do niej jedynie myśl, że gdyby nie wiadomości Zacha Hamlina, to nic by o tym nie wiedziała.

- Czy zdajesz sobie sprawę, że zrujnowałeś karierę temu człowiekowi?

- Kochanie, przecież wiesz, że w polityce wszystkie chwytaki są dozwolone. Jego dworskie maniery doprowadzały ją do szału. Były tak samo irytujące jak knute za plecami intrygi.

- Nic mi o tym nie wiadomo. Wiem tylko, że gdy na początku zaczynałeś się w to bawić, to przedstawiałeś siebie jako człowieka stojącego ponad tego rodzaju machlojkami. Jak mogłeś to zrobić?

Noah zatrzymał się i spojrzał na Cissie. Nie potrafił ukryć podekscytowania.

- Na wypadek gdybyś już zbyt długo nie miała z tym do czynienia i kompletnie zapomniała, o co w tym wszystkim chodzi, to chcę ci przypomnieć, że celem kampanii jest

pokazanie wyborcom, że jeden facet jest najlepszy ze wszystkich. Właśnie to robię. Nie wpakowałem Chandlera do wariatkowa i nie kazałem mu przesiadywać u psychoanalityka. Ja tylko relacjonuję fakty.

Cissie z każdą chwilą była coraz bardziej zła.

- Kto ci to zasugerował?

- Jeden z moich doradców - powiedział Noah, odwracając głowę. - I wszyscy w Komitecie uznali to za świetny pomysł. Włącznie z twoim bratem.

- Wobec tego zapamiętaj sobie, że ja się nie podpisuję pod tym oświadczeniem. Nie mam zamiaru wyśmiewać się z Jackie Chandlera ani partycypować w jego publicznej kompromitacji. Od tej sprawy umyvam ręce.

- Nieźle - odburknął. - Gdyby to była parada weteranów z Wietnamu na wózkach inwalidzkich, to na pewno by ci się spodobało! Powinienem wiedzieć, że nie zaaprobowiesz żadnego pomysłu, który nie wyjdzie od ciebie.

- To nieprawda i nie próbuj mi tego wmówić! - broniła się Cissie, dotknięta tą insynuacją. - Nie interesuje mnie, kto jest pomysłodawcą, jeżeli pomysł ma jakąś wartość, ale widzę, że ten jest jej zupełnie pozbawiony.

- Chyba nie zaprzeczysz, że była to pierwsza informacja w wiadomościach! - zapytał podniesionym tonem. - Zach Hamlin i rekiny z sieci nie pokazałyby chłamu. Mój oponent z pewnością już węszy po mieście, próbując znaleźć na mnie haka. Może on też uważa, że moje oświadczenie jest zupełnie bezwartościowe?

- W takim razie jestem osamotniona - powiedziała Cissie, czując przerażający smutek.

- Wygląda na to, że tak! - wykrzyknął Noah i jak burza wypadł z pokoju.

Przez dłuższą chwilę Cissie patrzyła na pusty korytarz. Czy rzeczywiście reagowała na wiadomości dotyczące Jacka

Chandlera, czy też nie mogła pogodzić się z faktem, że nic o tym wcześniej nie wiedziała i że jeszcze raz Noah wykluczył ją z gry. Może rzeczywiście nie było w tym nic złego. Może i tak prędzej czy później wszystko wyszłoby na jaw, więc dlaczego Noah nie miałby tego wykorzystać. Może powinna się przemóc i mimo wszystko poprzeć męża. Nie. Nie mogła tego zrobić. Wiedziała, że źle postąpił. Teraz musiała tylko się dowiedzieć, kto go do tego nakłonił.

W czasie kilku następnych tygodni mass media bezlitośnie wałkowały temat zdrowia psychicznego senatora stanu, Jacka Chandlera. Cissie nie mogła wziąć w rękę gazety ani włączyć telewizji, w obawie, że ujrzy twarz upokorzonego człowieka lub usłyszy, jak tłumaczy się on ze swoich słabości, przedstawiając dokumenty o dobrym stanie zdrowia. W każdym swoim wystąpieniu Noah mówił, że stanowisko senatora stanu wymaga od obejmującego ten urząd „jasności myślenia”, „niepoddawania się naciskom”, „rozsądku”, „zdecydowania” i „szybkiego kojarzenia”. Ankiety wykazywały, że te niezbyt subtelne sztuczki Noaha miały wpływ na opinię publiczną. Jego notowania natychmiast wzrosły i zamiast zadowolić się tym wzrostem popularności, Noah wyzwiał Chandlera na pojedynek przed kamerami. Liczył, że Chandler będzie tak zdenerwowany całą tą sytuacją, że na pewno popełni jakieś faux - pas, które ostatecznie przekona wyborców, że nie jest odpowiednią osobą do objęcia urzędu senatora.

Dla Cissie rozrosło się to do rozmiarów wybiegających poza politykę. W ciągu kilku lat małżeństwa rzadko zdarzały się im kłótnie, lecz teraz powstała między nimi ogromna przepaść, która każdego dnia coraz bardziej się pogłębiała. Wraz z przybliżaniem się terminu tego programu, narastało między nimi napięcie, a stan nerwów Cissie pogarszały jeszcze cotygodniowe telefony od doktora Arthura.

Dyskusja miała się odbyć w ostatnim tygodniu sierpnia. Trzy dni wcześniej Cissie pojechała zobaczyć się z bratem. Musiała zaspokoić swoją ciekawość. Musiała się dowiedzieć, od kogo wyszedł ten pomysł.

- Nie wiem, kto na to wpadł - powiedział patrząc na Cissie znad talerza spaghetti. - Ale Noah był zdecydowany doprowadzić to do końca. Idzie na tę dyskusję uzbrojony w wystarczającą ilość informacji, żeby zrobić z tego biednego skurczybyka osobę zagrażającą społeczeństwu.

Cissie odstawiła talerz.

- Dlaczego on to robi?

Andrew odłożył widelec i spojrzał na siostrę.

- Cissie, to jego życiowy cel. Tego pragnął. Miejsca w senacie. Wiem, że trochę mu odbija, ale bądź pobłażliwa. Walczy o realizację swoich marzeń i jeśli nieco się w tym zagubił, daj mu trochę czasu. Być może Noah jest egoistą i może jest zbyt łasy na władzę, ale w rzeczywistości to dobry człowiek. Zobaczysz, że odnajdzie swoje miejsce w życiu. Bądź cierpliwa.

- Staram się - powiedziała - jednak moja cierpliwość jest na wyczerpaniu.

Parę metrów za restauracją Cissie skręciła w przecznicę i właśnie miała przejść przez jezdnię, gdy nagle spostrzegła Noaha zmierzającego do małego hotelu „Oxford” przy Madison Avenue. Rano Noah powiedział jej, że jedzie do Buffalo, żeby spotkać się z grupą przywódców partyjnych. Miał jechać na trzy dni. Czyżby odwołano spotkanie? A może jego rozmówcy zdecydowali się przyjechać do Nowego Jorku? Chciała go zawołać, ale w ostatniej chwili coś ją powstrzymało. Bez zastanowienia weszła za nim do holu. Noah wszedł do windy. Jak zdążyła się zorientować, jechał sam. Winda zatrzymała się na czwartym piętrze. Cissie wsiadła do drugiego dźwigu i przycisnęła klawisz z czwórką.

Otworzyły się drzwi i Cissie zerknęła na korytarz. W końcu korytarza zobaczyła światło wydostające się z pokoju. Usłyszała trzaśnięcie drzwi. Instynkt podpowiadał jej, żeby wrócić do windy, pojechać do domu, iść po zakupy, gdziekolwiek, tylko nie w kierunku tamtego pokoju.

Stała przed drzwiami, wahając się, przekonując samą siebie, walcząc ze sobą, wmawiając sobie, że w środku jest tylko grupa polityków i kłęby dymu z cygar. Dotknęła dłonią klamki, lecz zamiast otworzyć drzwi lub zapukać, momentalnie zrobiła w tył zwrot i jak strzała pomknęła do windy. Nacisnęła guzik na parter. Próbowwała zastosować się do rady Andrew i powtarzała sobie w duchu, że musi się zdobyć na jeszcze trochę cierpliwości, że musi zaufać swojemu mężowi. Ale kiedy otworzyły się drzwi windy, zawahała się. Musiała się dowiedzieć.

Wjechała z powrotem na górę. Trzęsły jej się ręce i serce waliło jak młot, kiedy otwierała drzwi. Pokój był mały i panował w nim półmrok, jednak wyraźnie dostrzegła łóżko. Zobaczyła Noaha, ale to nie jego postać spowodowała, że zapieniła się z gniewu. Jej wzrok padł na kobietę, która wiła się i jęczała z podniecenia.

Byli zbyt zajęci sobą, żeby zauważyć, że Cissie podeszła do łóżka. Przez parę sekund, które wydawały się wiecznością, Cissie stała spokojnie i obserwowała, jak drażnił jej piersi i jak namiętnie wsuwał język do jej ust. Widziała, jak Frankie oplotła jego plecy nogami i jak biodra falowały ocierając się o siebie. Nagle Noah niespodziewanie się odwrócił i zobaczył jej twarz. Zrobił się blady jak kreta. Odskoczył od Frankie i wyciągnął rękę po koc.

- Nie rób sobie kłopotu - powiedziała Cissie z pogardą. - Po prostu zaspokajałam własną ciekawość.

Stała nad nimi z twarzą wykrzywioną z bólu.

- Już od paru tygodni próbuję się dowiedzieć, kto wpadł na pomysł opublikowania historii o stanie zdrowia psychicznego Jacka Chandlera. Powinnam była się domyślić - powiedziała patrząc na Frankie. - Ta cała sprawa po prostu śmierdzi tobą. Wbiłaś temu człowiekowi gwóźdź do trumny! Zrujnowałaś go! Teraz jesteś zadowolona? - Jej oczy wędrowały od Noaha do Frankie. - Co za głupie pytanie? Oboje aż jęczycie z zadowolenia.

- Cissie - odezwał się Noah, wyciągając do niej rękę. - Pozwól mi wyjaśnić.

- Za każdym razem, kiedy słyszałam w wiadomościach nazwisko tego lekarza, Paula Shaeffera, wydawało mi się, że już gdzieś je wcześniej usłyszałam - mówiła zupełnie nie zwracając uwagi na to, że Noah próbuje jej coś powiedzieć. - Przed chwilą doznałam olśnienia. Przecież to lekarz Lillie, jaka byłam głupia, że tego nie skojarzyłam!

Odwróciła się i ruszyła w kierunku drzwi. Frankie włożyła szlafrok i poszła za nią.

- Wybacz mi - płakała.

- Przestań! Nie chcę tego słyszeć! - odparła Cissie, strącając jej dłoń ze swojego ramienia.

- Wybacz mi - powtórzyła Frankie i jej twarz wykrzywiła się z żalu i zakłopotania, kiedy dotarło do niej, że właśnie zniszczyła życie jedynej osobie, która darzyła ją prawdziwą przyjaźnią.

- Nie dotykaj mnie i nigdy więcej się do mnie nie odzywaj - powiedziała Cissie, otwierając drzwi. Nawet nie spojrzała na Noaha. Nakazała sobie zachować choć resztkę godności.

Trzasnęła drzwiami i zbiegła w dół schodami awaryjnymi, upewniając się, że nikt za nią nie podąży. Kiedy pędziła po schodach oślepiona łzami gniewu i upokorzenia, spadła z niej maska spokoju i opanowania. Dotarła do holu, a następnie

skręciła do toalety. Zamknęła się w kabinie, nachyliła nad sedesem i wymiotowała, krztusząc się i dławiąc, dopóki nie zostało jej już nic w żołądku oprócz lepkiej, gorzkiej żółci.

Noah siedział w sypialni i gapił się w ścianę. Obok, na stoliku, stała otwarta butelka brandy. Był fizycznie i psychicznie wyczerpany. Zaraz po wyjściu Cissie wrzucił na siebie ubranie i pobiegł jej szukać. Przeszukał hol i wypytał o nią pracowników hotelu. Obszedł wszystkie pobliskie ulice, wchodził do każdej kawiarni i do każdego sklepu. Zadzwoił do biura Jinx i do swojej kwatery. Zatelefonował do Andrew, ale nikt nie wiedział, co się działo z jego żoną.

Po powrocie do domu szukał jakiejś wiadomości, jakiejś notatki, czegokolwiek, co naprowadziłoby go na trop miejsca pobytu Cissie i dzieci. Jednak nic nie znalazł. Jego dom był pusty.

Godzinami siedział w mrocznej sypialni i zastanawiał się, gdzie mogła odejść. Myślał o tym, jak on daleko od niej odszedł. Jak mógł stracić z oczu kogoś najważniejszego, jedyną osobę, która naprawdę liczyła się w jego życiu?

Odpowiedź była boleśnie prosta. Zatracił sam siebie. Gdzieś, jakoś, kiedyś. Na drodze do kariery sukces zaczął górować nad wszystkim. W dążeniu do tego sukcesu stał się egoistą zaabsorbowanym wyłącznie spełnianiem własnych zachcianek.

Na początku sam próbował się usprawiedliwiać, porównując swoje ambicje do instynktów człowieka umierającego z głodu. W nim też odzywał się głód, męczący, nieustanny głód, który zamknął mu oczy na wszystko, z wyjątkiem jednej rzeczy, która, jak wierzył, da mu szczęście i zadowolenie - z wyjątkiem władzy. Jakie to kuszące i uwodzicielskie słowo: władza? Ale czy chociaż posiadał tę władzę? Czy uciekanie się w kampanii do chwytów poniżej pasa było także obliczem władzy?

Rozpaczliwie pragnął tego urzędu. I Cissie dzieliła jego marzenia. Ale dopiero teraz, kiedy przecierał rękami oczy, zdał sobie sprawę, że Cissie potrafiła wykorzystywać i selekcjonować informacje oraz podejmować rozsądne decyzje. On tylko nimi manipulował. Cissie przyjmowała problemy z podniesioną głową. On ostrożnie je omijał.

Cissie prawie dziesięć lat błagała go, żeby wyszedł naprzeciw nocnym koszmarom i lękom, ale on nie dał się przekonać. Właśnie wtedy, kiedy zaczęła go naciskać, żeby zrobił zbiórkę na pomnik żołnierzy z Wietnamu, żeby spotkał się z weteranami tamtej wojny, zaczął się od niej odsuwać. Za dużo o nim wiedziała. Była jego sumieniem, świadkiem jego porażek w walce z poczuciem winy i odizolowania się od świata. Może na jakiejś płaszczyźnie swojej podświadomości chciał ukarać Cissie za to, że nalegała, by doprowadził do bolesnej konfrontacji z samym sobą.

A jaka była rola Frankie? Myślała, że mu pomoże. Kiedyś przypomniała sobie, że widziała Chandlera w gabinecie Shaeffera. Tylko niewinne, dziecięce skojarzenie. To nie ona wykorzystwała to w kampanii, lecz on. To był jego pomysł. Jaki diabeł go opętał? Wiedział, jaka Frankie była nieodporna, jak łatwo było ją skrzywdzić. Młodsza kuzynka Cissie, Boże drogi! Kiedy o tym myślał, zrobiło mu się niedobrze.

Miał zostać konsekwentnym politykiem, pragmatycznym strategiem, człowiekiem czującym na błędy historii i konsekwencje niezręcznych posunięć. Teraz, kiedy jego żona odeszła, kiedy opuściły go dzieci, nic już nie miało znaczenia. Czul się zupełnie pusty w środku, tak jakby krew wytrysnęła fontanną z jego ciała, zostawiając czarną dziurę. Całe życie opętany był żądzą władzy, walką o pozycję, i dopiero teraz, patrząc na swoje puste łóżko, uświadomił sobie, że Cissie zawsze była źródłem jego siły i że jedynym zaszczytem, na którym mu zależało, był zaszczyt życia przy jej boku.

- Wszystko dla ciebie naprawię - wykrzyknął w głuchy mrok. - Zrobię wszystko, co zechcesz, wszystko, co powiesz, ale cię odzyskam!

Najpierw jednak musiał ją odnaleźć.

Wszystko było jak za mgłą, rozmazane po przebudzeniu, kiedy przestała działać narkoza. Cissie trzęsła się z zimna i odczuwała przy tym ból. Wokół niej unosiły się obce, głośnie, głuche dźwięki, które odbijały się echem w jej uszach; miała wrażenie, że jest uwięziona w gigantycznej tubie. Powoli otworzyła oczy. Sufit był biały. Z metalowych haków zwisały jakieś butelki, a cienkie białe zasłony przesłaniały obie strony łóżka. Jej umysł potrzebował dobrych kilku minut, żeby wreszcie zlokalizować, gdzie jest i dlaczego. Znajdowała się w sali pooperacyjnej „General Hospital” w Nowym Jorku. Przyjechała ostatniej nocy, a rano przeprowadzono biopsję.

Jak zwykle, nic nie robiąc sobie z zakazów, spróbowała się poruszyć, ale przeszył ją prąd niesamowitego bólu. Wtem zdała sobie sprawę, że do piersi ma przyłożony dziwny opatrunek, a jej lewe ramię przyklejone jest plastrem do tułowia. Prawa ręka Cissie zadrżała, kiedy podniosła ją z łóżka i dotknęła bandażu. Dopiero teraz poznała prawdę. Guz był złośliwy. Kiedy położyła prawą dłoń na miejscu lewej piersi, jej oczy wypełniły się łzami.

Leżała, cicho płacząc po stracie części swojego ciała. Drżały jej powieki. Chciała potrzeć je dłonią, ale nie mogła unieść prawej ręki. Nie mogła się zdobyć na to, żeby zdjąć dłoń z bandażu. Zupełnie tak, jakby chciała się uchronić przed dalszym bólem, przed następnymi łzami.

Za chwilę pojawiła się pielęgniarka. Cissie słyszała, że do niej mówi. Nawet poczuła, jak kiwa głową w odpowiedzi na jej słowa, ale prawie nic do niej nie docierało. Nie wiedziała, co się wokół dzieje, czuła tylko żal za nieodwracalną utratą kobiecej wypukłości i rozdzierający ból. Pielęgniarka wbiła

igłę w jej ramię. Ból powoli zaczął znikać i Cissie odplynęła lekko w mgłę.

Kiedy znowu się obudziła, była już w innym pokoju i ktoś trzymał ją za rękę. Odwróciła głowę i spojrzała w oczy swojemu ojcu. Były czerwone i mokre. Twarz miał bladą i pomarszczoną.

- Dzięki Bogu - wymamrotał i bezwiednie się uśmiechnął.
- Dzięki Bogu, że wszystko z tobą dobrze.

Cissie była zbyt słaba, żeby się odezwać. Mogła tylko na niego patrzeć; na niego i swoją matkę stojącą przy boku Berta.

Oczy ojca spoczęły na metrach bandażu opasujących jej piersi.

- Dlaczego tak długo z tym zwlekałaś? - W jego głosie słychać było oschłość spowodowaną niepokojem.

Cissie próbowała coś powiedzieć, ale miała przeraźliwie sucho w ustach. Tessa sięgnęła do małego stolika przy łóżku, przytknęła jej do ust szklankę wody, przytrzymała głowę tak, by Cissie mogła się napić. Strużka wody ściekała jej po szyi. Tessa delikatnie ją wytarła i położyła głowę córki na poduszce.

- Mogłaś umrzeć - powiedział Bert wystraszony znaczeniem swoich słów. - Dlaczego tak długo czekałaś?

Oczy Cissie powędrowały z twarzy ojca do własnej piersi. Obejrzała opatrunek, przypomniała sobie, dlaczego zwlekała, a potem ten moment, w którym zdecydowała się, że już dłużej nie będzie tego odkładać.

- Sądziłam, że jestem potrzebna Noahowi. - Początkowo jej głos był słaby, ale po chwili nabrał stanowczości. - Ale on mnie już nie potrzebuje. Zresztą ja jego też nie.

- Cissie, kochanie, co się stało? - Tessa powiodła palcem po brwiach córki. Trzęsły jej się ręce. Przypomniała sobie lodowaty gniew w głosie córki, kiedy Cissie zadzwoniła do niej i poprosiła, żeby zaopiekowała się dziećmi. Przypomniała

sobie to samo milczenie, którym Cissie odpowiedziała na jej poprzednie dociekania.

- Nie chcę o tym mówić - powiedziała. Tessa usłyszała upór w jej drżącym głosie.

- Dopilnujcie tylko, żeby pielęgniarki sumiennie wykonały moje polecenie. Jego noga nie może przekroczyć progu tego pokoju.

- Jest w korytarzu - spokojnie odparła Tessa. - Bardzo pragnie się z tobą zobaczyć.

- Nie wpuszczajcie go tutaj!

Siła jej głosu odbiła się echem w pokoju. Próbowwała podnieść się z łóżka, ale potworny ból z powrotem przykuł ją do materaca. Zamknęła oczy i krzyknęła, kiedy fala narastającego cierpienia przeszła jej ciało. Tessa zadzwoniła po pielęgniarkę, która sprawdziła bandażę i wbiła w rękę chorej następną igłę.

Czekając, aż Cissie znowu pogrąży się w wywołanym lekami śnie, Tessa próbowała sobie wyobrazić, co takiego zrobił Noah, że wywołało to aż taką furię Cissie. Chociaż jej wyobraźnia nie sięgała aż tak daleko, żeby odkryć prawdę, jednak udręka córki i siła jej gniewu kazały przypuszczać, że zrobił coś niewybaczalnego.

Przez całą noc i prawie cały następny dzień Cissie pogrążała się i wyłaniała ze snu wywołanego dawką demorolu, odzyskiwała na chwilę świadomość, po czym znów traciła kontakt z rzeczywistością, do końca nie wiedząc, czy to wszystko było okrutną prawdą, czy tylko koszmarnym snem. O dziesiątej wieczorem poczuła się nieco lepiej. Mogła już otworzyć oczy i była w stanie znieść pulsujący ból po lewej stronie piersi.

Kiedy odzyskała jasność myślenia, przewróciła się na bok. Krzesła stojące przy jej łóżku były puste. Rodzice musieli już pojechać do domu. Mimo głębokiego snu przez całą noc i

większość dnia czuła ich obecność. Pewnie pielęgniarki poradziły im, żeby poszli do domu, zapewniając, że Cissie będzie spała jeszcze przez następną noc. Rozejrzała się po pokoju i poczuła, jak w jej oczach zebrały się olbrzymie łzy. Na początku próbowała je zwalczyć, ale dała sobie spokój i łzy spływające po policzkach okraślił nie znany jej dotąd smak żalu nad samą sobą. Prawie nieświadomie jej prawa ręka powędrowała do lewej piersi.

Nie jestem już kobietą, płakała, czując się jak dziwaczne, zdeformowane stworzenie. Ale wówczas dotarło do niej, że dla męża nie była wystarczająco kobietą nawet wtedy, gdy ciało miało swój dawny kształt.

Cissie wiła się z wewnętrznego bólu, którego nie mógł wyciszyć demorol. Pooperacyjna świadomość była dla niej większą torturą niż cierpienie wywołane operacją. Nigdy nikogo nie kochała w taki sposób, w jaki kochała Noaha. Pewnie nigdy już nie potrafi nikogo tak kochać, ale jedna rzecz była pewna, musiała spróbować. Ostatni raz pozwoliła się zranić.

Wtem poczuła, że już dłużej nie zniesie dzwoniącej w uszach ciszy. Puste pomieszczenie wypełniało głucho, szydercze milczenie, które domagało się, żeby stanęła w obliczu tego, co się stało, i pogodziła się z losem. Cissie nie chciała się nad tym zastanawiać. W ogóle nie chciała myśleć. Nie mogła rozvodzić się nad pustką tego pokoju i nad pustką swojego życia. Odczuwała rozpaczliwą potrzebę złamania ciszy i włączyła telewizor.

Skończyła się reklama i za moment spojrzały na nią zielone oczy Zacha Hamlina.

Dobrze zrobił, że ją zostawił, pomyślała, i bąbelki gniewu zaczęły wypływać na powierzchnię. Wiedział, kiedy się wycofać. Dlaczego ja nie wiedziałam?

Najbardziej zaskakującą informacją tego wieczoru jest oświadczenie Noaha Golda, że rezygnuje z walki o fotel w senacie.

Cissie zamruwała powiekami. Czyżby zawodził ją słuch? Czyżby jej umysł robił jej głupie dowcipy? Natychmiast wzmocniła głos.

Na konferencji prasowej, która miała miejsce późnym popołudniem, kongresman Noah Gold wycofał swoją kandydaturę. Oto treść jego oświadczenia. Kamera przeniosła się do kwatery wyborczej Noaha. Cissie natychmiast rozpoznała twarze jego politycznych doradców. Były szare i smutne. Oko kamery powędrowało po pokoju, zatrzymując się na podium stojącym przed dużym plakatem z napisem „Nowy Jork potrzebuje Golda”. Noah stał na podium z surowym i poważnym wyrazem twarzy. Po jednej stronie miejsce zajmował Andrew Kahn, po drugiej jego mentor, Jeremy King. Serce zaczęło jej bić mocniej.

- Panie i panowie, jak większość z was wie, przez całe moje dorosłe życie sprawowałem funkcje polityczne. Służenie mieszkańcom stanu Nowy Jork jest moją życiową pasją i miałem szczerą nadzieję, że od listopada będę mógł reprezentować was w Senacie Stanów Zjednoczonych.

Na moment przerwał. Cissie wiedziała, że w jego krtani stała niewidzialna przeszkoda.

- Wejście do Senatu było moim marzeniem. Zawsze sądziłem, że nic nie uczyni mnie bardziej szczęśliwym niż zajęcie miejsca w tej szacownej izbie. Ale życie ma swoje sposoby na to, żeby sprawdzać ludzi, rzucać im wyzwania, zmuszać do tworzenia priorytetów i podejmowania właściwych wyborów. Dzisiaj dokonałem takiego wyboru. Rezygnuję z wyścigu do miejsca w Senacie Stanów Zjednoczonych. - Noah odłożył na bok arkusz z tekstem przemówienia i spojrzał prosto w kamerę. W jego ciemnych

oczach pojawił się wyraz głębokiej szczerości. - Moja żona jest i zawsze była najważniejszą osobą w moim życiu - powiedział. - Wczoraj przeszła poważną operację. Z uwagi na rodzaj schorzenia będzie musiała poddać się długiej rekonwalescencji i mam zamiar każdą chwilę spędzić u jej boku. W toku mojego życia zawodowego żona była dla mnie największą podporą, jednym z najlepszych pracowników mojej ekipy i najcenniejszym doradcą. - Przez jego usta przebiegł nieśmiały uśmiech. - Nawet więcej, była moją duszą i sumieniem. Moim pomocnikiem i partnerem, źródłem mojej energii i siły.

Znowu na moment przerwał i wziął głęboki wdech. Cissie wiedziała, że próbował zwalczyć łzy - jej własne oczy były suche i szeroko otwarte.

- Po raz pierwszy w naszym małżeństwie to ona potrzebuje wsparcia. Nie należy do osób, które wyciągają ręce po pomoc i pewnie zajmie mi trochę czasu, żeby ją przekonać, że jest to konieczne, lecz tak czy inaczej zamierzam być przy niej. - Noah jeszcze raz zaczerpnął powietrza. Spojrzał na Andrew, Jeremy'ego i resztę ekipy. - Ci, którzy włożyli ofiarną pracę i serce w moją kampanię, mają prawo czuć się zawiedzeni i rozczarowani tym, że ich wysiłek poszedł na marne. Lecz mam nadzieję, że potrafią mnie zrozumieć. Nie mam innego wyboru.

Na ekranie ponownie ukazała się twarz Zacha Hamlina, który relacjonował komentarze członków Komitetu Demokratycznego i wpływowych polityków.

Cissie siedziała jak zahipnotyzowana, zupełnie oszołomiona, nie była w stanie zdobyć się na jakąkolwiek reakcję. Zmieniła kanał, myśląc, że może to wszystko było dziełem jej wyobraźni. Ale nie. Trzy razy w trzech kanałach widziała, jak Noah publicznie deklaruje miłość do żony i jak poświęca swoją karierę.

- Doceniam to, Noahu - powiedziała i wyłączyła telewizor. - Ale trochę się spóźniłeś.

Musiała znowu zasnąć, bo ocknęła się dopiero o trzeciej nad ranem i zobaczyła Noaha siedzącego przy jej łóżku.

- Jak się tutaj dostałeś? - zapytała z agresją w głosie.

- Zagrałem na współczuciu pielęgniarek. - Zmusił się do uśmiechu i próbował ująć jej dłoń.

Skurczyła się i z obrzydzeniem odskoczyła w bok, zupełnie jakby był chory na trąd.

- Nie chcę cię widzieć.

- Błagam - w jego głosie pobrzmiwało dławiące poczucie winy. - Kocham cię. Potrzebuję cię. Zawsze cię potrzebowałem, nawet jeśli wyglądało to zupełnie inaczej.

Z ust Cissie wydobył się dziwny dźwięk, zniekształcony, nieprzyjemny śmiech, w którym słychać było gorycz i rezygnację.

- Nie wiem, co mnie napadło - jego słowa w popłochu wydobywały się z ust. - Nie wiem, jak mogłem cię zdradzić w taki ohydny sposób. Nie ma dla mnie żadnego usprawiedliwienia, żadnego sensownego wytłumaczenia. Wiem tylko, że bardzo cię kocham, i nie mogę znieść myśli, że przechodziłaś sama przez to wszystko.

- Sama też urodziłam ci dwoje dzieci - powiedziała cichym głosem, w którym słychać było wezbrany ból. - Sama opuściłam pokój w hotelu. Dlaczego więc tego nie miałabym zrobić sama?

- Dlatego, że jesteś moją żoną i jedyną kobietą, jaką kiedykolwiek kochałem - odparł z paniką w głosie. Widział, że Cissie coraz bardziej mu się wymyka. - Powinnaś była przyjść do mnie. Byłbym tutaj razem z tobą. Musisz o tym wiedzieć.

- Powiem ci, o czym na pewno wiem. Wiem, że wiele nocy i weekendów spędzałeś poza domem, idąc do łóżka z

kimś innym. Wiem, jak często przymykałam oczy, kiedy zachęcałeś jakąś młodą nimfę, żeby wymasowała twoje męskie ego. Tym razem posunąłeś się za daleko. Tym razem stałam i patrzyłam, jak kochasz się z moją kuzynką. Widziałam ciebie! - wykrzyknęła z taką siłą, jaką tylko miała w piersi. - Nie mógłbyś ze mną tutaj być. Za bardzo byłeś wówczas zajęty pieprzeniem Frankie!

- Nie zostawiaj mnie - błagał Noah, biorąc dłoń Cissie i podnosząc ją do ust. - Proszę, daj mi jeszcze jedną szansę. Nie wiem, co się ze mną działo, ale przysięgam, że to już nigdy się nie zdarzy. Potrzebuję cię, Cissie.

Odwróciła się do Noaha i spojrzała mu prosto w oczy.

- Przykro mi, ale nie interesują mnie już twoje potrzeby. Zbyt długo patrzyłam przez palce i pozwalałam, żebyś mnie oszukiwał. Zbyt długo całe moje życie kręciło się wokół ciebie. Wierzyłam ci. Poświęciłam wszystko na ołtarzu twojej kariery. Wszystko, włączając moją dumę! Wypiłeś moja krew, a teraz masz czelność prosić mnie o przebaczenie? Nigdy!

- Cissie, jesteś teraz przybita i masz do tego całkowite prawo - wyjąkał - ale zobaczysz, naprawimy nasze małżeństwo. Złożymy to wszystko do kupy. Oglądałaś wiadomości? Widziałaś, co zrobiłem? Zrezygnowałem z Senatu. Dla ciebie. Zrobiłem to, żeby ci udowodnić, jak bardzo cię kocham.

Cissie zacisnęła pięści.

- Myślisz, że jestem naiwna jak dziecko? - powiedziała przez zaciśnięte zęby. - To był pusty gest. Dobrze wiesz, że jest już zbyt późno, żeby się wycofać. Twoja partia nie wystawi teraz nowego kandydata. To był jeszcze jeden chwyt. Wykalkulowałeś sobie, że weźmiesz krótki urlop, zaopiekujesz się swoją biedną schorowaną żoną, a potem znowu pozwolisz się przekonać i ponownie staniesz do walki. Bardzo sprytne, Noahu. Jestem pewna, że wyborcy robili w

majtki, kiedy ujawniłeś im swoje szlachetne zamiary, ale ja nie kupuję tego gówna!

- Nieprawda - zaprotestował. - Kocham cię. Nie chcę cię stracić. - Znow spróbował wziąć ją za rękę. Obruszyła się - Proszę, przeszłaś gehennę. Potrzebujesz spokoju. Potrzebujesz czasu, żeby wyzdrowieć.

- Odpocznę - powiedziała dziwnie opanowanym głosem. - I wyzdrowieję. Rak zniszczył wprawdzie część mojego ciała, ale twoja perfidia zniszczyła część mojej duszy.

Oczy Noaha wypełniły się łzami i zadrżał mu głos.

- Wynagrodzę ci to wszystko. Zrobię wszystko, czego zażadasz. Wiem, że nadal mnie kochasz. Wiem, że wciąż mnie potrzebujesz.

- I tutaj się mylisz - powiedziała, czując w sobie przyływ mocy, której tak bardzo brakowało jej w ostatnich dniach. - Mam dzieci, mam rodzinę, mam przyjaciół. I mam pracę. Jedyna rzecz, którą muszę zrobić, to odzyskać to, co mi odebrałeś: szacunek do samej siebie. A teraz wyjdź z tego pokoju.

Noah zdezorientowany i zupełnie przybity wstał z krzesła. Odwrócił się, ale jeszcze raz spojrzął na Cissie. Chciał jeszcze raz błagać ją o wybaczenie, lecz jej stalowy wzrok dał mu do zrozumienia, że nic nie wskóra. Kiedy wyszedł, Cissie wiedziała, że w końcu zmieni zdanie i przygarnie go z powrotem. W dniu kolacji wydanej na cześć Noaha powiedziała Frankie, że czas leczy rany. Być może, ale teraz doszła do wniosku, że niektórych ran nie da się wyleczyć. Kiedy Noah zamknął drzwi pokoju, Cissie zamknęła dla niego swoje serce. Przysięgła sobie, że więcej go nie otworzy.

Jinx osłoniła ręką oczy od słońca. Spojrzała znad gazety i uśmiechnęła się na dźwięk szczęśliwego śmiechu Joy, która stała w płytkim końcu basenu na terenie ich posiadłości w Westchester. Mokra kosmyki czarnych włosów zwisały jej na plecach, a duże niebieskie oczy wpatrywały się z rozbawieniem w Matthew, który płynął do niej, sapiąc, chlapiąc wodą i robiąc najbardziej groteskowego motylka, jakiego kiedykolwiek widziała.

- Czyżbym wygrał? - zapytał rozglądając się wokół i celowo unikając wzroku Joy.

- Nie. - Joy, dźwięcznie chichocząc, wygramoliła się z basenu.

- Nie? - Położył się na plecach, wyciągnął się wzdłuż barierki i wyrzucił ramiona w geście wyczerpania. Potem wstał i spojrzał na Jinx. - Czy przypadkiem się nie przesłyszałem? Czyżbym przegrał z dziesięcioletnią dziewczynką?

- Na to wygląda - powiedziała Jinx.

- Jestem upokorzony. Całkiem upokorzony. - Zwiesił głowę na znak rezygnacji i przegranej.

- Dam ci jeszcze jedną szansę - powiedziała Joy, kładąc się na ziemi i smarując olejkiem do opalania. - Jeśli chcesz, pozwolę ci się ze mną zmierzyć nawet dwa albo trzy razy.

- Ktoś chyba chce, żebym padł z wyczerpania - powiedział Matthew, wychodząc z basenu. Wytarł się ręcznikiem. - Poza tym nie wierzę, że masz dziesięć lat. Jesteś chyba zwyciężczynią z olimpiady w 1976 i tylko przebrałaś się za dziecko.

Joy znowu zachichotała.

- No to jak to się stało, że jestem taka mała? - zapytała.

- Tak dużo czasu spędzasz w wodzie, że aż się skurczyłaś - powiedział, celowo siadając naprzeciwko niej, zasłaniając słońce i rzucając ogromny cień na jej małą postać.

- Matthew! Zejdź z mojego słońca. Chcę się opalać. - Żartobliwie odepchnęła go na bok.

Matthew zwinął się w kłębek i upadł na lewą stronę. Patrzył, jak jego młoda towarzyszka układa się na plecach z ramionami sztywno ułożonymi wzdłuż tułowia, wyprostowanymi nogami, zamkniętymi oczami i świecącym czubkiem noska zwróconym w stronę słońca.

- Na kim chcesz wyrzucić aż takie wrażenie? - zapytał tonem odtrąconego konkurenta. - Myślałem, że jestem jedynym mężczyzną w twoim życiu. Jestem zupełnie przybity.

Joy otworzyła oczy i usiadła. Zazwyczaj wiedziała, kiedy Matthew z nią żartuje, ale dzisiaj nie była pewna, więc powiedziała bardzo poważnie:

- Nadal jesteś dla mnie jedynym mężczyzną i jeśli mama nie będzie chciała wyjść za ciebie, to, jak dorosnę, sama wezmę z tobą ślub.

- A jeśli będę wtedy stary i słaby, będę chodził o lasce i przed snem wyjmował z ust sztuczną szczękę?

Joy roześmiała się.

- Oj, Matthew, przestań!

Jinx obserwowała, jak położyli się obok siebie i przekomarzali się, leżąc na słońcu. Matthew przyjechał do nich na wolny weekend i niemalże przez cały czas Jinx musiała z nim konkurować o względy swojej dziesięcioletniej córeczki, ale była to jedna z niewielu konkurencji, w której nie martwiła jej przegrana. Wzajemna więź między Matthew i Joy nawiązała się szybko i bezboleśnie.

Po raz pierwszy spotkali się na pogrzebie Kipa i nie było to ani miejsce, ani okazja, która mogła wróżyć coś dobrego.

Joy miała wtedy cztery lata i nie pamiętała Matthew, troski, którą ją otaczał, jego czułości. Kiedy Matthew przeprowadził się do Nowego Jorku, Joy początkowo patrzyła na niego spod oka. Z egoistycznego punktu widzenia Jinx zależało na tym, żeby jak najszybciej nawiązali kontakt, jednak wcale by się nie zdziwiła, gdyby nie pokochali się od pierwszej chwili. Matthew stracił dziecko. Joy straciła ojca i żadne z nich ponownie nie chciało ryzykować. Ich rany były zbyt bolesne.

W końcu, po roku pobytu Matthew w Nowym Jorku, nastąpiła zmiana.

Jinx udostępniła swoją posiadłość na wystawę, z której dochody miały zasilić oddział dziecięcy „General Hospital” w Nowym Jorku. Matthew ustawił sobie plan pracy tak, by mieć wolny weekend i zjawił się u Jinx w przeddzień otwarcia wystawy. Przed kolacją miał zamiar pograć jeszcze w tenisa. Kiedy przyjechał na miejsce, Halona powiedziała, że Jinx dłużej zatrzymano w Chicago i że przyleci do domu wieczorem albo następnego ranka; poinformowała go, że obiad będzie o siódmej trzydzieści i zachęciła, żeby się rozgościł.

Wiedział, że będzie musiał grać z maszyną wyrzucającą piłki, mimo to postanowił wypociec zmęczenie po tygodniu pracy i skoncentrować się na wyrobieniu lepszego forhandu. Przebrał się w strój sportowy i pobiegł na korty. Zaskoczył go widok Joy siedzącej przy płocie z kolanami wetkniętymi pod brodę, skulonymi ramionami i spuszczoną głową.

- Cześć - powiedział cicho, nie chcąc jej wystraszyć. Gdy podniosła głowę, zobaczył zaczerwienione oczy i ślady łez na policzkach.

- Mamy jeszcze nie ma. Będzie późno - powiedziała zupełnie tak, jakby chciała się przed nim usprawiedliwić, że sama nie jest Jinx.

- Wiem. Wygląda na to, że będziemy musieli zaopiekować się sobą nawzajem - powiedział zastanawiając się, co wywołało jej łzy: nieobecność matki, jego przyjazd czy coś zupełnie innego. - To może na razie zagramy.

Joy wzruszyła ramionami. - Jestem cała spocona. Śmierdzi ode mnie. Na pewno by ci się to nie spodobało.

- Przez cały tydzień nie mogłem się doczekać, żeby zagrać w tenisa. I na pewno będzie z ciebie większy pożytek niż z tej głupiej, bezdusznej maszyny. Ona po prostu stoi i pluje w ciebie piłkami - powiedział z uśmiechem, starając się poprawić jej nastrój. - No to jak?

- Dobra - powiedziała bez przekonania. Wzięła piłkę, raketę i powlokła się za nim na kort.

Przez godzinę uderzali raketami piłkę, nie odzywając się do siebie ani nie licząc punktów; po prostu grali przez cały czas. Po kilku minutach Matthew zauważył, że wrodzona sprawność dziewczynki zapanowała nad jej kiepskim nastrojem. Joy miała figurę sportswomenki. Była wysoka jak na swój wiek, miała gibkie ciało i skoordynowane ruchy. Jej uderzenia były nie tylko zaskakująco silne, lecz jednocześnie pewne, szybkie i pełne gracji.

- Jesteś bardzo dobra - powiedział Matthew i zaprowadził ją do małego stolika na murawie, gdzie Halona postawiła szklanki i dzbanek z lemoniadą. - Założę się, że wśród swoich rówieśników nie masz sobie równych.

Zaprzeczyła ruchem głowy; zauważył, że z powrotem ogarnia ją przygnębienie. Wypiła duszkiem lemoniadę i zaraz się odwróciła. Matthew podejrzewał, że płacze. Wstał z krzesła i podszedł do Joy. Uklęknął przed nią na ziemi i podniósł jej brodę, tak by mógł jej spojrzeć prosto w oczy.

- Dlaczego mi nie chcesz powiedzieć, co jest nie tak? - zapytał. - Chciałbym ci pomóc, ale musisz mi zaufać.

- W mojej szkole jest jutro święto i wszyscy na nie idą oprócz mnie - powiedziała i zadrgała jej dolna warga.

- Chcesz, żebym porozmawiał z twoją mamą? - zapytał myśląc, że może Jinx chce mieć Joy przy sobie w dniu otwarcia wystawy.

- To nie wina mamy - pochlipywała. - Jutro jest dzień taty, a ja nie mam taty, więc nie mogę iść.

Matthew zabolalo serce, kiedy jej smutny, dźwięczny głosik zamienił się w szloch. Była taka bezradna, i tak opuszczona jak samotne pisklę w gnieździe. Nagle Matthew poczuł, jak budzą się w nim opiekuńcze instynkty. Doskonale wiedział, jak się czuła.

Przypomniał sobie te smutne popołudnia po śmierci J. J., kiedy włóczył się bez celu nad brzegami oceanu. Chciał uciec od rzeczywistości i pogрузić się w bezosobowym tłumie. Zamiast tego miał przed oczami ojców grających z synami w piłkę, budujących zamki na piasku, skaczących przez morskie fale i dzielących się kanapkami. Spacerował po parkach, przemierzał ulice miasta, wsiadał w samochód i jeździł wiejskimi drogami, ale gdziekolwiek się ruszył, czuł się odmieńcem i samotnikiem, który do nikogo nie należy i nigdzie nie pasuje.

Potrafił sobie wyobrazić bezradność Joy. Rozumiał jej gniew i dzielił jej cierpienie. W tym momencie Joy instynktownie dotknęła jego ramienia. Jej spojrzenie zatopiło się w jego oczach i dotarło aż do głębi jego żalu. Pierwszy raz od utraty syna poczuł w sobie przyływ ojcowskiego uczucia.

- Kto organizuje to święto? - zapytał ocierając jej oczy rękawami koszulki.

- Pani Gleason - odpowiedziała wpijając w niego spojrzenie niebieskich oczu. - Ale ona naprawdę ma fioła na punkcie zasad i regulaminu.

- Wiesz, myślę, że mamy szczęście! - powiedział Matthew, chwytając ją za rękę i prowadząc w stronę domu. - Nigdy wcześniej ci tego nie mówiłem, ale jestem specjalistą w łamaniu sztywnych reguł!

Jinx zaskoczona podniosła wzrok na widok Matthew w krótkich spodenkach i brudnej bawełnianej koszulce z krótkimi rękawami paradującego wśród eleganckich kobiet i mężczyzn. Joy jedną ręką przyklejona była do kołnierzyka jego koszuli, a w drugiej dumnie dzierżyła puchar zwycięzcy.

Tego dnia związali się szczególnym węzłem; węzłem, który odmienił ich wzajemny stosunek i wprowadził zamieszanie w życie Jinx. Podobnie jak większość zmian, ta również niosła z sobą komplikacje. Byli już we trójkę, i to nieodwołalnie. Choć Jinx sama bardzo tego pragnęła, teraz, kiedy to nastąpiło, poczuła na sobie ogromną presję. Kochała Matthew, ale nawet po tylu latach samotności trudno było jej podjąć decyzję i powierzyć komuś swoje uczucia i przyszłość Joy. Choć wierzyła w deklaracje Matthew, doświadczenie nauczyło ją ostrożności w stosunku do męskich zapewnień. Nie tylko obawiała się, że może znów zostać sama, lecz podświadomie zaczęła się tego spodziewać.

Mimo że nigdy nie wypowiedziała swoich lęków, przyjęła za pewne, że Matthew doskonale ją rozumie. W końcu on też został opuszczony i także zbudował ochronny mur wokół swego serca. Jednak Matthew był uparty i konsekwentny w swoich dążeniach i Jinx wiedziała, że prędzej czy później będzie domagał się od niej odpowiedzi.

Przyjrzała się Matthew i Joy ponownie idących w stronę basenu i z powrotem zatopiła się w lekturze gazety, przewracając kartki w poszukiwaniu sekcji biznesu. Przebiegła wzrokiem przez notowania akcji i o mało nie dostała zawału. Wartość akcji „Kipling Worldwide” spadała na łeb na szyję z każdym dniem. Dziwiąc się, że wcześniej nie

powiązała ze sobą tych dwóch spraw, zaczęła się zastanawiać, czy skoki cen nie są wynikiem serii nieszczęść, jaka ostatnio spadła na hotele „Kipling”. W ciągu pięciu miesięcy hotele nawiedziły cztery pożary w Nowym Jorku, Chicago, Honolulu i San Juan. Poza tym był przypadek zatrucia jedzeniem w Miami, odcięcia prądu w Morbelli i awarii w Houston, która doprowadziła do blokady wind na ponad dwie godziny.

Kilka gazet powiązało razem te historie, kwestionując jakość kontroli oraz standard bezpieczeństwa w hotelach sieci. Jinx potraktowała te wypadki jak nieszczęśliwy zbieg okoliczności, dokładnie badając przyczyny każdego z nich, jednak nie dopatrując się w tym żadnej regularności. Teraz, kiedy patrzyła na spadek wartości akcji Kiplinga, dosięgło ją dziwne przeczucie. Działo się coś złego, coś, co zagrażało bezpieczeństwu korporacji „Kipling Worldwide”. Nie wiedziała jeszcze, co to było, kto za tym stał, ale musiała do tego dojść.

Tego samego wieczoru, kiedy Joy zasnęła spokojnym dziecięcym snem, Jinx usiadła z Matthew na tarasie.

- To był cudowny weekend - powiedział Matthew, nalewając dwa kieliszki brandy.

- Rzeczywiście, było wspaniale - odparła Jinx, wygodnie sadowiąc się w fotelu. - Joy była taka wyczerpana; myślałam, że nie wytrwa do kolacji.

- Może cię zaskoczę - zaśmiał się, siadając obok niej - ale ja też byłem u kresu wytrzymałości.

- Szaleje za tobą.

Matthew uśmiechnął się i pochylił, żeby pocałować Jinx.

- Niedaleko pada jabłko od jabłoni.

Jinx odwzajemniła pocałunek i poklepała go po policzku. - Masz rację. Ja też szaleję na twoim punkcie - powiedziała.

Spodziewała się, że znowu ją pocałuje i chciała tego, ale Matthew spuścił wzrok i zaczął robić określone ruchy

kieliszkiem, obserwując niewielkie fale, jakie pojawiły się na bursztynowej powierzchni alkoholu. Kiedy ponownie podniósł wzrok, jego twarz nabrała wyrazu powagi.

- Wiem, że czujesz inaczej - odezwał się ciepłym głosem. Jego oczy ani na moment nie odwróciły się od jej twarzy. - Chyba zakochałem się w tobie w chwili, gdy po raz pierwszy ujrzałem cię w szpitalu w Acapulco. Pomyślałem wówczas, że jesteś najpiękniejszą kobietą, jaką spotkałem w życiu. - Na jego ustach pojawił się krótki, zakłopotany uśmiech. - Wiem, że nie jestem najłatwiejszym partnerem do życia i że zbyt długo zachowałem dystans, ale byłem przekonany, że wkrótce minie moje zauroczenie. Ty jednak dzielnie to zniosłaś. Kochałaś mnie i pomogłaś mi. A ostatnio dzieliłaś ze mną swoje życie i życie twojego dziecka, jak w rodzinie. To jest najszcześniejszy rok w moim życiu.

Wziął ją za rękę i głęboko spojrzał jej w oczy.

- Kocham ciebie i kocham Joy i pragnę, byśmy byli rodziną. Wyjdiesz za mnie? Jinx tak często wyobrażała sobie tę chwilę - co on powie, jak ona zareaguje. Ale

kiedy słuchała swojej odpowiedzi, jej własne słowa wydawały jej się dziwne. Brzmiały zupełnie tak, jakby w ostatniej chwili reżyser zmienił scenariusz. - Nie mogę - powiedziała świadoma szoku i rozczarowania, które pojawiły się na jego twarzy. - Jeszcze nie teraz. Zbyt dużo się dzieje. Dzisiaj wartość „Kipling Worldwide” spadła do dziesięciu punktów. Wiesz, że ostatnio zdarzyło się parę nieprzewidzianych wypadków w naszych hotelach? Nigdy specjalnie się nimi nie interesowałam, ale teraz będę musiała. W ciągu ostatnich tygodni notowania giełdowe sukcesywnie malały. Mam podstawy sądzić, iż nie jest to zwykły zbieg okoliczności, ale coś bardziej poważnego, coś, o czym nie wiem. - Wzięła jego rękę w swoje dłonie i spojrzała mu w

oczy. - Matthew, kocham cię, ale wygląda na to, że muszę się teraz zmobilizować do walki.

Przez kilka minut Matthew nie odezwał się ani słowem. Kiedy otworzył usta, w jego głosie słyhać było żal i determinację.

- Tyle czasu jesteśmy razem - powiedział - i nie raz już spychałaś mnie na drugi plan, poświęcając całą swoją uwagę „Kipling Worldwide”.

- Kocham cię - uparcie powtarzała, zła na siebie, że go rani. Jednocześnie nie była w stanie wyrazić tego, co czuła. - To po prostu...

- Wiem - powiedział przerywając jej w pół zdania. Podniósł się z krzesła i podszedł do drzwi. - To jest imperium Kipa i będziesz bronić go jak lwica.

Kiedy zobaczyła, jak odchodzi, przebiegł ją zimny dreszcz. Chciała za nim pobiec, przeprosić, powiedzieć, żeby wziął ją w ramiona, i obiecać, że będzie jego żoną, ale zamiast to zrobić, siedziała przykuta do krzesła jak bryła lodu.

Tej nocy Matthew i Jinx spali w oddzielnych pokojach. Następnego dnia, kiedy poszła go szukać, odkryła, że wyjechał, nie mówiąc nawet do widzenia.

Przez najbliższe dwa tygodnie Jinx gorączkowo pracowała, zwołując tajne spotkania ze swoim prawnikiem i księgowym i codziennie rozmawiając ze swoim człowiekiem na giełdzie, żeby się dowiedzieć, co to wszystko miało znaczyć. Godzinami siedziała, przeglądając dziesiątki sprawozdań i wypytyując ludzi, którzy byli w stosunku do niej lojalni. Teraz, kiedy miała już przed sobą wszystkie informacje, musiała je rozszyfrować. Potem musiała podjąć odpowiednie decyzje.

Nagle wpadła jej do głowy pewna myśl. Może były to próby zmierzające do przejęcia korporacji? Może to Jeffrey Dodge manipulował wartością akcji po to, by podważyć jej

wiarygodność? Czy mógł stać za tymi podejrzanymi „wypadkami”? A może sam kupował akcje? Nie miała żadnych dowodów. Nie była nawet pewna, czy takie działanie było w ogóle możliwe. Jednak musiała dokładnie to sprawdzić.

Właśnie kiedy sięgała po słuchawkę, żeby zadzwonić do Miliona Foxa, usłyszała dźwięk telefonu. Aż podskoczyła.

- Dzwoni doktor Grant - poinformowała sekretarka. Jinx wzięła słuchawkę i mocno przycisnęła do ucha, żeby opanować drżenie rąk.

- Jinx? Mówi Matthew.

- Cieszę się, że dzwonisz - powiedziała z nerwowym śmiechem.

- Mam dla ciebie złą wiadomość.

- Co się stało? - Przeraziła się, że coś mogło przytrafić się Joy.

- Ben Ross miał wczoraj zawał. Prosił, żebyś go odwiedziła. Możesz przyjechać do szpitala?

Jinx nie odpowiedziała. Był czwartek. Chciała po południu jechać do Phoenix na sześćdziesiąte urodziny Hanka. Na sobotni wieczór Kate zaplanowała wielkie przyjęcie, a w piątek miał być tylko poczęstunek dla rodziny. Rodzina! Benjamin Rostov powiedział, że nie była jej częścią. Dlaczego nagle, po tylu latach, pragnie ją zobaczyć? I niby dlaczego, zapytała siebie, ma do niego pojechać?

- Jinx? Jesteś tam?

- Powiedz Benowi, że bardzo mi przykro - powiedziała spokojnie - ale mój ojciec obchodzi sześćdziesiąte urodziny i chciałabym być na tej uroczystości.

Matthew dostrzegł w tym, co powiedziała, wielką subtelność. Mogła powiedzieć „nie mogę opuścić urodzin taty”, ale nie powiedziała. Mógł być na nią wściekły za inne

rzeczy, lecz w tym momencie był z niej bardzo dumny... i pełen nadziei. Może właśnie robiła porządki w swoim życiu.

- Powtórzę mu - powiedział Matthew. - Jestem pewien, że zrozumie.

- Mam nadzieję - odparła Jinx. - Ale nawet gdyby nie zrozumiał, to i tak nie ma dla mnie znaczenia.

W niedzielę Jinx bardzo późno wstała. Obudziły się z Joy w starym łóżku Jinx, przytulone do siebie i przykryte jednym puszystym kocem. Przyjęcie trwało prawie do drugiej i zanim zdążyły posprzątać, zrobiła się trzecia. Chociaż Jinx czuła się teraz tak, jakby przejechał przez nią traktor, wczoraj wspaniale się bawiła. Zjechało tylu członków rodziny, z którymi nie widziała się od lat, tylu kuzynów i kuzynek, których z trudnością rozpoznawała, no i sąsiedzi, którzy byli na jej ślubie.

Heather przyjechała z Los Angeles z Peterem Hamptonem, młodym i przystojnym reżyserem, którego poznała przez Marka Schwartza. Nie trzeba było długo przypatrywać się tej parze, żeby dojść do wniosku, że są w sobie bardzo zakochani. Nikt się nie zdziwił, kiedy piątkowego wieczoru po uprzątnięciu naczyń po obiedzie Heather ogłosiła, że wychodzi za mąż.

Jinx bardzo ucieszyła się z powodu siostry, ale w jej radość wdzierał się cień smutku. Szczęście Heather przypomniało jej o własnej samotności. W sobotę po południu udało im się wygospodarować kilka minut dla siebie i kiedy Jinx słuchała o tym, jak Heather czuje się dopełniona, wiedząc, że Peter ją kocha, jak czuje się bezpieczna i zadbana pod parasolem jego miłości, zrobiło się jej tak przykro, że ledwie zdołała powstrzymać łzy. Ona też mogła tego doznawać. Mogła czuć takie samo bezpieczeństwo i troskę. I zamiast przyjąć ten uśmiech fortuny, zamiast zrozumieć, jak bezcenną i rzadką miłość dostawała w prezencie od losu, co

zrobiła? Odtrąciła Matthew, poprosiła, żeby poczekał, aż ona skończy się zamartwiać ogromną, bezosobową korporacją. O tak, „Kipling Worldwide” był dla niej bardzo ważny! Wiedziała, że będzie walczyła o jego przetrwanie. Ale ile miało ją to kosztować?

Sobotnie przyjęcie było naprawdę radosne i bardzo nastrojowe. Jinx nie pamiętała już, kiedy Hank wyglądał na tak szczęśliwego. Dla niej najwspanialszy moment nastąpił, kiedy przez chwilę zostali z Hankiem zupełnie sami. Jinx poszła do sypialni rodziców, żeby przynieść swojej babce szal. Hank za kilka sekund zjawił się tam z tą samą misją. Kiedy zobaczył Jinx trzymającą w ręku kwadratową chustę, radośnie się roześmiał.

- Babcia nie ma już takiej pamięci jak dawniej - żażartował.

- To cud natury, że w jej wieku ma jeszcze w ogóle jakąś pamięć. - Jinx uśmiechnęła się na myśl o drobnej dziewięćdziesięcioletniej kobiecie, która właśnie zabawiała gości w salonie.

- Jesteśmy szczęśliwi, że przyjechałaś do nas z Joy - głos Hanka stał się bardzo poważny. - I ja jestem bardzo szczęśliwy.

- Za żadne skarby świata nie opuścimybyśmy takiej okazji - powiedziała Jinx, oplatając ojca ramionami i czule przytulając go do siebie.

Odsunęli się od siebie i przez moment poczuli się jakoś niezręcznie.

- Cieszy mnie szczęście Heather - powiedziała Jinx, wypełniając niezręczną ciszę. - Peter wygląda na świetnego faceta, nie sądzisz?

Hank pokiwał głową.

- Mnie wystarczy, żeby był dobry dla mojej córki. Wtedy będzie najlepszy. Za chwilę usiadł na łóżku i wyciągnął dłoń do Jinx, prosząc, by przy nim usiadła.

- A mówiąc już o tym, co jest dobre dla moich dzieci, wiem, jak bardzo kochałaś Kipa i jak bardzo musi ci go brakować - zaczął. - Wybacz mi, że się wtrącam, ale Joy potrzebuje ojca i ty powinnaś mieć kogoś, kto cię będzie kochał i szanował.

Jinx zarumieniła się.

- Mam kogoś - czuła się tak nieśmiało i niepewnie, jak w dniu, kiedy miała jedenaście lat i opowiadała ojcu o swojej pierwszej sympatii. - Nazywa się Matthew Grant. Jest lekarzem. Ma ciemne włosy, jest wysoki, bardzo przystojny. Joy szaleje na jego punkcie. Ja też, mówiąc szczerze.

- To wspaniale. Rozmawialiście o małżeństwie?

- Oświadczył mi się.

- Nie dałam mu jeszcze odpowiedzi.

- Masz jakiś poważny powód?

- Mam problemy w interesach i muszę się teraz nimi zająć. Hank usłyszał w jej głosie niecierpliwość i zdenerwowanie.

- Czy nie jest to zwyczajna wymówka - zapytał, sam wyciągając wnioski z jej podejrzanego wahania. - Jeśli nie jesteś pewna, czy będzie ci z nim dobrze, po prostu powiedz mu „nie”. Na świecie są jeszcze tysiące mężczyzn, którzy oddaliby prawe ręce za to, żeby pójść z tobą do ołtarza. Musisz poczekać na tego najbardziej odpowiedniego.

- On jest odpowiedni. - Jinx uśmiechnęła się i pocałowała Hankę w policzek. - A wiesz dlaczego? Bo przypomina mi ciebie. Jest miły, czuły, inteligentny, cierpliwy i bardzo wyrozumiały. I byłby dla Joy takim wspaniałym ojcem, jakim ty jesteś i byłeś dla mnie.

Uśmiech Hanka przybladł i załamał mu się głos. Nawet nie zrobił najmniejszego gestu, żeby wytrzeć łzy, które napłynęły mu do oczu.

- To najpiękniejszy prezent urodzinowy, jaki tylko można sobie wyobrazić - powiedział.

Wtedy właśnie Jinx jeszcze raz poczuła się częścią rodziny Elliotów; trudno było im zapomnieć lata separacji i wrogości, jednak już dawno zdążyli to sobie wybaczyć.

Jinx uśmiechnęła się, kiedy jej córeczka przekreśliła się na bok i zaczęła cichutko chrapać, pogrążając się w niewinnym śnie. Nie była już małością. Zeszłego wieczoru miała na sobie jasnoczerwoną sukienkę i wyglądała bardzo dorośle. Jednak kiedy spała, jej bladziutka cera przybrała różowawy odcień, zupełnie taki, jak u niemowlęcia. Jej długie czarne włosy leżały porozrzucane na poduszce jak spirale i jedną ręką przytrzymywała sobie koc pod brodą. Jinx zawsze chciała, żeby Joy była bardziej podobna do Kipa, ale im dziewczynka była starsza, tym bardziej upodobniała się do rodziny Bena Rossa. Była wysoka jak na swój wiek, miała karnację Rostovów, włosy Rostovów, fiołkowe oczy i nawet owalną twarz, która była wspólną cechą Jinx i jej naturalnego ojca.

Tego ranka Jinx nie mogła patrzeć na Joy, nie myśląc o Benie. Po tym, jak ją odtrącił, na zawsze wyrzuciła go z pamięci. W końcu jednak się nią zainteresował. Próbowwała zamknąć swoje serce przed tym wyznaniem winy przestraszonego i schorowanego człowieka, ale coś chwyciło ją za gardło.

Nagle zadzwonił telefon. Kiedy podniosła słuchawkę i usłyszała głos Matthew, nie mogła złapać tchu. Spodziewała się, że zawiadomi ją o śmierci Bena.

- Pewnie jakoś przetrwa, ale nie wygląda to najlepiej - odezwał się Matthew. - Zadzwoniłem, bo ciągle się o ciebie dopytuje.

Jinx lekko się wzdrygnęła.

- Czego chce?

- Zobaczyć się z tobą.

- Próbuję go wymazać z mojego życia - powiedziała bardziej do siebie niż do Matthew.

- Wiem, może jak go zobaczysz, to będzie ci łatwiej.

- Może... - Przez chwilę zastanawiała się nad tym, co powiedział, nadal przyglądając się twarzy córki. - A może to jeszcze rozjątrzy stare rany?

- Przemyśl to sobie - powiedział spokojnie Matthew. - W razie czego, wiesz, gdzie mnie złapać.

Jinx odwiesiła słuchawkę, a jej serce zalała powódź emocji. Nie wiedziała, co robić. Chciała się z nim zobaczyć, jednak z drugiej strony bardzo się tego obawiała. Kiedy próbowała wyjść naprzeciw swojej przeszłości, zawsze gorzko się rozczarowywała. Dlaczego nie miałyby teraz zostawić tego w spokoju?

Wstała z łóżka i narzuciła na siebie szlafrok. Nie mogłaby ponownie zasnąć, więc zeszła na dół napić się kawy. W kuchni zastała Kate. Na twarzy matki malował się dziwny wyraz.

- Dzień dobry - przywitała się Jinx. Nalała sobie filiżankę kawy i usiadła przy stole. - A to dopiero wydałaś przyjęcie! - powiedziała i nagle zdała sobie sprawę, że od chwili jej wejścia do kuchni matka nie odezwała się ani słowem. - Czy tata ciągle jeszcze śpi?

- Nie miałam takiego zamiaru - odezwała się w końcu Kate - ale słyszałam twoją rozmowę. Podniosłam słuchawkę w tym samym momencie, kiedy zapytałaś, czy Ben nie żyje. To było silniejsze ode mnie, nie położyłam jej z powrotem. Przepraszam cię.

- Nic nie szkodzi, mammo.

- Musisz do niego pojechać - powiedziała. - Musisz wysłuchać, co ma ci do powiedzenia.

Jinx odwróciła wzrok od uporczywego spojrzenia matki.

- Nie wiem, czy chcę się z nim zobaczyć.

- Jeśli tego nie zrobisz, będziesz później żałować.

Jinx sączyła kawę, starając się uniknąć przenikliwego wzroku Kate. W końcu nie mogła już dłużej udawać i spojrzała jej prosto w twarz.

- Latami ukrywałaś przede mną jego istnienie. Nienawidziłaś go za to, co zrobił tobie i co zrobił nam. Dlaczego więc tak bardzo zależy ci na tym spotkaniu?

Kate westchnęła.

- Ponieważ cię kocham - powiedziała. - I ponieważ jego też kiedyś kochałam. Jinx podniosła się z krzesła, podeszła do matki i oplotła ją ramieniem. Przez

chwilę trwały w milczącym uścisku, każda pogrążona w swoich rozmyślaniach o Benjaminie Rostovie.

Zanim Jinx dotarła w poniedziałek do Nowego Jorku i ulokowała Joy i Halonę w apartamencie na najwyższym piętrze, zrobił się już późny wieczór. Kiedy przyjechała do szpitala, jedna z pielęgniarek skierowała ją do pokoju numer 1242, gdzie, zgodnie z jej relacją, leżał Ben Ross. Jinx wolno szła korytarzem, zastanawiając się nad tym, czy nie spotka żony Bena albo Becki, i jak w takim wypadku wytłumaczy swoją obecność w szpitalu. Myślała także o spotkaniu z Matthew. Nie była to wprawdzie odpowiednia pora na analizowanie stosunków, jakie między nimi panowały, ale musiała coś powiedzieć. Przeprosić? Powiedzieć tak? Nie? Nadal potrzebowała czasu. Im była bliżej drzwi, tym bardziej chciała stamtąd uciec.

W końcu dotarła do pokoju 1242 i zajrzała do środka. Wewnątrz panował mrok. Ben spał, lecz jego widok zrobił na niej okropne wrażenie. Jinx pamiętała Bena jako opalonego,

rześkiego i przystojnego mężczyznę, całkowicie spełniającego jej wymagania co do wyglądu własnego ojca. Teraz jego skóra była koloru kredy, a pod szpitalną pidżamą leżało kruche, słabe ciało. Jej oczy powędrowały dalej i zatrzymały się na Matthew obejmującym ramieniem Becce Hillman, która tuliła się jak niemowlę do jego piersi, szukając w nich schronienia. Widok ten przypomniał Jinx o jej samotnym życiu, pełnym czyhających nań niebezpieczeństw.

Zganiła siebie za to, że była taka małostkowa i nierozsądna. Wmawiała sobie, że Matthew tylko pociesza Beccę, że jego uścisk nie ma większego znaczenia i że przecież opowiedział jej o awansach Becki (zostawiając dla siebie historię weekendu w Palm Springs). Czuliła się winna, że go odrzuciła, i podejrzewała, że Matthew z pewnością odgrywa się na niej w ten sposób. Tak czy inaczej, w środku aż gotowała się z zazdrości.

Odwróciła się i poszła do końca korytarza, szukając jakiegoś fotela, gdzie mogłaby poczekać, aż Becca pojedzie do domu, i później sama porozmawiać z Matthew. Kiedy zbliżała się do pokoju dla pielęgniarek, ktoś niespodziewanie chwycił ją za rękę. Zamarła.

- Nie byłem pewien, czy przyjedziesz - na dźwięk spokojnego głosu Matthew odetchnęła z ulgą.

- Musiałam załatwić parę spraw w Nowym Jorku. Czy nie za późno na odwiedzinę?

Matthew spodziewał się, że przy tym spotkaniu będą czuli się trochę niezręcznie, ale Jinx wyglądała na potwornie zdenerwowaną.

- Dobrze się czujesz?

- Tak. Nie - wyjąkała. - Jestem zdenerwowana, ale zaraz się opanuję.

- Jestem tego pewien.

Przez chwilę stali w kłopotliwym milczeniu, nie wiedząc, co powiedzieć.

- Udało ci się czegoś dowiedzieć o akcjach „Kipling Worldwide”? - zapytał Matthew.

- Znacznie więcej, niż oczekiwałam. - Zawahała się przez chwilę, zdając sobie sprawę, jak ciężko było mu zadać to pytanie. - Wygląda na to, że Jeffrey Dodge rozpoczął kampanię, której celem jest podważenie mojej wiarygodności jako głowy „Kipling Worldwide”. Rozmawiał już z większością udziałowców, próbując ich przekonać, żeby sprzedali swoje akcje albo przynajmniej poparli go na corocznym zebraniu, kiedy wysunie opozycyjne kandydatury do rady nadzorczej.

Jinx wiedziała, że Matthew nie pochwalał jej bezgranicznego oddania kompanii byłego męża, ale kiedy powiedziała mu o tym wszystkim, zrobiło jej się lżej. Wiedziała, że nie zadał tego pytania, żeby wykorzystać jej niepowodzenia i w chwili jej słabości ponownie złożyć propozycję wspólnego życia.

- Masz przecież przy swoim boku Claire, Charlesa i Milтона - powiedział ostrożnie.

- To prawda, ale to tylko troje ludzi i ich udziały są skromne. Co gorsza, ktoś ostatnio wykupuje duże pakiety akcji. Nie wiem, czy to Dodge, czy jakaś inna tajemnicza postać, czy może grupa ludzi. W ogóle nic nie wiem na pewno!

- Co wobec tego masz zamiar z tym zrobić?

Bezradnie pokręciła głową.

- Będę się starała z tym walczyć. Ale to jest takie okropne, Matthew. Jestem pewna, że kryją się za tym jakieś brudne machlojki Dodge'a. Nie mam wprawdzie na to żadnych dowodów, ale głowę bym dała, że to on był inicjatorem pożarów i awarii w hotelach.

- I nic nie możesz zrobić?

- Obawiam się, że nie - powiedziała tonem, który zdradzał zupełną niemoc. Oczy Matthew zachmurzyły się.

- Jeśli będziesz w kłopotcie, daj mi znać. Chciałbym ci pomóc. Jinx usłyszała w jego głosie rozczarowanie.

- Masz tysiące innych spraw na głowie - dodała szybko i w tej chwili zrozumiała, że prosił ją o to, żeby stać się częścią jej życia. - W twoich rękach jest życie wielu ludzi. Nie mogę cię prosić o to, żebyś po pracy odgrywał rolę detektywa. To nie byłoby w porządku.

- Kocham cię - powiedział Matthew z uporem. - Czy nie rozumiesz, że wraz z Joy jesteście najważniejszymi osobami w moim życiu?

Jinx pokiwała głową, ale zanim zdążyła otworzyć usta, dobiegł ją smutny głos Matthew.

- Nie chcesz mi zaufać.

- Zaufać? - spojrzała na niego i zaśmiała się głośnie, chrapliwym śmiechem, którego dźwięk oboje ich zaskoczył. Po chwili odezwała się drżącym głosem. - Jeffrey Dodge był prawą ręką Kipa, wzorem lojalności i niezawodności i najgrubszą rybą w „Kipling Worldwide”. A teraz razem ze swoimi siostrzyczkami stara się wsadzić mi nóż w plecy i pozbawić Joy spadku po ojcu. Nie sądzę, żebym potrafiła jeszcze ufać.

- A co z miłością? - zapytał Matthew, ścisząc głos. Widział, jak bardzo była przybita i rozczarowana. - Czyżbyś nie potrafiła również kochać?

W oczach Jinx pojawiły się łzy. Za żadne skarby w świecie nie chciała go zranić. Kochał ją i ona jego kochała. Powinni trwać teraz w uścisku wzajemnej pomocy i wsparcia, ale sprawy, którymi żyła, wywoływały w niej okropny zamęt i miłość nie była dla niej w tej chwili bodźcem pobudzającym do działania. Jej miejsce zastąpiła determinacja. Pomyślała, że

powinna powiedzieć Matthew o swoich uczuciach, zapewnić go o miłości, ale pragnęła także, żeby zrozumiał, że nie może za niego wyjść, dopóki nie uporządkuje wszystkich swoich spraw, dopóki nie zetrze białych plam i nie rozwiąże wszystkich zagadek. Właśnie miała się odezwać, kiedy w korytarzu zabrzmiał echem głos Becki Hillman.

- A co ty tutaj robisz? - rozkazujący ton Becki kazał jej się odwrócić i odpowiedzieć na pytanie.

Jinx powoli odwróciła się do niej, starając się zachować opanowanie.

- Przyszłam zobaczyć się z twoim ojcem - odpowiedziała spokojnie, zastanawiając się, jak długo Becca przysłuchiwała się jej rozmowie z Matthew.

- Ale jesteś bezczelna! - twarz Becki wykrzywiła się z wściekłości. - On nie chce mieć z tobą nic wspólnego. Nie może to w końcu dotrzeć do ciebie?

- Prosił, żebym przyjechała się z nim zobaczyć - poinformowała Beccę ze stoickim spokojem.

- Kłamiesz!

- Nie, Becco. Nie kłamię i bez względu na to, co myślisz, mogę cię zapewnić, że nie przyszłam tutaj, żeby ci go ukraść. Mam ojca: czułego, kochającego i troskliwego człowieka, który nazywa się Hank Elliot. Niepotrzebny mi żaden Benjamin Ross.

Jinx była znużona i zmęczona. Nie miała ochoty na słowne potyczki z Beccą.

- To dlaczego tyle czasu go ścigałaś, bezlitośnie wypominając mu jego młodzieńczą pomyłkę, zupełnie tak, jakby to był grzech pierworodny?

- Dostyc tego, Becco. - Matthew przerwał jej tyradę i wziął Jinx za ramię. - Chodźmy, Ben na pewno już się obudził.

- Nie chcę, żeby tam szła - krzyknęła Becca, tracąc nad sobą panowanie w chwili, gdy Jinx wchodziła do pokoju Bena. - Jeśli tam pójdzie, on na pewno umrze! Jestem o tym przekonana! Umrze i będzie to jej wina!

Matthew zostawił Jinx samą w pokoju, podszedł do Becki, wziął ją za ręce i potrząsnął.

- Uspokój się - nakazał. - Twój ojciec nie umrze. Jinx nie zrobi mu krzywdy. Opanuj się.

Becca, nieco zażenowana swoim wybuchem, poszła wzdłuż korytarza i zatrzymała się przed pokojem ojca. Widziała, jak Jinx podeszła do jego łóżka i znowu dotarło do niej uderzające podobieństwo między Benem a jego pierwszą córką. Przepłynęła przez nią gorąca fala paniki. W jednej chwili zaświtało jej w głowie, że jeżeli Ben chociaż przez moment spojrzy na Jinx, natychmiast wymaże ją ze swojej pamięci. Dręczyło ją wewnętrzne przekonanie, że gdyby stanęły obok siebie i gdyby Ben miał dokonać wyboru, wybrałby córkę, która wyglądała tak samo jak on, pierworodną, tę, której nigdy nie przestał kochać. Becca chciała wpaść do pokoju i wyciągnąć stamtąd Jinx, zanim Ben zdąży otworzyć oczy, ale mrozący wzrok Matthew przykuł ją do podłogi.

- Wróci do zdrowia? - wyszeptała Jinx do Matthew, starając się zignorować nienawiść Becki.

- Miał zator, który w jego przypadku oznaczał zwężenie światła aorty. Zrobiliśmy operację, usunęliśmy skrzep i jest teraz w doskonałym stanie. Muszę cię tylko ostrzec, że jest jeszcze bardzo słaby i bardzo niewyraźnie mówi.

Jinx skinęła głową. Była bardzo przejęta. Przez parę minut patrzyła na Bena, przygotowując się na to, co miało nastąpić. Nagle jego powieki zadrgały, otworzył oczy, zamknął, potem ponownie otworzył i Jinx widziała, że nie bardzo wie, co się dzieje. W końcu skupił wzrok na jej postaci i wydawało się, że

ją rozpoznał. Na jego wargach zatańczył nikły uśmiech. Później dostrzegł Matthew. Zamrugał oczami i spojrzał na nocny stolik. Matthew dokładnie wiedział, czego od niego chciał. Podniósł ze stołu notes z ołówkiem i podał go Benowi, który z ogromnym wysiłkiem naskrobał coś na kartce papieru i podał ją Jinx.

Było tam tylko jedno słowo: „przepraszam ” i Jinx była zaskoczona, że mogło wywołać w niej aż takie emocje. Nie mogła przełknąć śliny.

- Dzi - e... - wymamrotał, próbując ułożyć język i wyginając szczęki w rozpaczliwej próbie mówienia.

- Nie rozumiem - odparła Jinx, widząc, że nie może mu w niczym pomóc.

- Dzi - e... - powtórzył, starając się, żeby tym razem brzmiało wyraźniej. Jinx przecząco pokręciła głową, chciała mu pomóc. Pragnęła wiedzieć, co stara się jej przekazać.

- Dzi - e... - powtarzał z uporem. Jego twarz wykrzywiła się w ogromnym wysiłku.

- Myślę, że mówi „dziecko” - zinterpretował Matthew, widząc, jak Ben mruga oczami dla potwierdzenia tego domysłu. - Przyznaje, że jest twoim ojcem.

Jinx spojrzała na Bena. Jeszcze raz zamrugał powiekami, a jego usta wykrzywiły się w nieudolnym uśmiechu.

- Dziec - ko - powiedział i z trudem podniósł rękę. Matthew bliżej podszedł do łóżka i pomógł mu utrzymać dłoń, tak by dotknęła policzka Jinx. - Moje dziecko...

Jinx napływały do oczu łzy. Mężczyzna, który dał jej życie, w końcu przyznał się do tego, w końcu przeprosił za to, że ją porzucił i odrzucił. W końcu ją zaakceptował. Delikatnie wzięła go za rękę, nachyliła się nad nim i pocałowała go w policzek, czując, jak mieszają się ich łzy.

Po chwili wstała i wytarła oczy, kiedy Ben coś jeszcze napisał na kartce: Kocham cię.

Jinx nie mogła wydusić z siebie słowa. Pokiwała głową, zagryzając dolną wargę i starając się uciszyć powódź uczuć. Przez tyle lat pragnęła, żeby wziął ją w ramiona, utulił i pocieszył, a teraz on tego potrzebował. I chociaż długo leczyła rany po tym, jak ją odtrącił, wiedziała, ile musiała go kosztować prośba o to pojednanie, więc czule trzymała go za dłoń, dopóki znowu nie ogarnęła go senność.

Kiedy ułożyła mu głowę na poduszce i rozejrzała się wokoło, nie zauważyła Becki. W rogu pokoju, oparty o ścianę, stał tylko Matthew.

- Widzę, że jeśli człowiek cierpliwie czeka - powiedział cicho - to marzenia w końcu się spełniają.

Jinx wstała z łóżka Bena i ruszyła prosto w objęcia Matthew. Kiedy zetknęły się ze sobą ich ciała, pozwoliła sobie na moment odprężenia. Gdy opadła już fala emocji, głęboko spojrzała w błękitne oczy Matthew.

- Kocham cię - powiedziała, a w jej głosie słychać było przekonanie i obietnicę - ale teraz proszę cię o cierpliwość. Proszę, żebyś mnie zrozumiał i stanął teraz przy moim boku. Pytałeś mnie przed chwilą o zaufanie. Kip okazał mi zaufanie, powierzając mi pracę całego życia. Wierzył, że jestem tego warta. Na początku wydawało mi się, że po prostu dostałam w spadku tę pracę i że Kip zabezpieczył przyszłość mnie i mojej córce. Wygląda to tak, jakbym dostała w spadku walkę. Muszę nie tylko ją przetrwać, ale także wygrać. Nie chodzi tu tylko o nieśmiertelność Kipa, ale o moją dumę i mój szacunek do samej siebie.

Matthew przytulił ją do siebie i wyszeptał.

- Będę cierpliwy. I zawsze będę z tobą. Nie spiesz się. Jinx pokiwała głową, ale wiedziała, że czas ucieka.

FRANCES REBECCA TRAVIS

Frankie

Październik 1984

Frankie zadrżała dłoń, kiedy przeczytała kartkę napisaną kolorową kredką. Kartka spadła na podłogę tekstem do góry, szydząc z niej i złowróźnie się na nią gapiąc. Miała ochotę ją rozedrzeć, porwać na strzępy, ale ciało nie chciało się schylić, a jej dłoń nie potrafiła dotknąć tego okropnego listu.

Od czasu, gdy przydzielono ją do obsady „Złota Teksasu”, postać, którą grała - Toni Swift - dostawała wiele śmiertelnych pogróżek. Kiedy Frankie po raz pierwszy zgodziła się na tę rolę, producenci serialu ostrzegali ją, że telewizzowie często bardzo poważnie podchodzą do tego typu filmów i identyfikują grające w nich postaci z aktorami. Pocieszali Frankie, twierdząc, że nie było nic dziwnego w tym, że czarny charakter serialu otrzymywał listy pełne nienawiści. Utrzymywali nawet, że Frankie powinna się cieszyć, ponieważ taka reakcja świadczy o przekonująco zagranej roli. Ale to nie życie producentów było w niebezpieczeństwie, lecz jej życie.

Na początku wmawiała sobie, że listy te były jakimiś perwersyjnymi komplementami i mimo że wywoływały w niej paralizujący strach, nie było w nich żadnych złych intencji. Powiedziała sobie, że przecież nie była Toni Swift i nie istniał żaden powód do obaw. Nawet zachowała kilka z nich i pokazała swojemu agentowi, żeby je wykorzystał w czasie negocjowania następnego kontraktu. Jednak na wszelki wypadek Frankie zainstalowała wyszukane urządzenie alarmowe w swoim mieszkaniu, zarówno w Los Angeles, jak i w Nowym Jorku.

W pewien sposób Frankie prawie przywykła do tych listów, lecz dopiero przed czterema miesiącami dostała coś, co naprawdę ją poruszyło: makabryczny wierszyk dla dzieci.

Podobnie jak pięć pozostałych, napisany był kolorową kredką na kartce wyrwanej z notesu, włożony do typowej, biurowej koperty i wysłany w Nowym Jorku. Żadne z wcześniejszych pogrózek nie stanowiły całości. Te były przygotowane według pewnego schematu. Większość pogrózek w ten czy inny sposób nawiązywała do serialu. W listach nie było nic takiego. Poza tym często zaopatrzone były w adres zwrotny i dodatkową kopertę. Rymowanki natomiast były anonimowe. Jakiś wewnętrzny głos ostrzegał Frankie, że nadawca tych listów nie pisał do Toni Swift. Jego groźby skierowane były do Frankie Travis.

Było dobrze po północy, kiedy Frankie pobiegła do telefonu. Chciała usłyszeć jakiś przyjazny głos. Chciała poczuć, że nie zagraża jej niebezpieczeństwo. Ale przede wszystkim doszła do wniosku, że potrzebuje pomocy. Zaczęła się zastanawiać, do kogo może zadzwonić. Sterling i Karen wyjechali do Hiszpanii, jej agent był w Kalifornii. Nie miała żadnych bliskich przyjaciół. Nawet kiedy zdołała już przekonać Verę, że Owen Phillips próbował ją wygryźć z serialu z tylko jemu znanych powodów, stosunki z Verą trudno było nazwać bliskimi. I chociaż Frankie co najmniej tysiąc razy próbowała skontaktować się z Cissie, od czasu wpadki z Noahem kuzynka nie chciała jej znać.

Z rosnącym uczuciem desperacji spojrzała na list. Nie mogła dłużej tego lekceważyć. Potrzebna jej była pomoc. Przez chwilę dyskutowała sama ze sobą. Powinna zadzwonić czy nie? Rzuci słuchawkę? Będzie się z niej śmiał? W końcu doszła do wniosku, że nie czas na fałszywą dumę.

Jej palce powoli wykręciły numer Zacha Hamlina. Kiedy usłyszała przeciągły sygnał, zaczęła się modlić, żeby Zach był w domu i żeby nie odłożył słuchawki, kiedy usłyszy jej głos.

Kiedy pierwszy raz Zach opuścił Frankie, próbowała sobie wmówić, że przecież ona także go już nie kocha, że nic ją nie

obchodzi, gdzie pojechał i co robi i że w jej życiu nie starcza już dla niego miejsca. Oczywiście nie było w tym ani krzty prawdy. Zawsze kochała Zacha i zawsze go pragnęła. Ale kiedy teraz się nad tym zastanawiała, a ostatnio rzadko myślała o czymkolwiek innym, zdała sobie sprawę, że sama go do tego sprowokowała, że zmusiła go do wyjazdu, tak samo jak zmusiła innych, żeby się od niej odwracali. Nie wiedziała, skąd pochodziła ta niszczycielska moc. Zaczęła myśleć, że była teatralną kukiełką, którą wprawiała w ruch jakaś wroga, kosmiczna siła, zdecydowana zniszczyć każdą szansę na szczęście i spełnienie, jakie tylko pojawiło się w jej życiu.

- Halo - Zach zgłosił się niewyraźnie, widocznie wyrwała go z głębokiego snu.

- Mówi Frankie Travis - powiedziała, zastanawiając się, czy w jego łóżku nie było żadnej kobiety. - Mam kłopoty. Muszę się z tobą spotkać.

- A czy nie może to poczekać do rana? - zapytał na wpół rozbudzony.

- Chyba tak. - Chciała, żeby jego reakcja była szybsza i żeby wykazał większą troskę, ale i tak była mu wdzięczna, że nie cisnął słuchawki na widełki. - Na pewno nie zapomnisz o moim telefonie?

- Nie. To będzie pierwsza rzecz, jaką zrobię jutro rano.

Frankie odłożyła słuchawkę, ale nie mogła zasnąć. Już przed siódmą była ubrana i chodziła po mieszkaniu. Kiedy o dziewiątej otwierała Zachowi drzwi, była prawie nieprzytomna ze strachu.

- Już myślałam, że nie przyjedziesz - powiedziała wpychając go do środka i zamykając drzwi na zasuwę. - Musiałam do ciebie zadzwonić. Nie wiem, co mam robić! Nie wiedziałam, do kogo się z tym zwrócić!

- Uspokój się - zobaczył, że nie był to, jak na początku sądził, jeden z chwytów Frankie, który miał na celu zwrócenie na siebie uwagi. - Zrób mi kawy i powiedz o co chodzi w tym wszystkim.

Poszedł za nią do salonu, gdzie postawiła na stoliku dzbanek z kawą i tacę swoich ulubionych kruchych ciasteczek z cynamonem.

- Byłam rano w cukierni - powiedziała, kiedy uśmiechnął się na widok smakołyków.

Gdy Zach sączył kawę, Frankie nerwowo obgryzała paznokcie. Musiała przyznać, że sama jego obecność działała na nią jak balsam. Nie mogła także zaprzeczyć, że wyglądał wyjątkowo korzystnie.

Do twarzy mu było z sukcesem. Miał na sobie drogie i dobrze skrojone ubranie. Jego brązowe włosy były starannie ostrzyżone i nie zauważyła bodaj śladu filuternych kędziorów. Także jego paznokcie, prosto od manikiurzystki, wyglądały lepiej niż jej pozadzierane skórki. Ale nie jego wygląd wywarł na Frankie takie wrażenie, tylko otaczająca go aura. Był tak pewny siebie, tak spokojny i zrelaksowany, że przez chwilę zaczęła mu tego zazdrościć.

- Okey - powiedział w końcu, odstawiając filiżankę i wyciągając się na kanapie. - Już pobrałem moją dzienną dawkę kofeiny. Czuję, jak moje szare komórki rozpiera energia. Co to za kłopoty i w czym mógłbym ci pomóc.

Sposób, w jaki usiadł, noga na nogę, plecy oparte o kanapę, przypomniał Frankie o dniu, w którym po raz pierwszy przeprowadzał z nią wywiad. Tyle lat temu... Tyle zmarnowanych lat. Powinni już dawno być małżeństwem. Powinni! Potrząsnęła głową tak, jakby ten ruch mógł oswobodzić ją z cisnących się myśli. Dlaczego zawsze używała tego słowa? Dlaczego jeszcze nie zdążyła się nauczyć, że słowo „powinien” nie miało żadnego znaczenia,

że tylko słowa „chcieć”, „robić” lub „móc” i „potrafić” wprowadzały jakieś zmiany w życiu.

- Ciągłe dostaję listy ze śmiertelnymi pogrózkami - zaczęła. - Większością z nich w ogóle się nie przejmowałam, gdyż dotyczyły roli, jaką gram w „Złocie Teksasu”. Ale nie mogę zignorować tych.

Pokazała mu ostatni list i opisała pozostałe.

- Może przychodzi ci do głowy, kto mógłby je wysłać? - zapytał Zach i zmarszczył czoło w zatroskaniu.

Frankie bawiła się pluszową poduszką.

- Jak dobrze wiesz - zaczęła patrząc na niego kątem oka - popełniłam w życiu mnóstwo błędów i narobiłam sobie wrogów. Mogłabym wpisać na tę listę Sunny Samules, Luke'a Maddoxa, Josego Bantę, Colina Matthesona, Dantona Rochelle'a, Paula Rochelle'a i Lillie. - Głos uwiązł jej w gardle, a na ustach pojawił się pełen żenady uśmiech. Nie wspomniała jeszcze o Owenie Phillipsie, Verze ani o Cissie. - Mogłabym ciągnąć ją w nieskończoność.

Zach wnikliwie badał list, a potem przeniósł ten sam badawczy wzrok na Frankie. Wiedział, jak trudno było jej przyznać się przed nim do błędów. Nie należał do ludzi, którzy w takiej sytuacji mówili „a nie mówiłem”, i nawet jeśli miał ochotę na taki komentarz, powstrzymał go widok Frankie skulonej w rogu sofy z twarzą przerażonego dziecka.

- Przecież to wszystko zdarzyło się dawno temu - powiedział. - Dlaczego ktoś miałby teraz się na tobie mścić?

- Nie wiem - powiedziała wzruszając ramionami. - Nie widziałam ich ani z nimi nie rozmawiałam już szmat czasu.

Obracając w dłoniach ostatni list, Zach przez chwilę się zastanawiał.

- Powiem ci, co zrobię - powiedział podnosząc się z miejsca. - Sprawdzę, co się teraz dzieje z tymi ludźmi. Może zaprowadzi to nas na jakiś trop.

- Jak długo to potrwa? - zapytała zmartwiona tym, że już chce ją opuścić.

- Zależy, gdzie są i co robią - odparł zmierzając w stronę drzwi. - Nic się nie martw, Frankie. Wszystko będzie w porządku.

Pokiwała głową, ale widział, że nie zdołał jej przekonać.

- Zadzwoń do mnie, jak dostaniesz następny list, okey?

Miał już wychodzić, kiedy spojrzał w jej twarz i zobaczył ciemną, smutną chmurę samotności, zasnuwającą jej oczy. Ta mała dziewczynka znowu się do niego przypięła, szarpiąc za struny, które, jak sądził, dawno już się zerwały.

- Jestem także dostępny, gdybyś potrzebowała długiej, przyjacielskiej rozmowy i jeśli jeszcze nie wyrosłaś z takich rzeczy, znam znakomity bar z hamburgerami - powiedział przypominając sobie ich pierwsze spotkanie.

- Nigdy nie wyrosnę z miłości do hamburgerów u Berniego - odparła dając mu do zrozumienia, że też nie zapomniała o ich pierwszej randce. - Dzięki, że przyszedłeś... I dzięki za propozycję - dodała nieśmiało.

Odszukanie wrogów Frankie zajęło Zachowi dwa tygodnie. Z większością nie miał żadnych trudności. Sunny Samules stanęła na nogi w Hollywood; właśnie finansowała dwa niezłe filmy i nowego kochanka. Paul Rochelle przebywał w Paryżu i przygotowywał się do wystawienia nowej kolekcji wiosenno - letniej. Danton Rochelle także był w Paryżu i prowadził pertraktacje z rządem nad wprowadzeniem nowego środka przeciwbólowego. Jose Banta wrócił do fotografowania modelek i robił zdjęcia w Morocco. Colin Mattheson radził sobie lepiej niż kiedykolwiek i grał Hamleta w Londynie. Zach miał informacje o wszystkich, z wyjątkiem Lillie i Luke'a Maddoxa. Podejrzewał, że Lillie przebywa we Francji w posiadłości Rochelle'a, jednak po Maddoksie zaginął wszelki ślad. Wykonał setki telefonów i

sprawdził każde dostępne źródło, ale Maddox przepadł jak kamień w wodę.

- Wiedziałam! - głos Frankie zdradzał objawy paniki. - Nigdy nie wybaczył mi tego, co się stało w Paryżu, a teraz postanowił się na mnie zemścić!

Zach chciał dodać jej otuchy, ale nie mógł nie zgodzić się z jej hipotezą. Maddox nie znosił, żeby robiono z niego głupka, a Frankie przyczyniła się do tego w stu procentach. W dodatku, jak wykazywała jego przeszłość, zdolny był do agresywnego zachowania, które mogło przybrać formę terroru.

- Moi ludzie cały czas go szukają, więc może zostawmy go na chwilę w spokoju i rozważmy możliwość, że pisał te listy ktoś, kogo jeszcze nie braliśmy pod uwagę.

- Przecież już ci dałam moją listę - odparła niecierpliwie Frankie. - Nie wystarczy ci? Nie mam już więcej wrogów.

- Wiem, że to dla ciebie bolesne - powiedział zupełnie nie zniechęcony jej oschłym głosem - ale zastanów się jeszcze. To wszystko osoby z przeszłości. Może przydarzyło ci się coś ostatnimi czasy, coś, co mogłoby wywołać taką reakcję?

Frankie spuściła wzrok i zaczęła obgryzać paznokcie. Już o tym myślała. Listy zaczęły do niej przychodzić po randce z Noahem w hotelu „Oxford”. Nie przypuszczała wprawdzie, żeby Cissie wysyłała takie pogróżki, jednak, z drugiej strony, Cissie również nigdy nie przypuszczała, że mogłaby zaskoczyć Frankie w łóżku ze swym mężem.

- Kto? - Zach chwycił ją za ramię, pewny bardziej niż kiedykolwiek, że Frankie nie podała mu pełnej listy nazwisk. - Nie musisz mi mówić dlaczego. Po prostu powiedz kto!

Jak mogła mu powiedzieć? Tak dobrze się im ostatnio układało. Co by sobie o niej pomyślał? Oczywiście to samo, co ona sama myślała o sobie.

W tej chwili zadzwonił telefon. Frankie aż podskoczyła ze zdenerwowania. Otworzyła szeroko oczy. Telefon stał tuż obok niej, ale nie zrobiła najmniejszego ruchu w stronę aparatu. Zach podniósł słuchawkę.

- Bert Kahn - powiedział.

Serce Frankie załomotało w piersi. Dlaczego dzwonił? Czyżby Cissie wszystko mu powiedziała? Bert był dla niej jak ojciec. Może tak samo jak Cissie chciał ją usunąć ze swojego życia. Kiedy podnosiła słuchawkę, trzęsły jej się ręce.

Mimo że rozmowa była bardzo krótka, Zach był zafascynowany burzą emocji, które przebiegły przez twarz Frankie: napięcie, strach, ulga, żal. Parę chwil po tym, jak odłożyła słuchawkę, w milczeniu i bez ruchu gapiła się w aparat.

- Wujek Ben nie żyje - powiedziała cicho.

- Przykro mi. - To mogło tłumaczyć żal i napięcie, ale co wywołało ulgę i strach? - Zmarł nagle?

Oczy Frankie zaczęły nabiegać łzami. Odwróciła się w stronę Zacha, lecz patrzyła ponad nim gdzieś w przestrzeń.

- Miesiąc temu miał zawał. Poszłam do szpitala. Był w ciężkim stanie, ale powiedziano mi, że wraca do zdrowia. Dziś rano miał następny zawał. Tym razem śmiertelny.

- Kiedy pogrzeb?

- Jutro.

- Chcesz, żebym z tobą poszedł? Frankie wytarła łzy, a kiedy to zrobiła, zmienił się jej nastrój.

- Nie pójdę na ten pogrzeb - jej głos brzmiał pewnie i zdecydowanie.

- Dlaczego nie?

- Nie mogę. - Wstała z kanapy i podeszła do okna. Celowo odwracając się do Zacha plecami i dając mu w ten sposób do zrozumienia, że nie chce z nim rozmawiać na ten temat.

- Czy Bert powiedział, że ma tam być również twoja matka?

Frankie odwróciła się i spojrzała mu w oczy. Zach zawsze wiedział, co chodziło jej po głowie. Jednak teraz znał tylko część prawdy. Rzeczywiście obawiała się spotkania z Lillie, ale jeszcze bardziej trzęsła się na myśl o spotkaniu z Cissie.

- Dziwne, ale sam chciał się ode mnie dowiedzieć, gdzie może znaleźć Lillie. Jak dotąd nikomu nie udało się do niej dotrzeć.

- Wobec tego nie ma powodu do strachu.

- A jeśli się tam pokaże? - zapytała Frankie, wypowiadając na głos tylko jedną z obaw. A jeśli przyjdzie Noah? Co będzie, jeśli Cissie wpadnie w złość i oskarży ją przed Zachem i całą rodziną? Frankie nie mogła sobie na to pozwolić. Nie zniosłaby takiego upokorzenia i wstydu. Nie mogła ryzykować ponownej utraty Zacha, a niechybnie tak by się stało, gdyby dowiedział się prawdy.

- No i co z tego? - spytał Zach, zastanawiając się, kiedy wreszcie Frankie ureguluje stosunki z matką. - Jesteś teraz dużą dziewczynką. Nic ci nie może zrobić.

Ona nie, pomyślała Frankie, ale inni mają mi wiele do zarzucenia.

Małe pomieszczenie na drugim piętrze kaplicy Riverside Memorial wypełnione było żałobnymi gośćmi. Ponad dwieście osób przybyło oddać ostatnią posługę Benowi Rossowi. Oprócz przyjaciół i rodziny byli koledzy z pracy, członkowie klubu, sąsiedzi, ludzie ze środowiska charytatywnego, paru młodych mężczyzn i kobiet, którzy korzystali z ufundowanych przez niego stypendiów, oraz kilkoro dzieciaków z miasta, którym pomógł w znalezieniu pracy. Ben nie był człowiekiem bez skazy, ale wielu ludzi miało go za co opłakiwać.

W kaplicy żałobnej na czarnej skórzanej kanapie zasiadły cztery kobiety. Choć wszystkie ubrane były na czarno, a na ich twarzach malował się wyraz niespodziewanej straty, nawet zupełnie przypadkowa osoba nie miałaby trudności w rozpoznaniu wdowy. Sylvia Ross miała szklane oczy, jej twarz była pozbawiona koloru i wyrazu. Ciało, zawsze szczupłe, zrobiło się suche i kanciaste. Kiedy jeden za drugim zaczęli podchodzić do niej żałobnicy z kondolencjami, starała się zachować odpowiednie maniery, jednak naszpikowana środkami uspokajającymi odpowiadała na przyjazne gesty jak drewniana kukła, a słowa stawały jej w gardle.

Obok matki siedziała Becca z bezgranicznym cierpieniem w oczach. Od chwili, kiedy dowiedziała się o śmierci Bena, głowa pękała jej z bólu. Natychmiast po telefonie Sylvii pognęła do szpitala, zaopiekowała się matką i załatwiła wszystkie formalności związane z pogrzebem, ale nie przyniosło jej to najmniejszej ulgi. Becca odmówiła jednak przyjęcia jakichkolwiek lekarstw. Zmarł jej ojciec, a w takich wypadkach córce wypadało wyglądać na osobę znoszącą katusze.

Siostry Bena także cierpiały, choć każda na swój sposób. Molly odłożyła swoje lamente na inny czas i inną porę. Zamiast publicznie obnosić się ze swoimi uczuciami, niczym matrona w imieniu rodziny przyjmowała kondolencje od tych, którzy przybyli na uroczystość.

Tessie, najbliższej siostrze Bena, trudno było pogodzić się z tym, co się stało. Wprawdzie przeżyli już przedwczesną śmierć Jacoba, jednak Tessa nadal uważała, że wszystko w życiu powinno mieć swoją kolejność. Ben był młodszy od niej i od Molly, więc nie powinien tak wcześnie umierać. Najgorsze było to, że kiedy w przeddzień śmierci Bena Tessa odwiedziła go w szpitalu, wszystko wskazywało na to, że wraca do zdrowia. Żartował sobie na temat swoich trudności

w mówieniu, twierdząc, że jedynym powodem, dla którego Tessa nie mogła go zrozumieć, był fakt, że nigdy nie uczyła się polskiego. Rozmawiali o tym, kiedy wróci do domu i o czekającej go rehabilitacji. Następnego dnia rano zadzwoniła Sylvia.

Pozostali członkowie rodziny byli rozproszeni po całym pomieszczeniu. Z jednej strony kanapy zajął miejsce Herb Schwartz, z drugiej zaś stanęli Bert Kahn i Hillmanowie. Dzieci Herba i Molly pozostały przy drzwiach. Cissie i Andrew ustawili się w rogu. Mimo pokaźnej liczby przybyłych, Cissie natychmiast wyczuła wejście Noaha.

Od owego dnia, w którym Cissie wyrzuciła go ze szpitalnego pokoju, Noah próbował chyba wszystkich sposobów, żeby do niej wrócić, jednak Cissie uparcie trwała w swoim postanowieniu, że nie chce mieć z nim nic wspólnego. Dzwonił, przyjeżdżał do domu i błagał Tessę i Bertę, żeby poparli go w jego staraniach, lecz Cissie nie chciała go widzieć. Kiedy przed paroma tygodniami zarząd poprosił Noaha, by ponownie stanął do wyborów, Noah nie odrzucił tej propozycji, jednocześnie zobowiązując Andrew, żeby wyjaśnił Cissie podłoże tej decyzji. Zmienił dotychczasową taktykę wyborczą, rezygnując z ataku na Jacka Chandlera, i odwołał się do swojego udziału w wojnie w Wietnamie. Zamienił biuro przy Houston Street na centrum doradcze dla weteranów z Wietnamu i schronienie dla najbardziej potrzebujących. Sądził, że Cissie będzie zadowolona i zinterpretuje jego wysiłki jako objaw pokuty. Jednak sromotnie się mylił.

Po przekazaniu kondolencji Sylvii, Becce i Molly, Noah poszedł porozmawiać z Tessą i Bertem. Cissie cały czas go obserwowała.

- Zdobył się na ogromną odwagę, żeby tutaj przyjść - powiedział Andrew, wiedząc, że nie są razem, lecz zupełnie

nieświadomy podłoża tej sytuacji. - Wiesz, że on zaraz do nas podejdzie. Co wtedy zrobisz?

- Nie zrobię sceny, jeżeli o to się martwisz. - Cissie starała się nie okazywać zniecierpliwienia. Rozumiała rozdarcie Andrew, który z jednej strony chciał być lojalnym bratem, z drugiej zaś oddanym przyjacielem i współpracownikiem Noaha. Rozumiała także, że dopóki nie pozna prawdziwego powodu ich rozstania, będzie cały czas naciskał, żeby się pogodzili i zrobi wszystko, żeby doprowadzić do pojednania.

- Słuchaj, wiem, że w tę noc, kiedy miałaś operację, wycofał się z wyścigu do Senatu, żeby móc się tobą zaopiekować, ale kwatera nie ma w tej chwili nikogo innego. Bez Noaha wybory byłyby jednostronne i zupełnie pozbawione sensu. Po prostu musiał to zrobić. Nie było wyjścia.

- Ja też zrobiłam to, co musiałam i też nie widziałam innego wyjścia - powiedziała spokojnym, lecz zdecydowanym głosem.

- Cissie, wiem, że masz swoje powody, ale przecież...

Szybkim ruchem odwróciła głowę i spojrzała na niego, tłumiąc w sobie narastającą złość.

- Słuchaj, Andrew. On jest ojcem moich dzieci. Możesz być pewien, że nie odwróciłam się od niego przez jakąś błażostkę. Wiem, że nie znasz kuluarów tej sprawy, ale bądź tak miły i przestań o tym gadać.

- Witaj, Andrew i Cissie. Przykro mi z powodu waszego wuja.

Po raz pierwszy od sierpniowego spotkania stali naprzeciwko siebie. Chciała przygotować się na tę chwilę, ale przez dyskusję z Andrew nawet nie zauważyła nadejścia Noaha. Kiedy witał się z Andrew, Cissie głęboko zaczerpnęła powietrza, pragnąc uspokoić nerwy.

Gdy podszedł, żeby pocałować ją w policzek, odwróciła głowę i zrobiła krok do tyłu. Dostrzegła jego zażenowanie. Wydawało się jej nawet, że skrzywił się z bólu, ale mimo że nie przychodziło jej to łatwo, stała zimna jak stal.

- Andrew, czy mógłbyś nas na chwilę zostawić samych?

Cissie chciała chwycić brata za ramię i zatrzymać go w miejscu, lecz Andrew natychmiast się usunął i zostawił ją oko w oko z Noahem.

- Cieszę się, że tak dobrze wyglądasz - powiedział z uśmiechem na ustach, zupełnie tak, jakby spotkali się na rogu paryskiej ulicy, a nie w żałobnej kaplicy.

Cissie przeniosła ciężar z nogi na nogę i przyjrzała się czubkom swoich butów. Dopiero w zeszłym tygodniu dopasowano jej protezę. Nosiła ją teraz w staniku i choć wiedziała, że z zewnątrz nie widać żadnej różnicy, jednak nie mogła się przyzwyczaić. Pomyślała, że Noah, który tak dobrze znał kiedyś jej ciało, na pewno to dostrzegł.

- Andrew powiedział mi, że już zupełnie doszłaś do siebie. - Noah nie chciał, żeby jego słowa zabrzmiały dwuznacznie, ale w odpowiedzi Cissie usłyszał aluzję.

- Jeśli myślał o przerzutach, to miał rację.

- Wiem, że nie tylko z tego musiałaś się wyleczyć, ale jeśli dasz mi szansę, zrobię wszystko.

- Nie chcę ani nie potrzebuję twojej pomocy. Chyba już kiedyś postawiłam sprawę jasno.

- Jesteś zdenerwowana, że z powrotem staję do wyborów. Myślisz, że w słowach wypowiedzianych tamtego wieczoru nie było szczerości. Mylisz się. Mówiłem szczerą prawdę. Po prostu...

- Nie wysilaj się. Zbyt długo obracałam się w kręgach polityki, żeby nie wiedzieć, jakie zamieszanie może wywołać pustka spowodowana wycofaniem kandydata. I wiem, jaka

pustka ogarnęłaby ciebie, gdybyś patrzył na to wszystko z założonymi rękami.

Pierwszy raz od paru miesięcy Noah zobaczył iskrę nadziei. Mówiła to z takim zrozumieniem, niemalże ze współczuciem.

- Najgorsze spustoszenie w moim życiu wywołało twoje odejście. Cissie, proszę. Tęsknię za tobą. Tęsknię za córeczkami.

W tym momencie do kaplicy weszła Frankie. Zanim skierowała się w stronę kanapy, omiotła wzrokiem całe pomieszczenie. Nie chciała spotkać oczu Cissie, ale nie udało jej się tego uniknąć i przez dłuższą chwilę obie patrzyły na siebie jak zahipnotyzowane. Obrazy, które tak często pojawiały się w snach, znowu stanęły przed oczami Cissie i zalała ją fala pytań, które miesiącami nie mogły doczekać się odpowiedzi. Czy Noahowi bardziej podobała się miłość z Frankie? Może Frankie była od niej lepsza? Ile razy byli ze sobą wcześniej? Czy nadal byli kochankami? Znowu poczuła znajomy ból. Myślała, że już zdążyła się na to uodpornić. Teraz wiedziała, że cierpienie wywołane zdradą Noaha ciągle jeszcze w niej żyło.

- Cissie, proszę. Kocham cię. Nie możesz znaleźć w swoim sercu tyle miłości, żeby mi przebaczyć? - Chciał wziąć ją za rękę, ale cofnęła dłoń.

- Nakryłam cię z moją kuzynką, a z tego, co widziałam w waszym łóżku, nie było miejsca na nic więcej, zwłaszcza na przebaczenie.

Z wysoko podniesioną głową odwróciła się od Noaha, przeszła obok Frankie i ruszyła do drzwi. Noah wiedział, że lepiej za nią nie iść.

- Daj jej trochę czasu - powiedział Andrew, który nagle zjawił się u boku szwagra.

Noah potrząsnął głową.

- Zdradziłem ją, Andrew, a jeśli choć trochę znasz swoją siostrę, to wiesz, że lojalność stoi u niej na pierwszym miejscu.

Zupełnie odruchowo Noah spojrzął na Frankie. Kiedy tylko zobaczyła, że się jej przygląda, natychmiast odwróciła głowę, lecz Noah zdążył jeszcze dostrzec w jej oczach poczucie winy zmieszane ze smutkiem i żalem. Jak dobrze rozumiał jej uczucia! Przez swoją zdradę oboje stracili osobę, którą tak bardzo kochali i w tej chwili Noah nie był pewien, czy kiedykolwiek zdołają odzyskać miłość Cissie.

Mimo że Zach był bardzo wnikliwym obserwatorem i zazwyczaj zauważał najmniejszy szczegół, tym razem nie dostrzegł napięcia, jakie panowało między Frankie i jej kuzynką Cissie. Przed rozpoczęciem mszy, kiedy Frankie poszła złożyć kondolencje wdowie po Benie, najwyraźniej zignorowała swoją obecność. Podczas gdy wszyscy członkowie rodziny zajmowali miejsca, Frankie nalegała, żeby poszli do ostatniego rzędu. Na początku przypisał niezrozumiałe zachowanie Frankie temu, że jest skłócona z Lillie. Reszta rodziny utrzymywała kontakty z jej matką. Takie wytłumaczenie wydawało mu się zupełnie logiczne. Większość obaw, które nękały Frankie, wywołana była stosunkami z matką. Może czuła się winna, że Lillie nie pojawiła się na pogrzebie brata. Może rodzina całą winą obarczała Frankie, traktując ją jak niegrzeczne i niewdzięczne dziecko. Może Cissie stanęła po stronie Lillie. Jednak kiedy msza dobiegła końca i wszyscy zaczęli opuszczać dom pogrzebowy, zdarzyło się coś jeszcze; coś, co kazało Zachowi przypuszczać, że lista wrogów Frankie nie była kompletna i że brakowało na niej jednego nazwiska, nazwiska Cissie Gold.

Po zachodniej stronie Siedemdziesiątej Szóstej ulicy stały trzy limuzyny, które miały zawieźć rodzinę na cmentarz. Becca z matką wsiadły do pierwszego samochodu, a Molly z

rodziną weszła do drugiego. Kiedy Zach wyszedł z Frankie na zewnątrz, Tessa i Andrew Kahn sadowili się na tylnych siedzeniach trzeciego samochodu. Cissie siadała właśnie obok Andrew, kiedy Bert zawołał Frankie i poprosił, żeby pojechała razem z nimi.

Frankie zamarła.

- Idź - powiedział Zach. - Wezmę taksówkę i spotkamy się u ciebie. Zawahała się, ale Bert ponowił prośbę. Zrobiła krok w przód i w tym samym momencie Cissie zatrzasnęła drzwi i zablokowała je od wewnątrz. Oczy Frankie wypełniły się łzami i wystąpił jej na twarzy rumieniec upokorzenia, jednak nie ruszyła się z miejsca. Nie powiedziała ani słowa. Stała bez ruchu i patrzyła, jak trzy długie, czarne samochody z jej ciotkami, wujkami i kuzynami potoczyły się prawą stroną ulicy, zostawiając ją przy krawężniku.

Kondukt powoli jechał z kaplicy w Nowym Jorku na mały cmentarz w Newark przy alei Yulsman. Długa droga wiodąca na cmentarz wydawała się jeszcze dłuższa, wolno przemierzana przez ludzi, którzy postanowili towarzyszyć Benowi Rossowi do miejsca jego ostatniego spoczynku. Kiedy trumnę wyjęto z karawanu i umieszczono nad świeżo wykopanym grobem, większość żałobnych gości poszła śladami Becki i Sylvii do kwatery Rostovów.

Tessa z córką miały właśnie przekroczyć bramę cmentarza, kiedy Cissie poczuła dotyk czyjejś ręki na ramieniu.

- Musiałam przyjść.

Cissie słyszała niepewność w głosie Jinx, widziała wahanie w jej oczach. Natychmiast uścisnęła przyjaciółkę.

- Wiedziałam, że będziesz - powiedziała. - I cieszę się. Po chwili spojrzała na jej towarzysza. - Cieszę się, że z nią przyszedłeś, Matthew. Wujek Ben dużo o tobie mówił.

- Dziękuję - odparł. Nachylił się nad Cissie i pocałował ją w policzek. - Miło mi to słyszeć.

Chciał złożyć kondolencje Tessie, ale cała uwaga matki Cissie skierowana była na Jinx.

- Bardzo mi przykro z powodu śmierci pani brata - szybko wymamrotała Jinx, starając się wypełnić niezręczną ciszę. - Mam nadzieję, że nie ma pani nic przeciwko temu, że przyszedłam.

Oczy Tessy nabiegły łzami; przygryzła wargi, żeby pohamować drzenie.

- Masz pełne prawo do tego, żeby być z nami - odparła. - Jesteś pierwszym dzieckiem Bena. Chciał, żebyś była na jego pogrzebie.

Jinx była zaszokowana. Po raz pierwszy Tessa potwierdziła prawdę.

- Powiedział mi o waszym pojednaniu - ciągnęła Tessa. - Mówił o twoich odwiedzinach w szpitalu i był taki szczęśliwy, że zawarł z tobą pokój. Powiedział, że byłeś u niego kilka razy i pokazywałaś mu zdjęcia jego wnuczki, Joy. - Tessa przerwała i przez chwilę wyglądała na zakłopotaną. - Nie musiałaś tego robić - dodała. - Nie musiałaś zaniedbywać swoich spraw, żeby się z nim spotkać, ale cieszę się, że to zrobiłaś. Nie był dla ciebie dobry. Zresztą ja też. Wiem, że jemu już wybaczyłaś. Teraz ja chciałabym cię prosić o przebaczenie.

Nieśmiało spojrzała na Jinx i rozpostarła ramiona. Bez chwili wahania Jinx zniknęła w objęciach ciotki. Poczowała, jak ogarnia ją ciepło akceptacji i kiedy się rozdzieliły, ich oczy były wilgotne od łez, a uśmiechy, którymi się obdarzyły, drżały ze wzruszenia.

- Od samego początku znałam całą prawdę - przyznała się Tessa. - Pragnęłam coś zrobić albo powiedzieć ci coś, co uśmierzyłoby twój ból, ale nie pozwalała mi na to lojalność w

stosunku do brata. Wiem, że trudno ci to zrozumieć, ale czasami więzy krwi są bardzo mocne i nie ma w nich miejsca na tolerancję.

Jinx pokiwała głową, udając, że rozumie Tessę, ale znowu poczuła się jak ktoś obcy. Stała tutaj, ona, córka Bena, jego krew i jego kości. Chociaż Tessa potwierdziła ten fakt, Jinx nie czuła, żeby Tessie zależało na ich zażyłości. Jedynymi więzami krwi były dla niej korzenie, z których wyrosła. Jinx znowu poczuła, jak na powierzchnię wyłania się dawny gniew i pomyślała o Hanku. Nie był jej biologicznym ojcem, ale był jedynym ojcem, którego darzyła prawdziwą miłością. Może Tessa miała rację. Być może źródłem poczucia przynależności i akceptacji nie było wcale pokrewieństwo, tylko przywiązanie.

- Chodź - powiedziała Cissie, biorąc Jinx pod rękę. - Musimy już iść. Jinx cofnęła się o krok i przeniosła wzrok z Cissie na Tessę.

- Jeśli moja obecność będzie stanowić problem... To znaczy rodzina może zadawać pytania...

- Przecież wszyscy wiedzą, że jesteś moją przyjaciółką - odparła Cissie - i wszyscy wiedzą, że Matthew był lekarzem Bena. To jest wystarczający powód, żebyście byli z nami. Wierz mi, nikt nie będzie się zastanawiał.

Nie była to jednak cała prawda. Becca myślała o Jinx całe przedpołudnie. Wiedziała, że Matthew powiadomił ją o śmierci Bena. Nie wiedziała tylko, czy Jinx będzie miała tyle odwagi, by zjawić się na pogrzebie. Szukała Jinx w kaplicy przed mszą i po mszy, rozglądała się za nią, kiedy wchodzili i wychodzili z samochodów. Kiedy zdążyła się upewnić, że Jinx postąpiła właściwie i postanowiła nie przychodzić na pogrzeb, zobaczyła, jak Tessa obejmuje jej śmiertelnego wroga. Gdyby Bert Kahn nie złapał jej w odpowiedniej chwili, z pewnością runęłaby na ziemię.

Od tej chwili uwaga Becki była podzielona. Mimo że starała się ukryć swoje emocje za fasadą gorzkich łez, nienawiść do Jinx Kipling wyzierała zza zapłakanej twarzy. „Pomyśl o tym, jak było”, nakazała sobie przypomnieć ostatnie chwile spędzone z ojcem. „Pomyśl o szczęśliwych momentach w twoim życiu”. Ale nie udawało jej się przywołać dawnych wspomnień i wciąż miała przed oczami twarz Bena tego wieczoru, kiedy Jinx odwiedziła go w szpitalu. Widziała, jak usiłował się uśmiechnąć i jak walczył ze zdrewniałymi ustami, żeby wydobyć z siebie jedno słowo: dziecko. Na samą myśl jej ciało przebiegł dreszcz.

Uroczystość właśnie się rozpoczęła i żałobni goście zbrali się wokół grobu. Herb i Molly stanęli obok Becki, podczas gdy Tessa i Cissie dołączyli do Sylvii. Becca starała się skupić wzrok na trumnie. Próbowwała się skoncentrować, ale jej oczy wędrowały do tyłu, gdzie stali obok siebie Jinx i Matthew. Musiała zebrać w sobie całą energię, żeby nie podejść do Jinx, nie nazwać jej kundlem i nie rozkazać jej, żeby opuściła cmentarz. Tylko strach przed tym, że wszystkie oczy zwrócą się wówczas na Jinx i że nie będzie już w centrum uwagi, oraz cichy płacz matki uprzytomniły Becce, gdzie się znajduje i jak powinna się zachowywać.

Podczas uroczystości Sylvia była cała roztrzęsiona. Próbowwała nad sobą zapanować, ale od czasu do czasu jej szloch zagłuszał słowa modlitwy. Błagała, żeby Ben do niej wrócił i złorzeczyła na okrucieństwo śmierci, która na zawsze zabrała jej męża. Sylvia potrzebowała pomocy. Była zupełnie dezorientowana, wrzała od gniewu i czuła pustkę w środku. Przez ostatnie sześć tygodni bez chwili wytchnienia siedziała przy łóżku męża, czytała mu książki, opiekowała się nim, dawała mu wsparcie, napełniała go siłą i miłością, zostawiając go samego tylko wtedy, kiedy w pobliżu był Matthew.

Wszyscy zapewniali ją, że Ben czuje się coraz lepiej, że wkrótce wróci do zdrowia i będzie mogła zabrać go do domu.

- Nie tam jest twoje miejsce - zawodziła, z niedowierzaniem potrząsając głową. - Twoje miejsce jest przy mnie, w domu.

Becca otoczyła matkę ramieniem i mocno przytuliła ją do siebie. Chciała coś powiedzieć, zrobić coś, co ukołoby jej cierpienie, ale z własnego doświadczenia wiedziała, że Sylvia sama musi walczyć ze swoją rozpaczą, że nie było nic, co mogłoby uśmierzyć jej ból. Chociaż uczucie Becki do matki nigdy nie dorównywało jej miłości do Bena, wiedziała, że zetknięcie ze śmiercią zawsze miało podobny przebieg. Zdawała sobie sprawę, że dopiero kiedy przestaną działać środki uspokajające i skończy się okres żałoby, na Sylvię spadnie prawdziwy koszmar samotnego życia. Później izolacja przejdzie jej w nawyk. Przyzwyczai się do samotności. Towarzyszyć jej będą tylko wspomnienia i czarna pustka stanie się rajem dla marzeń i wyobraźni.

Becca nadal pogrążona była w swoich myślach, gdy przywołał ją do teraźniejszości dźwięk grudek ziemi uderzających o wieko trumny. Ustały modlitwy, włożono trumnę do grobu i Bert, Herb, Andrew, Jack i Mark Schwartz dopełniali ostatniego rytuału. Małymi metalowymi szufelkami przykrywali trumnę ziemią. Sylvia słała się na nogach. Becca i ciotka Molly podtrzymywały ją z obu stron, żeby nie upadła.

- Zawołajcie Matthew Granta - wyszeptała Sylvia, odwracając się do Tessy. - Jest mi potrzebny.

Kiedy Matthew pobiegł do Sylvii Ross, tłum zaczął rzędnąć i Jinx nie miała się gdzie ukryć. Chciała iść do domu, ale Matthew prosił, żeby na niego zaczekała. Mogła pójść do samochodu, ale coś zatrzymało ją na miejscu. Wyzwanie? Przekonanie, że Ben dał jej prawo do uczestniczenia w tej

ceremonii? A może ciekawość? Kiedyś była już na tym cmentarzu. Szukała wówczas swoich korzeni. Szukała tropu, który poprowadziłby ją do biologicznego ojca, do podwalin dzieciństwa. Dzisiaj, oprócz Lillie Rostov i jej córki Frankie, wszyscy zebrali się wokół grobu. Była tutaj razem z nimi, ale nadal czuła się jak intruz.

Z wyjątkiem rodziny Khanów i kuzynki Cissie - Frankie, Jinx nie widziała wcześniej innych członków rodziny. Teraz musiała przyznać, że najbardziej fascynującą kobietą w ich gronie była Molly, najstarsza z Rostovów. Nie była tak piękna jak Lillie w swoich filmach, nie posiadała stylu i elegancji Tessy, ale miała w sobie jakiś magnetyzm, który momentalnie przyciągał uwagę. Jinx była prawie pewna, że to Molly najbardziej przypominała kobietę, której imieniem ochrzczono wszystkie dziewczynki w rodzinie.

Gdy Molly upewniła się, że Sylvia jest w dobrych rękach, wzięła w dłoń kilka grudek ziemi i zaczęła je układać przed nagrobkami swoich rodziców, swojego brata Jacoba i w końcu przed kamieniem wyznaczającym granicę grobu jej córeczki - Frannie. Po kilku chwilach milczącej refleksji wróciła do Sylvii, ujęła jej twarz w swoje dłonie, szepnęła jej coś do ucha, pocałowała w policzek i ruszyła w stronę bramy. Jinx nie słyszała jej słów, lecz Sylvia wyglądała teraz na silniejszą i podbudowaną. Poprosiła, żeby Becca i Matthew zostawili ją w spokoju, powiedziała Khanom, żeby już sobie poszli, i została sama nad grobem męża.

Matthew stanął na uboczu, czujnie obserwując Sylvie. Na wszelki wypadek wolał być w pobliżu. Becca podeszła do Jinx.

- Jak śmiałaś się tutaj pokazywać? - wysyczała Becca głosem wibrującym od gniewu. - To ty go zabiłaś! To ty i twoja egoistyczna obsesja, że jest twoim ojcem. Widziałam ciebie tego wieczoru, kiedy przyszłaś odwiedzić go w szpitalu.

Mówiłam ci, że go zabijesz. Błagałam, ale ty nie chciałaś słuchać. Musiałaś to zrobić po swojemu. Musiałaś mu się napraszać, kiedy był chory i słaby. Chyba teraz jesteś już z siebie dumna. Gdyby nie ty, mój ojciec żyłby do dzisiaj.

Twarz Becki wykrzywiła się od gniewu. Chciała rzucić się z pięściami na Jinx, ale przypomniała sobie o obecności matki i Matthew. Opuściła ręce i cofnęła się.

- Becco, proszę - cicho odezwała się Jinx, wiedząc, że ta rozmowa nie może wydostać się spod ich kontroli. - Wiem, jaka musisz być załamana. Naprawdę przepraszam. Chciałam tylko złożyć wyrazy szacunku. Uwierz mi, nie przyszłam tutaj po to, żeby zadawać ci ból.

- To po co tu przyszłaś? Żeby rozsiewać te wierutne kłamstwa o tym, kim jesteś? Żeby jeszcze bardziej obrzydzić życie mojej matce po tym, jak zdażyłaś zniszczyć życie mojemu ojcu i mnie?

Becca chciała uderzyć Jinx, obrazić ją, zranić, wyrzucić z siebie całą latami narastającą wściekłość, ale wiedziała, że nic nie może zrobić. Nie dzisiaj i nie tutaj. Bez względu na to, jak bardzo chciała nasycić się zemstą, nie mogła zadać matce jeszcze jednego ciosu. Dlaczego Sylvia miałaby w ogóle mieć cokolwiek wspólnego z Jinx Kipling? Dlaczego miała ją uświadomić o istnieniu Jinx? Dlaczego miałyby ją nachodzić koszmary z przeszłości Bena? Ben już nie żył i kwestia jego ojcostwa odeszła razem z nim.

- Twoja matka powinna już iść do domu - Matthew zwrócił się do Becki. Z roztrzęsionej twarzy Jinx i intensywności spojrzenia Becki wywnioskował, że przerwał im w odpowiednim momencie. - Potrzebuje odpocząć tak samo jak ty.

- Matka zorganizowała u nas w domu rodzinne spotkanie - powiedziała Becca, patrząc, jak matką usiadła na kamiennej ławce naprzeciwko grobu Bena i cały czas płacze. - Bardzo się

o nią martwię. Jest taka słaba i zagubiona. - Becca spuściła wzrok i potarła oczy dłońmi w rękawiczkach. - Lubi ciebie i ufa ci. Może mógłbyś pójść z nami. Wiele znaczysz dla mojej matki... i dla mnie też.

Matthew spojrział na Jinx, która jednym mrugnięciem dała mu do zrozumienia, że powinienem iść, a ona sama da sobie radę.

Oczywiście nie podobało mu się, że będzie musiał zostawić Jinx, lecz Sylvia już podnosiła się z ławki. Próbowwała stać o własnych siłach, ale ugięły się pod nią nogi i o mały włos nie osunęła się na ziemię. Matthew natychmiast do niej podbiegł, objął ją ramieniem i poprowadził do samochodu. Becca stała jak słup soli. Jinx także nie poruszyła się z miejsca.

- Nie masz prawa tutaj być!

Kiedy Sylvia i Matthew zniknęli z pola widzenia, Becca nie musiała stwarzać pozorów i ukrywać swojej nienawiści. Spojrzała na Jinx z przerażającą dzikością, ale Jinx nie cofnęła się ani o krok.

- Wiem, że cię to boli - powiedziała próbując zachować spokój mimo bezpodstawnych oskarżeń Becki - ale czy ci się to podoba, czy nie, mam całkowite prawo do tego, by uczestniczyć w pogrzebie Bena.

Gdyby w głosie Jinx usłyszała niepokój, zażenowanie, obronę lub jakiegokolwiek inne uczucie, ale nie ton całkowitej pewności co do miejsca, jakie zajmowała w życiu Bena, Becca opanowałaby swój gniew i odeszła bez słowa. Jednak w tym momencie natarła na Jinx, zajadle wymachując rękami.

- Nie ujdzie ci to na sucho! - zasyczała jak żmija. - Odpowiadasz za śmierć mojego ojca i pewnego dnia odpokutujesz za to, co zrobiłaś.

Ze zręcznością, która wprawiła Beccę w osłupienie, Jinx chwyciła za jej rękę, nie pozwalając, by dosięgnął ją cios, i gwałtownie odepchnęła Beccę od siebie.

- Za nic nie odpowiadam - odparła przez zaciśnięte zęby. W jej głosie nie było ani śladu niepewności. - I za nic nie będę pokutować, a szczególnie przed tobą.

Becca najchętniej skoczyłaby jej do oczu i paznokciami orała twarz do krwi, ale wrodzona inteligencja kazała jej zapanować nad instynktem i poczekać na dogodniejszą okazję. Bez słowa odwróciła się na pięcie i odmaszerowała do stojącej przy krawężniku limuzyny. Nawet na chwilę nie zatrzymała się, żeby pożegnać swojego ojca.

Jinx zaczęła powoli dochodzić do siebie, nadal się trzęsąc i nie mogąc zaczerpnąć tchu. Dopiero gdy odjechał samochód, rozładowała emocje w lawinie łez.

- Zobacz, co zrobiłeś - powiedziała nachylając się nad grobem Bena. - Zobacz, ile cierpienia zrodziło twoje postępowanie. Ona cierpi. Ja cierpię. I to wszystko przez ciebie! - Gorące łzy spływały jej po policzkach, kiedy walczyła z gwałtowną burzą uczuć. Z jej ust wylewał się potok ledwie zrozumiałych słów. - Kiedy byłam dzieckiem i myślałam, że nie żyjesz, tak bardzo cię kochałam. Nie dlatego, że byłeś częścią mojego życia, ale dlatego, że dałeś mi to życie. Teraz, kiedy odszedłeś, chciałabym odczuwać żal, chciałabym ci powiedzieć, że cię Kocham i za tobą tęsknię, ale nie potrafię. Nigdy cię nie znałam. Nigdy nie pozwoliłeś mi zbliżyć się do siebie. Odepchnąłeś mnie. Odtrącałeś mnie za każdym razem. Byłeś bezlitosny i okrutny. Dopiero kiedy śmierć zajrzała ci w oczy, próbowałeś to wszystko naprawić. - Zadrżał jej głos i zatrzęsły się ramiona, ale nie starała się przełknąć natłoku emocji. - Może gdybyś nadal żył, byłibyśmy przyjaciółmi. Rzeczywiście próbowałeś do mnie wrócić, ale teraz jest już za późno. - Powoli zaczęła się

uspokajać. Otarła oczy i spojrzała na splekaną ziemię. Za kilka miesięcy stanie tu następny nagrobek z nazwiskiem Benjamina Rossa, pomyślała. - Wierzę, że nie było to dla ciebie łatwe - powiedziała bardziej opanowanym tonem. - Wierzę, że w głębi serca zależało ci na mnie, bo gdyby tak nie było, wszystkie dni, kiedy o tobie myślałam, wszystkie dziecięce marzenia i fantazje, i cały trud, który włożyłam w to, żeby ciebie odnaleźć, byłyby stratą czasu. - Schyliła się, podniosła grudkę ziemi i wrzuciła ją do czarnej jamy grobu. - Nieważne, jak ułożyło się nasze życie. Jesteś moim ojcem i odpoczywaj w pokoju.

Otarła łzy i ruszyła w stronę bramy do zaparkowanego przed wyjściem samochodu. Wychodząc z cmentarza, starała się odzyskać spokój i pogodę ducha, ale cały czas czuła w sobie kłujące żądło gniewu Becki.

Może rzeczywiście popełniła błąd, przychodząc na cmentarz? Może powinna inaczej się zachować? Ale jak? Czy to by coś zmieniło? Jinx miała wątpliwości.

Czy ona nie może zrozumieć, że nic od niej nie chce? - myślała; Ben nie żyje. Czy nie może się to wreszcie skończyć?

Chciała, żeby tak było, ale nie liczyła, że tak się stanie. Wprawdzie niewiele wiedziała o Becce, ale przewidywała, że nie było to ich ostatnie spotkanie.

- Co między wami zaszło? - Zach zadawał to pytanie już piąty raz. - Dlaczego Cissie trzasnęła ci drzwiami przed nosem?

W drodze do domu Frankie była zbyt oszołomiona, żeby w ogóle się odzywać, ale kiedy zaczęły opadać emocje i Zach rozpoczął przesłuchanie, zadrżała na samą myśl, że prawda może wyjść na jaw.

Zach coraz bardziej się niecierpliwił. Miał zbyt wiele pytań i milczenie Frankie doprowadzało go do furii. Chciał wiedzieć, dlaczego Cissie była wściekła na Frankie i dlaczego

Frankie unikała Noaha. W jego środowisku dużo mówiło się o nagłej rezygnacji senatora Golda i o jego separacji z żoną. Jednak przyczyna ich rozstania, powód rezygnacji i jego zgoda na ponowny udział w wyborach owiane były tajemnicą. Zach nie miał pewności, czy Frankie zna odpowiedź na te pytania, lecz podejrzewał, że może wiedzieć coś na ten temat.

- Frankie, zmierzamy donikąd i zaczyna mi to już działać na nerwy. Prosiłaś, żebym ci pomógł odnaleźć człowieka, który wysyła te pogrożki. Dałaś mi listę ludzi, którzy mają ci coś za złe. Nazwiska Cissie nie było na tej liście, lecz z tego, co sam widziałem, nie jesteście ze sobą w najlepszych stosunkach. Może w końcu mi powiesz?

- Okey - odparła podnosząc ręce w geście kapitulacji. - Powiem ci. Zaraz przed tym, jak zaczęły przychodzić do mnie te listy, zrobiłam Cissie coś okropnego. Naprawdę straszną rzecz. Bardzo dotkliwie ją zraniłam i chociaż próbowałam ją przeprosić, nadal mi nie wybaczyła. Nie jestem pewna, czy kiedykolwiek się na to zdobędzie, a nawet jeśli nie, to nie będę jej miała tego za złe.

Zach nie znosił utartych frazesów, ale przypomniał sobie, że gdy dziennikarze z jego biura po raz pierwszy usłyszeli o separacji Goldów, jakiś reporter powiedział coś o skoku w bok. Czyżby Frankie była powodem rozłamu małżeństwa przyszłego senatora? Zwykle Zach, reporterskim zwyczajem, nie pozostawiał nie dokończonych historii, jednak tym razem postanowił, przynajmniej na razie, odłożyć tę sprawę na bok.

- Jeśli myślisz, że ma ku temu jakiś powód, chodźmy do niej i porozmawiajmy - zaproponował.

- Ona nigdy by się do tego nie posunęła - Frankie odwróciła się do Zacha plecami, jednak jej głos zdradzał ogromne zdenerwowanie. - Poza tym, nie będzie chciała ze mną rozmawiać.

- Wobec tego pomówmy o tym z Noahem.

- Nie.

Na wspomnienie jego imienia Frankie cała się zatrzęsła, reagując jeszcze gwałtowniej niż na propozycję spotkania z Cissie.

Z ogromną satysfakcją wysłuchiwała jego pochlebstw. Uwiódł ją za jej aprobatą. Poszli do łóżka za jej milczącą zgodą. Frankie doskonale zdawała sobie sprawę, że postawa Noaha w niczym nie usprawiedliwiała zdrady, której dopuściła się wobec Cissie. Przecież jej nie zgwałcił. Nie zaciągnął do pokoju. Nie zdarł z niej ubrania. Poszła tam z własnej woli. Pozwoliła mu na to, o co oskarżała ją Vera - na zrobienie z siebie ofiary, mówiąc „tak”, kiedy jej serce mówiło „nie”.

Co w niej tkwiło, że dopuszczała się takich rzeczy? Nasienie samodestrukcji, które rozwinęło się w szybko rozrastający się chwast nie do wyplenienia? A może tkwiła w niej potrzeba udowodnienia sobie, że jest na przegranej pozycji i potwierdzenia opinii Lillie o tym, że jest zupełnie bezwartościowa? Nie powinno się to aż tak długo za nią ciągnąć. Już dawno powinna z tego wyrosnąć. Znowu to „powinno” - pomyślała.

- Jeśli nie zgodzisz się na spotkanie z Noahem, będziesz musiała zobaczyć się z Cissie. - Zach podniósł się z miejsca i wziął ją za rękę.

- Nie mogę spojrzeć jej w oczy.

- Musisz. Nawet jeśli nie jest autorką tych czarujących rymowanek, lepiej, żebyś wyszła temu naprzeciw. Zakładaj płaszcz i idziemy!

Cissie otworzyła drzwi i zobaczyła Frankie stojącą za plecami Zacha. Zach musiał ją prosić, żeby wpuściła ich do środka.

- Co ona tutaj robi? - zapytała dając upust swojej wściekłości.

- Frankie dostaje ostatnio listy ze śmiertelnymi pogróżkami. - Zach od razu przeszedł do rzeczy. - Powiedziała mi, że parę miesięcy temu zrobiła coś, co mogłoby spowodować taką reakcję.

Cissie pogardliwie spojrzała na Frankie, która spodziewała się, że Cissie wszystko jej wygarnie, ale kuzynka nie odezwała się ani słowem.

- Czyżbyś mnie oskarżał o to, że jej grożę? - dopytywała się Cissie.

- O nic cię nie oskarżam - odparł Zach, starając się przyjąć rolę mediatora - ale te listy wyraźnie zagrażają życiu Frankie. - Sądzi, że może ktoś je wysłał z twojego polecenia. Pomyślałem, że najlepiej byłoby ciebie o to zapytać.

- A może Frankie wysłała te listy sama do siebie? - zapytała Cissie.

- Co? - twarz Frankie przybrała kolor kredy.

- Dlaczego nie? - powiedziała Cissie, wlepiając wzrok w kuzynkę. - Już wcześniej robiłaś takie numery. Knułaś różne intrygi, żeby tylko zwrócić na siebie uwagę i wzbudzić współczucie. Dlaczego nie miałabyś zrobić tego teraz? Myślałaś, że jak do mnie przyjdiesz i powiesz, że ktoś nastaje na twoje życie, to od razu ci wybaczę? Nic z tego. Jeśli dostajesz listy pełne nienawiści, to może na nie zasługujesz?

Na dźwięk słów Cissie Frankie zakołowało się w głowie. Spojrzała na Cissie, potem na Zacha, obawiając się, że Cissie poprze to stwierdzenie przykładem ze swojego życia.

- Nie napisałam tych listów - rzekła ze łzami w oczach. - Przysięgam.

Cissie spojrzała na Frankie i przez chwilę nie widziała w niej kobiety, która wyrządziła jej taką krzywdę. Znowu ujrzała małą, pięcioletnią dziewczynkę w kapeluszu i białych rękawiczkach jedzącą lunch z Cissie i z Bertem w hotelu „Plaza”; przestraszoną nastolatkę, która tak przejęła się rolą

druhny na ślubie Cissie; młodą kobietą pomagającą jej w czasie porodu.

- Nie uwierzyłabym ci, nawet gdybyś przysięgała na tuzin Biblii - powiedziała Cissie głosem, w którym nie było już nienawiści, tylko smutek i żal. - A teraz, kiedy już zaspokoiliam waszą ciekawość, proszę, żebyście wyszli z mojego domu.

Frankie nie mogła powstrzymać się od płaczu. Przez całą drogę do domu gorzkie łzy spływały jej po policzkach. Zach próbował ją pocieszyć, ale sprawa była beznadziejna. W kółko powtarzała, że nigdy nie zrobiłaby tego, o co oskarżała ją Cissie. Kiedy Zach zapytał w końcu, co spowodowało taką dziwną reakcję Cissie, Frankie skierowała rozmowę na inny temat, dając mu do zrozumienia, żeby nigdy do tego nie wracał. Kiedy dotarli do mieszkania Frankie, Zach nalał jej kieliszek brandy i poprosił, żeby usiadła na kanapie. Po kilku minutach Frankie zaczęła odzyskiwać równowagę. Odstawiła kieliszek i spojrzała na Zacha.

- Wiesz, ona ma rację. Chyba zasłużyłam sobie na te pogróżki.

Zach nie odezwał się. Wyczuł, że Frankie ma ochotę na zwierzenia i postanowił obiektywnie wysłuchać tego, co ma do powiedzenia.

- Te listy, jej gniew, moja samotność. Zasłużyłam sobie na to wszystko - westchnęła. Zadrżała jej dolna warga. - Nigdy nie chciałam nikogo skrzywdzić, ale jak dotąd postępowałam? Robiłam źle tylko wtedy, kiedy ktoś przyparł mnie do muru, gdy czułam się samotna i osaczona. Wtedy nie myślałam, że robię źle. Ale krzywdziłam innych. Przysparzałam sobie wrogów, wielu wrogów, i traciłam szacunek ludzi, którym na mnie zależało. Ciebie też straciłam w taki sposób.

Zach nie mógł nad sobą zapanować. Obudziły się w nim opiekuńcze instynkty i dawne uczucia. Od chwili ich rozstania w Paryżu próbował się wyleczyć z miłości do Frankie, wmawiał sobie, że nic im nie wychodziło i że razem nigdy nie będą szczęśliwi. Jednak podczas gdy jeden wewnętrzny głos ostrzegał go przed tym młodzieńczym uczuciem, inny przypominał, jak cudownie było im ze sobą i jak bardzo brakowało mu Frankie.

Kiedyś często zamartwiał się tym, że Frankie zawsze postrzegala siebie jako ofiarę. Za każdym razem, kiedy wplątała się w jakieś tarapaty, twierdziła, że to ona była pokrzywdzona, że gorzko płaciła za niewinność i miała całkowite prawo do szukania odwetu za doznaną krzywdę. Teraz zastanawiał się nad tym, czy oskarżenia Cissie i groźby, które otrzymywała, nie utwierdzą jej jeszcze mocniej w tym przekonaniu.

- Nie sądzę, żeby Cissie naprawdę myślała, że cię na to stać - powiedział miękko. - Chciała się tylko na tobie odegrać.

- Obejmiesz mnie? - zapytała szukając fizycznej bliskości dla potwierdzenia, że Zach nie myśli o niej źle.

Zach podszedł do niej bliżej, otoczył ją ramionami i przytulił do siebie, pragnąc, by choć przez chwilę poczuła się bezpieczna.

- Kocham cię - powiedziała, cofając się o krok i spoglądając mu w oczy. - Największym błędem mojego życia było to, że pozwoliłam ci odejść. Zrobię wszystko, żeby ci udowodnić, że jestem cię warta.

- Nie musisz mi niczego udowadniać, Frankie - powiedział. W końcu zrozumiał, jakie motywy przyświecały jej działaniom. - Jesteś bardzo wartościowym człowiekiem. Problem nie tkwi w tym, żeby inni w to uwierzyli, lecz żebyś sama potrafiła to docenić.

Na ustach Frankie zadrżał niepewny uśmiech.

- Dzięki za zaufanie - powiedziała - ale mnóstwo ludzi nie zgodziłoby się z tym, co o mnie sądzisz. Jeden z moich przeciwników zdecydował w końcu, że nie tylko ja jestem bezwartościowa, lecz że całe moje życie jest bez sensu.

Gdyby wyglądała tylko na wystraszoną, Zach byłby zatroskany, ale teraz ogarnął go niepokój. Frankie była zupełnie zrezygnowana. Tak, jakby karta jej życia była już zapisana.

- Masz zamiar siedzieć z założonymi rękami i czekać na dopust boży? A gdzie się podział twój duch walki?

- Nie wiem, z kim mam walczyć - odparła przygnębiona. - Lista moich wrogów jest bardzo długa.

- Bez względu na to, kto to jest, znajdziemy go. Obiecuję. Frankie bez przekonania pokiwała głową.

- Czy sprawdziłaś wczorajszą pocztę? - Zachowi ledwo przeszło przez gardło to pytanie, lecz potrzebował informacji.

- To nie jest mój ulubiony sposób spędzania wolnego czasu - odparła, wyciągnęła rękę i podała mu kilka kopert. - Proszę. Niech pan dostąpi tego zaszczytu, panie Hamlin.

Bacznie obserwowała, jak po kolei otwiera każdy list. Nawet nie drgnęła mu powieka.

- I co? - zapytała.

- Nic - odparł wsuwając do kieszeni kartkę papieru, kiedy na moment odwróciła głowę. Resztę listów położył na rogu stołu. - Ale na wszelki wypadek, żebyś czuła się bezpiecznie, prześpię się dzisiaj na kozetce.

Chciała mu powiedzieć, że może spać razem z nią, ale była zbyt wyczerpana, żeby ryzykować odtrącenie.

- Okey, czcigodny Lochinvarze. Dzięki.

- Kolorowych snów - powiedział, kiedy podniosła się z kanapy i skierowała do swojej sypialni.

- Będę spała jak suseł. Frankie po raz pierwszy od kilku miesięcy zasnęła bez tabletek. Zach nawet nie zmrużył oka.

Przez całą noc rozbrzmiewała mu w uszach ostatnia
rymowanka:

Frania szybko przez rów skacze
Mama po niej dziś zapłacze
Bo Frania w kamień głową łup
I leży zimna jak trup!

Poruszenie wokół „Kipling Worldwide” ucichło. Nie było więcej zamachów, zmniejszył się obrót akcjami kompanii i Jinx sądziła, że kryzys minął, ale w dwa tygodnie później ponownie zepsuł jej się nastrój. Obrót akcjami korporacji znowu wzrósł i, co gorsza, duże pakiety akcji skupowane były przez jedną instytucję. Chociaż pracownicy Jinx uporczywie poszukiwali nabywcy akcji „Kipling Worldwide”, jak dotąd nie udało im się do niego dotrzeć, a do corocznego zebrania udziałowców zostało niecałe pięć tygodni.

Było późno i większość pracowników biura poszła już do domu. Jinx nadal siedziała przy swoim biurku, przeglądając stare akta Kipa, księgi rachunkowe i szukając czegokolwiek, co mogłoby naprowadzić ją na właściwy trop. Jak zwykle, kiedy była przybita, zadzwoniła do Milтона Foxa.

- Masz dla mnie jakieś informacje? - zapytała, gdy usłyszała jego głos. - Tak, ale niezbyt dobre.

Milton nadzorował ekipę dochodzeniową powołaną przez Jinx. Była to mała grupka starannie dobranych pracowników, którym leżała na sercu integralność „Kipling Worldwide”.

- Jedna rzecz jest pewna - poinformował. - Firma „Zenith Investors” jest przykrywką. Nie możemy dogrzebać się ani do jej właściciela, ani do numeru rejestracyjnego.

- Nie macie nic, co mogłoby prowadzić do Dodge'a?

- Nic, co miałoby z nim bezpośredni związek.

- „Zenith” nadal kupuje?

- Przez parę tygodni siedzieli cicho, ale teraz znowu zaczęli kupować całe pakiety.

- Czekali na zebranie udziałowców.

- Wszystko na to wskazuje - odparł Milton zły na siebie, że nie może dotrzeć do żadnych konkretnych danych.

- Tylko nie zapomnij zabrać na zebranie koszyka.

- Koszyka? Po co?

- Kiedy skrócą mnie o głowę, nie chcę pobrudzić dywanu - skomentowała z sarkazmem.

- Nie bój się. Nic ci nie zrobią. - Milton podniósł ją na duchu. - Mamy jeszcze miesiąc, a i tak dysponujesz taką ilością akcji, która zapewnia ci kontrolę nad kompanią.

- Ale na jak długo? Na razie ta tajemnicza korporacja zżarła prawie osiem procent akcji „Kipling Worldwide”. Nie sądziłam, że Dodge ma aż tyle pieniędzy.

- Myślę, że ich nie ma.

- Wobec tego, skąd je bierze? - zapytała Jinx. - Może Pritchard ma z tym coś wspólnego? Jest przecież bankierem. Może to on finansuje całą akcję?

- Nie sądzę. Nie narażałby wiarygodności banku, stosując takie metody. Poza tym, z tego, co słyszałem, jest z ciebie całkiem zadowolony. Od kiedy przejęłaś „Kipling Worldwide”, nie ma powodów, żeby narzekać na pensję i, co najważniejsze, nie należy do tego typu ludzi, którzy słodko się do ciebie uśmiechają, a gdy się tylko odwrócisz, dają ci kopa w tyłek. Warren Pritchard nigdy by ci tego nie zrobił.

- A co myślisz o lordzie Melville'u? Popiera Dodge'a.

- Fakt, ale musisz pamiętać, że zanim Melville wyda dolara, ogląda go ze wszystkich stron.

- A Kenneth Soames?

- Ma duże wpływy, ale mało pieniędzy.

- Nishizaka?

- Wybacz, że posługuję się stereotypami, ale to tajemniczy typ. W dodatku ostatnio jest nieosiągalny. Jego biuro w Nowym Jorku poinformowało mnie, że właśnie

przebywa na wyspach Ryukyu, gdzie nadzoruje budowę nowej fabryki. Nie zdążymy złapać go przed zebraniem.

- Ale potem może być już za późno - powiedziała Jinx lekko urażonym tonem.

- Powinniśmy wziąć pod uwagę jeszcze dwie osoby zasiadające w radzie - zaproponował Milton. - Wiem, że trudno byłoby ci się pogodzić z myślą, że Judith i Cynthia kopią pod tobą dołki, ale pamiętaj, że „Kipling Worldwide” to dla nich rodzinny interes.

- Ale ja nie jestem członkiem ich rodziny - odparła Jinx. Nawet sama przed sobą nie lubiła przyznawać się do tego, że siostry Kipa nigdy jej nie zaakceptowały.

- Nie mamy teraz czasu na sentymentalne wywody - odezwał się Milton. - Musimy przyrzeć się całej sprawie z dystansu. Cynthia, Judith i Dodge są starymi sprzymierzeńcami. Zupełnie możliwe, że zmobilizowali siły i planują całkowite przejęcie korporacji.

- Niedobrze mi się robi, kiedy o tym pomyślę, ale chyba masz rację - westchnęła Jinx z rezygnacją. - Jeżeli to oni kryją się za fasadą „Zenith Investors”, może powinniśmy spróbować pójść na kompromis? Jeżeli nie, to będziemy musieli uciąć tę mistrzowską grę. Jednak zarówno w jednym, jak i w drugim wypadku musimy się dowiedzieć, kto kryje się za „Zenith Investors”.

- Zadzwoń do starego kumpla z Komisji do Spraw Bezpieczeństwa Giełdowego i poproszę, żeby się rozejrzył. W każdej chwili może mieć dla mnie jakieś informacje.

- Daj mi znać, gdy będziesz coś wiedział.

Jinx odłożyła słuchawkę i przetarła oczy. Od paru tygodni była niewyspana. Przeglądała stare zapiski Kipa, protokoły kompanii i rozliczenia, czytając je w kółko i na okrągło, do momentu, kiedy cyfry i litery nie zaczęły się zlewać w jedną całość. Dzisiejszy wieczór niczym się nie różnił od

poprzednich. Wyciągnęła się na oparciu fotela, położyła stopy na biurku i oparła na nogach księgę rocznych rozliczeń. Pomyślała, że może znajdzie w niej coś interesującego. Czemu by nie spróbować? I tak wyczerpała już wszystkie pomysły.

Upływały godziny. Zmęczenie zaczęło przytępiać jej zmysły. Chciała już dać za wygraną, kiedy coś przykuło jej wzrok. W raportach z ostatnich kilku lat zauważyła adnotację o długu wobec kompanii „Lassman Hotels”. Gdzieś już widziała to nazwisko. Ale gdzie? Jeszcze raz wyciągnęła raporty Kipa i przewracała kartki, dopóki nie znalazła tego, co chciała. Mimo że dochodziła pierwsza w nocy, zadzwoniła do Milтона Foxa.

- Milton, obudź się - powiedziała do zaspanego głosu w słuchawce. - Mam dla ciebie dwie wiadomości: dobrą i złą. Najpierw dobra - chyba w końcu znalazłam!

- Co?

- Sposób na pokonanie Dodge'a jego własną bronią.

- A zła?

- Jeżeli mam rację, to z samego rana musimy lecieć do Seattle.

Cissie wiedziała, że będzie to ciężki dzień, jak tylko otworzyła zaspane oczy. Czowała ból w piersi i zdrętwiało jej lewe ramię. Przywitało ją szare, zachmurzone niebo, które pasowało do jej wisielczego nastroju. Wszystkie stacje radiowe trąbiły o wyborach nowego senatora ze stanu Nowy Jork. Wyłączyła odbiornik i schowała głowę pod kołdrę. Pragnęła ukryć się przed światem w zaciszu swojego pokoju, w leniwym ciepłym łóżku, z dala od hałaśliwej ulicy i wiadomości o Noahu. Wiedziała jednak, że nie będzie w stanie tego zrobić. Dziewczęta nie szły dzisiaj do szkoły i obiecała im, że razem zjedzą na mieście lunch, a potem pójdą do kina.

Dochodziła dziesiąta, kiedy wzięła prysznic i włożyła ubranie. Ostatnią osobą, której spodziewała się w swoim salonie, był Noah Gold. Jej mąż z krwi i kości siedział na kanapie, chichocząc z Nicky i Alexis.

- Mamo, zgadnij, co będziemy dzisiaj robić? - przywitała ją Nicky. Jej buzia promieniała szerokim uśmiechem. - Tatuś zabiera nas na głosowanie. Pomożemy mu przycisnąć guzik przy jego nazwisku!

Cissie przeniosła wzrok z Noaha na córeczki.

- Ubierać się, moje panie! - odezwał się Noah. - Nie wpuszczą was w pidżamach do kabiny.

Kiedy dziewczynki zniknęły w drzwiach łazienki, Cissie zwróciła się do Noaha.

- Nie pozwolę używać dzieci do celów propagandowych - powiedziała oschle. Noah podniósł się z kanapy.

- Nie mam zamiaru tego robić - odparł. - Są też moimi córkami i bez względu na wynik wyborów, dzisiejszy dzień jest dla mnie niezwykle ważny. Chciałbym mieć je przy sobie.

Cissie otworzyła usta, żeby zaproponować, ale Noah nie dał jej dojść do słowa.

- Proszę, pozwól mi skończyć. Jeśli wygram i wejdę do Senatu, chciałbym, żebyś stała przy moim boku, kiedy będę wygłaszał mowę inauguracyjną. Nie myśl, że chcę podlizać się prasie. Po prostu uważam, że masz prawo stanąć na podium, gdyż w dużej mierze tobie zawdzięczać będę to zwycięstwo.

- Nie wszyscy w życiu dostają to, na co zasługują - skomentowała kwaśno. Noah potrząsnął głową i zagryzł dolną wargę. Kiedy znów się odezwał, w jego głosie pobrzmiwała złość.

- Nie mogę odwrócić biegu wydarzeń. Zdaję sobie z tego sprawę. Wiem także, że nigdy nie potrafię ci wynagrodzić twojego cierpienia, ale, na Boga, proszę cię o szansę!

Zrobił krok w jej kierunku. Zamarła.

- Nie wiem, jak mam cię przekonać, ale nieważne, jaki będzie wynik głosowania, nic się nie stanie, jeżeli przegram. Zależy mi tylko na tobie. Kocham cię, kocham nasze córeczki i chcę jedynie, żebyśmy znowu byli rodziną. Pragnę twojej miłości.

Załamał mu się głos. W pierwszej chwili pomyślała, że jest to jeszcze jeden podstęp, którego celem było zwabienie jej na uroczystość, jednak spojrzała mu w oczy. Malowało się w nich cierpienie i szczery żal. Ale jej ból był jeszcze silniejszy.

- Nie wiem, czy potrafiłabym cię pokochać - wyznała otwarcie. - W tym momencie nie wiem nawet, czy chciałabym spróbować. Ranisz mnie, Noah. Wyjąłeś mi serce i ścisnąłeś, dopóki nie pękło. Ale, co gorsza, zawiodłeś moje zaufanie, a tego chyba nigdy nie będę umiała ci wybaczyć:

- Może z czasem uda mi się je odbudować. - Podszedł do Cissie i czule wziął ją za dłonie. - Może uda nam się przywrócić to, co było między nami.

- Właśnie - odparła smutno, zabierając ręce - to, czego nigdy między nami nie było.

- Nieprawda! - zaprotestował drżącym głosem. - Była miłość i namiętność! Mieliśmy razem dzieci! Mieliśmy wspólne życie! Czy to w ogóle się nie liczy?

Cissie poczuła, jak łzy cisną jej się do oczu. Łzy przepełnione wspomnieniami cudownych chwil, jakie spędzili razem z Noahem.

- Owszem, kiedyś tak - odpowiedziała z trudem, przełykając ślinę.

- Chodźmy!

Alexis i Nicky wpadły do pokoju ubrane w kalosze i nieprzemakalne płaszcze. Podbiegły do Noaha i zaczęły ciągnąć go za rękaw.

- Tatusiu! Musimy już iść! Noah spojrzał na Cissie.

- No to w drogę - oznajmił.

Cissie odprowadziła ich do drzwi, walcząc ze wspomnieniami. Kiedy dziewczęta zbiegły do samochodu, Noah jeszcze raz spojrzął w jej kierunku.

- Powodzenia - powiedziała. - Trzymam kciuki.

Noah kiwał głową i dalej schodził po schodach. Cissie zamknęła drzwi i oparła się o framugę.

- Miałam rację, że od niego odeszłam - powiedziała sama do siebie. - Dobrze, że raz na zawsze wyrzuciłam go ze swojego życia.

Ale kiedy tylko samochód potoczył się w stronę ulicy, Cissie wybuchnęła płaczem. Została zupełnie sama.

Kilka tygodni po burzliwej wizycie u Cissie Frankie poleciała do Houston, żeby nakręcić parę plenerowych ujęć do „Złota Teksasu”. Zachowi przypadł w udziale smutny obowiązek odbierania poczty. Wprawdzie nie wpadły mu w ręce żadne makabryczne rymowanki ani pogróżki skierowane do Toni Swift, lecz dręczyło go przecucie, że prześladowca Frankie jeszcze nie powiedział ostatniego słowa.

Dzień przed powrotem Frankie Zach wcześniej wyszedł z biura i pojechał na przedmieście do swojego znajomego - Tima Brody'ego, który pracował w laboratorium kryminalistyki nowojorskiego departamentu policji. Wcześniej przesłał mu do analizy jeden z listów zachowanych przez Frankie i ten, który sam ukrył w kieszeni spodni. Miał nadzieję, że Tim natknie się chociażby na najmniejszy błąd, na jakieś przeoczenie, które może doprowadzić go do nadawcy.

- Chciałbym ci pomóc, Zach, ale ten materiał jest czysty jak łąza - powiedział Tim.

- Żadnych odcisków palców? Brody uśmiechnął się na myśl o naiwności przyjaciela.

- Jasne, że były jakieś odciski, ale po takim czasie nie można ich już zidentyfikować. Mogą należeć do kogokolwiek

- do ciebie, do portiera, do urzędnika na poczcie albo do Frankie.

- A co z papierem, atramentem i kopertami?

- „Zipp” - standard w biurach. Mógłbyś do końca życia szukać ich pochodzenia.

- Szkoda życia - zażartował Zach, chcąc załagodzić rozgoryczenie przyjaciela. - A maszyna, na której zaadresowano kopertę? A kredki?

- Kredki to zwykle Crayole, a maszyna - IBM Selectric. Rzyska czcionka. Taśma węglowa. W Nowym Jorku jest ich niecałe dziesięć tysięcy.

- Ale ja nie mam dziesięciu tysięcy podejrzanych. Nic więcej dla mnie nie znalazłeś?

- Właściwie - zaczął przeciągle Tim - jest jeszcze coś.

- Co? No, Brody! Nie baw się ze mną w kotka i myszkę.

- Ledwie wyczuwalny zapach. Chyba perfumy, ale nie mogę stwierdzić w stu procentach, zanim nie przeprowadzę jeszcze kilku testów. Przykro mi, stary, lecz nic więcej nie udało mi się z tego wycisnąć.

- W porządku - odparł Zach. Wziął z powrotem listy i skierował się do drzwi. - Przyszedłem z niczym i prawie z niczym odchodzę.

- Powodzenia, stary - pożegnał go Tim.

- Dzięki - krzyknął przechodząc przez próg. - Będzie mi potrzebne. Następnego wieczoru Zach czekał na lotnisku na przylot Frankie z Houston. Na początku ucieszyła się na jego widok, ale po chwili ujrzała jego marsową minę i zaciśnięte szczęki.

- Przyszedł jeszcze jeden list?

- Tak.

- Pokaż mi go.

- Może przeczytasz w domu? - zaproponował prowadząc ją na parking.

- Daj mi go teraz - powtórzyła cofając się o krok. Zach bez słowa wręczył jej ostatnią kartkę:

Nie słuchała starszych, rzecz to bardzo brzydka!

W czwartym dniu Franie schudła jak nitka

W piątym coś w piersiach i w gardle ją dusi

Wnet umrzeć musi.

Frankie była zbyt przerażona, żeby cokolwiek powiedzieć, i zbyt wystraszona, żeby się rozpłakać. Przez kilka sekund bezmyślnie gapiła się w kartkę, a kiedy już przejaśniło jej się w głowie, spojrzała na Zacha.

- To Lillie?

- Nie jestem pewien.

- Ale tak podejrzewasz?

- Wprawdzie woń perfum jest prawie niewyczuwalna, ale mam przeczucie, że jest to kompozycja zapachów, którą Rochelle zaprojektował dla twojej matki.

- Jasne - odparła Frankie wystraszona, zniechęcona i przygnębiona, lecz przede wszystkim zdziwiona, że wcześniej nie przyszło jej to do głowy. - Jest tutaj, w mieście. Zach, proszę cię, zabierz mnie do niej.

- Teraz? Przecież dopiero co wyszłaś z samolotu i najwyraźniej nie jesteś w najlepszej formie.

- Zawieź mnie do niej - powtórzyła głosem nie znoszącym sprzeciwu. - Myślę, że nadeszła odpowiednia pora na pogawędkę mamusi z córeczką.

Przez dziesięć minut Zach trzymał palec na dzwonku do apartamentu Lillie, od czasu do czasu dając wyraz swojemu zniecierpliwieniu energicznym stukaniem w drzwi. Frankie stała obok przytulona do jego ramienia. W końcu usłyszeli podnoszącą się klapkę wizjera.

- Kto tam? - zapytała Lillie.

- To ja, Frankie.

Otworzyły się drzwi i Lillie stanęła w progu. Oparła ręce na biodrach w geście macierzyńskiego oburzenia.

- Jesteś - powiedziała - najwyższa pora!

- Nie mów, że tak bardzo się za mną stęskniłaś i niecierpliwie czekałaś. Frankie, zupełnie obojętna na reakcję Lillie, przeszła obok matki i skierowała się do mieszkania, które kiedyś było jej domem. Obicia mebli i tapety straciły wprawdzie intensywność barw i czas zostawił swoje piętno na dywanach, jednak wystrój wnętrza niewiele się zmienił od czasu odejścia Frankie. Mimo duszącego zapachu perfum i cienkiej warstwy kurzu na blatach stolików, salon był nadal przestronny i wytworny. Kiedy dokładniej rozejrzała się wokoło, dostrzegła tę samą aurę elegancji, lecz była to elegancja z innej epoki.

Po burzliwym rozstaniu w Tajlandii Frankie nie miała dostępu do tego mieszkania. Lillie pod żadnym pozorem nie pozwoliła jej wejść do środka. Nawet nie zgodziła się, żeby zabrała swoje rzeczy. Dopiero kiedy prawnicy Frankie wysłali Lillie kilka ostrzeżeń, zapakowała na statek ubrania córki, które popłynęły do domu Sterlinga w Kalifornii. Meble Frankie, albumy z jej zdjęciami i kolekcję lalek Lillie zatrzymała, twierdząc, że Frankie straciła do nich prawo w momencie opuszczenia domu.

Bez pozwolenia na zgodę, Frankie zaczęła myszkować po mieszkaniu. Zach szybko podążył za nią, nie zwracając najmniejszej uwagi na Lillie. Po drodze do sypialni zauważyli, że drzwi pokoju Lillie były uchylone. Zach otworzył je na oścież i zajrzał do środka. Wprawdzie story były zaciągnięte, ale z korytarza dostawała się wystarczająca ilość światła, by mogli zauważyć, że łóżko Lillie nadal przykrywał stary szal Franyu Rostov. Na biurku wciąż leżały stare, koronkowe serwetki, a ściany zdobiły rodzinne portrety. I choć tapeta nieco już wyblakła, nadal było na niej widać kwieciste wzorki.

Drzwi do pokoju Frankie, znajdujące się po przeciwnej stronie korytarza, były zamknięte. Zach zauważył, że Frankie cała zdrętwiała, kiedy nacisnął klamkę. Pośrodku pokoju leżały stare lalki Frankie. Były okaleczone, a niektóre całkiem zniszczone. Porcelanowe główki poodbijane od tułowi leżały między strzępami ubranek, a z dziur po szmacianych rękach i nogach wystawały kawałki waty. Porozrzucone na dywanie szklane oczy spozierały na Frankie i Zacha. Kawałki włóczki, które kiedyś były włosami, leżały na stercie i wyglądały jak karnawałowe ozdoby.

Kiedy Frankie weszła do pokoju, uczucia, które, jak sądziła, dawno już wygasły, wróciły do niej z niespodziewaną siłą. Przypomniała sobie, ile samotnych nocy spędziła w towarzystwie współczujących, nie dających znaku życia przyjaciół, którym opowiadała o swoich kłopotach.

Słuchały jej, kiedy potrzebowała wyrzucić z siebie gorycz, pocieszały, gdy nie miała na kim się wesprzeć, i kochały, gdy nikt jej nie kochał. A teraz Lillie bezlitośnie je zniszczyła, tak jak próbowała zniszczyć Frankie.

Delikatnie podniosła z podłogi części starych towarzyszek. Przez chwilę ze wzruszeniem i uczuciem żalu trzymała je w dłoniach, a następnie rzuciła je na stertę, odcinając się od swojej przeszłości. Zach szukał łez albo oznak gniewu na jej twarzy, ale Frankie nie dała się ponieść emocjom. Patrzyła na to wszystko wielkimi, zamglonymi, nic nie widzącymi oczami.

Bez słowa zamknęła za sobą drzwi i wróciła do salonu, gdzie czekała na nią Lillie.

- Kim jest ten twój przyjaciel? - zapytała zupełnie tak, jakby Frankie miała czternaście lat i po dziesiątej cichutko wśliznęła się na palcach do domu.

Frankie nie odpowiedziała. Nie przerywała spaceru po salonie i cały czas oglądała stare bibeloty i antykwaryczne

cacka. Przypominała sobie, przez co przeszła, i zbierała siły do konfrontacji z matką. Tymczasem Zach zwrócił się do Lillie:

- Nazywam się Zach Hamlin - powiedział wyciągając rękę i zastanawiając się, czy amnezja Lillie była chorobliwa, czy tylko udawana. - Spotkaliśmy się parę razy.

- Naprawdę? Nie pamiętam pana - odparła z pogardą, dając Zachowi do zrozumienia, że nie jest osobą godną zapamiętania.

- Ostatni raz widziałem panią w Paryżu - przypomniał sobie, modląc się w duchu, żeby Frankie zakończyła wreszcie tę swoją wędrówkę i przyszła mu z pomocą. - Spotkaliśmy się we wspaniałej dyskotecie o nazwie „oo - Koo”.

- W tym obskurnym miejscu? - zapytała Lillie, unosząc wysoko głowę i wydając z siebie pełen zdziwienia chichot. - Chyba ktoś mnie tam zaciągnął wbrew mojej woli.

Chociaż Zach nigdy by się do tego nie przyznał, Lillie Rostov hipnotyzowała go swoim zachowaniem. W wieku ponad pięćdziesięciu lat była nadal zmysłową, atrakcyjną kobietą z czarnymi włosami luźno spadającymi na ramiona, oczami jak węgle, w których radość walczyła z wrogością, i w cienkim, obcisłym szlafrocuku, uwydatniającym jej zgrabną figurę. Wiedział, że była mściwa, egoistyczna i zła do szpiku kości, jednak kiedy obserwował, jak przechodzi obok kanapy, musiał przyznać, że był pod jej urokiem.

- Dlaczego wysyłałaś te makabryczne rymowanki? - zapytała Frankie prosto z mostu. Stanowczość w jej głosie przywołała Zacha do porządku. Lillie odwróciła głowę w kierunku córki.

- Dlaczego? Ponieważ jesteś paskudną córką i musi spotkać cię za to kara - odparła Lillie zaskoczona, że Frankie może mieć jeszcze jakieś wątpliwości. Jak królowa rozparła się na kanapie.

- Czy próbowałaś tylko mnie wystraszyć, czy naprawdę miałaś zamiar zrobić mi krzywdę?

Lillie zastanawiała się przez chwilę, uważnie przyglądając się lakierowi na każdym palcu.

- Myślę, że chciałam zwrócić na siebie uwagę - odparła tak swobodnie, jakby odpowiedź była całkiem oczywista i nie wymagała zbędnych wyjaśnień.

Frankie oparła się o ścianę, skrzyżowała ręce i spojrzała na Lillie.

- Wobec tego udało ci się - powiedziała z dziwnym spokojem. - Czego chcesz?

Lillie odgarnęła do tyłu włosy, wyprostowała rąbek szlafrocza i zwilżyła językiem usta, zupełnie tak, jakby przygotowywała się do następnego ujęcia kamery.

- Jestem teraz zupełnie sama i potrzebuję towarzystwa. Jako moja córka masz wobec mnie obowiązki - spokojnie wyjaśniła. - Poza tym nadszedł czas, żebyś zaczęła mi się odwdzięczać za to, co dla ciebie zrobiłam.

Frankie wpiła w nią wzrok, zupełnie zaskoczona tym, co usłyszała, i jeszcze bardziej zdziwiona logiką, kryjącą się za słowami Lillie.

- Nie byłoby mnie na to stać - odparła widząc, że tylko Zach zrozumiał aluzję. - A co się stało z Dantonem Rochelle'em? - zapytał, chcąc dać Frankie trochę czasu na zebranie myśli.

- Zrobił się bardzo męczący - odpowiedziała Lillie, unikając jego wzroku. - Znudził mnie i odeszłam.

- A co się stało z twoją rozkwitającą karierą? - w głosie Frankie słychać było ironię.

Lillie wstała z kanapy i podeszła do okna. Przesunęła dłonią po splocie zasłony, po czym niespodziewanie się odwróciła. Zach i Frankie ujrzeni w jej twarzy gwałtowną zmianę nastroju.

- To wszystko twoja wina! - krzyknęła, wskazując palcem na Frankie. - Wszystko, co nie udało mi się w życiu, zawdzięczam wyłącznie tobie!

- Ciekawe - szyderczo odpowiedziała Frankie. - A dlaczego tak sądzisz?

- Bo to przez ciebie Danton stracił setki milionów dolarów. Był wściekły i na mnie wyładował swoją złość.

Lillie odeszła od okna i stanęła przed Frankie twarzą w twarz, czekając, aż córka spuści po sobie uszy i nieśmiało cofnie się w róg pokoju. Jednak Frankie nadal przyglądała się matce z podniesioną głową. Lillie nie okazała zaskoczenia.

- Z moim talentem Luke Maddox mógłby mi znaleźć mnóstwo ról, ale wszyscy zamykali mu drzwi przed nosem tylko dlatego, że wcześniej reprezentował ciebie! - Stanęła na środku pokoju i z impetem wyrzuciła ramiona. - Kiedy pomyślę o tych wszystkich straconych latach! Mogłam być sławna, ale postanowiłam z ciebie zrobić gwiazdę! Poświęciłam się! Wiele mi zawdzięczasz, Frankie. Masz u mnie dozgonny dług.

- Nic tobie nie zawdzięczam - odparła Frankie z opanowaniem. - Założę się, że Danton Rochelle po prostu cię rzucił, bo nie mógł już dłużej znieść twoich egoistycznych wybryków. A Luke Maddox nie mógł znaleźć dla ciebie żadnej roli, ponieważ nikt nie jest już zainteresowany starą, poczciwą Lillie. - Frankie spojrzała jej prosto w oczy. - A jeśli naprawdę sądzisz, że zmarnowałaś dla mnie swoje najlepsze lata, to spróbuj sobie wyobrazić, jak ja muszę się czuć. Ty przynajmniej wiedziałaś, że masz córkę, ja natomiast nigdy nie byłam pewna, czy mam matkę.

Lillie zacisnęła pięści. Na szyi ukazały jej się niebieskie, pulsujące żyły.

- Wszystko dla ciebie poświęciłam - wycodziła. - Moją karierę, małżeństwo, reputację i kochanków!

- Gówno prawda! - odpowiedziała Frankie podniesionym głosem. - A jeżeli już mowa o poświęceniach, to pozwól mi wyliczyć. Przez ciebie straciłam ojca, przyjaciół, dzieciństwo, kuzynów, samodzielność, honor - spojrzała na Zacha - i prawie udało ci się zabrać mi jedyne go mężczyznę, jakiego kiedykolwiek kochałam. A dlaczego? Dlatego, że przez całe życie próbowałam pozyskać twoją miłość, przez całe życie próbowałam udowodnić, że jestem cię warta. Zabrało mi to dużo czasu, ale wiesz, do jakiego doszłam wniosku? Że to ty nie jesteś warta mnie! - Bez łez, wahania ani rozdzierania szat Frankie Travis złożyła w końcu deklarację niezależności. - Jeżeli jestem gwiazdą, a wiem, że na razie nią jestem - mówiła nie dając Lillie ani chwili wytchnienia - to tylko dlatego, że mam talent, wytrwałość i tyram jak koń. Każdy zarobiony dolar jest przypieczętowany moim potem. Nikt mi w niczym nie pomógł. Nie kiwnęłaś nawet palcem i zrobiłaś wszystko, żeby ojca też nie było przy moim boku. - Przerwała, ważąc myśli.

Zach przyglądał się z boku tej scenie i czuł się jak intruz. Był już raz świadkiem kłótni Frankie z matką i wówczas Lillie udało się zredukować ją do ledwie widocznej porcji trzęsącej się galarety. Tym razem Frankie pewnie stała na nogach, nie wykazując żadnych objawów niepokoju i z ogromnym opanowaniem i pewnością siebie odpierała zarzuty matki.

- Cieszę się, że wysłałam te listy - odezwała się w końcu.
- Mam nadzieję, że spędzały ci sen z powiek.

- Masz rację - odparła Frankie - głównie dlatego, że uświadomiły mi, ilu narobiłam sobie wrogów. Wypisałam sobie listę wszystkich podejrzanych, ale kiedy odkryłam, kto naprawdę za tym stoi, kamień spadł mi z serca. Czuję się teraz wolna i bezpieczna. Przy całym twoim tupecie i zdolnościach do zatruwania życia innym, nie udało ci się mnie pokonać.

- Ale teraz musisz się mną zająć - powiedziała Lillie zupełnie tak, jakby nie dotarły do niej słowa Frankie.

Lekko popychając Zacha, Frankie skierowała się do wyjścia. Przed drzwiami jeszcze raz spojrzała na Lillie.

- Nie wiem, z jakiego filmu jest ten dialog, ale nie w mówisz mi, że jesteś bez grosza. Ładne parę lat temu przywłaszczyłaś sobie dużą część moich pieniędzy i zainwestowałaś je pod swoim nazwiskiem. Poza tym, dostałaś mnóstwo pieniędzy od Dantona Rochelle'a, który sprezentował ci też sporą część akcji swojego przedsiębiorstwa. Nie umrzesz z głodu i wiem, że nie są ci potrzebne pieniądze.

- Ale jest mi potrzebne twoje towarzystwo - powiedziała płaczącym tonem. - Nie chcę być sama.

Frankie otworzyła drzwi, ale zanim wyszła, rzuciła ostatnie spojrzenie na kobietę, która dała jej życie, by po dwudziestu paru latach grozić jej śmiercią.

Cissie nie spodziewała się porannej wizyty Zacha Hamlina. Wyszedł po kilkunastu minutach, ale to, co jej powiedział, dało jej dużo do myślenia i rzuciło inne światło na wiele spraw, włącznie z jej własnym postępowaniem. Po bezpodstawnym oskarżeniu Cissie o pisanie anonimowych wierszyków, Zach doszedł do wniosku, że należą się jej przeprosiny i ujawnienie nazwiska osoby, która się za tym kryła. Cissie słuchała jego historii z mieszanymi uczuciami smutku, niedowierzania i obrzydzenia. Od wyjścia Zacha minęło już parę godzin, a Cissie wciąż jeszcze nie mogła uwierzyć w jego opowieść.

Zawsze uważała ciotkę Lillie za dziwną osobę. Kiedy dorastała, zachowanie Lillie wydawało się jej egzotyczne i nawet nieco pociągające. Wszyscy zawsze uważali Lillie za światową damę z jej kolejnymi mężami, wzlotami i upadkami kariery oraz upodobaniami do wielkich wejść i burzliwych

wyjsć. Cissie pomyślała, że gdyby ciotka była mniej teatralna, a jej zachowanie mniej spektakularne, to otaczający ją ludzie może dostrzegliby więcej ciemnych stron jej charakteru; może spojrzeliby bardziej krytycznie na stosunek Lillie do córki; może doszłoby do nieodwracalnego rozłamu między nimi i być może Frankie byłaby zupełnie inną osobą.

Cissie zdenerwowała się sama na siebie, kiedy wróciła myślami do wizyty Zacha i Frankie. Gdy pokazali jej listy, potraktowała Frankie jak zwykłą oszustkę. Oskarżyła ją o granie na uczuciach innych oraz wykorzystywanie tych listów w celu wywołania litości, zwrócenia na siebie uwagi i uzyskania przebaczenia i współczucia. Nie było wątpliwości co do tego, że anonimy były prawdziwe. Czy po skreśleniu Cissie ze swojej listy Frankie choć przez chwilę wzięła pod uwagę osobę matki? Nie. Wydawało jej się to niemożliwe. Nikomu nigdy nie przyszłoby na myśl, że matka mogła tak okrutnie postąpić w stosunku do swojego dziecka. Jednak Lillie tak właśnie zrobiła i Frankie musiała się z tym pogodzić.

Cissie wzdrygnęła się na samą myśl o takiej sytuacji i ogarnęła ją fala współczucia dla Frankie. Wiedziała, co to znaczy uwierzyć w coś, co wydaje się nieprawdopodobne, i znosić coś, co wydaje się przekraczać granice ludzkich możliwości. Czy tego właśnie nie robiła od paru miesięcy? Nagle odkryła, że solidaryzuje się z Frankie. Współczuła jej, podziwiała za to, że znalazła odwagę, by stawić czoło matce. Miała nadzieję, że konfrontacja z Lillie dała jej choć odrobinę satysfakcji.

Z własnego doświadczenia wiedziała, jakie to bolesne. Ona przynajmniej miała przy sobie rodzinę: dzieci, rodziców, brata, przyjaciół i krewnych. A kogo miała Frankie? Do kogo mogła się zwrócić z prośbą o radę? Czyżby szukała pretekstu do tego, żeby wybaczyć nieszczęsnej dziewczynie? Czyżby

chciała ją usprawiedliwić? Dlaczego nie? I tak zbyt długo dochodziła do tego wniosku.

W ciągu ostatnich kilku miesięcy gniew Cissie stopniowo przygasał, aż w końcu minęło wystarczająco dużo czasu, by mogła oddzielić od siebie strony, które dopuściły się zdrady, i obiektywnie przyjrzeć się motywom ich działania. Jeszcze przed przyjściem Zacha Cissie doszła do wniosku, że Frankie była bardziej pasywną stroną. Wiedziała, że łatwo było nią manipulować, a jednocześnie знаła ogromną siłę perswazji Noaha. Pogodziła się z faktem, że Frankie bardzo potrzebowała ciepła i miłości, tak samo jak musiała się pogodzić z nieuleczalnym egoizmem Noaha. Parę razy przeanalizowała sobie prorocze słowa Sterlinga, który mówił o tym, jak zagubiona była jego córka i jak bardzo była wdzięczna każdemu, kto się do niej uśmiechnął lub powiedział jej jakieś dobre słowo. Cissie zgodziła się wtedy z Travisem, ale nawet nie przeszło jej przez myśl, że to jej własny mąż będzie pocieszycielem strapionej Frankie.

Późnym wieczorem znowu odezwał się dzwonek. Tym razem przed drzwiami stała osoba, która przez cały dzień zaprzętała jej myśli.

- Chciałabym z tobą porozmawiać. Czy mogę wejść? - Frankie momentalnie wyrzuciła to z siebie jakby w obawie, że zanim dokończy zdanie, Cissie zatrzaśnie jej drzwi przed nosem.

- Jasne, proszę.

Cissie pomogła Frankie zdjąć płaszcz i weszła z nią do salonu. Poprosiła, żeby usiadła na kanapie, a sama zajęła miejsce naprzeciwko. Frankie wyglądała na potwornie wyczerpaną. Włosy zebrane miała w koński ogon, a jej pozbawiona makijażu cera była szokująco blada. W jej głosie Cissie usłyszała niecierpliwość i determinację, których nie mogła zignorować.

- Chcę tylko, żebyś mnie wysłuchała - powiedziała Frankie. - Po tym, co ci powiem, możesz wyrzucić mnie za drzwi i stwierdzić, że więcej nie chcesz mnie widzieć, ale musimy w ten czy w inny sposób uregulować nasze stosunki.

Cissie nie przyznałaby się do tego w tym momencie, ale naprawdę była pod wrażeniem. Zwykle Frankie uchylała się od odpowiedzialności i chowała głowę w piasek. Przyjście do jej domu musiało wiele ją kosztować. Podczas ostatniej wizyty Frankie i Zacha, Cissie zachowywała się nieuprzejmie. W czasie pogrzebu była bez serca. Frankie znosiła te upokorzenia z godną podziwu pokorą. Dzisiaj przygotowana była na następną porcję gorzkich słów.

- Był u mnie Zach - zaczęła Cissie. - Chcę, żebyś wiedziała, że naprawdę ci współczuję. Szkoda mi i jej, i ciebie.

- Miło, że tak myślisz - powiedziała Frankie z wdzięcznością. Nie mogła uwierzyć własnym uszom.

- Przykro mi, że oskarżyłam cię o pisanie tych anonimów - powiedziała Cissie, przerywając niezręczne milczenie.

- Cissie, proszę! Nie przepraszaj. To ja powinnam cię przeprosić. To ja powinnam paść przed tobą na kolana i błagać cię o przebaczenie. - Frankie spodziewała się, że Cissie zacznie jej wypominać perfidię, brak lojalności i amoralność, lecz kuzynka nie odezwała się ani słowem. - Nie ma dla mnie żadnego usprawiedliwienia. Oddałabym wszystko, żeby móc cofnąć to, co się stało. Nie mogę ulżyć twojemu cierpieniu ani zmazać bólu, który ci zadałam. Mogę ci tylko powiedzieć, że cię kocham i nigdy nie chciałam cię skrzywdzić.

W pierwszym odruchu Cissie chciała wyciągnąć rękę do Frankie, ale nie potrafiła. Jeszcze nie teraz. Mimo szczerości tych przeprosin wciąż stał między nimi mur wrogości i Cissie potrzebowała czasu, żeby go zburzyć.

- Szczerze mówiąc - zaczęła - nie wiem, czy kiedykolwiek będę w stanie zupełnie ci wybaczyć i zapomnieć o tym, co zrobiłaś. Ale kocham cię nadal i nie potrafię wymazać cię z mojego życia. Musimy spróbować zacząć żyć od nowa.

Frankie o mały włos nie zemdląła w wrażenia. Odetchnęła z ulgą, jej oczy nabiegły łzami i przez parę chwil patrzyła na Cissie niezdolna cokolwiek zrobić lub wydusić z siebie choćby słowo.

- Szkoda, że nie mam teraz kilkunastu lat - powiedziała miękko. - Tyle rzeczy zrobiłabym inaczej.

Cissie pokiwała głową. Zbyt dobrze rozumiała potrzebę pogrzebania przeszłości. Zbyt dobrze знаła trudności towarzyszące zaczynaniu wszystkiego od nowa.

- Od chwili, kiedy to wszystko się wydarzyło - powiedziała - zrobił się ze mnie domorosły filozof. Zaczęłam wierzyć, że życie jest pasmem prawd i konsekwencji. Jeśli szukasz prawdy, musisz pogodzić się z konsekwencjami. Obie odkryłyśmy w ostatnich miesiącach kilka bardzo przykrych prawd i musimy nauczyć się żyć z konsekwencjami naszej ciekawości. Miejmy nadzieję, że następnym razem lepiej nam pójdzie.

- Bóg jeden wie, jak bardzo mi na tym zależy - powiedziała Frankie ze smutnym uśmiechem. - Dorastanie zabrało mi zbyt wiele czasu, ale teraz już wiem, co liczy się w życiu. Lillie ode mnie odeszła, Zach do mnie wrócił i mogę znowu spojrzeć ci prosto w oczy. - Frankie przetarła oczy i głęboko zaczerpnęła powietrza. - W życiu miałam tylko jedno pragnienie: być szczęśliwą, ale za każdym razem, kiedy niewiele brakowało mi już do szczęścia, sama wszystko komplikowałam. Mam teraz jeszcze jedną szansę i postaram się zrobić wszystko, żeby jej nie zaprzepaścić.

- Gdybym była na twoim miejscu - odezwała się Cissie - stawiałabym na Zacha. Jest w tobie bardzo zakochany.

Frankie zarumieniła się i zadała pytanie, które cisnęło się jej na usta.

- Cissie, czy wrócisz do Noaha?

Tym razem Cissie zlikwidowała dzielący je dystans i wzięła Frankie za rękę.

- Nie byłaś pierwszą przygodą Noaha i jestem przekonana, że jeśli nie nakryłabym was w hotelu, nie byłabyś ostatnią. - Cissie uśmiechnęła się do Frankie i jej półuśmiech odzwierciedlił zaprzepaszczone nadzieje i nie spełnione oczekiwania. - Nasze małżeństwo już dawno zaczęło się rozpadać. Z dnia na dzień malała siła, która trzymała nas przy sobie, aż w końcu łącząca nic zupełnie się zerwała. Wybacz mi, że tak to nazwę, ale byłaś gwoździem do mojej trumny.

Frankie smutno przytaknęła. Czuła się winna, lecz jednocześnie podziwiała siłę swojej kuzynki.

- A jak przyjąłeś wiadomość o zwycięstwie Noaha?

- Ciężko na to pracował. Mam nadzieję, że jest szczęśliwy - powiedziała Cissie.

- A ty dasz sobie radę?

- Jasne - uśmiech Cissie był coraz pełniejszy, a jej głos przybrał na mocy. - On ma swoje życie, ja swoje.

Nagle Cissie poderwała się. Podeszła do barku, otworzyła butelkę wina, naląła dwa kieliszki i jeden wręczyła Frankie.

- Za dobry początek - powiedziała podnosząc lampkę.

W jej głosie była nadzieja, ale w oczach ciągle jeszcze malowała się niepewność. Kiedy Frankie stuknęła się z Cissie kieliszkiem, pomyślała o swoich niepokojach i wątpliwościach. Wtedy przypomniała sobie fotografię Franyu Rostov stojącą na toalecie Lillie i opowieści dziadka o woli życia, którą promieniała Franyu, o jej niezachwianej wierze we własne możliwości. Nosiły nie tylko jej imię, ale w ich

żyłach płynęła jej krew. Bez względu na to, co przyniesie los, pomyślała, przezwyciężą wszelkie trudności.

Jinx przekreśliła jeszcze jeden kwadrat w kalendarzu. Zostały jej tylko dwa dni do czerwonego kółka znaczącego datę corocznego spotkania udziałowców „Kipling Worldwide”. W takich dniach jak ten ledwo starczało jej siły, żeby dowlec się do windy, i zazwyczaj mówiła sobie, że nie zależy jej już na rezultatach, byleby tylko mieć to za sobą.

Chociaż usilnie próbowała sprostać potrzebom osobistym i zawodowym, żeby zachować jaką taką równowagę emocjonalną, napięcie ostatnich pięciu tygodni zaczęło zbierać żniwo. Była zupełnie rozbita i całkowicie wyczerpana. Miotła się między pracą i obowiązkami względem rodziny. Zachowywała się nieprzyjemnie w stosunku do swoich pracowników, zaniedbywała córkę, nie interesowała się problemami przyjaciół i nie poświęcała czasu Matthew. Mimo że czuła na sobie ciężar winy, w tym momencie najważniejsza była dla niej korporacja „Kipling Worldwide” i tak też miało pozostać aż do środowego popołudnia.

Powoli podniosła się z krzesła, wyłączyła światła i wychodząc z biura, zaczęła się zastanawiać, czy jeszcze raz nie powinna przeanalizować wszystkiego z Miltonem Foxem. W końcu doszła do wniosku, że najważniejsze sprawy zostały już omówione i gdyby Milton natknął się na coś nowego, z pewnością by ją o tym poinformował.

Miesiąc temu razem z Charlesem Miepem i Miltonem uruchomili plan, który miał skutecznie powstrzymać próby przejęcia „Kipling Worldwide”. Jak dotąd, wszystko szło po ich myśli, jednak nadal nie mogli wypełnić białej plamy. Wciąż nie wiedzieli, kto stał za „Zenith Investors”, a bez tej

informacji nie mogli być pewni, czy ich plan się powiedzie. Musieli dowiedzieć się, kto spiskował razem z Dodge'em.

Podczas krótkiej jazdy windą do swojego ekskluzywnego mieszkania na ostatnim piętrze, Jinx zastanawiała się nad tym, jak wydarzenia z ostatnich kilku tygodni spolaryzowały jej życie. Nagle okazało się, że cokolwiek by zrobiła, gdziekolwiek by spojrzała, widziała dwa przeciwległe bieguny. Każdy plus miał odpowiadający mu minus. Jakkolwiek próba przejęcia firmy była zdecydowanym minusem, kontrofensywa umożliwiła zacieśnienie kontaktów Jinx z wieloma współpracownikami, którzy deklarowali lojalność w stosunku do „Kipling Worldwide”. Byli wśród nich Milton, Charles, Claire i Antoinette Troy.

Podobnie było z Matthew. Na początku nieprzychylnie odnosił się do zaangażowania Jinx w „Kipling Worldwide”, widząc w kompanii zagrożenie dla ich wspólnego życia. Jednak w miarę jak rosło jego zainteresowanie problemem Jinx, budził się w nim szacunek dla jej umiejętności zawodowych i coraz bardziej pragnął tego co ona - pozbycia się raz na zawsze Jeffrey'a Dodge'a i odzyskania kontroli nad korporacją.

Strona pozytywna i negatywna. Czarne i białe. Dobro i zło. Nawet plany na dzisiejszy wieczór symbolizowały ekstremizm, który obecnie rządził jej życiem. Na łożu śmierci Ben wyznał, że jest jego córką, ale Jinx nie zdążyła jeszcze określić swego miejsca w rodzinie Rostovów. Kłótnia z Beccą przy grobie Bena zrodziła w niej przekonanie, że w dniu śmierci ojca narodził się jej najbardziej zaciekły wróg. Jednak ku jej zdziwieniu, graniczącemu z niedowierzaniem, dwa tygodnie temu zadzwoniła do niej Becca z przeprosinami za swoje skandaliczne zachowanie na cmentarzu. Zaprosiła Jinx i Matthew na pojednawczą kolację. Tłumaczyła się, że tak była wstrząśnięta pogrzebem ojca, że musiała wyładować na kimś

swoją rozpacz i wykorzystała do tego celu Jinx. Powiedziała, że czuje się okropnie, że bardzo jej wstyd i że niczego bardziej nie pragnie jak pojednania.

- Musisz wyciągnąć do mnie rękę na zgodę - powiedziała.
- Nie tylko przez szacunek dla naszego ojca, ale żadna z nas chyba nie chce zachować w pamięci ostatniego spotkania na cmentarzu.

Na początku rozsądek nakazał Jinx ostrożność, a nawet podejrzliwość. Becca zrozumiała rozterki Jinx, całkowicie przejmując na siebie odpowiedzialność za odmowną odpowiedź przyrodniej siostry. Jednak nie dawała za wygraną. Wydzwaniała do Jinx, przypominając o ich bliskim pokrewieństwie i opowiadając, jak często w ostatnich dniach życia Ben zamartwiał się tym, że żywiły do siebie nienawiść. Mówiła o bliskości Matthew i Jinx i o silnych więzach Matthew z rodziną Rossów. Matthew opiekował się przecież jej mężem, a potem ojcem. Poinformowała Jinx, że w zasadzie zdążyła już przekonać jej przyjaciela, którego spodziewa się na kolacji szóstego grudnia. Becca wydawała się zadowolona, że Jinx z miejsca poczuła się winna i długo trzeba było ją namawiać na to spotkanie.

Po kilku dniach Becca znowu zadzwoniła do Jinx, informując ją, że przeniosła się do królewskiego apartamentu w „Kipling Worldwide” i że o siódmej oczekuje Jinx na kolacji.

- Nasz dom jest za duży dla mojej matki - wyjaśniła. - Kupiłam jej mieszkanie zaraz obok mojego i zaczęłam je remontować. Dlatego okres najbardziej uciążliwych prac postanowiłam przeczekać w hotelu „Kipling”.

Tym razem Jinx była już spokojniejsza i skłonna do rozejmu z Beccą. Gdy tylko odłożyła słuchawkę, z miejsca zamówiła kwiaty, butelkę szampana i kawior, kazując je posłać do pokoju Becki. Otrzymała krótki, lecz bardzo poważny

bilecik z podziękowaniem. Były to wprawdzie niewielkie przyjazne gesty, jednak Jinx czuła, że są to pierwsze kroki na drodze do zgody.

Mając na głowie spotkanie udziałowców, Jinx nie miała czasu, żeby zastanowić się nad metamorfozą, jaka zaszła w Becce. Z zacieklego wroga zmieniła się w bratnią duszę.

Jinx wyszła spod prysznic, wytarła się i włożyła sukienkę. Była pełna nadziei i w niemalże entuzjastycznym nastroju. Bardzo podobał jej się pomysł nawiązania przyjaznych kontaktów z Beccą. Poza tym, pomyślała poprawiając włosy, jak mogłaby się źle czuć, skoro będzie z nią Matthew?

- Tak się cieszę, że przyszłaś! - powiedziała Becca, zapraszając Jinx do środka. - Zdaję sobie sprawę, że obydwójecie jesteście teraz bardzo zapracowani, ale świetnie, że zdecydowaliście się mnie odwiedzić.

Jinx rozejrzała się wokoło i przez ułamek sekundy czuła, jak rozpiera ją duma. Królewski apartament był przepiękny. Zazwyczaj wynajmowano go dyplomatom, którzy przyjeżdżali do Nowego Jorku z zamiarem zatrzymania się na dłużej. Pokoje apartamentu, urządzone w tradycyjnym francuskim stylu, zajmowały pół piętra. Wewnątrz usytuowano taras otoczony zielenią. W skład apartamentu wchodziły: salon, jadalnia, kuchnia, dwie olbrzymie sypialnie, dwie duże i jedna mała łazienka oraz pomieszczenie dla służby.

Nad kanapą w salonie rozpostarty był przepiękny piętnastowieczny arras. Kinkiety z błyszczącego brązu rzucały blask na ręcznie tkane arcydzieło. W części wypoczynkowej salonu leżały na podłodze dwa perskie dywany, a ich jasne, stonowane wzory stanowiły doskonałe tło dla oryginalnych krzeseł z epoki Ludwika XVI i kilku biedermeierowskich stolików.

Ściany jadalni były jaskrawożółte z nieco jaśniejszym sufitem, ze środka którego zwisał olbrzymi lśniący żyrandol z kryształu. W centralnej części pomieszczenia stał duży stół z gładkiego marmuru, otoczony sześcioma cesarskimi krzesłami z tapicerką przedstawiającą motyw kwiatowy. Całą ścianę zajmowało olbrzymie witrażowe okno z upiętymi draperiami po obu stronach. Na przeciwległej ścianie wisiał ogromny obraz namalowany przez Osborne'a Jaffy'ego.

Kilka pierwszych minut upłynęło przy zdawkowej rozmowie na temat pogody i wystroju apartamentu. Becca poprosiła Jinx, by usiadła na kanapie, naląła dwa kieliszki białego wina i zadzwoniła po służącą, która pojawiła się w drzwiach z tacą wykwintnie podanych kanapek.

- Tuż przed twoim przyjściem dzwonił Matthew - poinformowała Becca, siadając na krześle naprzeciwko Jinx. - Mówił, że jak zwykle w poniedziałki przeciągnęło się zebranie personelu i trochę się spóźni.

Jinx uśmiechnęła się i uprzejmie skinęła głową. Pragnęła, by Matthew był teraz przy niej i tłumiała w sobie chęć ucieczki z tego pomieszczenia.

- Byłaś dzisiaj w mieście, czy jechałaś ze swojej rezydencji? - zapytała Becca wyraźnie akcentując słowo „rezydencja”, po czym zatopiła usta w winie.

- W mieście - odparła Jinx. - W środę mam coroczne zebranie udziałowców i muszę być do niego porządnie przygotowana.

- Podziwiam cię - rzekła Becca z ożywieniem. - Nie mogłabym pracować na tak odpowiedzialnym stanowisku w tak ogromnej korporacji. W zasadzie trudno mi sobie wyobrazić, żebym w ogóle mogła pracować.

Roześmiała się. Nie był to otwarty, szczerzy śmiech, ale tłumiony chichot, w którym można było doszukać się sarkazmu.

- Lubię swoją pracę - odparła Jinx, zastanawiając się, dlaczego od razu przeszła do defensywy.

- Wierzę ci. Ja sama mam ogromną satysfakcję z działalności charytatywnej. Po prostu uwielbiam zbierać pieniądze na szczytne cele. Wiem, że mój wysiłek nie idzie na marne, że przyczyniam się do pomocy ludziom.

- Działalność charytatywna jest naprawdę godna uznania - pochwaliła ją Jinx, czując, że Becca potrzebuje czyjegoś poklasku. - Masz powód do dumy.

Becca pokiwała głową i spojrzała na zegarek.

- Pewnie umierasz z głodu. Nie chcę cię ponaglać, ale służba przed chwilą przyniosła wszystko na górę. Może zjemy pierwsze danie. Matthew pewnie zaraz do nas dołączy.

- Nie musimy się spieszyć - powiedziała Jinx. Pośpiech Becki wydał jej się nieco dziwny.

- Nie chcę, żeby wszystko się zmarnowało.

Becca podniosła się z krzesła i bez pytania wzięła kieliszek z dłoni Jinx. Wprowadziła kuzynkę do jadalni i posadziła ją po drugiej stronie stołu. Krzesło dla Matthew ustawione było obok miejsca dla Becki. Kiedy wygodnie się usadowiły, Becca ponownie wcisnęła guzik. Do jadalni weszła służąca z dwoma talerzami szparagów w sosie winegret. Uzupełniła kieliszki i zniknęła w drzwiach kuchni. Jinx czekała, aż gospodyni weźmie w rękę widelec i pierwsza zacznie jeść, ale Becca tylko upiła trochę wina i mierząc wzrokiem Jinx, wyciągnęła się na oparciu krzesła. - Moja matka nic o tobie nie wie. Chciałabym, żeby tak już zostało - powiedziała bezbarwnym głosem.

- Dobrze, mnie to nie przeszkadza.

- Obraziłam cię? Jinx zaśmiała się.

- Wiesz? Czasami zachowujesz się tak, jakbym była chora na trąd.

- Przepraszam. Zawsze wydawało mi się, że współzawodniczysz ze mną o względy mojego ojca. Ta sytuacja była nie do zniesienia - szczerze wyznała Becca. Obie wydawały się zaskoczone tą otwartością.

- Rozumiem cię - odezwała się Jinx. - Sama też czułam się niezręcznie. Becca sączyła wino, wnikliwie przyglądając się wysokiej, kruczoczarnej kobiecie siedzącej naprzeciwko niej. Światło z ogromnego żyrandola spływało na twarz Jinx, podkreślając jej urodę i powodując, że Becca czuła się przy niej jak Kopciuszek.

- Kiedy byłam małą dziewczynką - powiedziała niespodziewanie - znalazłam list od twojej matki, w którym napisała, że dowiedziałas się prawdy o ojcu.

- Musiało to być dla ciebie bardzo bolesne - odparła Jinx, przypominając sobie swój gniew. Była zaskoczona, że Becca od tak dawno wiedziała o jej istnieniu.

- Bałam się, że możesz zabrać mi ojca.

- Nigdy tego nie chciałam - Jinx zrobiło się jej żal. - Chodziło mi tylko o to, żeby mnie zaakceptował.

Becca smutno pokiwała głową i leciutko się uśmiechnęła.

- Zabawne - powiedziała bardziej do siebie niż do Jinx. - Mnie zawsze też tylko o to chodziło.

- Przecież Ben bardzo cię kochał.

- Chyba tak, ale był bardzo wymagającym człowiekiem i zawsze wysoko stawiał poprzeczki. Musiałam ciężko pracować, żeby był ze mnie zadowolony. - Becca przyjrzała się Jinx i na jej wargach zatańczył sardoniczny uśmiech. - Z tobą było inaczej. Po prostu pojawiłaś się i proszę - Boska Pieczęć Akceptacji od razu spoczęła na twoim czole.

- Mylisz się, Becco. Sama wiesz, że tak nie było - w głosie Jinx zabrzmiała nutka determinacji. Mogła wprawdzie wybaczyć Benowi, ale nie potrafiła zapomnieć o wszystkich upokorzeniach.

Becca pokręciła głową, starając się odpędzić od siebie objawy nadchodzącej migreny.

- Ojciec usilnie z tym walczył, ale w głębi serca zawsze kochał tylko ciebie. Na chwilę przerwała. Jinx chciała się odezwać, lecz Becca zaczęła mówić dalej.

- Myślę, że nigdy nie przestał kochać twojej matki. Jaka ona jest?

Jinx zauważyła, że po jej twarzy przebiegł bolesny grymas. Zwężyły jej się oczy i mocno ścisnęła palcami skronie.

- Nie zawsze wszystko między nami układało się idealnie, ale Kate jest fantastyczna - odparła świadoma, że z Beccą dzieje się coś niedobrego. - Ma nie tylko piękne rysy, ale i wnętrze. Jest czuła i kochająca, opiekuńcza i rozsądna.

- Masz szczęście. Moja matka próbuje taka być, ale zawsze przedkładała status i pozory nad głębokie uczucie. Całe życie otaczała się namiastkami, wierząc, że jeśli na zewnątrz wszystko dobrze wyglądało, to tak w istocie było. Przymykała oczy na rzeczywistość.

- Niektórzy ludzie nie potrafią poradzić sobie z życiem - skomentowała Jinx, zastanawiając się, kogo naprawdę opisywała Becca: Sylvię czy siebie.

- Nie można odwracać się od rzeczywistości - w głosie Becki słyhać było przekonanie. - Należy obiektywnie ją oceniać. A jeżeli coś się człowiekowi nie podoba, trzeba starać się to zmienić.

- Niektórych rzeczy nie sposób zmienić - Jinx zaczęła niepokoić się bladością na twarzy Becki.

- Ależ wszystko można zmienić! Trzeba tylko walczyć o to, co chce się zdobyć. Życie jest walką, a jak w każdej walce, tak i w nim są zwycięzcy i pokonani. Moja matka nie walczy i dlatego przegrywa.

- A ty walczysz? - zapytała Jinx, znając już odpowiedź.

- Ja zwyciężam - odpowiedziała. Jej oczy zwęziły się w ledwo widoczne szparki.

W tym momencie zadzwonił dzwonek do drzwi. Służąca przywitała Matthew i wprowadziła go do jadalni. Był zaskoczony, że zasiadły do stołu, nie czekając na jego przyjście.

- Przepraszam, że tak późno przyjechałem - usprawiedliwił się. Wydało mu się dziwne, że zawsze tak dobrze ułożona Becca nawet nie wstała, żeby się z nim przywitać. Siedziała jak przykuta do krzesła i uporczywie wpatrywała się w zegarek.

- Nic nie szkodzi - odparła serdecznie się uśmiechając. - Proszę, zapraszamy do stołu. Bardzo przyjemnie nam się rozmawiało, prawda, Jinx?

Matthew rzucił Jinx sceptyczne spojrzenie.

- Tak - odparła szybko - poznawałyśmy się.

- Hm... To miłe.

Matthew wziął kieliszek wina z rąk milczącej, lecz bardzo fachowej służącej, rzucił okiem na dwie kobiety i upił łyk gronowego płynu. Kiedy odstawił kieliszek, spostrzegł, że Becca trzęsą się ramiona, a jej twarz zrobiła się biała jak kreda.

- Becca, dobrze się czujesz?

Becca przycisnęła skronie dłońmi. Zamknęła oczy, a jej usta wykrzywiły się z bólu.

- To... ta migrena - powiedziała z cierpieniem w głosie. - Rozsadza mi głowę.

- Gorąco tutaj - odezwał się Matthew. - Otworzę okno.

- Dobrze - powiedziała. - Wybacz mi, Jinx, ale to typowy nowojorski hotel. Kiedy włączą ogrzewanie, to utrzymują je na tym samym poziomie, nie bacząc na temperaturę na zewnątrz.

Matthew otworzył jedno z okien w jadalni i zdjął marynarkę. Wrócił na miejsce, spodziewając się, że świeży podmuch poprawi samopoczucie Becki. Ale jej stan jeszcze się pogorszył.

- Przynieść ci jakieś lekarstwo? - zaofiarowała się Jinx. Becca ponownie spojrzała na zegarek.

- Tak. W biurku są tabletki.

- Pójdę po nie. - Matthew podniósł się z miejsca.

- Nie! - Becca uniosła głowę. Nagle jej oczy szeroko się otworzyły. - Zostań ze mną! Jesteś mi potrzebny! Musisz się mną zająć. Niech pójdzie Jinx.

- Oczywiście - powiedziała Jinx, podrywając się w stronę drzwi prowadzących do pokoju.

- Daj spokój, Jinx - Matthew poklepał ją po ramieniu i z powrotem posadził na krześle. - I tak nie wiesz, które to tabletki. Lepiej idź do łazienki i przynieś szklankę wody.

Matthew poszedł do salonu i zatrzymał się koło biurka stojącego tuż przy ogromnym oknie wychodzącym na taras. Otworzył górną szufladę i zaczął szperać w środku.

Nagle rozległ się huk, głośny jak uderzenie pioruna. Matthew odruchowo odwrócił się w stronę okna, zza którego dobiegł hałas. Duże kawałki szkła poszybowały wokół wrzynając się w skórę Matthew, przebijając się przez jego koszulę, przecinając szyję, głowę, piersi i raniąc mu twarz. Ubranie zaczęło szybko nasiąkać krwią. Wijąc się z bólu, zaczął wołać o pomoc. Nagle spadł mu na głowę fragment metalowej framugi i Matthew osunął się na usłaną odłamkami szkła podłogę. Kiedy Jinx wpadła do salonu, był już nieprzytomny.

Grupa chirurgów plastycznych wyjmowała kawałki szkła z ciała Matthew przez parę godzin, a i tak nie byli pewni, czy udało im się wszystko wyciągnąć. Po dwóch godzinach w izolatce, Matthew przeniesiono na oddział intensywnej terapii

i przeprowadzono transfuzję, żeby uzupełnić krew, którą stracił, zanim dotarł do szpitala. Jego stan oceniono jako krytyczny. Inna grupa lekarzy uważnie go obserwowała, żeby wyeliminować infekcję.

Następnego dnia temperatura Matthew podskoczyła do czterdziestu stopni i przestało mu pracować jedno płuco. Natychmiast umieszczono go pod namiotem tlenowym i wzmożono podawanie lekarstw. Jinx nawet na krok nie odstępowała od jego łóżka. Trzymała go za rękę, ocierała mu pot z czoła, mówiła do niego i błagała, żeby wyzdrowiał, ale Matthew trwał w swoim głębokim, narkotycznym śnie. Po południu stan Matthew nie uległ poprawie.

Jinx zaczęła podejrzewać, że wybuch na tarasie i próba przejęcia „Kipling Worldwide” były dziełem tej samej osoby. Przez całą noc po eksplozji policja dokładnie badała pomieszczenie, w którym mieszkała Becca. Obiecali zawiadomić Jinx, jak tylko natrafią na jakiś ślad, ale ona postanowiła skorzystać jeszcze z pomocy Milтона Foxa i poprosiła go, żeby pojechał do hotelu. Musieli natychmiast dotrzeć do człowieka, który krył się za „Zenith Investors”. Manipulacja akcjami na giełdzie była wprawdzie niebezpieczna, ale nie zagrażała ludzkiemu życiu.

- Ja to zrobię, pani Kipling - odezwała się pielęgniarka, biorąc z ręki Jinx zwilżoną gazę i przecierając nią czoło Matthew.

- Dziękuję - uśmiechnęła się do pielęgniarki - ale naprawdę nie sprawia mi to kłopotu. Niech pani idzie odpocząć. Ma pani za sobą długą noc i wyczerpujący dzień. Zostanę przy nim.

Przez chwilę pielęgniarka wahała się, czy może opuścić chorego, ale w końcu się zgodziła. Widziała, że Jinx choć na parę minut chce zostać sama z Matthew.

Stała przy łóżku, głaszcząc go po głowie i zmywając mu pot z czoła. Lewa strona szyi i twarzy Matthew ukryta była pod zwojami bandażu, a ręce i nogi miał pokryte plastrami, zza których prześwitywały czerwone plamy gencjany, znaczące miejsca, gdzie dostało się szkło. Najwięcej obrażeń doznał przy upadku. Kilka dużych odłamków szkła werżnęło się w ciało, przekłuwając płuco i powodując otwarte rany, narażone na zakażenie. Położono go na miękkich poduszkach, na boku, żeby jak najbardziej ograniczyć nacisk na plecy. Miał zamknięte oczy, ale poruszał głową, mówił coś pod nosem i pojękiwał, tak jakby we śnie jeszcze raz przeżywał moment wypadku.

Jinx patrzyła na niego z niepokojem. Odczuwała taki sam przeszywający ból. Delikatnie ujęła jego dłoń i przesunęła po niej palcami. W tym momencie zamrugał powiekami i otworzył oczy. Z ogromnym wysiłkiem podniósł wzrok i przesłał jej zmęczony uśmiech.

Jinx usiadła na łóżku, żeby nie musiał tak wyęczać wzroku. Nachyliła się nad Matthew.

- Wszystko będzie dobrze - powiedziała z udanym optymizmem i pocałowała jego dłoń.

Wyglądał na oszołomionego. Jinx nie była pewna, czy ją usłyszał.

- Okropny huk - wymamrotał półprzytomny. - Uwaga, szkło! Boli!

- Wiem, kochanie. Wiem. Ale usunięto już wszystkie odłamki. Będziesz zdrow jak ryba.

- A ty? Co z tobą?

- Wszystko w porządku - uspokoiła go Jinx.

W kącikach jej oczu zebrały się łzy. Robiła wszystko, żeby je powstrzymać, ale jej się nie udało.

- Nie płacz - powiedział. - Kochanie, proszę, nie płacz.

Łzy zaczęły ściekać jej po policzkach i skapywały z drżących warg.

- To wszystko moja wina - jej głos zatracił swoją płynność. - To przeze mnie jesteś ranny.

Nawet przez narkotyczną mgłę Matthew dostrzegł przerażenie i żal malujące się na jej twarzy. Chciał jakoś ją przekonać, że nie ponosi winy za to, co się stało. Pragnął powiedzieć jej, jak bardzo ją kocha. Ale był zbyt słaby, żeby wyartykułować z siebie chociaż jedno pełne zdanie. Z jego ust wydobył się tylko cichy pomruk.

- Nie twoja wina... - wymamrotał. - Wypadek.

- To nie był wypadek - powiedziała zasmucona. - To część tego cholernego spisku przejęcia „Kipling Worldwide”. Przeze mnie o mały włos nie straciłeś życia.

Matthew próbował zaprotestować, ale jego oczy znowu się zamknęły i z powrotem zapadł w męczący sen.

O godzinie szóstej tego samego wieczora poinformowano Jinx, że ktoś na nią czeka w małym pokoiku na oddziale intensywnej terapii. Czyżby policja jednak coś znalazła? - zaczęła się zastanawiać. A może Milton ma jakieś nazwiska? Czyżby w innym hotelu zdarzył się jeszcze jeden taki „wypadek”? Gnała co sił w nogach. Kiedy otworzyła drzwi, zamiast policji i Milтона Foxa dojrzała w pokoju Beckę Hillman.

- Nie mogłam przyjechać wcześniej - usprawiedliwiła się Becca. Była w ciemnych okularach, a na jej twarzy malowała się udreka. - Czuję się tak, jakby przez moją głowę przemaszerował oddział wojska; przenosiny do innego pokoju, nie kończące się przesłuchania policji! Możesz sobie wyobrazić...

- To miło, że przyszłaś, ale naprawdę nie musiałaś się fatygować. - Jinx była zupełnie zaskoczona tymi odwiedzinami.

- Nie mogłam siedzieć z założonymi rękami. - Becca zdjęła okulary i przymrużyła oczy, chroniąc je przed blaskiem jarzeniówki. - Poza tym, czym jest ból głowy w porównaniu z katuszami, jakie musi znosić Matthew. Jak on się czuje?

- Dzielnie się trzyma. - Jinx wyglądała tak, jakby za chwilę miała się rozplakać.

- Wyjdzie z tego. Zobaczysz - Becca pocieszająco poklepała ją po ramieniu. - Mają tutaj wspaniałych lekarzy. Dobrze się nim zaopiekują. A jak ty dasz sobie radę? Kto się tobą zajmie?

Jinx kompletnie zmieszana popatrzyła na filigranową blondynkę.

- Wiem, jak blisko jesteś z Matthew - mówiła. - Twoja rodzina tak daleko mieszka, a okres oczekiwania może być bardzo trudny, szczególnie jeżeli człowiek jest sam jak palec. Będzie ci brakować bratniej duszy.

Jinx znowu zaczęły drżeć wargi.

- Mogę skorzystać z pomocy przyjaciół - odpowiedziała.

- A co byś powiedziała na przyjaciółkę z dwoma kubkami kawy? - W tym momencie Becca wyciągnęła z siatki papierową torbę, z której wyjęła pojemniki z kawą, dwa pączki, kilka saszetek ciemnego i białego cukru, śmietankę i mleko. - Nie wiedziałam, jaką lubisz, więc przyniosłam wszystkie dodatki.

Becca postawiła zawartość torby na małym stoliku i poprosiła Jinx, żeby usiadła. Jinx była zbyt zaskoczona, aby oponować. Becca podała jej saszetkę z cukrem, lecz przecząco pokręciła głową.

- Piję gorzką.

- Ja też - odparła Becca, tak jakby słabość do czarnej kawy bez cukru była genetycznym podobieństwem.

Jinx w milczeniu sączyła kawę. Co chwila jej wzrok wędrował w stronę korytarza.

- Czekasz na kogoś? - zapytała Becca.

- Prosiłam pielęgniarkę, żeby mi dała znać, jeżeli zmieni się stan Matthew albo jeśli zadzwoni policja. Może wpadną na trop osoby, która podłożyła tę bombę.

- Nie rób sobie nadziei. Jak wychodziłam z hotelu, nie mieli jeszcze żadnych śladów.

- W końcu coś znajdą - powiedziała Jinx, broniąc się przed krytycyzmem w głosie Becki. - A kiedy już będą coś mieli...

- Teraz to nieważne - Becca nie dała jej dokończyć. - Zapomnij o bombach, policji, hotelach i wszystkim, co chodzi ci po głowie. Musisz skoncentrować się na Matthew.

Jinx potakująco skinęła głową, ale na jej twarzy odbijało się napięcie.

- Łatwo powiedzieć - odezwała się bardziej do siebie niż do Becki. - Jutro mam zebranie udziałowców. Jeszcze wczoraj była to najważniejsza rzecz w moim życiu. Zobacz, jak to wszystko się zmienia.

- Odwołasz swój udział? Jinx zaprzeczyła ruchem głowy.

- Nie mogę.

- To źle. Będziesz musiała zostawić Matthew bez opieki.

- Tak też nie mogę postąpić.

- To co chcesz zrobić?

- Nie wiem - odparła Jinx z rezygnacją. Czowała się tak, jakby ktoś powoli zaciskał jej pętlę na szyi.

- Pani Kipling - jedna z pielęgniarek zajrzała do pokoju. - Jest do pani telefon. Proszę odebrać w recepcji.

W pierwszej chwili Jinx spojrzała na nią tak, jakby w ogóle nie wiedziała, o co chodzi. Dopiero za moment się otrząsnęła.

- Muszę cię opuścić na parę minut - przeprosiła Beccę. - To może być policja. Becca zaczęła coś mówić, ale Jinx wybiegła już z pokoju i jak strzała pomknęła w koniec

korytarza, zupełnie jakby od tej rozmowy zależało całe jej życie. Po części tak było.

Jinx zeszywniała, usłyszawszy głos Jeffrey'a Dodge'a, który prosił ją o natychmiastowe spotkanie. Kiedy czekała na niego w gabinecie Matthew, jej zmęczenie powoli ustępowało narastającemu gniewowi.

- Ale z ciebie hiena! - powiedziała, gdy tylko stanął w drzwiach. - Przyszedłeś sprawdzić, czy wezmę udział w jutrzejszym spotkaniu? A może chciałeś na własne oczy obejrzeć skutki ostatniego „wypadku”?

Dodge spodziewał się takiego przywitania i cały dzień przygotowywał się na tę rozmowę.

- Dopiero dzisiaj dowiedziałem się o wybuchu. Przyszedłem zobaczyć, jak czuje się Matthew - powiedział cichym głosem - i chciałbym złożyć moją rezygnację.

- A to ciekawe! Myślałam, że twój wielki plan polegał na wymuszeniu mojej rezygnacji. Sądziłam, że chciałeś publicznie mnie upokorzyć i zająć należne ci miejsce na czele „Kipling Worldwide”. Co się stało, Jeffrey? Czyżby dopadły cię wyrzuty sumienia?

- Tak, mam wyrzuty sumienia - odparł. - I dlatego tutaj przyszedłem. Chcę wyjść z tego z podniesioną głową.

Jinx oparła się na krzesło Matthew i bacznie przyjrzała się Dodge'owi. Jeśli miał ochotę złożyć zeznania, gotowa była słuchać.

- Rzeczywiście, chciałem pozbawić cię stanowiska i to ja byłem sprawcą wcześniejszych wybuchów, ale wszystko zorganizowałem tak, żeby nie było ofiar w ludziach. Chodziło mi jedynie o poddanie w wątpliwość twoich kompetencji jako szefa korporacji i o obniżenie wartości akcji.

- Do ceny, za którą mógłbyś je nabyć?

- Tak, przyznaję, że tak było. Wykupiłem część, ale teraz chcę ci je oddać. Oto twoje nie tknięte pięć procent.

- A co z akcjami zakupionymi przez „Zenith Investors”? Chcesz je sobie zatrzymać jako dodatek do emerytury?

- Nie stoję za „Zenith”.

- Wobec tego kto? Twój wspólnik?

- Wszystko wymknęło się spod mojej kontroli - powiedział Dodge, celowo pomijając pytanie Jinx. Czuł wyraźną potrzebę wyznania jej wszystkiego, co mu leżało na sercu. - Nigdy nie chciałem, żeby tak się skończyło; nie miałem zamiaru nikogo skrzywdzić. Bóg mi świadkiem, że to szczerą prawdą.

Stał przed nią z twarzą, na której widoczne było cierpienie. Jego głos drżał pod ciężarem poczucia winy. Jinx nic nie odpowiedziała. Patrzyła na niego lodowatym wzrokiem, w którym nie było najmniejszej iskiereczki współczucia. Człowiek, którego kochała, walczył o życie na oddziale intensywnej terapii. Mężczyzna, który był za to odpowiedzialny, stał naprzeciwko niej.

- Nie mam zamiaru występować jutro przeciwko tobie - mówił dalej. - Dziś wieczorem zamierzam zebrać wszystkich członków rady i zachęcić ich, żeby cię poparli.

Jinx klasnęła w dłonie, a na jej twarzy pojawił się wyraz sarkazmu i nieustępliwości.

- To miłe, ale możesz oszczędzić sobie słów. Niepotrzebna mi twoja pomoc, Jeffrey: nie potrzebuję ani twoich akcji, ani twojego poparcia. Miałam dopiero jutro zrobić ci tę niespodziankę, ale skoro już przyszedłeś... I tak nie miałbyś szans. Od razu byłbyś na spalonej pozycji. A wiesz dlaczego? Bo popełniłeś jeden poważny błąd.

Dodge patrzył na nią z ciekawością. Czyżby to było preludium do aresztowania? Oblał go zimny pot.

- Nie doceniałeś mnie. Powinieneś zdawać sobie sprawę, że nie będę czekać z założonymi rękami, podczas gdy ty będziesz wchodził mi na głowę. - Podniosła głos i musiała

powstrzymać się przed wybuchem. - Zgubiła cię twoja pewność siebie, Jeffrey. - Na moment przerwała i z satysfakcją obserwowała jego panikę. - Czy mówi ci coś nazwisko Lee Lassman?

- Obiło mi się o uszy.

- To pozwól, że odświeżę ci pamięć. Lee Lassman był właścicielem sieci średniej wielkości hoteli w północno - zachodniej części kraju. Siedem lat temu Kip wykupił Lassmana, ale ze względu na recesję i wahania cen akcji „Kipling Worldwide” nie zapłacił mu wszystkich pieniędzy. Lee był starym przyjacielem Kipa. Mógł sprzedać swoje hotele komukolwiek, ale przez lojalność w stosunku do Kipa przyjął jego warunki. Kip zaproponował umowę, na mocy której w ciągu siedmiu lat od daty sprzedaży Lassman miał prawo do odbioru reszty należnych mu pieniędzy. Gdyby chciał odebrać je w formie akcji, byłby liczącym się udziałowcem i mógłby zasiadać w radzie nadzorczej.

Umowa zawierała dwie klauzule: po pierwsze, Lassman miał prawo sprzedać swoje udziały po cenie nie przekraczającej dziewięćdziesięciu procent wartości akcji, a gdyby ich wartość niespodziewanie spadła, mógł się domagać gotówki. Umowa przyznawała mu również prawo do zakupu akcji po preferencyjnych cenach i pobrania reszty długu w walucie. I w ten właśnie sposób, mój drogi, postąpił pan Lee Lassman. W tym roku upływa termin ważności umowy i przed trzydziestoma dniami, korzystając ze swojego przywileju, Lassman stał się właścicielem dziesięciu procent udziałów i zyskał prawo do zasiadania w radzie nadzorczej. Wyobraź sobie, że nie tylko przyjdzie na jutrzejsze spotkanie, ale przybędzie na nie z zamiarem poparcia mojej nominacji na stanowisko prezydenta korporacji i przewodniczącego rady nadzorczej.

Dodge z wrażenia opadł na najbliższej stojące krzesło. Wszystko na nic, pomyślał. Tyle wysiłku, tyle pieniędzy, tyle straconej energii.

- Moje gratulacje - powiedział z niewyraźnym uśmiechem człowieka przypartego do muru. - Rzeczywiście, chyba cię nie doceniałem. W jaki sposób dotarłaś do tego Lassmana?

- Tak samo jak ty - powiedziała widząc, jak uśmiech znika z twarzy Dodge'a. - Przeglądając stare raporty udziałowców. Myślałeś, że przegapię adnotację o Lassmanie? Prawie mi się to udało, jednak coś mnie tknęło i zadzwoniłam do Miliona. Wszystko mi wytłumaczył. Następnego dnia spotkaliśmy się z Lee w Seattle. - Jinx wygodniej usadowiła się na krześle, zmrużyła oczy i spojrzała na Dodge'a. - Wtedy właśnie Lee powiedział mi, że byłeś u niego parę tygodni temu i proponowałeś mu wykup jego udziałów. Ale chciałeś być za cwany, prawda Jeffrey? Obniżyłeś wartość akcji do takiego poziomu, że twoja oferta była nieatrakcyjna i odrzucił ją. Wyobraź sobie, że postąpiłam dokładnie tak samo jak ty i Lee zgodził się sprzedać udziały. A wiesz dlaczego? Lojalność, drogi Jeffreyu. Lojalność. Lee był przyjacielem Kipa. Wiedział, ile dla niego znaczyła ta kompania. Nie chciał z tobą kolaborować w odebraniu „Kipling Worldwide” żonie i córce Kipa.

- Wiem, że trudno ci będzie w to uwierzyć - spokojnie odezwał się Dodge - ale cieszę się. Cieszę się, że wygrałaś i że skończył się już ten koszmar.

Jinx nachyliła się nad stołem i spojrzała mu w oczy.

- To jeszcze nie koniec, Jeffrey - powiedziała. - Matthew Grant padł ofiarą twojego zdradzieckiego spisku i jeśli sądzisz, że puszczę ci to płazem, to bardzo się mylisz.

- Nie miałem z tym nic wspólnego - wyjąkał. - Przysięgam!

- Nie wierzę ci.

- Musisz - błagał, nerwowo ściskając palce. - To prawda. Ponośzę winę za wiele złych rzeczy, ale nie za to.

- Wobec tego kto? Ktoś, kto ukrywa się za „Zenith Investors”? Nie chcesz zdradzić nazwiska!

Dodge nabrał powietrza i zacisnął dłonie tak mocno, że aż zbieleły mu kostki.

- Słuchaj, Dodge, albo sam mi powiesz, kto podkładał te ładunki, albo wyciągnie to z ciebie policja. Tylko że ich metody nie ograniczają się do łagodnej perswazji.

Jeffrey wiedział, że musi dać za wygraną. Był w tarapatkach. Jinx Kipling nie rzucała słów na wiatr. Gdyby zależało jej na tym, żeby znalazł się za kratkami, z pewnością dopięłaby swego. Jednak ciągle się wahał.

Jinx zaczynała tracić cierpliwość. Żądała odpowiedzi i musiała ją uzyskać. Dopuścił się zdrady. Wobec niej i wobec Kipa. Zdradził swoją siostrę - Elizabeth. Winien był jej prawdę. Jinx miała rację, nie działał w pojedynkę. Jednak w tym momencie Dodge mniej obawiał się przepisów prawnych niż konsekwencji swojej następnej zdrady.

- Matthew dochodzi już do siebie - powiedziała Jinx, zamykając za sobą drzwi pokoju. - Pielęgniarka powiedziała, że spadła mu temperatura i wykazuje symptomy zwalczania infekcji.

- Nareszcie! - Becca odetchnęła z ulgą.

- A jak tam twoja głowa? - zapytała Jinx z troską. - Poprosiłam pielęgniarkę, żeby przyniosła ci jakieś tabletki. Mam nadzieję, że pomogły.

- Dziękuję. Trochę mi lepiej - odpowiedziała słodko Becca i spojrzała na zegarek. - Ale chyba nieprędko przejdzie mi ten ból. Myślę, że to stres.

- Całkiem możliwe - odparła Jinx. - W końcu tyle przeszłaś; ten wybuch, przeprowadzka...

- To było okropne - na twarzy Becki pojawiły się rumieńce. Uporczywe spojrzenie Jinx wprawiało ją w zakłopotanie. - Jeśli nie masz nic przeciwko temu, to pójdę do hotelu na chwilę się położyć. Te jarzeniówki przyprawiają mnie o mdłości.

Becca wstała, jeszcze raz spojrzała na zegarek i ruszyła w stronę drzwi.

- Wiesz? To całkiem interesujące - odezwała się Jinx, opierając się o framugę i odcinając jej drogę. - Czy nie zauważyłaś, że ludzie w momentach stresu przejawiają różne dziwne zachowania? Niektórzy nerwowo odgarniają włosy z czoła, inni obgryzają paznokcie, ja zagryzam dolną wargę, a ty - patrzysz na zegarek. - Przerwała na moment, w skupieniu marszcząc brwi, po czym z ciekawością spojrzała na Beccę. - Tamtego wieczoru też to robiłaś; co kilka minut spoglądałaś na zegarek.

- Po prostu chciałam, żeby wszystko było smaczne. Chyba nie lubisz zimnych szparagów?

- Od chwili kiedy weszłam do pokoju - Jinx nie miała najmniejszego zamiaru się wycofać - ciągle się spieszyła. Stale patrzyłaś na zegarek, zupełnie jakbyś się bała spóźnić na pociąg. Nawet nie czekałaś na Matthew, tylko od razu zaprowadziłaś mnie do jadalni.

Becca spuściła wzrok i zaczęła masować skronie.

- Rozsadza mi głowę - jęknęła. - Naprawdę, muszę już iść.

- Te migreny muszą być dla ciebie prawdziwą torturą - mówiła Jinx, nie zwracając uwagi na to, że Becca niecierpliwie czeka przed drzwiami. - Widziałam, jak cierpiałaś wczorajszego wieczoru. Ledwo trzymałaś się na nogach.

- To prawda - westchnęła Becca z egzaltacją. - Dlatego prosiłam Matthew, żeby poszedł po pigułki.

- Nie - poprawiła ją Jinx. - To ja miałam je przynieść. Mnie kazałaś po nie iść, gdyż to ja, a nie Matthew, miałam paść ofiarą tego wybuchu.

- Wydaje mi się, że w tym momencie to ty chyba cierpisz na głowę - odparowała Becca. Wyprostowała plecy i obrzuciła Jinx lodowatym spojrzeniem.

- Patrzyłaś na zegarek, bo dokładnie wiedziałaś, kiedy nastąpi eksplozja, i nie chciałaś się znaleźć w jej zasięgu.

Becca odrzuciła głowę w geście śmiertelnego oburzenia.

- Nic dziwnego, że tak długo cię nie było. Pewnie miałaś telefon z towarzystwa ubezpieczeniowego. Chcieli, żebyś im wyjaśniła, jak to możliwe, by coś takiego wydarzyło się w jednym z twoich hoteli. Jestem w stanie zrozumieć twoją desperację, ale chyba ponosi cię fantazja.

- Nie sędzę - odpowiedziała Jinx z irytującym spokojem. - Ale powiem ci, co o tym myślę: według mnie, to ty zaplanowałaś ten wybuch.

- Lepiej zastanów się nad tym, co mówisz - Becca przeszła Jinx wzrokiem pełnym wściekłości. - To zaczyna się robić nieprzyjemne.

- Bo śmierdzi na kilometr! Właśnie rozmawiałam z policją. Znaleźli zegar. Był nastawiony na ósmą. Wybuch miał nastąpić dokładnie wtedy, kiedy wysłałaś mnie po tabletki.

- I co z tego? Próbujesz mnie zrobić? Nie łudź się. To nawet nie poszłaka, tylko zwyczajny zbieg okoliczności - odparła z arogancją, jednak Jinx zauważyła, że na jej czole zbierają się kropelki potu. Oddech Becki stał się krótki, przerywany.

- A czy twoja obecność na jutrzejszym spotkaniu miała być jeszcze jednym zbiegiem okoliczności? - Jinx starała trzymać się w ryzach, ale w środku trzęsła się z napięcia. - Naprawdę myślałaś, że ujdzie ci to na sucho? Sądziłaś, że się kompletnie załamie, zaszyję na odludziu i nie będę dawała

znaku życia? Naprawdę nie przyszło ci do głowy, że zrobię wszystko, żeby dowiedzieć się, kto stoi za „Zenith Investors” i zdemaskować osobę, która chce przejąć moją kompanię?

- Rozbrajasz mnie - prychnęła Becca, a jej twarz wykrzywiła się w pogardzie. - Chyba powinnam wezwać lekarza. Padło ci na mózg.

- Ja cię rozbrajam? To tobie brakuje piątej kleпки! Odkryłam ten spisek parę tygodni temu i jeśli myślisz, że jestem na tyle głupia, żeby cię oskarżać bez żadnych dowodów, to bardzo się mylisz.

Becca wiała się jak zwierzę złapane w sidła. Ktoś inny dalej starałby się udowodniać swoją niewinność albo schyliłby pokornie głowę i błagał o przebaczenie, ale nie Becca. Dla niej właśnie rozpoczęła się ostatnia, decydująca runda tego starcia.

- Masz rację! - wrzasnęła, nie bacząc, czy Jinx miała przeciwko niej jakieś dowody. Teraz mogła już tylko walczyć o dominację. - Istotnie wynajęłam kogoś, żeby podłożył ten ładunek! I nie jesteś w błędzie, moja kochana siostrzyczko, sądząc, że to ty miałaś paść ofiarą tej eksplozji. To ty miałaś stać przy oknie! I ty powinnaś teraz leżeć w tym szpitalu!

Czekała, aż Jinx skoczy jej do oczu, zapieni się z wściekłości i zacznie wykrzykiwać obelgi. Ale Jinx nawet się nie poruszyła. Sparaliżował ją jad i zawiść, które wydobywały się z ust Becki. Była zaskoczona, że w tak kruchej istocie może się pomieścić tyle nienawiści.

- A gdyby nie zniszczyła mnie eksplozja, chciałaś mnie wykończyć, zabierając mi „Kipling Worldwide”?

- Właśnie tak to sobie zaplanowałam! - odpowiedziała z zajadłością podwórzowego kundla. W jej głosie słychać było pogardę.

- Jak mogłaś?

- W zasadzie - odparła chytrze - to nie było aż takie trudne. Tej nocy, kiedy przyszedł do szpitala do mojego ojca, podsłuchałam twoją rozmowę z Matthew. Mówiłeś, że Dodge robi wszystko, żeby przejąć korporację, wspomniawszy o tajemniczych wypadkach, które ostatnio nawiedzały hotele Kiplinga. Szczerze mówiąc, już wtedy przyszło mi na myśl, że to świetny sposób, by cię wyeliminować.

Jinx myślała, że zawodzi ją słuch. Serce waliło jej w piersi, kiedy słuchała tego wyznania.

- Nie mogę w to uwierzyć.

- Wcale mnie to nie dziwi - odparła Becca lekceważącym tonem. Odwróciła się na pięcie i pomaszzerowała w drugi koniec pokoju. Stała przodem do Jinx i zmierzyła ją wzrokiem. Zrobiła kilka kroków w jej kierunku i roześmiała się jej prosto w twarz. - To doprawdy śmieszne! Strawiłaś tyle lat na poszukiwaniu Bena Rossa i już myślałaś, że złapałaś Pana Boga za nogi. Chcesz poznać prawdę? Powiem ci, jakim człowiekiem był Benjamin Ross! Traktował swoją żonę jak śmieć, a córkę jak pluszowego psa wygranego na loterii. Uganiał się za każdą napotkaną spódnicą. Kręcił i oszukiwał na każdym kroku. Rzadko bywał w domu, a jeśli już raczył zaszczycić nas swoją obecnością, był opryskliwy do bólu i wiecznie z czegoś niezadowolony. Interesowały go tylko moje sukcesy. Nigdy nie doczekałam się żadnego miłego słowa, chyba że wróciłam z pucharem. O tak! Wtedy to potrafił się cieszyć!

Becca wyrzucała z siebie potok słów z prędkością karabinu maszynowego. Chciała jeszcze coś dodać, ale zabrakło jej tchu.

Jinx nie miała dla niej sympatii ani odrobiny współczucia.

- Oszczędź sobie tych oklepanych frazesów o swoim nieszczęśliwym dzieciństwie. Ostatniej nocy o mały włos nie zamordowałaś człowieka - powiedziała drżącym głosem.

Gniew i nienawiść w głosie Jinx były tylko pożywką dla potwora zamieszkującego ciemne zakamarki natury Becki. Pociemniały jej oczy i naprężyła się jak kocur, który za moment ma rzucić się na swoją ofiarę.

- Dlaczego zaprosiłaś Matthew? - zapytała Jinx podniesionym głosem. - Ja ci nie wystarczałam? Po co było ci potrzebne jego towarzystwo?

- Ale z ciebie idiotka - odezwała się Becca z bezceremonialną nonszalancją. - A dlaczego nie miałyby popatrzeć, jak spotyka cię zasłużona kara?

- Kara? Za co? Co ja ci takiego zrobiłam?

- Kiedyś nienawidziłam cię za to, że chcesz mi odebrać ojca. Ale wiesz co? - Pretensjonalnie przewróciła oczami i westchnęła jak aktorka z prowincjonalnego teatru. - Potem nie miało to już nic wspólnego z Benem. Po prostu walka, rywalizacja między tobą a mną. Która z nas lepiej wyszła za mąż? Która miała więcej pieniędzy i ładniejszy dom? Która zrobiła karierę towarzyską? Nie mówiąc już o tym, że miałaś świetnego kochanka! - Na jej twarzy pojawił się triumfujący uśmiech. - W tym względzie sama mogę się wypowiedzieć. Przespałam się z Matthew Grantem i gdybyś miała jakieś wątpliwości, to mogę cię zapewnić, że jest najlepszy!

Jinx zadrżała na samo wspomnienie jego imienia. Jeśli rzeczywiście z nią spał, a intuicja podpowiadała jej, że tym razem Becca mówi prawdę, to istotnie udało jej się do końca splugawić tę kłótnię.

- Są tylko dwa rodzaje ludzi na tym świecie - zwycięzcy i pokonani - głos Becki zaczął ginać w białej ciszy pomieszczenia. - Fakt, że udawało ci się odnosić połowiczne zwycięstwa, ale wiedziałam, że jak tylko trochę pogłówkuję, to skończy się twoja dobra passa. Uknułam ten spisek, żeby mieć Matthew wyłącznie dla siebie! - Znowu histerycznie się zaśmiała. Zakrztusiła się chichotem, czerpiąc radość ze swojej

przebiegłości. - I wiesz co? - dodała z poczuciem rozpierającej dumy - Prawie mi się udało.

W tym momencie otworzyły się drzwi. Jinx jak oparzona cofnęła się w róg. Do pokoju weszło dwóch policjantów, za którymi zobaczyła spanikowaną twarz Dodge'a. Becca pogardliwie spojrzała na Jeffrey'a.

- Powinnaś była to przewidzieć. Jesteś obmierzłą glistą i śmierdzącym tchórzem, Dodge - syknęła strząsając z ramienia dłoń jednego z policjantów.

Drugi chwycił ją za rękę, wyrecytował formułę informującą Beccę o jej prawach i wyprowadził ją z pokoju. Odwróciła się i wlepiła wzrok w Jinx. W jej głosie wibrowała wściekłość nie skażona najmniejszym poczuciem winy. - Powinnaś zdechnąć jak pies! Nie zasłużyłaś sobie na wygraną!

- Może masz rację - w opanowanym głosie Jinx brzmiała gorycz i żal - ale za to ty sobie zasłużyłaś, żeby wszystko przegrać.

Zrobiło się późno. Jinx siedziała przy Matthew, trzymając go za rękę i patrząc, jak jego pierś unosi się w miarowym oddechu. Cierpliwie czekała, aż otworzy oczy. Próbowwała skoncentrować się tylko na ukochanym mężczyźnie, ale nadal nie potrafiła się uwolnić od wydarzeń sprzed kilku godzin. Czowała, jak przeszywają ją zatrute strzały nienawiści i aż skręcało ją z bólu. Pomyślała, że do końca życia nie będzie mogła zapomnieć zajadłego wzroku Becki i napastliwego tonu jej głosu.

Co takiego zrobiła, że spotkało ją aż takie okrucieństwo? Czy naprawdę była tylko niewinną ofiarą czyjegoś patologicznego gniewu? A może to życie gorzko odpłacało jej za grzechy? Może wszystko było zrzędzeniem jakiejś fatalnej siły, nad którą człowiek nie ma żadnej władzy?

Nieważne, pomyślała i spojrzała na walczącego o życie Matthew. Delikatnie pogładziła go po dłoni, przypominając

sobie inny szpital i innego mężczyznę, którego śmierć była dziełem bezsensownego przypadku. Śmierć Kipa zupełnie ją przybiła i musiała odnaleźć w sobie ogromną siłę, żeby wrócić do normalnego życia. Co się stanie, jeśli teraz straci Matthew? Nie wiedziała, czy ma jeszcze w sobie tyle energii, żeby to znieść.

Czuła się zupełnie bezradna. Widok bandażu i świadomość cierpień Matthew, których była przyczyną, pogrążała ją w rozpacz. Pragnęła powiedzieć mu, jak bardzo go kocha, jak bardzo boleje nad tym, co się stało, i jaka była głupia, odrzucając jego miłość.

Godzinami siedziała bez ruchu, niepomna na odgłosy medycznych urządzeń i krzątanie lekarzy i pielęgniarek. Od czasu do czasu opadały jej nabrzmiące powieki i odpływała w krótkotrwałym, męczącym śnie, ale gdy tylko jej ciało trochę odetchnęło, wewnętrzny alarm budził ją do czuwania.

Dopiero nad ranem Matthew powoli otworzył oczy. Jego twarz nie była już tak rozogniona. Spojrzenie miał jaśniejsze i bardziej wyraziste. Kryzys minął.

Sceptycznie rozejrzał się po pokoju, zanim dotarło do niego, gdzie się znajduje.

- Cześć - powiedział.

Jinx poczuła, jak ogromny ciężar spada jej z serca. Chciała powiedzieć mu coś miłego na powitanie, ale głos uwiązł jej w gardle i tylko się uśmiechnęła.

- Chyba gdzieś już panią widziałem - czule się w nią wpatrywał, tak jakby swoim spojrzeniem chciał zmyć z jej twarzy wyraz z troskania. - Znamy się czy nie?

- Osobiście - wydusiła, zagryzając wargi, żeby nie uronić łez. Na ustach Matthew zatańczył nieśmiały uśmiech.

- Co u mnie słyszeć? - z niesmakiem spojrzał na bandaż.

- Lekarze mówią, że opanowali już infekcję i za tydzień wypuszczą cię do domu.

- A co u ciebie?
- Od kiedy otworzyłeś oczy, o wiele lepiej. - Podniosła jego dłoń do ust i pocałowała.
- Policja przeprowadziła śledztwo? Złapali kogoś?
- Już po wszystkim - odparła spokojnie.
- Matthew próbował pokiwać głową, ale tylko wykrzywił się z bólu. Podała mu kubek z wodą i zwilżyła twarz szpitalnym ręcznikiem.
- Opowiedz mi, co się stało. Chcę wszystko wiedzieć.
- Jutro. - Wiedziała, że będzie nalegał, więc zamknęła mu usta delikatnym pocałunkiem. - Mam żelazne zasady - wywinęła się od wyjaśnień. - Nigdy nie dyskutuję o sprawach życia i śmierci z mężczyzną leżącym w łóżku.
- Bardzo rozsądne - odpowiedział, zauważając poprawę jej nastroju.
- Ale chciałabym podyskutować na inny temat.
- Zamieniam się w słuch.
- Parę miesięcy temu poprosiłeś mnie o rękę - zaczęła. - Czy twoja oferta nadal jest w mocy? - Hiacyntowe oczy Jinx zalśniły od łez, jej cera była bledsza niż zwykle, ale dla Matthew i tak była najpiękniejszą istotą na świecie.
- Jaki dziś mamy dzień? - zapytał. Obecność Jinx była dla niego najskuteczniejszym lekarstwem.
- Środę.
- Masz szczęście. Moja oferta wygasa o dwunastej w nocy.
- Jasne, że mam szczęście - wyszeptała poważnym tonem.
- Mogłam już dwa razy cię stracić: raz przez swoją własną głupotę, a za drugim razem przez ludzką nienawiść. Nie mam zamiaru ryzykować po raz trzeci.
- Kocham cię - powiedział.
- Ja też cię kocham - w jej oczach pojawiły się łzy szczęścia i ulgi. Próbował wytrzeć jej oczy, ale siedziała za

daleko. Przysunęła się bliżej i zabandażowana dłoń Matthew przemknęła po jej policzku.

- Nie ma powodu do niepokoju - powiedział, nie odrywając dłoni od jej twarzy. - Ty, ja i Joy należymy do siebie. Dobrze nam razem.

Jinx przytuliła się do niego i poczuła się cudownie bezpieczna. Przez całe życie starała się odnaleźć swoje miejsce, pragnęła do kogoś należeć. Chciała poczuć się częścią rodziny Elliotów, próbowała odnaleźć się wśród Rostovów. W końcu myślała, że jej miejsce było przy boku Kipa. Jednak życie zawzięło się na nią z jakiegoś niewytłumaczalnego powodu, wywiewając ją z każdej bezpiecznej przystani, powodując, że wszędzie czuła się obco, jak nikomu niepotrzebny, wolny koniec sznurka, którego nie ma do czego przywiązać.

Ostatnimi czasy wzmogła się jej niepewność i poczucie alienacji. Emocjonalna jedność Jinx rozprysnęła się na drobne cząstki i jej uczucia poszybowały w czarną próżnię chaosu i nieufności. Przestała słuchać swojego instynktu i nie przyznawała się do prawdziwych uczuć. Co gorsza, zaczęła nawet tłamsić w sobie potrzebę miłości.

Ale teraz, kiedy w ciepłe objęcie Matthew poczuła głębię jego oddania, odzyskała dawną wewnętrzną spójność.

Podniosła głowę i głęboko spojrzała mu w oczy.

- Niczego się nie obawiam - powiedziała i po raz pierwszy od lat szczerze wierzyła w swoje słowa. - Dzięki tobie odnalazłam siebie i znam swoje miejsce w życiu.

Matthew delikatnie objął jej policzki.

- Witaj w domu - wyszeptał. Jego usta miękko dotknęły jej warg i poczuła wszechogarniający spokój i jedność z Matthew. Rozbiegane ścieżki jej życia w końcu się spotkały.